BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS
118515
-3
II

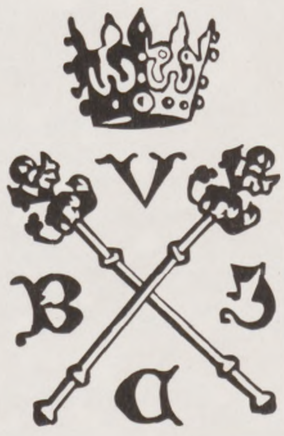
Łagowski

ZN

Wypisy Polskie

Część III.

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie



F. ŁAGOWSKI

WYPISY POLSKIE

na kl. III.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

WYPISY POLSKIE

na Klasę III

SZKÓŁ ŚREDNICH

ułożył

FLORJAN ŁAGOWSKI.

WYDANIE DRUGIE.

Biblioteka Jagiellońska
1000649903

WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1906

BIBLIOTHECA UNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS

118515

II

3
2N

Szymon Deptuła
emigrant z Polski
w darze
Bibliotece
Jagiellońskiej

Bibl. Jagiell.
2002 D

Spis autorów,

których utwory pomieszczono w „Wypisach.“

Anczyc Władysław Ludwik (ur. 1824 † 1885), poeta i autor utworów dramatycznych, osnutych na tle życia ludowego. Wydawał przez kilka lat pismo p. t. „Kmiotek”. Między innemi napisał: „Chłopi arystokraci”, „Łobzowianie”, „Emigracja chłopska”, „Kościuszko pod Racławicami”, „Dzieje Polski dla ludu” oraz wiele książek dla młodzieży.

Andersen Jan Krystjan (ur. 1805†1875), słynny pisarz duński. Napisał wiele powieści w swoim czasie bardzo wziętych. Ale szczególną sławę zdobył sobie swemi „Opowiadaniami” i „Bajkami” pisanemi prozą, których napisał 4 tomy. Bajki te odznaczają się piękną tendencją i prawdziwie poetycznym nastrojem.

Brodziński Kazimierz (1791 † 1835), żołnierz napoleoński, poeta sielankowy, (autor „Wiesława“), profesor historji literatury polskiej w uniwersytecie Warszawskim, badacz literatury. Dzieła jego wyszły w 8 tomach.

Brzeziński Mieczysław (ur. 1858), pedagog i pisarz ludowy, napisał wiele dziełek naukowo-popularnych dla ludu i młodzieży, między innemi: „Z dziedziny przyrody i przemysłu, pogadanki z młodemi przyjaciółmi”, książki do czytania: „Snopek”, „Podarunek dla młodzieży” i w. in.

Chodźko Ignacy (ur. 1795 † 1861 na Litwie), powieściopisarz, autor „Obrazów litewskich” i „Podań litewskich” ogłoszonych w 6 tomach.

Długosz Jan (ur. 1415†1480), znakomity historyk polski, nauczyciel synów Kazimierza Jagiellończyka. Napisał po łacinie historję Polski w XII księgach i wiele innych dzieł dotyczących dziejów Polski. Dzieła jego wydane w tomach przez hr. Przeździeckiego.

Dyakowski Bogdan, współczesny przyrodnik i pedagog, napisał wiele b. ładnych popularnych gawęd i opowiadań z dziedziny przyrody. Wydał kilka pięknych i zajmujących książek: „Z naszej przyrody", „Nasz las i jego mieszkańcy" i wiele innych. Napisał tekst do atlasów zwierząt ssących, ptaków, motyli i in.

Dygasiński Adolf (1839 † 1902) pedagog, powieściopisarz; nieporównany w odtwarzaniu świata zwierzęcego i wizerunków ludowych w wielu swych utworach belletrystycznych.

Dzieduszycka Anastazja (ur. 1842†1890), przełożona żeńskiego seminarjum nauczycielskiego w Krakowie, ogłosiła wiele prac w zakresie pedagogji, jak: „Kilka myśli o wychowaniu kobiet", „Jak sobie dziatwa radziła", „Wypisy polskie", „Książka młodej kobiety" i w. in.

Estkowski Ewaryst (ur. 1820†1856), zasłużony nauczyciel i pedagog Wielkopolski. Redagował w Poznańskim pisma dla dzieci i młodzieży i napisał kilka „Książek do czytania" dla tejże młodzieży.

Faleński Felicjan (ur. 1825), współczesny poeta, satyryk i powieściopisarz, doskonały tłómacz obcych utworów poetycznych.

Gaszyński Konstanty (ur. 1809 † 1866), żołnierz z r. 1831, jako emigrant zamieszkał we Francji. Poeta, pisał wierszem prześliczne rzeczy patryjotyczne oraz sielanki; napisał także kilka powieści prozą, między innemi „Pogadanki kontuszowe".

Gliński Kazimierz (ur. 1850), współczesny poeta i powieściopisarz, napisał kilka tomów poezji i kilkanaście wybornych powieści, między innemi: „Cecora", „Boruta". „Pan Filip z konopi", „W Babinie" i w. in.

Gloger Zygmunt, współczesny pisarz, badacz naszego ludu, autor wielu prac treści archeologicznej, etnograficznej i historycznej, wyd. „Encyklopedję staropolską," „Księgę rzeczy polskich," „Rok Polski w życiu, tragiedji i pieśni," „Gieografję historyczną dawnej Polski." „Podróże po kraju" i wiele innych.

Głowacki Aleksander (pseudonim: *Prus Bolesław*), (ur. 1847). Nauki uniwersyteckie kończył w Szkole Głównej w Warszawie. Poświęcił się stale literaturze, pisał do różnych dzienników artykuły treści ekonomiczno-społecznej; feljetony jego zjednały mu wielką popularność. Sławę jego stanowią „Nowelle" i powieści: „Placówka," „Lalka," „Faraon," „Emancypantki" i t. d.

Gębarski Stefan, współczesny powieściopisarz, piszący przeważnie dla młodzieży i ludu.

Jaśkowski Jan Nepomucen, (ur. 1807†1882). Poeta polski, napisał wiele wierszy, jak: legiendy, ballady, elegje, dytyramby i wiele artykułów do pism. Do celniejszych jego poezji należą: „Ballada jakich wiele,“ „Ballada jakich mało,“ „Grosz wdowi,“ „Stary Robin Greg“ i inne.

Karpiński Franciszek (ur. 1741†1825), poeta, odznaczający się w swych pismach głębokim uczuciem pobożności, patryjotycznie smętnym nastrojem i sielskością. Z poezji jego znane powszechnie są: „Kiedy ranne wstają zorze”, „Bóg się rodzi, moc truchleje”, „Boże z Twoich rąk żyjemy” i w. in.

Kochanowski Jan (1550 † 1584), największy poeta polski XVI wieku, urodzony w Sycynie (ziemi sandomierskiej), kształcił się w uniwersytecie Krakowskim, potym we Włoszech w Padwie. Zwiedził całe prawie Włochy; przebywał we Francji. Po powrocie do ojczyzny został sekretarzem królewskim; osiadł potym na roli w Czarnym Lesie. Utraciwszy ukochaną Urszulkę, żal po niej opiewał w poemacie p. t. „Treny.“ Nie przyjąwszy godności kasztelana, którą mu przyjaciel jego, hetman i kanclerz Jan Zamojski wyjednał, poprzestał na skromnym urzędzie wojskiego sandomierskiego. Z pod pióra jego wyszły: „Pieśni“ (polskie i łacińskie), „Psałterz Dawidów,“ dramat „Odprawa posłów greckich, „Fraszki,“ Elegje (łacińskie), „Liryki“ i t. d.

Kondratowicz Ludwik, pseudonim: *Władysław Syrokomla* (ur. 1823 † 1862), należy do najlepszych i najpłodniejszych poetów polskich XIX wieku. Jako poeta „siermiężnej i szaraczkowej” części narodu zasłużył sobie na wielkie imię i czystą sławę. Jest mistrzem w gawędach, obrazach, sielankach i wierszach lirycznych. Największą wartość mają jego poematy: „Urodzony Jan Dęboróg,” „Margier,” „Szkolne czasy,” „Janko Cmentarnik,” „Lirnik wioskowy” i w. in. Napisał także kilka pięknych dramatów, „Dzieje literatury polskiej,” „Podróże po Litwie.” Dzieła jego wyszły w 10 tomach.

Konopnicka Marja (ur. 1846), utalentowana współczesna literatka i poetka nap. „Poezje“ (4 serje), „Linje i dźwięki,“ „Wybór poezji,“ „Italja,“ „Damnata“ i t. d. Prześliczne są jej wiersze dla dzieci, wydane w książkach p. t. „Wiosna i dzieci,“ „Moja książeczka,“ „Wesołe chwile,“ „W domu i w świecie,“ „Szczęśliwy Światek,“

„O Janku Wędrowniczku," „Czytania dla Tadzia i Zosi," „Śpiewnik dla dzieci" z muzyką Z. Noskowskiego i in.

Koźmian Kajetan (ur. 1771 † 1856), poeta i prozaik, napisał kilka większych dzieł, jak poematy: „Stefan Czarniecki" i „Ziemiaństwo polskie" oraz prozą „Pamiętniki" w 3 tomach.

Krakowowa Paulina (ur. 1813†1882) miała w Warszawie wzorowy pensjonat panien. Prace jej, poświęcone głównie młodemu wiekowi, zalecają się szlachetną dążnością i pięknym językiem. Ogłosiła drukiem: „Pamiętniki młodej sieroty", „Powieści starego wędrowca", „Niespodzianka", „Proza i poezja polska", „Powieści historyczne" i w. in.

Krasicki Ignacy (ur. 1735†1801), biskup warmiński, arcybiskup gnieźnieński, nazwany „Księciem poetów polskich". Napisał bardzo wiele utworów wierszem: „Satyry", „Bajki", „Myszeis", „Wojnę Chocimską" oraz prozę: „Pan Podstoli", „Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego", „Zycia sławnych mężów" oraz wiele innych.

Krasnowolski Antoni (ur. 1853), współczesny badacz języka polskiego i autor podręczników pedagogicznych: „Gramatyka języka polskiego" w 4 częściach, „Słownik frazeologiczny", „Składnia języka polskiego," „Wzory do ćwiczeń stylistycznych" 2 tomy i t. d.

Kraszewski Józef Ignacy (1812 † 1887), poeta, powieściopisarz, historyk polski. Zdumiewa pracowitością: napisał przeszło 600 tomów dzieł rozmaitej treści, głównie zaś powieści historycznych i obyczajowych. Redagował „Gazetę Codzienną" (zamienioną później na „Polską"). Umarł w Gienewie, spoczywa w grobie „Zasłużonych" w Krakowie. Oprócz mnóstwa doskonałych powieści, napisał cykl „Powieści historycznych" obejmujących „Dzieje Polski do rozbioru" w 78 tomach.

Kramsztyk Stanisław (ur. 1841), współczesny przyrodnik, autor wielu prac i podręczników do nauk przyrodniczych, napisał: „Fizykę", „Ziemię i niebo" i w. in.

La Fontaine Jan (ur. 1621†1695), słynny francuski bajkopisarz. Napisał mnóstwo opowiadań i bajek, odznaczających się spostrzegawczością, dowcipem i poezją Wiele tych „Bajek" zostało przetłómaczonych i na język polski.

Lenartowicz Teofil (ur. 1822†1893), zwany powszechnie „Lirnikiem Mazowieckim" od zbioru poezji p. t. „Lirenka". Ur. w Warszawie, zamieszkał stale we Włoszech.

Pisał wiele prześlicznych poezji, których wyszło 6 tomów. Pochowany w grobie „Zasłużonych'' w Krakowie.

Łuszczewska Jadwiga pseudonim: *Deotyma* (ur. 1830), współczesna autorka i poetka, napis. „Polska w pieśni,“ „Jan Sobieski,“ „Poezje“ 2 tomy i in.

Marrené Walerja (zm. 1904), literatka i autorka wielu książek dla młodzieży i powieści, jak: „Nemezys“, „Zasady i czyny,“ „Dziki Tomek“ i wielu innych. Napisała także dzieło „Historja sztuki.“

Mickiewicz Adam (ur. 24 grudnia 1798 r., w Nowogródku, na Litwie, † 26 listopada 1855 r. w Konstantynopolu.) Ojciec jego, Mikołaj, był adwokatem w Nowogródku matka—Barbara z Majewskich. Kształcił się w Nowogródku w szkole OO. Dominikanów, a w r. 1815 do 1819 studjował nauki na uniwersytecie wileńskim. Od r. 1819—1820 był nauczycielem w szkole powiatowej w Kownie, lecz dla słabego zdrowia otrzymał uwolnienie i przeniósł się do Wilna, gdzie wydał 2 tomiki swoich poezji. W roku 1824 opuścił Litwę. Przebywał potym w Petersburgu, Odesie i Moskwie. W r. 1829 przez Szwajcarję i Niemcy udał się do Rzymu. Stamtąd przeniósł się do Drezna, następnie do Paryża, gdzie stale zamieszkał. W r. 1839 objął katedrę literatury rzymskiej w Lozannie (w Szwajcarji), ale w następnym już roku wezwano go do Paryża dla wykładu historji literatur słowiańskich w Kollegjum francuskim. Wykładał tu od roku 1840—1844. We wrześniu 1855 r. wysłany został przez rząd francuski na Wschód; zachorował nagle i umarł 26 listopada 1855 roku w Konstantynopolu. Zwłoki jego przywieziono do Francji i złożono na cmentarzu Montmartre pod Paryżem, skąd 4 lipca 1890 r. sprowadzono je do Krakowa i uroczyście pochowano w grobach królewskich na Wawelu. Utwory: „Ballady i romanse,“ „Grażyna,“ „Dziady,“ „Sonety,“ „Konrad Wallenrod,“ „Pan Tadeusz“ i t. d.

Mickiewicz Władysław (ur. 1838), syn Adama, literat polski i francuski, księgarz, wydawca dzieł ojca, autor życiorysu „Żywot Adama Mickiewicza.

Niemcewicz Juljan Ursyn (ur. 1758 w Skokach na Litwie † 1841 w Paryżu), poeta, historyk, powieściopisarz, dramaturg i mąż stanu. Wychowaniec szkoły kadetów, został adjutantem księcia Czartoryskiego, gienerała ziem podolskich. Podróżował po Włoszech, Francji i Anglji. Na sejmie czteroletnim (1788—1791) występuje jako poseł z Inflant. Walczy 1792 r. i potym, jako adjutant Kościuszki. Wraz z Kościuszką dostaje się pod Maciejowi-

cami do niewoli, skąd uwolniony, udał się z nim do Ameryki. Po utworzeniu się Księstwa Warszawskiego wraca do kraju, zostaje sekretarzem senatu i zasiada jako członek Izby Edukacyjnej. Po roku 1831 przenosi się do Paryża. Dzieła jego: „Powrót posła“ komedja, „Śpiewy historyczne,“ „Jan z Tęczyna,“ powieść, „Dzieje panowania Zygmunta III,“ „Pamiętnik,“ „Podróże“ i w. in.

Orsza pseudonim Heleny Radlińskiej, współczesnej literatki i autorki kilku bardzo pożytecznych książek. Pisze przeważnie dla ludu i młodzieży.

Pawiński Adolf (ur. 1840 † 1896) b. profesor Szkoły Głównej i Uniwersytetu Warszawskiego, zasłużony uczony i zacny człowiek, otaczał opieką młodzież pracującą. Autor wielu prac historycznych i wielkiego zbioru p. t. „Źródła dziejowe.'' Jest to dzieło kilkunasto-tomowe, zawierające bardzo ważne materjały historyczne, dotyczące szczególnie wieku XVI.

Pług Adam, właściwe nazwisko: *Pietkiewicz Antoni* (1830†1903), poeta i powieściopisarz, napisał poezje „Kłosy z rodzinnej niwy'', „Sroczkę'', powieści „Bakałarze“, „Oficjaliści,“ „Duch i krew“ i t. d.

Piątkowska Jadwiga, współczesna literatka, pisząca wiele do pism dla młodzieży.

Podwysocki Klemens (ur. 1832), poeta i tłómacz szczególnie Wiktora Hugo, jak: „Nędznicy'', „Legiendy wieków'' i in.

Pol Wincenty (1807†1872). Kształcił się w Tarnopolu; został lektorem języka niemieckiego i literatury niemieckiej w Wilnie. Brał udział w wypadkach 1831 r.— następnie udał się zagranicę, nakoniec osiadł stale w Galicji jako rolnik. Od 1849—1853 był profesorem gieografji na uniwersytecie Krakowskim. Spoczywa w grobie „Zasłużonych“ na Skałce. Napisał: „Pieśni Janusza,“ „Pieśń o ziemi naszej,“ Pieśń o domu naszym,“ „Mohort,“ „Pamiętnik Benedykta Winnickiego,“ „Pacholę hetmańskie,“ „Obrazy z życia i natury“ prozą i w. in.

Siemieński Lucjan (1809†1877). Urodzony w Galicji, kształcił się w Lublinie u ks. Pijarów. Potym przebywał w Galicji, Wielkopolsce, Francji, Belgji. Osiadszy w Krakowie (1848 roku), redagował część literacką dziennika „Czas.“ Wielkie ma zasługi, jako tłómacz „Odyssei“ Homera, tłómaczył też pięknie „Ody“ Horacego. Prozą pisał „Wieczory pod Lipą“ (popularna historja Polski), „Portrety literackie,“ „Żywot Kazimierza Brodzińskiego i t. d.

Sienkiewicz Henryk (ur. 1846 w Woli Okrzejskiej, gub. siedleckiej, powiecie Łukowskim), wychowaniec Szkoły Głównej. W r. 1876—1878 odbył podróże do Ameryki Północnej; 1891—do Afryki. Krótsze utwory: „Stary sługa,“ „Za chlebem,“ „Latarnik,“ „Wspomnienie z Maripozy“ i t. d. Dłuższe utwory: „Ogniem i mieczem,“ „Potop,“ „Pan Wołodyjowski,“ „Rodzina Połanieckich“, „Na polu chwały”, „Krzyżacy”.

Skłodowski Władysław, współczesny przyrodnik i pedagog.

Słowacki Juljusz (ur. 23 Sierpnia 1809 r. w Krzemieńcu † 3 Kwietnia 1849 r.). Naukę odebrał w uniwersytecie wileńskim. W r. 1831 przeniósł się zagranicę, gdzie prowadził żywot tułaczy w tęsknocie i goryczach. Jeden z najwybitniejszych gienjuszów Polski. Tworzy z Mickiewiczem i Krasińskim trójcę największych jej poetów. Znamieniem wszystkich dzieł jego jest siła uczuciowości, potęga wyobraźni i czar języka. Stworzył wiele pieśni ognistych i szereg powieści poetycznych, jak: „Jan Bielecki,” „Hugo,” „Mnich,” „Anhelli,” „Balladyna,” „Lilla Weneda,” „Kordjan,” „Beniowski,” „Król Duch,” „Mazepa” i w. in. W „Listach do matki” (2 tomy) maluje się jego serdeczna miłość dla niej.

Synoradzki M. współczesny literat, piszący dużo powieści historycznych do pism dla młodzieży, do „Biesiady literackiej” i in. pism.

Szajnocha Karol (1818 † 1868), ukończył uniwersytet we Lwowie. Pisał powieści, dramaty — wreszcie oddał się historji, dla której wielkie położył zasługi. W r. 1853 został kustoszem w Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich; w r. 1853 ociemniał, pracy jednak literackiej do końca życia nie porzucił. Dzieła jego: „Bolesław Chrobry,“ „Pierwsze odrodzenie Polski,“ „Szkice historyczne,“ „Jadwiga i Jagiełło,“ opowiadanie o Janie III, „Dwa lata dziejów naszych“ i t. d.

Ujejski Kornel (ur. 1823 † 1897), znakomity poeta, autor „Skarg Jeremiego”, znanego hymnu: „Z dymem pożarów”, „Maratonu”, „Pogrzebu Kościuszki”, „Melodji biblijnych” i wielu innych pięknych utworów poetycznych. Poezje jego wyszły w 2 tomach.

Urbanowska Zofja, współczesna powieściopisarka, autorka wielu książek dla młodzieży, napisała „Różę bez kolców,“ „Atlantę,“ „Księżniczkę“ i inne powieści.

Wasilewski Edmund (ur. 1814 † 1846), swego czasu bardzo popularny i lubiany poeta, zwłaszcza jego kra-

kowiaki są jeszcze dziś śpiewane, jak: „Wesoły szczęśliwy, krakowiaczek ci ja'', „Na Wawel''. Napisał wiele pieśni ludowych, w których przebija serdeczna nuta i gorący patryotyzm.

Zaleski Józef Bogdan (1802 † 1886). Kształcił się w Humaniu, potym w uniwersytecie warszawskim. Przebywał w Warszawie; po roku 1831 za granicą, głównie we Francji. Znakomity poeta liryczny: „Dumki,“ „Rusałki,“ „Czajki,“ „Duch od stepu,“ „Przenajświętsza Rodzina“ i t. d. Poezje jego zawierają 4 tomy.

Zawadzki Władysław (ur. 1824 † 1891), dziennikarz i autor wielu dzieł: „Życiorysy Staszyca, Sew. Goszczyńskiego'', „Grody polskie'' i w. in.

Zieliński Gustaw (ur. 1809 † 1881), poeta, napisał wiele utworów poetycznych mniejszych oraz wspaniały poemat p. t. *Kirgiz*, w którym przedstawia obrazowo stepy kirgiskie i życie tamtejsze.

A. PROZA.

1. Złota tabakierka Tomasza Zana i złotówka księdza Lwowicza.

Jeden z najserdeczniejszych przyjaciół, kolega uniwersytecki i towarzysz doli i niedoli naszego wielkiego poety Adama Mickiewicza—Tomasz Zan—miał wielki dar jednania sobie serc ludzkich. Używał też tego daru zawsze na dobre. Tak np. gdy był studentem uniwersytetu wileńskiego, korzystając z zaufania kolegów, nakłonił ich do założenia towarzystwa, mającego na celu wspólną pracę nad nauką i doskonaleniem się moralnym. Towarzystwo to, zwane Filaretami (miłośnikami nauki) wielkie wówczas usługi oddawało i zawsze służyć będzie za wzór godny naśladowania dla naszej młodzieży.

Losy jednak nie szczędziły Zana: prześladowany i jak wiele ówczesnej młodzieży, zesłany z kraju i oderwany od ukochanych, pędził w tęsknocie długie lata zdala od swoich, bo aż w Orenburgu. Jedyną pociechą jego była—nauka i powszechny szacunek i miłość, któremi go i tam otaczano. W Orenburgu oddawał się studjom nad astronomją i gieologją. Spotkał go tam wielki uczony niemiecki Aleksander Humboldt, który w tym czasie odbywał podróże naukowe po Azji, ocenił jego wiedzę niezwykłą, korzystał z jego uwag i wskazówek. Wywdzięczył się mu też za to niebawem, o czym niżej wspomnimy.

Do przyjaciół i wielbicieli Zana w Orenburgu należał i pewien kupiec rosyjski. Był to prostak, ale człowiek bardzo uczciwy i serdeczny. Pracą i oszczędnością doszedł do majątku, a poznawszy Zana, pokochał go całym sercem i pragnął osładzać jego dolę. Gdy Zan nie chciał przyjmować jego podarków, prosił go ów kupiec, aby mu dopomógł w udzielaniu pomocy nieszczęśliwym rodakom Zana, takim samym zesłańcom, zmuszo-

nym przebywać zdala od ojczyzny. Naturalnie Tomasz chętnie się zgodził na tę prośbę i obaj z zacnym kupcem czuwali nad losami nieszczęśliwych. Wkrótce nadarzyła się sposobność Zanowi odwdzięczenia się swojemu przyjacielowi: w gieologicznych swoich badaniach okolic Orenburga, odkrył on kopalnię złota, oznajmił o tym kupcowi i radził, aby wyrobił sobie pozwolenie od rządu na dobywanie złota z tych kopalń. Wkrótce pozwolenie nadeszło i kupiec nasz stał się miljonerem. Wdzięczny Zanowi zaprosił go na swego wspólnika, ale Zan propozycji nie przyjął; nie mógł tylko odmówić przyjęcia tabakierki, zrobionej ze złota wydobytego z owej kopalni.

Od tego wydarzenia upłynął czas pewien, gdy niespodziewanie przyszło do Orenburga zawiadomienie, że Zan może powracać do kraju. Kto mu to wyrobił? Oto ów uczony niemiecki—Humboldt.

Kiedy Humboldt powrócił do Berlina, na dworze królewskim był wieczór wspaniały. Cała rodzina królewska, ambasadorowie, a między niemi ambasador rosyjski i wiele znakomitości naukowych zebrało się na wezwanie króla tego wieczoru. Wszyscy oczekiwali, co Humboldt o swojej podróży opowiadać będzie.

Humboldt mówił, a gdy następca tronu zapytał:

— A cóż ludzie, gdzie tyle osobliwych rzeczy dała natura? Jak ich znalazłeś?

Humboldt odpowiedział:

— Znalazłem człowieka znakomitego bardzo, tak pod względem wysokiej nauki, jak i charakteru, godnego lepszego losu, niż ten, jaki dostał mu się w udziale. Jest to polak wygnaniec w Orenburgu—Tomasz Zan. Po widokach pustyń środkowej Azji, był on dla mnie w Orenburgu reprezentantem całej Europy. I zwracając się do króla, dodał: przyrzekłem mu przy odjeździe, że do króla mego zaniosę prośbę o wstawienie się do cesarza rosyjskiego o łaskę dla niego.

Ambasador rosyjski pojął znaczenie tej prośby w chwili tak niepowszedniej. Jakoż wstawił się król za Zanem i po niejakim czasie ukazem cesarskim Tomaszowi Zanowi pozwolono powrócić do ojczyzny.

Tyle, aby zrozumieć można scenę na pograniczu Białej Rusi, gdy wracając do ojczyzny, pocztowym wózkiem, przybył Zan do pierwszej wioski, w której był kościołek katolicki. Zan kazał się zatrzymać poczcie i chciał w pierwszym domu Bożym podziękować niebu za swój

powrót. Było to już dobrze z południa i kościołek był już zamknięty. Udał się więc do zakrystjana i prosił, aby mu otworzono kościół, a wszedszy ukląkł na stopniach ołtarza i modlił się gorąco. Uderzyło to wszystkich we wsi i na plebanji, że ktoś, jadący pocztą, o niezwykłym czasie kazał kościołek otworzyć. Jakoż proboszcz poszedł do kościoła i spotkał już we drzwiach naszego podróżnego wychodzącego. Spojrzeli sobie w oczy i rzucili się sobie w objęcia. Był to ksiądz Lwowicz, dawny towarzysz wspólnych cierpień w więzieniu, przebywający na pograniczu w ubogim probostwie, pierwszy Polak, który na ojczystej ziemi Zana powitał i za całą Litwę przycisnął go do serca.

Po pierwszym przywitaniu i ugoszczeniu, poszli obadwa znowu do ubogiego kościołka i Zan ubolewał nad opuszczeniem i ruiną jego.

— Czyż tu ludzie w Boga nie wierzą, że taki kościół opuszczony?

Na to odrzekł mu ks. Lwowicz:

— I owszem, pobożni bardzo, ale tak ubodzy, że nawet nie śmiem wzywać ich pomocy dla kościoła.

— Słuchaj bracie,—rzekł mu Zan.—Ty tu wymurujesz kościół okazały—a na początek daję ci tę złotą tabakierkę, w tym przekonaniu, że Bóg błogosławieństwo przywiązuje do tego złota.

Tu opowiedział księdzu, jak do tej tabakiery przyszedł, i że ma to przeczucie, iż ona będzie węgielnym kamieniem kościoła.

Synowie jednej szkoły, bracia jednych natchnień zrozumieli się.

I ksiądz Lwowicz dobył złotówkę i rzekł do Zana:

— Nie masz ani kawałka ziemi. Otóż daję ci tę złotówkę w tym przekonaniu, że wieś za nią kupisz, abyś miał gdzie głowę po tym tułactwie położyć.

Jakoż po całej Litwie jakby elektrycznym drgnieniem rozszedł się odgłos o powrocie Zana i spotkaniu jego z księdzem Lwowiczem na pograniczu w ubogim kościołku. A że chwile wielkich natchnień są prawdziwe i owocne, jest to najlepszym dowodem, że po upływie lat kilku ks. Lwowicz postawił okazały kościół w miejsce drewnianego, a Zan kupił wieś. I cała Litwa wierzy w to, że ksiądz Lwowicz postawił kościół za ową tabakierkę Zana, a Zan kupił wieś za ową złotówkę Lwowicza.

Z „Pamiętników“ *Wincentego Pola.*

2. Losy poczciwej rodziny.

Zdarzenie prawdziwe.

W Kaliszu mieszkała pani Magdalena, bardzo zacna, pobożna wdowa po oficerze wojsk polskich. Ciężkie losy zrządziły, że jedyny jej syn, Stanisław, pociecha, nadzieja, dostał się do szkoły kadetów w Petersburgu i przez dwanaście lat tam przebywał, pozbawiony domu rodzicielskiego, kraju rodzinnego. Przez lat dwanaście dwa razy doszła tylko wiadomość do matki, że syn żyje i cieszy się zdrowiem, ale o powrocie i widzeniu się z ukochaną matką mowy być jeszcze nie może. Biedna matka tęskniła i w modlitwie tylko szukała pociechy. Wiara w sprawiedliwość i dobroć Boga podtrzymywały w niej nadzieję, że syna zobaczy, że szczęśliwa gwiazda i nad niemi zaświeci.

W dwanaście lat po rozłączeniu się z synem, w Wielką Sobotę, ku wieczorowi, pani Magdalena, starym zwyczajem, przyrządziła stół ze święconem, aby uraczyć łaskawie odwiedzających ją przyjaciół i dwie sierotki, które przyjęła do swego domku i opiekowała się niemi, jak matka rodzona. Niebawem przybył ksiądz wikary, aby stół poświęcić i złożyć zacnej wdowie życzenia. Po ceremonji poświęcenia prosiła pani Magdalena księdza na kieliszek wina święconego, a że ksiądz wikary obszedł już wszystkich parafjan, więc chętnie przyjął zaprosiny, bo i rad był wypocząć po trudach. Rozmowa wkrótce weszła na tory wspomnień lat dawnych i gdy mówili o swoich najdroższych, gdzieś daleko przebywających, łzy cisnęły im się do oczu.

Wtym stara służąca, Barbara, wbiegła i krzyknęła:

— Nasz panicz, nasz kadet Stasio przyjechał!

Wybiegła i wprowadziła nagle do izby oficera, który się rzucił do stóp matki.

Płacz i jęk serdeczny napełnił cały dworek. Ksiądz wikary, widząc co zaszło, pozostał jeszcze czas jakiś, czekając aż się rzeczy wyjaśnią. Właśnie uderzono na Rezurekcję we wszystkie dzwony w mieście.

— Jaki podobny do nieboszczyka pana, — przemówiła pierwsza Barbara;—toćto żywy portret jego!

Magdalena wpatrywała się w rysy syna, a on klęczał u stóp matki.

— A czy ty, synu, jesteś dobrym człowiekiem? czy nie krzywdzisz ludzi? nie odstąpiłeś od wiary?

— Nie, mamo.

— Nie zapomniałeś języka?

— Wszak mówię po polsku.

— To niech będzie Bóg Wielki pochwalony przy tym świętym Zmartwychwstaniu!

— Amen,—rzekł ksiądz i pierwszy on, a za nim wszyscy obecni powinszowali tak wesołego szczęścia świąt i oddalili się.

Przez całą noc paliło się światło w dworku wdowy. Przy łóżku matki przesiedział syn tę całą noc i całą noc przegadali. Ona mu opowiadała o losach swoich, a on jej mówił o kolejach swojej wojskowej służby.

— Cóż cię ustrzegło od zepsucia i zgorszenia w tym nieszczęsnym oddaleniu?

— Pamięć na dom i ciebie, matko—i ta książeczka.

Tu dobył oficer z za munduru małą książeczkę od nabożeństwa, którą mu matka była dała przy pożegnaniu. Dobywszy książeczkę, pocałował ją i oddał matce.

— Ta książeczka była moim aniołem stróżem. Odczytywałem ją codzień całą i wystarczała dla mnie, bym nie odstąpił od wiary, chociaż mię bardzo kuszono.

— Ależ tu jest jeszcze coś więcej?

— To są,—rzekł syn — wierszyki i przypowiastki Jachowicza, których mama uczyła mię, gdym był jeszcze dzieckiem. Przez tę książeczkę zachowałem wiarę, a przez te wierszyki serce polskiego dziecka.

— Ależ ta książeczka tak pięknie i świeżo oprawiona!

— Kazałem ją w srebro oprawić, zostawszy oficerem, bo była już bardzo zużyta, a kupiłem sobie nową książkę „Ołtarzyk Polski“, z której się teraz modlę.

Tu dobył z kasku książkę od nabożeństwa kosztownie oprawioną.

Biedna matka, widząc w tym zrządzenie Boże, przytuliła głowę do poduszki i płakała, a syn całował nogi drogiej matki.

Świtać zaczynało, zanim się sobie wzajemnie wyżalili, matka synowi, a syn matce. Stara Barbara, wchodząc ze świecą i kawą, zastała oboje, jak ich z wieczora zostawiła. Pani leżała na łóżku ubrana, a u stóp jej siedział młody oficer zapłakany i blady. Barbara, która przyrządziła osobny pokoik dla gościa, zrzędziła, podając kawę, że oboje całą noc przegadali.

— Nie gniewajcie się, moja Barbaro; na przyszłość nie będzie tego, ale ja przez lat dwanaście nie widziałem mamy: niełatwo wynagrodzić sobie tę stratę.

* * *

Minęło lat kilka: syn i matka żyli zdrowi, szczęśliwi, otoczeni szacunkiem ludzkim.

Mieszkali teraz w Warszawie, gdzie syn zasłynął, jako jeden z najzdolniejszych inżynierów.

Książeczka z wierszami Jachowicza, okuta w srebro, leżała na półeczce pod obrazem Matki Boskiej; tysiąc razy miała ją wdowa w ręku, pokazywała ją wszystkim znajomym, a przedstawiając syna, opowiadała o jej cudownej mocy, jaką miała dla opuszczonego chłopczyny; ale nigdy nie przyszło jej zapytać o to nikogo, ktoby to był ten Jachowicz, gdzie on przebywa, czy żyje?

Gdy w roku 1857, grono obywateli wybranych w uznaniu cnót Jachowicza wręczyło mu „Wieniec obywatelskiej zasługi,“ rozeszła się ta wiadomość gwarnie po całej Warszawie i doszła nawet do strzech i nizkich progów, bo Jachowicz był opiekunem sierot, i założenie wszystkich ochronek warszawskich dla tych sierot i zaniedbanych dzieci było dziełem niezmordowanej jego usilności i zadaniem, któremu życie swe oddał.

— A może to ten sam?—pytała stroskana wdowa, mówiąc o tym z sąsiadkami.

— A jużcić, że ten sam, co się tak opiekuje dziećmi, będzie on tu za chwilę przechodził do ochronki, to go sąsiadce pokażę; a że poczciwe panisko, to nie trudno będzie z nim się rozgadać.

Tak się w istocie stało; uradowana wdowa zabiegła Jachowiczowi drogę przed domem swoim, z uprzejmością i łzami zapraszając go do siebie. Nie wiedział o co chodzi, ale widząc łzy i słysząc prośby, wszedł bez namysłu. A że był strudzony, usiadł chętnie na chwilę i oczekiwał cierpliwie żądania wdowy. Ona podeszła ku półce i podała mu w srebro okutą książeczkę.

— Czy Jegomość znasz te wierszyki, czy nie wiesz, co to za Jachowicz je pisał?

Jachowicz spojrzał w książeczkę i rzekł:

— Ja to pisałem, ale to już bardzo dawno, jak to wyszło na świat, jakże ta książeczka z ócz mi znikła!“

— Stasiu! Stasiu!—wołała wdowa, wybiegłszy do drugiego pokoju i prowadząc syna przed Jachowicza, rzekła:

— To jest pan Jachowicz, padnij mu do nóg!

Jachowicz uczuł się wzruszony, ale nie pojmował ani wyrazu wdzięczności tych ludzi, ani związku wierszyków swoich z tą rodziną. Wtym wszedł nagle do pokoju Ludwik Pietrusiński, najserdeczniejszy przyjaciel Jachowicza, który go od godziny szukał w mieście, a puściwszy się śladem jego, odnalazł go w domu wdowy. Był niespokojny o swego przyjaciela, bo od kilku dni widział osłabienie jego i nie był rad, że Jachowicz bez niego wyszedł z domu.

Pietrusiński bystry i odgadujący każde poczciwe serce, pojął w jednej chwili, co tu zaszło i rzekł do Jachowicza:

— Mój Stanisławie, to już najwyższy wieniec obywatelski, łzy tej matki i tego syna.“

Ze wspomnień *Wincentego Pola* (w skróceniu).

---

3. Mickiewicz i krawiec Jakób

(w skróceniu).

Temu przynajmniej lat dwadzieścia, któregoś dnia poszedłem odwiedzić sędziwego, szanownego Hipolita Błotnickiego.

Błotnicki miał swoje mieszkanko w hotelu Lambert, z oknami wychodzącemi na ogród, z widokiem na Sekwanę. Owóż tam poszedłem go odwiedzić. Zapukawszy i wszedłszy, zastałem gospodarza w dyskusji z jakimś staruszkiem.

Po jego wyjściu rzekł do mnie pan Błotnicki:

— Widzisz pan, to jest mój krawiec nadworny poczciwy Jakób, recte Jakób Klejtler, nasz żydek polski, aż gdzieś z województwa Krakowskiego.

— Jakże on się tu dostał?

— Ha, jak wszyscy. Był krawcem przy pułku i szył mundury oficerom, a gdy ci wyszli za granicę i on się powlókł za niemi. Z początku miał tu dość roboty i zarobku, tak, że mógł nawet z kraju swoją siostrę sprowadzić. Ale później rzeczy się popsuły; roboty nie stawało i starość nadeszła. Ciężka bieda coraz częściej do biednego krawca zaglądać zaczęła. Staramy się mu pomagać w najtwardszych chwilach, i już od lat kilku na-

sze „Towarzystwo Dobroczynności dam polskich“ daje mu stałe, miesięczne wsparcie, a on dorabia igłą, jak może. Nikt w świecie, powiadam, tak doskonale nie reparuje, jak on. Rekomenduję go panu.

— Ależ to mąż bardzo pożyteczny. Pewno, że chętnie korzystać będę z jego kunsztu.

Istotnie, wkrótce potym nadarzyła się sposobność udania się do nadwornego krawca szanownego Błotnickiego. Po wezwaniu, nazajutrz rano stanął on przedemną ze szmatą kitajki pod pachą, jak każdy pracowity krawiec, przychodzący po robotę. Był to człowieczek średniego wzrostu, suchy, z bladą twarzą; nie raził żadnym z owych niemiłych rysów rasy semickiej. Czuprynę siwą miał jeszcze pełną, ale brodę nie obfitą, pod gęstemi brwiami oczy szare z łagodnym, nie kolącym spojrzeniem, nos prosty, raczej delikatny i wargi ani grube, ani wydęte. Szczupłą jego postać otulał zapięty długi surdut granatowy, sięgający poniżej kolan. W ręku trzymał kapelusz wysoki, dawniej snadź szabasowy, dziś wypłowiały i pogięty.

Po uprzejmym z obu stron powitaniu, przystąpiliśmy do przeglądu niektórych inwalidów mojej garderoby. Po jego odbyciu, układając już suknie w swoją kitajkę, Jakób zapytał mnie:

— A czy to był pański ojciec, ten pan marszałek Gadon, co umarł tu, we Francji, na emigracji, w 1842 r.?

— Nie, panie Jakóbie, to był mój stryj.

— A, to był człowiek sprawiedliwy. On napisał książeczkę o żydach, gdzie o nas mówi życzliwie. My starzy żydkowie pamiętamy jego imię. A pan z tej samej familji—no, to panu żaden żydek nic złego nie zrobi.

— To bardzo dobrze—odrzekłem z uśmiechem—bo i ja żadnego żydka krzywdzić nie myślę. Żyda zacnego tak samo szanuję, jak każdego innego zacnego człowieka. Powiem ci nawet, panie Jakóbie, co zauważyłem w życiu, iż tak, jak żydówka, kiedy piękna, to już piękna jak słońce, tak samo i żyd godny i szlachetny, bywa jakby istny brylant między ludźmi.

— Ach! to pan dobrze powiedziałeś. Niech Pan Bóg da panu zdrowie!

I wyraźnie ucieszony, rękę mi ścisnął. Takim sposobem stosunek mój ze starym Jakóbem, odrazu zawiązał się pod dobrą wróżbą. Rozstaliśmy się też w najlepszej komitywie.

Po kilku dniach Jakób odniósł robotę, doskonale

wykończoną. Gawędziliśmy z sobą dobrą chwilę. Już się zabierał do wyjścia, kiedy spostrzegł na ścianie zawieszony sztych z portretem Mickiewicza. Stanął przed nim, jak wryty, z oczami nań zwróconemi, a ja, zdumiony, patrzyłem, jak na jego mizernej twarzy rozlewał się wyraz jakiegoś błogiego ukontentowania.

— Czy wiesz, kto to jest?—zapytałem.

— Kto, ja?

— Czy znałeś Mickiewicza?

— Czy ja jego znałem! Aj, aj, ja jego szanowałem, jak króla. Ja jego kochałem, jak ojca. On był moją opieką, moim dobrodziejem. Bez niego jabym zginął. Ach, jaki to był człowik! Głowę miał jak Mojżesz, a serce! jakie to serce! To był sam miód i sam balsam. A dla mnie, biednego żydka, jaki on był dobry! A za co? Czy ja wiem. Ja jemu nic dobrego nie zrobiłem. Co ja mogłem zrobić? Chyba tylko, że ja nie szachraj, nie gałgan—że ja biedak. Bo on wszystkich biedaków kochał. Ach, ja dotąd ciągle lamentuję, że go już niema. A kiedy nam powiedzieli, że on umarł, tam w Turcji— to ja płakałem i płakałem, i moja żona także płakała. Ach jaki to był człowik, jaki to był człowik!...

Cały poruszony wspomnieniem, poczciwy Jakób wyszedł odemnie. Odtąd stosunek nasz, oczywiście, stał się jeszcze cieplejszym. Byłem prawdziwie rad go spotykać. Od czasu do czasu potrzeba wezwania go łatwo się nastręczała. Stary Jakób przychodził zawsze w dobrym, pogodnym usposobieniu. Po szybkim odbyciu fachowego interesu, sędziwy gość mój siadał przy stoliku, na którym przed nim stał kieliszek rumu i parę kawałków cukru. Te maczał w płynie i w ten sposób sączył kordjał ogrzewający. Przytym gawędził o tym i owym z przeszłości, ale zawsze wracał do „Pana“ Mickiewicza. To był przedmiot niewyczerpany. Opowiadał, jak w najtrudniejszych nawet chwilach dla poety, kiedy on sam był w niedostatku, nie zostawiał jego, Jakóba, bez pomocy. Kiedy żona Jakóba, albo on sam był chory, to państwo Mickiewiczowie ich odwiedzali; nieraz autor Pana Tadeusza z pod płaszcza wydobywał butelkę wina dla chorego, a pani Mickiewiczowa przynosiła w garnuszku rosół posilny.

— A za moją robotę płacił zawsze więcej, niż należało. Kiedy robota była warta dwa franki, to on mi dał 12... „Bierz Jakób—mówił—10 franków będzie na chleb, a 2 franki zachowaj na tabakę.“ A gdy odniosłem mu

robotę, to on mnie zatrzymywał. Musiałem mu gadać o naszym miasteczku w Polsce, o żydkach, o naszym rabinie, który był bardzo mądry i uczony. Wtedy pan Mickiewicz był bardzo zadowolony. Słuchał, śmiał się i był kontent z mojego głupiego opowiadania. Na nasze święta to ja mu zawsze ofiarowałem naszą macę. To on wołał dzieci, dawał im i mówił, że kiedy był młody, na Litwie, to im arendarz każdego roku mace i kugle przynosił. Czasami to wołali moją żonę do państwa Mickiewiczów. To ona wzięła czysty fartuch i biegła do nich. Tam jej kazali gotować szczupaka po żydowsku, co ona doskonale robiła. Pan Mickiewicz okrutnie lubił tę rybę i po kolacji zawsze chwalił, dziękował i dał kilka franków mojej żonie za fatygę. Ach, panie Gadon, jaki to był człowiek! Już takich ludzi niema na świecie!

I zawsze z równą czcią, z tym samym szczerym, gorącym zapałem, odzywał się stary Jakób, ile razy wspomniał o Mickiewiczu. Było coś rzewnego w tym stosunku ubogiego krawca, prostaczka, do wspaniałego mocarza ducha. My w nim czcimy nastrój szlachetny, potęgę myśli, blask gienjuszu i szczytne natchnienia, tak zgodne z ideami społeczeństwa. Tego wszystkiego Jakób Krejtler, który może nigdy dwóch wierszy poety nie przeczytał, nie mógł ani zrozumieć, ani ocenić. Mimo to czcił go i wielbił. Bo w bogatej duszy poety były inne jeszcze skarby, perły i djamenty uczucia, ludzkości i niezmiernej dobroci – klejnoty, które on hojnie rozdawał. W dusze znużone znojem życia wlewać pociechę było przyrodzoną potrzebą serca jego, bo on miał w sobie „ocean słodyczy i miłości wszechludzkiej,“ jak mówi prof. Kallenbach w świeżym, pięknym swym dziele. A jaki urok wywierała, jak ujmowała ludzi ta jego wielka dobroć, świadczy choćby ten drobny przykład, podany w naszym opowiadaniu, a wzięty z życia codziennego poety. Miał on prawo powiedzieć o sobie:

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia.

Z nadejściem lata r. 1886 opuściłem Paryż; wróciłem dopiero późną jesienią. W biurze „Tow. Dobroczynności dam polskich,“ na zapytanie, co się też dzieje z Ja-

kóbem Krejtlerem, sekretarz, zacny p. Edward Pożerski, nasz wileńczyk, powiedział mi, że stary ciężko zasłabł. Udałem się zaraz do niego. Mieszkał przy ulicy de Sully, tuż obok tak zwanej Bibljoteki Arsenału, w której Mickiewicz, jako bibljotekarz, przez lata miał swoje pomieszkanie. W starym koszlawym domku zajmował Jakób dwie nędzne izdebki. W pierwszej stała żelazna kuchenka, w drugiej, na lichej pościeli, ujrzałem chorego, bardziej bladego i wychudłego, niż kiedykolwiek.

— Jakże się czujecie, kochany Jakóbie?

— Bardzo źle — wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem.

— Czy był doktór?—zapytałem obok stojącą żoną.

— Doktór Henszel był trzy razy i przyniósł lekarstwo.

— Czyby nie było co takiego, do czegoby chory miał ochotę?

— Och, panie, od dwóch dni już on nic jeść nie może, tyłko czasem przełknie trochę wody z winem.

— Dobry Jakóbie, czy nie potrzebujesz czego?

Na to chory odpowiedział przeczącym ruchem głowy i jęknął z ciężkim westchnieniem. Po chwilce, poruszył się na łóżku, nieco się podniósł, spojrzał na mnie, a potym odwrócił się ku ścianie, gdzie nad łóżkiem przybita była czterema gwoździkami litografja z wizerunkiem Mickiewicza. Patrzał na nią, patrzał, gasnące oczy zajaśniały wilgocią i dwie biedne łzy—łzy uwielbienia i wdzięczności spłynęły mu po wycieńczonej twarzy.

Przyznam się, że w tej chwili mnie samemu mgła wzrok zaćmiła i oddech zaparł się w piersi.

Głowa biednego Jakóba opadła na poduszkę, lewa ręka pozostała na piersi. Ująłem ją w me dłonie i ostrożnie ścisnąłem.

— Jutro wrócę—rzekłem po chwili.—Da Bóg, będzie lepiej.

Wyszedłem ze zbolałym sercem. Ale nazajutrz... już poczciwy stary Jakób już nie żył.

Drugiego dnia odbył się pogrzeb. Kiedy przybyłem na godzinę oznaczoną, przed domem czekał już karawan 8-ej klasy, a na chodniku stała gromadka ludzi: sami prawie starozakonni, starzy i biedacy, jak z ich odzieży sądzić można było. Jeden tylko odróżniał się między niemi świeżym, eleganckim ubraniem i lśniącym kapeluszem. Był to p. Zebaum, żyd z Warszawy, prowadzący w Paryżu przedsiębiorstwo handlowe, człowiek

wykształcony, ślicznie mówiący po polsku i czujący się dzieckiem kraju, w którym się urodził.

Ale oto wynoszą zwłoki. Trumnę z czterech desek sosnowych wsuwają na karawan i pokrywają całunem. Karawan rusza.

Dzień posępny, jak zwykle dzień zimy paryskiej. Gruba, szara powłoka zaległa sklepienie niebieskie. Z góry mgła opada, na dole, na bruku, brudno i ślizko. Przez zgiełkliwe ulice sunie powoli karawan, a choć nędzny, choć orszak ubogi, ludzie na lewo i na prawo zdejmują przed nim kapelusze. Jedyny to rodzaj poszanowania, który został dzisiejszym Francuzom—poszanowanie przed śmiercią. Wyrobnik-socjalista, czy wykwintny członek Izby, każdy, gdy spotka się z pogrzebem, odkrywa głowę, a kobiety robią znak krzyża świętego.

Po chwili, idący obok mnie p. Zebaum mówił do mnie:

— Ja zawsze w zmarłym Jakóbie widziałem w wyobraźni postać Jankiela mickiewiczowskiego z XII księgi Pana Tadeusza.

— Masz Pan rację. Na prześlicznym kartonie Andriollego, który pewno zmarłego nigdy nie widział, figura Jankiela bardzo jest zbliżoną do typu naszego poczciwego Jakóba.

I szliśmy dalej w milczeniu. Droga daleka i nużąca. W miarę odbytej przestrzeni, zmniejsza się liczba towarzyszących zwłokom biednego, zacnego żydka polskiego, a tak gorącego wielbiciela Wielkiego Litwina, poety narodu.

Karawan wciąż pnie się ku wzgórzom cmentarza. Wciąż ponuro i ciemno. Zimny, drobny deszcz padać zaczyna...

Lubomir Gadon.

---

4. Majówka uczniów szkoły Boruńskiej.

Majówka! O! dzieje majówki od poprzedzającego ją wieczoru zacząć należy.

Rozsypana młodzież na rynku swobodnie używa wieczora; piłka szybuje przez powietrze, ksiądz fizyk *)

*) Ksiądz, wykładający Fizykę. Opowiadanie maluje zwyczaje dawnych szkół polskich, utrzymywanych przez zgromadzenia klasztorne.

wyżej kościoła wybija ją w palanta. Walnyż to był nasz Reverendissimus fizyk! brat za brat z nami! On najlepiej wypuszczał długoogoniaste żmije, co dowodziło, jak sam powiadał, jego biegłości w mechanice; on wynalazł wielki sposób piłek koźlistych, radząc zwijać je na gumie elastyce. Otóż ksiądz fizyk, odchodząc zmordowany całowieczorną przepędzanką, spojrzał na zachód i jakby od niechcenia rzucił uwagę:

— Jutro dzień piękny, wartoby, dzieci, o majówce pomyśleć.

Ksiądz fizyk nigdy się w proroctwie nie mylił; jutro dzień piękny, wnet wielka pod kościołem składa się rada, kilku z ichmość dyrektorów, (dzisiaj—korepetytorów), jej przewodniczy i na niej jednomyślnością stanęło prosić o majówkę na jutro. Wyprawiona tuż w tropy za księdzem fizykiem do księdza prefekta delegacja, a wybrana ze śmielszych zuchów i mających łaskę u księdza prefekta, powraca w kwandrans z klasztoru. Już zdaleka krzyczą posłowie:—Majówka! Majówka! I okrzyk się powtórzył aż na rynku: Majówka!

Na to hasło, pan Kazimierz, arcydobosz szkolny, wie, co ma czynić; bieży do kościoła, porywa z chóru ogromny bęben i waląc weń co siły, maszeruje po całym miasteczku, za nim biegnąca liczna tłuszcza głuszy huk bębna nieprzestannym wołaniem „Majówka!“ Gdy zemdlały ręce panu Kazimierzowi, a krzykaczom zachrypło w gardle, rozbiegli się nakoniec wszyscy do domów, padli na pościel, a każdemu śni się majówka.

Ledwo nazajutrz dzień zaświtał, leniwi w każdym innym razie chłopcy na primus i na secundus, zrywają się ochotnie z pościeli; każdy skwapliwie pakuje zapasy podróżne. Wtym pan Kazimierz daje hasło w taraban, a emeryt szóstoklasista, otoczony liczną asystencją, wynosi z kaplicy studenckiej szkolną chorągiew. Na niej z jednej strony wyobrażenie patronki szkolnej Bogarodzicy, bogato na białym atłasie wyszyte, na drugiej zaś stronie kłosisty snop zboża, godło plonów nauki: a jak tłómaczył ksiądz profesor wymowy, że snop ten oznaczać miał po łacinie: «Disce puer latine, ego te faciam Mościpanie!» a po polsku: «ucz się ośle dobrze, to będziesz miał chleb!» Około tej chorągwi tłum dziatwy coraz liczniej się gromadził, rozmaite głosy i krzyki rozlegały się po całym miasteczku, a w tłumie jednoczyły się i zlewały w jedno.

Scena ta nadzwyczaj ruchawa i żywa; tu skaczą

z radości, stamtąd biegną bez pamięci, wyrzucając czapki w górę i łapiąc je w powietrzu; tam się czubią i godzą, a w powszechnym wrzasku słychać pisk strojonych klarynetów, brzęk fałszywej strunki skrzypców i pomrukiwania, jakby godzącej te spory, poczciwej basetli.

Otóż wychodzi z klasztoru sztab główny tej armji maruderów, ksiądz prefekt, naczelny wódz i księża profesorowie, otaczający go substytuci. Ogromnym palantem wywijając zręcznie, ksiądz fizyk, jak nieuważający na jenerała partyzant, uprzedził wszystkich, stanął w tłumie i głośno zawołał:—Dokądże pójdziemy, dzieci?

— Do Giejstun, wołają jedni, do Olan drudzy, do Zahorza!—krzyczą inni.

Któż rozdzielone zdania zjednoczy? Tenże sam ksiądz fizyk, który i sprzeczce dał powód.

— Do Zahorza pójdziemy, księże prefekcie!

— Do Zahorza dzieci! już ja ręczę, mospanie, że będzie tam dobrze! Wtym nie czekając odpowiedzi, pchnął w kark chorążego:

— Do Zahorza marsz, mosanie cymbale! krzyknął, marsz!

Zabrzmiały klarynety, skrzypce i basetla, ruszyła chorągiew, a za nią hurmem wszyscy. Rozweselony ksiądz fizyk nie dał kończyć muzyce marsza i huknął z całej siły: «Ozdobo twarzy, pokrętne wąsy,» a wszyscy chórem za nim; klarnecista zmienił nutę i dął, ile miał duchu, skrzypak opuścił smyczek, a poszedł na dyszkanta, organista, podpierając się basetlą, jak kosturem, piłował co mu się podobało! a echa okoliczne zabrzmiały pochwałą wąsów, głoszoną przez tych, którzy ich jeszcze nie mieli.

Miła jest nader okolica Borun po drodze ku Mińskowi. Po wzgórkach, jakby po falach podnosi się ona i spływa, a z każdego wzgórza coraz to nowe, a zawsze przyjemne odkryjesz obrazy. Najpiękniejsze gaje z rozmaitego drzewa i w rozmaitych występach i formach wznoszą się gęsto na góry, lub schodzą na łąki, między rozległemi i okrytemi bujnym zbożem polami, w dolinach rozesłane; gdzie niegdzie małe szykowne wioseczki, rozłożystemi dęby i kosatą brzozą ocienione; po obu stronach drogi, w gronie drzew owocowych lub stuletnich lip wznoszą się dwory i dworki, w szybach przejrzystych stawów, jak w zwierciadłach odbite, dróżki wązkie wijąc się po wzgórkach i polach, łączą sąsiadów, a strumyki, z jednego do drugiego przebiegając stawu,

szumią na młynkach tu i owdzie rozrzuconych i ożywiają tę piękną, ludną i powabną krainkę, która całością zachwyca, a szczegółami przynęca.

Lecz gdy o wiorst parę od Borun na najwyższą na drodze wstąpisz górę, nagle zmienia się obraz i rozległy na mil kilka rozwija się widnokrąg, wzrok twój panuje nad nim, opiera się na ciemnych masach lasów i w głębokie jary i parowy przenika. Na lewo znaczą się ledwo dojrzałe we mgle rozwaliny z czerwonej cegły Kiejstutowego więzienia, ponuro i krwawo, jak pamięć Kiejstuta w odległej przeszłości; na prawo, dalej jeszcze i niewyraźniej bieleją gruzy zamku i kościół, siedlisko i grób Jana Sapiehy, starosty uświackiego, walecznego niegdyś hetmana litewskiego, nakoniec myśl, oko i wyobraźnia, unosząc się i bujając nad tym całym wspaniałym horyzontem po nad lasy, góry, jary i gruzy, gubi się i tonie w mglistym i nieokreślonym błękicie.

Po tej to drodze, wysypawszy się z miasteczka, ciągnęła czerń szkolna, wesołym pochodem przez półtorej najmniej godziny, potym zwróciła się małą drożyną na prawo ku dworowi, blizko wzgórza dającemu się postrzegać. To cel wędrówki, Zahorze! Maszerujemy więc w porządniejszym szyku, przy odgłosie samej tylko muzyki, prosto na dziedziniec. Gdy się zbliżamy, widać zdaleka w oknach mnóstwo pięknych, świeżych, rumianych twarzyczek, wyglądających przez szybki ciekawie, jakoby obrazki aniołów za szkłem w ramkach; a gdy pod bramę chorągiew się zbliża, występuje na powitanie uprzejmy gospodarz, pan szambelan Bujnicki.

Któż z moich kolegów nie przypomni sobie, jak poczciwy staruszek rad był swoim gościom, jak się uwijał między dziatwą, jak poprawiając pasa na nizkiej, krępej a rubasznej figurze swojej, błyskał szeroką łysiną, kłaniając się na wszystkie strony. Za nim wysypuje się liczne grono mamuniek i rój jakby różnobarwnych motylków, onych twarzyczek różowych, napełniających pierwej okna, a teraz rozsypujących się po dziedzińcu i podlatujących w powietrze!

Na ten widok chłopcy krzyczą z zadziwienia i ksiądz fizyk odzywa się z uśmiechem.

— A cóż, dzieci? nie mówiłem, mosanie, że tu nam będzie dobrze?—he!

Oj, bo ksiądz fizyk wysłał na całą noc Raducinę do blizkich dworów, uwiadamiając mamunie o majówce i zapraszając do Zahorza; wiedział więc, kto się tam

znajdzie, a zatym śmiało zaręczał, że tam będzie dobrze. Pieszczota dziatwy z rodzicami budziłaby zazdrość w innych, gdyby wesołość powszechna nie tłumiła wszelkich innych uczuć i myśli.

Prefekt i profesorowie wchodzą do budynku, za niemi starszyzna, panowie dyrektorowie, za niemi malcy, którzy tu rodziców znaleźli, nakoniec muzyka i wszyscy, którzy mają ochotę, proszeni i nieproszeni sute tam znajdują śniadanie; a tymczasem główny tłum majówki zwraca się na równinę, szeroko u spodu wzgórza, na którym dom się wznosi, rozciągającą się i bujnemi brzozami zrzadka porosłą, tak, że i cień przed spieką w południe gotowy i miejsca na zabawy wystarcza. Tam się rozmierza meta, obok wyznaczają place do zająca, do przepędzanki, do palanta, indziej ściśle sadowi się koło i bolesna skręca się pytka na szydło, ówdzie usiedli gracze w matony, och, to pewne kiedyś szulery! Tam wysypano przyniesione kręgle, ówdzie kupią się gracze w ponę, słowem każdy wybiera, co lubi i od jednej do drugiej swawoli przebiega.

W budynku, po sutym śniadaniu, pan Bujnicki musnął się po łysinie, marcowy wdowczyk odmłodniał. Pan Dziewałtowski, metr muzyki, zrozumiał chęć gospodarza; chwycił skrzypce i urżnął poloneza; reszta panów wirtuozów stanęła obok, a ucieszony pan szambelan „hura“! zawołał i stanął w pierwszą parę z panią mostowniczyną. Dziatwa wybiegła do gaju, panowie dyrektorowie stanęli za panem szambelanem i zaczęły się tańce. Mamuniek i córeczek było wiele; było między kim wybierać! tańce więc szły hucznie i rzeźwo!

Tak dzień przelatywał wesoło; gdy godzina podwieczorku nadeszła, pan szambelan z całą kompanją wyszedł do gaju, tam w zgromadzonym tłumie dziatwy stanąwszy, równie grzecznie i uprzejmie jak przy powitaniu, kłaniając się, zapraszał na podwieczorek. O jakże go kochano w szkole boruńskiej! dzieci i rodzice zarówno mu wdzięcznemi byli. Pan Bujnicki szanował i jednał sobie miłość nowego pokolenia swych ziomków, była to uprzejmość obywatelska, którą każdy z sąsiadów boruńskich z równąż jak pan Bujnicki rozkoszą i z chlubą nawet wyświadczał, gdy miał gościem całą szkołę boruńską. Proszę też było zagabnąć którego malca o panu szambelanie: za każde wątpliwe o nim słówko dostałbyś sińca na czole, choćby wnet na pieńku odpokutować przyszło.

Podwieczorek wiejski! kredens sejmikowy! w długich stodołach i odrynach *) ustawione wzdłuż i nakryte stoły, zedle i ławy zastawiono garnkami wybornego, kwaśnego mleka; chleba i soli dostatek, misek i łyżek drewnianych mnóstwo, apetyt studencki, podniecony kilkogodzinną swawolą, wilczy!

Lecz harmonja i zgoda przy piłce, szydle i kręglach, pomieszała się przy miskach i garnkach: chłopcy kłócą się, krzyczą, odbierają sobie łyżki, rozlewają mleko, biją czerepy; wszystko uchodzi bezkarnie, bo pan szambelan poprowadził księży i starszyznę na podwieczorek do siebie, na mleko zaś w odrynach została luźna hołota.

We dworze wyśmienita kawa z wyborną wiejską śmietanką i sucharkami ocukrowanemi, których mamunie kopami nawiozły, zasila uczone grono, i wesołych przed chwilą towarzyszy w poważnych i mądrych przemienia ludzi.

Przeciągły podwieczorek doprowadził aż do zachodu słońca; potym na skinienie księdza prefekta dano niespodziane hasło w taraban.

— Ach! ach! krzyknęły przelęknione damy.

— Czas wracać—rzekła smutno dziatwa, i zgromadziła się około chorągwi, wbitej na środku dziedzińca, na który i cała kompanja wyszła z pokojów. Rozpoczęły się więc pożegnania i powszechne i szczególne; księża prawili panu szambelanowi podziękowania, pan szambelan znowu się kłaniał na wszystkie strony; chłopcy czepiali się szyi matek, dziewczynki całowały braciszków. Wracamy więc: rój nasz około księdza prefekta i chorągwi, jak pszczoły około matki, gęstym i szumnym posuwa się kłębem; reszta odlotków długim po gościńcu ciągnie się pasmem.

Znowu wchodzimy na górę, ale we wstecznym kierunku i przeciwny z niej uderza nas widok. Horyzont tuż za Borunami głębokim w półkole ogranicza się lasem, na nim jak na tle czarnym odbite gmachy białe kościoła, klasztoru i wież boruńskich, dokończony odrazu, a poważny i uroczysty dają obraz.

Przy wejściu do Borun marsz tryumfalny ozwał się znowu; natenczas dziatwa złamawszy szyki i porządek, rzuciła się do miasteczka, jakby je szturmem zdobyć chciała; muzyka umilkła na rynku, zmordowana

*) Odryna—budowla przeznaczona na skład siana na zapas zimowy.

tłuszcza rozsypała się po kwaterach, księża niknęli jeden za drugim w ciemnych kurytarzach klasztornych. Noc piękna, majowa ogarnęła to siedlisko odpoczywającej wesołości, na setne rozdzielonej serca.

Ignacy Chodźko.

W wigilją.

Dnia dwudziestego czwartego grudnia w Paryżu wieczór był zimny i chmurny.

Jakiś człowiek wysoki, opierając się na lasce, z trudnością szedł ulicą Mazariniego; ubiór niedostatecznie osłaniał go przeciw ostremu wiatrowi; z pod kapelusza z szerokiemi kresami, spuszczonego na oczy, widać było długą brodę i siwe włosy, spadające na zgarbione ramiona. Pod pachą niósł coś podłużnego, owiniętego w chustkę kraciastą.

Przeszedł przez most i plac Karuzelu, do «Palais Royal» i zatrzymując się kilka razy, powoli okrążył ogród, potym jak gdyby te potoki światła, te zapachy wykwintnych potraw, przygotowanych przez restauratorów na wigilją, a dochodzące do niego, przyprawiały go o zawrót głowy, zmienił kierunek i chwiejnym krokiem zawlókł się na «Cour des Fontaines». Tutaj widząc światełka we wszystkich oknach tego ula robotniczego, w którym wesoło brzęczy życie, trzymane na wodzy przez pracę, stanął pod daszkiem umieszczonym na domu narożnym ludnej ulicy, postawił laskę przy sobie, oparł się o ścianę, rozwiązał chustkę kraciastą, z której wynurzyły się skrzypce, i zaczął grać jakąś melodję, tak smutną, a przytym tak fałszywie, że kilku uliczników, którzy się przy nim zatrzymali, uciekło wołając, że to djabelska muzyka; pies leżący opodal zaczął wyć, a przechodnie przyśpieszali kroku. On usiadł na schodach, położył skrzypce na kolanach, szepcąc:—«Nie, nie mogę już grać wcale! Boże mój, Boże!»—i gwałtowne łkanie zatargało starą piersią.

W tej chwili przechodziło ulicą trzech młodych ludzi, nucąc piosenkę wówczas modną. Na razie nie spostrzegli starego skrzypka; jeden z nich potrącił go, drugi zrzucił mu kapelusz na ziemię, a trzeci stanął zdzi-

wiony na widok wysuwającego się z mroku starca, z postawą zarazem dumną i uniżoną.

— Przepraszam najmocniej!... Czyśmy panu co złego nie zrobili?...

— Nie—odrzekł skrzypek, z trudnością schylając się po kapelusz; ale jeden z młodzieńców uprzedził go, podczas gdy towarzysz jego, spojrzawszy na skrzypce, zapytał:

— Pan jesteś muzykiem?

— Byłem nim kiedyś—westchnął biedak.

— Co panu dolega? Pan jesteś nieszczęśliwy?... Czy możemy panu w czym dopomódz?

Starzec spojrzał na trzech młodzieńców, potym nadstawiając kapelusz szepnął:

— Jeżeli łaska, dajcie mi jałmużnę... ja już grą nie mogę zarabiać na życie, palce mam sparaliżowane, a córka moja umiera z nędzy!...

Tyle było boleści w głosie starca, że młodzi z pośpiechem poczęli szukać po kieszeniach, ale niestety, jeden znalazł zaledwie 50 centymów, drugi 30... a trzeci—kawałek kalafonji... To zamało, żeby ulżyć takiemu nieszczęściu... Smutnie popatrzyli na siebie.

— Przyjaciele!—zawołał nagle wzruszonym głosem ten, który wypytywał nieszczęśliwego—trochę serca i odwagi!... to nasz kolega! Ty, Adolfie, weź skrzypce i akompańjuj Gustawowi, podczas gdy nasz przyjaciel Karol, będzie zbierał składkę.

Jak rzekł, tak się stało. Młodzi ludzie popodnosili kołnierze od surdutów, włosy nagarnęli na czoło, kapelusze spuścili na oczy.

— A teraz ostro i śmiało!... To wieczór wigilijny, Bóg sam słuchać będzie! Trzeba zdobyć pierwszą nagrodę! No, Adolfie, twój kawałek konkursowy!

Pod wprawnemi palcami młodego wirtuoza biedne skrzypce odezwały się wesoło i przepysznie zagrany «Karnawał Wenecki» zabrzmiał wśród nocy. Naraz okna poczęły się otwierać, przechodnie stawali, oklaski dały się słyszeć i srebrna moneta posypała się do kapelusza starca, postawionego pod latarnią. Po chwilowej pauzie, skrzypce zagrały znów przegrywkę.

— Teraz ty, Gustawie!—zakomenderował Karol.

I Gustaw pysznym, srebrnym tenorem zaśpiewał arję. Słuchacze zachwyceni poczęli krzyczeć: bis, bis, bis!... A pieniądze ciągle padały do kapelusza; tłum

wzrastał z każdą chwilą. Na widok takiego powodzenia, promotor myśli zawołał:

— No! na zakończenie, jeszcze Trio z Wilhelma Tella!... Ty Adolfie basuj jak możesz, ja moim głosikiem będę udawał barytona, a ty, Gustawie dobądź kilka tonów anielskich... Dalej!...

I zaczęło się Trio... Wtedy starzec, który dotąd stał nieruchomy, nie śmiejąc wierzyć własnym oczom, ni uszom, sądząc, że jest raczej snu igraszką, wyprostował się i z okiem pałającym, z twarzą jakby cudem przemienioną, pochwycił laskę i począł nią takt wybijać, ale tak po mistrzowsku, że młodzi muzycy, jakby zelektryzowani jego zapałem, zachwycili tłum, który nie szczędził im oklasków, ani pieniędzy.

Leciały też one z okien, dobywały się z kieszeni, a Karol miał nielada zadanie zbierać to, co padało poza kapelusz. Po skończonym koncercie tłum zwolna się rozpływał, gawędząc o tych grajkach, którzy nie wyglądali na muzykantów ulicznych.

Młodzi ludzie zbliżyli się do starca, głęboko wzruszonego.

— Wasze nazwiska!—szepnął—niechże moja córka wie kogo wspominać w swoich modlitwach...

— Ja się nazywam Wiara—rzekł pierwszy.

— Ja Nadzieja—dodał drugi.

— A więc ja jestem Miłość—powiedział trzeci, oddając starcowi kapelusz pełen pieniędzy.

— Ach! panowie, panowie!... wiedzcież przynajmniej komu wyrządziliście dobrodziejstwo... Nazywam się Chappner, jestem alzatczykiem... przez dziesięć lat byłem kapelmistrzem orkiestry w Strasburgu... Od chwili gdy niemcy zabrali mi kraj rodzinny, opuściłem go i teraz walczę na ulicach Paryża z nędzą. Wy ocaliliście mi życie!

«Amen!»—odrzekli wszyscy trzej i wziąwszy się pod ręce poszli dalej. Byli to najznakomitsi artyści:

Tenor nazywał się Gustaw Roger; skrzypek, Adolf Hermann; kwestarz, Karol Gounod.

(Z francuskiego) *H. Lafontaine'a.*

Myszura.

Opowiem wam o profesorze F. w mieście Pałajewie i w jaki sposób zyskał on swe przezwisko i naszą miłość.

Nasza sympatja dla niego była tak wielka, że zamierzałem studjować prawo, chcąc później zostać ministrem, aby przedstawić profesora F. jako kandydata do wszystkich klas orderu orła czerwonego i do posady radcy szkolnego. Ale wyrachowałem sobie, że trwałoby to zbyt długo i że profesor F. mógłby już wtedy nie żyć, albo być siwiuteńkim staruszkiem. Dlatego nie zostałem ministrem, a profesor F. siedzi ciągle jeszcze w Pałajewie—bez orderu i bez wszystkiego.

Począwszy od najmniejszego pierwszoklasisty do ośmioklasisty pod wąsem, wiedzieli wszyscy, że ten profesor F. przechodził swą uczonością wszystkich innych nauczycieli. To wyrobiło mu pewien cichy szacunek, pomimo, że wogóle mało się z nim liczono i nie szczędzono mu pracy.

Otrzymał on czwartą klasę, jako gospodarz klasowy, lecz udzielał lekcji aż do ósmej. Za to otrzymywał, jako świeżo przybyły na stałą posadę, książęce wynagrodzenie—600 talarów rocznie!

Był z tego zadowolony, ale ponieważ wspomagał matkę swoją, biedną wdowę i płacił podatki państwowe i gminne—pozostawało mu ogromnie mało na życie.

To też nie było w tym nic dziwnego, że prof. F. nie zawsze się ubierał podług najświeższej mody. Frak, który wkładał w uroczystych okolicznościach, odbył już z nim egzamin państwowy i profesor trochę z niego wyrósł. Kapelusze i ubrania, troskliwie oszczędzane, musiały wytrzymać wiele lat. Lecz klasyczną częścią jego garderoby był szary paltot zimowy. Szary, jest właściwie złe określenie, gdyż kolor ten nie da się opowiedzieć, można go było zaledwie odgadnąć. Był więcej siwawy niż szary.

Ponieważ profesor nie miał jesiennego palta, więc szarak ten ukazywał się już na nim wkrótce po św. Michale.

Na ten widok wszystkie serca uczniowskie poruszały się. Kto z gimnazistów już widział szaraka, opowiadał mniej szczęśliwemu cudowne historje o nim. Ta-

kim sposobem, gdy profesor F. pokazał się podczas wielkiej pauzy w swej szarej ozdobie na dziedzińcu szkolnym, został nieznacznie, o ile to było możliwe, otoczony przez uczniów. Na wszystkich twarzach widział wesoły grymas, wszystkie oczy mrugały ku sobie. Nawet nauczyciele nie mogli pokonać lekkiego uśmiechu. Tylko ten, którego to najbardziej się tyczyło, nie spostrzegł nic. Następnego dnia prof. F. otrzymał swoje przezwisko. Odtąd nazywał się „Myszura.“ Przezwisko to nie było bardzo dowcipne, lecz nadawało się dobrze i było przyjęte w mgnieniu oka. Po tygodniu tak weszło w użycie, że już nikomu nie przyszło do głowy mówić o profesorze F. tylko o „Myszurze.“

Wkrótce nazwisko to zostało przeniesione i do domów; mieszkańcy miasta, którzy ogromnie interesowali się losem gimnazjum, uśmiechali się na widok szarego palta i wreszcie, niewiadomo, jaką drogą i sam „Myszura“ dowiedział się o tym swoim przezwisku.

Czy który z nauczycieli zakomunikował mu je, jak twierdzili niektórzy,—niewiadomo. Prawdopodobnie jednak, przyłożyła do tego rękę gospodyni, u której mieszkał i stołował się. Opiekowała się nim trochę i zapewne kiedyś we właściwy jej rezolutny sposób wypaliła mu perorę. Mogło to być coś w tym rodzaju: że to nie jest zupełnie odpowiednie dla nauczyciela królewskiego gimnazjum chodzić w podobnie nędznym ubraniu i że w ten sposób nietylko traci szacunek u swych uczniów, którzy go nazywają „Myszurą“ lecz dyskredytuje się w oczach wszystkich mieszkańców miasta. U Simona na ulicy Głównej jest dosyć palt, powinien więc nakoniec dać swojemu staremu okryciu dymisję i kupić sobie nowe, eleganckie.

Nikt nie mógłby zaręczyć, że perora ta była wypowiedziana w podobny lub inny sposób, lecz faktem było, że „Myszura“ po jakimś czasie stał się nerwowym, nosił swe palto z pewnym przygnębieniem, z pogardą je zdejmował i że—często liczył swe pieniądze. Często też przesuwał się koło sklepu Simona, gdzie na wystawie wisiało palto, oznaczone ceną 50 marek; była to jak na Pałajewo bardzo elegancka sztuka.

Profesor przechodził tamtędy, wzdychając. Dobrzeby w nim wyglądał, gdyż miał dobry wzrost. A właśnie na człowieku wysmukłym i szczupłym to palto mogłoby leżeć doskonale. Wtedy chłopcy zaprzestaliby swych żartów, a mieszkańcy miasta nie oglądaliby się

drwiąco. Na tę myśl prof. F. czerwienił się i zabierał się z gorliwością do poprawiania wypracowań ośmioklasistów.

Lecz gospodyni zauważyła, iż prof. F. oszczędzał teraz więcej, niż zwykle. Wziął nawet jeszcze dwie prywatne lekcje tygodniowo i zrezygnował z kompotu, przez co oszczędzał dziesięć fenigów na obiedzie; wogóle starał się ciułać grosze, aby z nich zebrać talary.

Czynność ta dla niego, który się wprawiał w to od dzieciństwa, nie była obcą. Wiedział, że fenig do feniga—da w końcu markę. W przybliżeniu obliczył, kiedy nareszcie zbierze tyle, że będzie mógł dać dymisję szarakowi, a kupić eleganckie okrycie z wystawy u Simona. Dopiero około Bożego Narodzenia mógł nastąpić ten ważny fakt. Do tego czasu musiał wytrwać z cierpliwością i godnością w starym paltocie.

Nadeszła zima, a z nią wielkie mrozy. Tylko Myszurze mróz zdawał się nie dokuczać. Z cichym uśmiechem chodził podczas wielkiej pauzy po rozgłośnym kurytarzu gimnazjalnym. Uczniowie byli na dworze i baraszkowali na świeżym mrozie, na dziedzińcu szkolnym. Koledzy siedzieli w pokoju nauczycielskim. Był więc Myszura, który właśnie miał dyżur, na kurytarzu sam, i był z tego zadowolony. Nikt nie przeszkadzał jego marzeniom. Chodził tam i napowrót po długim kurytarzu.

Nagle z pokoju ósmej klasy doszedł go stłumiony kaszel. Myszura wzdrygnął się. Co to jest? Wszak surowo zabroniono zostawać w klasie podczas pauzy. Profesor F. otworzył drzwi, aby stosownie do swego obowiązku, zbadać kto popełnił to przestępstwo.

Z książką w ręce, przy ciepłym piecu stał jakiś uczeń. Gdy nauczyciel wszedł, długa wychudzona postać w wyrośniętym ubraniu formalnie się skurczyła.

— To pan? Czy masz pozwolenie zostać tu podczas pauzy?

— Nie, panie profesorze—wyjąkał uczeń.

— Tak, ale pan wiesz zapewne, że to jest wzbronione. Będę zmuszony zanotować pana. Dlaczego nie jesteś na dworze z innemi?

— Ja... ja... proszę, niech mnie pan profesor nie notuje.

Brzmiało to bardzo żałośnie. Jak zbyt wysoki krzew, który nie ma podpory, chwiał się ośmioklasista przy

piecu. Był to pilny chłopiec. Myszura wiedział o tym, ale obowiązek przedewszystkim.

— W takim razie wyjdź pan przynajmniej teraz na dwór. Wszak podczas pauzy nie wolno się uczyć.

— Nie uczyłem się—odpowiedział uczeń bezdźwięcznie, lecz wziął czapkę, ściągnął ramiona i skierował się ku wyjściu.

— No cóż znowu! Nie możesz przecież tak wyjść na takie zimno! Włóżże palto! Także pomysł!

Na twarz ucznia uderzyły ognie.

— Nie mam palta—rzekł cicho.

Myszura przestraszony odstąpił dwa kroki. Teraz i po jego twarzy przemknął rumieniec wstydu. W pustym pokoju zapanowała cisza.

— Tak... tak—rzekł wreszcie.—Nie masz pan palta? I dlatego... zostałeś w klasie?

— Tak. Jest mi tak zimno! A koledzy...

Przerwał gwałtownie, prawie przestraszony. Nie godziło się oskarżać swych współtowarzyszów...

— W takim razie możesz pan, naturalnie, zostać... naturalnie! Trzeba to było odrazu powiedzieć!—mruczał profesor.

Niepewnym wzrokiem obrzucił nędzną postać, poczym zamknął drzwi prawie zakłopotany.

— Nie mam palta... Tak mi zimno!

Słowa te były wymówione cicho, ledwie zrozumiale, lecz teraz huczały mu formalnie w uszach. Długiemi krokami przebiegał kurytarz. Rozumiał to lepiej niż kto inny. Rozumiał to, co było przełknięte, czego uczeń nie chciał powiedzieć.

Któż jest bardziej okrutny od dzieci? Kto potrafi tak wyśmiewać jawną biedę? Kto rani ją ciągle spojrzeniami, przytykami, drwinami? Czy on, profesor F., nie wie o tym? O tak, wie! Cierpienia jego własnych szkolnych czasów stanęły przed nim. Sierota po stróżu, siedział na jednej ławce z dziećmi obywateli! On także miał tylko jedno cienkie ubranie; on także płakał nieraz ze wstydu i wściekłości i rad był uciec stamtąd. A nie było na te męczarnie żadnej broni. Gdyby się był uniósł, gdyby był pobił wydrwiwających, mógłby stracić wpis bezpłatny. Gdyby się poskarżył na nich, wtedy jako „donosiciel“ musiałby prowadzić życie wprost niemożliwe. Pozostawało tylko jedno: wytrwać, nie okazywać innym, jak cierpiał, jak się wstydził.

— Tak mi zimno, nie mam palta! Jak to było po-

wiedziane bezdźwięcznie! On także marzł. Wiedział, jak to jest, gdy wiatr powiewa przez cienki żakiet.

Myszura na obiad jadł mało. Podczas poobiedniej pauzy zawołał ośmioklasistę do siebie.

— O godzinie czwartej... przyjdziesz pan do mnie... do mieszkania!

I odszedł.

Gdy chuda postać ucznia zjawiła się o naznaczonej godzinie, Myszura wędrował niespokojnie po pokoju i ważył ciągle w rękach klucz.

— Siadaj pan... oto jest krzesło... Chciałbym... chciałbym pana o coś zapytać. Nie jestem pańskim nauczycielem klasowym... hm... Mam dobre zamiary. Czy chcesz mi pan odpowiedzieć? szczerze odpowiedzieć?

I jak gdyby chciał mu ułatwić tę odpowiedź, stanął przy oknie, tak, że był odwrócony tyłem do pokoju i do ucznia.

— Czym jest ojciec pana?

— Pocztyljonem.

— Jaką pensję otrzymuje?

Długa pauza. Wreszcie:

— Tego nie wiem. Ojciec mówi, że naczelnik poczty daje mało. Może 75 marek miesięcznie. Może jednak więcej...

— Czy masz pan rodzeństwo?

— Dwie siostry, panie profesorze.

— Hm... Nie miej mi pan tego za złe... to nie jest... prosta ciekawość... co jadłeś dziś na obiad?

Krzesło posunęło się lekko. Odpowiedzi nie było, lecz chudy chłopiec wstał; z krótkich rękawów wysunęły się ręce jeszcze bardziej. Wstyd, gniew, zdziwienie malowały się na jego twarzy. Zaciął zęby, jak gdyby gwałtem powstrzymywał łzy. Zdawał się ciągle jeszcze nie wiedzieć, czy to koniec końców nie zwykła ciekawość skłania nauczyciela do zadawania takich pytań.

Wtedy Myszura odezwał się od okna dziwnym głosem:

— Ja jestem, żebyś wiedział, synem stróża. Bieda nie hańbi nikogo. I u nas było więcej suchego chleba, niż pieczeni... jak u was, nieprawdaż?

— Tak, panie profesorze—zaszlochał ośmioklasista. Teraz spływały mu po twarzy dwie wielkie łzy.

— Prawdopodobnie masz wpis bezpłatny, otrzymujesz książki z bibljoteki i dajesz korepetycje? Wszystko

to rozumiem doskonale. Zapewne inni... często są okrutni względem ciebie, ponieważ... ponieważ...

Profesor F. chciał powiedzieć: ponieważ nosisz zniszczone ubranie...—lecz zaczerwienił się, chociaż nikt na niego nie patrzył i nie skończył zdania. Było to zresztą niepotrzebne. Uczeń zrozumiał go. Krótkie łkanie, które wstrzymał, jakby przestraszony, było wymowną odpowiedzią.

W pokoju pomiędzy nauczycielem i chłopcem nastąpiła dziwna cisza. Zdawało się, jakby wiele niedopowiedzianego mówiło po cichu w powietrzu, wiele niewyskarżonego skarżyło się, wiele powstrzymanych łez zostało oswobodzonych. Wkoło nie było słychać żadnego dźwięku wyraźnego.

Nagle Myszura przeszedł przez pokój i skierował się do komody. Otworzył najwyższą szufladę kluczem, który dotąd trzymał w ręce.

— W tym wszystkim, nie mogę nic pomódz. To trzeba już samemu... przezwyciężyć. Ja to znosiłem, pan znosisz i tysiące, o których nie wiemy—znoszą to samo. Lecz jedno dalej być nie powinno: nie możesz w takie psie zimno tak chodzić. Palto mieć musisz, chociażby ono było najnędzniejsze. Chodzi o to głównie, aby grzało. W tym ubraniu możesz lada dzień przeziębić się na śmierć! Na Boga, czyż nie znasz pan nikogo, ktoby ci mógł dać palto?

Odwrócił się. Uczeń potrząsnął głową.

— Hm, w takim razie pozostaje tylko poprosić któregoś z moich kolegów lub bogatych mieszczan.

— O panie profesorze, tylko nie to!

Był to jakby wybuch bólu, a w głosie brzmiała trwoga. Profesor F. pokiwał głową; przeczuwał odpowiedź. Ucieszyła go ona; chłopiec nie chciał żebrać, wolał marznąć, niż być wystawiony na drwiny innych, którzyby wkrótce wyszperali, na czyich plecach spoczywało dotąd jego palto zimowe.

Znowu powstała cisza.

— Co teraz będzie?—myślał sobie uczeń, który patrzył przed siebie z dziwnym wyrazem twarzy.

Lecz tego, co nastąpiło nie spodziewał się.

— Jak mnie nazywacie pomiędzy sobą? Powiedz pan śmiało... przecież ja wiem! Myszura—co?

Chłopiec patrzył na niego czerwony, jak burak.

— A więc tak! Przezwisko to daliście mi z powodu mojego palta... tam ono leży... Mogłoby być ładniej-

sze, bez kwestji. Chciałem sobie już dawno kupić nowe i wtedy mógłbym panu dać to, gdybyś nie był na to za dumny! Lecz, niestety, egzemplarz ten jest już znany w całym mieście, posłużył do mego przezwiska, więc, naturalnie, jest dla pana nieprzydatny. Nie można go w Pałajewie nosić incognito, widzę to. Więc... więc doprawdy nie mogę wymyślić czego innego...

Zakaszlał, obtarł nos, wysunął szufladę i schwycił pudełko od zapałek, które było schowane w kąciku. Maleńka kartka—skrawek od marek—był do niej przylepiony. Liczby na niej były wielokrotnie notowane i wykreślane; mniejsze robiły miejsce większym; ostatnia notatka wynosiła 38 marek 10 fenigów! Tak daleko zaszły oszczędności profesora na eleganckie palto zimowe!

Nie otworzył pudełeczka, lecz ważył je przez chwilę w ręce. Nagle wpadł prąd wiatru w komin i zawył, poczym rzucił się do okien.

— Możesz się przeziębić na śmierć,—rzekł Myszura stanowczo.—Sam pan widzisz. Tu nic nie pomoże, musisz sobie kupić palto. Oto są pieniądze... trzydzieści ośm marek, dziesięć fenigów. Oszczędzałem je na ten cel. W pierwszorzędnych magazynach nie otrzymasz nic za to, lecz może u kupca Simona. Chociażby palto nie było w bardzo dobrym gatunku, w każdym razie będzie grzało i nie będziesz zmuszony... podczas pauzy siedzieć w klasie...

Oczy ucznia stawały się coraz większe i coraz bardziej przerażone.

— Nie... nie... panie profesorze—bronił się jąkając, czerwony ze wstydu.—Ja nie marznę... wcale.

Lecz profesor nie miał chęci do żartów.

— Nie rób pan głupstw, panie N. Zabierz-że, proszę, to pudełko. Gdy będziesz miał kiedyś zbywające pieniądze, gdy będziesz miał posadę, możesz mi przecież oddać te 38 marek 10 fenigów. Doprawdy, odbiorę je, nie chcę ich darować. Tylko pożyczyć... A teraz idź zaraz... niech ci Simon da coś przyzwoitego. Możesz potym przyjść do mnie i pokazać się, jak palto leży.

I żeby przeciąć rozmowę, wziął zeszyty do poprawiania. Długi N. w wyrośniętym kubraku zacisnął kurczowo palce koło pudełka. Prawdopodobnie chciał jeszcze coś powiedzieć: Wydał nawet jakiś dźwięk, mógł on znaczyć „dziękuję“ albo „do widzenia,“ mógł być przytłumionym okrzykiem radości lub zdławionym jękiem. Poczem wyszedł szybko i drzwi się za nim zamknęły.

Myszura nasłuchiwał przez chwilę, a potym podniósł się. Zrobiło mu się gorąco. Dawać było czasami jeszcze ciężej, niż brać, czuł to w tej chwili. Kto się więcej wstydził: chłopiec, czy on?

Przeszło sporo czasu, zanim długi N. wrócił. Zjawił się z twarzą, na której były pomieszane przerażenie i niedowierzające zdumienie, zmieszanie i wstyd, a przytym na pół niepewne siebie uszczęśliwienie; zjawił się w palcie, w którym mu było bardzo do twarzy.

Zaledwie profesor F. spojrzał na niego, zerwał się i zawołał zdziwiony:

— Chłopcze, na Boga, coś ty zrobił? To... palto kosztuje przecież pięćdziesiąt marek! Przecież to jest to z wystawy!

Bezwątpienia: było to właśnie to samo upatrzone przez niego eleganckie palto.

Biedny chłopiec był blizki płaczu. Z trudem wykrztusił, że żadne inne palto nie było odpowiednie do jego wzrostu. Lecz stary Simon nie chciał go wypuścić bez palta. A że to drogie z okna wystawowego leżało na nim najlepiej, więc Simon, stękając i narzekając, sprzedał je z powodu spóźnionego sezonu za 38 marek i 10 fenigów, a krawiec zaraz zwęził plecy na szerokość ręki.

— Pan nie wygląda na to, żeby w krótkim czasie mógł tak bardzo utyć—powiedział kupiec,—można zatym zwęzić.

— Ale naturalnie, jeżeli pan profesor każe—rzekł N.,—to mogę zaraz to palto odnieść...

Zrezygnowany Myszura uspokoił ucznia. Kupił dobrze i tanio.

— I jeszcze jedno, panie N., ja... hm... nie jestem bogaty. Chciałbym więc, żebyś pan nie mówił nikomu o tej całej historji. Palto mogłeś dostać od... twojego wuja.

Rzecz zabawna: zamiast czystej radości, wypełniała duszę profesora F. pewnego rodzaju rezygnacja. W myślach tak się przyzwyczaił do tego eleganckiego palta, nosił je już w swych marzeniach; zacząłby na nowo oszczędzać na nie. Teraz go już nie było! Śmieszna rzecz, że właśnie najbiedniejszy uczeń doszedł do tego wspaniałego okrycia.

Smutne myśli nie trwały długo. Gdy Myszura w straszne zimno wędrował nazajutrz do gimnazjum, szare palto grzało go podwójnie, gdyż myślał o tym, jak

przyjemnie musi być długiemu N., otulonemu w ciepłe palto.

Dalej właściwie nie mam nic do powiedzenia. Tylko to chyba, że długi N. nie utrzymał tajemnicy, że niektórym z nas, którzy go ceniliśmy, pomimo jego ubóstwa, opowiedział historję palta. Mogę dodać, że ci niektórzy nikomu z całej szkoły nie kłaniali się niżej niż Myszurze.

. . . .

Wiele lat przeszło, wiele wspomnień zbladło i pokryło się pyłem; świetne—zblakło, i ach, tak wiele, z tego, co zachwycało chłopców, poznawał człowiek w całej nędzy. Lecz biedny profesor F. rośnie i rośnie w sercu i pamięci, przerasta swoich kolegów, wcześniejszych i późniejszych, nawet sławnych, którzy mi wykładali na uniwersytecie. I teraz prawie żałuję, że nie zostałem ministrem i że tylko w marzeniach mogę obwiesić szare palto wszystkiemi możliwemi orderami. Lecz czyby one były odpowiednie do szarego palta? do tego cichego człowieka, który zawsze jeszcze siedzi w Pałajewie, którego nikt nie wyciągnął i nie powołał na szersze widnokręgi? Prawdopodobnie nie! Pocieszający koniec wszystkich mądrości głosi i tu, że chyba najlepiej jest tak, jak jest.

Według oryginału niemieckiego tłómaczenie

Marji Bujno-Arctowej.

Na pokładzie...

Na pokładzie statku, dążącego z Brunnen do Fluelen, *) tłoczyło się wielu turystów. Byli tam przedstawiciele narodowości francuskiej, niemieckiej, włoskiej, angielskiej i innych. Świt roztoczył się nad górami i ogarnął tę całą krainę, jak niewymowne wzruszenie. Kopuła Uhrirothstock stała wśród nocnych obłoków, niby tajemniczy przybytek w dymie kadzideł. Na prawo i na lewo lśniły się pod słońcem szczyty lodowe. W głębi, u samych wód, szukała jeszcze kryjówki noc, zewsząd wygnana. Świerki, leszczyny i burzany nad brzegiem tuliły ją między siebie, ile mogły. Zniżały gałęzie aż do

*) W Szwajcarji.

samej wody i, oniemiałe z podziwu, patrzyły we własne odbicia, rodzące się w głębokiej topieli. Długa zatoka, jakby martwa, nieruchoma fijołkowa tafla leżała pod znikomym tumanem. Błędne i wiotkie mgiełki wstawały z przezroczystych nurtów i chodziły nad wodami. Widziało się, że daleko, daleko, w zamroczonej, niebieskiej dolinie tułają się i krążą nad leżącym w ciszy jeziorem cienie i widma, wyśnione przez Schillera, który tu marzył.

W pewnej minucie, na jednostajnej barwie odmętu wynikła przedziwna jasnozielona plama o brzegach mocno zarysowanych i mknęła chyżo, niby swobodna łódka Telloru. Statek, nurzając się w toń, wstrząsał jej uśpioną powierzchnię i ciągnął z sobą jakby obwisłe skrzydła z fal rozkołysanych. Te lśniące, błyskotliwe małe fale szły wstecz, coraz wolniej ku czarnym brzegom, pieszcząc się wzajem jedne z drugiemi.

Cały przód pokładu pełen był dzieci szwajcarskich. Mieściła się tam szkoła z jakiejś wioski kantonu Appenzel, odbywająca zwyczajną wędrówkę letnią w poprzek swego kraju. Byli to chłopcy i dziewczęta różnego wieku, synowie i córki rolników i drobnych mieszczan, pastuchów i kupców, robotników i służby, dorobkiewiczów i nędzarzy. Wszyscy byli już dosyć znużeni, ogorzali, pyłem okryci. Przewodniczył im nauczyciel, Najb, z ruchami parobka, o twarzy piegowatej, ordynarnej, zarosłej bezbarwnym włosem. Było jednak w tym obliczu coś, co wyróżniało z tłumu tamtejszego pedagoga. Malowało się na nim przyzwyczajenie do mówienia prawdy otwartej i nieskażonej, zawsze i wszędzie. Ten mus, ten piękny owoc wysokiej kultury zmywa w ciągu lat, jak niestrudzona woda bogatą glebę, przywary indywidualnego charakteru, wrodzone brzydoty temperamentu i znaczy twarze dziwnym uśmiechem, jaki oglądać można chyba tylko na starych płótnach Bernardina Luini'ego. Są to naiwne twarze, które kłamać nie umieją.

Szkoła taka, gdzie się da, maszeruje, miejscami jedzie koleją, albo płynie na statku. Zwiedza i ogląda wielkie fabryki, świetne warsztaty, muzea, kościoły, piękne miasta nad jeziorami, siedliska życia, wiedzy i pracy, odludne wioski, stare ruiny i wreszcie martwe pustynie na wysokich górach, gdzie ponury lodowiec śpi w milczeniu wiekuistym. W drodze starsi gromadzą w swych zielonych pudełkach zioła i owady, młodsi słuchają opowiadania zdarzeń historycznych i uczą się legiend, które są jakby westchnieniami ludzkości.

Gdy przekroczą wysoki szczyt gotardzki, gdy zstąpią do pięknej doliny Tessinu, ludzie mówiący językiem obcym, Włosi czarni a żywi, przyjmą ich z otwartemi ramionami—są to bowiem ich bracia.

Gdy po długiej wędrówce znajdą się w smutnej dolinie Rodanu, w miejscach, gdzie ludzie mówią po francusku, i tam przyjmą ich z miłością—są to bowiem również ich bracia.

Gdy statek wymijał Grütli, rozległ się piękny śpiew tych dzieci. Śpiewali zwróceni twarzami do wyniosłego urwiska nieśmiertelnej skały.

Obcokrajowi pasażerowie skupili się dokoła małych śpiewaków i z przyjemnością słuchali zgodnego chóru. Tu i owdzie wymykało się słowo pochwały. Jakiś Niemiec zcicha bił oklaski, jakaś szczupła dama ze wzruszeniem szepnęła do towarzysza: Oui, c'est beau... Pergaminowa twarz Anglika mieniła się rzewnym uśmiechem. Na uboczu stało kilku młodych ludzi. Oblicza ich były bardzo smutne, a źrenice zasłonięte łzami...

„To dla mnie za drogo!"

Królowa angielska Wiktorja już od najmłodszych lat bardzo wysoko ceniła tych, którzy mówią bez ogródki: „To dla mnie za drogo". Lubiła ona już wówczas, gdy była jeszcze księżniczką, robić sama sprawunki i często ze swą towarzyszką zwiedzała sklepy. Raz, wstąpiwszy do sklepu jubilera, zastała go zajętego targiem z młodą osobą, która wybierała sobie łańcuszek. Ta przez jakiś czas przeglądała pokazane jej przez kupca łańcuszki, aż wreszcie wybrała jeden, który się jej najbardziej podobał. Ale gdy zapytała o cenę, zawód odmalował się na jej twarzy.

— To dla mnie za drogo, nie mogę tyle wydać—wyrzekła stanowczo i wybrała inny, mniej kosztowny łańcuszek.

Księżniczka zauważyła tę scenę, a skoro owa młoda osoba wyszła, zapytała złotnika, czy ją zna.

— Tak jest—odrzekł zapytany—to żona pewnego urzędnika królewskiego.

— A więc, proszę bardzo, poślij jej pan ten łańcuszek, który się jej tak podobał; ja za niego zapłacę. Po-

wiedz jej pan, niech go przyjmie odemnie, w dowód szacunku, jaki we mnie wzbudziło jej panowanie nad sobą i wyrzeczenie się rzeczy ponętnej, ale zbyt drogiej.

Tłóm. *Walerja Marrené.*

Lalki moich dzieci.

Lalki moich dzieci dzieliły się na dwa wielkie obozy: Framużaków i Szkatulaków.

Pierwsi dlatego tak się nazywali, że miejscem ich zamieszkania była framuga w stołowym pokoju, a raczej szafka w murze, na której górnych półkach stały półmiski i talerze; drudzy zaś dlatego, że zamieszkiwali dużą szkatułę, pod piecem w pokoju szkolnym stojącą, niegdyś porucznikowski neseser podróżny p. Wawrzyńca, ojczystego dziada moich dzieci, gdy ten w wojsku służył.

Fabrykacją lalek trudnili się przeważnie chłopcy. Dziewczyny nie umiały ani takiego twardego łba z waty i gałganków uwinąć, ani tak wytrzymałego korpusu uformować, ani rąk i nóg, też z waty skręconych i obszytych płótnem, umocnić tak silnie we właściwym miejscu. Stąd też zapewne pochodziły te linje surowe, prostokątne, ta wzgarda dla wdzięku i miękkości kształtów, jaką się odznaczały te lalki, a także i to, że daleko więcej tak pomiędzy Framużakami jak i Szkatulakami było mężczyzn, niżeli kobiet. Z początku oba te obozy żyły razem na dolnej półce framugi, ale kiedy ich coraz więcej przybywać zaczęło, część przeniosła się do szkatuły, skutkiem czego z czasem nastąpiło rozdwojenie, ba, nieprzyjaźń jawna!...

Przedewszystkim Szkatulaki zniewieścieli zupełnie. Wnętrze starego nesesera, wybite czerwonym, spłowiałym aksamitem i podzielone na różne przegródki, dawało pole do tworzenia coraz to nowych wymagań i zbytków. Tam, gdzie niegdyś stała wielka cukiernica, zrobiono salę balową; na miejscu czajnika był stołowy pokój z kurytarzem; po herbatnicy zajął plac sam wódz Szkatulaków, a po ustroniach, do likierów i rumów przeznaczonych, mieściły się buduary dam. Reszta towa-

rzystwa zajmowała drugą kondygnację, która, jakkolwiek umieszczona pod pierwszą, w rodzaju dna podwójnego, niemniej nosiła ślady demoralizującego aksamitu. Framużaki tymczasem rośli w siłę i prawdziwie męskie prowadzili życie, śpiąc na gołej desce i ledwo damom udzielając osobnego, w pudełku od cygar schronienia.

Powierzchownością swoją różnili się także wybitnie jedni od drugich. Framużaki chodzili w suknie, z którego Tadzio pracowicie szył im kurtki i gunie na słotę. Wódz ich, ks. Józef Poniatowski, nosił frak mundurowy, przepasany szarfą z wspaniałym węzłem, tak, jak generała Ney'a rysują. Chlubą Framużaków były sztywne gorsy, wyrabiane z kart, odwróconych na różową lub niebieską stronę, a uzbrojenie ich składało się z karabinów, robionych ze smolnego łuczywa dla pospolitaków, tudzież ze szpad, przygotowywanych z obsadek do piór i z ołówków dla starszyzny. Całkiem poślednia służba uzbrojenia nie miała, a także nosiła kurtki bez rękawów, ponieważ rękawy najwięcej do uszycia przedstawiały trudności.

Szkatulaki używali różnych tkanin i materji. Szeregowcy wprawdzie ubierali się ciemno, ale oficerów można było widzieć w kitajkach, muślinach, tiulach różnej barwy. Gorsów też, które Framużakom za puklerze w walce służyły, nie nosili wcale, tylko fantazie na szyi wiązane. Wodzem Szkatulaków był książę Manio. Nędza to była fizyczna, wyjątkowa nawet w tym obozie. Łebek maleńki, chwiejący się na obie strony, korpus wątły, nogi cienkie i ogromnie wydłużone, ręce ledwo trzymające się ramion. Ks. Manio nosił bareżowe czarne spodnie, oszyte u dołu frendzlą i koronkowy lub jedwabny fraczek. Był tak słaby, że prawie nikt go nigdy nie widział stojącym i najczęściej się rozlegiwał. Faktycznym też przywódcą Szkatulaków był Bohdarenko, srogi, dziki, gruby i jak mówiono — nadzwyczaj silny. Ten ubierał się z wchodnim przepychem. Najjaskrawsze kawałki materji szły na jego szerokie hajdawery, a nogi miał już raz na zawsze umalowane na żółto, co przedstawiało buty.

I Framużaki mieli swoich popularnych bohaterów, a najsławniejszemi z nich byli Czarniecki, Kościuszko i Chodkiewicz. Współczesność tych mężów z sobą, a także z Poniatowskim nie raziła nikogo.

Damy Framużaków i Szkatulaków niewiele się po-

między sobą różniły. Ale o pierwszych było wogóle daleko mniej mowy, podczas gdy drugie ciągle występowały na pierwszy plan w Szkatule. Największą tego zdaje się przyczyną był salon; zwłaszcza też od kiedy Staś wykroił do niego fortepjan z kory, na dwóch patyczkach go obsadził i klawisze ze skrawków papieru ponalepiał. Raz wraz wtedy balowano u Szkatulaków, a pojedynki, śluby—ciągle były w robocie.

Najgorzej wszakże działo się wówczas, kiedy przychodziło do bitwy. Damy Szkatulaków krzyczały, spazmowały, biegły za oficerami, niekiedy nawet całą kupą towarzyszyły księciu Maniowi, ciągnionemu na plac boju w pudełku, wysłanym watą. Sprawiało to ogromne zamieszanie i wielu nieporządków bywało przyczyną.

Damy z Framugi zapewne nie były lepsze. Ale to niezawodna, że umiano sobie jakoś lepiej z niemi radzić. Był tam bowiem już z urzędu postanowiony „Juljusz," i jak tylko zrobił się jaki alarm albo nastawała publiczna trwoga, a damy zaczynały swoje „ach!" i „och!" natychmiast wysyłano do nich Juljusza, który aż do przywrócenia spokoju siedział z niemi w pudełku od cygar, uspakajając je, bawiąc i ratując w mdłościach.

Kiedy czasy były spokojne, tak Szkatulaki jak i Framużaki bawili się albo polowaniem w wielkim krzu bzowym, przed kuchnią rosnącym, albo wyprawami do Brazylji, albo też manewrami floty.

Polowanie bywało nie byle jakie. Przedewszystkim w najciaśniejszych przesmykach między zawiłemi gałęźmi i korzeniami krzu, zarosłego na głucho zielskiem wszelakim, ustawiały się oba obozy, poczym chłopcy wyciągali z sieni borsuczą skórę, wlekli ją w kierz, rozpierali na kijach, i ta stawała się niedźwiedziem w mateczniku siedzącym. Teraz dopiero zaczynał się piekielny hałas. Tadzio trąbił pobudkę myśliwską na wyłamanej szyi z starego liwara, dziewczyny napędzały zwierza naganką, a stara, ślepa ogarczyca, Wolta, zerwawszy się ze swego legowiska, obskakiwała krzak dokoła z takiem ujadaniem, jak w najtęższej kniei. Wtedy rozlegały się zabójcze strzały z wyrobionych przez Pawła, porządkowego, rusznic, a niedźwiedź, lubo się twardo trzymał, przecież padał w końcu na uciechę starej Wolty, która rzucała się na niego z jasnym, radosnym, z lat młodszych przypomnianym graniem.

Choć polowanie zazwyczaj kończyło się tryumfem myśliwych, zawsze przecie ten i ów oberwał na nim coś

z reszty, a i to się zdarzało, że Miśka na dobre jakiego Framużaka albo Szkatulaka spłatał. Wtedy niesiono umarłego na marach pod kapliczkę w rogu ogrodu stojącą, a kapelan obozowy odprawiał uroczyste egzekwie. Każdy bowiem obóz miał swojego. Kapelan Szkatulaków, młody wikarjusz, słynął z wymowy, a na kazania jego nawet damy z Framugi chodziły; Framużaków zaś „Kordecki“ z żołnierskiego animuszu był głośny. Nabożeństwo jego kończyło się krótko. Stawał pod kapliczką, w białej komży, z wyciągniętą ręką, w którą mu kropidło włożono, podczas gdy Staś, za organistę służący, śpiewał.

I na tym się kończyła cała ceremonja. Krótko a dobitnie, prawdziwie po żołniersku.

Ściśle rzeczy biorąc, niewielka była pomiędzy kobietami różnica. O ile bowiem mężczyźni tak u Framużaków jak i u Szkatulaków mieli swoją indywidualność, swoje imię, stanowisko, a nieraz i wybitną charakterystykę, o tyle kobiety zawsze uważane i traktowane były zbiorowo. Mówiło się o nich „damy“ — i tyle! A i to jeszcze zauważyć trzeba, że wszystkie chodziły w rannych godzinach na pensję, „do pani Rajmer,“ i z tego stadjum pensjonarek nie wychodziły wtedy nawet, kiedy zostawały mężatkami. Pensjonat pani Rajmer znajdował się na pastewniku, pod stogiem lucerny, a damy dosyć daleko przenoszone do niego być musiały. Jaki tam był kurs nauk, nigdy tego jakoś dociec nie mogłam, ale to wiem, że głównie uczyły się po francusku i że najbardziej zaawansowane umiały już mówić: „Bon jour, monsieur!“ oraz „Merci, monsieur!“ Wprawdzie damy z Framugi w czasie odwiedzin u dam ze Szkatuły mówiły bardzo biegle innym jeszcze, jakimś podobno angielskim językiem, ale go nigdy zrozumieć, ani wymiarkować nie mogłam, tak wymowa ich była szybką i obfitą. Framużaki wzruszali na to ramionami. Był to naród dość prosty.

Wyprawy do Brazylji także były bardzo zajmujące. Oba obozy sadowiły się wtedy w głębi kuchennych, do góry nogami przewróconych stołków, i wyjeżdżały na kilka godzin z bronią i żywnością. Pociągową siłę stanowili chłopcy; tuż za wozami biegła, naszczekując, Wolta, a dalej podążały dziewczyny, niosąc różne pjonierskie, z wielkim trudem nagromadzone narzędzia, jako to motykę, służącą Maryśce do podbierania kartofli dla czeladzi, siekacz używany do siekania chwastu i bu-

raków dla trzody, pogrzebacz od poprawiania w piecu, a jak się dobrze udało, to i tasak.

Jakie tam w kuchni robiło się piekło, jaki był gwałt, kiedy najpotrzebniejszych rzeczy pod ręką brakło, tego się opisywać nie podejmuję.

Wyprawa szła przez ogród, przez łąkę, brzezinkę i aż prawie pod kolonją Pietrzycha zatrzymywała się w dolince, której dno stanowił gruby pokład jeziornego żwiru, a ściany znacznie wyniesione i szeroko ciągnące się piaszczyste wzgórza. W dolince, nieraz na samym wierzchu można było znaleźć stare wytarte pieniążki; gliniane, malowane, podłużne paciorki; różne skorupy, zęby i tym podobne skarby, z których powodu właśnie dzieci całej tej miejscowości nazwę Brazylji nadały. Zaraz po przybyciu wyprawy dzielono grunta, sypano kopce i rozpoczynały się poszukiwania. Tak Framużaki jak i Szkatulaki głównie szukali pieniędzy... Wolta tymczasem zapędzała się aż do Pietrychowych kaczek, które z wielkim wrzaskiem i szumem zrywały się z Bugajowej kępy, trzepocząc hałaśliwie skrzydłami. Na to wypadały psy od Pietrycha, dwa wielkie żółte brytany, i zaczynała się zajadła walka, której echa aż pod Grodzisk się niosły.

Naturalnie, że i polowania i wyprawy do Brazylji niezawsze kończyły się zgodą; owszem bardzo często dawały powód do groźnych między obozami zatargów. Nie po każdym wszakże zatargu przychodziło zaraz do bitwy. Rozjątrzenie rosło wprawdzie, ale się powstrzymywano od jego objawów, aż zebrało się tyle wzajemnej goryczy, że jakiś błahy powód dawał hasło do najtragiczniejszych wydarzeń.

Pewnego razu, właśnie kiedy przezwyciężając zadawnioną niechęć, bankiet w Szkatule dla sąsiadów dać miano, zobaczono nad stawem w ogrodzie kilka żab zabitych. Wnet ktoś z Framużaków odezwał się z przekąsem, że Szkatulaki żaby owe na pieczenie dla gości szykują. Naturalnie! Wszak oni wojsko swoje zgniłemi śledziami żywią, a groch dla niego z osypką mieszają. Co im to szkodzi? Byle książę Manio bażanty jadał...

Zawrzało wśród Szkatulaków po takiej zniewadze. Godzina nie minęła, a ze Szkatuły wywieszono czerwoną chorągiew, co wszędzie i zawsze znaczy wyzwanie do boju. Natychmiast na patyku, w szparę ściany przed Framugą zatkniętym, ukazała się chorągiew czarna. Był to znak, że dzielny naród Framużaków nietylko bój

przyjmuje, ale go chce mieć na śmierć i na życie. Jakoż oba wojska zaczęły się zbierać do kupy...

Można sobie wyobrazić zamieszanie, jakie powstało między damami, które już przygotowały toalety balowe. Od krzyków, jakie damy wyprawiały, rada wojenna poprostu traciła głowę.

Nareszcie uciszyło się wszystko około południa, a na pół drogi pomiędzy Szkatułą a Framugą wystąpiło czterech heroldów, po dwóch z każdej strony. Tu dopiero rozpoczął się homeryczny wstęp do walki. Heroldowie ci bowiem byli to najbardziej języczni i najwprawniejsi w przeróżne drażniące zaczepki przedstawiciele obu obozów. Zarzuty, przycinki, repliki, wymówki posypały się gradem. Przypomniano sobie powody do uraz i sporów od dziada, pradziada. Jeszcze jeden nie skończył, już drugi zaczynał, ale słuszność przyznać każe, iż chociaż argumenty Framużaków zasadniejsze się być zdawały, celniej przecież niemi strzelali i wprawniej obracali językiem Szkatulaki, których Staś reprezentował. Co do wojsk obu, te stały w pogotowiu, wybrawszy sobie najkorzystniejsze pozycje na wielkim, składanym stole.

Zderzyły się nareszcie obie armje z ogromnym impetem. Bohdarenko, łbem uderzając, jak tur, w kolumny nieprzyjaciela, bił wściekle, o reguły wojennej sztuki nie pytał, a Szkatulaków swoich zagrzewał dzikiemi okrzyki. Czarniecki i Kościuszko sprawnie uderzali drobnemi, zawczasu przygotowanemi oddziałami, oszczędzając dzielnych swoich ludzi. Zajadłość z jednej strony a męstwo z drugiej były tak silne, że w pierwszej tej bitwie zwycięstwo zostało nierozstrzygnięte, a oba wojska cofnąć się musiały, ponieważ Papierkowski wołał, żeby nakrywać do stołu i nieść wazę, bo mu się pieczeń przypali. Książę Manio w tym ataku nie brał wcale udziału.

Po obiedzie nowym męstwem wezbrały serca wojowników, ale ponieważ sprzątanie talerzy i podanie czarnej kawy zbyt długą groziły zwłoką, przeto teatr walki przeniósł się do ogrodu nad staw, gdzie bitwa morska miała rozstrzygnąć o ostatecznym zwycięstwie.

Tak Framużaki jak i Szkatulaki oddawna utrzymywali tu swoje flotylle. Były to piękne, lekkie, z kory przez chłopców wyrobione statki, zaopatrzone w maszty, żagle, liny i różnokolorowe bandery. Na banderach wypisane były nazwy statków.

Wnet Staś i Tadzio stanęli z łukami po obu stronach stawu, Janek cierpliwie trąbił na sławetnym liwarze, a w obu portach, „u przełazka“ i „gęsiej łączki,“ zaczęto się szykować do wsiadania.

Najpierwsza wypłynęła „Dumka“ Framużaków. Dowodził nią książę Józef. Za „Dumką“ wysunął się „Mohort,“ którym dowodził Czarniecki. Po „Mohorcie“ wypłynęły razem „Sicz“ i „Zuzula,“ komenderowane przez Kościuszkę i przez Chodkiewicza. Mieli jeszcze Framużaki łódź piątą, „Kanonadę“, ale na niej puścili się sami młodzi ochotnicy, bez żadnego wodza sławniejszego,

Flota Szkatulaków składała się z siedmiu łodzi; nim jednak połowę ich odwiązali i puścili na wodę, już strzała Tadzia przewróciła najpiękniejszy ich statek „Marylę.“ Drugą ofiarą Framużaków była „Wiosna,“ łódź zwinna i zgrabna, zieloną wstążkę u masztu głównego mająca. Z prawej strony, tam gdzie książę Manio w orszaku dam, obłożony poduszkami, siedział, dał się słyszyć okrzyk wściekłości. Był to głos Bohdarenki, który wypływał na trzecim z kolei „Hetmanie.“ Teraz dopiero zaczęto prażyć Framużaków. Pierwszy poszedł na dno „Mohort,“ a choć Czarniecki ocalony przesiadł się na „Kanonadę,“ którą właśnie wiatr do portu poniósł, i chociaż Framużaki ustrzelili „Rybkę,“ przecież nieszczęście uczepiło się ich widocznie. Łuk, z którego strzelał Tadzio, niósł sławnie, za to Staś, ze strony Szkatulaków walczący, lepiej mierzył i zadawał szybsze ciosy. Wypływały dopiero „Warszawa“ i „Zemsta“ Szkatulaków, a już „Zuzula“ straciła maszt i żagle. Kiedy po „Zuzuli“ „Sicz“ padła, a Chodkiewicz poległ, podniosły się rozpaczliwe lamenty z brzegu, na którym Juljusz uspakajał damy, a nawet ks. Kordecki wzniósł swoje kropidło.

Godzinę trwała zacięta walka, a zajadłość Szkatulaków była prawie tak wielką, jak ich bezprzykładne szczęście. Polegli mężni wodzowie Framugi, a flota jej rozbitą została. Jedna tylko „Dumka,“ kołysząc się na fali, usiłowała walczyć ze swoim losem.

Książę Józef, który stał na niej dotąd o maszt oparty i przepasany swą błękitną szarfą, wyglądał tak bohatersko, iż zdawało się, że sam jeden uratuje honor swej floty.

Ale wtym wiatr wprost na niego poniósł Bohdarenkę, a tuż zaraz padły dwa strzały, jak gromy. Runął maszt „Dumki,“ a pod nim padł nieszczęsny książę —

i tak się zakończyła owa sławna bitwa zupełną zagładą dzielnych Framużaków. I ta ich bowiem garść, która była na brzegu, dobrowolnie wrzuconą została do wody, aby nie żyć w hańbie. Juljusz tylko ocalał i damy. Tegoż samego dnia wszakże wszystkie przeniosły się do Szkatulaków.

Wkrótce potym, nie wiem już dla jakich przyczyn, i ci ostatni zmarnieli jakoś dziwnie. Rozproszyło się to, skapiało i zniewieściało do szczętu. Miesiąc nie przeszedł, a w szkatule, w dawnej balowej sali, dogorywał książę Manio, bez jednej nogi, w swoim koronkowym fraku, a przy nim leżał sztukowany obywatel, którego korpus i głowa w dwie przeciwne rozłaziły się strony.

Marja Konopnicka.

Na wakacjach.

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi, o kilka kilometrów od siebie i widywaliśmy się prawie codzień.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega: patrzył w ziemię i gorączkowo uderzał po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął.

— Wiesz—odezwał się—miałem dziś głupi wypadek.

Zdziwiłem się; było rzeczą prawie niepodobną, ażeby „głupi wypadek“ mógł się zdarzyć człowiekowi tak nad sobą panującemu.

— Mieliśmy—mówił dalej—z rana we wsi pożar. Spaliła się chałupa...

— A tyś może skoczył w ogień?...—przerwałem mu tonem trochę drwiącym.

Wzruszył ramionami i zdawało mi się, że się lekko zarumienił, zresztą może mu padł na twarz blask zachodzącego słońca.

— Zapaliły się—ciągnął po przerwie — konopie na strychu u chłopa, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili coś zajmującego, ale na widok kłębów czarnego dymu i płomyków, wydobywających się ze szczelin przy kominie, opanowała mię ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc

zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby, lamentujące nad nieszczęściem, organiścinę, która obrazem św. Florjana zażegnywała pożar, i chłopa, który medytował, trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole.—Oto masz system budowania!...—pomyślałem.—Dom płonie, jakby go prochem nabito...

Istotnie, w ciągu kilku minut cały dach stał w płomieniach: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o żakiet musiałem się cofnąć o parę kroków.

Nagle ktoś krzyknął:

— Tam jest dziecko, ten mały Stasiek!...

— Gdzie?...—zawołano.

— W chałupie, śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego...

Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się jak rozpalone druty.

Wyznaję, że, gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykły sposób.

— Jeżeli nikt nie idzie—pomyślałem—więc ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale—jakież piekielne gorąco!...

— No, rusz-że się który!—wołały baby.—O nie warciście nazywać się chłopami!...

— To leź sama w ogień, kiedyś taka mądra!—ofuknął ktoś z tłumu.—Tam pewna śmierć, a dziecko słabe, jak kurczę, i tak już nie żyje...

— Ładnie!—pomyślałem—nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham. Chociaż—szepnęła mi rozwaga—jakie licho ciągnie cię do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak?... Może wypadł z niecek?...

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

— Ale trzeba w końcu wedrzeć się tam—pomyślałem.—Każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się, jak robak.—Lecz jeżeli już nie żyje?...—odpowiedziało zastanowienie—w takim razie szkoda nawet surduta...

Wtym zdaleka odezwał się straszny krzyk kobiecy:

— Ratujcie dziecko!...

— Trzymajcie ją!...—zawołano w odpowiedzi.—Skoczy w ogień i zginie...

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk:

— Puszczajcie!... to moje dziecko!...

— Ciągnij ją w pół!...—odpowiedziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mię żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto i z komina posypały się cegły. Poczułem, że mi się tlą włosy i—cofnąłem się rozgniewany.

— Co za głupi sentymentalizm! —pomyślałem—dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszydło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!...

Wtym potrąciła mię jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybitych szyb, a gdy nagły wiatr ogarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie, silnie pochyloną do wnętrza izby.

— Co ty robisz, warjatko?—krzyknąłem — tam już jest trup, nie dziecko...

— Jagna! chodź tu!...—zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

— Ja-gna!...—powtórzył głos lamentujący.

— Zaraz!... zaraz!... — odpowiedziała, przebiegając koło mnie z powrotem.

Z wysiłkiem dźwigała w ręku chłopca, który, obudziwszy się, wrzeszczał w niebogłosy.

— Więc dziecko żyje?—spytałem.

— Jak najzdrowsze.

— A dziewczyna... czy to jego siostra?

— Gdzież tam' zupełnie obca; nawet służy u innego gospodarza, młoda, ma najwyżej piętnaście lat.

— I nic się jej nie stało?

— Opaliła sobie chustkę i trochę włosów.

Idąc tu, widziałem ją; skrobała przed sienią ziemniaki i coś sobie nuciła fałszywym głosem. Chciałem jej wyrazić moje uznanie; nagle jednak przyszły mi na myśl jej dziki zapał i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia, i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu... My już tacy!...—dodał i począł szpicrutą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy i chłodny wiatr przyniósł od stawów rechotanie żab i kwilenie zbierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekty na przyszłość, lecz dziś

żaden z nas ust nie otworzył. Za to zdawało mi się, że dokoła nas szepcą krzaki:

— Wy już tacy!...

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

Połów wieloryba.

Było to w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim, gdy—jako młody, dwudziestopięcioletni podróżnik,—wsiadłem na okręt kapitana Barensa, jadący na połów wielorybów. Celem naszej wyprawy miały być okolice Szpicbergen. Jest to gromada bezludnych wysp, leżąca daleko na północ Europy, pośrodku Morza Lodowatego.

Wybraliśmy się we dwóch: ja i przyjaciel mój—Stefan, zwykły towarzysz moich wycieczek myśliwskich. Zaopatrzywszy się w dobre strzelby i ciepłą odzież, zabrawszy ze sobą dwa dzielne psy — Dogonia i Zagraja,—wsiedliśmy wesoło na okręt. Mijając setki małych wysepek i skaliste wybrzeża Norwegji płynęliśmy już od paru tygodni i przyznać się muszę, że ta długa, jednostajna podróż okropnie mi dokuczyła.

Bo i co może być za przyjemność siedzieć przez tyle czasu zamkniętym w kajucie okrętowej, nie mieć żadnej rozrywki, prócz przechadzki po pokładzie, nie widzieć nic, prócz pochmurnego nieba i burzliwego morza?

Dopiero trzynastego dnia zaczął nam dawać się we znaki silny mróz i tu i owdzie ukazywały się olbrzymie kry, jakby góry lodowe. Dowodziło to, że wjechaliśmy nareszcie w te zimne okolice morza Lodowatego, gdzie można spotkać dawno oczekiwane przez nas wieloryby. Na okręcie wszyscy odżyli. Zaczęto przygotowywać liny i haki do połowu wieloryba; opatrywano czółna; całemi dniami kapitan stał na pokładzie z lunetą w ręku, rozglądając dokoła nieprzejrzane przestwory wód.

Kilka dni minęło na daremnych oczekiwaniach. Tymczasem kry lodowe stawały się coraz częstsze, coraz większe; z trudnością mogliśmy przemykać się pomiędzy temi potwornemi górami lodu, z których każda mo-

głaby zmiażdżyć nasz statek. Nakoniec ujrzeliśmy w oddali śnieżne równiny i poszarpane skały Szpicbergen.

— No, teraz dopiero się zacznie!—zawołał kapitan Barens.

Niedługo czekaliśmy na sprawdzenie się słów doświadczonego żeglarza: na drugi dzień z wierzchołka masztu dał się słyszyć okrzyk pilnującego majtka:

— Wieloryb! wieloryb!

W jednej chwili zapomnieliśmy o przebytych nudach. Pochmurne twarze majtków ożywiły się; kapitan z rękami w kieszeniach przechadzał się po pokładzie okrętu, a my dwaj,—to jest ja i Stefan—zaczęliśmy czymprędzej oglądać i nabijać nasze strzelby.

— I na cóż to?—zapytał kapitan.

— Tak sobie, na wszelki wypadek! Miałbym wielką ochotę poczęstować wieloryba kulą.

Kapitan roześmiał się.

— Moi panowie! do polowania na wieloryby nie masz, jak harpun!—rzekł, wskazując na długą dzidę, którą właśnie oglądał jeden z majtków.

Harpunów takich mieliśmy na okręcie kilkanaście. Były to żelazne drągi, zakończone dwoma hakami, zwróconemi ku tyłowi. Były więc one nieco podobne do tych ości drewnianych, jakiemi u nas na jeziorach bije się z łodzi duże ryby. Ciekaw byłem, jak też takim harpunem zabijać będą ogromnego wieloryba!

Widząc nasz zapał myśliwski, kilku majtków otoczyło nas wokoło: oglądali strzelby i—uśmiechając się,—życzyli nam powodzenia... Już to wogóle mieliśmy łaski u załogi okrętowej.

Statek płynął prosto na wieloryba. Kiedyśmy podjechali do niego na jakie ćwierć wiorsty, spuszczono cztery łodzie, w których umieściło się dwudziestu majtków. Na jednę z łódek wsiedliśmy obaj ze Stefanem. Kapitan nie bardzo był rad z naszego wtrącenia się do połowu, bał się bowiem, żeby nam się co złego nie stało. Ale my ani myśleliśmy słuchać jego przestróg, tymbardziej, że sternik nasz i główny wielorybnik—Marcin, obiecał się nami opiekować.

A trzeba wiedzieć, że Marcin był to prawdziwy wilk morski i znał się doskonale na połowie wielorybów.

— Uważajcie panowie,—rzekł—gdyśmy oddalili się nieco od statku i innych łodzi, i chytrze mrugnął jednym okiem...—Daję wam na to słowo uczciwego żeglarza, że

my najpierwsi znajdziemy się koło wieloryba i pierwsi wsuniemy mu w brzuch ten harpun!

To mówiąc, potrząsnął z dumą swoją długą dzidą, która na tępym końcu przywiązana była do liny. Lina zaś okręconą była na kołowrotku, umieszczonym w poprzek na przodzie łodzi.

— Siadajcie panowie tuż za mną i kpijcie sobie z tego, jeśli która łódź nas wyprzedzi... One właśnie napędzą na nas wieloryba!

Usiadłem za nim, śledząc bacznie ruch posuwających się łódek.

Podpływały wielkiemi łukami ku wielorybowi, który, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, spokojnie igrał na powierzchni wody. Był to ogromny zwierz, długi chyba na 40 łokci. Coraz otwierał i zamykał swą paszczę tak wielką, że śmiało mogłaby pomieścić nas z całą łódką... Z dwóch nozdrzy, umieszczonych na wierzchu jego ogromnej głowy, wydobywały się przy każdym oddechu kłęby pary; zdala wyglądały one jakby wysokie wytryski wody. Zdawało się, że wieloryb nie dostrzega podpływających łódek, chociaż zbliżały się o kilkaset kroków od niego.

— Baczność!—wyszeptał Marcin—za dziesięć minut najdalej będziemy go mieli tutaj, a jeżeli wszystko pójdzie, jak należy, za godzinę będzie już po polowaniu.

Zwierz widocznie spostrzegł nadpływające od tyłu łódki. Zatrzymał się na chwilę i znikł pod wodą; już zdawało mi się, że umknie nam nurkiem, gdy za minutę ukazał się znowu. Płynął prosto na naszą łódkę... Marcin chwycił za harpun.

— A co? nie mówiłem? — rzekł, zwracając się do majtków.—Teraz baczność, chłopcy! Wieloryb widać już szczwany i trzeba zachować się ostrożnie, żeby nam nie uciekł, lub nie poczęstował naszej łódki ogonem. Ty, Piotrze, pilnuj liny, żeby się nie zaplątała przy odkręcaniu. Jan niech ma w pogotowiu wodę do zalewania liny. Dalej, chłopcy! za wiosła, ostro! A wy, panowie—rzekł do nas—schowajcie wasze rury i ani się ważcie strzelać, zanim ja go nie uderzę harpunem; jeśli nie posłuchacie, to dalibóg—wrzucę was do wody! Jak ja zahaczę wieloryba, możecie sobie wtedy pukać do niego.

Trudno było nie posłuchać takiej przestrogi, tym bardziej, że stary wyga morski napewno byłby nas kazał wrzucić do wody, gdyby z naszej winy wieloryb umknął.

— Ostro, naprzód!—wołał Marcin półgłosem,—płynąć prosto, nie zatrzymując się, baczność!!

Stał teraz na przodzie łódki, wygięty w tył; lewą rękę wyciągnął naprzód, prawą podniósł w górę, ściskając ostry harpun. Zaiskrzonemi oczyma śledził ruchy wieloryba, wyczekując chwili, kiedy będzie mógł puścić swój groźny oręż. Nagle harpun, wyrzucony wprawną ręką starego, zaświszczał w powietrzu i uderzył ostrzem głęboko w olbrzymie ciało wieloryba... W tej chwili łódka cofnęła się w tył, rozległ się straszny plusk, podobny do grzmotu, otoczyła nas chmura pyłu wodnego i kiedy ze strzelbą przygotowaną zacząłem szukać wieloryba, nie było go już na powierzchni wody.

Z zadziwieniem spojrzałem na Marcina, lecz widok jego uspokoił mnie zupełnie. Ogorzała twarz starego wielorybnika jaśniała zachwytem, potężnym głosem wydawał rozkazy:

— Puszczać linę! Lać wodę, bo zagrzeje się! Do wioseł! Płynąć ze wszystkich sił!

Jan polewał linę, odkręcającą się gwałtownie z kołowrotka, a łódź ciągniona przez wieloryba, w którego ciele tkwił uwiązany do liny harpun, posuwała się z szybkością błyskawicy.

— Hurra!! otóż jest!—krzyczał Marcin, widząc wynurzające się przed nami z pod wody po kilku minutach czarne cielsko ranionego olbrzyma.—Wiedziałem, żem nie spudłował!

Wieloryb chrapał i jęczał, wyrzucając przez nozdrza smugi wody, zmieszanej z krwią. Ogonem tak silnie uderzał po morzu, że każde uderzenie rozlegało się, jak wystrzał armatni. Strach przejmował, gdy się patrzyło na te ruchy! Po chwili zanurzył się znowu pod wodę...

— Tylko rozważnie chłopcy!—wołał Marcin, widząc, jak zaniepokojeni majtkowie rzucili się znowu do wioseł.—Już on nasz; niezadługo będzie po nim. Żywo, odkręcać linę! a polewać wciąż, bo się zapali. Płynąć na prawo! Teraz prosto! Ot, znowu jest!...

O sto kroków od nas wieloryb wysunął się znowu z wody dla zaczerpnięcia powietrza.

— Bliżej chłopcy, bliżej! Dzidy do rąk!! Dwa trzy uderzenia—i będzie koniec. A wy, myśliwi,—rzekł do nas ze złośliwym uśmiechem — możecie sobie teraz strzelać do niego, ile wam się podoba...

Wieloryb leżał dość spokojnie, tylko niekiedy gwałtownym drganiem swego cielska bałwanił dokoła wodę.

— Śmiało! naprzód!—krzyczał wciąż Marcin.—Podjechać pod bok, tylko bliżej głowy. Niechby chlapnął naszą łódkę ogonem, to nie byłoby co zbierać z nas i z naszej łódki! Baczność! Kłuć dzidami!

Łódki zbliżały się o tyle do umierającego olbrzyma, że łatwo było dostać go długiemi dzidami. Leżał on spokojnie, nieco na boku, a wielka głowa jego z małemi oczami znalazła się wprost mojej strzelby. Bezwiednie prawie zmierzyłem w samo oko i wypaliłem... W tej chwili rozległ się huk od uderzenia ogonem wieloryba o wodę, morze zabałwaniło się, łódź przechyliła się gwałownie—a ja o mało nie wpadłem do wody.

— Do stu piorunów! co pan wyrabiasz?—krzyczał Marcin.—Byłbyś pan nas wyprawił na dno morza na obiad rekinom... Gdzież wieloryb?

Wieloryb zniknął... Przeraziłem się sam, myśląc, żem go spłoszył na zawsze, że zerwał się może z harpunem i uciekł, gdy wtym ukazał się na powierzchni, wywrócony do góry białym brzuchem...

— Jest, jest!—krzyknąłem i o mało nie wyskoczyłem z łódki, zapomniawszy, że to nie zając, do którego można biedz po strzale.

— Wielka sztuka!—mruczał na pół gniewnie stary.—Raz trafi, a sto razy nie! Na wieloryby, mój panie, poluje się z harpunem i dzidą, a nie ze strzelbą. To nie zając ani kuropatwa. Ale strzał był tęgi. Gdzieżeś pan mierzył?

— W oko, w samo oko!

— Ba! to nic dziwnego, że został na miejscu. No, ale do roboty chłopaki. Trzeba go porządnie zahaczyć i marsz do okrętu... Dopiero się kapitan ucieszy! Patrz pan: z tej poczwary samego tranu będzie ze sto dwadzieścia beczek.

Ciągnąc za sobą wieloryba, zbliżaliśmy się powoli ku statkowi, który zatrzymał się, zarzuciwszy kotwicę niedaleko brzegu. Wyciągnęliśmy wieloryba na mieliznę i zaraz zaczęło się płatanie zdobyczy.

Trzeba było pośpieszać z robotą, gdyż,—jak mówił kapitan—na drugi dzień ciało wieloryba już zaczęłoby się psuć. Z największą ciekawością przyglądałem się teraz zabitemu olbrzymowi. Rzeczywiście miał on do czterdziestu łokci długości. Głowę miał ogromną, ale oczy nie większe jak u wołu, a uszy małe, niewidoczne

i zamknięte klapami. Cały skład ciała miał dziwnie podobny do ryby, chociaż jest to zwierzę ssące. Na przodzie ciała z boku miał dwie nogi pletwiaste, ze cztery łokcie długie; z tyłu nie miał nóg żadnych, a tylko ogon— jak u ryby, ale szeroki na jakie dziesięć łokci. W paszczy zwieszały mu się z górnej szczęki zamiast zębów dwa szeregi długich blach fiszbinowych. Każdy fiszbin jest to rogowa blacha, giętka jak sprężyna; jest ona długą do pięciu łokci. Blachy te zestawione jedna przy drugiej, tworzą jakby sito na brzegu paszczy wieloryba; przez to sito woda z paszczy wypływa, ale pochwycone z nią razem zwierzątka zostają w paszczy i służą za pokarm wielorybowi. Dziwna rzecz, iż pomimo ogromnej wielkości—zwierz ten ma gardziel tak mały, że ledwo śledzia mógłby odrazu połknąć. Gruba, naga skóra wieloryba lśniła się na słońcu od przenikającego ją tłuszczu. Na skórze przyczepionych było tysiące muszli i innych zwierzątek morskich, które tam obrały sobie mieszkanie.

Nie było czasu dłużej przypatrywać się temu olbrzymowi, bo już majtkowie zabrali się do krajania. Najpierw na wysokim maszcie założono mocny krążek, przez który przeciągnięto linę. Lina na jednym końcu miała duży hak, na drugim zaś przymocowana była do korby. Była to więc winda. Spuściwszy koniec liny z hakiem za brzeg okrętu, zaczepiono hakiem za głowę wieloryba i w ten sposób uniesiono go w górę. Teraz zaczęło się oddzielanie głowy. Długiemi nożami krajano póty, póki ogromnego łba nie odcięto. Poczem łeb został wciągnięty na pokład; tam zabrano się zaraz do krajania go, wycięcia fiszbinów i języka. Ależ co to był za język! Długi był na osiem łokci, ważył około 800 funtów, a cały był przesiąknięty tłuszczem. Same fiszbiny ważyły, jak się okazało potym,—trzy tysiące funtów!

Po odcięciu głowy majtkowie zaraz zaczęli krajać słoninę. Odcinano nożami dokoła cielska kawały jej, szerokie na 2 łokcie, a grube prawie na łokieć. Kawały te wciągano windą na okręt. Tam krajano je na kawałki mniejsze i wrzucano do ogromnego kotła dla wygotowania tłuszczu. Ten tłuszcz żółtawy podobny jest w smaku do tłuszczu rozmaitych ryb i nazywa się tranem. Tranu oczyszczonego używają ludzie jako lekarstwa dla słabych dzieci i dla dorosłych chorych na

piersi. Prócz tego robią z niego różne smarowidła do maszyn, do skór i tym podobnych rzeczy.

Na okręcie panował ruch i praca. Kapitan wydawał na wszystkie strony rozkazy; Marcin dowodził krającemi słoninę; główny kucharz pilnował wytapiania tranu w kotle, po którym początkowo rozpalono ogień węglami, a potym palono tylko różne odpadki z wieloryba, przesiąknięte tranem. Wytopiony tran majtkowie natychmiast zlewali do przygotowanych beczek, które windami spuszczano na spód okrętu.

— Wiesz pan—mówił do mnie kapitan — ile mógł ważyć dzisiejszy wieloryb? Najmniej 4 tysiące pudów, to jest 160 tysięcy funtów! Jest to waga, równająca się wadze 300 utuczonych wołów! Samej słoniny będzie z niego do 80 tysięcy funtów, z czego dostaniemy ze 60 tysięcy funtów, czyli 120 beczek tranu. Policzywszy razem tran i fiszbiny, będziemy mieli za naszego wieloryba ze 6 tysięcy rubli! Co, piękna zdobycz? Jeszcze kilka takich sztuk, to zarobimy w ciągu jednej wyprawy z 50 tysięcy rubli.

Zacierał ręce z radości, pykając dym z krótkiej fajeczki. Reszta dnia zeszła na robocie. Pod wieczór, któnastąpił tutaj o godzinie 3-ej popołudniu, znaczna część wieloryba była już ogołocona ze słoniny, stercząc ciemno-czerwonym mięsem.

Ku nocy ruch się uspokoił. Znużeni majtkowie po całodziennej pracy ułożyli się do snu. Po krótkiej pogawędce z kapitanem i my poszliśmy za ich przykładem, wyprosiwszy sobie wprzód pozwolenie zapolowania na Szpicbergen. Majtkowie opowiadali o białych niedźwiedziach, które często spotkać można na tych wyspach.

Korciło nas, żeby na nie zapolować. Nie wiem, jak mój przyjaciel, ale ja przez całą noc śniłem o walce z tym dzikim mieszkańcem lodów.

Opracował M. Brzeziński według Hofmana.

Spotkanie z białym niedźwiedziem.

Zerwaliśmy się nazajutrz na równe nogi, zanim jeszcze wstała cała załoga. Była godzina 9-ta rano.

Dzień był pogodny, mroźny. Polowanie zapowiadało się pięknie. Kapitan kazał dwum majtkom odwieźć nas czółnem na brzeg; zastrzegł tylko, żebyśmy przed zmierzchem byli z powrotem, bo jutro o świcie okręt wyruszy w dalszą podróż.

— A bądźcie panowie ostrożni!! z niedźwiedziami żartów niema. No, dobrego powodzenia, panowie myśliwi!

Już siedzieliśmy w łódce—Stefan, ja i nasze trzy psy,—gdy na okręcie ukazał się Marcin.

— A to dokąd?—zapytał.

— Na polowanie, na wyspę! — odpowiedzieliśmy wesoło.

— Na polowanie? Ależ panowie nie będziecie mieli na to czasu! Patrzcie na tę oto szarą chmurkę na północo-wschodniej stronie nieba. Ani się obejrzycie, jak zwali się z niej taki śnieg, że własnych rąk nie będziecie mogli dojrzyć.

Spojrzałem na niebo. Prawda, że w oddali szarzała mała chmurka; ale zresztą niebo było pogodne, słońce ślicznie oświecało powierzchnię morza i białe skały wyspy.

— Et, plecie stary!—pomyślałem w duszy i, pożegnawszy go po wojskowemu, kazałem coprędzej płynąć do brzegu.

Łódź oddaliła się szybko. Nie słyszeliśmy już dalszych uwag Marcina, który jeszcze coś gadał, gniewał się i ruchem rąk wzywał nas widocznie do powrotu. Nie upłynęło pół godziny, gdy łódka uderzyła o ląd i my wyskoczyliśmy na brzeg. Dogoń, Otusz i Zagraj, biegały i skakały dokoła nas. A i my sami, poczuwszy pod sobą ziemię, byliśmy niezmiernie uszczęśliwieni. Majtkom kazaliśmy przyjechać do siebie przed zmierzchem, a sami odważnie puściliśmy się naprzód, wgłąb dzikiej, bezludnej wyspy, pokrytej grubym śniegiem. Była godzina najdalej dziesiąta. Czasu mieliśmy przed sobą dosyć. Słońce odbijało się silnym blaskiem od śnieżnych wierzchołków skał. Żaden ślad nie wskazywał tutaj najmniejszego życia. Okolica wydawała się pustą, wymarłą. Stefan mruczał już, że naprożno wzięliśmy ze sobą strzelby. I ja, co prawda, myślałem toż samo, ale pocieszałem się tym, że choć na parę godzin udało mi się zejść z okrętu na ziemię.

Szliśmy żwawo naprzód. Psy skakały swobodnie dokoła, to wyprzedzając nas, to pozostając w tyle. Po

godzinie drogi dotarliśmy do jakiegoś ciasnego wąwozu pomiędzy dwiema skałami, długiego najwyżej na dwieście kroków. Tam dalej za wąwozem ciągnęła się także sama śnieżna równina. Nie namyślając się więc, weszliśmy w wąwóz. Psy pozostały w tyle. Zaledwie jednak posunęliśmy się ze trzydzieści kroków, nagle z poza załomu skały ukazał się olbrzymi biały niedźwiedź.

Zwierz, zarówno jak my, nie spodziewając się spotkania, nagle przystanął. My zaś tak się przelękliśmy, że przez parę chwil staliśmy w osłupieniu, zapomniawszy zupełnie o strzelbach. Spotkanie rzeczywiście było nagłe, a niedźwiedź—prawdziwy olbrzym, ze trzy łokcie długi... Oprzytomniawszy wreszcie, chwyciłem za strzelbę i nie mierząc nawet z wielkiego zapędu, wystrzeliłem...

Zaledwie rozległ się huk, niedźwiedź zaryczał strasznie, a my rzuciliśmy się w tył, szukając ocalenia w ucieczce. Lecz jeszcze nie zdążyłem dobiedz do początku wąwozu, gdym poczuł na swych plecach łapę niedźwiedzia i upadłem gwałtownie na ziemię.

Białe jego włosy dotykały mojej twarzy; krwawa paszcza otwarła się przed memi oczyma. Myślałem, że już po mnie... W tej strasznej chwili oczekiwania, krzyknąłem jakimś dzikim głosem, starając się jednocześnie wyciągnąć z za pasa nóż. Nagle nad samym uchem moim rozległ się wystrzał Stefana.

Widząc mnie w niebezpieczeństwie, przyjaciel mój zatrzymał się i strzelił. Niestety chybił! Niedźwiedź z dzikim rykiem zwrócił się teraz ku Stefanowi i przewrócił go na ziemię; już miał roztrzaskać mu głowę strasznemi zębami, gdy nadbiegły nasze psy i z wściekłością rzuciły się na zwierza. Zaczęła się nowa walka i szamotanie. Psy doskakiwały, jak szalone, rwąc włosy i skórę niedźwiedzia, wpijały mu zęby w brzuch; a on z okropnym rykiem bronił się od napastników, starając się dosięgnąć ich wielkiemi pazurami.

W pierwszej chwili nie spostrzegłem, że Stefan leży na ziemi. Nie było czasu do stracenia. Już dzielny mój Dogoń, draśnięty łapą potwora, leżał nieżywy, już niedźwiedź chwytał Otusza za kark zębami, nie zważając na Zagraja, który, dopadłszy od tyłu, wpił mu się w grzbiet, jak pijawka.

Nabiwszy czemprędzej strzelbę dwiema kulami, zmierzyłem w sam łeb poczwary i wypaliłem. Niedźwiedź wyskoczył w górę i zwalił się na ziemię, wydając ostatnie śmiertelne mruknięcie.

Nie zważając już na niego, rzuciłem się ku Stefanowi. Leżał o parę kroków od niedźwiedzia, bez czucia, a krew broczyła mu z rany na lewym ramieniu. Przyłożyłem mu rękę do piersi; serce biło jeszcze, choć bardzo słabo.

— Żyjesz, żyjesz!!—wykrzyknąłem z największą radością.

Czymprędzej obmyłem mu twarz śniegiem, przewiązałem ranę chustką. W usta na wpół otwarte wlałem mu kilka kropli wódki... Po chwili otworzył oczy.

— Niedźwiedź, niedźwiedź! — były pierwsze jego słowa.

— Uspokój się, Stefku — mówiłem.—Nie mamy już co bać się niedźwiedzia. Patrz, leży martwy. Ale jakże się czujesz? Czyś mocno zraniony?

— Nie wiem... zdaje się, że nie śmiertelnie...—Uniósł głowę i próbował podnieść się nieco, podtrzymywany przeze mnie.—Oj boli! głowa strasznie boli i ręki lewej nie czuję... Ależ to siła w tej bestji.

Wlałem mu do ust jeszcze trochę wódki. Widocznie go to pokrzepiło; po kilku minutach mógł już usiąść i zapytywał, co się stało.

Opowiedziałem, co i jak było. Stefanowi siły widocznie wracały. Krew przestała się sączyć z rany. Po kwadransie oświadczył, że może już iść.

— Dojdziemy razem do brzegu, zawołamy przewoźników i dostaniemy się do okrętu.

Oparłszy się na mnie, Stefan podniósł się, popatrzył przez chwilę na ogromną postać rozciągniętego niedźwiedzia i ruszyliśmy z powrotem.

— A skóra niedźwiedzia? Czyż ją zostawimy—zapytał Stefan.

— Potym ją zabierzemy—rzekłem.—Teraz najważniejsza, żebyś ty czymprędzej dostał się na okręt i uspokoił się.

Stefan nie sprzeciwiał się. Czuł, że potrzebuje spokoju i pomocy lekarza. Powolutku posuwaliśmy się ku brzegowi, odległemu od nas nie więcej nad godzinę drogi.

Opracował M. Brzeziński według Hofmana.

Zwrotniczy.

I.

Białe domostwo drzemie wśród drzew obrzuconych kwieciem. Ranek—uprzywilejowana pora blasków i woni; rosa rzuca swe łezki słońcu, by ono pocałunkami zebrało je dla nieba. Natura oddycha świeżością. Dzień rozwija się jak kwiat pełny, o świetnych barwach.

Drzwi się otwarły, na progu ukazał się mężczyzna. Na ustach jego uśmiech, w oczach rozkoszne wyczekiwanie.

Coś zaszeleściło na pniu jabłoni; twarz robotnika promienieje, oczy błyszczą... z poza drzew wysuwa się jasnowłose dzieciątko i rzuca się ku niemu. Scena kończy się wymianą pieszczot, uścisków i pocałunków gorących.

Chcesz widzieć obraz szczęścia—znalazłeś go tutaj.

— Ja zabieram małą, prawda Celino?—spytał ojciec.

Na te słowa ukazała się ładna wieśniaczka, jasnowłosa, trochę blada.

— Znowu!?—rzekła z odcieniem zazdrości.

— Jakto znowu? Wczoraj była niedziela, a ty nie chcesz w dni świąteczne...

— Tak—odparła matka z pewnym wahaniem—ty zawsze ją zabierasz...

— Och, wszak dzielimy się równo—wtrącił mężczyzna z serdecznym, ojcowskim uśmiechem.

— Tak mówisz, niegodziwcze!...

Dzieweczka umieszczona pomiędzy ojcem i matką, z poważną miną przysłuchiwała się rozmowie. Wzrok jej biegał naprzemian z jednej twarzy na drugą, stosownie do tego czy mówił ojciec, czy matka. Prawą rączkę złożyła w dłoni robotnika, lewą zaś schwyciła palce matki, jakgdyby chciała równo podzielić swe uczucia.

— Gdybyś wiedziała jak czas prędko leci, gdy ona jest przy mnie—odezwał się ojciec.

— Czy myślisz, że nie wiem... Godziny się wloką, gdy jej nie widzę.

— Ba! masz tutaj tyle roboty.

— A ty tam nic nie robisz?

Zgodnym ruchem, jak gdyby jednocześnie wspólną myślą wiedzeni, oboje pochylili się ku małej, ująwszy ramieniem drobną jej postać. Ona zachowała się spo-

kojnie, z powagą pieszczonego dziecka, które jest pewnym swej władzy.

— Ty wybieraj sama, aniołku—szepnęła matka.

— Dobrze, niech i tak będzie—dodał ojciec.

Wśród wybuchów śmiechu oboje ucałowali jedynaczkę. Była to scena godna malarza: widok rodziców, którzy się zdali na wyrok figlarki.

— Dalej, Miluniu, powiedz jak myślisz!

— Co?—spytała dziewczyna, nie mogąc wstrzymać się od śmiechu.

— Co wolisz—czy zostać z mamą, czy iść z ojcem na linję?

Dziecię spojrzało naprzemian na ojca i matkę, i nie śmiało się odezwać. Radaby chętnie iść z ojcem... cóż to za rozkosz biegać dokoła budki strażniczej i kopać w minjaturowym ogródku, który ojciec tam założył. Lecz znowu mama taka słaba, taka dobra, prawdziwa niewolnica. Milunia nie chciałaby zrobić przykrości.

— No, mów—rzekł ojciec—ja ci dam...

— O, nic nie obiecuj! niech mówi z własnego przekonania. Psujesz tym sposobem dziecko.

I znów pocałunki.

— A więc, Miluniu—odezwała się matka—nie chcesz powiedzieć?

— Bo... bo sama nie wiem—rzekła nareszcie przebiegła dziewczyna.

— Wszak lubisz chodzić ze mną?—szepnął ojciec.

— O tak.

— I nie kochasz mamy?—spytała Celina.

— O kocham.

Wszyscy się zmieszali. Milunia czuła się trochę zakłopotaną pytaniami ojca i matki. Jej wielka radość zamieniła się w smutek. Czując, że nie jest w stanie zadowolnić dwóch istot kochanych nad życie, była już gotowa do płaczu.

Celina zaraz to spostrzegła. Serce matki ma święte przeczucia. Ustąpiła.

— Weź ją, weź Wawrzyńcze. Wolę zostać samą, niż przykrość jej sprawiać.

— Nie,—z kolei odparł mąż.—Zatrzymaj ją sobie, boś tego warta. Ty ją lepiej kochasz.

— O, ty bardziej... Niech idzie z tobą. Weź ją, ja cię proszę!

I rozpoczęła się sprzeczka, pełna wspaniałomyślnej abnegacji.

Oboje ucałowali drogą jedynaczkę, nie mogącą wstrzymać się od śmiechu, który rozległ się srebrnym echem na ustach dziewczęcia.

Nareszcie, Wawrzyniec wziął drogi skarb na ręce i podniósł się uradowany. Uśmiech zajaśniał w wilgotnych oczach dziecka. Była zadowolona. Mężczyzna czule uścisnął żonę i odszedł ze swym skarbem na ręku.

— Słuchaj, Celino — rzekł — możesz po nią przyjść w południe.

Obietnica, której spodziewała się może, a pragnęła z pewnością, rozjaśniła twarz Celiny.

Potym Wawrzyniec podniósł córkę: ona bawiła się jego długiemi wąsami, od czasu do czasu targając je bez miłosierdzia i wydawała okrzyki radości, gdy ojciec skrzywił się z bólu.

Szczęśliwa i dumna, Celina długo śledziła ich wzrokiem, dopiero gdy zniknęli, wróciła do mieszkania, zabierając się pilnie do swej roboty gospodarskiej.

Wawrzyniec szedł śpiesznie na służbę. Od czasu do czasu spotykał w drodze rolnika lub pastucha, każdy z nich przechodząc rzucał przyjazny uśmiech dziewczynce, gdyż wszyscy wiedzieli, jak gorąco rodzice kochają swoją jedynaczkę.

II.

Ojciec i matka wyprzedzali się w pieszczeniu małej, która jednak nigdy nie nadużywała ich dobroci. W trzecim roku życia umiała już mnóstwo figielków, któremi dzieci w tym wieku potrafią chwytać za serce. Jej odpowiedzi, dowcipne słówka, każde odezwanie się zachwycało nie tylko Wawrzyńca i jego żonę, lecz ich przyjaciół i sąsiadów; w całej wiosce każdy się bawił szczebiotaniem Miluni.

Dziecko rosło. Była to dziewczynka z dniem każdym piękniejsza, bardziej kochająca i jeszcze bardziej kochana. Kończyła już szóstą wiosnę. Rozumna i nad wiek pojętna, pozostała jednak swawolną figlarką, a rywalizacja rodziców nie ustawała ani na chwilę. Gdy była jeszcze maleńką, sprzeczali się, kto będzie niósł dziecko; zazdrościli sobie wzajemnych trudów koło niej podjętych, żądając tylko w nagrodę od małej tyranki ciągłych fantazji i zachcianek.

Była to istota stworzona do szczęścia i miłości. Później było to samo, tylko trochę w odmienny sposób: nie nosili jej, gdyż umiała chodzić. Szło znowu o to, kto ją ma prowadzić za rękę, a potym wyrywano ją sobie, gdy się stawała coraz rozumniejszą.

Ojciec chciał ją zabrać z sobą, by mu ożywiła długie godziny pracy; matka tęskniła, dom wydawał się jej grobem, gdy nie było dziecka.

Pewnego poranku, nic nie mówiąc żonie, Wawrzyniec chciał córkę zabrać na linję. Celina ukazała się na progu chaty.

— Jakto?—rzekła po chwili:

— Chcieliśmy tylko ukryć się za drzwiami, byś nas szukała...

— Słuchaj—rzekła Celina — Milunia rośnie i staje się z dniem każdym bardziej uparta i swawolna. Zdaje mi się, że przyjdzie czas, w którym niebezpiecznie będzie puszczać ją z tobą.

— Co mówisz!—zawołał ojciec blady ze wzruszenia.

— Mówię... mówię... że obawiam się drogi żelaznej, tych djabelskich pociągów, lokomotywy i wszystkiego...

— Ależ, cóż znowu!

— O, nie, nie, mój kochany. Umieram ze strachu, gdy ona jest tam z tobą. W głowie mi się plącze, gdy pomyślę, że mogłaby zginąć od tej maszyny, na którą nawet nie można się gniewać...

— Dajże pokój!

— Może ci się wymknąć, gdy jesteś przy zwrotnicy, a gdy zechcesz ją wtedy ocalić i zawołać do siebie, możesz zaniedbać obowiązku i stać się przyczyną strasznego wypadku.

— O, nie mów tak, Celino, zaklinam cię na Boga!— szepnął Wawrzyniec, któremu nigdy podobna myśl nie przyszła do głowy.

Teraz drżał i blednął naprzemian. Kobieta przestała nalegać. Zwrotniczy stał długo zmieszany. Potym zwolna zaczął się uspokajać.

— Moja biedna Milunia!—rzekł, całując córkę z uniesieniem.—To brzydko, Celino, straszyć mnie tak okropnie...

Nie wierząc istotnie w możliwość niebezpieczeństwa, o którym mówiła przed chwilą, Celina uśmiechnęła się do męża i znowu jak zwykle skończyło się temi słowami:

— Przyjdziesz po nią w południe.

Celina nie zaniedbała tego uczynić.

Po jej odejściu, siedząc sam w chatce, Wawrzyniec

nie mógł zapomnieć słów żony; zamknąwszy oczy, widział jasnowłosą główkę Miluni zmiażdżoną pod kołami lokomotywy. Obiema rękoma chwytał się krzesła, na którym siedział, czyniąc pomimowoli nadludzkie wysilenie w walce z urojonym niebezpieczeństwem, jak ktoś płynący łódką chwyta się jej brzegu, by nie wpaść w zdradliwą falę.

III.

Milunia nie chorowała dotąd nigdy, Wawrzyniec nie przypuszczał, by miał kiedykolwiek ją stracić. Ta myśl opanowała go uparcie przez dni kilka, ledwie zdołał od niej się uwolnić. Rezultat był jednak korzystny dla Celiny. Ojciec coraz rzadziej zabierał z sobą ukochane dziecko;—a gdy z nim była, nie pozwolił jej się oddalać. Nieustannie trzymał ją przy swym boku. Stawał się surowym dla biedactwa, które nie mogło pojąć, co to wszystko znaczy. Gdy pociąg przebiegał w całym pędzie, zwrotniczy, nie mając nic innego do roboty, patrzył na tę olbrzymią masę, która spadała jak lawina, a potym na delikatną istotkę i śmiertelne porywały go dreszcze.

— Stracić ją! to byłoby zbyt okropne... powtarzał z przerażeniem.

Powoli, nieznacznie trwoga znikała. Zaczynał rozumować.

— To prawda,—mówił—że dziecko zbytecznie oswoiło się z maszyną. Nie boi się ani trochę, lecz dość już jest duże, by mogło zrozumieć niebezpieczeństwo, jakie mu grozi. Tak, ona biedaczka nie chce mnie niepokoić.

Obawy Wawrzyńca zmniejszały się z dniem każdym, i choć nie był w stanie na zawsze ich usunąć, wracały coraz rzadziej. W trzy tygodnie potym, zwrotniczy słabe już tylko o nich zachował wspomnienie.

Pewnego wieczoru, zanim wrócił do domu, poprzedziły go wieści o strasznym wypadku na sąsiedniej stacji. Jeden z dróżników dostał się pod koła kurjerskiego pociągu, i jak mówiono, został zmiażdżony pod ich cię żarem.

Celina wypytywała męża przy wieczerzy.

— Czy to prawda, że Szymon zabity?

— Nie,—odparł Wawrzyniec.

— A jednak wszyscy o tym mówią.

— Źle mówią. Szymon znajdował się w niebezpie-

czeństwie, lecz nie stracił przytomności; zimna krew ocaliła mu życie.

Spoglądając naprzemian na ojca i matkę, Milunia pilnie nadstawiała ucha. Błyszczącemi oczyma zwróciła się ku ojcu.

— A więc nie umarł?—pytała znowu Celina.

— Nietylko że żyje, ale nawet nie jest draśnięty, chociaż cały pociąg przeszedł nad jego głową.

— Jakto?...

— O, nie pierwszy to wypadek w podobnym rodzaju. Widząc, że już zapóźno uciekać, padł plackiem pomiędzy szyny, a po przejściu pociągu podniósł się zdrów i cały.

— Co za straszna chwila!

— Widząc się z nim dzisiaj, pytałem, jakiego doznał wrażenia. Najprzód, mówił, gdy lokomytywa świsnęła mi nad głową, uczułem straszne gorąco, potem ta chwila wydała mi się wiekiem. Oto i wszystko. Wiesz, że Szymon jest zuch co się zowie, byle czego się nie zlęknie. Gotów powtórzyć próbę—dodał Wawrzyniec najspokojniej w świecie.

Po kolacji rodzice zabawiali się z córką pod jabłonią, która obiecywała obfite plony, potym wrócono do mieszkania. Wawrzyniec zamknął okiennice i udał się na spoczynek.

W kilka dni potym godziny służby uległy zmianie. Przeznaczono mu nocną porę. Każdego wieczoru, gdy wybiła siódma, żegnał żonę i córkę i wychodził z domu. Niepodobna było myśleć o zabraniu z sobą dzieweczki, która wkrótce po kolacji udawała się do łóżka; a przytym Celina nie chciałaby za żadną cenę rozłączyć się z dzieckiem za nadejściem nocy.

Pewnego dnia, a było to w miesiącu kwietniu, biedna jakaś kobieta nagle zachorowała. Sąsiedzi zbiegli się tłumnie, a każdy radził, co mu przyszło do głowy. Sprowadzono doktora, ten zapisawszy receptę, rzekł do kumoszek:

— To lekarstwo znajduje się w mieście; trzeba będzie długo czekać. Niech która z kobiet pójdzie na stację, gdzie jest polowa apteczka i poprosi naczelnika o trochę eteru i laudanum. To uśmierzy bóle; będziemy mogli czekać na powrót posłańca z miasteczka. No, dalej—która z was chce pójść na stacją?

— Celina! Celina!—zawołały kobiety. Dobra opi-

nja Wawrzyńca i jego żony będzie najpewniejszą gwarancją, że naczelnik nie odmówi lekarstwa.

Młoda kobieta podjęła się tej misji i poszła prowadząc z sobą córeczkę. Pomyślała, że może lepiej zostawić ją w domu, lecz Milunia była od rana niezwykle niespokojna, płakała bez przyczyny.

Na drodze do stacji stała budka Wawrzyńca. Dzień był na schyłku. Purpurowa wstęga krwawym blaskiem zaległa niebiosa, gdy tymczasym od wschodu szare cienie tuliły wioskę tajemniczym uściskiem.

Wawrzyniec ujrzał zdaleka żonę i córkę. Zdziwił się, widząc je w tej porze. Niespokojnie zapytał, co się stało.

— Stara Giertruda zachorowała nagle, śpieszę po lekarstwo,—odparła Celina.

— Sądziłem, że wyszłaś na przechadzkę.

— Milunia nie może pośpieszyć, a nie mogłam zostawić jej w domu.

— Zostaw dziecko u mnie. Poczeka na ciebie...

— I owszem.

Po chwili spytała, ująwszy ramię jedynaczki.

— Czy chcesz pójść do tatusia?

— O chcę! chcę!—wołała klaszcząc w ręce dziewczyna. Dawno już tu nie była, a pobyt u ojca i w jego towarzystwie sprawiał jej radość niesłychaną.

— Przesadź ją przez barjerę,—rzekł Wawrzyniec.

— Dobrze, chodź, zaraz ci ją podam...

— Poczekaj! poczekaj! Pociąg nadchodzi. Czas nastawić zwrotnicę.

Długi szereg wagonów przemknął po linji, Wawrzyniec się zbliżył. Celina podniosła córkę i podała ją mężowi.

Ująwszy drogi ciężar, wrócił do budki, przed którą paliła się już latarnia. Ciemność zaległa drogę krzyżującą się w różne strony. Zanim upłynie dwadzieścia minut, Celina może wrócić ze stacji. Korzystając z wolnego czasu, ojciec zaczął się bawić z ukochanym dzieckiem. Rozkapryszona dnia tego w niezwykły sposób, Milunia wyprawiała z nim rozmaite figle. Targała go za nos, za brodę i włosy, siadała na kolanach, rozwiązywała krawat i ubrana w jego czapkę, wdrapała się na ojcowskie plecy, zupełnie jak kotek. Wśród tych figlów mała zbytnica szczebiotała jak ptaszę, żarciki i dowcipy sypały się jak z rękawa. Rozkoszne chwile!

Nagłym ruchem skoczyła na ziemię i uciekła do ogródka, śmiejąc się; Wawrzyniec pobiegł za nią.

— O, już ty mnie nie złapiesz!—wołała.

— Załóżmy się, że złapię.

— Ja mówię, że nie...

Tak wołając, dziecko uciekało co siły, a wesoły śmiech rozbrzmiewał dokoła. Ojciec bawił się może lepiej niż córka, uszczęśliwiony jej radością. Zapomniał o całym świecie, zasłuchany w jej krzyki, wołania i śmiechy.

— Tędy! tędy!—wołała dziewczynka.

On udawał, że dogonić nie może, co zdwajało zapał dziewczęcia. Milunia skoczyła na drogę, chcąc przebiedz całą jej szerokość. Ojciec prosił:

— Nie chodź tam, aniołeczku.

— Nie dogonisz mnie teraz!

— Chodź! chodź tutaj! błagał.

Dokoła cienie czarnej nocy. Wawrzyniec nie mógł dojrzeć córki, blask latarni go oślepił... trudno było rozróżnić otaczające go przedmioty.

— Gdzie jesteś?—zapytał strwożony.

— Szukaj!—wołało dziecię, zanosząc się od śmiechu.

— Miluniu! Milunieczko! Ja już się nie bawię. Ojciec będzie się gniewał. Chodź, chodż tu, drogie dziecię.

— Oho, umyślnie tak mówisz, bo nie możesz mnie schwytać.

— Chodź, chodź, dam ci ciasteczko.

— To nie prawda. Nie masz ciastka, chcesz tylko, żebym przyszła.

— A więc tak, umyślnie to mówię. Nie chcę, żebyś tam została dłużej. Pociąg ma nadejść. Zaklinam cię, na Boga!

— Pociąg przeszedł niedawno.

— Ale ma nadejść drugi.

Zamiast odpowiedzi, dziecko zaczęło wołać:

— Goń mnie, ojczuniu—ja uciekam.

Widząc że niema innej rady, Wawrzyniec teraz już naprawdę zaczął gonić córkę, aby ją uchronić od niebezpieczeństwa. Rzucił się w ślad za głosem swego małego anioła. Ciemno, ciemno... noc czarna kryje wszystko przed ludzkim wzrokiem.

Milunia nie przestawała uciekać. Szczęściem jednak, od czasu do czasu dawała znać o sobie tym ostrym, przejmującym krzykiem, bez którego dzieci bawić się nie potrafią.

Ojciec biegł w kierunku jej głosu; zmęczony, bez tchu prawie, chciał ująć swawolnicę. Niepokój wzrastał z każdą chwilą. To co mówił do córki, nie było czczą pogróżką. Pociąg nadchodził. Za parę minut rozlegną się sygnały...

Wawrzyniec powtarzał wołania. Głos jego zaczął słabnąć. Fatalna chwila była blizką. Dziecko śmiało się w najlepsze.

— Nie dogonisz—nie możesz mnie dogonić!!

Gdy wymówiła to po raz ostatni, lokomotywa świsnęła przeraźliwie.

Biedny człowiek osłupiał — zdrętwiał, stracił przytomność. Pociąg zostawi dwie ofiary, jeżeli nie zdoła zapanować nad sobą. Dwie ofiary!?... Może nastąpić katastrofa, której skutków obliczyć trudno... Wcześniejszy pociąg zatrzymał się na stacji: jeżeli biedny ojciec nie nastawi zwrotnicy, dwa potwory rzucą się na siebie, szerząc śmierć i zniszczenie.

To wszystko było dziełem jednej chwili. Opowieść nasza nie może nadążyć za biegiem wypadków.

Nadludzkim wysileniem Wawrzyniec otrząsnął się z martwoty, która odbierała mu przytomność.

— Marcelko!—zawołał grzmiącym głosem.

— Tutaj jestem, ojczuniu! Chodź że do mnie!

— Nieszczęsne dziecko! pociąg już blizko!

Dziewczynka nie ruszyła się z miejsca, a przejmujące jej okrzyki złączyły się w duecie ze świstem maszyny, która pędziła jak uragan. Instyktowne uczucie obowiązku popchnęło biedaka do zwrotnicy. Ujął ręką narzędzie, które miało otworzyć drogę lokomotywie i długiemu szeregowi wagonów.

Lecz nie! nagle zawołał:

— Ja muszę ją ocalić! Marcelko, gdzie jesteś Marcelko, moja droga!—wołał usiłując przebić wzrokiem otaczające ich ciemności.

— Szukaj,—odparła dręczycielka.

Zwrotniczy, któremu włosy dębem stanęły na głowie, chciał rzucić się pod koła strasznego olbrzyma. Nagle przyszła mu do głowy myśl szczęśliwa, blady promyk nadziei, że może córka nie stoi na tej drodze. Patrzył, patrzył z uwagą i ujrzał ją nareszcie.

Opowiadanie moje wlecze się żółwim krokiem, fakt sam miał szybkość błyskawicy. Lecz czyż można pominąć wrażenia, jakich doznawał zrozpaczony ojciec wo-

bec niebezpieczeństwa?... Ujrzał ją. Stała tam rozpromieniona... uśmiechnięta.

Stała na drodze, którą przemknie pociąg po nastawieniu zwrotnicy. Czyż nie lepiej przeczekać tę chwilę? Żelazny potwór zmyli drogę, a dziecko będzie ocalone! Pociągi wpadną na siebie jak uragan i spełni się straszne dzieło zniszczenia! Ale Marcelka będzie żywa i cała!

Wszystkie te myśli przebiegły mu po głowie. Będą ranni, zabici... mnóstwo rodzin przywdzieje żałobę, lecz jego córka zostanie ocalona... Zarządzą śledztwo... zwrotniczy pójdzie pod sąd... potym do więzienia... zostanie shańbiony, zrujnowany do szczętu. Lecz jego córka żyć będzie. Ach, trudno opisać szybkość myśli w strasznych życia chwilach... Tak, tak—koniecznie trzeba ocalić Marcelę, bo nadchodzi Celina. Ta kobieta padłaby trupem, ujrzawszy poszarpane zwłoki córki.

Pociąg się zbliżał. Dostrzedz go było trudno, gdyż nieopodal zwrotnicy droga łamana jest kilkakrotnie w dość śmiałe łuki i zwroty. Milunia mogłaby jeszcze uniknąć zguby, lecz nieszczęsna istota nie myślała ruszyć się z miejsca. Zda się, że oczekiwała pociągu z pewnym niedowierzaniem.

— Marcelko!—powtórzył przez zaciśnięte gardło,— Marcelko, chodź do mnie. Ja umrę z przerażenia... ty mnie zabijesz!

Ona może spostrzegła, że ojciec przestał już żartować, lecz kto wie... może i ją obezwładniła trwoga.

Ukazały się latarnie... stało się... Potężne światła, podobne do oczu ziemskiego Lewiatana, zbliżały się z trudną do opisania szybkością.

Biedny ojciec uległ wrażeniom, wstrząsającym całą jego istotą, całym organizmem. Najprzód dziwne olśnienie... potym nie czuł, nie widział nic zgoła.

Lecz myśl nie mogła się zatrzymać, bieg jej był szybszy od biegu maszyny. Wspomniał w jednej chwili uczciwą przeszłość, nieskalane życie żołnierza, niewolnika wiernego obowiązkom. Wspomniał, że wówczas byłby poświęcił w obronie sztandaru wszystko, co najbardziej ukochał. Widział oczami ducha straszne następstwa, którychby był przyczyną. Zdawało mu się, że słyszy naprzód krzyki rannych, śmiertelne chrapanie konających... I czymże on jest właściwie, że śmie dla obrony dziecka zabijać tyle ofiar... tylu ludzi użytecznych, potrzebnych dzieciom równie pięknym, rozkosznym,

ubóstwianym jak jego Milunia?... Zadanie bardzo trudne do rozwiązania. Ginął w myślach, a każde oka mgnienie, które trudno określić grubą miarą minut i sekund, zbliżało ku niemu szeroko rozwarte oczy potworu, któremu miał koniecznie rzucić na ofiarę jedyne dziecko, lub tamtych—obcych ludzi.

Poczucie obowiązku spotężniało. Machinalnie, wprawnym ruchem automata schwycił żelazo... Pociąg sunie zziajany i groźny... Stoicyzm żołnierza wziął górę nad sercem ojcowskim. Spełnił, co do niego należało, nie wiedząc prawie co czyni. Obowiązek odniósł przewagę.

Kurjer przeszedł. Gdy przemknął na stacji obok drugiego pociągu, wydał świst przeciągły, jak gdyby z radości, że uszedł cało i zniknął w cieniach nocy.

Nieprzytomny prawie, chwiejący się Wawrzyniec stał jeszcze z zaciśniętą dłonią... która zabiła córkę!

— Teraz, szepnął nareszcie, teraz na mnie kolej.

Znowu pociąg miał nadejść. Postąpił kilka kroków i ze skrzyżowanemi na piersiach rękami oczekiwał śmierci.

Sygnał rozdarł powietrze. Dysząc ogniem i parą ciężka maszyna zniknęła w ciemnościach. Bezprzytomny zwrotniczy został na dawnym miejscu...

IV.

Wtym tuż za nim rozległ się śmiech. Odwrócił się.

— O szkaradny ojczuniu, nie chcesz się ze mną bawić!—zawołał ukochany głos anioła.

Dziecko stało przy boku ojca.

Wawrzyniec nie pytał, jakim cudem znajduje ją żywą i całą. Dzikim ruchem ujął dziecko w ramiona i pobiegł do chaty. Posadziwszy ją na ziemi, przy świetle lampy wpatrywał się w ukochane rysy. To ona... to Milunia! Nie mógł pokonać tylu wzruszeń: padł jak martwy u stóp dziecka, które krzyknęło przerażone.

Na tę chwilę weszła Celina. Poznawszy głos Miluni, przyśpieszyła kroku. Zniecierpliwiona zaczęła wołać. Dziecię wybiegło ku niej wołając:

— Mamo, mamo, ja się boję!

— Cóż się stało?

— Tatunio leży!

Celina wpadła do budki i ujrzała męża leżącego na ziemi. Zawołała o pomoc—ludzie się zbiegli. Lekarz będący jeszcze we wsi, przyszedł także: puszczono krew. Biedny ojciec wrócił do życia. Gdy podniósł się naza-

jutrz, by wrócić do pracy, Celina aż krzyknęła ze strachu. Miejsce żywych rumieńców, które go tak zdobiły, zajęła trupia bladość—następstwo przebytej trwogi. Ta bladość na zawsze mu już pozostała. Celina wypytała o przyczynę zemdlenia, Wawrzyniec był zmuszony opowiedzieć prawdę.

Skończywszy opowiadanie, biedny ojciec zwrócił się do córki.

— Figlarko,—spytał—i gdzieżeś się schowała?

— Zrobiłam jak Szymon, upadłam — odpowiedziało dziecię.

Z francuskiego *Kamilla Débaux.*

Oblężenie Częstochowy przez Szwedów.

W dniu 28 listopada miało się rozpocząć oblężenie. Lecz jenerał szwedzki liczył, że ono nie potrwa nad parę dni i że drogą układów zajmie Częstochowę.

Tymczasem ksiądz Kordecki przygotowywał dusze ludzkie. Przystępowano do nabożeństwa, jakby w wielkie i radosne święto, i gdyby nie niepokój i bladość niektórych twarzy, możnaby było przypuszczać, że to wesołe a solenne „alleluja!“ się zbliża. Ozwały się wszystkie dzwony, sam przeor celebrował mszę. Po mszy nabożeństwo nie ustawało jeszcze, wyszła bowiem wspaniała procesja na mury.

Księdza Kordeckiego, niosącego Przenajświętszy Sakrament, prowadzili pod ręce miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki. Przodem szły pacholęta w komżach, niosące trybularze na łańcuszkach, bursztyn i myrrę. Przed i za baldachimem postępowały szeregi białej braci zakonnej, ze wzniesionemi ku niebu głowami i oczyma, ludzie różnego wieku, począwszy od starców zgrzybiałych, skończywszy na młodzieniaszkach, którzy zaledwie do nowicjatu weszli. Żółte płomyki świec chwiały się na wietrze, a oni szli i śpiewali, zatopieni całkiem w Bogu, jakoby niczego więcej na tym świecie niepamiętni. Za niemi widziałeś pogolone głowy szlacheckie, zapłakane oblicza niewiast, ale spokojne pod łzami, wiarą i ufnością natchnięte. Szli i chłopi w sukmanach, długowłosi, do pierwszych chrześcjan podobni; małe

dzieci, dziewczęta i chłopcy, zmieszani w tłumie, łączyli swe anielskie, cienkie głosiki z ogólnym chorałem. I Bóg słuchał tej pieśni, tego wylania serc, tego uciekania się z pod ucisków ziemskich pod jedyną ochronę skrzydeł Bożych. Wiatr ucichł, powietrze się uspokoiło, niebo wybłękitniało, a słońce jesienne rozlało łagodne, bladozłote, lecz ciepłe jeszcze światło na ziemię.

Orszak obszedł raz mury, lecz nie wracał, nie rozpraszał się—szedł dalej. Blaski od monstrancji padały na twarz przeora i ta twarz wydawała się od nich jakoby złota także i promienista. Ksiądz Kordecki oczy trzymał przymknięte, a na ustach miał nieziemski prawie uśmiech szczęścia, słodyczy, upojenia; duszą był w niebie, w jasnościach, w odwiecznym weselu, w niezmąconym spokoju. Lecz jak gdyby stamtąd odbierał rozkazy, aby nie zapomniał o tym ziemskim kościele, o ludziach, i o twierdzy, i o tej godzinie, która miała nadejść, chwilami zatrzymywał się, otwierał oczy, wznosił monstrancję i błogosławił.

Więc błogosławił lud, wojsko, chorągwie kwitnące jak kwiaty, a migotliwe jak tęcza; potym błogosławił mury i wzgórze na okolice patrzące, potym błogosławił działa mniejsze i większe, kule ołowiane, żelazne, naczynia z prochem, dylowania przy armatach, stosy srogich narzędzi do odparcia szturmu służących; potym błogosławił wioskom na dalekościach leżącym i błogosławił północy, południu, wschodowi i zachodowi, jak gdyby chciał na całą okolicę, na całą tę ziemię moc Bożą rozciągnąć.

Biła godzina druga z południa, procesja była jeszcze na murach. A wtym na krańcach, gdzie niebo zdawało się stykać z ziemią i rozciągały się mgły sinawe, w tych mgłach właśnie zamajaczyło coś i poczęło się poruszać, wypełzały jakieś kształty, z początku mętne, które zwierając się stopniowo, stawały się coraz wyraźniejsze. Nagle na końcu procesji rozległ się okrzyk:

— Szwedzi! Szwedzi idą!

Potym zapadła cisza, jakby serca i języki zdrętwiały; dzwony tylko biły dalej. Lecz w ciszy zabrzmiał głos Kordeckiego, donośny, choć spokojny:

— Bracia radujmy się! godzina zwycięstw i cudów się zbliża!

A w chwilę później:

— Pod Twoją obronę uciekamy się, Matko, Pani, Królowo nasza!

Tymczasem chmura szwedzka zmieniła się w niezmiernego węża, który przypełzał jeszcze bliżej. Widać już było jego straszliwe dzwona. Skręcał się, rozkręcał, czasem zamigotał pod światło połyskliwą stalową łuską, czasem ściemniał i pełzł, pełzł, wychylał się z oddalenia...

Wkrótce oczy patrzące z murów mogły już wszystko szczegółowo rozpoznać. Najpierw szła jazda, za nią czworoboki piechoty; każdy pułk tworzył długi prostokąt, nad którym wznosił się w górze mniejszy, utworzony przez dzidy sterczące; dalej, hen, za piechotą wlokły się armaty z paszczami odwróconemi w tył i schylonemi ku ziemi. Leniwe ich cielska, czarne lub żółtawe, połyskiwały złowrogo w słońcu; jeszcze za niemi trzęsły się po nierównej drodze jaszcze z prochem i nieskończony szereg wozów z namiotami i wszelkiego rodzaju sprzętem.

Groźny ale piękny to był widok tego pochodu regularnego wojska, które jakby dla postrachu przedefilowało przed oczyma Jasnogórców. Następnie od całości oderwała się jazda i szła kłusem, kolebając się, jakby poruszana wiatrem fala. Wnet rozpadła się na kilkanaście większych i mniejszych części. Niektóre oddziały przysuwały się ku fortecy; inne w mgnieniu oka rozlały się po okolicznych wioskach w pościgu za łupem; inne nakoniec poczęły objeżdżać twierdzę, oglądać mury, badać miejscowość, zajmować pobliższe budowle. Pojedyńczy jeźdźcy przelatywali ciągle co koń wyskoczy, od większych kup ku głębokim oddziałom piechoty, dając znać oficerom, gdzie można się umieścić.

Tętent i rżenie koni, krzyki, nawoływania, szmer kilku tysięcy głosów i głuchy hurkot armat dolatywały doskonale do uszu oblężonych, którzy dotychczas stali spokojnie na murach, jakby na widowisku, spoglądając zdziwionemi oczyma na ów wielki ruch i krętaninę wojsk nieprzyjacielskich. Doszły wreszcie pułki piechotne i poczęły błąkać się naokolo twierdzy, szukając miejsc najodpowiedniejszych do umocnienia się w pozycjach. Tymczasem uderzono na Częstochówkę, folwark przyległy klasztorowi, w którym nie było wojska, jeno chłopi pozamykani w chałupach.

Pułk Finnów, który doszedł był tam pierwszy, uderzył z wściekłością na bezbronne chłopstwo. Wyciągano ich za włosy z chałup i poprostu zarzynano opornych; gdy resztę ludności wypędzono z folwarku, jazda uderzyła na nią i rozegnała na cztery wiatry.

Parlamentarz z wezwaniem Müllera do poddania zatrąbił jeszcze przedtym do wrót kościelnych, ale obrońcy, na widok rzezi i srogości żołnierskiej w Częstochówce, odpowiedzieli ogniem działowym. Teraz bowiem, gdy ludność miejscowa została wypędzona ze wszystkich pobliższych budowli, a roztasowywali się w nich Szwedzi, należało je zniszczyć coprędzej, by z poza ich zasłony nieprzyjaciel nie mógł szkodzić klasztorowi. Zadymiły więc mury klasztorne naokół, jak boki okrętu otoczonego burzą i rozbójnikami. Ryk dział wstrząsnął powietrzem, aż mury klasztorne zadrżały, a szyby w kościele i zabudowaniach poczęły dźwięczyć. Ogniste kule, w postaci białawych chmurek, opisując złowrogie łuki, padały na schroniska szwedzkie, łamały krokwie, dachy, ściany, i wnet słupy dymu podnosiły się z miejsc, w które kule padały. Pożar ogarniał budynki.

Pułki szwedzkie zaledwie rozmieszczone, umykały co duchu z zabudowań, a niepewne nowych stanowisk, przewalały się w różne strony. Bezład począł się w nie wkradać. Usuwano nieustawione jeszcze działa, by uchronić je przed pociskami. Müller zdumiał; nie spodziewał się ani takiego przyjęcia, ani takich puszkarzy na Jasnej Górze.

Tymczasem nadchodziła noc, a że dowódca szwedzki potrzebował wprowadzić wojska w ład, więc wysłał trębacza z prośbą o zawieszenie broni.

Ojcowie zgodzili się łatwo. W nocy jednak spalono ogromny śpichrz z wielkiemi zapasami żywności, w którym stał pułk westlandzki. Pożar ogarnął budynek tak szybko, pociski zaś padały jeden za drugim tak celnie, że westlandczycy nie zdołali unieść muszkietów, ani nabojów, które też wybuchły w ogniu, roznosząc naokoło głownie płonące.

Szwedzi nie spali w nocy; czynili przygotowania, sypali baterje pod armaty, napełniali kosze ziemią, urządzali obóz. Żołnierz, lubo przez tyle lat wojny i w tylu bitwach zaprawiony, a z natury dzielny i wytrwały, nie czekał radośnie dnia następnego.

Pierwszy dzień przyniósł klęskę. Armaty klasztorne wyrządziły tak znaczne szkody w ludziach, że najstarsi wojownicy w głowę zachodzili, przypisując je nieostrożnemu obejściu fortecy i zbytniemu zbliżeniu się do murów.

Lecz owo jutro, choćby przyniosło zwycięstwo, nie obiecywało sławy, bo czymże było wzięcie nieznacznej

twierdzy i klasztoru dla zdobywców tylu miast znamienitych i stokroć lepiej warownych? Tylko żądza bogatego łupu podtrzymywała ochotę, ale natomiast owa trwoga duszna, z którą polskie sprzymierzone chorągwie postępowały pod przesławną Jasną Górę, udzieliła się jakoś i Szwedom. Tylko, że jedni drżeli przed myślą świętokradztwa, drudzy zaś obawiali się czegoś nieokreślonego, z czego sami nie zdawali sobie sprawy, a co nazywali ogólnym mianem czarów. Wierzył w nie sam Burchard Müller, jakże nie mieli wierzyć żołdacy?

Zauważono zaraz, że gdy Müller zbliżał się do kościola świętej Barbary, koń pod nim stanął nagle, podał się w tył, rozwarł chrapy, stulił uszy i parskając trwożnie, nie chciał naprzód postąpić. Stary jenerał nie pokazał po sobie trwogi, jednak następnego dnia wyznaczył to stanowisko księciu Heskiemu, sam zaś odciągnął z większemi działami w stronę północną klasztoru, ku wsi Częstochowie. Tam przez noc sypał szańce, by z nich nazajutrz uderzyć.

Ledwie tedy rozbłysło na niebie, rozpoczęła się walka altylerji; lecz tym razem pierwsze zagrały działa szwedzkie. Nieprzyjaciel nie myślał zrazu uczynić w murach wyłomu, by przezeń do szturmu uderzyć; chciał tylko przerazić, zasypać kulami kościół i klasztor, wzniecić pożary, podruzgotać działa, pobić ludzi, rozszerzyć trwogę.

Na mury klasztorne wyszła znów procesja, bo nic tak nie krzepiło walczących, jak widok Przenajświętrzego Sakramentu i spokojnie z nim idących zakonników. Działa klasztorne odpowiadały grzmotem na grzmot, błyskawicą na błyskawicę, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersiach starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągnęło się nad klasztorem i kościołem.

Co za chwile, co za widoki dla ludzi!—a wielu takich było w twierdzy, którzy nigdy w życiu nie patrzyli w krwawe oblicze wojny. Ów huk nieustający, błyskawice, dymy, wycia kul rozdzierających powietrze, straszliwy chychot granatów, szczękanie pocisków o bruki, głuche uderzenia o ściany, dźwięk rozbijanych szyb, wybuchy pękających kul ognistych, świst ich skorup, chrobot i trzaskanie dylowań, chaos, zniszczenie piekło!... W czasie tego ani chwili spoczynku, ani oddechu dla wpółzduszonych dymem piersi, coraz nowe sta-

da kul, a wśród zamieszania głosy przerażające w różnych stronach twierdzy, kościoła i klasztoru.

— Pali się! wody! wody!

— Na dachy z bosakami!... Płacht więcej!

Na murach zaś okrzyki rozgrzanych walką żołnierzy:

— Wyżej działo!... wyżej!... pomiędzy budynki!... ognia!...

Około południa dzieło śmierci wzmogło się jeszcze. Zdawać się mogło, że gdy dymy opadną, oczy szwedzkie ujrzą tylko stos kul i granatów na miejscu klasztoru. Kurzawa wapienna ze ścian obitych kulami wzbijała się i mieszając się z dymami, przysłaniała świat.

Huk dział stał się przerywany, ale tak gęsty, jak oddech zdyszanego smoka.

Nagle, na wieży świeżo odbudowanej po zeszłorocznym pożarze, ozwały się trąby wspaniałą harmonją pobożnej pieśni. Płynęła z góry ta pieśń i słychać ją było naokół, słychać wszędy, aż na baterjach szwedzkich. Do dźwięku trąb dołączyły się wkrótce głosy ludzkie i wśród ryku, świstu, okrzyków, łoskotu, grzechotania muszkietów, rozlegały się słowa:

Bogarodzica, dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!...

Tu wybuchło kilkanaście granatów; trzask dachówek i krokwi, a potym krzyk: „wody!“—targnął słuchem i... znów pieśń płynęła dalej spokojnie:

U Twego Syna, hospodyna,
Spuści nam, ziści nam
Chlebny czas, zbożny czas...

Kmicic, stojąc na murach przy dziale, naprzeciw wsi Częstochowy, w której były stanowiska Müllera i skąd największy szedł ogień, odtrącił mniej wprawnego puszkarza i sam pracować zaczął. A pracował tak dobrze, że wkrótce, chociaż to był listopad i dzień chłodny, zrzucił tołub lisi, zrzucił żupan i w samych tylko szarawarach i koszuli pozostał.

Ludziom nieobeznanym z wojną, serce rosło na widok tego żołnierza z krwi i kości, dla którego to wszystko, co się działo, ów ryk armat, stada kul, zniszczenie, śmierć—zdawały się być tak zwyczajnym żywiołem, jak ogień dla salamandry. Brew miał namarszczoną, ogień

w oczach, rumieńce na policzkach i jakąś dziką radość w twarzy. Co chwila pochylał się na działo, cały zajęty mierzeniem, cały oddany walce, na nic niepamiętny; celował, zniżał, podnosił, wreszcie krzyczał: „ognia!“— a gdy Soroka przykładał lont, on biegł na zrąb, patrzył i od czasu do czasu wykrzykiwał:

— Pokotem! pokotem!

Orle jego oczy przenikały przez dymy, kurzawę; skoro między budynkami ujrzał gdzie zbitą masę kapeluszów lub hełmów, wnet druzgotał ją i rozpraszał celnym pociskiem, jakby piorunem.

Chwilami wybuchał śmiechem, gdy większe, niż zwykle, sprawił zniszczenie. Kule przelatywały nad nim i obok,—on nie spojrzał na żadną. Nagle po strzale poskoczył na zrąb, wpił oczy w dal i zakrzyknął:

— Działo rozbite!... Tam teraz jeno trzy sztuki grają!...

Do południa ani odetchnął. Pot zlewał mu czoło, koszula dymiła; twarz miał uczernioną sadzą, a oczy świecące.

Sam pan Piotr Czarniecki podziwiał celność jego strzałów i kilkakrotnie w przerwach rzekł mu:

— Waści wojna nie nowina! To i widać zaraz! Gdzieś się tak wyuczył?

O godzinie trzeciej na baterji szwedzkiej zamilkło drugie działo, rozbite celnym strzałem Kmicicowym. W jakiś czas później resztę pozostałych ściągnięto z szańców. Widocznie Szwedzi uznali tę pozycję za niemożliwą do utrzymania.

Kmicic odetchnął głęboko.

— Spocznij!—rzekł mu Czarniecki.

— Dobrze! jeść mi się chce—odpowiedział rycerz.— Soroka! daj, co masz pod ręką!

Stary wachmistrz uwinął się wprędce. Przyniósł gorzałki w blaszance i ryby wędzonej. Pan Kmicic jeść począł chciwie, podnosząc od czasu do czasu oczy i patrząc na przelatujące nieopodal granaty, tak, jakby patrzył na wrony.

A jednak leciało ich dosyć, nie od Częstochowy, ale właśnie z przeciwnej strony; mianowicie te wszystkie, które przenosiły klasztor i kościół.

— Lichych mają puszkarzów, za wysoko podnoszą działa—rzekł pan Andrzej, nie ustając jeść — patrzcie, wszystko przenosi i idzie na nas!

Słuchał tych słów młody mniszeczek, siedemnasto-

letnie pacholę, które ledwie do nowicjatu wstąpiło. Podawał on ciągle poprzednio kule do nabijania i nie ustępował, chociaż każda żyłka trzęsła się w nim ze strachu, bo pierwszy raz wojnę oglądał. Kmicic imponował mu w niewypowiedziany sposób swym spokojem; i teraz usłyszawszy jego słowa, przygarnął się mimowolnym ruchem ku niemu, jakby chcąc szukać opieki i schronienia pod skrzydłami tej potęgi.

— Zali mogą nas dosięgnąć z tamtej strony?—zapytał.

— Czemu nie!—odpowiedział pan Andrzej. — A co miły braciszku, także się to boisz?

— Panie!—odpowiedziało drżące pacholę,—wyobrażałem sobie wojnę straszną, alem nie myślał, żeby tak była okropna!

— Nie każda kula zabija, inaczejby już ludzi nie było na świecie, bo matki by nie nastarczyły rodzić.

— Najwięcej, panie, strach mi owych kul ognistych, owych granatów. Czemu to one rozpękają się z takim hukiem?... Matko Boża ratuj!... i tak okrutnie ludzi ranią?...

— Ja ci wytłómaczę, zyskasz na eksperjencji, ojczyku. Owóż kula to jest żelazna, a wewnątrz drążona, prochami naładowana. W jednym miejscu ma zaś dziurkę dość małą, w której tuleja z papieru, albo czasem z drzewa siedzi.

— Jezu Nazareński! tuleja siedzi?

— Tak jest! zaś w tulei kłak wysiarkowany, który się przy wystrzale zapala. Owóż kula powinna upaść tuleją na ziemię, by ją sobie wbić do środka, wonczas ogień dochodzi do prochów i kulę rozrywa. Wiele wszelako kul pada nie na tuleję, ale i to nic nie szkodzi, bo przecie jak ogień dojdzie, to wybuch nastąpi...

Nagle Kmicic wyciągnął rękę i począł mówić szybko:

— Patrz! patrz! oto masz eksperyment!

— Jezus! Marja! Józef!—krzyknął braciszek na widok nadlatującego granatu.

Granat tymczasem spadł na majdan i warcząc, wichrząc, zaczął podskakiwać po bruku, wlokąc za sobą dymek błękitny, przewrócił się raz i drugi, przytoczył aż pod mur, na którym siedzieli, wpadł w kupę mokrego piasku, usypaną wysoko aż do blanków i tracąc zupełnie siłę, pozostał bez ruchu.

Padł na szczęście tuleją do góry, lecz kłak nie zgasł, bo dym podniósł się natychmiast.

— Na ziemię!... na twarze!... — poczęły wrzeszczeć przerażone głosy.—Na ziemię! na ziemię!

Lecz Kmicic w tej samej chwili zsunął się po kupie piasku, błyskawicznym ruchem dłoni chwycił za tuleję, szarpnął, wyrwał i wznosząc rękę z palącym się kłakiem, począł wołać:

— Wstawajcie! Jakoby kto psu zęby wyrwał! Już on teraz i muchy nie zabije!

To rzekszy, kopnął leżący czerep. Obecni zdrętwieli, widząc ten nadludzkiej odwagi uczynek i przez czas jakiś nikt słowa nie śmiał przemówić; nakoniec Czarniecki zakrzyknął:

— Szalony człecze! Toż gdyby pękło, na prochby cię zmieniło.

A pan Andrzej rozśmiał się tak szczerze, że aż błysnął zębami jak wilk.

— Albo to nam prochów nie trzeba? Nabilibyście mną armatę i jeszczebym po śmierci napsuł Szwedów!

— Niech że cię kule biją! Gdzie u ciebie bojaźń mieszka?

Młody mniszek złożył ręce i poglądał z niemym uwielbieniem na Kmicica. Lecz widział jego czyn i ksiądz Kordecki, który właśnie zbliżał się w tę stronę. Ten nadszedł, wziął pana Andrzeja obu rękami za głowę, następnie położył na niej znak krzyża.

— Tacy jak ty, nie poddadzą Jasnej Góry!—rzekł— aleć zakazuję żywot potrzebny narażać. Już strzały cichną i nieprzyjaciel schodzi z pola; weźże tę kulę, wysyp z niej proch i ponieś ją Najświętszej Pannie do kaplicy. Milszy jej będzie ten podarunek, niźli te perły i jasne kamuszki, któreś jej podarował!

— Ojcze!—odrzekł rozrzewniony Kmicic — co tam wielkiego!... Jabym dla Najświętszej Panny... Ot! słów w gębie nie staje!... Jabym na męki, na śmierć... Jabym nie wiem co był gotów uczynić, byle jej służyć...

I łzy błysły w oczach pana Andrzeja, a ksiądz Kordecki rzekł:

— Chodźże do Niej i z temi łzami, póki nie obeschną. Łaska Jej spłynie na ciebie, uspokoi cię, pocieszy, sławą i czcią przyozdobi!

To rzekszy, wziął go pod ramię i poprowadził do kościoła, pan Czarniecki zaś spoglądał za niemi czas jakiś, wreszcie rzekł:

— Siła widziałem w życiu odważnych kawalerów,

którzy za nic sobie pericula ważyli, ale ten Litwin to chyba d...

Tu uderzył się w gębę pan Piotr, aby sprośnego imienia w świętym miejscu nie wymówić.

Z „Potopu“ *Henryka Sienkiewicza.*

Rozsadzenie kolubryny przez Kmicica.

W klasztorze oglądano szkody. Były znaczne. Oprócz ludzi zabitych, spostrzeżono, że i mur tu i owdzie został nadwątlony. Najstraszliwszą okazała się jedna olbrzymia kolubryna, od południowej strony stojąca. Zbiła ona mur do tego stopnia, naodrywała tyle kamieni, cegieł, że łatwo było przewidzieć, iż jeśli ogień potrwa jeszcze parę dni, znaczna część muru obsunie się i runie.

Wyłomu, jakiby się w takim razie uczynił, nie możnaby już założyć ani belkami, ani ziemią, ani nawozem. To też ksiądz Kordecki okiem pełnym troski spoglądał na owe spustoszenia, którym nie był w stanie zapobiedz.

Tymczasem w poniedziałek poczęto znów atak i olbrzymie działo szerzyło dalej wyłom. Spotykały jednak i Szwedów różne klęski. O zmierzchu tego dnia szwedzki puszkarz zabił na miejscu siostrzeńca Müllera, którego jenerał kochał jak własnego syna i zamierzał mu wszystko przekazać, począwszy od nazwiska i sławy wojennej, skończywszy na fortunie. Tymbardziej zapaliło się serce starego wojownika nienawiścią.

Mur przy południowej baszcie tak już był popękany, że w nocy poczęto przygotowania do szturmu ręcznego. Żeby tym bezpieczniej piechota mogła zbliżyć się do twierdzy, kazał Müller rzucić w ciemności cały szereg małych szańców, aż do samej pochyłości. Lecz noc była widna, a biały blask od śniegu zdradzał ruchy nieprzyjaciela. Działa jasnogórskie rozpraszały robotników, zajętych ustawianiem tych parapetów, złożonych z faszyny, płotów, koszów i belek.

Na świtaniu spostrzegł pan Czarniecki gotową maszynę oblężniczą, którą już przytaczano ku murom. Lecz oblężeni zgruchotali ją działami bez trudu; nazabijano przytym tylu ludzi, że dzień ten mógłby zwać się dniem

zwycięstwa dla oblężonych, gdyby nie owa kolubryna, wątląca ciągle mur z niepohamowamą siłą.

Następnych dni nastała odwilż i mgły roztoczyły się tak gęste, że księża przypisywali je działaniu złych duchów. Już nie można było dostrzedz ni machin wojennych, ni przystawianych parapetów, ni prac oblężniczych. Szwedzi zbliżali się pod same mury klasztorne. Wieczorem, Czarniecki, gdy przeor obchodził jak zwykle mury, wziął go na bok i rzekł zcicha:

— Źle, ojcze wielebny. Nasz mur dłużej niż dzień nie wytrzyma.

— Może też te same mgły i im strzelać przeszkodzą,—odrzekł ksiądz Kordecki—a my tymczasem szkody jakoś naprawimy.

— I mgły nie przeszkodzą, bo owo działo raz narychtowane, może prowadzić i po ciemku dzieło zniszczenia, a tu gruzy walą się i walą.

— W Bogu nadzieja i w Najświętszej Pannie.

— Tak jest! Ażeby tak wycieczkę uczynić?... Chodźby ludzi natracić, byle tego smoka piekielnego udało się zagwoździć?

Wtym zaczerniała jakaś postać w tumanie i Babinicz pojawił się koło rozmawiających.

— Patrzę, kto mówi, bo twarzy nie można o trzy kroki rozpoznać—rzekł.—Dobry wieczór, ojcze czcigodny. A o czym mowa?

— Mówimy o tym dziale. Pan Czarniecki radzi wycieczkę... Te mgły szatan rozwiesza... już nakazałem egzorcyzmy...

— Ojcze kochany - rzekł pan Andrzej. — Od czasu jak kolubryna trzaska nam mur, ciągle o niej myślę i coś mi przychodzi do głowy... Wycieczka na nic... Ale chodźmy gdzie do izby, to wam moje zamysły wyłuszczę.

— Dobrze,—odrzekł przeor—chodźcie do mojej celi.

Wkrótce potym zasiedli przy sosnowym stole w ubogiej celi przeorskiej. Ksiądz Kordecki i pan Czarniecki pilnie patrzyli w młodą twarz Babinicza, on zaś rzekł:

— Tu wycieczka na nic. Spostrzegą i odbiją. Tu jeden człowiek musi poradzić!

— Jakto?—spytał pan Czarniecki.

— Musi jeden człowiek pójść i to działo prochami rozsadzić. A może to uczynić, póki takie mgły panują. Najlepiej, żeby poszedł w przebraniu. Tu kolety podobne są do szwedzkich. Jak nie będzie można inaczej, to się między Szwedów wśliźnie, jeśli zaś z tej strony

szańca, z której pysk kolubryny wygląda, niema ludzi, to jeszcze lepiej.

— Dla Boga! cóż ten jeden człowiek uczyni?

— Potrzebuje tylko puszkę z prochem działu w pysk włożyć z nitką prochową wiszącą i nitkę podpalić. Gdy prochy buchną, działo kaduk... chciałem powiedzieć: pęknie!

— Ej, chłopcze! co też gadasz? Małoż to prochu codzień w nie tkają, a nie pęka?

Kmicic rozśmiał się i pocałował księdza w rękaw habita.

— Ojcze wielebny, wielkie w was serce, bohaterskie i święte...

— At, daj pokój!—przerwał ksiądz.

— I święte—powtórzył Kmicic,—ale się na armatach nie znacie. Inna rzecz, gdy prochy buchną w tyle armaty, bo wtedy wyrzucają kule i impet przodkiem wylatuje; ale gdy kto niemi wylot zatka i zapali, to niemasz takiego działa, któreby ten eksperyment wytrzymać mogło. Spytajcie się pana Czarnieckiego. Toż gdy w rusznicy śniegiem się rura zapchnie, już ją przy strzale impet rozsadzi. Taka to siła szelmowska! Cóż dopiero gdy cała puszka przy wylocie wybuchnie?... Spytajcie pana Czarnieckiego.

— Tak to jest. Nie są to żadne dla żołnierza arkana!—rzekł Czarniecki.

— Owóż, gdyby tę kolubrynę rozsadzić—mówił dalej Kmicic,—wszystkie inne furda!

— Widzi mi się to rzecz niepodobna — rzekł na to ksiądz Kordecki, — bo najprzód, kto to się podejmie uczynić?

— Okrutny jeden ladaco — odrzekł pan Andrzej,— ale rezolutny kawaler, zowie się Babinicz.

— Ty?—zawołali razem ksiądz i pan Piotr Czarniecki.

— Ej! ojcze dobrodzieju! Toż ja u was u spowiedzi byłem i do wszystkich moich praktyk szczerze się przyznałem. Były między niemi nie gorsze od tej, którą zamierzam; jakżeto możecie wątpić, czy się podejmę? Zali mnie nie znacie?

— To bohater, to rycerz nad rycerze, jak mi Bóg miły!—zakrzyknął Czarniecki.

I chwyciwszy Kmicica za szyję, mówił dalej:

— Dajże gęby za samą ochotę, dajże gęby!

— Pokażcie inne remedium, to nie pójdę—rzekł

Kmicic,—ale widzi mi się, że jakoś tam sobie poradzę. I pamiętajcie o tym, że ja po niemiecku gadam, jakbym klepką i wańczosami w Gdańsku handlował. To siła znaczy. Bylem przebranie miał, niełatwo odkryją, żem nie z ich obozu. Ale tak myślę, że tam nikt przed wylotem armaty nie stoi, bo niezdrowo i że robotę zrobię, nim się obejrzą.

— Panie Czarniecki, co o tym waszmość sądzisz?— spytał nagle przeor.

— Na stu jeden chyba powróci z takiej imprezy— odrzekł pan Piotr,—ale audaces fortuna juvat!

— Bywało się w gorszych opałach—rzekł Kmicic,— nic mi nie będzie, bo takie moje szczęście! Ej, ojcze kochany, i co za różnica! Dawniej człek dla pokazania się, dla próżnej sławy lazł w hazard, a teraz na cześć Najświętszej Panny. Choćby też i przyszło nałożyć głową, co mi się nie widzi, powiedźcie sami: możnali komu chwalebniejszej śmierci życzyć, jak owo za taką sprawę?...

Ksiądz długo milczał, nakoniec rzekł:

— Perswazją, prośbami, błaganiem bym cię wstrzymywał, gdybyś sobie jeno do sławy słać drogę pragnął, ale masz słuszność, że tu chodzi o cześć Najświętszej Panny, o ten święty przybytek, o kraj cały! A ty, mój synu, czyli szczęśliwie wrócisz, czyli palmę osiągniesz, sławę, szczęście najwyższe, zbawienie osiągniesz. Przeciw sercu powiadam ci więc: idź, ja cię nie wstrzymuję!... Modlitwy nasze, opieka Boska pójdą z tobą...

— W takiej kompanji pójdę śmiele i rad zginę!

— A wracaj, żołnierzyku Boży, a wracaj szczęśliwie, bośmy cię tu pokochali szczerze. Niechże cię Rafał święty prowadzi i odprowadzi, moje dziecko, mój synaczku kochany!...

— To ja zaraz przygotowania poczynię—rzekł wesoło pan Andrzej, ściskając księdza, — przebiorę się po szwedzku w kolet i koliste buty, prochy naładuję, a wy tymczasem, ojcze, egzorcyzmy jeszcze na tę noc wstrzymajcie, bo mgła potrzebna Szwedom, ale potrzebna i mnie.

— A nie chcesz-li wyspowiadać się przed drogą?

— Jakżeby inaczej! Bez tegobym nie poszedł, bo djabełby miał przystęp do mnie.

— To od tego zacznij.

Pan Piotr wyszedł z celi, a Kmicic klęknął przy księdzu i oczyścił się z grzechów. Potym zaś wesoły jak ptak poszedł czynić przygotowania.

W godzinę, dwie później, wśród głębokiej już nocy zapukał znowu do celi księdza przeora, gdzie pan Czarniecki czekał także na niego.

Obaj z księdzem ledwie go poznali, taki z niego był Szwed wyśmienity. Wąsy podkręcił pod oczy i rozczapierzył na końcach, nałożył kapelusz na bakier i wyglądał zupełnie na jakiegoś rajtarskiego oficera znakomitego rodu.

— Dalibóg, aż człek mimowoli za szablę ima na jego widok!—rzekł pan Piotr.

— Świecę zdaleka!—zawołał Kmicic—coś wam pokażę!...

I gdy ksiądz Kordecki skwapliwie usunął świecę, pan Andrzej położył na stole kiszkę długą na półtorej stopy, a grubą jak ramię tęgiego męża, uszytą ze smolistego płótna i wyładowaną do twarda prochem. Z jednego jej końca zwieszał się długi sznurek, ukręcony z kłaków przesyconych siarką.

— No!—rzekł — jak onej kolubrynie tę dryakiew w gębę włożę i sznureczek podpalę, to jej się brzuch rozpęknie!

— Lucyper by się rozpękł— zakrzyknął pan Czarniecki.

Lecz wspomniał, że nieczystego imienia lepiej nie wymawiać i uderzył się w gębę.

— A czymże sznureczek zapalisz? — spytał ksiądz Kordecki.

— Wtym jest całe periculum wyprawy, bo muszę ogień krzesać. Mam krzemień grzeczny, hubkę suchą i krzesiwo z przedniej stali, ale hałas się uczyni i mogą coś pomiarkować. Sznurka, mam nadzieję, że już nie ugaszą, bo będzie wisiał armacie u brody i ciężko go nawet będzie dostrzedz, zwłaszcza, że się będzie tlił chciwie, ale za mną mogą się w pogoń puścić, a ja prosto do klasztoru nie mogę uciekać.

— Czemu nie możesz?—pytał ksiądz.

— Bo wybuchby mnie zabił. Jak tylko skrę na sznurku zobaczę, muszę zaraz w bok pezgać co siły w nogach i ubiegszy z pół sta kroków, pod szańcem na ziemi przyspać. Dopiero po wybuchu będę rwał ku klasztorowi.

— Boże, Boże, ileżto niebezpieczeństwa! — rzekł przeor, wznosząc oczy ku niebu.

— Ojcze kochany, tak jestem pewien, że do was wrócę, że się mnie nawet rzewliwość nie ima, która

w podobnej okazji powinna mnie ułapić. Ale nic to! Bądźcie zdrowi i módlcie się, żeby mi Pan Bóg pofortunił. Odprowadźcie mnie jeno do bramy!

— Jakżeto? Zaraz chcesz iść?—pytał pan Czarniecki.

— Mamże czekać aż rozednieje, albo aż mgła opadnie? Czy to mi głowa nie miła?

Lecz nie poszedł tej nocy pan Kmicic, bo właśnie kiedy doszli do bramy, jak na złość, ciemność poczęła się rozjaśniać. Słychać było przytym jakiś ruch przy olbrzymim dziale.

Bibl. Jag.

Nazajutrz zrana przekonali się oblężeńcy, że przetoczono je w inne miejsce. Odebrali bowiem Szwedzi jakoweś doniesienie o wielkiej słabości muru nieco opodal, na zawrocie, koło południowej baszty i tam postanowili skierować pociski. Może i ksiądz Kordecki nie był obcy tej sprawie, gdyż poprzedniego dnia widziano starą Kostuchę, wychodzącą z klasztoru; używano zaś jej głównie, gdy chodziło o rozsiewanie między Szwedami fałszywych doniesień. Bądźcobądź byłto z ich strony błąd, — bo oblężeńcy mogli tymczasem naprawić w dawnym miejscu mur, silnie już nadwątlony, a czynienie nowego wyłomu musiało znów zabrać kilka dni.

Noce ciągle były jasne, dnie zgiełkliwe. Strzelano ze straszliwą usilnością. Duch zwątpienia znów zaczął przelatywać nad oblężonemi. Byli tacy między szlachtą, którzy poprostu chcieli się poddać; niektórzy zakonnicy stracili także serce. Opozycja nabierała siły i powagi. Ksiądz Kordecki stawiał jej czoło z niepohamowaną energją, ale zdrowie jego poczęło szwankować.

Tymczasem Szwedom nadchodziły nowe posiłki i transporty z Krakowa, mianowicie straszliwe pociski, kształtu rur żelaznych, napełnionych prochem i ołowiem. Te więcej jeszcze strachu, niż szkód przyczyniły oblężonym.

Kmicic, od czasu jak powziął zamiar wysadzenia prochem kolubryny, przykrzył sobie w fortecy. Codzień też z utęsknieniem spoglądał na swoją kiszkę. Po namyśle uczynił ją jeszcze większą, tak, że miała blizko łokiec długości, a gruba była jak cholewa.

Wieczorem z murów rzucał chciwe spojrzenia w stronę działa, potym niebo rozpatrywał, jak astrolog. Ale księżyc jasny, rozświecający śnieg, udaremniał ciągle jego przedsięwzięcie.

Aż nagle przyszła odwilż, chmury zawaliły widnokrąg i noc uczyniła się ciemna, choć oko wykol. Pan

Andrzej wpadł w taki humor, jakby go kto na sułtańskiego dzianeta wsadził i ledwie północ uderzyła, znalazł się przy panu Czarnieckim w swoim rajtarskim stroju i z kiszką pod pachą.

— Idę!—rzekł.

— Czekaj, dam znać przeorowi.

— A dobrze. No, panie Piotrze, daj gęby i ruszaj po księdza Kordeckiego.

Czarniecki pocałował go serdecznie i zawrócił. Ledwie uszedł ze trzydzieści kroków, zabielał przed nim ksiądz Kordecki. Domyślił on się sam, że Kmicic wyruszy i szedł go pożegnać.

— Babinicz gotów. Czeka tylko na waszą wielebność.

— Śpieszę, śpieszę!—odpowiedział ksiądz. — Matko Boska, ratujże go i wspomagaj!

Po chwili stanęli obaj przy przechodzie, gdzie pan Czarniecki zostawił Kmicica, lecz pana Andrzeja nie było już ani śladu.

— Poszedł!...—rzekł ze zdumieniem ksiądz Kordecki.

— Poszedł!—odrzekł pan Czarniecki.

— A zdrajca!...—mówił z rozrzewnieniem przeor — chciałem mu jeszcze ten szkaplerzyk na szyję włożyć...

Umilkli obaj; milczenie było dokoła, bo dla zbyt ciemnej nocy nocy nie strzelano z obu stron. Nagle pan Czarniecki szepnął żywo:

— Jak mi Bóg miły, tak nawet nie stara się iść cicho! Słyszysz wasza wielebność kroki. Śnieg chrzęści!

— Najświętsza Panno! osłaniajże sługę swego!— powtórzył przeor.

Czas jakiś słuchali obaj pilno, dopóki raźne kroki i chrzęst śniegu nie ucichły.

— Wie wasza wielebność co?—poszepnął Czarniecki—chwilami myślę, że mu się uda i nic się o niego nie boję. To bestja, poszedł tak, jakby szedł pod wiechę gorzałki się napić... Co za fantazja w tym człeku! Albo on nałoży wcześnie głową, albo hetmanem zostanie. Hm, żebym go nie znał sługą Marji, myślałbym, że ma... Dajże mu Boże szczęście, daj mu Boże, bo takiego drugiego kawalera niemasz w Rzeczypospolitej...

— Tak ciemno, tak ciemno!—rzekł ksiądz Kordecki—a oni się od czasu waszej nocnej wycieczki strzegą. Może na cały szereg wpaść, ani się obejrzy...

— Tego nie myślę; piechota stoi, to wiem i pilnują się bardzo, ale przecie stoją na szańcu, nie przed szań-

cem, nie przed wylotami własnych armat. Jeśli kroków nie usłyszą, to może się łatwo pod szaniec podsunąć, a potym go sama wyniosłość osłoni... Uf!

Tu sapnął i urwał pan Czarniecki, bo z oczekiwania i trwogi serce poczęło mu bić jak młotem, a w piersiach mu tchu nie stało.

Ksiądz począł żegnać ciemności. Nagle trzecia osoba stanęła przy dwóch rozmawiających. Był to pan miecznik sieradzki.

— A co tam?—spytał.

— Babinicz poszedł na ochotnika prochami kolubrynę rozsadzać.

— Jakto? Co?

— Wziął kiszkę z prochem, sznur, krzesiwo... i poszedł.

Pan Zamojski ścisnął sobie głowę dłońmi.

— Jezus Marja! Jezus Marja!—rzekł—Sam jeden?

— Sam jeden.

— I kto jemu pozwolił? Tożto jest niebezpieczeństwo!...

— Ja! Dla mocy Bożej wszystko jest podobne, nawet i powrót jego szczęśliwy—odpowiedział ksiądz Kordecki.

Zamojski umilkł. Czarniecki począł parskać ze wzruszenia.

— Módlmy się!—rzekł ksiądz.

Klękli we trzech i zaczęli się modlić. Ale niepokój podnosił włosy na głowie dwom rycerzom. Upłynął kwadrans, potym pół godziny, potym godzina, długa jak wieki.

— Już chyba nic nie będzie!—rzekł pan Piotr Czarniecki.

I odetchnął głęboko.

Nagle w odległości buchnął olbrzymi słup ognia i huk, jakby wszystkie gromy nieba zwaliły się na ziemię, huk ten wstrząsnął murami, kościołem i klasztorem.

— Wysadził! wysadził!—począł krzyczeć pan Czarniecki.

Nowe eksplozje przerwały mu dalsze słowa.

A ksiądz rzucił się na kolana i wzniósszy ręce do góry, wołał ku niebu:

— Matko Najświętsza! Opiekunko, Patronko, wróć go szczęśliwie!

Gwar uczynił się na murach. Załoga, nie wiedząc co się stało, chwyciła za broń. Z cel poczęli wypadać

zakonnicy. Nikt już nie spał. Nawet niewiasty zerwały się ze snu. Pytania i odpowiedzi poczęły się krzyżować, jak błyskawice:

— Co się stało?

— Szturm!

— Działo szwedzkie pękło! — wołał jeden z puszkarzy.

— Cud! Cud!

— Działo największe pękło! Ta kolubryna!

— Gdzie ksiądz Kordecki?

— Na murach! Modli się! On to sprawił!

— Babinicz działo wysadził—wołał pan Czarniecki.

— Babinicz! Babinicz! Chwała Pannie Najświętszej! Już nam nie będą szkodzili!

Jednocześnie odgłosy zamieszania poczęły dolatywać i ze szwedzkiego obozu. Na wszystkich szańcach zabłysły ognie. Słychać było coraz większy rejwach. Przy świetle ognisk widziano masy żołnierzy, poruszających się bezładnie w rozmaite strony; zagrały trąbki, bębny warczały ciągle; do murów dolatywały krzyki, w których brzmiała trwoga i przerażenie.

Kordecki klęczał ciągle na murze.

Nakoniec noc poczęła blednąć. Lecz Babinicz nie wracał do twierdzy.

* *
*

Co tedy działo się z panem Andrzejem i jakim sposobem zdołał przywieść zamiar swój do skutku?

Wyszedłszy z twierdzy, postępował czas jakiś krokiem pewnym i ostrożnym. Przy samym końcu pochyłości przystanął i słuchał. Cicho było naokół, zacicho nawet, tak, że kroki jego chrzęściły po śniegu. W miarę też, jak oddalał się od murów, postępował coraz przezorniej. I znowu stanął i znowu słuchał. Bał się trochę pośliznąć i upaść, a to, aby swej drogocennej kiszki nie zamoczyć, więc wydobył rapir i wspierał się na jego ostrzu. Pomogło to wielce.

Tak macając przed sobą drogę, po upływie pół godziny usłyszał lekki szmer wprost przed sobą.

— Ha! czuwają... Wycieczka nauczyła ich ostrożności!—pomyślał.

I szedł dalej bardzo już wolno. Cieszyło go to, że nie zbłądził, bo ciemność była taka, że końca rapiru nie mógł dojrzeć.

— Tamte szańce są znacznie dalej... więc idę dobrze!—szepnął sobie.

Spodziewał się też nie zastać przed szańcem ludzi, bo właściwie mówiąc, nie mieli tam co robić, zwłaszcza po nocy. Mogło tylko być, że na jakieś sto lub mniej kroków stały pojedyńcze straże, ale miał nadzieję łatwo je przy takiej ciemności wyminąć. W duszy było mu wesoło.

Kmicic nietylko był człek odważny, lecz i zuchwały. Myśl rozsadzenia olbrzymiej kolubryny radowała do głębi jego duszę, nietylko jako bohaterstwo, nietylko jako niepożyta dla oblężonych przysługa, ale jako okrutna psota wyrządzona Szwedom. Wyobrażał sobie, jak się przerażą, jak Müller będzie zębami zgrzytał, jak będzie poglądał w niemocy na owe mury, i chwilami śmiech pusty go brał.

I jak sam poprzednio mówił: nie doznawał żadnej rzewliwości, ni strachów, niepokojów, ani mu do głowy nie przychodziło, na jak straszne sam naraża się niebezpieczeństwo. Szedł tak, jak idzie żak do cudzego ogrodu szkodę w jabłkach czynić. Przypomniały mu się dawne czasy, kiedy to Chowańskiego podchodził i nocami wkradał się do trzydziestotysięcznego obozu w dwieście takich jak sam zabijaków.

Kompanjonowie stanęli mu na myśli: Kokosiński, olbrzymi, Kulwiec Hippocentaurus centkowany, Ranicki z senatorskiego rodu i inni; więc westchnął na chwilę za niemi.

— Zdaliby się teraz, szelmy!—pomyślał—możnaby jednej nocy ze sześć armat rozsadzić.

Tu trochę ścisnęło go uczucie samotności, ale na krótko. Wnet pamięć przywiodła mu przed oczy Oleńkę. Miłość ozwała się w nim z niezmierną siłą. Rozczulił się... Żeby choć ta dziewczyna mogła go widzieć, dopieroby uradowało się w niej serce. Myśli ona może jeszcze, że on Szwedom służy... A pięknie służy! zaraz im się przysłuży! Co to będzie, jak ona się dowie o tych wszystkich hazardach?... Co ona sobie pomyśli? Pomyśli pewnie: „Wicher on jest, ale jak przyjdzie do rzeczy, czego inny nie uczyni, to on uczyni; gdzie inny nie pójdzie, on pójdzie!... Taki to ten Kmicic“!

— Jeszcze ja nietyle dokażę—rzekł sobie Andrzej i chełpliwość owładnęła go zupełnie.

Jednakże mimo tych myśli nie zapomniał, gdzie

jest, dokąd idzie, co zamierza czynić i począł iść jak wilk na nocne pastwisko. Obejrzał się za siebie raz i drugi. Ni kościoła, ni klasztoru. Wszystko pokryła gruba, nieprzenikniona pomroka. Miarkował jednak po czasie, że musiał już dojść daleko i że szaniec może być tuż, tuż.

— Ciekawym czy straże są?—pomyślał.

Lecz nie zdołał ujść jeszcze dwóch kroków od chwili, w której sobie zadał to pytanie, gdy nagle przed nim rozległ się tupot miarowych kroków i kilka naraz głosów spytało w różnych odległościach:

— Kto idzie?

Pan Andrzej stanął jak wryty. Uczyniło mu się nieco ciepło.

— Swój—odezwały się inne głosy.

— Hasło?

— Upsala!

— Odzew?

— Korona!...

Kmicic zmiarkował w tej chwili, że to straże się zmieniają.

— Dam ja wam Upsalę i koronę!—mruknął.

I uradował się. Była to dla niego okoliczność nader pomyślna, bo mógł linję straży przejść w chwili zmiany wart, gdy stąpania żołnierzy głuszyły jego własny krok.

Jakoż tak uczynił bez najmniejszej trudności i szedł za wracającemi żołnierzami dość śmiało, aż do samego szańca, tam oni wykręcili, by go obejść, on zaś posunął się szybko ku fosie i ukrył się w niej.

Tymczasem rozwidniło się cokolwiek. Pan Andrzej i za to podziękował niebu, inaczej bowiem nie mógłby poomacku znaleźć upragnionej kolubryny. Teraz zadzierając z rowu głowę do góry i wytężając wzrok, ujrzał nad sobą czarną linję, oznaczającą brzeg szańca i równie czarne zarysy koszów, między któremi stały działa.

Mógł nawet dojrzeć ich paszcze wysunięte nieco nad rowem. Posuwając się zwolna wzdłuż rowu, odkrył nareszcie swoją kolubrynę. Wówczas stanął i począł nasłuchiwać.

Z szańca dochodził szmer. Widocznie piechota stała wedle dział w gotowości. Ale sama wyniosłość szańca zakrywała Kmicica, mogli go usłyszeć, nie mogli zobaczyć. Teraz chodziło mu tylko o to, czy z dołu po-

trafi dostać się do otworu armaty, która wznosiła się wysoko nad jego głową.

Na szczęście boki rowu nie były zbyt spadziste, a oprócz tego nasyp świeżo uczyniony, lubo polewany wodą, nie zdołał zamarznąć, gdyż od niejakiego czasu panowała odwilż.

Wymiarkowawszy to wszystko, Kmicic począł drążyć cicho dziury w pochyłości szańca i piąć się zwolna ku armacie.

Po kwadransie pracy zdołał ręką chwycić się za otwór armaty. Przez chwilę zawisnął w powietrzu, lecz niepospolita jego siła pozwoliła mu utrzymać się tak, dopóki nie zasunął kiszki w paszczę armaty.

— Naści piesku kiełbasy!—mruknął—tylko się nią nie udław!

To rzekszy, spuścił się na dół i począł szukać sznurka, który przyczepiony do zewnętrznego końca kiszki, zwieszał się w rów.

Po chwili zmacał go ręką. Lecz teraz przychodziła największa trudność, bo należało krzesać ognia i sznurek zapalić.

Kmicic zatrzymał się przez chwilę, czekając aż szmer nieco większy uczyni się między żołnierzami na szańcu.

Nakoniec począł uderzać zlekka krzesiwem w krzemień. Lecz w tej chwili nad głową jego rozległo się w niemieckim języku pytanie:

— A kto tam w rowie?

— To ja, Hans! — odrzekł bez wahania Kmicic — stempel mi djabli do rowu wzięli, więc krzeszę ogień, by go znaleźć.

— Dobrze, dobrze—odrzekł puszkarz.—Szczęście, że się nie strzela, bo samo powietrze łeb by ci urwało.

— Aha!—pomyślał Kmicic—więc kolubrynka prócz mego naboju, ma jeszcze swój własny. Tym lepiej.

W tej chwili wysiarkowany sznurek zajął się i delikatne iskierki poczęły biedz ku górze po jego suchej powierzchni.

Czas był zmykać, Kmicic więc puścił się, nie tracąc minuty, wzdłuż rowu, co sił w nogach, nie bardzo już zważając na hałas, jaki uczynił. Lecz gdy ubiegł jakieś dwadzieścia kroków, ciekawość przemogła w nim poczucie straszliwego niebezpieczeństwa.

— Nuż sznurek zgasł, wilgoć jest w powietrzu!— pomyślał.

I zatrzymał się. Rzuciwszy za siebie spojrzenie,

ujrzał jeszcze iskierkę, ale już nierównie wyżej, niż ją zostawił.

— Ej, czy ja nie zablizko?—rzekł sobie i strach go zdjął.

Puścił się znowu całym pędem, nagle trafił na kamień—upadł. Wtym huk straszliwy rozdarł powietrze; ziemia zakolebała się, rozrzucone szczątki drzewa i żelaza, kamienie, bryły lodu, ziemia, zaświstały mu koło uszu i tu skończyły się jego wrażenia.

Potym rozległy się nowe kolejne wybuchy. To jaszcze z prochem, stojące w pobliżu kolubryny, eksplodowały od pierwszego wstrząśnienia.

Lecz pan Kmicic już tego nie słyszał, leżał bowiem jak martwy w rowie.

Z „Potopu“ *Henryka Sienkiewicza.*

Szczerbiec.

Legiendowa i historyczna to nazwa miecza, przypasywanego każdemu królowi polskiemu podczas obrzędu koronacji. Nazwa ta wzięła swój początek od chwili, gdy Bolesław Chrobry, wjeżdżając do Kijowa, uderzył mieczem w „Złotą bramę“ i wyszczerbił go. Taką tradycję i nazwę „szczyrzbek“ mamy już zapisaną w roku 1250.

Że bohaterski Piast, wjeżdżając do stolicy Rusi, uderzył mieczem w bramę, to nie ulega wątpliwości, bo było to tylko spełnieniem symbolicznego zwyczaju wszystkich zdobywców średniowiecznych, a miecz, który wyszczerbił się o „Złotą bramę“ stał się pamiątką narodową i był użyty przy koronacji pięciu królów z rodu Piasta, począwszy od Chrobrego do Przemysława Wielkopolskiego.

Faktem jest jednak, że po tej ostatniej koronacji insygnja koronacyjne, zapewne podczas rządów Wacława, króla polskiego i czeskiego, przepadły, i kiedy Władysław Łokietek, łącząc dzielnice rozbitego państwa, postanowił ukoronować się w r. 1320, musiał nowe insygnja sporządzić, które odtąd zostały koronacyjnemi przez 5 wieków.

Gdy miecz Łokietka stał się mieczem koronacyjnym, rzecz prosta, że przez tradycję nazwany został „szczerbcem“ i przez potomne pokolenia uznawany za szczerbiec Chrobrego. Kiedy w r. 1795 podczas postoju Prusaków na Wawelu zginęły insygnja i klejnoty koronne, zaginął i mniemany szczerbiec Bolesławowski, a właściwie Szczerbcem tylko nazwany miecz koronacyjny Łokietka. Dopiero na wystawie paryskiej r. 1878 ukazał się pod tą nazwą miecz ze zbiorów Bazylewskiego, który nabyty został później do Ermitażu cesarskiego w Petersburgu, gdzie znajduje się obecnie.

Miecz ten opisany szczegółowo w Enc. Staroż. przez p. Feliksa Koperę, jest dziełem sztuki z w. XIII, a wszystko przemawia za tym, że jest on autentycznym mieczem koronacyjnym Łokietka i jego następców, zaginionym w r. 1795 na Wawelu.

Z Encyklopedji Staropolskiej.

Przyjazd Jadwigi.

Już Polacy stracili wszelką prawie nadzieję ujrzenia Jadwigi na ziemi swojej, gdy w pierwszych dniach października 1384 r. nadbiegły starożytnym traktem tatrzańskim naprzód doniesienia o jadącej królewnie, a wkrótce potym nadciągnął sam dwór podróżny.

Właściwym przewodnikiem całej wyprawy był kardynał—arcybiskup strygoński, Dymitr. Przy jego boku, jako drugi opiekun królewny, znajdował się biskup czanadzki Jan. Pod opieką tych kapłanów, śród świetnej służby szlachetnych matron i panien, już to konno na bogato przystrojonym bachmacie, już to w dużej „kolebce“ o złocistych ozdobach i kilku podtrzymujących ją z boku pajukach, jechała trzynastoletnia królowa polska.

Z powodu niepokojów domowych w Węgrzech, wymagających obecności Elżbiety przy boku starszej córki Marji, nie mogła matka towarzyszyć Jadwidze do Polski. Ona jednak przyzwyczajona, skutkiem dłuższego pobytu w Wiedniu, do rozłąki z domem, a żywym obdarzona umysłem, nie okazywała żalu ze swego osamotnienia. W miarę, jak zbliżała się do stolicy,—zajeżdżali jej

drogę wszyscy znaczniejsi urzędnicy korony i łączyli się z dworem wędrownym.

Zanim mieszczaństwo krakowskie wyszło z powitaniem naprzeciw niemu, otoczyli Jadwigę świetnym tłumem stary Różyc Dobiesław, młody Spytek z Melsztyna, Jaśkowie z Tęczyna i z Tarnowa, Mikołaj Ossoliński, Krzesław z Chodowa, Sędziwój z Szubina i wielu innych. Za niemi pośpieszyli także prałaci polscy z arcybiskupem Bodzantą, Janem, biskupem krakowskim, zwanym Radlicą i Dobrogostém poznańskim.

Zapanowała radość niepomierna. Ujrzano Jadwigę dojrzalszą od dziecinnego wieku swojego: ujrzano ją nadobną, jak mało dziewic lat onych. Z czystego jej czoła jaśniała skromność, z ust rozumne płynęły słowa. To też nie było miary zachwyceniu i afektom prałatów i panów małopolskich.

Zapomniawszy zgoła, iż są mężami — nadmienia surowy kronikarz—nie sromali się najuniżeńszego posłuszeństwa tak znamienitej i cnotliwej niewieście.

W coraz bliższej drodze ku stolicy nad Wisłą, zadziwiły młodzieńczą królowę najbardziej żupy w Bochni i Wieliczce. Wreszcie rozległa się przed oczami Jadwigi korona polskości—Kraków.

Roztaczał się gród ten na dolinie u stóp ostatniego podgórza Karpat, przedzielonego od niego błyszczącą wstęgą Wisły. Od strony gór oblewała go dawna Białawoda narodów, cisnąca się tu przeciwko swojemu przeznaczeniu upornie ku południowi. Opuściwszy bowiem dla niego najpierwej swój pierwotny bieg między górą Wawel a miastem, ażeby się rozlać bardziej południowym korytem między Stradomiem a Kazimierzem, opuściła później także to nowe łoże, obrócone po zamuleniu w spławny kanał przez Kazimierza W., aby jeszcze bliżej ku południowym skierować się Krzemionkom.

Od zachodu i wschodu obejmowały południową część stolicy przyboczna Wiśle Rudawa i toż stare koryto Wisły. Dalej ku północy, z prawa i z lewa, jedną tylko kleparską stroną wolny od miasta pozostawiając przystęp, chroniły je moczary i jeziora. Poza temi naturalnemi warowniami wznosiły się malownicze wzgórza, strojne w cisowe i modrzewiowe gaje, a w nieco znaczniejszej odległości sterczały graniczne słupy mnogich dokoła krajów, jako to: Szląska czeskiego, Moraw, Węgier, Rusi, Litwy, Podola, do którego położenia mierząc, mawiano niegdyś: „Kraków w pośrodku.“

Owóż w pośrodku takich bliższych i dalszych miedz, w objęciu warownych wałów i fos, rozpościerało się miasto z okrągła, przestronnie, półkolisto ku północy od Kielc, cieśniej, w przydłuższą zwężone szyję ku zamkowi nad Wisłą.

I było ono coś podobne do lutni okrągłością swą, a Grodzka ulica z zamkiem była właśnie jako szyja u lutni. Miało też coś podobnego do orła, którego głowę reprezentuje zamek, Grodzka ulica szyję, przedmieścia zasię około niego są jako skrzydła jakie.

Pierwsze, co uderzało w tym orle, to jego głowa koronna, „wyższy“ zamek krakowski. Przydatek „wyższy“ nie zdawał się za dni Jadwigi tak zbytecznym, jak później, gdyż nad Krakowem XVI stulecia czuwały z dwu stron dwa zamki. Od wschodniej strony, na prawym skrzydle miasta, gdzie późniejszy kościół N. Panny na Gródku, wznosił się zamek „mniejszy,“ czyli tak zwany Grodek, niegdyś siedziba wójtów krakowskich, po buncie wójta Alberta przebudowana w twierdzę. Ze strony południa panował nad miastem „większy“ zamek, na „wielkim“ usadowiony Wawelu.

Jak bowiem dwa zamki, tak były też w ówczesnym Krakowie dwa Wawele, właściwiej Wąwele albo Wąwle. „Małym“ Wąwlem, czyli Wąwelnicą zwano późniejszą Skałkę. Wielki Wawel uwieńczony był zamkiem królewskim, zawierającym w obwodzie swoich murów jakoby miasteczko osobne, bo oprócz głównej świątyni katedralnej, jeszcze kilka innych kościołów jak np. św. Jerzego i Michała. Większą część tych murów zamkowych wzniósł wielki budowniczy całej Polski, Kazimierz.

Zresztą strzegły jeszcze Krakowa z północy i południa dwie inne twierdze, dwie warownie duchowne. Były to dwa przesławne kościoły, błogie miastu zawartemi w nich świętościami. Jeden, południowy na Skałce, przechowywał zwłoki św. Stanisława, patrona całego kraju; drugi, północny na Kleparzu, słynął zwłokami św. Florjana, patrona miasta w niebezpieczeństwie ogniowym. A któreż z miast doznawało częściej tego niebezpieczeństwa nad Kraków, to starodawne miasto pożarów, „nieustającym zgliszczem“ nazwane od nich, wieczyście jak Feniks odradzające się z gruzów!...

Owóż w obliczu tej nadobnie poza Wisłą rozścielonej stolicy, przyjęła Jadwigę na Krzemionkach, czyli tak zwanej górze Lasoty, świąteczna procesja duchowieństwa, mieszczaństwa i ludu krakowskiego. Po cho-

rągwiach kapituły i klasztorów ciągnęło pod swoją własną chorągwią dostojne grono panów rajców krakowskich, jaśniejących bogatym jedwabnym strojem, srebrzystemi pasami, czyli, jak wówczas mówiono, „obręczami,“ aksamitnemi kołpakami i przypiętym u pasa kordelasem. Za orszakiem „konsulów“ postępowały mniej okazałe grona i proporce cechów rozlicznych. Na chorągwi radzieckiej były wyszyte herb i złociste klucze stolicy; z proporca cechu każdego powiewało właściwe każdemu znamię, z podobnym wizerunkiem kluczów miejskich.

Za zbliżeniem się królowej, wszystkie chorągwie głęboki oddawały jej pokłon. Za czym szła zwyczajna ofiara podarku powitalnego. Składał on się pospolicie z drobnostki, mając jedynie wartość symboliczną, jako znak hołdu i danniczości. Podarkowi zaś, chorągwiom i oznakom radości ludu towarzyszył rozgłos wrzawnej muzyki, nieodbicie potrzebny przy każdej uroczystości ówczesnej. Grzmiały różnego rodzaju trąby, surmy, fletnie, piszczałki; wtórzyły im równie głośne okrzyki tłumów, a umyślnie z kasy miejskiej ku uczczeniu przyjazdu królewskiego opłacani trefnisie i kuglarze rubasznemi figlami i żartami rozweselali pochód ku miastu.

U bram stolicy oczekiwały Jadwigę nowe sceny przyjęcia. Tam przy odgłosie licznych dzwonów krakowskich witała zwyczajnie przybywających do miasta królów strojna procesja najnadobniejszych dziewic, ubranych w barwę radości, w biel, z zapalonemi świecami w ręku, z wesołym śpiewem na ustach. Nie brakowało w powszechnym wylaniu się stanów, nawet młodzieży szkolnej, śpiewającej głośno za grosz. Najulubieńszym atoli godłem uciechy bywały niezmiernie gęste światła i świece, jarzące się w ręku duchowieństwa i ludu, w powywieszanych przed domami latarniach, owszem, w ogromnych stosach ognistych, nieconych swawolnie po ulicach i placach miejskich.

Śród takich oznak radości, tym zapewne weselszych, iż młodocianą, prawie jeszcze dziecinną powitać i zabawić miały królowę, minęła Jadwiga mało dotąd zabudowaną, tylko świątyniami pańskiemi jako tako zapełnioną przestrzeń Kazimierza, i nie widząc jeszcze właściwego miasta Krakowa, wjechała z całym swoim dworem na zamek.

Ostatni krok każdej dłuższej podróży prowadził podówczas zwyczajnie do świątyni. Tam też w progi

katedry zamkowej skierowała dziewica krakowska niewątpliwie swe pierwsze kroki. Wynoszono w takim razie naprzeciw gościowi koronnemu najprzedniejsze relikwje, po których ucałowaniu zostawiała ręka królewska bogatą ofiarę na ołtarzu.

Otwarły się wreszcie podwoje zamkowe przed Jadwigą. Po jakież tam pożycie, po szczęście-li, czy cierpienia wstąpiła w nie córka Ludwika?

Wesołe usposobienie tamtoczesnej ludności miejskiej nie potrzebowało tak ważnego zdarzenia, jakim dla Polski stał się przyjazd Jadwigi, aby całe miasto w głośną wprawić uciechę. Długo po zamknięciu bramy grodzkiej za nowoprzybyłym dworem trwały w mieście rozrywki, pląsy i krotochwile. Blizka koronacja królowej wróżyła jeszcze większą wesołość. Po koronacji zostawała równie świetna uroczystość przyszłych zaślubin Jadwigi, tak błogie nadzieje budzących w całym narodzie.

K. Szajnocha.

Koronacja Jadwigi.

Obrzęd koronacyjny odbył się już w kilka dni po przybyciu młodej królowej, jak się zdaje, w sam dzień świętej Jadwigi, w niedzielę, 15 października.

Zgromadzili się dnia tego zrana w zamku krakowskim wszyscy dostojnicy koronni, najprzedniejsi panowie świeccy i wszelkie obecne w Krakowie duchowieństwo. W niemałej jego liczbie odznaczał się przybyły z Węgier przewodnik i doradca Jadwigi, arcybiskup strygoński i legat papieski w Polsce, kardynał Dymitr, mający w swoim towarzystwie czanadzkiego biskupa Jana. Duchowieństwu polskiemu przodkowali: arcybiskup gnieźnieński Bodzanta i biskup krakowski Jan Radlica.

Po zmówieniu wstępnej modlitwy i pokropieniu Jadwigi wodą święconą, wyruszył dwór cały w uroczystym pochodzie ku poblizkiej katedrze. Przodem ciągnęli panowie i szlachta świecka, za niemi panowie duchowni: opaci z pastorałami w infułach, biskupi w szatach pontyfikalnych, arcybiskup polski z arcybiskupem-kardynałem węgierskim. Po nich postępowali dygnita-

rze koronni z insygnjami władzy królewskiej: koronę niósł zwyczajnie kasztelan krakowski; berło—wojewoda krakowski, jabłko i szczerbiec—inni wojewodowie. Teraz wszystkie te klejnoty spoczywały w skarbcu węgierskim, a przed Jadwigą chyba inne jakieś dzierżono znaki.

Tuż za temi godłami, pod baldachimem złocistym, przez resztę panów i urzędników trzymanym, szła czternastoletnia królowa w stroju koronacyjnym, w kapłańskiej albie, tunice, dalmatyce, w sandałach złocistych, w kapie czyli płaszczu królewskim, z rozpuszczonemi włosami. Przy boku młodocianej królowej znajdowało się kilka niewiast dostojnych, mianowicie jedna i druga z ksień i przeoryszek krakowskich. Towarzyszyły wreszcie orszakowi koronacyjnemu tłumy dworzan i szlachty z zapalonemi świecami, a zamykało go liczne grono trębaczy i flecistów, przygrywających ochoczo pochodowi.

Za wnijściem do kościoła, gdzie w pośrodku na podniesieniu ustawiony był tron królewski, złożono insygnja królewskie na ołtarzu. Królowa otoczona orszakiem dworskim, powstała u stopni tronu. Rozpoczęła się msza święta. Przed odczytaniem Ewangielji przystąpiła królowa do ołtarza. Arcybiskup zapytał ją, czy chce zachowywać wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu. Odpowiedź królowej: „Chcę, tak mi, Boże, dopomóż!“—miała wagę przysięgi. Poczym Jadwiga uklękła, a arcybiskup w Oleju świętym namazał palec wielki, aby namaścić krzyże i prawe ramię królowej. Zastosowana do tego suknia koronacyjna odchyliła się z łatwością dokoła ramion.

Skończywszy tę ceremonję, wziął arcybiskup koronę z ołtarza i włożył ją na skronie Jadwigi. Zagrzmiały wszystkie trąby i fletnie, wzniósł się stugłośny okrzyk na cześć nowej królowej. Po odczytaniu Ewangielji odprowadzono ją znowu do tronu, uścielanego z kosztownych złotogłowiów, gdzie Jadwiga usiadła. Aby ciężka, dużemi kamieniami wysadzona korona nie gniotła zbyt długo skroni dziewiczych, podnieśli ją dwaj dostojnicy koronni nieco w powietrze i trzymali ją tak przez cały czas ponad głową.

Jak podówczas w kościele katedralnym, tak dziś przed oczyma naszemi siedzi Jadwiga w okazałości królewskiej na rzeźbie wielkich pieczęci majestatycznych. Widzimy tam w bardzo misternej robocie na tronie, w kształcie gotycko-rzeźbionego ołtarza, o dwóch szero-

ce rozwartych podwojach czyli niszach, tejże samej struktury, młodocianą, wyniosłą postać dziewiczą. Pod rozsłonionym płaszczem królewskim rysuje się smukła kibić w obcisłym, aż pod szyję zapiętym stroju. Wysoka korona na głowie osobliwszym uderza kształtem. Składa się ona naprzód z szerokiej, kamieniami wysadzonej obrączki, z której wysokiemi łodygami wystrzelają dokoła lilje rozkwitłe. Pomiędzy każdą parą kwiatów tkwi niższy pręcik liljowy, zakończony pączkiem zamkniętym. Roztworzyste kielichy wyższych lilji unoszą się ponad niemi nadobnym wieńcem u góry.

Jest to może owo „liljami ozdobne“ ubranie głowy, które sławna babka Elżbieta zapisała testamentem Jadwidze. Z pod korony spływają dokoła, według francuskiej onego czasu mody, długie szerokie wstęgi. Prawa ręka trzyma wysokie berło, rozkwitające podobnież liljowym w górze kielichem. W niszach z prawa i z lewa stoją dwaj aniołowie. Obocza i podnóża tronu ozdobione są herbami główných ziem polskich. Wiszą takie wizerunki pieczęciowe u pergaminów na jedwabiu zielonym i czerwonym.

W dalszym ciągu mszy, przy offertorjum, zstąpiła królowa z tronu i w szczerozłotym naczyniu złożyła chleb i wino na ołtarzu. Za przykładem królowej każdy z panów ofiarował, co łaska. Poczym wróciwszy na tron, pozostała tam Jadwiga aż do komunji kapłańskiej. Wtedy udała się jeszcze raz do ołtarza i uklęknąwszy w pokorze, przyjęła Ciało i Krew Pańską. Był to ostatni akt ceremonji kościelnej. Na zakończenie ozwał się znów gwarny chór trąb i fletni. Przy ich ciągłym odgłosie wrócił cały orszak koronacyjny tym samym porządkiem w bramy zamkowe. Czekała tam wszystkich świetna w obecności królowej uczta. Jadwiga zasiadła przy niej na przygotowanym u stołu tronie. Goście chwalili sobie w takim razie nad wszystko „obfitość wina i ryb.“

Karol Szajnocha.

Ksiądz Augustyn Kordecki.

Ksiądz Kordecki urodził się w Iwanowicach, w byłym województwie Kaliskim, dnia 16 listopada 1603 ro-

ku z rodziców ubogich mieszczan. Imię swoje światowe, Klemens, podług obyczajów zakonnych, przyjmując habit, zamienił na Augustyna. Będąc kapłanem surowych obyczajów, prawego i nieugiętego charakteru, a zdolności niepospolitych, musiał zwrócić uwagę Zgromadzenia swego. Był więc najsamprzód przeorem w Oporowie, następnie w Pińczowie, a od r. 1657 na Jasnej Górze w Częstochowie.

Ksiądz Kordecki był też obrany prowincjałem Paulinów w Polsce i na Szląsku w roku 1657—1660, i 1671, i na tym dostojeństwie aż do śmierci pozostał. Gorliwie pełnił obowiązki, bo pomimo podeszłego wieku i sił upadających, przez całą zimę ostrą i mroźną 1673 r. objeżdżał klasztory paulińskie. W Wieruszowie d. 16 marca, odbywając wizytę tamtejszego klasztoru, wpadł w obłożną niemoc. Daremną była troskliwość wikarego prowincji, który na wieść smutną o słabości Kordeckiego, pośpieszył doń, sprowadziwszy lekarza z Kalisza i lekarstwa z Wielunia. Świętobliwy mąż, okryty nieśmiertelną sławą i wdzięcznością narodu, w cztery dni, dnia 20 marca, w samo południe, oddał Bogu ducha.

Zakonnicy częstochowscy, świadkowie jego czynów w oblężeniu Jasnej Góry i towarzysze boju, bo przy jego boku sami walczyli, przenieśli jego zwłoki i pochowali je w grobach klasztornych. Wizerunek Kordeckiego, olejno malowany w całej postaci, został przechowany w krużganku klasztoru Częstochowskiego. Przed laty wystawiono na wałach klasztornych pomnik Kordeckiemu, na jaki sobie zasłużył oddawna.

A oto co mówi Adam Mickiewicz o tym mężu:

Wśród straszliwych nieszczęść, które Szwedzi na kraj Polski sprowadzili, jeden oddział wyprawił się na Częstochowę, żeby złupić głośne od wieków nagromadzone skarby w klasztorze Jasnej Góry. Spodziewano się wziąć forteczkę bez wielkiego zachodu; nie przewidywano, że o tę małą opokę, na której stał obronny kościołek, miało rozbić się całe powodzenie Szwedów. Ale w zaciszu klasztornym znajdował się mąż, jedyny podobno, co natenczas w Polsce umiał wznieść się nad wszelkie rachuby polityczne i militarne; znajdowała się tam dusza najmocniejsza i najczystsza z dusz polskich. Walka pod murami Częstochowy natężała się tak wysoko, że poruszone tym sposobem tętno powszechnych uniesień przejęło Polaków jednym uczuciem, zrobiło ich niezwyciężonemi.

Człowiek, co odegrał tę wielką rolę, nazywał się Augustyn Kordecki i był przeorem księży Paulinów na Jasnej Górze. Opuszczony od swoich, musiał siłą własną zniewalać ich do boju. Ale kapłan był spokojny i mężny, bo czuł w sobie Boga, któremu służył i przewidywał zwycięstwo nad Szwedami. On sam zostawił nam opisanie wytrzymanego oblężenia, skreślone z prostotą godną pióra bohatera.

Pierwszy oddział wojska, wysłany pod Częstochowę, składał się najwięcej z Polaków, którzy przyłączyli się do Szwedów. Dowodził nim Jan hrabia na Wrzeszczowicach Wejhard, dawniej dobroczyńca klasztoru, teraz usłużny stronnik Karola Gustawa. Chciał on skłonić mnichów, żeby dobrowolnie uznali władzę jego pana i twierdzę swoją wydali w ręce komendanta, naznaczonego od jenerała szwedzkiego. Ale księża po krótkiej naradzie odpowiedzieli, iż boją się Boga, nie lękają się nieprzyjaciół i gotowi są umrzeć w obronie religji i króla. Wejhard był katolik i Polak, odpowiedź ta miała dla niego gorycz wyrzutu sumienia; powziął stąd nieubłaganą nienawiść ku cnotliwym zakonnikom i postanowił z ziemią zrównać tę, jak nazywał, jaskinię zagorzalców. Po kilku jednak daremnych próbach, nie mogąc sam niczego dokonać, usunął się ku Krzepicom i wezwał jenerała Millera. Niedługo też potym nadciągnął Miller w 8,000 wojska z 20 działami polowemi. Załoga Jasnej Góry składała się: ze 160 żołnierzy, 68 mnichów i 50 szlachty, którzy się tu z rodzinami i służbą schronili; wogóle ledwo było 409 ludzi, zdolnych do broni. Zresztą nie brakowało na zasobach. W Polsce sami tylko księża umieli coś utrzymać porządnie, i jedyna twierdza dobrze opatrzona znajdowała się właśnie w ręku Paulinów.

Miller posyłał najprzód parlamentarzy, grożąc zakonnikom, jeśliby się nie poddali, a groźby te nie były próżne, bo podług ówczesnego prawa wojny, po wzięciu miasta szturmem, wszystko tępiono ogniem i mieczem. Szwedzi zaś wojowali okrutnie i szczególniej srożyli się przeciw duchownym katolickim. Wysłańcami od jenerała oblegającego bywali Polacy: ci w dobrej wierze, mając opór tak szczupłej siły za nieużyteczną ofiarę, starali się przekonać oblężonych, że nie mogą już w niczym pokładać nadziei i powinni uledz konieczności; przemawiali do nich głosem rozsądku. Ale rada zakonników słuchała ich mowy ze smutkiem, odpowiedzi żadnej nie dano i rezolucję odłożono do jutra. Miller,

zniecierpliwiony rokowaniem, przystąpił do szturmu. Jedna wycieczka pod dowództwem Piotra Czarnieckiego, udaje się pomyślnie. Szwedom, odpartym aż do obozu, zabito kilku oficerów i zagwożdżono kilka dział.

Tymczasem Miller sprowadza z Krakowa pułk artylerji oblężniczej; nadzieje oblężonych ze wszech stron nikną, duch załogi upada, żołnierze wołają o kapitulację, zanosi się na rokosz w twierdzy. Przeor znowu zgromadza radę wojenną zakonników, aresztuje dowódcę milicji, wygania kilku kanonjerów, przedsiębierze różnego rodzaju środki, stawi przy każdym oddziale walczących biegłego teologa, żeby ich zagrzewał, każe wykonywać nową przysięgę na wierność i przygotowany dostatecznie, wytrzymuje jedno z najgwałtowniejszych uderzeń.

Wśród tego szturmu, kiedy przeszło pięćset pocisków działowych padło na sam dziedziniec klasztorny, kiedy jedni walczyli na wałach, drudzy biegali po dachach, gasząc wszczęty ogień, reszta księży, otoczonych ludnością niezdolną do broni, modliła się w kościele. Nagle nad ich głowami zabrzmiała muzyka i ozwał się hymn do Boga Rodzicy. Było to dziełem kościelnej orkiestry, która z własnego pomysłu wstąpiła na galerję najwyższej wieży i zaintonowała pieśń świętą. Słodka harmonja, przy strasznym huku dział, wlewając w serca pociechę i odwagę, oddawała tę jeszcze przysługę, że szkaradne bluźnierstwa Szwedów nie dochodziły uszu niewiast i dzieci. Postanowiono, aby odtąd zawsze, podczas najmocniejszego nawet ognia, kapela grała na tym miejscu. Ale przybycie dział burzących zachwiało umysły i szlachty obecnej w twierdzy; wyjąwszy dwóch, wszyscy nalegali już na przeora, żeby wszedł z nieprzyjacielem w układy, mianowicie kiedy w dzień narodzenia Najświętszej Panny, Szwedzi, jakby umyślnie mieszając uroczystość, przypuścili atak potężny. Przeor jednak potrafił jeszcze przytłumić trwogę, nie pozwolił nawet wziąć się do broni, póki się nabożeństwo nie odbyło, chociaż podczas procesji koło kościoła, kule i gruzy murów padały pod nogi. Miller tego dnia nie odniósł żadnej korzyści, owszem, utracił swego dowódcę artylerji.

Posłani od niego Polacy nie przestawali używać perswazji i postrachów, ale napróżno. Ostatnia próba przyszła na Kordeckiego. Księża nawet, zwłaszcza młodzi i mniej doświadczeni, poczęli wątpić i szemrać. Nakoniec szlachta zbiegła się odbierać z twierdzy żony

i dzieci, jak z domu zagrożonego pożarem. Niezmierna odpowiedzialność ciężyła na głowie biednego zakonnika, nie ugiął się jednak, przewidując, że gdyby wysłał kogokolwiek, pozostali straciliby ufność, nie pozwolił więc wypuszczać nikogo, powiedział, że sam ręczy za bezpieczeństwo wszystkich i ma środki ich uchronić.

Walka trwała dalej i każdy dzień wymagał niesłychanych wysileń, aż nareszcie doszła wieść o zwycięstwach Stefana Czarnieckiego, o powrocie króla do Polski i wkrótce potym Miller odstąpił od Częstochowy.

A. Mickiewicz.
Kurs Literatury Słowiańskiej.

Mickiewicz jako przyjaciel.

Mickiewicz dowiedział się od jenerała Umińskiego, któremu Stefan Garczyński, dawny jego adjutant, jaśniej stan swój wytłumaczył, że choroba jego wzmaga się szybko. Zadrżał na wieść o tym niebezpieczeństwie i zapomniał o „Panu Tadeuszu.“ Nie wiedział tylko, jak i gdzie wyruszyć. 6 maja 1833 r. napomknął Garczyńskiemu o trudnościach połączenia się z nim: „Trudno nam z miejsca ruszać, paszportów niema, do Niemiec nie puszczają, a przekradszy się, trudno z powrotem wrócić. Finanse też w lichym stanie.“ Gdy Garczyńskiego doktorzy wyprawiali już ku cieplejszym stronom, liczył on, że zjedzie się z Adamem w Strasburgu. „Do Strasburga mnie trudno niesłychanie—odpisał mu Adam—dla zupełnego braku funduszów i kłopotów paszportowych. Jeżeli mi przyjdzie spodziewany w tych dniach sukurs, będę się starał koniecznie pojechać do Szwajcarji, aby się z tobą spotkać.“

— Marzyły mi się,—pisze 14 maja Garczyński—odbierając te objaśnienia, dziwy nie dziwy... Strasburg niedaleko Paryża, myślałem sobie, może Adam przyjedzie, zobaczymy się, ożyję. Rozchwiałeś mi wszystko!

Takie lamenty były rozkazem dla przyjaciela. Garczyński 5 czerwca doniósł Adamowi, że jedzie do Bazylei, a stamtąd na Bern do Bex. Mickiewiczowi udało się uzyskać paszport do Szwajcarji i 8 lipca stanął w Bex. Czuwanie Adama nad dogorywającym przyja-

cielem jest według słów Ignacego Domejki, „pięknym epizodem z jego życia i maluje serce jego.“

— Smutne,—pisał Adam do Domejki,—i rozdzierające duszę było widzenie się nasze. Patrząc na twarz Stefana, tak bladą i smutną, przewracało mi się w sercu.

Z Bex przeniósł się Adam z chorym do Genewy. Garczyński coraz upadał na siłach, często dziwaczył, troszczył się o drugi tom swych dzieł, obawiał się, aby prenumeratorowie, nie odbierając go, nie posądzili go o oszustwo, podejrzewał Domejkę, że po wyjeździe Adama wszystko w kąt rzucił.

— Trzeba zatym,—pisał Adam do Ignacego,—kochane dziecko uspokoić. Nie sposób było w tych warunkach Adamowi pracować; z biedą przepisał pieśń czwartą „Pana Tadeusza,“ a 29 sierpnia wyruszył z Genewy do Ljonu, a z Ljonu dopłynął Rodanem do Avignonu. Możesz wystawić sobie, — pisał 7 września 1833 roku do Domejki,—biedę podróży z chorym, którego na ręku z pojazdu do mieszkania dźwigać trzeba, w kraju, gdzie oberżyści, spojrzawszy mu w oczy i widząc w nich niewiele życia, przyjmować nie chcą! Podróż była tak uciążliwa, osobliwie dla Mickiewicza, że już także chorować zaczął.

Przyjaciele Adama, na wieść, że niedomaga, postanowili posłać mu kogoś na pomoc. Bohdan (Zaleski) wziął to na siebie i w liście, pod datą 7 września, o swoim zamiarze uwiadomił Domejkę.

— Nie wdając się dłużej w żadne targi z sumieniem, jadę do Avignonu, skoro tylko odbierzem wiadomość, że męczennicy nasi stanęli na miejscu. Istotnie w drużynie Adama jam najmożniejszy i mnie najłatwiej wystarać się o paszport, a zatym na mnie to przypada braterska kolej, na mnie ciąży chrześcijański obowiązek. Z natury mojej kozackiej czuję w sobie powołanie na pocieszyciela. Darmo! nie łudźmy się naszą modlitwą! Niema rady, Garczyński musi skończyć jak Kamil (Mochnacki). Wiem, jaką zawieruchę i rozstrojenie sprawi to nieubłagane fatum w całej organizacji Adama, tak zbytnio czułej i drażliwej. Należy nieustannie czuwać nad nim i pielęgnować jak najstaranniej. Zbytnia czułość jest rzeczą zmysłową i niechrześcijańską. Mam całą zbrojownię gotowych pocisków, które jak kartacze pękać będą na sto śmiertelnych rozłamów. Zresztą zawrzasnę mu do ucha dumkę naszą:

Niech łza ziemska, chociaż szczera,
Rajskich snów nie płoszy z powiek!
Płaczmy, gdy się rodzi człowiek,
A weselmy, gdy umiera!“

Pod tą istotnie kozacką filozofją kryły się u Bohdana braterskie współczucie i rzewność, które mogły Adama orzeźwić i pocieszyć. Ale nie zaraz się zeszli. Adam nie zachęcał Bohdana do tej podróży:—Nic tu wesołego, ani przyjemnego was nie czeka,—pisał do Domejki 12-go września.—Stefana kochanego zdrowie tak okropnie zniszczone! Nadziei żadnej.

Zaleski pomimo tego listu puścił się w drogę, lecz dopiero po śmierci Stefana odnalazł Adama w Ljonie. Na szczęście, przyjaciel Garczyńskiego, wielkopolanin Pągowski, dopędził go w Avignonie i Mickiewicz mógł wyjechać do Marsylji, niby się starać o paszport do Włoch, dokąd się rwał biedny chory. Wybierając się, 12 września pisał do Domejki:—Nie uwierzycie, co to jest patrzyć ciągle na takie gaśnięcie miłej osoby!

Wróciwszy 18 września z Marsylji, Mickiewicz znalazł Garczyńskiego bardzo zmienionego. Pani Klaudyna Potocka przybyła w wigilję do Avignonu i konającemu poecie „osłodziła ostatnie chwile na ziemi.“ Garczyński zasnął w Bogu 20 września. Udzielając 13 listopada Odyńcowi szczegółów o zgonie Garczyńskiego, Adam jeszcze podziwiał Klaudynę Potocką.

— Nieraz nawet Stefanowi, w czasie jego choroby, nie mogłem wstrzymać się, aby co przykrego nie powiedzieć, albo milczeniem zagniewanym karciłem dziwactwa słabości, którym trzeba przebaczyć. My, mężczyźni, nigdy nie osiągniemy doskonałości moralnej w pobłażaniu i w przebaczaniu: przekonałem się o tym, patrząc na Potocką.

Jak miłość własna jest cechą mierności, tak uwielbienie dla wielkości drugich znamionuje dusze niepospolite. Potocka, niepomna własnych trudów i poświęceń, unosiła się nad Adamem, pisząc do Odyńca:—Mickiewicz dzień i noc nie odstępuje Stefana. Duszę jego w gienjuszu przeczułam, a z podziwieniem, ze łzami na niego patrzę. Wyższy jest od nas wszystkich sercem, cnotą, duszą, jak jest i gienjuszem wyższy od wybranych.

Władysław Mickiewicz.
(Żywot Adama Mickiewicza).

Myśliwstwo króla Stefana.

Ciężki kamień spadł Batoremu z serca, kiedy nareszcie w początkach 1582 roku stanął pokój Zapolski. Nie wszystko poszło wprawdzie po myśli i woli dzielnego bohatera. Pod murami Pskowa zasępiło się jego pogodne czoło, długie niepowodzenie pod tą warownią napełniło goryczą duszę, a kłopoty pieniężne, po ukończeniu wojny, odbierały swobodę myśli. Ale troski te prędko minęły. Do serca wstępować zaczęła nowa otucha. Po głowie śmiałego wojownika już inne znów snuły się pomysły szerokie, wielkie, do których nieraz czerpał świeżych sił i natchnienia, wsłuchując się samotnie w szum borów nadniemeńskich, oddychając balsamicznym powietrzem niepołomskich lasów, lub wzrok bystry topiąc w bezdennych przestrzeniach równin Mazowsza podczas licznych swych wypraw łowieckich.

Dzielny bohater z pod Gdańska, Połocka i Wielkich Łuk z rozkoszą zawsze witał tę chwilę, ten dzień, kiedy mógł nareszcie duszne powietrze sejmowej sali albo ograniczone widoki w mieście zamienić na balsamiczną woń lasów lub rozległe widnokręgi na szerokich polach myśliwskich popisów. Choćby tam nawet we śnie słodko marzył o swej sławie, zdobytej pod murami miast warownych, choćby śnił o dalszych zwycięstwach nad Turkiem, sięgając śmiało w przyszłość, prędko potrafiło go zbudzić „kwilenie“ sokołów. A jak niegdyś tam w Dziśnie, będąc zajęty wielkiemi pomysłami wśród nieustannych zajęć, wśród mniej wygodnej drogi nie lenił się „o wschodzie słońca na zające wyjeżdżać,“ tak zaiste i w Grodnie i w Niepołomicach, w Białowieży lub Kudzynie nie dał łowcom o świcie zebranym długo czekać na siebie. Wiedział o tym król-myśliwiec, że z sokołami najlepiej polować w rannej porze. Nie obcym to było i Ludwikowi XIII, który jeszcze namiętniej niż nasz król oddawał się łowieckim zabawom. Król francuski, nim się na mszę ranną udał do kaplicy, wprzód odbył o wschodzie słońca polowanie.

Rumiany przedświt wiosenny lub jesienny zapewnie też nieraz oświecał taką czeredę myśliwców, zgromadzonych przed dworem królewskim, gdy Batory miał się ukazać, aby z całym orszakiem nadwornym puścić się na łowy. W powietrzu rozlegały się wdzięczne głosy grających ptaków, które już swe gniazda o wczes-

nym ranku porzuciły. Ich świegotanie, coraz weselsze, przerywają swym kwileniem nadworne rarogi i sokoły, rżą niecierpliwie konie i psów słychać szczekanie. Już wszystko w pogotowiu. Nadworny łowczy, pan Jan Krzysztoporski, który po Chybickim wszedł na tę godność dworską, zaprowadził wszędzie ład i porządek i pędząc na rączym rumaku, jeszcze po raz ostatni przebiega okiem szeregi myśliwców i łowczych.

Już wszyscy, jak się zdaje, zajęli swe miejsca na szybkich i lekkich koniach. Tam na prawo, jakby na skrzydle wojska, stanął w dziedzińcu zamkowym czy dworskim niewielki oddział sokolników, których sprawia Łukasz Biedrzycki, ptasznik zawołany, wierny sługa królewski. Najprzedniejsza pod jego dowództwem... rzesza ptasia, w dziwnym przedstawia się nieładzie. Białozory tu i ówdzie porozsiadały się na karkach i głowach koni. Ich białośnieżne pierze na czubkach i na szyi odbija jaskrawo od ciemnej maści wroniego rumaka. Wyuczony koń już przywykł do ostrych szponów sokoła, a sokół także się już oswoił z ruchami niespokojnego bieguna. Jedne białozory, o stępionym nieco wzroku nie mają na głowie żadnych „czapek,“ innym zaś bystrzejszym i lotniejszym powkładano na oczy różnobarwne kapturki. Kto mocniejszy a wytrzymalszy, sam trzyma na prawym ręku białozora, który w grubą, skórzaną rękawicę jeźdźca zapuścił swe skrzywione szpony i trzyma się silnie jakby na gałęzi drzewa albo na chropowatej skale. Inni znów ptasznicy inaczej sobie unosili sokoła; on siada im na ramieniu, z ramienia w lot się puszcza i zwabiony na ramię wraca.

Między tą czeredą sokolników i ptaszników różna tam gwara panuje. Nim w pole wyruszą, jeszcze każdy coś przemówi to do konia swego, to do sokoła, do towarzysza wreszcie najbliższego. Biedrzycki tam oczywiście sprawia swych podwładnych po polsku, choć z Rusi pochodzi i we Lwowie przystał do służby dworskiej; ale dwaj Niemcy sokolnicy, Ludwik i Szmalder, niedawno przyjęci, zapewnie jeszcze w niemieckiej mowie zachęcają do przyszłych popisów swych wychowańców z ptasiego rodu. A są tam w liczbie sokolników i krzeczotnicy z Moskwy: ci po swojemu także gromią lub pieszczą skrzydlatych łowców, których na swym ręku trzymają; kilka z nich przysłał królowi w darze Iwan Groźny, który miał znakomite białozory, nazywane w jego państwie krzeczotami. Kilku sokolników sam król

przyjął w Niepołomicach na służbę, ale Moskwicini sprawni byli ptasznicy.

Na lewym skrzydle myśliwskiego orszaku stanęli nierównie tłumniej sokolnicy niższego rzędu. Na ich rękach, na karkach koni nie widać królewskich białozorów, które stanowią właściwe czoło tego łownego wojska. Ukazują się tylko między niemi w gęstej gromadzie rarogi, jastrzębie, krogulce, których użyją przy sposobności w polu na mniejsze ptastwo. W ich liczbie jest Kalina, który wyrósł i wychował się wśród szumu puszcz litewskich, jest i Paweł, który jak się do krogulca odezwie, tnie mazura; słychać też głos Mikołaja, który się przechwala, że dawny jego pan, kasztelan międzyrzecki, lotniejsze miewał sokoły, niż sam król Batory.

Nieco głębiej, w dziedzińcu, poza obu oddziałami ptaszników, na jednym i drugim skrzydle uwijają się między niecierpliwemi końmi różnej maści różnego gatunku psy myśliwe: to rącze charty na sworach, to psy legawe, to wyżły, ogary, popędźce, znalazce. Jedne sprawuje Feliks Nowicki: ma szesnaście chartów na swej sworze, ale sobie rady dać nie potrafi z tą drużyną wiatronogą, więc Matysa sąsiada prosi, aby mu umniejszył kłopotu i ściągnął harapem Śmigę i Orócicę, które się ciągle ujadają z Karwatem i Szukajem. Inną sforę Sikora prowadzi. Jakób Niemiec, od księcia kurlandzkiego, ogary i wyżły ma pod swoją władzą, a Chwiedor Ignatow Moskwicin także kupą psów dowodzi. Myśliwczyków i pacholąt ukazują się jeszcze dalej dosyć liczne szeregi. Za niemi ruszą myśliwskie rydwany. Jołda i Mucha wiozą wielkie sieci łowne. Jelonek założył konie do pustego wozu pod przyszłe łupy łowieckiej wyprawy.

Przed gankiem zamkowym, w pośrodku myśliwskiego obozu, kilka koni osiodłanych rży niecierpliwie w oczekiwaniu swych dzielnych jeźdźców. Dosiadł jednego w tej chwili pan koniuszy nadworny, Kacper Maciejowski. Daje on giermkom znak, aby trzymali w pogotowiu swe rumaki. Jeszcze Szomlai ściągnął popręg pod siodłem królewskim, Teleki pogłaskał po lśniącej szyi swojego Mustafę, Apoldi, Nagy i inni Węgrzyni, których Batory lubił bardzo do koni używać, zrównali się w szeregu, żeby podawać w porządku bieguny swoim panom — kiedy oto na ganku promieniejący radością, uśmiechnięty swobodą, król się ukazał.

Dosiadł Batory swego rumaka, może jednego z tych

szlachetnych wierzchowców, które niedawno z samej Arabji sprowadził z rozkazu królewskiego pan Jakób Podlodowski, podkoniuszy, co nieszczęsnym wypadkiem był zabity w Turcji w 1583 roku. Łowczy dał znak, odezwały się trąbki myśliwskie i cała drużyna ruszyła z miejsca ku kniejom niepołomskim, albo w puszczę białowieską, lub na rozległe równiny mazowieckie, może właśnie w tej chwili poranku, którą Cygański, choć zwykle tak suchy w swym wierszowaniu, wyjątkowo tak poetycznie opisuje:

«Gdy piękna zorza świat słońcem odziewa,
Wtenczas, gdy ptaszek najwdzięczniej śpiewa
Radując się, że dzień piękny bieży.»

I król także wita wschodzące słońce, które mu zapowiada niezachmurzoną na dzień cały pogodę. Pierś jego odetchnęła swobodniej i głębiej balsamicznym powietrzem. Radosny okrzyk z niej się wydobył: „Mily gyönyörüség, mily öröm! Nem lehet szebben gondolni.“ (Co za rozkosz, jak cudownie. Nie można sobie nic piękniejszego pomyśleć). Ale słów tych madziarskich, rodzinnej mowy Batorego, nie rozumie jeden i drugi z polskich panów, którzy towarzyszą królowi w orszaku. Tylko Zygmunt Forgacz, Majlat, Cathai, którzy pędzą obok na koniach—jego nieodstępni wszędzie towarzysze, podzielają zachwyt króla i półgłosem powtarzają sobie: „Felséges! Csodálatos.“ (Najjaśniejszy Panie! Cudownie!).

Sokoły głodne rano, wzroku ich jeszcze nie razi blask słońca niezbyt wyniesionego nad ziemią, więc spodziewać się można, że król ugoni niejednego zająca, niejednego ptaka i zażyje krotofili niemało.

Jużto łup myśliwski od pory roku zależy. Popędzi białozór i za żórawiem, na czaplę się rzuci, przepiórkę i kuropatwę wystraszy, zająca weźmie i za sarną pomknie:

Z zwierzęty walczę, mam nad wszystkie ptaki,
Dank mi ten wszyscy muszą podać taki.
Stłukę zająca, by i nawiętszego:
Skosztuj, a pewnie doświadczysz się tego.

Twierdzi tak Cygański o rarogu. Więc niech tylko psy legawe wystawią ptaka lub zająca, niech inne spłoszą dropia, łabędzia lub czaplę, a sokolnicy wnet pod-

rzucą do lotu tego lub innego białozora. Jeden z nich w bystrym biegu powietrznym dopędza swej ofiary, już się z nią zrównał, teraz góruje nad nią, za chwilę zabiegnie z przodu drogę, aby jej lot powstrzymać. Daremne wysiłki. Żóraw czy drop mknie jak strzała. Nadlatuje więc w pomoc drugi sokół, puszczony niedawno z rąk myśliwca. Oba nacierają na nieprzyjaciela z boku, ale lotny ptak dobywa sił w obronie życia. Czuje niebezpieczeństwo. Zwinnie rzuca się to w prawo, to w lewo, to znów na dół się spuszcza i myli bystry wzrok swych przeciwników. Dopiero trzeci drapieżnik zabiega drogę. Zaczyna się napad trzech sił skombinowanych. Ptak nie może się oprzeć przemocy. To go skubnie jeden sokół, to go skubnie drugi. Już pierza lecą. Krew się sączy. Omdlony dobywa ostatka sił. Spada na ziemię. W prędkim pędzie nadskakują myśliwcy, aby położyć koniec krwawej walce i wyrwać ze szpon sokolich łowiecką zdobycz.

A jakażto uciecha, jaka rozkosz dla króla patrzyć na tę ptasią walkę! Co chwila przypomina mu ona pole wojennych zapasów. Ileż i tu odmiennych sposobów nacierania na nieprzyjaciela, odpierania jego ciosów. To cała strategja powietrzna!

A ileż tu zmyślnych podstępów, forteli, a stąd ile niespodzianek, ile epizodów ciekawych w tych krwawych o życie lub śmierć zapasach! Zrywa się czapla. Puszcza się sokół za nią i wnet ją wygórował. Już całym ciężarem spuszcza się ku niej, aby ją gwałtownie trącić, lot złamać, na ziemię rzucić. Czapla w okamgnieniu, niespodziewanie, jak piorun z chmury spadający, z prędkością błyskawicy przewraca się w powietrzu, nadstawia swój dziób szpiczasty napastnikowi: sokół nie oczekując tego fortelu, już lotu swego powstrzymać nie może, wpada na ostrze dzióba, przebija się i skrwawiony, obezwładniony, całym swym ciężarem rozbija się o ziemię.

A niech jeno psy zająca ruszą, jak się tam sokoły w pogoń za nim puszczą; dopędzą, wezmą jak charty nieboraka w obroty, byle im do lasu nie umknął. A jesienią na ożynkach, kiedy się zerwą kuropatwy, przepiórki: jak tylko spostrzegą, że się uwijają jastrzębie, krogulce, wszystko się to ze strachu pochowa, przytuli. Dość wtedy siecią nakryć, a żywcem całe stadka ułowi.

Jakżeż to wielka musiała być uciecha, kiedy na

wystawnym polowaniu królewskim kazał Batory puścić sokoły na sokoły! Najucieszniejsze bywały wtedy walki. Rzadziej jednak taka krotofila miewała miejsce, bo białozory były drogie i nie posiadała ich sokolarnia królewska za wiele, aby je puszczać często na pole bratobójczych zapasów.

Z bogatym więc łupem wracał król Stefan z myśliwskich wycieczek. Bywały oczywiście łowy i na grubszą zwierzynę, na dziki i niedźwiedzie z oszczepem, na żubry z rusznicą:

Żubra psem próżno straszyć, snadniej go z półhacza
Między rogi uderzyć, niechaj się obraca.

W 1581 roku na Litwie, podczas królewskiego polowania, srogi misiek, jak Bielawski nazywa niedźwiedzia, mocno chłopka jednego podrapał pazurami. Trzeba było pieniędzmi udobruchać pokrzywdzonego. W 1583 znów roku w Niepołomicach psy tak silnie ucierpiały od rozjuszonego odyńca, że aż całą złotówkę wypadło wydać na leki. Pojąć łatwo, że król potrafił jak dla swoich wrogów, być także i dla dzikiego zwierza postrachem. Niedarmo w swym herbie, w samym klejnocie rodzinnym nosił trzy kły wilcze.

Nie były to więc czcze tylko uwielbienia w ustach poety, który w pochwalnym wierszu po śmierci króla, gdy o niezwykłych jego zaletach mówi:

In templo plus quam Sacerdos,
Im republica plus quam rex...

Kończy swoją elogją słowami:

In feris domandis plus quam leo.

czyli „więcej niż lwem (był on) w uśmierzaniu dzikiego zwierza.“

Adolf Pawiński.

Sobieski w Krasnopuszczy.

Niedaleko Złoczowa leży miasteczko Pomorzany. Należało ono dawniej do rodziny Sobieskich, a Jan Sobieski lubił to miejsce, gdyż, zanim królem polskim zo-

stał, często tam polował. W pamiętnikach tego miasteczka zapisany jest dziwny wypadek, który Sobieskiemu na polowaniu się wydarzył.

Działo się to w drugiej połowie stycznia 1665 roku. Na cześć Sobieskiego, wówczas jeszcze hetmana, urządzono wielką obławę, a mnóstwo było zwierzyny w lasach pomorzańskich. Gajowi z ludźmi wyszli równo z dniem, ale sama obława z powodu różnych przeszkód zaczęła się gromadzić dopiero około południa. Sobieski stanął na stanowisku, zwanym podziśdzień „pasieką." Nie szczęściło się w tym dniu naszemu bohaterowi, gdyż jakkolwiek i jelenie i niedźwiedzie obok przebiegały, Sobieski zaledwie kilka położył zajęcy. Wtym nagle usłyszał Sobieski ogromny trzask gałęzi i w tej samej prawie chwili wypadł z lasu ogromny dzik, pędząc prosto na niego. Dzik trafiony celnym strzałem przykląkł, lecz zerwawszy się, uchodzić zaczął w gęstwinę. Sobieski rzuciwszy broń palną, puścił się za nim z kordelasem.

Nadbiegli strzelcy, zaczęli strzelać i nawoływać, chcąc panu wskazać miejsce, gdzie ich ma szukać, a nawet kilku w ślad za nim się puściło, ale, że to był dzień mglisty, a w dodatku i ciemnieć nagle poczęło, stracili wkrótce ślad Sobieskiego. Ten zaś na strzały odpowiedzieć nie mógł, bo strzelby nie miał przy sobie, a dzika żal mu było porzucić. Gdy atoli gonitwa zadługo się przeciągała, noc coraz bardziej zapadała, a i zmęczenie czuć się dało—zaczął Sobieski myśleć o powrocie.

Wolnym krokiem szedł jarem do góry, gdzie sądził iż napotka swoich. Po dość długim czasie trafił na polankę, do której przez ciemną gąszcz przebijało słabe światełko.

Wtym rosły jeleń wyrwał mu się z pod nóg i pędem pobiegł w kierunku, skąd światło błyszczało. Podążył za nim Sobieski i ujrzał chatkę, której drzwi jeleń uderzeniem rogów sobie otworzył, a na progu chatki ukazał się poważny w mniszym stroju starzec.

— Niech będzie pochwalony!—powitał Sobieski.

— Sława Bogu, sława i wam, panie na wieki — odrzekł poważnie starzec.

— Ktoś ty starcze? Nie obrażaj Boga, bo tylko Jego chwała trwa na wieki. Powiedz mi, gdzie jestem i co ty tu porabiasz?

— Nie bój się miłościwy panie, ja biednym jestem pustelnikiem, a raduję się bardzo, że was w mojej chat-

ce przyjąć mogę, bo na waszej głowie widzę koronę, a na waszym czole odblask wiecznej chwały.

I upadł starzec na kolana i całował ręce Sobieskiego. Wzruszonemu Sobieskiemu łzy w oczach stanęły, podniósł starca i rzekł:

— Głodny i zmęczony, dziś ja będę u ciebie, a jutro ty już u mnie.

I wszedł do chatki ojca Gedeona, rzucił się na ofiarowane sobie posłanie z mchu i liści, a pustelnik dołożył drewienek do ognia, przy którym gotował się groch, który miał być całym obu pożywieniem. Na zapytania Sobieskiego opowiadał starzec, że brał udział w wojnie Chmielnickiego, ale przerażony mordem i pożogą, schronił się do tego ustronia i osiadł w miejscu, gdzie przed laty stało sioło Krasnopuszcza, a dalej, że widział raz we śnie rycerza, zupełnie do Sobieskiego podobnego, w koronie na głowie i z mieczem w ręku.

— Tak, panie—kończył—ty jesteś tym królem, a ja nie umrę, póki cię nie ujrzę w koronie.

I upadł starzec na kolana i modlić się począł gorąco.

Usnął zmęczony Sobieski i śniło mu się, iż na swym wronym koniu pędzi w kraje dalekie, za nim wierna drużyna, a u nóg jego leżą bisurmańskie głowy. Kędy stąpił, wyrastały krzyże, i na piersi swojej widział krzyż, a na głowie czuł ciężar korony. Do nóg jego cisnęła się ćma ludzi, wołając: „Chwała, chwała na wieki“!

Gdy się obudził, był już dzień biały. Przed sobą ujrzał ojca Gedeona i wiernego sługę Wardeńskiego, któremu z drużyną udało się pana odnaleźć.

Modlił się długo Sobieski, a gdy miał powstać, Gedeon położył ręce swoje na głowie jego i błogosławił. Rzekł tedy Sobieski:

— Święty starcze, chcę, aby na miejscu, gdziem dziś nocował, stanął klasztor Bazyljanów. Ile na dzień jeden człowiek drogi ujdzie, taki szmat kraju przeznaczam na własność tobie i klasztorowi, którego przełożonym ty będziesz.

W dniu 7 marca 1665 r. założono klasztor, a gdy w dziesięć lat później ojciec Gedeon doczekał się spełnienia swego proroctwa, przekonał się, że i Jan III o tym pamięta. Nowy król bowiem obdarował klasztor tysiącmorgowym obszarem, z dział zdobytych kazał ulać

dzwony, a do cerkwi zakupił obraz wartości stu tysięcy złotych. Nie tylko tedy wielkim wojownikiem i pogromcą Turków, ale i pobożnym i wdzięcznym był Jan III.

Wóz tryumfalny Sobieskiego.

Po odsieczy wiedeńskiej ofiarował wdzięczny Wiedeń, (który dziś ledwie mizerną uliczkę nazwał imieniem swego zbawcy) Janowi III wóz tryumfalny, ozdobiony baldachimem, figurami złoconemi i trofeami, który kosztował miasto 3,000 dukatów. Najstarszy syn Sobieskiego, królewicz Jakób, mieszkając od r. 1712 do 1726 w Oławie na Ślązku, którą trzymał zastawem, przechowywał ten wóz pamiątkowy w swojej śląskiej rezydencji i nie przeprowadził go do Żółkwi, w której zmarł w r. 1737. W cztery lata później Oława zajęta została przez wojska pruskie, a Fryderyk II całą pozostałość po naszym królewiczu podarował gienerałowi Klejstowi. Czasopismo berlińskie „Bär“ pisze w r. 1900, że gienerał Henning Aleksander v. Klejst kazał wytoczyć wóz ten przed Fryderyka i przymówił się o niego. Król nie odmówił żądanego podarunku gienerałowi i dodał Klejstowi jeszcze inne rzeczy pozostałe po królewiczu polskim, a tylko potym w r. 1743 zapytywał, czy nie było tam jakich papierów królewskiej rodziny Sobieskich.

Po ukończeniu pierwszej wojny śląskiej zabrał Klejst wóz Sobieskiego do swego Raddatzu na Pomorze i zrobił z niego w zborze kazalnicę, gdzie go dotąd oglądać można. Baldachim przytwierdzono powrozami do sufitu kościelnego, a do dawnego wozu wchodzi się z tyłu po małych schodkach. Pod baldachimem pozostał dotąd napis: „Currus triumphatis Johannis Sobiesky, Regis Polonorum.“ Widać na nim również tarczę herbową Sobieskich Janinę, orła białego i monogram I. S. R. P., a nadto tureckie trofea: turbany i halabardy. Cały wóz jest złocony, a większe pola ozdobione są pięknym złocistym malowaniem, przedstawiającym alegoryczne postaci gienjuszów, sławy i świetne armatury. Klejst nie omieszkał na przodzie wozu namalować herbu swojego (2 trąby w czerwonym polu), ale pod nim widać dzisiaj błyszczące dawne złocienie. Po obu stronach herbu wy-

pisał swe imiona, tytuły i rok 1742. Złocone koła wozu—jak podaje berlińskie pismo „Bär“—stały do r. 1806 za ołtarzem zboru, lecz zabrane stąd zostały przez Francuzów w ich pochodzie przez Prusy. Ówczesny właściciel Raddatzu, pułkownik Leopold Klejst, daremnie się starał, aby mu je przy zatwierdzeniu pokoju w r. 1815 zwrócono.

Żaki szkolne.

Starodawna jest nazwa „żak szkolny.“ Według historyka Jerzego Samuela Bandtkiego nazwa ta była znana już w XIII stuleciu. Rzeczony historyk pisze w tym przedmiocie co następuje: „U nas bywały żebrzące żaki, a to nie tylko słowami, lecz przez modlitwy i śpiewy. Że dla jałmużny nawet ze szkół wędrowali, o tym wątpić nie należy, bo wszędzie, gdzie wiarę katolicką wyznawano, tam przy kościołach istniały szkoły, w których nauczali bądź proboszczowie, bądź tak zwani rektorzy szkolni, to jest, najemni nauczyciele. O żakach nadmienia już legienda o św. Jadwidze, z XIII stulecia pochodząca.“

Żaki szkolne chodziły wówczas po całej Europie, śpiewając pieśni pobożne i światowe, zjednywali miłosierdzie ludzi, którzy ich za to strawą i mieskaniem wynagradzali. Byli to uczniowie szkół miejskich i wiejskich, przeważnie biedota, synowie ubogiej szlachty, mieszczan i kmieci. Do szkoły zapędził ich zapał dla wiedzy, pragnienie służenia ogółowi. Los ich nie był wesoły. Dzwonowski, pisarz XVI stulecia, powiada o nich: „Żak chudzina nic nie ma: blady, chudy, nagi, w szkole nic nie ma jeno łatane biesagi.“

Żyli, jak nadmieniliśmy, miłosierdziem dobrych ludzi, ale też doznawali krzywd od zuchwałych dworzan i czeladzi domowej panów. W poemacie z czasów Zygmunta III tak się skarżą żacy na swoją dolę:

Na ulicy nas żaków drabowie szarpają,
Czyś ty student, czy szewczyk, najmniej nie pytają;
Bez wszego miłosierdzia biją obuszkami,
Choć im też pan nie każe, domyślą się sami;
Nawet w łańcuch, w kajdany ubiorą drugiego,
Który od kogo niema wspomożenia swego.

Skargi te zapewne były słuszne, bo żacy często dopuszczali się swawoli i byli przyczyną burd ulicznych.

Ogólnie przez wyraz żak rozumiano uczniów szkół lub ludzi uczonych. Górnicki, słynny pisarz, powiada, chcąc pochwalić uczonego: „Był żakiem uczonym, umiejącym czytać i dworzaninem dobrym,“ historyk Stryjkowski zaś wyraża się:

Nie umiesz nic—to będziesz u ludzi prostakiem;
A nad księgami siedzisz—nazową cię żakiem.

W XVI i XVII stuleciu wiele o żakach krążyło przysłów. Oto niektóre: „Ani żak, ani dworak,“ „Nie z każdego żaka bywa ksiądz,“ „Chłopi na wsi a żacy w szkole odmianie przełożonych bardzo radzi.“ Kto żakiem nieposłusznym w szkole, potym będzie nieposłusznym, złym obywatelem kraju.“ „Żak bez księgi, żołnierz bez rynsztunku, rzemieślnik bez warsztatu nic nie wskórają.’’ „Żak szkolny, jak wilk głodny.“ „Cichy jak żak, kiedy bakałarza czuje.“ „Gorzej niż raka, obawiaj się żaka.“ „Papieru do wody, pióra do ognia, żaka do domu nie przytykaj.“

Żaka, który dopiero co wstąpił do szkoły, nazywano gregorjankiem, a to dlatego, że dawni Polacy mieli zwyczaj oddawać dzieci do szkoły w dzień świętego Grzegorza, (w listopadzie) chwalebnego nauczyciela młodzieży. Historyk Bielski tak ten zwyczaj tłómaczy: „Święty Grzegorz dziatki, które w niewolę przedawano, odkupywał i do szkoły dawał; stąd w jego dzień oddają dzieci do szkoły i gregorjankami zowią.“

Zwyczaj staro-słowiański chciał, aby w pewne dni urządzać ofiary dla uczczenia pamięci zmarłych. Więc w dniu 1 marca w Polsce i w Czechach zgromadzano się przed samym świtem na cmentarzu z pochodniami i tam odprawiano modły, a nawet widowiska. Aktorami i śpiewakami byli wynajęci żacy. Żacy również mieli wyłączny przywilej do odprawiania wielu innych zwyczajów i obrzędów. Więc we środę Wstępną urządzali mięsopustne maszkary, sądzili mięsopust, to jest, karnawał w postaci odpowiednio przybranego bałwana w kajdanach. Owego bałwana oprawadzali po wsi albo po mieście, potym go ścinali, śpiewając ucieszne pieśni. W Wielki tydzień chodzili z krzyżem i chorągwiami po polach, zawodzili pieśni wielkanocne, za co im śmigusy (placki i mięsiwo) dawano, wodą przytym zlewając.

W niedzielę Kwietnią naśladowali wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy. Jeden siadał na osła lub na krowę bez rogów; prowadzono go potym przed drzwi kościoła i tam palmami oraz śpiewem witano. Odbywał się ten obrząd bardzo poważnie, z wielką uroczystością, a zawsze uczestniczyły w nim tłumy.

W dzień 1 stycznia żacy świętowali, chodzili po domach, gdzie ich dostatnio ugaszczano. Przyszedszy, prawili następującą orację: „Ja, mały żaczek, wylazłem na krzaczek; z krzaczka wpadłem w wodę, zbiłem o kamień brodę. Zobaczył Pan Jezus z nieba, dał mi kawałek chleba i obwarzanków kupę i białego sera łupę. Ja, żaczek maluty, pogubiłem buty; chodziłem do nieba za kawałkiem chleba, chciałem wrócić, nie chcieli mię puścić. Przyjmijcie mnie, państwo, za ciurę; będę łapał sąsiadową kurę. Stoi ciura w płocie, będzie kij w robocie; jak weźmie malutę po za ucha, zaraz bieda zostanie głucha. Wylazłem na banię, powiadałem kazanie; powiadałbym jeszcze, ale mi się jeść chce. Zleciał anioł z nieba, dał mi kromkę chleba, a ja jemu za to trzewiczki na lato.“

Oracje te malują dosadnie ubóstwo żaków.

W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, po nabożeństwie, żaki djabła ze słomy sfabrykowanego, obszytego w chusty, po ulicach włóczyli, kijami tłukli, a następnie w rzece lub stawie topili.

W Warszawie jeszcze w roku 1800 był zwyczaj, że żaki stroili Judasza, kładli mu do kieszeni worek ze szkłem potłuczonym, mającym wyobrażać 30 srebrników, za które zdradziecki apostoł sprzedał Pana Jezusa, oprowadzali taką figurę po ulicach, potym wciągali na wieżę kościoła Panny Marji na Nowym Mieście, zrzucali ją na ziemię, bili, kopali, a naznęcawszy się w Wiśle topili.

W grudniu, w dzień Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny, podczas mszy św. wchodziło do kościoła siedmiu żaków w komeżkach—każdy niósł gałązkę brzozową, a na niej zapaloną świeczkę — stawali przed ołtarzem i śpiewali dawną pieśń o Matce Boskiej, poczynającą się od słów: „Jako róża między kolącym głogiem.“ W dzień Bożego Narodzenia, podczas mszy św. Pasterskiej, gdy kapłan zaśpiewał „Chwała Panu na wysokości,“ żacy na chórze ukryci udawali przy pomocy piszczałek głosy rozmaitego ptactwa, chcąc tym sposobem wyrazić radość wszelkiego stworzenia z przyjścia na świat Zbawiciela. Oni też podczas świąt Bożego Narodzenia odgrywali

djalogi, obnosili i pokazywali jasełka, które do naszych czasów przetrwały.

Żacy prócz tego towarzyszyli proboszczom, chodzącym po kolędzie, a w zapusty znów odgrywali djalogi ucieszne, których treścią było np. budowanie wieży Babel, pożar Troi, podróż Tobjasza i t. d. Ale najwięcej bawiły niewybrednych Warszawiaków tak zwane intermedja, to jest, krótkie, śmieszne sceny, pomiędzy akty poważniejszych komedji wtrącane. Śmiano się do rozpuku, gdy widziano leżącego wznak drągala, po którego brzuchu dwie lub trzy pary chłopiąt skakały.

Żaków ubogich zwano też pauprami. Za Jana Kazimierza taka ich chłostała bieda, że całemi gromadami snuli się po ulicach Krakowa, głośno się na swoją nędzę uskarżając. Ale i wówczas miłosierdzie o nich nie zapominało; były nawet zakłady dobroczynne, zwłaszcza klasztory, które im codziennie wydzielały po garnuszku zupy pożywnej i krajance chleba.

Żacy często starzeli się w szkole, znajdując tam kawałak chleba w zamian za rozmaite posługi.

Nadmienić także wypada, że żakom zawdzięczamy przechowanie obrzędów, zwyczajów, zabaw i pieśni. „Była to“ mówi K. Wł. Wójcicki „biedna drużyna młodej latorośli narodu, tak użyteczna, jak dawnych śpiewaków, co od zagłady uchowali stare pieśni. Młodzież ta, lubiąca zabawy i sercem do nich przywiązana, rok rocznie stare odżywiała obrzędy. Czas nie mógł zniszczyć tych pamiątek przy ich dzielnej pomocy. Dopiero z upadkiem szkół wiejskich i po mniejszych miastach zniknęli żacy, ale ja pamiętam jeszcze, jak chodzili po domach. Wszędzie przyjmowano ich chętnie i obdarzano. Pomnę, jak w zapusty przebrani za tury, kozy, niedźwiedzie, bawili starych, a straszyli dzieci w Warszawie i po wsiach. Zniknęło to wszystko w naszych czasach w niedługim lat ciągu.“

Z *„Przyjaciela Dzieci.“*

Otrzęsiny.

Tłum składał się z samych żaków, po większej części czarno, obdarto, dosyć licho ubranych, zbrojnych w miotły, kije, motyki, grabie, siekiery drewniane, sznu-

ry i rozmaity oręż. Na czele tłumu z wielkiemi wąsami czarnemi, podparty w boki, stał ogromny, barczysty, kuso ubrany żak, w czapce na bakier, spoglądając w stronę gospody. Był to magister ceremonji, którego zwano depozytorem; wiódł on za sobą na sznurku za szyję pobranych trzech beanów, to jest, nowozaciężnych żaków, a w ręku niósł białą chorągiew z napisem:

Cohors beanorum.

Minę miał poważną aż do śmieszności, chód wymuszony. Za beanami postępowali w milczeniu chwilowym wszyscy przytomni temu obrzędowi żacy po dwóch, formując długi sznur czarny, wlokący się we dwoje i troje ulicą. Z pięcio czy sześcio-tysiącznej ludności akademickiej znajdowała się tu część bardzo wielka. Kierowano się ku gospodzie, nad której drzwiami wywieszono w tej chwili napis na czarnej tablicy:

Balneum beanorum.

Skoro spostrzeżono gospodę, której drzwi zamknięte zostały, ozwał się ogromnym krzykiem tłum cały. Jedni wrzeszczeli be, be, drudzy nieforemne podnosili głosy, cienkie, piszczące, dziwaczne, naśladujące głosy ptaków i zwierząt.

A na czele idący śpiewali pieśń, pół łacińską, pół polską, której ułamki niekiedy dochodziły do uszu biednych trzech żaczków.

— Gospodo, gospodo, prowadzim ci gości.—Otwórz drzwi twoje, oto dzieci twoje wiodą tobie baranki, wiodą tobie ptaszęta, niosąc ci koźląt kilkoro na ofiarę.

— Gospodo, gospodo, otwórz nam drzwi swoje, prowadzim ci podróżnych, daj się im umyć w łaźni, daj otrząsnąć z brudu i pyłu i odpocząć chwilę.

A drzwi były ciągle zamknięte — poczęto więc bić w nie coraz silniej.

— Gospodo, otwórz się, albo cię będziemy prosić, jak prosiły trąby murów Jerycho, jak prosił Samson, aby mu ustąpili Filistyni. Mamy w ręku nie oślą szczękę, ale całych trzech osłów.

Na te słowa otwarły się drzwi z hukiem, ogromny krzyk powitał wejście do żaczej gospody. Stary żak depozytor postąpił na schodki i pociągnął za sobą beanów.

— O! musicie być wielkiemi osłami, kiedy was się ulękły okute drzwi dębowe.—Chodźcie za mną, a otrzyjcie się z beanji waszej.—Chodźcie!

Ale na widok czarnego ciemnego korytarza, w którym nic widać nie było, jeden z nowych żaków począł się silnie w tył opierać, krzyczeć, cofać, płakać, a nareszcie łając, poskoczyli dwaj starsi, za nim idący, podsadzili go i cały tłum za pierwszemi sypać się począł do gospody. Na lewo otworzyły się wielkie drzwi i ukazała się długa, ciemna, z przysłonionemi oknami, które przez szpary okienne nie wiele światła dopuszczały, sklepiona sala. Ściany nagie, ława tylko ciężka obiegała dokoła. W pośrodku, gdzie wiedziono beanów, stało rusztowanie, wzniesione na łokieć od ziemi, a na niem widać było jakieś dziwne przygotowania.

Tu w porządku pewnym leżały: piła ogromna, topór, widły, pałki, osełki, grzebienie niezwykłej wielkości, jakich do czyszczenia konopi używają, świder, dłuto, młotek, kowadło, kilka wolich rogów, nożyce, kleszcze i obcęgi, sznury pozwijane w kręgi i t. d. Przyrząd ten cały, widziany o zmroku, jaki tu panował, wydał się jakimś przestraszającym, katowskim przygotowaniem. Ale gdy dwaj młodzi żacy targali się nazad, płacząc, Maćkowi szepnął do ucha przechodzący Paweł Soroka:

— Niczego się nie obawiaj; odpowiadaj śmiało i staw się ostro!

Maciek przyglądał się wszystkiemu, ale niczego nie zdawał się lękać. Wprowadzono ich na rusztowanie.

Wśród powszechnego milczenia, wąsaty żak podniósł głos i spytał kolejno:

— Kto jesteś?

— Jam Jacek z Wieliczki.

— Jam Jasiek z Proszowic.

I głośny śmiech rozległ się po sali, a tysiąc głosów zawołało:

— Biedny Jacek!

— Biedny Jasiek!

— Kto jesteś?—spytał żak depozytor Maćka. A blizko stojący Pawełek podszepnął mu:

— Odpowiedz: Beanus sum.

I podnosząc niebieskie oczy Skowronek, śmiało powtórzył: Beanus sum.

— Be-be-be- beanus!—krzyczeli uczniowie wszyscy— vivat beanus, vivat asinus!

— Quid est beanus?—spytał starszy.

A Pawełek odpowiedział:

— Spójrz na ścianę naprzeciw, co na niej napisano.

I Maciek odezwał się:

— Beanus est Animal, Nesciens Vitam Studiosorum *).
— Vivat beanus!—powtórzył tłum na różne głosy.
— Quid est beania?—spytał starszy depozytor.

Ale na to wszyscy milczeli i on sam z towarzyszeniem chóru, naśladującego głosem beczenie owiec, wyrzekł:

— Beania est examen vel proba patientiae **). Ponieważeście beany, przystąpim tedy do otrząśnienia was z beanji waszej.

To mówiąc, podniósł z rusztowania trzy pary wołowych rogów, do których przywiązane były rzemienne listewki i począł je przyczepiać do głów beanom. Dwóch pomocników, krzycząc i miotając się, wskoczyło na rusztowanie i umocowywać poczęli je na najeżonych łbach żaków. Maciek nie bronił się wcale i sam sobie uwiązał ogromne rogi.—Na widok tego dziwnego stroju znów ucichły na chwilę krzyki; tłum piszczeć, śpiewać i krzyczyć zaczął:

— Przytrzyjcie im rogi, koźlętom: niech im nie rosną wysoko, przytrzyjcie! Rogami biją kozy, żakom rogi nie przystały...

I rzuceni zostali silnie, aż padli na kolana, a mistrz depozytor przystąpił z kolei do każdego i skrobał, piłował, za włosy pociągając, za uszy szczypiąc, aż przywiązane rogi spadły.

Ale na tym nie był koniec jeszcze, bo spytał głośno:

— Powiedzcie mi, proszę, czy na tym ma być dosyć?

— A! mistrzu! toć to gbury: trzeba ich opiłować, ociosać, obrąbać, przekuć, przerobić i umyć, bo do ludzi niepodobni, a co dopiero do żaków!

— Patrzajcie—wołali, posuwając się do rusztowania i szczypiąc, targając, szturchając, kuksając nowicjuszów.—Co to za jedni? Czy to ptaszęta małe? czy to baranki nowonarodzone? czy to koźlątka? czy to oślątka? czy to kłody drzewa nieociosane? — Beany! Arcybeany!

— Kładźcie się! — zawołał depozytor — na ziemię o, tak—i nie ruszajcie się!

— Po jakiemużeście się pokładli?—zakrzyczał drugi—twarzą do nas, jak w trumnie, oczyma na wierzch!

I chłopcy odwrócili się znowu i pokładli inaczej—a depozytor ze swemi przystąpiwszy, podniósł głos, biorąc w ręce sznur:

*) Beanus jest istota nieznająca życia studentów.
**) Beanja jest egzamin, próba cierpliwości.

— Co będziemy robić z temi niezdarnemi klocami? To do niczego! Weźcie je i ociosajcie, opiłujcie, oheblujcie, oskrobcie! Może przynajmniej tak będą do czegoś podobni.

Tu się rozpoczęła prawdziwa męka trzech żaków. Rzucili się ku nim wszyscy, targając, bijąc, szturchając, szarpiąc. Jedni sznurami znaczyli ich, jak kłody drzewa, drudzy niby ociosywali nie bez mnogich istotnych i bolesnych razów. Im srożej krzyczeli i wyrywali się żacy, tym zapalczywiej, rycząc ze śmiechu, rzucała się na nich młodzież cała. Maciek, który z pokorą i w milczeniu znosił wszystko, najmniej ucierpiał.

Po obciosaniu, oskrobaniu i opiłowaniu, o których dopełnieniu świadczyły liczne guzy i sińce, a poszarpane suknie, wzięto się do golenia. Osadzono trzech beanów na trzech pieńkach, poczęto im głowy i brody mydlić, wycierając grubą płachtą, potym golić grzebieniem ostrym. Dwom upartszym żakom obmyto w dodatku twarz smrodliwemi pomyjami, po które sami pod strażą dwóch starszych chodzić musieli; a młode chłopaki w czasie operacji, szczypiąc brodę i podbródek, szyję i ramiona, uczyli przybylców—participjów.

Teraz depozytor rozgarnął tłum, na podniesieniu ściśnięty, i postąpił ku żakom.

— Dosyć tego—rzekł, udając powagę—precz—precz! Niechaj przecie pokażą, z czym do szkoły przyszli, co umieją? Niechaj co napiszą.—Dajcie kałamarza, pióra, papieru!

Wnet jeden podsunął ogromny kałamarz czarny, wielkim korkiem zamknięty, drugi potężne pióro nie zatemperowane, trzeci list papieru żółtego i pomiętego. Któryś z żaków jął się co żywo kałamarz odtykać. Ale pomimo, że użył do tego wszystkiej pozostałej z poprzedzających wycierpianych prób siły, nic nie dokazał. Korek bowiem, wyciosany razem z kałamarzem, zrobiony był umyślnie dla beanów. Patrząc na te usiłowania żaka, tłum począł śmiać się i wrzeszczyć:

— Patrzcie, wszak ci to cielę, nie umie kałamarza nawet odetknąć! O beanus! O!!

Drugi żak, chcąc się lepiej popisać, chwycił korek zębami; nowe śmiechy, nowa radość i wrzawa.

Wtym depozytor przystąpił do Maćka.

— O! o! o! to ten pewnie pisać umie, bo mu jakiś papier z kieszeni nawet sterczy.

I przechylił się do chłopięcia, które się niespokoj-

nie oglądało, udając, że mu wyciągnął z kieszeni papier, przysposobiony wprzódy.

— Toć to list od matuli!

Żacy rozśmiali się na całe gardło.

— Posłuchajmy, co pisze! — Depozytor czytał poważnie, co następuje:

— Miły synu!—Od wyjścia twojego z domu, biedna matuś twoja oka jeszcze nie zamknęła, tak jej pusto i tęskno za tobą. Co za dziw! tak piękne i miłe postradawszy chłopię! Łzy mi z oczów płyną, gdyby ze źródła, aż mi na twarzy wyryły dwa głębokie rowy i głębszą jeszcze na brodzie sadzawkę.—A ty tam kędyś wesoło w świat puściwszy się, biednej macierzy swojej ani wspomnisz? Dyć nie pamiętasz, ile boleści, ile bezsenności, ile choroby, ile głodu i tęsknicy i wszelkiego złego, przecierpianego dla cię, kosztujesz od czasu, jakeś na świat przyszedł. A tociem ja cię obwijała, chuchała, papką karmiła, mleczkiem poiła, zielonemi trawki bawiła, białą płachtą okrywała, krasną czapeczką stroiła, na rękach po nocach całych nosiła, nogami kołysała, huśtała, niańczyła, piersią własną żywiła, ażem sama z niewczasu wyschła i na pół przymarła. A ty, tego wszystkiego zapomniawszy, poszedłeś na świat, nie powiedziawszy „Bóg zapłać." Mnie się zaś jeszcze gorzej serce kraje, dusza ściska, gdy wspomnę, co tam bezemnie na świecie robić będziesz? A kto ci tam papki zgotuje, powijaki wygrzeje, mleczka przyprawi i utuli, gdy zapłaczesz? Jeszcze w taki niepoczciwy idziesz świat, gdzie cię ludzie nie pożałują, nie pogłaszczą, owszem szturchańcami i łajaniem karmić i napawać będą. Boć to i na otrzęsinach najesz się dobrze wszystkiego, biedny chłopcze, aż mi na wspomnienie serce schnie i łzy się cisną na oczy. Oj! czemuś ty lepiej nie w ciepłej izbie za piecem, nie u pani matki pod fartuchem!

Gdy tych słów domawiał depozytor, który list cały z udaną a pełną śmieszności powagą i dziwacznemi intonacjami czytał, rzucił w oczy kartkę Maćkowi. Śmiechy i oklaski wstrząsnęły stare, okopcone sklepienie gospody żakowskiej.

Gdy się nieco uciszyło na sali, zabrał głos depozytor i rzekł tonem uroczystym:

— Stało się i skończyło! Podziękujcie, beanowie, za skończone otrzęsiny.—Cóż to, stoicie? nie myślicie podziękować?

— Za co?—spytał Jasiek.

— Za co?—rzekł depozytor.—O puste głowy! o beanowie prawdziwi! Alboż jeszcze nie wiecie, co to wszystko znaczyło? Jak wielka nauka i symbolum w tym się wszystkim ukrywa? O beanowie prawdziwi! Będziecie żyć i będzie was życie, będą was ludzie otrząsać sto lat, a nie otrząsną z beanji. Tak, jako my was dziś chwilę, tak lata długie potym bezduszny świat szarpać was będzie, naigrawać się, bić, przerabiać po swojemu, rogi przywiązywać, rogi odcinać, mydlić i golić. I każą wam pisać bez atramentu i czytać, gdzie nie napisano.— A wszystko światu będzie źle, póki się nie pokłonicie i nie zrzucicie woli swej, poczciwości swej i dumy! Na progu życia ta maleńka próba, zwiastunka niektórych i ciężkich, to jedno nic w miarę tego, co was czeka. Walka z nędzą, walka z nauką, walka z dumą ludzką, z zawiścią człowieczą, z losem, z namiętnościami, z przykłady— walka ze wszystkim, walka wszędzie, walka zawsze! A to tylko chwila próby.

A kto ze wszystkiej walki wyjdzie zwycięzcą, temu wieniec na skronie, łańcuch złoty na szyję i sława i cześć.

Podziękujcież za próbę i pojmijcie ją—idźcie w świat a pamiętajcie, żebyście do walki wszelkiej stawali odważnie gotowi, bez łez i strachu, i stokroć pobici, stokroć podnosili się odważniejsi.

I jeszcze słowo. Stajecie się bracią naszą: wcielcież się w ciało nasze, nie jako wrzody paskudne, ale jako żywa krew, jako zdrowe ciało. Sprawa jednego niech będzie sprawą wszystkich. Żeby cię warzono i smażono w smole, nie powiadaj, co się dzieje w szkole! Za jednego wszyscy, jeden za wszystkich niech będzie gotów cierpieć, a choćby ginąć. Ostatnim chleba kąskiem się podzielić, ostatnią dla brata rozedrzeć opończę. Kochajmy się, jak bracia, wspomagajmy, jak bracia, bądźmy jednym ciałem i jedną masą, bośmy biedni i inaczej zginiemy. A walcząc z biedą, nędzą i nauką, dobijać się przyszłości, lżej iść razem wszystkim, niż każdemu pojedyńczo. Zdrajca nie powstanie między nami i wyjmiemy go z pomiędzy siebie, jako wrzód wyjmują z ciała, jako kąkol z pszenicy.

A teraz piwa i za zdrowie żaków zanućcie pieśń powitania!

Ciemna sala zabrzmiała razem ogromną pieśnią powitania i tłum wesoło w kupki rozmaite zwijać się, odpływać, po ulicy i w gospodzie rozmieszczać się począł.

J. I. Kraszewski.

„Szkoła główna," założona przez Kazimierza, i jej losy. Otwarcie wskrzeszonej akademji.

Na zjeździe wiślickim Kazimierz przekonał się o koniecznej potrzebie krzewienia nauki prawa w kraju, bo, prócz kilku ludzi, wykształconych za granicą, niewielu miał pomocników w swym wielkim dziele. Nadto, jeszcze za ojca Łokietka, w czasie nieustannych sporów z Krzyżakami, które się wytaczały przed papieżem, posłowie polscy napatrzyli się, jak bieglejsi w prawie Krzyżacy umieli nawet gwałty spełnione i złamanie umów uniewinnić wybiegami prawnemi.

Posłowie polscy nie umieli się bronić. Jak mało osób poza duchowieństwem posiadało wykształcenie szkolne, dowodzą akty procesu z Krzyżakami, do którego powołano wielu świadków. Na 83 tylko 12 umiało po łacinie. Reszta nie mogła się porozumieć w języku łacińskim. Między świadkami szlacheckiego pochodzenia, nie umiejącymi po łacinie, znajdujemy dygnitarzy, wojewodów, kasztelanów, starostów, podkomorzych, chorążych i t. d. Lepiej przedstawia się oświata u mieszczan. Na 28 włada językiem łacińskim 8.

Polska potrzebowała ludzi wykształconych, żeby w domu ład utrzymać i nie dać się sąsiadom. Kazimierz nie chciał czerpać światła u obcych. Przez nadanie praw powszechnych, przez zaprowadzenie wyższych sądów miejskich w Krakowie—zwrócił naród ku jednemu ognisku. Postanowił też założyć w kraju szkołę wyższą. Ponieważ wszystkie zakłady naukowe zostawały w owych czasach pod zwierzchnictwem papieża, Kazimierz zwrócił się do Ojca św. Urbana V, z prośbą o pozwolenie i błogosławieństwo dla szkoły, którą nazwano *Szkołą główną* (Studium generale). W roku 1364 otwarto tę uczelnię.

W przywileju królewskim Kazimierz wyraził swe pragnienie:

— I niechaj już tam będzie jako perła nauk wszystkich, aby wypuszczała z siebie ludzie poradne, cnotami ozdobione i w rozmaitych profesjach ćwiczone i niech tam będzie studnica nauk, z której będą mogli wszyscy czerpać, chcący co umieć.

Szkoła Kazimierzowska była przedewszystkim szkołą prawną. Z pomiędzy ośmiu sprowadzonych z zagranicy profesorów 3 wykładało prawo kanoniczne a 5 cywilne t. j. świeckie rzymskie, które uważano za najdoskonalsze. Uczniowie dla nabrania wprawy mieli chodzić do sądu i przysłuchiwać się sposobowi rozstrzygania spraw. Dwóch mistrzów uczyło medycyny, czyli sztuki leczenia chorób. Na uposażenie szkoły król wyznaczył część dochodów z żup solnych w Wieliczce. Dla pomieszczenia profesorów i uczniów zamierzał wznieść gmachy we wsi Bawół pod Krakowem. Budowę rozpoczęto—nie ukończono jej jednak; dzisiaj jeszcze pokazują w Krakowie na placu Bawół (przy rozszerzaniu miasta wieś tę włączono do Krakowa) miejsce, gdzie przy przekopywaniu ulicy znaleziono fundamenty „starej szkoły.“ Tymczasem lekcje odbywały się prawdopodobnie w zamku lub po mieszkaniach profesorów. Uczniom i profesorom nadał Kazimierz liczne przywileje. Uczniowie wespół z profesorami wybierali zarząd szkolny.

O „szkole głównej“ mało mamy wiadomości. Wkrótce po jej założeniu, w r. 1370 zmarł Kazimierz, wielki budowniczy Polski, a dla kraju nastały znowu ciężkie chwile rozterek wewnętrznych. Następca Kazimierza, Ludwik, król węgierski, mało w Polsce siedział, zdawszy rządy matce swej Elżbiecie. Po jego śmierci gorzej się jeszcze działo. Szlachta, obdarzona przez Ludwika swobodami, przyrzekła obrać na tron jedną z jego córek. Ale dziewczęta były jeszcze małe, matka nie chciała puścić żadnej od siebie. Nastały czasy bezkrólewia i nieporządków. O opróżniony tron polski poczęli walczyć różni książęta. Pragnął go posiąść Ziemowit, czyli Semko, książę mazowiecki, pochodzący z zasłużonego rodu Piastów, usiłował wkroczyć do Polski Zygmunt, niemiecki książę, luksemburski. Część narodu, wierna przyrzeczeniu, chciała wprowadzić córkę Ludwika. Niektórzy panowie, szukając dla siebie korzyści, pomagali Semkowi lub Zygmuntowi.

Wynikały stąd spory i kłótnie. W tak gorącym czasie nikt się nie troszczył o nową szkołę, potrzebującą jeszcze opieki dla dalszego rozwoju. Upadała ona powoli i poszła prawie w zapomnienie. Przestała być źródłem wylewnym umiejętności. Chciwa wiedzy młodzież szła czerpać mądrość nie do niej, lecz do szkół zagranicznych.

Najliczniej odwiedzaną w tym czasie była najbliższa akademja, świeżo, bo w r. 1347 założona w pobratymczej Pradze Czeskiej. Studjowało tam tak wielu Polaków, że „nacja polska“ najliczniejszą była między cudzoziemskiemi.

Szczęśliwy przyjazd córki Ludwika, Jadwigi, położył koniec waśniom i rozterkom. Piękna, anielskiej dobroci królowa stała się zwiastunką pokoju. Przez jej małżeństwo z Jagiełłą, wielkim księciem litewskim, Polska rozszerzyła granice, niosąc przytym pogańskiej i dzikiej jeszcze Litwie wiarę i oświatę.

Rozumna i świętobliwa Jadwiga pojmowała znaczenie oświaty i pragnęła, by Polska trzymała wysoko pochodnię wiedzy, by móc przyświecać sąsiadom. Nowonawrócona Litwa potrzebowała duchowieństwa.

— Wiele nocy bezsennych—pisze Jadwiga w liście do papieża—strawiłam, rozmyślając, jakby rozsiać promienie wiadomości i cnoty w nowoochrzczonym plemieniu, jakby światłem uczynków katolickich oświecić wyżyny narodu, użyźnić winnicę pańską, a wypleć kąkol.

W celu przygotowania księży, Jadwiga założyła i hojnie uposażyła w Pradze czeskiej „kolegjum Litwinów,“ gdzie studenci Litwini, kształcący się w akademji praskiej, znajdowali wszelką pomoc. Marzeniem jej jednak było dźwignąć i uzupełnić szkołę Kazimierzowską. Poczyniła już ku temu starania, wyjednała u papieża Bonifacjusza pozwolenie na uczenie w akademji krakowskiej teologji, którego nie posiadała dawniej.

Okrutna śmierć wyrwała krajowi młodziutką królowę. Jadwiga zmarła w 1399 r., nie doczekawszy urzeczywistnienia swych pragnień. Umierając myślała jeszcze o akademji, bo wszystkie klejnoty swoje zapisała w testamencie na jej uposażenie. Za pieniądze Jadwigi zakupiono na ulicy św. Anny dom od mieszczanina Pęcherza na pomieszczenie nowej szkoły i sprowadzono profesorów.

Na wieść o rozszerzeniu akademji pośpieszyli uczeni polscy, przebywający w Pradze, między niemi wielu takich, którzy swe wykształcenie zawdzięczali królowej. Otwarcie wskrzeszonej akademji odbyło się w lipcu 1400 roku, w rok po śmierci „Świętej Pani.“

* * *

Dnia 22 lipca Jagiełło w orszaku duchownych i świeckich dygnitarzy wprowadził profesorów i uczniów w mury nowej szkoły. Nikt ze współczesnych nie opisał tej uroczystości. Z podania wiemy, że odbyła się okazale. Miasto całe przybrało odświętną postać, dom nowego kolegjum ustrojono w gałęzie drzew i wieńce. We wszystkich oknach, na gankach, na dachach nawet, mnóstwo zebranych ludzi witało głośnym okrzykiem wchodzących. Nietylko już oświeceni, ale i lud cały, jakby z natchnienia przeczuwał, że wprowadzają oto do miasta wieczystą pochodnię światła, co będzie szeroko rozlewała dobroczynne promienie, zagrzewała do rady i czynu prawych synów Rzeczypospolitej.

W kilka dni później zaczęto zapisywać uczniów. Na pierwszym miejscu podpisał się król Władysław Jagiełło, potym Piotr Wysz, biskup krakowski, Mikołaj z Kurowa, biskup władysławski, Jan z Tęczyna, kasztelan krakowski, Klemens z Moskorzewa, podkanclerzy koronny oraz 12 prałatów i kanoników, 28 proboszczów i 205 uczniów. Władysław potwierdził wszystkie prawa, które Kazimierz nadał akademji.

Przywilej królewski zaczyna się od wezwania chrześcijańskiego:

— „W imię Boże. Amen. Ku wiecznej rzeczy pamiątce. Ponieważ wielu pomyłkom i wątpliwościom zapobiega się roztropnie, czyny wieku naszego trwałością pisma, mocą przywilejów i podpisem świadków uwieczniając, przeto My, Władysław z Bożej łaski król polski, oraz ziem: krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej, najwyższy książę litewski, Pomorza i Rusi pan i dziedzic, wszem wobec dzisiejszym i potomnym do wiadomości niniejszym pismem podajemy“...

I mówi ten przywilej, jako król za pomocą ludzi, „których duszę przyozdobiła mądrość i pełna nauka,“ „których radą tron królewski się zachowuje“—chce cały naród „powrócić na synów światłości“ i „nauką wykorzenić błędy i wady.“ Dlatego, nie wątpiąc, że będzie to pożytecznym i zbawiennym dla narodu „za wiedzą, wolą, zgodą i przyzwoleniem Najświętszego w Chrystusie ojca, Bonifacjusza IX papieża, w mieście Krakowie przedsięwziął ustanowić, urządzić i mocą przywileju wiecznemi utwierdzić czasy—akademję—na uczenie teo-

logji, prawa kanonicznego i cywilnego, medycyny i kunsztów wyzwolonych.“

Pragnąc ułatwić wszystkim, nawet najuboższym, korzystanie ze skarbów wiedzy w tej szkole powszechnej, „ozdobie naszej świętej korony polskiej,“ profesorom, uczniom, wogóle wszystkim „szkolnym osobom,“ jakiegokolwiek urzędu, godności i stanu nadaje król przywileje i swobody, które przyrzeka niezmiennie dotrzymać i zachować. Gdyby zaś kto przywilej szkoły i nadane jej swobody ważył się złamać lub zgwałcić, niech wie, że „podpadnie gniewowi mściwemu surowego Sędziego, tudzież nędznej nieszczęśliwości i okropnemu i niespodziewanemu wypadkowi.“

Po ogłoszeniu tego przywileju, będącego w znacznej części powtórzeniem przywileju Kazimierza, biskup krakowski, Piotr Wysz otworzył nauki w nowym gmachu pierwszą lekcją prawa kanonicznego. Po skończeniu winszował królowi, że podnosząc akademję, zgotował dla siebie niepożytą pamiątkę u potomności.

— Da Bóg! akademja nasza przetrwa długie wieki!—zakończył.

— Niech się tak stanie! zawołali z uniesieniem obecni.

Wtedy Stanisław ze Skarbimierza, znakomity kaznodzieja, spowiednik królowej Jadwigi, zaczął przemawiać na pochwałę nauki i akademji. Mówił po łacinie, długo i ozdobnie. Opowiadał, jako Bóg Polskę między innemi narodami raczył odznaczyć duchową ozdobą rozmaitych nauk. Akademję krakowską nazywa tronem Boga, „skąd rozchodzą się grzmoty, głosy i łyskawice, oświecające człowieka wewnątrz światłością niebieską.“ „Równie w dzień pomyślności, jak i w nocy nieszczęścia profesorowie akademji będą wołać na chwałę Bożą, lecąc myślą w najodleglejsze strony i dopatrując prawdę bystrym wzrokiem.“

Wszystkie fakultety, czyli wydziały ma posiadać akademja. *Fakultet teologiczny*, który zagłębiając się w Pismo św., „zbiera rozproszone w nim wiadomości i wykłada o jedności Boskiej Istoty, o troistości Osób, o powrocie człowieka grzesznego do szczęśliwości wiecznej, o karze występnych, o wierze, nadziei i miłości, o sakramentach.“ *Prawo cywilne* mówi o rządzie rzeczy świeckich. „Prawnik radzi społeczeństwu, aby mu co nie szkodziło.“ *Medyk* znów „podaje radę ciału, aby społeczeństwo pożytecznego nie postradało członka.“ „Podwa-

liny tych nauk zakładają magistrowie *sztuk wyzwolonych* przez gramatykę, ozdabiają przez retorykę, prawdę od fałszu rozeznawać uczą przez djalektykę, rozmierzają niebo i ziemię przez gieometrję, dziwne i trudne rzeczy obrachowują przez arytmetykę, zgadzają głosy przez muzykę, tajemnic niebieskich dociekają przez astronomję, znaków niebieskich kształty poznają, czuwają nad wpływem planet.“

— Z nauk płynie zaszczyt dla kościoła i pożytki dla królestwa, niemi przyozdobi się cała społeczność, a „niecnota pójdzie na wygnanie.“

Profesorowie krakowscy „znaleźli na górach świętych złoto mądrości, srebro wymowy, sól roztropności, bursztyn sprawiedliwości, ołów wstrzemięźliwości, ziemię męstwa.“ Prześwietna więc akademja „zaleca się zaszczytem, cnotami i naukami.“ Wszystkiego nauczyć się można w tym domie, który jest „tronem Boga, skąd wynikają grzmoty, głosy i łyskawice, a w obliczu jego dzień i noc wołają doktorowie i magistrowie z łaski Tego, który ich duszę natchnął mądrością.“ Wszystko światło wynika z akademji, jako wody z źródła. „Nikt nie zapala pochodni, aby ją pod garniec schował, ale stawia ją na świeczniku, aby pragnący światła widzieć ją mogli.“

„Wznieście więc wielcy i mali oczy wasze w górę i patrzcie na światło wiekuiste. Podnieście oczy, a patrzcie na dom, gdzie się zebrali magistrowie różnych narodów, jednym tylko węzłem miłości złączeni. Dobre dzieło rozpoczęte, dali Bóg weźmie swoje dokonanie. Co niech sam Pan nasz, Jezus Chrystus i Zbawiciel uczynić raczy, jako kamień węgielny domu, Pan zawsze prawdziwy, zawsze chwały godny na wieki wieków. Amen.“

Mowę Stanisława ze Skarbimierza przyjęto z zachwytem *) Jagiełło jeszcze raz przyrzekł, że będzie pilnie się starał o dobro akademji. Stanisław ze Skarbimierza dziękował królowi. Jagiełło wyprawił profesorom wspaniałą biesiadę.

Tak się odbyło wskrzeszenie akademji, która przez przeszło 5 wieków służyła narodowi, a dziś jak przed wiekami opromienia chwałą nauki imię polskie...

H. Orsza.

---

*) Mowa Stanisława ze Skarbimierza piękna, lubo zanadto napuszona jest wybornym przykładem wymowy ówczesnej.

Założenie Rzymu.

Pierwszym staraniem założyciela był wybór miejsca na nowe miasto; ale wybór ten zostawiano zawsze postanowieniu bogów. Gdyby Romulus był Grekiem, pytałby o radę wyroczni w Delfach,—gdyby był Samnitą, szedłby za tropem świętego wilka lub śledził bieg świętego dzięcioła. Ponieważ zaś był Latynem, sąsiadem bliskim Etrusków, wtajemniczonym w sztukę augurów, prosił bogów, żeby mu objawili swą wolę za pomocą lotu ptaków. Bogowie wskazali mu wzgórze Palatyńskie.

W dniu zakładania złożył naprzód ofiarę. Towarzysze otoczyli go kołem, zapalili stos chróstu, i każdy po kolei skakał przez ogień. Obrzęd ten oznaczał, że przy czynności, która miała nastąpić, lud powinien być czystym,—starożytni zaś wierzyli, że oczyszczają się od wszelkiej zmazy, skacząc przez ogień poświęcony,

Po dokonaniu tych obrzędów świętych, przygotowujących lud do wielkiego dzieła założenia miasta, Romulus wykopał nieduży okrągły dół, w który rzucił bryłę ziemi, przyniesionej z Alby. Następnie każdy z jego towarzyszów zbliżał się z kolei do dołu i ciskał grudkę ziemi, którą zabrał ze swego kraju rodzinnego. Obrzęd ten zasługuje na uwagę, wykrywa nam bowiem myśl tych ludzi, którą należy zaznaczyć. Przed osiedleniem się na Palatynie każdy z nich mieszkał w Albie lub w innym z miast sąsiednich; tam było ich ognisko święte, tam żyli i pochowani zostali ich ojcowie. Otóż religja zabraniała opuszczać ziemię, w której znajdowało się ognisko domowe, w której boscy przodkowie spoczywali. Dla uniknięcia bezbożności trzeba było, żeby każdy z tych ludzi użył fikcji, żeby wziął z sobą bryłkę ziemi, jako symbol gruntu poświęconego, w którym pogrzebane były ciała przodków, do którego przywiązane były ich Many (cienie). Człowiek może się przesiedlić, tylko zabierając z sobą ziemię swoją i przodków swoich. Spełnienie tego obrzędu było potrzebnym, żeby można było powiedzieć o nowym miejscu zamieszkania: „To także ziemia ojców moich (terra patria), to moja ojczyzna, bo tutaj są Many mojego rodu.”

Dół, do którego każdy rzucał bryłkę ziemi, nazywano mundus,—wyraz zaś ten w starożytnym języku religijnym oznaczał specjalnie siedlisko Manów. Z miejsca tego, według podania, dusze zmarłych wymykały się

trzy razy do roku, spragnione ujrzenia choć na chwilę światła dziennego.

Czyż nie widzimy w tym podaniu prawdziwej myśli ludzi starożytnych? Składając w dole grudki ziemi z dawnej ojczyzny, wierzyli, że umieszczają w nim dusze przodków. Te dusze, zgromadzone tam, powinny odbierać cześć wieczną i czuwać nad swemi potomkami. Romulus postawił na tym miejscu ołtarz i rozniecił ogień. Było to ognisko święte miasta. Dokoła tego ogniska powinno było wznieść się miasto, jak dom otacza ognisko domowe.

Romulus wyorał pługiem brózdę, która miała stanowić granicę miasta. W tym razie rytuał określał także najdrobniejsze szczegóły. Założyciel musiał wziąć pług z lemieszem miedzianym, zaprzężony w białego byka i białą krowę. Z nakrytą głową, w ubiorze kapłańskim, Romulus sam kierował pługiem, śpiewając modlitwy. Towarzysze jego szli za wodzem w pobożnym milczeniu. W miarę, jak lemiesz odwalał skiby ziemi, zbierano troskliwie każdą grudkę i odkładano na stronę wewnętrzną brózdy, ażeby najmniejsza cząstka świętego gruntu nie została po stronie obcych. Ten obwód, który religja nakazywała zakreślić, był nietykalnym; ani cudzoziemiec, ani obywatel nie miał prawa go przekroczyć. Przeskakiwanie przez brózdę było czynem bezbożnym; tradycja rzymska opowiada, że brat założyciela popełnił to świętokradztwo i zapłacił za nie życiem.

Ponieważ jednak trzeba było wchodzić do miasta i wychodzić z niego, przerywano brózdę w kilku miejscach; Romulus podejmował wtedy w górę pług i niósł go,—nazwano więc te przerwy portae (od portare—nieść) i tak samo później nazwano bramy, które w owych miejscach zbudowano.

Nad świętą brózdą, albo nieco poza nią stanął następnie mur miejski, który równie był święty; bez pozwolenia kapłanów nie wolno było dotykać się do niego, nawet w celu naprawy. Po obu stronach muru pasy gruntu, kilka kroków szerokie, oddane były na użytek religijny. Nazywano te smugi pomaerium. Nie wolno było jeździć po nich wozem, ani stawiać na nich budynków.

Taki był, według mnóstwa świadectw starożytnych, obrzęd założenia Rzymu. Gdyby ktokolwiek dziwił się, jakim sposobem wspomnienie tej uroczystości zachowało się aż do czasów pisarzy, którzy nam je przekazali,

odpowiemy, że obrzęd ten corocznie utrwaliła w pamięci ludu uroczystość, jak ją nazywano, urodzin Rzymu. W starożytności stale obchodzono tę uroczystość, a lud rzymski święci ją dotychczas d. 21 kwietnia.

tłom. z francuskiego.

Uczniowie w szkole rzymskiej.

W szkole zwracało na siebie uwagę przedewszystkim miejsce, zajmowane przez nauczyciela. Katedra, opatrzona grzbietem prostym lub okrągłym, stała na wzniesieniu. Nauczyciel górował z niej nad słuchaczami. Obok niego siedział pomocnik, ale jego krzesło (sella) nie miało grzbietu i stało na podłodze.

Nauczyciel zwykle mówił, siedząc; wstawał tylko uniesiony niepohamowanym zapałem wymowy, co jednak zdarzało się dosyć rzadko. Uczniowie również siedzieli, wstawali zaś podczas wydawania lekcji i odczytywania ćwiczeń. Siedzenia dla uczniów stanowiły ławki drewniane bez oparcia. Niekiedy opierali nogi na stołeczkach, ale nie mieli ani pulpitów, ani stołów. Dla starożytnych zresztą nie były one potrzebne, uczniowie bowiem pisali na kolanach.

Ściany często ozdobione były tablicami marmurowemi lub gipsowemi, przedstawiającemi główne osoby i sceny z mitologji, tudzież z poematów klasycznych. Taką była n. p. sławna tabula Iliaca, pochodząca prawdopodobnie z czasów Sulli, która służyła do nauki Augusta. Tym samym sposobem była odtworzona Odyssea. Niema żadnych danych, świadczących o istnieniu w szkołach ściennych kart gieograficznych... Każdy uczeń miał swój bagaż szkolny. Główną część jego stanowiła walcowata puszka drewniana z przykrywką, zawierającą książki szkolne, t. zw. capsa. Te książki albo raczej zwitki (volumina), były związane paskami ze skóry, na których pisano tytuły. W pierwszych wiekach istnienia Rzymu były one bardzo rzadkie i bardzo drogie, nauczyciele musieli więc dyktować wykłady. Od czasu Cezara weszły w użycie środki, ułatwiające wydawanie książek. Atticus był zręcznym wydawcą; kazał on przepisywać niewolnikom w wielkiej liczbie egzemplarzy dzieła przyjaciela swego Cycerona. Za Augusta rozwi-

nął się prawdziwy handel księgarski. W pierwszym wieku naszej ery ceny książek były, zdaje się, niższe, aniżeli dzisiaj.

Uczniowie pisali na tabliczkach, „które składały się z dwuch lub trzech cienkich deseczek drewnianych, połączonych w ten sposób, jak oprawa książki i pociągniętych ze strony wewnętrznej cienką warstwą wosku.” Równoważnikiem dzisiejszego pióra był *stylus* żelazny, z jednego końca zaostrzony do kreślenia liter, z drugiego szeroko spłaszczony do ich zacierania. Styl nosili zwykle uczniowie w futerale, wiszącym u pasa. Narzędzie to przypominało nieco puginał i w razie potrzeby mogło go zastąpić. Była to broń niebezpieczna nawet w ręku dzieci, wskutek czego style wyrabiać zaczęto później z kości.

Rzymianie znali wszelkie odmiany papyrusu i pergaminu, atrament był w użyciu powszechnym. Uczeni nosili często kałamarz, zawieszony u pasa. Horacjusz, obudziwszy się, chwytał nieraz swój *calamus* i zaczynał pisać. Calamus była to cienka trzcinka, zatemperowana jak pióro, ale zacięcie było bardzo skośne i nadające się zarówno do cienkich strychów, jak i do grubych zakrętów.

Były więc dwa sposoby pisania: jeden stylem na tabliczkach, drugi trzcinką na papierze lub pergaminie. W szkołach używano pierwszego, który był dogodniejszym i tańszym. Kwintyljan zaznacza to stanowczo: „Lepiej pisać na tabliczkach, ponieważ łatwo wtedy zmazywać litery.” Nawet młodzieńcowi nie pozwala używać pergaminu, chyba że jest chory na oczy i musi wzrok oszczędzać. Teksty, dotyczące zajęć szkolnych, mówią tylko o tabliczkach. Marcjalis jednak napomyka o innym zwyczaju. Mówiąc o swym dziele, tak się wyraża: „Jeżeli Apollinaris cię potępi, możesz iść wprost do skrzyń handlarzy solą, nędzny papierze, którego strona odwrotna służyć będzie dzieciom do pisania.” Dziecko więc uczyło się w szkole obu sposobów pisania, gdyż oba były potrzebne w życiu praktycznym, i uczniowie zużytkowali do tego celu liche książki, pisząc na odwrotnych, czystych stronnicach wypracowania.

Uczeń musiał wstawać bardzo wcześnie. Koguty jeszcze nie piały, milczały kowadła w kuźniach i czółenka tkaczy, Rzym był jeszcze pogrążony we śnie, kiedy już dzieci biegły do szkoły pośpiesznie, oświetlając sobie w zimie drogę latarniami. *Capsę* i inne przybory

szkolne niósł paedagogus, albo—jeżeli dziecko pochodziło z rodziny zamożnej—specjalny niewolnik, capsarius. Wchodząc do szkoły, uczniowie pozdrawiali ukłonem nauczyciela, następnie zajmowali miejsca i zaczynała się lekcja. Nie wiadomo, jak długo trwała nauka w klasie, wiemy jedynie, że koło południa uczeń wracał do domu na śniadanie, poczym znowu szedł do szkoły. Zdaje się, że zajęcia szkolne ranne i popołudniowe wynosiły razem około sześciu godzin. Wypracowania pisano, przynajmniej w znacznej części, pod okiem nauczyciela, nie zaś w domu.

Uczniowie każdej szkoły dzielili się na kilka oddziałów, według wieku i wiadomości. Na czele każdego oddziału stał najlepszy uczeń. On pierwszy tłómaczył autora, pierwszy czytał wypracowanie, pierwszy odpowiadał na pytania, czasem nawet zastępował nauczyciela i był t. zw. *monitorem* kolegów (objaśniał lekcje i poprawiał omyłki). Zaszczyt ten był czasowym. Nauczyciele za czasów Kwintyljana urządzali dla uczniów każdego oddziału egzaminy miesięczne. Najlepszy zostawał monitorem aż do następnego egzaminu. Verrius Flaccus dla pobudzenia współzawodnictwa dawał pierwszemu uczniowi (*primus*) pięknie oprawną książkę; tak powstał zwyczaj udzielania nagród.

Wakacje ciągnęły się cztery miesiące: od Idów (13) czerwca do Idów (13) października. Oprócz tego były krótkie przerwy w ciągu roku. W dwa miesiące po zaczęciu nauk obchodzono od 17 grudnia w ciągu trzech dni *Saturnalia*. Naszym ferjom wielkanocnym odpowiadały *quinquatriae*. Obchodzone z początku w ciągu jednego dnia, trwały później od 19 do 25 marca. Było to święto Minerwy, opiekunki sztuk i nauk, którą uczniowie szczególnie czcili, jako swoją patronkę. Co dziewięć dni był wypoczynek—*nundines*. Nakoniec przerywano lekcje w czasie wielkich uroczystości religijnych i w I-szym wieku przed naszą erą liczono w roku szkolnym przynajmniej 62 dni świąteczne. Wszystkie te wypoczynki nie wydawały się starożytnym czasem straconym. Według nich umysł, podobnie jak ziemia, powinien przez czas pewien leżeć odłogiem, żeby następnie stać się bardziej wydajnym. „Nie chcę — mówił Seneka, — żebyście wciąż pochylali się nad książką lub nad literami. Biada temu, kto niema wakacji. Nie zna on najlepszej rzeczy w życiu."

tłom. z francuskiego.

Z życia Fryderyka Szopena.

Chociaż z ojca miał w swych żyłach krew francuską, natura jednak polska zapanowała w sercu dziecka, wykarmionego duchem narodu, którego stał się jedną z nieśmiertelnych potęg w panteonie sztuki. Gienjusz Szopena ma wszystkie cechy naszej narodowości, a są one tak jasne, tak określone, tak odrębne, że nawet cudzoziemcy naszego poetę-muzyka, nie uwodząc się jego nazwiskiem, nazywają wprost polakiem.

Pomimo wpływów najstaranniejszego wychowania, jakie Szopen w domu rodziców odebrał, pomimo rozbudzenia duszy dziecka słowem i przykładem, nie mielibyśmy z Szopena gienjalnego kompozytora, gdyby bogini poezji nie stała nad jego kolebką. Fryderyk urodził się artystą—wychowanie, nauka, praca, życie, sprawiły, że artyzm jego wydał owoce, jakie pod polskim chmurnym niebem niezawsze tak nagle dojrzewają.

Szopen urodzony d. 2 marca 1809 roku w Warszawie, około roku 1827 słynął już w okolicy jako znakomity muzyk, chociaż nie wszyscy tę znakomitość jednakowo oceniali—miał i wówczas już zazdrosnych.

Ojciec Szopena, profesor warszawskiego uniwersytetu, wysłał go do Berlina, gdzie wówczas przebywali najpierwsi artyści-nauczyciele. W drodze na jednej ze stacji pocztowych, podróżni mając tylko godzinę na wypoczynek, zabrali się do śniadania; lecz Fryderyk w jednym z pokojów gospodarza spostrzegłszy fortepian, usiadł do niego i zaczął improwizować. Na odgłos muzyki podróżni opuścili jadalnię, oberżysta swój kantor, jego żona, córki, sługi i domownicy zajęcia—i otoczyli nieznajomego artystę.

Gdy wszyscy się zachwycali grą młodego mistrza, nagle konduktor, stając na progu krzyknął:

— Panowie do powozu!—pocztyljon już na siodle!

— Niech cię licho porwie! — zawołał oberżysta, a zwracając się do Szopena, ze złożonemi jak do modlitwy rękoma, błagał go:—graj pan, kończ ten śliczny kawałeczek!

— Kiedy pocztyljon już woła, trzeba jechać;—odpowiedział Szopen.

— To nic! to nic! niech sobie jadą—dam panu konie i powóz;—błagał oberżysta.

— Kończ pan!—błagała jego żona ze łzami w oczach, a córki pobiegły do bufetu po najlepsze ciastka i wino.

Szopen grał dalej, a gdy skończył, pochwycili go wszyscy w objęcia, wyściskali po kolei i w tryumfie zanieśli do powozu, który czekał. To uczczenie, jakie okazali prości ludzie wielkiemu muzykowi, nie powinno nikogo dziwić—oni go zrozumieli, bo Szopen komponował tak, że każdy, kto ma serce, zrozumieć go musi.

Mistrz ten czerpał natchnienie w pieśni ludu polskiego—nuta w dziełach mistrza znajduje pobratymczość w melodji tej pieśni.

W Berlinie i Wiedniu tryumfy Szopena były głośne. Przybywszy stamtąd do Paryża, pozbawiony dostatecznych środków do życia, a nie chcąc być ciężarem rodzinie, ani żyć na łasce magnatów, zabrał się do muzyki, jako do środka zarobkowego. Na tej drodze zniósł niejeden zawód. Prostoduszny, skromny, cichy, nie wywalczyłby sobie może pierwszorzędnego stanowiska, pomimo gienjuszu, gdyby nie szczęśliwe okoliczności, tyle znaczące w życiu zwyczajnych i wielkich ludzi.

Zaproszony na wieczór do jednego z francuskich magnatów, improwizował gienjalnie. Muzyką podbił odrazu wszystkich, a delikatnością rysów twarzy, powabem poetycznym w całej swej liljowej postaci, zyskał odrazu sympatję; zarzucony też został prośbami o udzielanie lekcji. Całe jego zachowanie się przypadło do gustu arystokratycznym powagom;—ten jeden wieczór zapewnił mu stanowisko i fortunę.

Szopen miał licznych zazdrosnych, ale rywala miał tylko jednego—tym jednym był Liszt. Z rywalizacji jednak wywiązała się przyjaźń:—obaj wielcy muzycy duszą do siebie należeli. Nie mieli też powodu zazdrościć sobie wzajemnie: Liszt, namiętny, dramatyk, gotowy do burzy; Szopen, równie entuzjastyczny, lecz równocześnie rzewny, oddziaływający głównie na serce, często rozmarzony, a zawsze poetyczny. Mogli więc obaj panować nie wkraczając w dziedziny władztwa wzajemnego.

Pewnego wieczoru było liczniejsze, niż zwykle, zebranie w Nohand, u pani Georges Sand, która oprócz Liszta, Szopena i domowników swoich, zaprosiła kilka rodzin z sąsiedztwa. Na tym zebraniu Liszt, zaproszony do fortepjanu, wykonał nokturn Szopena, dodając od siebie kilka szczegółów.

Podczas gry twarz Szopena wyrażała niepokój i po-

mieszanie: artysta, którego utwór kaleczono, nie mógł dłużej powstrzymać niecierpliwości, powstał i rzekł do przyjaciela głosem poważnym, zimnym:

— Mój drogi, jeżeli robisz mi ten zaszczyt, że grasz moje kompozycje, to raczże grać, tak, jakem je napisał.

— A więc graj je sam — odpowiedział Liszt, nieco urażony wstając od fortepjanu.

— Chętnie, niech wyniosą światło, — odpowiedział Szopen.—Światło księżyca wystarczy.

Gdy uczyniono zadość jego żądaniu, zaczął improwizować.

Jakaż to była improwizacja!

Niepodobna słowem określić natchnienia, jakie płynęło z pod czarodziejskich palców Szopena.

Skończył i światło wniesiono; wszystkich oczy były zwilżone łzami. Liszt, głęboko wzruszony, wyciągnął do przyjaciela ramiona:

— O! masz rację, mój drogi; takich dzieł, jak twoje, nikt nie powinien się dotykać; tyś prawdziwy poeta!

— Ach, to nic—tylko, że każdy z nas ma inny styl. Przecież wiesz, że nikt tak nie gra, jak ty, Beethovena i Webera. Zagraj nam teraz adagio Beethovena—ale tak jak to grać umiesz, gdy chcesz.

Liszt zaczął grać—obecni płakali, ale wrażenie nie było już tak urocze, jak poprzednio.

Zycie Szopena mogłoby się nazwać szczęśliwym, gdyby nie straszna choroba piersiowa, która od roku 1838 zaczęła go niszczyć.

Gorączkowy bieg życia w społeczeństwie paryskim od roku 1832, musiał oddziałać podkopująco na niezmiernie wątły organizm Szopena. Już w jesieni 1837 ukazały się w nim groźne objawy choroby piersiowej, która trawiąc powoli mistrza, wpłynęła rozdrażniająco na jego usposobienie, i utwory z tej epoki nacechowała piętnem melancholji i smutnego przeczucia. Brak w nich zwykłej mistrzowi jasności, z każdej nuty czuć, że są wylewem duszy targanej boleśnie.

W lutym 1848 r., kiedy w Paryżu wybuchła rewolucja, a mnóstwo rodzin opuściło mury wzburzonego miasta, widzimy Szopena złożonego ciężką chorobą, otoczonego troskliwością nieodstępnego swego ucznia i przyjaciela Adolfa Guttmana i doktora Molina. Dzięki ich poświęceniu i czujności, po dwuch miesiącach odzyskuje on zdrowie i udaje się do Londynu.

W Anglji, gdzie imię Szopena cieszyło się oddawna

zasłużonym rozgłosem, serdeczne i pełne czci przyjęcie, jakiego doznał od tamecznych mieszkańców, pozwoliło mu choć na chwilę zapomnieć o przebytych we Francji cierpieniach. Przedstawiony królowej angielskiej i przyjęty sympatycznie na jej dworze, codziennie otrzymywał zaproszenia do najpierwszych domów, nieszczędzących mu oznak szczerego szacunku i uznania.

Wkrótce atoli uczuwszy szkodliwy na zdrowie wpływ tego życia śród dusznej atmosfery salonów, trawionego na kilkugodzinnym przesiadywaniu przy fortepjanie, tym chętniej przyjął zaproszenie do Szkocji, sądząc, że górskie powietrze wpłynie zbawiennie na wyczerpane jego siły. Ale Szkocja stała się dla Szopena zabójczą. Pobyt bowiem w surowym jej klimacie podkopał do reszty jego zdrowie. Zamglone niebo Szkocji, działając szkodliwie zwłaszcza na usposobienie nerwowe, zamgliło i umysł artysty i zrodziło w mistrzu znowu owe fantazje i myśli, gnębiące go w chwilach chorobliwych.

Z początkiem 1849 powrócił do Paryża, i zaraz na wstępie poniósł dotkliwą stratę. Umarł bowiem doktór Molin, którego poświęceniu i trudom tyle zawdzięczał.

Rozpacz ogarnęła Szopena. Stał się ponurym i milczącym. Choroba coraz groźniejsze zaczęła przybierać rozmiary, wszystko zapowiadało blizki koniec.

15 października 1849 r., podczas spokojnego poranku jesiennego, gienjalny mistrz dogorywał na łożu, przy którym czuwała siostra jego Ludwika, hr. Delfina Potocka, Guttman, jego wierny przyjaciel, i kilku innych zaufanych.

Spostrzegszy hr. Potocką, która w ukryciu płakała, chory prosił ją, aby zechciała zaśpiewać. Przyjaciółka cudowną siłą woli potrafiła zapanować nad boleścią i głosem przerywanym zaśpiewała hymn Stradelli, do Najświętszej Panny.

Śpiewała z natchnieniem, umierający był w zachwycie.

— O jakże to piękne! jeszcze! jeszcze!—powtarzał.

Przyjaciółka usiadła do fortepjanu i zaintonowała psalm Marcella.

Ci, co byli blizko umierającego, myśleli, że już zapadł w przedśmiertną ekstazę—wszyscy przyklękli.

Skupienie duchowe klęczących przerywał tylko śpiew cudownie piękny, co brzmiał, jak głos anioła, uchylającego przed błogosławionemi drzwi przybytku wieczności..

Płacz ustał—serca na jeden takt biły—usta szeptały słowa nadziei... Ale nadzieja zawiodła.

Nazajutrz zażądał umierający ostatniego Olejem świętym namaszczenia, które też zostało mu udzielone przez polskiego kapłana.

Podczas czytania modlitwy za umierających, wsparty na ramieniu Guttmana, Szopen miał oczy wciąż przymknięte—dopiero, gdy kapłan umilkł, rozwarł szeroko powieki, spojrzał wyraźnie i głosem dobitnym rzekł: Amen.

Poczym wpadł w zupełną odrętwiałość; dopiero w nocy zażądał wody, którą mu Guttman podał. Zwilżywszy wargi, poniósł rękę przyjaciela do ust swych, ucałował ją i... wyzionął ducha na ramieniu swego ucznia, w chwili gdy zegar wybijał trzecią z rana.

Czcigodne szczątki zostały złożone na cmentarzu Père—Lachaise, obok szczątków Bellini'ego.

Takiego towarzysza wybrał sobie mistrz tonów.

z „Biesiady Literackiej“.

Z życia Jana Matejki.

Znakomity ten mąż, którego sława wybiegła daleko po za ziemie słowiańskie, urodził się w Krakowie w r. 1838 i na chrzcie otrzymał imiona: Jan, Alojzy. Już od wczesnych lat dziecięctwa swego chwytał za ołówek i papier, aby rysować znane sobie przedmioty. Na to zamiłowanie małego Jasia do rysunków starsi patrzyli pobłażliwie, jako na rozrywkę pożyteczną. Nieraz, gdy inni rówieśnicy przyszłego twórcy „Kazania Skargi“ biegali z krzykiem i śmiechem po dziedzińcu, tracąc czas na pustej zabawie, on zaczytany w „Śpiewach historycznych“ Niemcewicza, marzył, jakby to było pięknie dodać do nich obrazki, odtworzyć ołówkiem lub pendzlem ich bohaterów. W wyobraźni chłopczyny stawał Jagiełło, Witold, Krzyżacy butni przesuwali się, jak żywi, wielcy rycerze, uczeni, sławni monarchowie, gwarni dworzanie, wojsko z przed wieków, lud, panowie, mieszczaństwo. Jak w czarodziejskiej latarni, tak w młodej wyobraźni zmieniały się obrazy, a co jeden, to piękniejszy, doskonalszy, niż drugi.

Wcześnie oddany do gimnazjum św. Anny w mie-

ście rodzinnym, uczy się pilnie; ale ulegając nieprzepartej skłonności do malarstwa, w czternastym roku życia wstępuje do krakowskiej Szkoły sztuk pięknych. Niestrudzony w studjach, pilny w pracy, nie marnujący ani chwili drogiego czasu, już w szesnastym roku życia z zapałem rzuca na płótno pierwsze próby gienjalnego swego talentu. Niebawem maluje obrazy, które zwracają nań uwagę ogólną. Są niemi: „Wjazd Henryka Walezego do Krakowa,“ „Jagiełło, modlący się pod Grunwaldem,“ „Starowolski z Karolem Gustawem przed grobem Łokietka.“

Prace te, utalentowanemu, lecz ubogiemu młodzieńcowi zapewniają stypendjum, które pozwala mu na wyjazd za granicę dla dalszego kształcenia. Tutaj zatrzymał się dłużej w Monachjum i z wielką pracowitością zaczął studjować sztukę malarską. Owocem tych studjów był obraz „Otrucie królowej Bony,“ uwieńczony wkrótce nagrodą akademicką: medalem bronzowym. Po krótkim następnie pobycie w Wiedniu, Matejko powrócił na stały pobyt do Krakowa.

Następuje okres najświetniejszej twórczości mistrza; stanął on odrazu u szczytu przez namalowanie „Kazania Skargi,“ tego przedziwnie pięknego obrazu, z którego zdaje się widzowi, że na wskrzeszoną przeszłość patrzy, że widzi dwór królewski i natchnionego kapłana, karzącego ognistym słowem—prywaty, przywary i wady jego. „Grzechy wasze są zgubą waszą“ zda się grzmieć w uszach widza, gdy patrzy na wspaniałą, wyniosłą, uduchowioną i przenikniętą pozaświatową pięknością i świętością postać Skargi. Dzieło to mistrza Matejki, wystawione w Paryżu wśród obrazów malarzy całego świata, zdobyło pierwszą nagrodę—medal złoty. Sława wielkiego artysty obiegła wtedy obie półkule, imię jego stało się znanym i czczonym. Matejko z pokorą, bez uniesienia się dumą, przyjmuje hołdy i uznanie, którym go darzą swoi i obcy; skromny, pracowity, z modlitwą na ustach witający ranek i żegnający wieczór, może służyć za wzór dla tych, którzy dzieła małej pracy stworzywszy, chodzą, jak pawie, napuszeni i każą się podziwiać. Jemu obcą była zarozumiałość, matka ludzi o umysłach płytkich i duszach poziomych, obcą pycha i chęć przewodzenia innym. Zamknięty w swej pracowni, od świtu do późnej nocy nie wypuszczał ołówka i pendzla z ręki, dążąc wciąż naprzód po drodze do doskonałości w ukochane przez się sfery ideału, w dziedziny prawdziwego

i przedziwnego piękna. Świadczy o tym szereg arcydzieł, któremi świat obdarzył, jak „Wit Stwosz,“ „Jan Kochanowski nad zwłokami Urszuli,“ „Kopernik w swej pracowni,“ „Bitwa pod Grunwaldem,“ „Hołd pruski,“ „Batory pod Pskowem“ i wiele innych pomniejszych, niemniej jednak odtworzonych gienjalnie i na podziw przyszłym pokoleniom.

W roku 1873 Akademja sztuk pięknych w Pradze czeskiej, czcząc w Matejce najpierwszego malarza historycznego, zaprosiła go na swego dyrektora; ale mistrz odmówił, bo on tylko wśród swoich i dla swoich pragnął pracować. Na nic się zdały namowy pobratymców Czechów i świetne a zaszczytne propozycje materjalnego i moralnego wynagrodzenia; mistrz pozostał w murach Krakowa, który ukochał i wśród którego pragnął zamknąć oczy do snu wiecznego.

W tymże samym roku 1873 powołano mistrza na stanowisko dyrektora Szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Nie odmówił i pracował jako nauczyciel młodych artystów z rzadką sumiennością, jednając sobie ich serca i zostawiając zaszczytną pamięć, że byli jego uczniami. Umarł w r. 1893.

Matejko był uosobieniem pracy i skromności; przekona nas o tym opowieść ś. p. Tytusa Maleszewskiego, również wybitnego artysty malarza, serdecznego przyjaciela mistrza.

„Do śmierci nie zapomnę chwil spędzonych z nim w Paryżu w r. 1870. Malarstwo polskie święciło wówczas, dzięki Matejce, tryumf. Mieszkałem wtedy w Paryżu. Paryski Salon sztuk pięknych już dawniej przyznał Matejce wielki medal złoty za „Kazanie Skargi,“ jedno z jego arcydzieł; zachęcony tym, postanowił znów spróbować szczęścia. Właśnie wykończył „Unję Lubelską“ i to dzieło gienjalne zamierzał wystawić w Salonie. Zapytał mię listownie o radę; oczywiście gorąco przyklasnąłem zamiarowi, a wiedząc, że Matejko w życiu codziennym, jak większość gienjuszów, był nieobrotny, przyrzekłem ułatwić mu wszystko.

„Unja Lubelska“ przybyła z Krakowa i odrazu zrobiła ogromne wrażenie. Francuzi (bez przesady mówię) poprostu osłupieli na widok tak olbrzymiego płótna, ale niemniej zachwyciła ich treść i wykonanie. Fleury, wielki znawca malarstwa, który z gronem innych znawców oceniał, czy obraz wart jest wystawienia w Salonie, rzekł do mnie:

— Ależ to prześliczne!

Dowiedziawszy się zaś, że obraz malował Polak Matejko z Krakowa, podchwycił:

— Ach, Matejko! „Kazanie Skargi“... Wielki medal złoty! Wiem, pamiętam! Naturalnie taki mistrz nie może czego innego tworzyć, tylko arcydzieła.

Znawcy jednomyślnie orzekli, aby „Unję“ umieścić w sali honorowej. Już to samo było wielkim zwycięstwem, bo Francuzi dla obcych nie są nadto względni, a raczej szczerze mówiąc, traktują ich z lekceważeniem. Niezwłocznie zająłem się umieszczeniem obrazu w sali przeznaczonej, co nie było łatwym, bo dla płótna tak olbrzymich rozmiarów potrzeba dużego miejsca. Załatwiłem się jednak szczęśliwie i niezmiernie uczułem się dumnym, spostrzegszy, że obraz podbił wybrednych Francuzów. Przez cały dzień tłumy przed nim stały, podziwiając go z niekłamanym zachwytem. Serce mi wprost rosło, gdym widział, że uwielbienie dla arcydzieła z każdą niemal chwilą się zwiększa, i wierzaj mi, straciłem głowę z radości, dowiedziawszy się, że Matejce przyznano za obraz Legję honorową.

— Legję honorową! Zrozumiej to! Legja honorowa dla cudzoziemca—to we Francji coś niebywałego!

Natychmiast zawiadomiłem o tym nadzwyczajnym zdarzeniu Matejkę, który będąc domatorem, siedział sobie najspokojniej w Krakowie. Po odebranie zaszczytnego odznaczenia, musiał przyjechać. Jakoż przyjechał. Nie wątpisz, że przywitaliśmy się po bratersku; chciałem go wprost z kolei zawieźć do mieszkania, ale on na to:

— Przedewszystkim pójdźmy do kościoła, Bóg pierwszy.

Zawiozłem go do najbliższego kościoła, tam się pomodlił i dopiero potym udaliśmy się do mego mieszkania.

Nazajutrz dał mi drugiego nosa. Budzę się, a widząc, że Matejko także nie śpi, wszczynam gawędę. Matejko nie odpowiada. Chcę go rozruszać, opowiadam o zachwycie Francuzów, o zdaniach znawców; on milczy, jak zaklęty. „Jakaś mucha usiadła mu na nosie— myślę sobie.—Czyżby się obraził? Ale o co?“ Gdy tak myślę, patrząc z pod oka na Matejkę, ten wstaje, ubiera się, klęka, wciąż milcząc i zaczyna się modlić. Skończywszy, uściskał mnie i rzekł serdecznie:

— Mój drogi Tytusie, nie gniewaj się, nie burcz.

Od dzieciństwa mam zwyczaj pierwszą myśl moją i słowa pierwsze po spoczynku nocnym zwracać do Boga. Ślubowałem to sobie i jak widzisz, ślubu dotrzymuję. Taki oto ze mnie dziwak.

— Przyznam ci się, że mnie zawstydził, upokorzył, ale zarazem zbudował.

Nadszedł dzień rozdania nagród. Otrzymaliśmy zaproszenie, które też oznajmiało, że uroczystość będzie urzędowa. Ubieram się tedy w strój galowy i ze zdumieniem widzę, że Matejko przywdziewa codzienny. Przekładam mu, tłómaczę:

— Bójże się Boga! Przecież to gala, a ty chcesz iść, jak do pracowni. Nie wypada, nie można!

Na to Matejko z zimną krwią:

— Nigdy w życiu fraka na sobie nie miałem i nigdy go nie włożę. Nie dla mnie salonowe dekoracje, poruszać się w nich nie umiałbym, czułbym się w nieswojej skórze.

— Wyjątek zrobić musisz, zastanów się!

— Gadanie—fuknął Matejko niecierpliwie.—Cóż to, na dudka chcesz mnie wystrychnąć? Na pośmiewisko dać? Jeżeli frakowi i rękawiczkom mają przyznać nagrodę, to upadam do nóg! Kwituję z takiej gali...

Widząc, że nic nie poradzę, dałem pokój. Matejko poszedł, jak stał, w ubraniu codziennym, nawet bez rękawiczek.

Nagrody rozdano „od dołu,“ to jest, od najniższej. Wreszcie prezes sędziów, Fleury, wśród ogólnej ciszy powiedział:

— Nagrodę najwyższą, Legję honorową, po raz pierwszy otrzymuje cudzoziemiec: zdobył ją Jan Matejko, Polak z Krakowa.

Tłumy zaczęły wiwatować, mnie serce mało piersi nie rozsadziło, tak biło silnie, a Matejko stał na wzniesieniu blady, a tak cichy, tak nieśmiały, tak wylękły nawet i zahukany, jak dziecko, które coś zbroiło; lecz w tej jego nieśmiałości, pokorze było coś porywającego, wielkiego.

Z uczuciem błogości spoglądałem na wiwatujące tłumy, a z uwielbieniem na mistrza, który w tej chwili dziękował Bogu za sprawiedliwość ludzi, a o tym myślał, że sława jego spłynie na kraj, na naród, przysporzy mu czci i żywotności.

M. Synoradzki.

Z życia Tadeusza Kościuszki, Bitwa pod Racławicami.

Wobec rocznicy tej bitwy dajemy opis tej pamiętnej w dziejach narodu polskiego bitwy, według dzieła Korzona o Kościuszce.

* * *

Z Krakowa wyszedł Kościuszko d. 1 kwietnia, wiodąc oba bataljony załogi. Pierwszy obóz był zatoczony o dwie mile od miasta, pod wsią Luborzycą. Tu przybyli: Madaliński, Manget ze swemi brygadami i z wirtemberczykami Zborowskiego, regiment 6-ty o dwóch bataljonach i jeszcze jeden bataljon, nie wiadomo z jakiego regimentu, czy z 2-go, szefostwa Wodzickiego, czyli też z 3-go, szefostwa Czapskiego? Zebrało się więc 5 bataljonów piechoty i 22 szwadrony jazdy. Armat mógł dostarczyć zamek krakowski śpiżowych tylko 10 (w tym 4 sześciofuntowe i 6 małych trzyfuntówek); bataljonowe były, jak wiemy, zabrane do arsenału warszawskiego; tylko Wodzicki potrafił ukryć 2 bataljonówki swojego regimentu; tym sposobem artylerja Kościuszki składała się zaledwo z 12-tu sztuk, przeważnie 3-funtówek, których Pistor nie raczył rachować; 6-cio funtowych było 4, a 12-sto funtowej ani jednej.

Liczbę głów całego tego wojska możemy ogólnikowo tylko oznaczyć na 4.000 nie doszły nas bowiem raporty dzienne, a bez nich niepodobna przeprowadzić szczegółowego obrachunku w oddziałach, zrujnowanych niewypłatą żołdu, dymisjami, dezercją, a nareszcie rozpoczętą redukcją.

Porządkowanie zabrało kilka dni czasu. Komendę jednej dywizji powierzył Kościuszko Madalińskiemu, drugiej—Zajączkowi, który znalazł się na podorędziu, ponieważ przebywał przez całą zimę w pobliżu granicy. Wodzicki nie towarzyszył wyprawie z powodu zasłabnięcia.

Dnia 3-go kwietnia mała armja posunęła się o milę dalej—do Koniuszy, wsi akademickiej, która była do niedawna w posiadaniu Kołłątaja. Tu Jan Ślaski, członek komisji porządkowej, a zarazem ochoczy wykonawca jej listu okólnego, przyprowadził rekruta dymowego,

czyli chłopów ze wsi okolicznych 2,000 głów. Uzbrojenie składało się nie z broni palnej, ale częścią z pik, a powiększej części z kos, osadzonych na sztorc.

Denisow otrzymał doniesienie, wcale mylne, że kolumna nieprzyjacielska idzie wzdłuż Wisły ku Koszycom; zaraz więc w nocy z 3-go na 4-ty kwietnia wysłał w tym kierunku na pomoc Frieselowi bataljon Łykoszyna. Oddział ten nie widział na oczy polaków i z powodu oddalenia nie mógł już przyjść na pole bitwy. Zatrzymując dla siebie stanowisko środkowe w Skalmierzu, Denisow wysłał na prawo Tormasowa, dodając mu jeden bataljon, wzięty z korpusu lubelskiego Rachmanowa, i dział 4, tak, że ze swojemi i bataljonowemi zebrało się 12. Miał więc Tormasow 1 bataljon grenadjerów, $1^1/_2$ jegrów, 6 szwadronów jazdy regularnej i pułk kozacki majora Denisowa. W nocy przyszedł przez Kościejów pod wieś parafjalną Racławice.

Dwa wojska nieprzyjacielskie znajdowały się w 3-milowej odległości. Kościuszko uznał zapewne potrzebę niezwłocznej walki o bezpieczeństwo Krakowa, jako swojej podstawy operacyjnej. Ruszył więc z Koniuszy w nocy drogą skalmierską. Zrana dnia 4-go kwietnia, gdy doszedł do rozstaju, skąd oddzielała się w lewo kręta i górzysta droga do Działoszyc przez Racławice, przednia straż polska spotkała się z forpocztami rosyjskiemi (kozakami), które cofnęły się ku głównemu swemu korpusowi, a ten korpus, posuwając się górą Kościejewską, szykować się zaczął na mocnej, górującej pozycji nad wsią Racławicami.

Bitwa stała się nieunikniona.

Zmieniając pierwotny kierunek marszu, Kościuszko wszedł na pola dziemierzyckie i pomknął się ku folwarkowi Janowice (lub Janowiczki), lecz zauważył, że „sytuacja miejsca nie sprzyjała widokom ataku,“ przeto cofnął się nieco ku wyżynie i „poczynił urządzenia obronne,“ t. j. usypał dwie baterje. Droga działoszycka, wciąż prawie parowem biegnąca od wsi Dziemierzyc, stała się osią pozycji polskiej. Po obu stronach od niej uszykowało się kilka kompanji piechoty z regimentów 6-go, 3-go i 2-go, a z tyłu, za wzgórkiem, stanęła w ukryciu „milicja krakowska,“ czyli gromada przybyłych wczoraj chłopów kosynjerów. Baterja mogła amfilować znaczny załam drogi. Tu, w centrum, komenderował sam Kościuszko; „kręciło się przy nim“ około 100 konnych ochotników z młodzieży. Madaliński ze swoją brygadą

uformował skrzydło prawe, zajmując płaskowzgórze aż do stoku w dość głęboką dolinę. Piechoty miał on tylko pół bataljonu z regimentu 3-go i trochę strzelców. Przed całym tym frontem pole zniżało się potoczyście aż do góry, kończącej się szczytem stożkowym, zwanym „Zamczysko“ (na pamiątkę podobno strażniczej baszty, która tu w dawnych czasach się wznosiła). Lewe skrzydło, pod dowództwem Zajączka, składało się z reszty regimentów 6-go i 2-go, tudzież z kawalerji narodowej Mangeta i baterji drugiej. Miało przed sobą las, „na dół schodzący,“ który okazał się wielce użytecznym podczas boju, nietyle jako osłona dla wyżej stojących szeregów polskich, ile jako przeszkoda pomiędzy kolumnami rosyjskiemi do wzajemnego posiłkowania się i widzenia.

Obie strony długo przypatrywały się nieruchomie. Nareszcie zniecierpliwił się Tormasow. Wezwawszy naradę pułkowników swoich, Obrezkowa i Muromcewa, oraz kozaka Denisowa, odrzucił zdania oględniejsze i zdecydował się na uderzenie zaczepne przed nadejściem zawiadomionego już zwierzchnika swojego, jenerała Denisowa. Czy zapragnął ubiec go w zwycięstwie? Czy lekceważył przeciwnika? Nie wiadomo. Powiedział tylko, że „nie życzy sobie stać pod kulami.“ Ale kule polskie jeszcze milczały: więc nie usprawiedliwiały pośpiechu jego.

Atak zaczął się o godz. 3-ej po południu.

Najpierw skierowała się ku lewemu skrzydłu polskiemu przez las piechota i artylerja rosyjska, lecz armaty Zajączka powstrzymały ją ogniem szybkim i dobrze między gałęzie celowanym. Cofnęła się więc, ale zaraz skierowała się ku środkowi. Tu znów Kościuszko przywitał ją kanonadą z 6-ciu armat, oraz ogniem strzelców i dwóch kompanji regimentu 2-go, na krawędzi lasu postawionych. Była to kolumna Tormasowa.

Tymczasem przed Zajączkiem, na polu, należącym do dóbr Markocice, ukazała się druga kolumna rosyjska. Podpułkownik Pustowałow, znany chlubnie z bitew pod Zieleńcami i Dubienką, przyprowadził jegrów z korpusu Rachmanowa i jedną armatę. Przed nim wybiegł z kozakami swemi major Denisow, a gdy mu się nie udała szarża na kawalerję polską, przybył w posiłku pułkownik Muromcew z huzarami. Wywiązała się walka uporczywa. Na pomoc Zajączkowi przyprowadził swoją jazdę Madaliński, i obaj szarżowali trzy ra-

zy, chwilowo zepchnęli rosjan, lecz Pustowałow odzyskał utraconą pozycję.

Najpóźniej, bo około godz. 6-ej, ukazał się jenerał Denisow z największą, trzecią kolumną przed prawym skrzydłem polskim. Spostrzegszy to, Kościuszko posłał adjutanta po Madalińskiego z zawiadomieniem i rozkazem powrotu na pozycję, celem przygotowania się na odparcie nowego nieprzyjaciela.

Środkowa kolumna Tormasowa wydostała się już z niebezpiecznego parowu i zaczynała się formować na polu przed „Zamczyskiem" pod osłoną dział swoich. Tę chwilę w lot pochwycił Kościuszko do uderzenia na nią przed zbliżeniem się kolumny Denisowa. Natychmiast poczynił następujące rozporządzenia: jedna kompanja regimentu 6-go zostanie w miejscu i stanowić ma punkt zebrania się na przypadek odparcia ataku; jedna kompanja 2-go regimentu i jazda wezmą stanowisko po lewej stronie, żeby wzbraniać nieprzyjacielowi połączenia się z kolumną (Pustowałowa), walczącą za lasem; w razie zaś odparcia—osłaniać cofanie się swoich do miejsca zbornego. Do ataku pójdą: brygadjer Manget, ale nie z brygadą swoją, lecz z dwiema kompanjami 3-go regimentu, żeby uderzyć bagnetem na piechotę nieprzyjacielską (Tormasowa); milicja krakowska, uzbrojona w kosy, żeby zdobyć baterję rosyjską, i kapitan Nidecki z dwiema kompanjami regimentu 6-go, żeby posiłkować kosynjerów.

Wydawszy te krótkie a trafne rozkazy, Kościuszko poskoczył poza pagórek do gromady chłopów krakusów i zawołał: „Zabrać mi chłopcy, te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód, wiara!" Ruszyli natychmiast pędem „z krzykiem przerażającym" i biegnąc, nawoływali się wciąż: „Szymku, Maćku, Bartku - a dalej!" Towarzyszył im konno Kościuszko, zagrzewając słowy i giestami. Zdobyli naprzód trzy armaty 12-funtowe; potym „ścianą" uderzyli na grenadjerów rosyjskich, w czym dopomógł im półbataljon swemi bagnetami. Wkrótce napełnili trupami rów wielki i długi, wzdłuż lasu ciągnący się. Zabrali jeszcze 5 armat cięższego i 3 lżejszego kalibru. Nie rozumiejąc wyrazu: *Pardon*! na śmierć bili, a potym trupy obdzierali.

Z właściwą sobie skromnością Kościuszko określił to natarcie następnemi słowy w raporcie swoim: „Święte hasło narodu i wolności wzruszyło duszę i dzielność walecznego żołnierza, o los Ojczyzny i wolność swoją

walczącego. Poszliśmy z frontu naszego z milicją, dniem pierwej z rekruta dymowego do obozu przybyłą, z dwiema kompanjami 3-go i z dwiema 6-go regimentu na nieprzyjaciela i nie daliśmy więcej czasu baterjom jego, tylko dwa z kartaczami wyzionąć na nas ognie, bo wraz piki, kosy i bagnety złamały piechotę, opanowały armaty i zniosły tę kolumnę tak, że w ucieczce broń i patrontasze rzucał nieprzyjaciel."

Szło do ataku 320, padło podczas biegu tylko 13-tu chłopów. Pierwszy skoczył na baterję i czapką swą przykrył zapał armaty Wojtek Bartos, gospodarz ze wsi Rzędowic, poddany starosty A. kniazia Szujskiego. Kościuszko awansował go za to na chorążego, nazwał Wojciechem Głowackim, a gromadę towarzyszów jego, rekrutów-kosynjerów, zaszczycił tytułem: Regimentu Grenadjerów Krakowskich.

Młodzi ochotnicy w jakie sto koni puścili się w pogoń za uciekającemi. Zdobyli sztandar, lecz nic więcej dokazać nie mogli, a ponieważ popędzili bez rozkazu, więc za powrotem otrzymali od Naczelnika naganę. Dla dokonania rozsypki oddzielił Zajączek część swojej konnicy.

Pogromu tego nie widział Pustowałow, walczący za lasem. Nie czekając, aż oficerowie zdołają przywrócić porządek w pomieszanych nagłością uderzenia oddziałach, Kościuszko zebrał resztę kompanji, które jeszcze nie były w ogniu i pośpieszył z niemi na lewe skrzydło. Niezadowolony, że tu piechota „bawiła się plutonowym ogniem," tracąc dużo ludzi, wziął on dwie najbliżej stojące kompanje, poprowadził je do ataku na bagnety i złamał odrazu szyk nieprzyjaciela. Widząc to, Zajączek rozkazał majorowi 2-go regimentu, Lukkemu, uderzyć całą piechotą, co tenże wykonał świetnie, ujàwszy karabin w rękę i postępując na czele. Bataljon rosyjski bronił się uporczywie, ale też pokłóto go i posiekano z kretesem. Waleczny Pustowałow poległ, okryty trzynastu ranami. Ostatnia, 12-ta armata, dostała się w ręce polaków. Niewiadomo gdzie i jakim sposobem wzięty został w niewolę pułkownik huzarów, Muromcew. Kozak Denisow widział cwałujący górą jakiś oddział konnicy, ale też i gramolących się na górę żołnierzy Tormasowa: więc zemknął zręcznie z pułkiem swoim.

Trzecia kolumna rosyjska, lewa, nie dotarła do Madalińskiego, ostrzeliwała go tylko z dział swoich, aż w końcu, na widok uciekających grenadjerów Tormaso-

wa, uformowała się w czworograny i zabrała się do odwrotu. Jenerał Denisow wygadał się później przed synowcem swoim, kozakiem, że „wojsko jego zalękło się *(orobieli)*, tym bardziej, że niema żadnej nadziei otrzymania posiłków, o czym wszyscy szeregowi wiedzą.“ Ściągnął też na siebie naganę zwierzchności swojej.

Bitwa przeciągnęła się do godz. 8-ej. Kości poległych bywały niedawno jeszcze wyorywane w różnych miejscach na polu; w kierunku linji bojowej istnieją cztery wielkie mogiły, a piąta zaznaczała się na mapach dawniejszych. Stratę swoją obliczał Kościuszko na 100 zabitych i tyluż rannych; rosyjską—Zajączek zbyt oględnie podaje na 400 trupów; w samym tylko bataljonie Pustowałowa było 895 ludzi, a niewielu ich ujść mogło. Mączyński razem z rannemi liczy aż 2,000. Jeńców niewielu wzięto: jednego pułkownika (Muromcewa), 3 subalternów-oficerów i 18 szeregowych, bo „żywość potyczki nie dała czasu pardonowania zapalonemu żołnierzowi.“ Najcenniejszą zdobyczą było 12 dział wielkiego i mniejszego kalibru z zaprzęgami i amunicją.

O zmroku wieczornym, gdy już nie pozostało ani jednego oddziału nieprzyjacielskiego na pobojowisku, zgromadzeni dokoła zwycięskiego wodza wojownicy powtórzyli wniesiony przez niego okrzyk: „Vivat naród! Vivat wolność!“—dodając od siebie: „Vivat Kościuszko!“ On też wzajemnie dał chlubne przed narodem świadectwo „niezmordowanej waleczności“ żołnierza, pogardzie życia ochotników z młodzieży, „pierwszy raz bitwę widzącej,“ odznaczeniu się jenerałów Zajączka i Madalińskiego, a dla uczczenia krakusów przywdział ich sukmanę zamiast munduru. Przemilczał tylko o swojej zasłudze. Z raportu jego nie można się dowiedzieć, że osobiście prowadził atak na obie kolumny nieprzyjacielskie, że w pomyśle i w wykonaniu, jego dziełem było rozstrzygnienie dwóch głównych zadań bitwy.

Regina Żółkiewska.

Prawdziwą chwałą narodu i podporą korony zwano kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, Stanisława Żółkiewskiego. Istotnie był to jeden z największych

mężów i najzacniejszych obywateli, jakiemi się Polska poszczycić może.

Godną towarzyszką jego życia w dobrej i złej doli była Regina, z domu Herburtów, Żółkiewska. Wszystko, co o niej wiemy, składa się w nader piękny obraz matrony polskiej z owego czasu.

Ponieważ hetman, jak sam mawiał, „wszelką myśl swoją utopił w sprawach Rzeczypospolitej," przeto pani hetmanowej zostało zawiadywanie sprawami domowemi i rządzenie całym majątkiem. Ona to, spełniając wolę męża, gorliwie zajmowała się wychowaniem jedynego syna, Jana, więcej troszcząc się o szlachetność jego duszy, niż o wygodę i bezpieczeństwo dni jego. Już od najrańszej młodości uczyła go cenić w życiu raczej obowiązki i walkę z przeciwnościami, niż przyjemności i używanie.

Kiedy celem obrony Rusi Czerwonej przeciw Tatarom i Turkom, postanowił hetman zbudować warowny zamek żółkiewski, sam jednak z powodu wyprawy wojennej budową zajmować się nie mógł, zastępowała go dzielnie żona, czuwając nad raźnie postępującą robotą. Od czasu do czasu donosiła pani hetmanowa mężowi o stanie, w jakim się budowa znajduje. Ona to przygotowywała męża na każdą wyprawę, zaopatrywała we wszystkie potrzeby obozowe i krzątała się około posiłków, gdy przyszła wiadomość o ich potrzebie. Ta jej skrzętna zapobiegliwość najwymowniej okazała się w czasie ostatniej wyprawy hetmana w r. 1620. Krzątając się w swoim zamku około zaopatrzenia męża we wszelkie potrzeby obozowe, tak pisała do swego kuzyna Tomasza Zamojskiego: „Mąż mój daje znać Waszmości o niebezpieczeństwach, grożących kościołowi Bożemu i ojczyźnie. Pewnam tego, że Waszmość nie zaniechasz mu dopomóc, idąc za przykładem zacnego domu swego i przodków swych. My Pana Boga prosić będziemy, aby raczył mu poszczęścić."

W początkach sierpnia r. 1620 opuścił hetman z synem zamek żółkiewski, pozostawiając w nim zacną swą małżonkę, niespokojną o los męża i syna. Odtąd panowała w zamku żółkiewskim istotna cisza klasztorna. Taki bowiem był zwyczaj w dawnej Polsce, iż po wyjściu mężów na wojnę, żony, pozostałe w domu, wiodły życie zakonne i nieraz nawet strój zakonny przywdziewały i z różańcem w ręku modliły się za pomyślność swych mężów. I pani hetmanowa modliła się do Boga o łaskę

dla walczących, a modły jej liczyły się zapewne do najgorętszych na świecie: błagała Boga o dwa najdroższe sercu niewiasty życia—o życie męża i syna—syna, jedynej domu nadziei.

Wyglądano też niecierpliwie gońca z obozu, chwytano każdą ustną i listowną wiadomość. List hetmana, wyprawiony do króla z pod Cecory z żądaniem posiłków, wiózł do Krakowa kozak pocztowy. Czatowali na drodze ludzie hetmanowej, której tylu boleściami udręczone serce tak gorąco pragnęło nowin od męża i syna... Nie było listu do niej!... Na liście do króla czytała ona tylko wyrazy: „*Cito! cito! citissimo!*“ To znaczy: „Pilno, pilno, bardzo pilno!“ Serce żony i matki odgadło złowrogą treść pisma; ale ta matka była jeszcze żoną sędziwego bohatera Polski, wspólniczką ostatnich jego trosk obywatelskich.—„Zanim pomoc nadejdzie od króla — pomyślała hetmanowa—może być za późno... Bliższą może być pomoc Tomasza Zamoyskiego!“—Do niego tedy udała się hetmanowa. „Dla Boga!—błagała — zbierz Jegomość ludzi ze wsi i śpiesz na pomoc! *Cito! Cito, Cito!*“... Nie tracąc też ani chwili czasu, zebrała, co mogła na prędce, złota i srebra, klejnotów i kosztowności i wyprawiwszy gońca z listem do małżonka w obozie, pośpieszyła sama do Tomasza Zamoyskiego w Zamościu, z prośbą, ażeby z toni ostatecznej ratował przyjaciela i opiekuna młodości swojej. W tym celu złożyła w jego ręce przywiezione z Żółkwi złoto i kosztowności, błagając o zaciągnienie co prędzej żołnierza ku odsieczy.

W tym czasie otrzymała Regina Żółkiewska jeszcze list od męża z obozu, list ostatni, tchnący prawdziwą rezygnacją i wiarą:

„Miłościwa Jejmość Pani, a Pani małżonko ma, sercem ukochana i wieczyście miła!

„Tak było i tak będzie: aby prawość i sława narodu naszego nie zginęła, Pan Bóg wszechmogący dopuszcza utrapień, by ciało w wojnach hartować i umysł zaprawić do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymywała i nieprzyjaciołom tamę w bitwach stawiać rada była. Jakoż kiedyśmy się zabierać radzi do utarczki z pohańcem tego świtania, odebrałem pisanie Waszej Miłości, mojej sercem ukochanej i wieczyście miłej małżonki, toż pociechę słówek kilku, a kto wie, może być, że i ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że Wasza Miłość ukochana i miła małżonka, czytając to

moje pisanie, nie będzie żalić (żałować) starca i sił mych, a chociażby i życia dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcjan. Toż ta pociecha będzie sercu memu... Nie turbuj się Wasza Miłość, najukochańsza małżonko! Bóg czuwać będzie nad nami; a chociażbym i poległ, to ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już niezdatny, a Pan Bóg wszechmocny da, że i syn nasz, miecz po ojcu wziąwszy, na karkach pogan go zaprawi, i chociażby tak było, jak rzekłem, pomści się krwi ojca swego. Na wypadek jakibądź zalecam Waszej Miłości najukochańszej małżonce, miłość dla dziatek i pamięć na me zwłoki, bo je styrałem na usłudze Rzeczypospolitej... Co Pan Bóg chce z łaski swej dać, niech się stanie, a wola Jego święta będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego. Z tym mnie modlitwom i łasce Waszej Miłości, najukochańszej Jejmości, polecam i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam...

W obozie pod Cecorą, dnia 6. października 1620.

Jejmość do zgonu kochający małżonek i ojciec
Stanisław Żółkiewski."

Po takich słowach gasła wszelka nadzieja. Wkrótce też ziściły się najsmutniejsze obawy: żaden z Żółkiewskich nie powrócił do zamku żółkiewskiego. Zebrana tam rodzina płakała upadku całego domu. Osierociałej Reginie Żółkiewskiej pozostały tylko słowa: „Zalecam Waszej Miłości pamięć na moje zwłoki."

Czym prędzej udali się z Żółkwi wysłańcy ku Dniestrowi, aby powziąć pewną wiadomość o losie hetmana i syna, a przekonawszy się o ich życiu lub śmierci, zająć się odszukaniem zwłok lub wykupieniem z niewoli. Potrzeba było uczynić i jedno i drugie, o synu bowiem dowiedzieli się posłańcy, iż ranny dostał się do niewoli. Wrócili więc orędownicy bez syna, wioząc tylko zwłoki hetmańskie i wiadomość o potrzebie wykupienia jeńca, za którego żądano 200,000 talarów. Gotowa była do tego znękana matka, a dzieląc serce swoje między straconego męża i syna, zajęła się przedewszystkim oddaniem ostatniej posługi zwłokom pierwszego, tak, jak on to sam niegdyś w testamencie swym przepisał. Następnie kazała wznieść mężowi za Dniestrem pomnik z kamienia ciosowego, który, lubo wiekiem nadszczerbiony, dotąd jeszcze widzieć można wśród pól otwartych. W kościele zaś żółkiewskim stanął po lewej stronie ołtarza czarny grobowiec marmurowy z napisem: „Jak słodko i chlubnie umierać za ojczyznę, ode mnie ucz się."

Równocześnie zakrzątała się biedna matka około wykupienia syna. Nie mogąc zgromadzić tak wielkiej gotowizny, wydobyła pani kanclerzyna ze skarbca żółkiewskiego wszystkie dawne skarby i kosztowności i udała się z prośbą do króla, aby jej pozwolono wykuć z nich potrzebną sumę pieniędzy. Zygmunt III przychylił się do żądania stroskanej matki, a kiedy mincerze królewscy wybijali w Żółkwi talary okupowe, nieszczęśliwa Regina ściągała zewsząd gotówkę.—„Jeśli mi Waszmość tej sumy nie oddasz, ja syna tracę!“ — pisała do Tomasza Zamoyskiego, który jej winien był pewną kwotę.

Nareszcie przecież stanął okup żądany—Jan Żółkiewski wrócił z niewoli.

Ale niedługo cieszyła się synem znękana matka. Kiedy Jan Żółkiewski, chcąc spełnić żądanie ojca i życzenie matki, gotował się do wyprawy wojennej, ażeby pomścić śmierć ojca, nagle umarł w Warszawie wskutek niedobrze wyleczonej rany, którą w bitwie cecorskiej otrzymał. Przyszło więc biednej matce i syna złożyć w grobach rodzinnych obok zwłok ojca. W kościele żółkiewskim wzniósł się drugi grobowiec ze skromnym napisem: „Wielkiego rodzica do wielkich rzeczy zrodzony syn jedyny.“

W rok po synu poszła do grobu złamana tylu nieszczęściami matka. Po raz trzeci od lat czterech zebrało się w zamku żółkiewskim liczne grono panów i szlachty na akt żałobny; po raz trzeci pogrzebową miał mowę Jakób Sobieski, ścisłemi węzłami połączony z zacną rodziną hetmana; po raz trzeci od lat czterech chowano w grobach żółkiewskich zwłoki, w których wielka dusza żyła—zwłoki ojca, syna i matki, jakich pewnie niewiele rodzin posiadało na ziemi.

według Karola Szajnochy.

---

33. Z życia Teofili Sobieskiej.

Do najulubieńszych postaci w dziejach naszych należy król Jan III Sobieski. Znane nam są nietylko czyny jego wojenne i rządy w kraju, ale utrzymuje się jeszcze dotąd w podaniu mnóstwo szczegółów z jego życia świadczących wymownie, jak pięknemi przymiotami

umysłu i serca odznaczał się ten król bohaterski. Wiele zawdzięczał wpływowi zacnej swej matki, którą otaczał gorącą miłością.

Teofila Sobieska, matka króla Jana, była to kobieta niezwykłego umysłu i serca. Ona to już w dzieciństwie zaszczepiała w sercu dzieci miłość ojczyzny i gorącą chęć poświęcenia się dla jej dobra; ona to sama synów, kształcących się za granicą, wezwała do powrotu, ażeby ich wyprawić na wojnę, która wybuchła, a zachęcając ich do obrony ojczyzny, oświadczyła, iż nie chce ich znać jako synów, jeżeli w ciężkiej potrzebie kraju za broń nie chwycą.

Obaj synowie poszli za głosem matki, walczyli dzielnie, a starszy z nich, Marek, w kwiecie wieku życie oddał za ziemię ojczystą. Był to cios dla matki straszny; zniosła go przecież pokornie i z poddaniem się woli Bożej. Ku uczczeniu ukochanego syna wzniosła w Żółkwi kościół i klasztor pod wezwaniem św. Marka, a wyposażając hojnie dom ten Boży, poleciła, ażeby za duszę młodego bohatera odprawiano ciągle modły żałobne.

Jedyną odtąd pociechą strapionej matki był młodszy syn Jan, w którym widziała chlubę swego rodu i podporę Rzeczypospolitej. Syn odwzajemniał matce tę miłość czcią prawdziwą i ścisłym wypełnianiem jej woli. Okazało się to najwymowniej, gdy zacna ta niewiasta, złamana ciężką chorobą, umarła. W ostatniej swej woli poleciła synowi, ażeby ją pochował w wybudowanym przez nią kościele, ale najskromniej, bez żadnego przepychu.

Posłuszny Jan Sobieski spełnił wolę matki i sprawił jej pogrzeb ubogi i skromny; jednakże to jedno uczynił, iż za prostym wozem żałobnym kazał nieść tablicę z napisem: *Sic mater voluit* (Tak matka chciała).

Wszelako nazajutrz odbył się pogrzeb drugi, uroczysty i wspaniały. Długi szereg pobożnych kapłanów i zakonników, okazały orszak przybyłych na pogrzeb gości i tłum pobożnego ludu towarzyszył pogrzebowemu wozowi. Za nim niesiono znowu taką jak dnia poprzedniego tablicę, tylko z odmiennym napisem: *Sic filium decuit* (Tak synowi przystało).

według Władysława Zawadzkiego.

34. Dobroczynna matrona.

Anna, księżniczka Ostrogska, żona sędziwego wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego litewskiego, Jana Karola Chodkiewicza, słynęła z pobożności i dobrych uczynków. Własnym kosztem wiele kościołów nowych wybudowała, wiele zaś innych hojnie obdarzała i w różne kosztowne przybory zaopatrywała, biednych poddanych swoich karmiła i odziewała, ubogim nie odmawiała jałmużny ni pomocy. Gdy raz wielki głód panował, wszystkim jej miłosierdzia żebrzącym na każdy dzień dostarczać kazała pożywienia.

Pragnąc jak najwięcej dobrodziejstw świadczyć współbliźnim, umyślnie wyszukiwała sobie do tego różne sposobności. I tak ślub sobie uczyniła, iż pięć dukatów jałmużny rozda pomiędzy ubogich, ilekroć przystępować będzie do stołu Pańskiego — a przystępowała do sakramentów świętych bardzo często.

To znowu postanowiła co roku w dniu swych urodzin tyle rozdawać dukatów, ile lat będzie liczyła. Z każdym rokiem wzrastała liczba dukatów, na jałmużnę składanych; wzrastała też cześć powszechna, którą ją otaczano. A kiedy wreszcie 53 dukatów złożyła w ofierze, Bóg najwyższy powołał ją do Swej chwały, ażeby jej wynagrodzić to współczucie dla biednych i miłosierdzie, którego w swym życiu tyle złożyła dowodów.

według dzieła „Matka świętych Polska.“

---

35. Śluby królewskie, 1-go kwietnia 1656 r.

Grom bił za gromem w gmach państwa polskiego, rysowały się fundamenty wielkiej budowy Chrobrych i Jagiellonów—naród znurtowany swawolą i bezrządem miał na obliczu jakieś złowróżbne piętno.

Najazd szwedzki, podjęty w chwili, gdy wschodnie dzielnice Rzeczypospolitej objęte już były pożarem wojny, nieugaszonych buntów kozackich, rozlał się szeroko po kraju, niewstrzymywany żadnemi tamami.

Królowi szwedzkiemu poddaje się pospolite rusze-

nie województwa Poznańskiego i Kaliskiego—tylko drobniejsza szlachta, mieszczaństwo Poznania i lud wiejski burzą się, sarkając na zdrajców.

Najazd szwedzki rozlewa się, jak powódź, po równinach Mazowsza, ogarnia Warszawę, sięga Krakowa. Poddaje mu się wszystko, co spotka na drodze.

Karol Gustaw jest tu panem, Jan Kazimierz, król— tułacz bez poddanych szuka schronienia po za granicami kraju. W chwili jego wyjazdu, Mińsk i Wilno — zajęte przez armję Chowańskiego; Chmielnicki z Buturlinem oblega Lwów; Szwedzi od północy zajęli Dynaburg, wkroczyli na Litwę, którą Janusz Radziwiłł, jak Opaliński Wielkopolskę, rzuca im pod stopy zwycięzkie, zrywając unję z Koroną.

I tu następuje ów naprawdę cudowny w dziejach epizod, owo oblężenie lichego zameczku, trwające od 18 października do 26 grudnia 1655 r.—oblężenie, obrona i wieść o cudzie, co leci po kraju niewstrzymana, jak poprzednio najazd nieprzyjacielski, wieść, że ocknął się duch narodu, że skąpany w mistycznych falach poświęcenia, bohaterstwa, wiary, wstaje ochoczy na bój.

I zaprawdę zaczynają dziać się dziwy niesłychane w tej Rzeczypospolitej. Lud, co był wedle wyrażenia Skargi „porzucony jako robaczek i opuszczony od wszystkich" porywa się do odparcia wroga.

Mieszczanie Nowego Sącza, Poznania, Lwowa, chłopi nawojowscy, górale tatrzańscy, cała masa włościańska budzi się, zrywa ze snu długiej nocy swojej.

Udział jej w zapasach ze Szwedami, samorzutny, żywiołowy, nadaje wojnie charakter ruchu ludowego i staje się istotną podstawą dla akcji żywiołów patryjotycznych, skonfederowanych w Tyszowcach.

Fakt, że lud jest siłą, że w nim tkwi moc nieomylnych instynktów patryjotycznych, bije w tej chwili do oczu braci szlacheckiej, której dusza wstrząśniona nadmiarem klęsk i gróźb, przystępniejsza jest prawdom, stale dotychczas zaprzeczanym. Budzi się w narodzie świadomość, że iść należało drogą, wskazywaną przez króla Stefana, że na tej drodze jest rozwój dalszy, jest przyszłość, że na tej drodze jest życie.

Naród w tej chwili ma jasnowidzenie kolei, któremi iść mu trzeba i przez usta powróconego króla wygnańca ślubuje wstąpić na nowe gościńce.

Przytoczmy tekst owego ślubu, którym Jan Kazi-

mierz oddawał Królestwo swoje w opiekę Orędowniczce Częstochowy i nową erę ludowi polskiemu przyrzekał:

„Wielka Boga-człowieka Matko i Najświętsza Panienko! Ja, Jan Kazimierz, z łaski Twojej i Syna Twego, Króla nad królami i Pana mojego, król, upadszy do stóp Twoich Najświętszych, obieram dzisiaj Ciebie za patronkę moją i na państw moich Królowę. Siebie i moje Królestwo Polskie, Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernihowskie, wojska obydwu narodów i wszystkie ludy moje Twojej szczególniejszej opiece i orędownictwu poruczam, Twojej pomocy i miłosierdzia w tym ciężkim i niepewnym położeniu królestwa mego przeciw nieprzyjaciołom Kościoła rzymskiego błagam w pokorze.

Gdy zaś jasno widzę, ku wielkiej boleści mojej, że to za jęki i ucisk ludzi nizkiego stanu, Syn Twój, Sprawiedliwy Sędzia zsyła na Królestwo moje plagi, morze wojen i innych nieszczęść przez tych lat siedem, przyrzekam nadto i ślubuję, że po nastaniu pokoju, dla uniknięcia nieszczęść szczerze wybadam wszystkie stany i dołożę starania, aby lud Królestwa mojego był wolnym od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków.

Spraw to, o Najświętsza Pani i Królowo, a jakoś mnie, dostojnikom moim i stanom dała myśl złożenia tych ślubów, tak też uproś u Syna Twego łaskę do ich wykonania. Amen.“

Ślub ten, złożony w katedrze lwowskiej przed ołtarzem Najświętszej Marji Panny Łaskawej powtarzają obecni senatorowie i rycerstwo, poczym nuncjusz papieski, śpiewając litanję loretańską, zaintonował po raz pierwszy: „Regina Regni Poloniae ora pro nobis.“ „Królowo Korony polskiej módl się za nami!“

Jasnowidzenie chwilowe zmierzchło później przed oczyma narodu w zamęcie wojen domowych i obcych. Ślub Jana Kazimierza czekał na spełnienie, częściowe chociażby, aż do roku 1791.

Pamiętać jednak o nim należy, jako o jednym z tych rysów, któremi przeszłość Polski wyróżnia się dodatnio w księdze dziejów Europy. Porywem entuzjazmu, przeczuciem, jasnowidzeniem odgadywaliśmy prawdy, które dla świata zabłysnąć miały dopiero w końcu XVIII stulecia.

H. C.

36. Chrzest Litwy.

Połączenie Litwy z Polską przyrównano do wypraw morskich, odkrywających światu nieznane dotąd lądy i skarby. „Otworzył król portugalski swojemi wędrownemi żaglami indyjskie i afrykańskie strefy południa— mówi polski spółcześnik lat Kolumbowych — Jagiellonowie odsłaniają nam coraz dalsze ziemie i ludy, rozpostarte ku biegunowi północy i ku wschodowi słońca.“

Z niezwyczajną też okazałością wybrał się król Władysław w pierwszą drogę tych odkryć Jagiellońskich. Przedewszystkiem wyszło świetne poselstwo do Krzyżaków, złożone z wielu książąt pod przewodnictwem Konrada Oleśnickiego, a wzywające mistrza Konrada Zolnera do wiecznej zgody i unji, za pomocą której mógłby Jagiełło tym snadniej ochrzcić Litwę. Poczym o pierwszych mrozach październikowych wyruszył nowy król polski z niezmiernie licznym dworem na wschód. Omijając Ruś Czerwoną, obrano trakt wołyński na Lublin, Włodzimierz ku Łuckowi. Towarzyszył Jagielle tamtędy nader tłumny orszak duchowieństwa, książąt, wojewodów i kasztelanów polskich.

Im głębiej zapuszczały się cugi podróżne w strony Litwy pogańskiej, tym nowszy, tym osobliwszy obraz ziemi i ludu zadziwiał polskich towarzyszy Jagiełły. Wjeżdżano w ostatni zakątek, w ostatnią leśną kryjówkę pogaństwa w Europie, równie odmienną od reszty krajów Zachodu, jak wiara i obyczaj mieszkańców od obyczajów reszty narodów europejskich.

Właśnie spoczywał lud po uroczystościach jesiennych—ostatnich uroczystościach pogańskich. Przejazd dworu apostolskiego nie wywoływał w nim żadnej niechęci; owszem, wystawność i okazałość, z jaką każda podobna wyprawa apostolska występowała zwyczajnie w kraju pogańskim, budziły ciekawość i dziecinny podziw w jego mieszkańcach, pociągały ku sobie ludność ubogą. Dlatego jednomyślnie z apostołem Słowian pomorskich, św. Ottonem, starał się każdy rozkrzewiacz ewangielji przybyć pomiędzy pogan „bogaty w pieniądz złoty i srebrny, w postawy sukna i złotogłowiu, w kosztowności wszelkiego rodzaju, nawet w zapasy zboża, wiezione za nim czasami na pięćdziesięciu wozach.“

Temuż przypisać należy niezwykłą okazałość, która uświetniała teraźniejszą podróż Jagiełły w ziemię li-

tewską. Jakeśmy widzieli przy wyjeździe, otaczała go wspaniała rzesza biskupów, książąt litewskich, mazowieckich i śląskich, wojewodów i kasztelanów polskich. Mnogie sanie ładowne wiozły za dworem obfitość towarów polskich, mianowicie sukien wełnianych, tego powszechnego wówczas dostatku ziemi polskiej. Symbol odzyskanej chrztem niewinności, a przeto zwyczajny niegdyś podarek nowochrzczeńców: szaty białe wełniane, bywały wielką pomocą przy każdej próbie nawracania pogaństwa w Europie. Szły one więc i za Jagiełłą w znacznej ilości. Jakoż skłoniwszy ku sobie całą płócienną Litwę, przyczynił się ten podarek sakramentalny niemało do rozstrzygnięcia losów bałwochwalstwa litewskiego w myśl dawnej przepowiedni krajowej.

Albowiem oprócz wielu innych wpływów przeciwnych, podkopywała jeszcze pogaństwo Litwy wróżba o niechybnym wkrótce upadku Znicza. Przed wielu laty, w czasie budowania głównej świątyni pogańskiej w Wilnie, udał się jej książęcy założyciel do najsławniejszej wyroczni na Żmudzi z zapytaniem, jak długo będzie stała świątynia. Wyrocznia odpowiedziała: Dopóki pogaństwa w Litwie. A w domiar otrzymał książę od wyroczni dar pewnej liczby cegieł o znakach mistycznych z tym poleceniem, aby co roku wmurowywano po jednej cegle w ścianę świątyni. Przez lat stodwadzieścia i jeden działo się zadość temu zleceniu. Na obecny rok 1387, pozostała cegła ostatnia, a znakiem jej był krzyż podwójny. Zaczym wypadło jedynie ukazać się Jagielle ze swoim chrześcijańskim orszakiem w Wilnie, a znikąd nie groził opór dziełu zbawienia. Początek roku 1387, sprowadził całą wyprawę apostolską do Wilna.

Stołeczny gród Litwy, osiadły na południowym wybrzeżu Wilji, między tą rzeką, a wpadającą do niej z prawego brzegu rzeczułką Wilną, składał się z dwóch całkiem różnych połowic. Jedną połową było małe Wilno, ale warowne i zamożnie zabudowane, przez pogan zaludnione, Wilno książęce; drugą—miasto rozległe, ale lichej budowy, po największej części przez cudzoziemców zamieszkane, Wilno chrześcijańskie.—Tamto, książęce, w samo kolano Wilji i Wilny wsunięte, tworzyło jedną wielką warownię, złożoną z dwóch różnych zamków, Wyższego na Turzej górze i Niższego czyli Krzywego u jej podnóża, a oblaną dokoła obydwiema rzekami i połączonym z niemi przekopem. Tu znajdowały się mieszkania książęce i gmachy dworskie, wielki posąg

Perkuna, wieża, z której kapłani pogańscy przemawiali do ludu, wreszcie na tak zwanej „świętej łące“ Swentoroga naczelna świątynia pogańska, gdzie płonął wieczysty ogień Znicz, główna świętość narodu. — W kierunku południowym, w górę od nadrzecznej połowy miasta, na nierównie szerszej przestrzeni, rozlegało się raczej kilka wiosek, niż jedno wielkie miasto; kupiły się gromady ubogich, drewnianych domków, bez śladu ulic, przedmieść lub murów miejskich; kwitnęły pomiędzy niemi przestronne łąki, pola, ogrody. Była to chrześcijańska połowa Wilna, zaludniona przez cudzoziemców, w szczególności Niemców i Rusinów, pomiędzy któremi liczyło się także wielu niechrześcijan, bądźto Tatarów, bądź Żydów. Według różnicy wyznania dzieliło się to chrześcijańskie miasto znowu na dwie odrębne dzielnice, ruską i łacińską czyli niemiecką.

Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności przyrosła Wilnu pogańskiemu cała druga połowa, chrześcijańska; i stało się, że gdy obecnie Jagiełło wjechał ze swoim orszakiem na „dolny zamek,“ tylko „jedna połowa Wilna“ była do odrodzenia chrztem świętym. Przystąpiono tedy do aktu nawrócenia, którym ostatni kaganiec bałwochwalstwa w Europie zgasł w powszechnym blasku jednego wielkiego słońca. Zaczym przygotowawszy wszystko, co chciano postawić na zwaliskach przeszłości, przyłożono topór do jej pnia spróchniałego. Zwołano wszelkie pogaństwo okoliczne do Wilna i przedstawiono mu potrzebę zrzeczenia się dawnych baśni. Zdumiona Litwa wzdrygnęła się na to żądanie, mieniąc je niewdzięcznością i grzechem względem przodków. Niepoślednią też pobudką niechęci była obawa zemsty bogów pogańskich. Należało tedy przekonać publicznie o ich nieudolności. Gwoli temu rzucili się chrześcijanie do obalania świętości bałwochwalczych. Zalany został Znicz święty i pogaszone ognie wieczyste. Padły pod siekierą święte dęby na zamku i w gaju na Łukiszkach. Powybijano święte węże, jaszczurki, zarówno nieświadome przyczyn dawniejszej czci, jak teraźniejszej zagłady. Przypatrujące się tej ruinie pogaństwo zawodziło wielkim, żałobnym płaczem. Ale tylkoż tyle oporu, tylko jęki i łzy spotkał przed sobą rozkaz książęcy, „zresztą nie śmiał nikt ani pisnąć“—mówi jeden z naocznych świadków zdarzenia. A gdy taka wola książęca padła, gdy obaczono, iż bóstwa pogańskie dają się bezkarnie gasić, ścinać, zabijać, ochłonęła z trwogi zgraja pogańska i oświadczyło ple-

mię „płoche a lekkomyślne,“ jak Litwinów nazywali Krzyżacy, iż chce się ochrzcić.

Nastąpiła zatym katechizacja. Sam król pobożny pomagał w tym względzie polskim nauczycielom duchownym. Najwięcej dziwiła pogan nauka o jednym Bogu. „Tak wielu bogów“—mniemano — „okazało się bezwładnemi, a jeden miałby większą mieć władzę?“ Nie było atoli pory do rozumowań. Wkrótce uznano uczniów dojrzałemi do chrztu i zaczęto chrzcić ich z osobna. Każdy nowo-chrzczeniec dostał białą szatę wełnianą. Schludny, bogaty w oczach Litwina strój uszczęśliwił nędzę pogańską. W okamgnieniu rozniosła się po kraju wiadomość o darze chrzestnym. Każdy pragnął go mieć, pragnął ochrzcić się. Zbiegały się zewsząd tłumy pogaństwa. Szczupła stosunkowo garstka duchownych polskich nie mogła podołać ochotnikom. Nie godziło się przecież nie korzystać z powszechnego natchnienia. W takim położeniu chwytali się polscy apostołowie środka, nieznanego dotychczas w chrześcijaństwie. Zbierano pogaństwo w osobne gromady męskie i żeńskie i chrzczono je ryczałtem przez pokropienie święconą wodą. Każda gromada męska lub żeńska otrzymywała toż samo imię świętego albo świętej. Wychodziły w ten sposób z pod kropidła całe tłumy litewskich Stanulów, Janulisów i Piotrulisów, albo Katrin i Jadziuł. Możniejszych chrzczono ciągle z osobna. I ci biegli w zawody po nową wiarę. Żupany chrzestne podbiły serca bogaczów i ubogich, panów i niewolników.

Tak więc cichym i łagodnym sposobem zajaśniało obecnie światło nowej prawdy. Po ochrzczeniu swojej pogańskiej „połowy Wilna,“ nie naruszając wolności wyznania drugiej, przeważnie ruskiej połowy, wybrał się Jagiełło około marca w podróż po kraju. Towarzyszyło mu w niej duchowieństwo łacińskie, a w każdym miejscu pobytu powtarzały się też same sceny apostolstwa, co w Wilnie. Pobożny król nie tylko kazaniami do ludu pomagał kapłanom polskim, lecz owszem, jak prawdziwy zesłannik boży sam chrztu udzielał, a nawet książętom i panom polskim toż samo czynić kazał. Wszędzie burzono świątynie bałwochwalcze, stawiano krzyże i kaplice łacińskie, ogłaszano rozporządzenia na rzecz duchowieństwa nowego.

Ten objazd apostolski trwał kilka miesięcy. Nie obeszło się przedewszystkim bez dalszych starań o wkorzenienie wiary łacińskiej. Wzniosły się dwa nowe ko-

ścioły rzymskie, jeden św. Marcina w zamku wileńskim, drugi św. Jana w mieście. Tak nowej katedrze litewskiej, jakoteż reszcie kościołów nadesłała królowa Jadwiga obfity zapas kielichów, obrazów, mszałów, ornatów i tym podobnych przyborów.

Po całym dalekim świecie rozbiegła się wiadomość o chrzcie pogaństwa litewskiego. Poselstwo królewskie zostało wyprawione do Watykanu, niosąc należną sprawę z apostolskich czynności w Litwie. Złożył ją u stóp papieża Urbana poznański biskup, Dobrogost Nałęcz z Nowego Dworu. Był to pierwszy poseł Jagiełły, który stanął przed obliczem papieskim. Przywiezione przezeń wieści litewskie przejęły niezmierną radością serce Ojca świętego. Oprócz nawrócenia ostatniej społeczności pogańskiej w Europie, jaśniała w nich nadzieja coraz dalszego wpływu Rzymu na Wschodzie, coraz bliższej unji chrześcijaństwa wschodniego z Rzymem.

Karol Szajnocha (Jadwiga i Jagiełło).

---

37. Pojedynek rycerski.

Bitka miała się odbyć na podwórzu zamkowym, które wkoło otaczał krużganek.

Gdy dzień uczynił się zupełny, przybyli książę i księżna razem z dziećmi i zasiedli w środku między słupami, skąd najlepiej widać było cały podwórzec. Obok nich zajęli miejsca co przedniejsi dworzanie, szlachetne niewiasty i rycerstwo. Zapełniły się wszystkie kąty krużganku, czeladź usadowiła się za wałem, który utworzon był z wymiecionego śniegu, niektórzy poprzyczepiali się na wykuszach, a nawet na dachu. Tam prostactwo gwarzyło między sobą: „Daj Bóg, aby się nasz nie dał!“

Oni zaś weszli z przeciwnych stron szranków i zatrzymali się na krańcach. Każdy z patrzących utaił wówczas dech w piersiach, a każdy pomyślał, że oto niezadługo dwie dusze ulecą ku sądowym progom Boskim, a dwa trupy zostaną na śniegu; i usta, oraz jagody niewiast pobladły i posiniały na tę myśl, oczy zaś mężów wpatrzone były, jak w tęczę, w przeciwników,

każdy bowiem pragnął z samej postawy i z uzbrojenia ich wywróżyć sobie, na czyją stronę padnie zwycięstwo.

Krzyżak przybrany był w szmelcowany, błękitny pancerz, w takież nabiodrza i w takiż hełm z podniesioną przyłbicą i ze wspaniałym pawim pióropuszem na grzebieniu. Zbyszkowi piersi, boki i grzbiet opinała pyszna medjolańska zbroja, którą był swego czasu zdobył na Fryzach. Na głowie miał hełm z okapem, niezamknięty i bez piór, na nogach bycze skórznie. Na lewych ramionach dźwigali tarcze z herbami: na krzyżackiej była u góry szachownica, u dołu trzy lwy, stojące na zadnich łapach, na Zbyszkowej „Tępa Podkowa.“ W prawicach dźwigali szerokie, straszne topory, osadzone na dębowych, poczerniałych toporzyskach, dłuższych, niż ramię rosłego męża. Towarzyszyli im giermkowie: Hlawa, zwany przez Zbyszka Głowaczem, i van Krist, obaj przybrani w ciemne żelazne blachy, obaj również z toporami i tarczami; van Krist miał w herbie krzak jałowca, herb Czecha podobny był do Pomiana z tą różnicą, że zamiast topora tkwił w byczej głowie krótki miecz, do połowy w oku pogrążon.

Trąba ozwała się po raz drugi, a za trzecim mieli przeciwnicy wedle umowy na się nastąpić. Dzieliła ich już teraz tylko niewielka, posypana szarym popiołem przestrzeń, nad tą zaś przestrzenią unosiła się, jako złowrogi ptak—śmierć. Zanim jednak dano trzeci znak, Rotgier zbliżył się ku słupom, między któremi siedzieli księstwo, podniósł swą zakutą w stal głowę i ozwał się głosem tak donośnym, że usłyszano go we wszystkich zakątkach krużganku:

— Biorę na świadka Boga, Ciebie, dostojny Panie, i całe rycerstwo tej ziemi, jakom nie winien tej krwi, która będzie przelana.

Na te słowa ścisnęły się znów serca, że Krzyżak tak był pewien siebie i swego zwycięstwa. Lecz Zbyszko, mając duszę prostą, zwrócił się do swego Czecha i rzekł:

— Śmierdzi mi ta krzyżacka chwalba, gdyż byłaby do rzeczy po mojej śmierci, nie zaś, pókim żyw. Ma też ów samochwał pawi czub na hełmie, a ja nasamprzód takich trzy ślubował, a potym, ile paliców u rąk. Bóg zdarzył!

— Panie...—zapytał Hlawa, pochylając się i nabierając w ręce nieco popiołu ze śniegiem, aby toporzysko nie ślizgało mu się w dłoniach — może da Chrystus, że

prędko uwinę się z tym pruskim chmyzem; zali mi wolno będzie wówczas, jeśli nie sięgnąć Krzyżaka, to przynajmniej wsadzić mu toporzysko między kolana i zwalić go na ziemię?

— Boże cię uchowaj!—zawołał żywo Zbyszko—hańbąbyś okrył mnie i siebie!

A wtym zabrzmiał po raz trzeci głos trąby. Usłyszawszy to giermkowie, skoczyli jeden ku drugiemu żywo i zapalczywie, rycerze zaś posunęli się ku sobie wolniej i rozważniej, jako aż do pierwszego starcia nakazywała ich dostojność i powaga.

Mało kto zważał na giermków, ale ci z doświadczonych mężów i czeladzi, którzy na nich patrzyli, zrozumieli odrazu, jak okrutna przewaga jest po stronie Hlawy. Topór chodził ciężej w ręku Niemca, a również i ruchy jego tarczy były wolniejsze. Z pod puklerza widać było jego nogi dłuższe, ale wątłe i mniej sprężyste od potężnych, pokrytych obcisłym ubraniem nóg Czecha. Hlawa natarł też tak zapalczywie, że van Krist prawie od pierwszej chwili musiał się cofać. Zrozumiano odrazu, że jeden z tych przeciwników zwalił się na drugiego, jak burza, że prze, naciska, razi jak piorun; drugi zaś w poczuciu, że śmierć nad nim, broni się tylko, aby jak najbardziej opóźnić okropną chwilę. Jakoż tak było istotnie. Ów samochwał, który wogóle stawał do bitki tylko wówczas, gdy inaczej nie mógł uczynić, poznał, że zuchwałe a niebaczne słowa przywiodły go do walki ze strasznym osiłkiem, którego powinien był, jak zguby, unikać; więc gdy poczuł teraz, że każde z tych uderzeń mogłoby zwalić wołu, upadło w nim zupełnie serce. Zapomniał prawie, że nie dość chwytać ciosy tarczą, ale że trzeba je także zadawać. Widział nad sobą błyski toporu i myślał, że każdy z nich jest ostatni. Nadstawiając puklerz, mrużył mimowoli oczy z poczuciem trwogi i zwątpienia, czy je jeszcze otworzy. Zrzadka sam zadał cios, bez nadziei, że przeciwnika dosięże, puklerz tylko podnosił coraz wyżej na głowę, aby ją jeszcze i jeszcze uchronić.

Wreszcie począł się męczyć, a Czech bił w niego coraz potężniej. Równie jak z rosłego chojara odszczepiają się pod toporem chłopa wióry ogromne, tak i pod razami Czecha poczęły kruszyć się i odpadać blachy ze zbroi niemieckiego giermka. Górny brzeg tarczy wygiął się i spękał, naramiennik z prawego barku stoczył się wraz z przeciętym i pokrwawionym już rzemieniem na

ziemię. Van Kristowi włosy stanęły dębem na głowie i chwyciła go trwoga śmiertelna. Uderzył jeszcze raz i drugi całą siłą ramienia w puklerz Czecha, wreszcie widząc, że wobec okrutnej siły przeciwnika niema dla niego ratunku i że ocalić go tylko może jakiś nadzwyczajny wysiłek, rzucił się nagle całym ciężarem zbroi i ciała pod nogi Hlawy.

Padli obaj na ziemię i zmagali się wzajem, tocząc i przewracając się po śniegu. Lecz Czech wnet wydostał się na wierzch, przez chwilę tłumił jeszcze rozpaczliwe ruchy przeciwnika, wreszcie przycisnął kolanem żelazną siatkę, pokrywającą jego brzuch i wydobył z za pasa krótką trójgranną mizerykordję.

— Oszczędź!—wyszeptał cicho van Krist, wznosząc oczy ku oczom Czecha.

Lecz ów, zamiast odpowiedzieć, rozciągnął się na nim, by łatwiej rękoma dostać jego szyi, i przeciąwszy rzemienną zapinkę hełmu pod brodą, pchnął nieszczęśnika dwukrotnie w gardło, kierując ostrze w dół ku środkowi piersi.

Wówczas źrenice van Krista uciekły w głąb czaszki, ręce i nogi poczęły trzepać śnieg, jakby chciały go oczyścić z popiołu; po chwili jednak wyprężył się i pozostał nieruchomy, wydymając tylko jeszcze pokryte czerwoną pianą wargi i krwawiąc nadzwyczaj obficie.

A Czech wstał, obtarł o suknię Niemca mizerykordję, następnie podniósł topór, i wsparszy się na nim, począł spoglądać na cięższą i upartszą bitkę swego rycerza z bratem Rotgierem.

Rycerze zachodni przywykli już byli do wygód i zbytków, podczas gdy dziedzice w Małopolsce i Wielkopolsce oraz na Mazowszu wiedli jeszcze życie surowe i twarde, wskutek czego nawet w obcych i niechętnych budzili podziw krzepkością ciała i wytrzymałością na wszelki trud, bądź ciągły, bądź doraźny. Pokazało się też i teraz, że Zbyszko góruje nad Krzyżakiem siłą rąk i nóg, nie mniej, niż jego giermek górował nad van Kristem; ale pokazało się także, że jako młody ustępuje mu w ćwiczeniu rycerskim.

Było to dla Zbyszka rzeczą poniekąd pomyślną, iż wybrał walkę na topory, albowiem fechtunek tego rodzaju bronią był niemożliwy. Na krótkie lub długie miecze, przy których trzeba było znać cięcia, sztychy i umieć ciosy odbijać, miałby Niemiec znaczną przewagę. Lecz i tak zarówno sam Zbyszko, jak i widzowie, po ruchach

i władaniu tarczą poznali, iż mają przed sobą męża doświadczonego i groźnego, który widocznie nie pierwszy raz staje do tego rodzaju walki. Za każdym ciosem Zbyszka Rotgier podstawiał tarczę i w chwili uderzenia cofał ją nieco, przez co rozmach choćby największy tracił na sile i nie mógł przeciąć ani też pokruszyć gładkiej powierzchni. Chwilami cofał się, chwilami nacierał, czyniąc to spokojnie, lubo tak szybko, że ledwie można było pochwycić oczyma jego ruchy. Zląkł się książę o Zbyszka, a twarze mężów zasępiły się; wydało im się bowiem, że Niemiec igra jakby umyślnie z przeciwnikiem. Nieraz nie podstawiał nawet tarczy: ale w chwili, gdy Zbyszko uderzał, czynił pół obrotu w bok w ten sposób, że ostrze topora przecinało puste powietrze. Było to najstraszniejsze, gdyż Zbyszko mógł przytym stracić równowagę i upaść, a wówczas zguba jego stałaby się nieuchronną.

Zbyszko jednak nie padał, gdyż mając w nogach siłę ogromną i rozstawiając je szeroko, mógł utrzymać na każdej cały ciężar ciała i rozmachu.

Okrutna walka przeciągała się dłużej nad zwykłą miarę. Na krużgankach zaległa cisza śmiertelna. Słychać było tylko czasem dźwięcliwe, a czasem głuche uderzenia ostrzy i obuchów o tarcze. I księstwu i rycerzom i dworkom nie obce były podobne widowiska, a jednakże jakieś uczucie, podobne do przerażenia, ścisnęło jakby kleszczami serca wszystkich. Rozumiano, że tu nie chodzi o wykazanie siły, sprawności, męstwa i że większa jest w tej walce zaciekłość, większa rozpacz, większa i bardziej nieubłagana zawziętość, głębsza zemsta. Z jednej strony straszne krzywdy, miłość i żal bez dna, z drugiej cześć całego Zakonu i głęboka nienawiść szły na tym pobojowisku na sąd Boży.

Tymczasem pojaśniał jeszcze zimowy blady ranek, przetarła się szara opona mgły i promień słońca rozświecił błękitny pancerz Krzyżaka i srebrnawą medjolańską zbroję Zbyszka. W kaplicy zadzwoniono na tercję, a razem z odgłosem dzwonów znów stada kawek zerwały się z dachów zamkowych, łopocąc skrzydłami i kracząc zgiełkliwie, jakby z radości na widok krwi i tego trupa, który leżał już nieruchomo na śniegu. Rotgier rzucił na niego w czasie walki raz i drugi oczyma i nagle uczuł się ogromnie samotnym. Wszystkie oczy, które na niego patrzyły, były to oczy wrogów. Wszystkie modły, życzenia i ciche wota, które czyniły niewia-

sty, były po stronie Zbyszka. Prócz tego, jakkolwiek Krzyżak był zupełnie pewien, że giermek Zbyszków nie rzuci się na niego z tyłu i nie sięgnie go zdradliwie, jednakże obecność i blizkość tej groźnej postaci przejmowała go takim mimowolnym niepokojem, jakim przejmuje ludzi widok wilka, niedźwiedzia, lub bawołu, od którego nie przedziela ich krata. I nie mógł się temu uczuciu obronić, tym bardziej, że Czech poruszał się i zmieniał miejsce, zachodząc walczącym to z boku, to z tyłu, to od czoła, pochylając przytym głowę i przypatrując się mu złowrogo przez szpary w żelaznej przyłbicy hełmu, a czasem podnosząc nieco, jakby mimowoli, zakrwawione ostrze.

Zmęczenie poczęło wreszcie Krzyżaka ogarniać. Raz po razu zadał dwa ciosy krótkie, ale straszne, kierując je na prawe ramię Zbyszka; ten jednakże odepchnął je tarczą z taką siłą, że toporzysko zachwiało się w dłoni Rotgiera, sam zaś musiał się cofnąć nagle, aby nie upaść. I od tej pory cofał się ciągle. Wyczerpały się zresztą nietylko jego siły, ale zimna krew i cierpliwość. Z piersi widzów na widok jego cofania się wyrwało się kilka okrzyków, jakby tryumfu, które wzbudziły w nim złość i rozpacz. Uderzenia toporów stały się coraz gęstsze. Pot zlewał czoła obu walczących, a przez zwarte zęby dobywał im się z piersi chrapliwy oddech. Patrzący przestali zachowywać się spokojnie, i co chwila teraz odzywały się wołania to męskie, to niewieście: „Bij! W niego!... Sąd Boży! Kara Boża! Bóg ci pomagaj!“ Książę skinął kilka razy dłonią, by je uciszyć, ale nie mógł ich powstrzymać. Czyniło się coraz głośniej, gdyż dzieci poczęły tu i owdzie płakać na krużgankach, a wreszcie przy samym boku księżny jakiś młody łkający głos niewieści zawołał:

— Za Danuśkę, Zbyszku, za Danuśkę!

Zbyszko wiedział przecie, że idzie o Danusię. Był pewny, że ten Krzyżak przyłożył ręki do jej porwania i walcząc z nim, walczył za jej krzywdy. Ale jako młody i chciwy bitew w chwili walki, myślał o samej walce. Nagle ów krzyk uprzytomnił mu jej stratę i jej niedolę. Miłość, żal i zemsta nalały mu ognia do żył. Serce zaskowyczało w nim z rozbudzonego bólu i chwycił go po prostu szał bojowy. Strasznych podobnych do uderzeń burzy jego ciosów nie mógł już Krzyżak pochwycić, ni im wydążyć. Zbyszko uderzył tarczą w jego tarczę z tak nadludzką siłą, że ramię Niemca zdrę-

twiało nagle i opadło bezwładnie. Ów zaś cofnął się w trwodze i przerażeniu i przechylił się w tył, a wtym w oczach mignął mu błysk topora i ostrze spadło mu jak piorun na prawy bark.

Do uszu widzów doszedł tylko rozdzierający krzyk: „Jezus!...“ poczym Rotgier odstąpił jeszcze krok i runął na wznak na ziemię.

Wnet zagrzmiało i zaroiło się na krużgankach, jak w pasiece, w której pszczoły przygrzane słońcem, poczynają ruszać się i szumieć. Rycerze zbiegali całemi tłumami po schodach, czeladź przeskakiwała wał śnieżny, by się trupom przypatrzyć. Wszędy rozlegały się okrzyki: „Ot, sąd Boży!... Chwała mu i podzięka! To ci chłop do topora!“ Inni zaś wołali: „Patrzcie a dziwujcie się!“

Jakoż utworzyła się gromada ciekawych naokół trupa Rotgiera, a on leżał na grzbiecie, z twarzą białą, jak śnieg, z szeroko otwartemi ustami i z krwawym ramieniem, odwalonym tak strasznie od szyi aż do pachy, że ledwie się na kilku włóknach trzymało. Więc mówili znów niektórzy: „Ot, żyw był, i w hardości po ziemi chodził, a teraz ci i palcem nie ruszy!“ A tak mówiąc, jedni podziwiali jego wzrost, gdyż wielką przestrzeń na pobojowisku zajmował i po śmierci wydawał się jeszcze ogromniejszy, drudzy zaś pawi pióropusz, mieniący się cudnie na śniegu, a trzeci zbroję, którą na dobrą wieś oceniano. Lecz Czech Hlawa zbliżył się właśnie z dwoma Zbyszkowemi pachołkami, by ją zdjąć z nieboszczyka; więc ciekawi otoczyli Zbyszka, wychwalając go i wynosząc pod niebiosa, bo im się słusznie zdawało, że sława jego spadnie na całe mazowieckie i polskie rycerstwo. Tymczasem odjęto mu tarczę i topór, by mu ulżyć, a Mrokota z Mocarzewa odpiął mu hełm, spotniałe zaś włosy przykrył czapką z sukna szkarłatnego. Zbyszko stał, jakby w osłupieniu, oddychając ciężko, z ogniem jeszcze niezgasłym w oczach, z twarzą pobladłą z wysiłku i zawziętą, drżąc nieco ze wzruszenia i trudu.

Chwycono go pod ręce i poprowadzono do księstwa, którzy czekali nań w ogrzanej komnacie. Tam Zbyszko klęknął przed niemi, a gdy ojciec Wyszoniek przeżegnał go i odmówił wieczny odpoczynek za dusze zmarłych, książę uścisnął młodego rycerzyka i rzekł:

— Bóg najwyższy rozsądził między wami i prowadził rękę twoją, za co niech będzie błogosławione Imię Jego—Amen!

Poczym zwróciwszy się do rycerza de Lorche i do innych, dodał:

— Ciebie, obcy rycerzu, i was wszystkich obecnych, biorę na świadków tego, o czym i sam świadczę, jako się potykali wedle prawa i obyczaju, a jako sądy Boże wszędy odprawują, tak się też i ten odprawił po rycersku i po Bożemu.

Okrzyknęli się na to zgodnym chórem miejscowi wojownicy, gdy zaś panu de Lorche przetłómaczono słowa książęce, wstał i oznajmił, że nietylko świadczy, jako wszystko odbyło się po rycersku i po Bożemu, ale gdyby nawet ktokolwiek w Malborgu lub na innym dworze książęcym śmiał o tym wątpić, on, de Lorche, pozwie go natychmiast w szranki na walkę pieszą lub konną, choćby to był nietylko zwyczajny rycerz, ale olbrzym i czarnoksiężnik, samego Merlina magiczną siłą przewyższający.

Henryk Sienkiewicz (Krzyżacy).

---

38. Bitwa pod Grunwaldem.

We wtorek, w dzień Rozesłania Apostołów, piętnastego lipca, król Władysław postanowił przed świtem wysłuchać mszy św.; ale dla silnego i gwałtownie wiejącego wiatru nie można było tak śpiesznie, jak nakazano, zatknąć i rozwinąć namiotu, w którym zwykle odprawiano nabożeństwo, bo co rozwinięto płótna, to je wiatr zrywał. Już wreszcie i dzień nastał, a wiatr począł się wzmagać gwałtowny. Gdy więc dla ciągłej zawiei niepodobna było kaplicy królewskiej mocno ustawić, za radą wielkiego książęcia Aleksandra ruszył król obozem, a uszedszy przestrzeń dwumilową, w której widać było płonące do koła włości nieprzyjaciół, stanął na polach wsi Rudy i Grunwaldu, mających się wsławić przyszłą w dniu tym bitwą, i pomiędzy gajami i gąszczami, które zewsząd to miejsce zakrywały, kazał rozbić namioty, a kaplicę obozową ponad jeziorem Lubnem na wzniosłym ustawić pagórku, aby przez ten czas, gdy wojsko rozmieszczać się miało na swoich stanowiskach, mógł wysłuchać nabożeństwa. Już mistrz pruski Ulryk Jungingen ściągnął do wsi Grunwaldu, którą miał

swoją upamiętnić klęską i zblizka stanął ze swoim wojskiem, a czaty królewskie jeszcze go nie dostrzegły. Po rozwinięciu więc kaplicy obozowej, kiedy król śpieszył do niej na nabożeństwo, przybiegł Hanek, szlachcic ziemi chełmskiej, herbu Ostoja, z oznajmieniem, że nieprzyjaciela widział już o kilkanaście kroków od obozu. A gdy król zapytał, jak liczne było jego wojsko, Hanek odpowiedział, że jedną tylko ujrzał chorągiew i natychmiast z doniesieniem o niej pośpieszył. Ledwo te słowa domawiał, kiedy przybył Dersław Włostowski, szlachcic herbu Oksza, i oznajmił, że dwie widział nadchodzące chorągwie nieprzyjaciół. Jeszcze i ten mówić nie skończył, a już nadbiegł trzeci, po nim czwarty, piąty i szósty, którzy zgodnie powtarzali, że nieprzyjaciel tuż pod obozem stał w gotowości do boju. Król Władysław tak nagłym i niespodziewanym nadejściem nieprzyjaciela nie zmieszany, za najważniejszą rzecz osądził, aby wprzód oddać powinność Bogu, nimby do wojny przystąpił. Zarazem udawszy się do kaplicy obozowej, wysłuchał z wielkim nabożeństwem dwóch mszy, a prosząc Boga o pomoc, z większą, niż zwykle, modlił się gorącością ducha i żadne prośby i zaklęcia nie zdołały oderwać króla od nabożeństwa, póki go do ostatka nie skończył...

Wreszcie król skończył swoje modlitwy, a przywdziawszy zbroję, świetnym od głowy aż do nóg okrył się rynsztunkiem. A chociaż rycerstwo, uszykowane w porządne hufce, wystąpiło już do boju i nieprzyjaciel z przeciwnej strony stał w gotowości i z orężem w ręku tak, iż oba wojska zaledwo na rzut strzały były od siebie oddalone i już nawet pojedyńcze między niemi zagrały harce, uważano przecież za rzecz przyzwoitą, aby czekać, aż król sam wyda hasło do spotkania. Zaczem król Władysław w pełnej zbroi, siadszy na konia, a wszystkie oznaki królewskie zostawiwszy na boku, dla obaczenia nieprzyjaciela podjechał na wyniosłe wzgórze i stanął na pagórku, między dwoma gajami szeroko rozłożonym, skąd łatwy i dokładny podawał się widok na nieprzyjacielskie wojska. Napatrzywszy się do woli zastępom nieprzyjaciół, zjechał na równinę i wielu z towarzyszów pasem rycerskim ozdobił; dla dodania zaś swoim serca, krótką, ale silną zagrzał ich przemową, a sam z konia tak, jak na nim ubrany siedział, ponowił jeszcze spowiedź. Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zaśpiewało pieśń ojczystą „Bogarodzica,“ a potym z podniesionemi kopjami ru-

szyło do bitwy. W tej samej chwili obadwa wojska z głośnym, jak zwykle przed walką, okrzykiem, zwarły się z sobą w nizinie, która je przedzielała. Krzyżacy dwakroć uderzywszy z dział, silnym natarciem napróżno usiłowali przełamać i zmieszać szyki swych przeciwników, lubo wojsko pruskie z głośniejszym okrzykiem i z wyższego pagórka ruszyło do walki. Było w miejscu spotkania sześć wysokich dębów, na które powyłaziło wiele ludzi, czy królewskich czy krzyżackich, dla przypatrzenia się z góry pierwszemu na siebie nieprzyjaciół natarciu i obu wojsk powodzeniu. Tak straszny zaś za ich spotkaniem z wzajemnego uderzenia kopji, chrzęstu ścierających się zbroi i szczęku mieczów powstał huk i łomot, że go na kilka mil w okolicy słychać było. Mąż na męża napierał, kruszyły się z trzaskiem oręże, godziły w twarz wymierzone wzajem groty. W tym zamieszaniu i zgiełku trudno rozróżnić było dzielniejszych od niewieściuchów; wszyscy bowiem jakby w jednym zawiśli tłumie. I nie cofali się wcale z miejsca, ani jeden drugiemu ustępował pola, aż gdy nieprzyjaciel, zwalony z konia albo zabity, rum otwierał zwycięzcy. Gdy nakoniec połamano kopje, zwarły się ze sobą tak silnie obu stron szyki i oręże, że już tylko topory i groty, na drzewcach ponasadzane, tłukąc o siebie, przeraźliwy wydawały łoskot, jakby bijące w kuźniach młoty. Jeźdźcy, ściśnieni w natłoku, szablą tylko nacierali na siebie i sama już wtedy siła, sama dzielność osobista przeważała..

W czasie toczącej się z zaciętością z obu stron bitwy, stał Władysław, król polski, zblizka i przypatrywał się dzielnym czynom swoich rycerzy, a położywszy zupełną ufność w Bogu, oczekiwał spokojnie ostatecznego pogromu i ucieczki nieprzyjaciół, których widział na wielu miejscach złamanych i pierzchających. Tymczasem wystąpiło do boju szesnaście pod tyluż znakami hufców nieprzyjacielskich, świeżych i nietkniętych, które jeszcze nie doświadczyły oręża; a część ich zwróciwszy się ku tej stronie, gdzie król polski stał z przyboczną tylko strażą, pędziła z wymierzonemi włóczniami jakby prosto ku niemu. Król w mniemaniu, że nieprzyjaciel, widząc przy nim tak małą garstkę rycerzy, godził nań z umysłu, strwożony grożącym niebezpieczeństwem, pchnął czymprędzej Zbigniewa z Oleśnicy, swego pisarza nadwornego, do stojącej w pobliżu chorągwi dworzan królewskich z rozkazem, aby jak najśpieszniej przy-

bywali i zasłonili króla od grożących ciosów; jeżeli bowiem rychło nie nadbiegną, czeka go wielkie niebezpieczeństwo.

Była właśnie ta chorągiew w pogotowiu do stoczenia walki z nieprzyjacielem. Rycerz królewski, Mikołaj Kiełbasa, herbu Nałęcz, jeden z przedniej straży, zamierzywszy się szablą na gońca królewskiego Zbigniewa, wołać nań począł i łajać, aby ustąpił: „Czy nie widzisz—rzecze—szalony, że nieprzyjaciel na nas uderza? I ty chcesz, abyśmy, porzuciwszy walkę, biegli na obronę króla? Byłoby to jedno, co uciec z boju i tył podać nieprzyjacielowi, a dawszy się pobić, i króla i siebie na oczywiste narazić niebezpieczeństwo.“ Temi słowy Zbigniew z Oleśnicy wypchnięty z chorągwi nadwornych, do których był wpadł wpośrodek, powrócił z niczym; w tej chwili wojsko królewskie stoczyło bój z Krzyżakami i mężnie walcząc, najdzielniejsze wywracało szyki...

Wrzał gorącą chęcią boju król Władysław i spinając konia ostrogami, chciał rzucić się na najgęstsze szyki nieprzyjacielskie, ledwo drużyna przybocznej straży zdołała go wstrzymać w zapędzie. Jakoż jeden z drużyny, Zoława, Czech, chwycił sam konia królewskiego za wędzidło, aby nie mógł dalej postąpić, aż król zniecierpliwiony uderzył go zlekka końcem swej rohatyny, wołając, aby go puścił, a nie bronił mu wyruszyć do walki. Dopieroż, gdy wszyscy rycerze straży królewskiej oświadczyli, że wolą raczej na wszystko się odważyć, niźli tego dopuścić, zezwolił na ich prośbę i dał się powstrzymać. A wtym podbiega rycerz z obozu Prusaków, Niemiec, nazwiskiem Dypold Kikierzyc v. Dieber, z Luzacji, złotym pasem opięty, w białej podbitej kiecce niemieckiego kroju, którą u nas jupką albo kaftanem zowią, i cały okryty zbroją, towarzysz ze znaku większej chorągwi pruskiej, do owych szesnastu należącej; rozpędzony na bułanym koniu dociera aż do miejsca, kędy król stał, a wywijając włócznią, godzi prosto na króla wobec całego wojska nieprzyjacielskiego. Gdy więc król Władysław, podniósszy także włócznię, czekał jego spotkania, Zbigniew z Oleśnicy, pisarz królewski, prawie bezbronny, bo w ręku miał jedno drzewce wpół złamane, uprzedził cios królewski, a ugodziwszy w bok owego Niemca, zwalił go z konia na ziemię. Padł struchlały, a drżącego z bojaźni król Władysław uderzywszy włócznią w czoło, które z opadnięciem przyłbicy odsłoniło się rycerzowi, zostawił go wreszcie nietkniętym. Ale

rycerze, trzymający straż przy królu, ubili go na miejscu, a piesze żołdaki zdarły z zabitego odzież i zbroję.

Wojsko krzyżackie, szesnaście owych chorągwi składające, spostrzegszy, że pomieniony rycerz trupem poległ, zaraz zaczęło się cofać na hasło jednego z Krzyżaków, dowódcy chorągwi, który siedząc na białym koniu, kopją dawał znak do odwrotu i wołał po niemiecku: *herum*, *herum!* Zwróciwszy się potym, ruszył na prawo, kędy stała wielka chorągiew królewska, już po zadanej klęsce nieprzyjaciołom, wraz z innemi chorągwiami polskiemi. Rycerze królewscy, ujrzawszy te szesnaście chorągwi i jedni poznawszy w nich nieprzyjaciół, jak rzeczywiście było, drudzy wziąwszy je za litewskie wojsko, a to z przyczyny lekkich i rzutnych włóczni, zwanych sulica, których w wojsku krzyżackim wielka była liczba, nie zaraz uderzyli na Krzyżaków; spierali się między sobą i długo byli w niepewności, wreszcie wyprowadzeni z błędu, nie wątpiąc już o nieprzyjacielu, w kilkanaście chorągwi rzucili się na owe szesnaście znaków, do których i inne przyłączyły się, i krwawą z niemi stoczyli bitwę. A lubo Krzyżacy przez jakiś czas wytrzymali natarcie, w końcu jednak przeważną liczbą wojsk królewskich zewsząd otoczeni, pobici zostali na głowę. Prawie wszystko rycerstwo, walczące pod owemi szesnastu znakami, legło na placu lub dostało się w niewolę. Po zniesieniu zatym i rozbiciu całej potęgi nieprzyjacielskiej, przyczym także Wielki mistrz pruski Ulryk, marszałkowie, komturowie, rycerze wszyscy i najznakomitsi w wojsku pruskim panowie poginęli, reszta nieprzyjaciół poszła w rozsypkę, a raz tył podawszy, pierzchała ciągle w popłochu.

Władysław Jagiełło, nierychło wprawdzie i ciężkim okupione trudem, zupełne jednak nad mistrzem i Krzyżakami otrzymał zwycięstwo. Obozy nieprzyjacielskie, zasobne w wielkie bogactwa i zapasy, wozy i wszystek sprzęt wojenny mistrza i rycerstwa pruskiego polski żołnierz opanował i złupił. Znaleziono zaś w obozie krzyżackim kilka wozów, naładowanych samemi dybami i okowami, które Krzyżacy, pewne rokując sobie zwycięstwo, więcej przyszłym tryumfem, niżeli bitwą zajęci, do pętania Polaków przygotowali. Były i inne wozy pełne łuczywa smolnego, a oblanego łojem i smołą, kiścieni także, smołą i tłustością wysmarowanych, któremi Polaków pobitych i uciekających gnać mieli przed sobą. Zawcześnie cieszyli się zwycięstwem, z py-

chą zaufani w siebie i niepomni, że zwycięstwo było w ręku samego Boga.

Po złupieniu wozów i taborów krzyżackich wojsko królewskie postąpiło na wzgórze, kędy był wprzód obóz i stanowisko Prusaków, a skąd ujrzano tłumy i mnogie pułki pierzchające nieprzyjaciół, na których do słońca błyszczały zbroje; niemal wszyscy bowiem Prusacy byli niemi okryci. Puściwszy się potym za uciekającemi w pogoń, dotarli królewscy do jakiegoś bagna i trzęsawiska i wpadli Prusakom na karki. Niewielu śmiało stawić opór, łatwo ich zatym pokonano. Resztę niedobitków, z rozkazu króla oszczędzonych, popędzono w niewolę...

Legło w tej bitwie pięćdziesiąt tysięcy nieprzyjaciół, a czterdzieści tysięcy pojmano jeńcem.

Z Jana Długosza „Historji polskiej.“

---

39. Anioł.

Ilekroć umiera dobre dziecko, zstępuje na ziemię Anioł Boży, bierze w objęcia nieżywą dziecinę, rozpościera wielkie białe skrzydła, unosi się ponad wszystkiemi ulubionemi miejscami dziecka i zrywa garść kwiatów, które zabiera ze sobą do Pana Boga, aby tam piękniej jeszcze kwitły, niż na ziemi. Pan Bóg przyciska wszystkie kwiaty do serca, ale na kwiecie, który jest Mu najmilszy, składa pocałunek, przez co kwiat otrzymuje głos i może wtórować śpiewom chóru anielskiego.

Tak opowiadał Anioł Boży, niosąc umarłe dziecko do nieba, a dziecko słuchało opowieści jak we śnie. Unosili się nad miejscowościami, gdzie się dziecko bawiło i przelatywali przez ogrody, pełne przepysznych kwiatów.

— Któreż zabierzemy ze sobą i zasadzimy w niebie?—zapytał Anioł.

W pobliżu stał smukły wspaniały krzak róży, ale złośliwa ręka złamała pień, tak, że wszystkie gałęzie, pełne wielkich, nawpół otwartych pączków, zwieszały się powiędłe.

— Biedny krzak różany!—rzekło dziecko,—zabierz go, żeby na wysokościach, u Pana Boga, mógł znów zakwitnąć!

I Anioł wziął krzak różany, a dziecko pocałował za to i maleństwo otworzyło nawpół oczęta. Zrywali przepyszne kwiaty ozdobne, ale zabrali też z sobą pogardzony jaskier i dziki bratek.

— Co my teraz mamy kwiatów!—cieszyło się dziecko. A Anioł skinął głową. Ale nie ulecieli jeszcze do Pana Boga. Noc była i wszędzie panowała cisza. Pozostali w wielkim mieście i unosili się nad jedną z najwęższych ulic, gdzie leżały całe stosy słomy, popiołu i rozmaitych odpadków. Minął właśnie dzień przeprowadzki. Dokoła leżały skorupy talerzy, potłuczone figury gipsowe, gałgany i stare kapelusze, a wszystko to nie przedstawiało miłego widoku.

Anioł wskazał wśród tych śmieci kilka skorup doniczki od kwiatów i grudkę ziemi, która wypadła i spojona jeszcze była korzeniami wielkiego, zwiędłego kwiatu polnego, teraz już nieposiadającego żadnej wartości i dlatego wyrzuconego na ulicę.

— Zabierzemy go ze sobą—rzekł Anioł.—W drodze opowiem ci dlaczego.

I wzbili się dalej, a Anioł opowiadał:

— Tam w dole, na wązkiej ulicy, w piwnicy mieszkał ubogi chłopiec. Od lat najmłodszych leżał zawsze w łóżku. Gdy był zdrowszy, mógł kilka razy przejść o kulach przez małą izdebkę: to wszystko. Podczas niektórych dni letnich, promienie słoneczne przez pół godzinki wpadały do podziemia. A wówczas gdy biedny chłopiec siedział w blasku ciepłego słońca i, trzymając chude palce przed oczyma, patrzył na przeświecającą krew, mówił: „Byłem dziś na spacerze.“ Las w przepysznej szacie wiosennej znał tylko z gałęzi grabinowych, które mu co rok przynosił syn sąsiada. Gałąź taką trzymał biedny chłopiec nad głową i marzył, że spoczywa pod drzewami, tam, gdzie słońce przyświeca a ptaki śpiewają.

Pewnego dnia wiosennego przyniósł mu syn sąsiada kilka kwiatów wiosennych, między któremi znalazł się przypadkowo jeden z korzeniami. Wsadzono go też w doniczkę i postawiono na oknie, tuż obok łóżka chłopca. Roślina zasadzona była szczęśliwą ręką, rosła, puszczała nowe pędy i co rok okrywała się kwieciem. Zastępowała choremu chłopcu najpiękniejszy ogród, była jego małym skarbem na tej ziemi. Podlewał on ten kwiat, pielęgnował go i pamiętał o tym, aby na niego padał cały blask każdego promienia słońca, który wdzierał się

przez nizkie okno. Kwiat wplótł się nawet w sny chłopca, albowiem dla niego jedynie się rozwijał, szerzył woń swoją, jego radował oko. Do niego też chłopiec, konając, zwrócił swoje oblicze, gdy Pan powołał go do siebie.

Odtąd rok już przebył u Pana Boga, rok stał kwiat zapomniany w oknie i usechł, dlatego przy przeprowadzce wyrzucono go ze śmieciami na ulicę. To jest właśnie ów kwiat, ów biedny uschnięty kwiat, który zabraliśmy do naszej wiązanki, albowiem kwiat ten przyniósł więcej radości, niż najpiękniejszy z ogrodu królowej.

— Ale skąd wiesz o tym wszystkim? — zapytało dziecko, które Anioł unosił do nieba.

— Wiem—odparł Anioł—bo to ja sam byłem owym chorym małym chłopcem, który chodził na kulach! Znam ja dobrze ten kwiat!

Dziecko otworzyło teraz zupełnie oczęta i spojrzało w cudne, słodkie oblicze Anioła. W tej samej chwili znaleźli się w niebie, u Pana Boga, gdzie panuje radość i szczęśliwość. A Pan Bóg przytulił umarłe dziecko do łona i wnet wyrosły mu skrzydła, jak tamtemu Aniołowi, i ręka w rękę wznieśli się razem do lotu. Pan Bóg przycisnął też do serca wszystkie kwiaty, ale biedny, uschły kwiat polny pocałował, a kwiat wnet otrzymał głos i śpiewał ze wszystkiemi Aniołami, które unosiły się dokoła Pana Boga, jedne zupełnie blizko, inne wielkiemi kręgami dokoła tamtych, coraz dalej i dalej aż do nieskończoności, wszystkie jednako szczęśliwe. A wszyscy śpiewali, mali i wielcy, zarówno dobre błogosławione dziecię, jak i biedny kwiat polny, który wyrzucony wraz ze śmieciami na wązką, ciemną uliczkę, zwiądł i usechł.

z Andersena.

---

40. Skowronek.

I przyszła chwila, iż wszystko, co żyło, oniemiało z przerażenia. Straszna cisza zaległa wśród ciemności, która w dzień okryła całą ziemię.

Dokonywała się wola Boga: Chrystus Pan konał na krzyżu. Nagle blady promień przedarł się przez ciemne, obwisłe chmury i oświetlił głowę zwisłą bezwładnie, ukoronowaną cierniami; każdy cierń, wtłoczony

w głowę, tworzył ranę krwawą, z której sączyły się duże krople i opadały na szyję i ramiona.

Opodal stojąca gromadka mężczyzn i kobiet nie mogła się zbliżyć do krzyża: żołdacy nie dopuszczali nikogo, aby znikąd nie było pocieszenia, aby śmierć samotna tym była większą męczarnią przestępcy.

Wśród wielkiej ciszy dał się słyszyć jęk stłumiony, a bardzo żałosny. Żołnierze myśleli, że to konający żali się tak boleśnie; litość zaczęła zbierać w ich sercach, ale przestrach był silniejszy niż litość: żaden nie spojrzał na Chrystusa. Jęk przeciągły zamieniał się pomału w śpiew jakiś dziwny, niby kwilenie dziecka, niby ciche szlochanie matki przy umierającym dziecku...

Jeden z żołnierzy szepnął:

— Zali umierający tak śpiewa?

Lecz w górę nikt nie spojrzał. Śpiew coraz żałośniejszy płynął od krzyża... nikt jeszcze takiego głosu nie słyszał; a tak przenikał serca, że po chwili żołnierze, stojący na straży, uczuli łzy pod powiekami i łzy pomimo ich woli spływały po policzkach, rzęsiste, gorące... Wszyscy płakali. Wówczas spojrzeli w górę. Szara ptaszyna latała wokoło tej biednej, zbolałej głowy, kwiląc i śpiewając, a skrzydełkami te rany chłodząc, próbowała wyciągnąć cierń ze skroni. Ostrożnie, bardzo ostrożnie, wciąż skrzydełkami poruszając, wyciągnęła cierń jeden; w tej chwili Chrystus oczy otworzył i westchnął. Ptaszyna przycichła, jakby się zlękła, że powiększa cierpienie i już nie próbowała wyciągać cierni; więc tylko wokoło latała i świergotała cichutko, napoły żałośnie, napoły radośnie... dziwnie.

I znowu żołnierz szepnął:

— Wszak ci to skowronek, co nigdy śpiewać nie umiał, a teraz tak cudnie zawodzi. Zali to moc Boża?

Wkrótce ostatnia godzina męki wybiła: Chrystus skonał. Skowronek zakwilił i na ziemię u stóp krzyża upadł.

Gdy zdejmowano z krzyża święte zwłoki, skowronek uniósł się wysoko i płakał... płakał świergotem żałosnym.

Raniutko, przy pierwszym brzasku dnia, zbliżały się niewiasty do grobu, niosąc wonności. Radosny śpiew drżał w powietrzu i przenikał serca kobiet; otucha wstąpiła w nie, zanim zobaczyły kamień grobowy odwalony. Skowronek zawisnął wysoko nad tym grobem pustym i całemu światu opowiadał radosną nowinę zmartwych-

wstania. Razem z aniołami śpiewał: „Hosanna Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“

I towarzyszył skowronek Chrystusowi na ziemi, a ewangielję po swojemu głosił. Ludzie go nie rozumieli, a śpiewem jego się radowali, bo miły im był, bo wiedzieli, że się Chrystus do ptaszyny uśmiechał.

A skowronek miłował Chrystusa... miłował!

Toż gdy Chrystus uczniów swoich pożegnał, a do nieba szedł, aby tam już na wieczne królowanie na prawicy Boga Ojca zasiąść, skowronek nie chciał na ziemi pozostać i za Chrystusem poleciał... Wzbił się wysoko i pędził jak strzała w górę, śpiewając. Do nieba chciał, do radości za umiłowanym Panem leciał.

Chrystus obejrzał się za skowronkiem i rzekł:

— Nie zdążysz, moja ptaszyno, sił masz zamało. Zostań na ziemi, a ludziom o mnie mów ciągle.

Ale skowronek prosił:

— Weź mię, Panie najmilejszy, weź!

Tak ciągle to samo powtarzał swym świergotem i pędził w górę, a pędził.

Ziemia z oczu mu znikła... tuż, tuż za Chrystusem do nieba wleci; już do bram niebieskich dosięgał.

Ale tam na straży stało słońce płonące; chociaż płomienia nie było, iskry jasne odrywały się co chwila i promieniami na świat padały. Jedna z iskierek prześliznęła się po skrzydełkach skowronka: osmaliła mu piórka. Nie mógł już skowronek na tych osmalonych skrzydełkach utrzymać się: spadał szybko, coraz szybciej, jak kamień z góry rzucony. A wciąż pieśnią Panu się skarżył.

Gdy upadł na ziemię, zakwilił żałośnie i zamilkł. Zdawało się, że już nie żyje, a on tylko w cichości słowa Chrystusa rozważał i wielką miłością wzmocniony, zrozumiał, że został na ziemi, aby ludziom o Chrystusie śpiewać.

I śpiewa. Na osmalonych skrzydełkach wzbija się wysoko, a świergotem chwałę Bożą głosi i znowu jak strzała na ziemię pada. Na ziemi, na ornej się gnieździ, aby mógł ciągle z ludźmi obcować, a Chrystusa im przypominać.

Żeby wszystkim ludziom chwałę Bożą wyśpiewać, skowronek leci jesienią do krain ciepłych, a z wiosną wraca do nas i z rolnikiem pierwszą skibę mierzy. Ani

go chłód, ani głód nie zraża, i radosny jest, bo raduje innych. Szczęśliwi, którzy skowronka słyszą!

F. Rudnicka.

---

41. Królewna.

Dawno to już temu, bardzo dawno, w pewnym kraju na środku jeziora, stał dworzec wielki, wspaniały. Król go wystawić kazał dla swojej córki, jedynaczki. Wystawił on go ze złota, srebra i marmuru i przystroił w najpiękniejsze kolory i drogie kamienie; sam dach był z piór pawich zrobiony. Żyła królewna we dworze sama jedna, bo stary król przed ludźmi ją chował, sam jeno chcąc na nią patrzyć, sam jej głosu słuchać, sam się nią cieszyć i radować. Bracia królewny pojechali na wojnę w kraje dalekie i pewnie poginęli, bo i słuch o nich zaginął. Przedtym jeszcze wrogowie całą rodzinę wymordowali, biednemu więc staremu królowi pozostała jeno córka jedynaczka. Bywało, król siada w złocistej komnacie, patrzy na córkę, pieści ją, całuje, a ona smutnie śmiejąc się do niego, historje piękne gada, na złotej harfie przygrywa i śpiewa. Król wtedy siwą brodę głaszcze, oczy w córkę wlepia i tak całemi godzinami w nią patrzy. Niech tylko królewna mówić przestanie, a król z miejsca się zrywa, niespokojny po komnacie chodzi i dziwne rzeczy, straszne, wygaduje o wojnach, śmierci, trupach i czarach. Z gniewem siwą brodę targa, imię nieboszczki swej żony bezustanku powtarza, to zaginionych na wojnie synów i przyjaciół głośno nawołuje. Jeśli go wtedy królewna graniem na harfie i śpiewem nie uspokoi, to za miecz u boku porywa, z pałacu wylatuje i całemi tygodniami gdzieś w puszczach, górach i dolinach z wierną drużyną się ugania, albo sam jeden na dzikie zwierzęta: wilki, niedźwiedzie, dziki poluje.

Królewna w dworcu tymczasem siedzi, w okna patrzy, ojca wygląda, a z nudów drogie perły, djamenty w wodę rzuca i bawi się, jak z pluskiem w nią padają, a lecąc, jakby gwiazdy błyszczą się i mienią. Król do dworca powraca, a królewna muzyką, śpiewem i mową go wita, nogi i ręce całuje. To króla uspokaja i znowu

on czas jakiś żyje cicho i rządzi dobrze, a nieprzyjaciele na wszystkie strony go się boją i szanują. Królewna czym może, to mu czas osładza, jak może tak go bawi, zatrudnia. On wtedy na wszystko ją zaklina, prosi, aby dworca nigdy w jego nieobecności nie opuszczała, bo gdyby on wrócił, a jej nie zastał, to umarłby ze zmartwienia. Królewna mu to przyrzekła, albowiem wie ona, że to tęsknota po śmierci najdroższej jej matki i po stracie braci, tak króla biednego martwi, gryzie i czasami do szaleństwa przyprowadza.

Długie lata tak schodziły, a król nietylko tęsknoty się nie pozbawiał, ale jeszcze więcej z córką wciąż razem być musiał, gdyż inaczej szaleństwo mu do głowy przychodziło i z dworca w świat daleki gnało. Królewna go wtedy znów oknem wygląda a z nudów drogie kamienie do wody rzuca. Narzucała ich tak sporo.

Raz króla bardzo długo widać nie było. Próżno go królewna czekała i wyglądała; król jak nie wracał, tak nie wracał. Noc była widna, cicha, pogodna. Wielki, okrągły srebrny księżyc świecił na niebie, a gwiazdy nieprzeliczone błyszczały i świeciły. Modre wody jeziora stanęły gładkie, czyste, nieruchome.

Królewnie znudziło się nigdy świata Bożego nie oglądać, jeno wiecznie w złotym dworcu siedzieć. — „Taki piękny wieczór—myślała sobie—siądę w czółno i popływam trochę po tej gładkiej, modrej wodzie, po tym stawie-jeziorze. Ojciec tak długo nie wraca, to i dziś on pewnie nie wróci!“ Podano jej łódkę. Siadła, wiosłem po fali musnęła i cicho w jasno-białej mgle nocnej płynęła. Spojrzy królewna w górę — złote gwiazdy i srebrny księżyc zda się ku niej śmieje, mruga; spojrzy na dół, a tam w przezroczystych modrych głębiach błyszczy się coś, pali jakby ognie, jakby różnokolorowe płomyki. Błyszczały to na dnie stawu drogie kamienie, przez królewnę z nudów tam rzucane. I w górze modre niebo, gwiazdy błyszczą, i na dole modre wody i drogie kamienie w nich błyszczą; królewna zaś w jasno-białej mgle nocnej po środku płynie. Zdala słychać było pieśni słowików, a jakieś niewyraźne, a melodyjne głosy ludzkiego śpiewu dolatywały z każdym lekkim powiewem wiaterka uszu królewny. Zasłuchała się królewna, zadumała i o wszystkim zapomniała. Zapomniała nawet, że płynie w tę stronę, gdzie jezioro było jak przepaść głębokie, gdzie biły silne źródła, tworzyły odmęty i wodokręty tak niebezpieczne, złowrogie, że jeśli czyja

łódka nierozważnie tam podpłynęła, to żadna ludzka siła od wywrócenia, od podrzucenia jej na kilka łokci w górę uratować już wtedy nie mogła. Kto siedział w łódce, wylecieć z niej i utonąć musiał.

Królewna na to straszne miejsce nie zwracała uwagi. Tak jej było miło w łódce po tylu latach siedzenia we dworcu, świeżym powietrzem odetchnąć, o troskach i smutkach zapomnieć. Myślą przeniosła się w te czasy, kiedy to, będąc jeszcze niedużą dzieweczką, razem z drogą matką i braćmi w wielkim mieście mieszkała, kiedy ją codzień głos matki ukochanej pieścił, kiedy jej matka czarne warkocze splatała, a ona z braćmi wesoło po łąkach, w ogrodach bawiła się, biegała i śmiała. Przypominała sobie pieszczoty matki, braci, ojca, który wtedy był jeszcze taki wesoły, szczęśliwy!...

— Ach, gdyby się te czasy jeszcze wróciły, żeby to jeszcze mogła kiedyś zobaczyć dobrą ukochaną mateczkę i znowu usłyszyć tak często przez nią powtarzane słowa:—Córuniu moja! ty moja pocieszko, jakże ja ciebie kocham! Ale jeśli ty mnie córeczko kochasz, to przyrzeknij mi, że zawsze ojca we wszystkim słuchać będziesz?! Królewna wtedy rzucała się matce na szyję, całowała ją i przysięgała, że ojca we wszystkim zawsze słuchać będzie.

Wtedy przyrzekała, a dziś złamała przysięgę i mimo zakazu ojca popłynęła łódką!...

Strach jakiś ogarnął królewnę, z zadumy się ocknęła. Obejrzała się wokoło. Pusto wszędzie i cicho, zdala jeno z powiewem wiatru dolatują jakieś coraz wyraźniejsze głosy, jakby gwarnej rozmowy, jakby śpiewów, a czasami to jakby głosy myśliwskich i wojennych rogów się odzywają. Królewna szybko wiosłować zaczęła, bo zdało jej się, że dobrze jej znany głos rogu ojca posłyszała. Usiłowała cofnąć łódkę wstecz, poczęła więc silnie, bardzo silnie ku dworcowi wiosłować, ale łódka zamiast naprzód, w tył się cofała. Prąd do wodokrętu, do swojej czarnej mokrej otchłani królewnę pociągnął. Biedna! z przestrachu nawet krzyknąć nie mogła, gdy wkrótce straszny wir porwał, zakręcił jej wątłą łódką, przechylił na bok, i blada, piękna królewna cicho, cichuteńko na dnie wodnej otchłani na muszlach i złotych piaskach bez życia spoczęła.

W tej prawie chwili rozległ się głośny, chrapliwy, potężny głos królewskiego rogu; zawtórowało mu tysiące innych, i długo—długo echo lasów sąsiednich dono-

śnie go powtarzało. Głosu tego upragnionego biedna królewna już nie usłyszała. A był to radosny sygnał ojca, który prowadził ze sobą wykupionych z długiej niewoli synów, braci biednej królewny.

Gorzał dworzec od rzęsistych ogni, wchodził doń prowadzony przez synów stary król, ale zdziwił się niezmiernie, że go głos ukochanej córki nie wita, że mu się ona na szyję nie rzuca. Do komnat pustych szybko kroczy i rozgłośnie po trzykroć imię córki wymawia. Cicho, jeno echo własnego głosu słyszy. Wyleciał przed dworzec, po modrej fali okiem rzucił. Łódki jednej u brzegu brakowało. Krzyknął król głosem wielkiej boleści:—„Utonęło mi biedne dziecko!“ i szybko jak błyskawica w opodal stojącą łódkę siadł i w biało-jasnej nocnej mgle z przed oczu synów zniknął.

Nie powrócił już więcej do pałacu stary, siwy król... Porwał i jego mokry, ciemny odmęt i na dnie obok córki położył. Przysypały ich tam pewnie piaski, pokryły muszle, otuliły wodorosty.

Próżno ojca i siostry królewicze szukali, próżno! znaleźć nie mogli. Z gniewu złoty dworzec do szczętu zburzyli i z tych stron precz odjechali. Na dnie zaś jeziora drogie kamienie, które królewna z nudów, czekając na ojca, rzucała, błyszczą się świecą i palą dotychczas, jak ognie, gwiazdy i tęcze.

Stefan Gębarski.

---

42. Czarny chleb.

(Legienda florencka z XIV wieku).

Mikołaj Nerli był bankierem w sławnym mieście Florencji. Od wczesnego ranka do późnego wieczora przesiadywał przy biurku i po całych dniach prowadził rachunki w swych księgach. Pożyczał pieniędzy monarchom i magnatom, dostojnikom i kupcom, i pożyczyłby nawet djabłu, gdyby się nie bał zawiązywać stosunków z tym, którego zwą złym duchem i który lisem jest podszyty. Mikołaj Nerli obdarł wielu ludzi, zebrał niezmierne bogactwa, to też używał wielkiej w mieście powagi. Mieszkał w pałacu, do którego przez wązkie tylko okna dochodziła jasność światła Bożego; urządził tak

dom swój przez ostrożność, gdyż mieszkanie bogacza musi być nieomal twierdzą.

Pałacu Mikołaja Nerli strzegły silne zamki i łańcuchy. Wewnątrz ściany ozdobione były wspaniałemi malowidłami, posadzki okryte drogiemi kobiercami. Mikołaj Nerli słynął nie tylko ze swych bogactw, lecz także z hojnych fundacji. Na krańcach miasta zbudował szpital, którego ściany w rzeźbach i malowidłach przedstawiały znakomite jego czyny; w nagrodę za ofiarę pieniężną, jaką poniósł na wykończenie kościoła Panny Marji, portret jego zawieszono na chórze świątyni. Klęczał na nim ze złożonemi rękoma u stóp Przenajświętszej Panienki, a wyglądał, jak żywy, w swej czerwonej wełnianej czapeczce, w płaszczu futrem podbitym, z twarzą żółtą, nalaną, z bystremi oczkami.

Gdy pewnego wieczora zimowego Mikołaj Nerli wracał do pałacu później, aniżeli zwykle, w bramie obstąpił go tłum półnagich żebraków, wyciągających błagalnie ręce.

Ofuknął ich gniewnie, ale głód uczynił nędzarzy wściekłemi i drapieżnemi, jak wilki. Obstąpili bogacza ciasnym kołem i ochrypłemi, żałosnemi głosami błagali o kawałek chleba.

Rozgniewany bogacz już podniósł w górę rękę, uzbrojoną w ciężką laskę, gdy wtym nadszedł jeden z jego domowników, niosąc na głowie kosz z czarnym chlebem, przeznaczonym dla służby i robotników pałacowych.

Mikołaj Nerli skinął na służebnika, aby się zbliżył, i biorąc obydwiema rękoma bochenki chleba z kosza, począł je rzucać biedakom. Potym poszedł do domu, położył się i zasnął.

Podczas snu, rażony paraliżem, umarł tak nagle, że znalazł się niespodzianie w obliczu świętego Michała Archanioła.

Archanioł, trzymając w ręku wagi, kładł na szalki ciężary. Mikołaj Nerli poznał na szalce, idącej na dół, klejnoty wdowie, które przyjmował w zastaw, obcinki złotych monet, jakie sobie przywłaszczał, i wszystkie skarby, zebrane lichwą, oszustwem i wyzyskiem.

Zadrżał z przerażenia, widząc, że święty Michał waży w tej chwili w jego własnych oczach cały jego żywot, który nagle zakończył. Były bogacz stał pokorny, nieśmiały i strwożony.

— Święty Michale!—odezwał się drżącym głosem—

widzę, że kładziesz na jedną szalę wszystkie korzyści, jakie w życiu swym osiągnąłem. Racz więc położyć na drugą szalę te piękne fundacje, któremi pragnąłem dowieść swej pobożności. Nie zapomnij ani o kościele Panny Marji, do którego w trzeciej części się przyczyniłem, ani o szpitalu, jaki całkowicie z własnych funduszów wystawiłem.

— Bądź spokojny, Mikołaju Nerli — odpowiedział Archanioł.—Nic nie zapomnę.

I jasnemi rękoma położył na lżejszą szalę kościół Panny Marji i szpital.

Szala nie opadła.

Bogacza ogarnął straszny niepokój.

— O święty Michale!—błagał dalej. —Racz dołożyć na szalę piękną kropielnicę od świętego Jana i ambonę od świętego Andrzeja, na której wyrzeźbiony jest w naturalnej wielkości krzyż Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Te rzeczy drogo mnie kosztowały.

Archanioł znów położył na szalę i ambonę i kropielnicę—szala nie spadała. Mikołaj Nerli uczuł, że zimny dreszcz przejmuje go do szpiku kości.

— Święty Archaniele!—odezwał się nieśmiało — czy jesteś pewny, że wagi twoje są sprawiedliwe?

Święty Michał odparł z uśmiechem, że wagi nie mogą być fałszywe, gdyż nie były robione na wzór tych, jakich wekslarze czasem używają do ważenia złota.

— Jakto?—westchnął Mikołaj Nerli, blady i prawie nieprzytomny—ten kościół, ta ambona, ta wielka kropielnica, ten szpital olbrzymi nie ważą razem więcej, niż źdźbło słomy, lub pióro ptasie?

— Widzisz, Nerli—odpowiedział Archanioł — że dotąd ciężar twych nieprawości o wiele przewyższa wagę twych dobrych uczynków.

— Ach, więc pójdę w ogień wieczny!--zawołał bogacz, dygocąc ze strachu.

— Cierpliwości, Nerli—odrzekł ważnik niebieski— cierpliwości! Jeszcześmy nie skończyli! Jeszcze nam coś zostało...

I święty Michał wziął w ręce bochenki czarnego chleba, które poprzedniego dnia bogacz rozdał żebrakom. Położył je na szalę dobrych uczynków i szala opadła, druga zaś jednocześnie się podniosła, obie szale stanęły na równi. Skazówka nie posuwała się ani na lewo, ani na prawo. Ciężary były jednakowe.

Bogacz własnym oczom nie wierzył.

Wtedy Archanioł Michał rzekł uroczyście:

— Widzisz, Mikołaju Nerli, że się nie nadajesz ani do nieba, ani do piekła. Idź zatym, wracaj do Florencji. Rozmnażaj w swym mieście ten chleb czarny, jaki rozdałeś własną ręką, ale w nocy, aby cię nikt nie widział. W ten sposób tylko zasłużysz na zbawienie. Albowiem nie dość, że niebiosa otwierają się łotrowi, który za grzechy żałuje, i jawnogrzesznicy, która płacze. Miłosierdzie Boże nie ma granic — zbawi nawet i bogacza! Bądź ty jednym z takich! Rozdawaj chleb, który tak zaciężył na szali twych dobrych uczynków. Idź!

Mikołaj Nerli powrócił na ziemię i obudził się we własnym łóżku. Odtąd postanowił pełnić przykazanie archanielskie i szczodrą ręką rozdawać chleb ubogim, aby zasłużyć na królestwo niebieskie.

W ciągu lat trzech, jakie jeszcze przeżył na ziemi po pierwszej swej śmierci, był miłosierny dla nieszczęśliwych i hojne dawał nędzarzom ofiary.

---

43. Sabałowa bajka.

Siedliśmy wokół ogniska, wsłuchani w tę ciszę tatrzańską, która aż w uszach dzwoni. Zbliżała się już i godzina spoczynku, gdy nagle Sabała podniósł swą twarz pomarszczoną, chwilę popatrzył szklanemi oczyma w ogień i tak zaczął opowiadać:

— Proszę pięknie waszych miłości: raz szedł chłop ze świdrem i rąbanicą [1]) do Nowego Targu na siacie [2]). Jakoś za Poroninem stowarzyszyła się z nim stara baba. Chłop, że był mądry gazda, poznał Śmierć i zaraz myśli, jako się jej pozbyć. Wziął wreszcie wiercić dziurę do wierzby, wiercił, póki nie wywiercił, a potym w nią zagląda.

— Czego patrzysz?—pyta Śmierć.

— Chcesz uznać, to sama zajrzyj.

Zajrzała Śmierć do dziury, nie widzi nic; a przez ten czas ociosał chłop rąbanicą bukowy kołek.

— Nie widzę nic—powiada Śmierć.

— Wleź całkiem, to zobaczysz.

Ledwie Śmierć wlazła całkiem, zatkał ci ją chłop bukowym kołkiem, przybił kołek obuchem i poszedł.

Aż tu rok po roku idzie, chłop żyje i żyje; ludziska przestali umierać, zajaziło[3]) się od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Chochołowie, wszędzie, że człek koło człeka stał, jako smreki stoją w borze. Chłopisko się zestarzało, bieda poczyna go gnieść, robić już nie mógł. Naprzykrzyło mu się w ostatku żyć, poszedł i odetkał Śmierć z wierzby.

Jak Śmierć skoczy, jak weźmie kosić w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chochołowie: to tyle ludzi wymarło, że i chować gdzie nie było. Przychodzi wreszcie Śmierć do pewnej gaździny wdowy — siedmioro sierot u niej—i bierze ją. A tu dzieci jak nie zaczną lamentować:

— Nie bierz matki, nie bierz matki!

Zlitowała się Śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powiada:

— Panie Boże, jakże mnie matkę brać, kiedy dzieci tak proszą, tak lamentują, aże mi się luto [4]) stało.

A Pan Bóg powiada tak:

— Ja w tych rzeczach nie gazda, [5]) jeno Pan Jezus gazda. Idźże do Pana Jezusa, niech ci ta powie, jako ma być.

Przychodzi Śmierć do Pana Jezusa i powiada:

— Panie Jezu, jakże mnie gaździnę brać? Siedmioro sierot w chałupie, tak proszą, tak lamentują, aże mi się luto stało.

A Pan Jezus:

— Chybaj do morza, przynieś skałkę!

Skoczyła Śmierć do morza na samusieńkie dno, przyniosła skałkę, okrąglutką, jako bochenek chleba, a Pan Jezus do niej:

— Gryź!

Gryzie Śmierć, gryzie, zębiska ją bolą; zgryzła wreszcie całusieńką skałkę i patrzy, aż w środku robaczek maluśki siedzi.

A Pan Jezus:

— Widzisz—powiada—to ja i o tym maluśkim robaczku na dnie morza wiem i pamiętam, a ty myślisz, że ja o sierotach nie będę pamiętał?

H. Sienkiewicz.

---

[1]) rąbanica—siekiera, [2]) siacie- sianie zboża, [3]) zajazić się- zagęścić się, [4]) luto—żal, [5]) gazda—gospodarz.

44. Jodła.

(Z BAŚNI LUDOWYCH).

Na wiosnę i w lecie, kiedy natura budzi się z długotrwałego uśpienia, las cały drży dziwnym życiem, liście na drzewach szepczą tajemniczo i opowiadają jedne drugim długie sny, ożywcze swoje rojenia, a w poufnej tej gawędce nagina się zlekka ku białej brzozie dąb poważny, wiąz powierza swe myśli smukłej grabinie, a niespokojna i ruchliwa zawsze osiczyna, nie mając obok siebie sympatyczniejszego sąsiada, gwarzy sama ze sobą bez chwili spoczynku.

Życiem tchnie cały obszar lasu, a tylko jedno drzewo, jakby nie podzielało radości—stoi nieme, ciche, mówić nie chce, i poważną swą szatą dziwnie smutno odbija na tle gwarnego lasu. Ciemna wśród jasnej zieleni, oniemiała wśród ruchu i gwaru, stoi jodła, o zaostrzonych drobnych iglicach. Ptaki w leśnej swej podróży nie zbliżają się nawet do niej; szczęśliwi szczęścia szukają, więc i skrzydlata rzesza śpiewaków leśnych woli się ukryć wśród tych drzew, gdzie słychać przeciągłe szepty, drgań tysiące, a życie bije z każdego listka, z każdego oddechu. Nawet pszczółka, nawet motyle, chrząszcze i barwne świtezianki omijają to ciche i poważne drzewo. W świeży więc dzień wiosenny, jak i w skwarne lato, a nawet i w jesieni stoi wyniosła jodła samotnie, a ciemna jej żałobna szata dziwnie ponure czyni wrażenie. Może dla tego jest tak milcząca i smutna, że żal jej drzew tych jasnych, zielonych, które na jesieni śmierć czeka, a wtedy natura odziera je z ich barwnych szat i blaski tęczowe złotego słonka nie rzucają już ułudnych świateł na ich postacie. W zimie las stoi ogołocony, milczący i jakby wymarły. Otulona lodowym płaszczem królowa zima, wszechwładna śniegu władczyni, chodzi po świecie, a gdzie nogą tylko stąpnie, rzuca na świat martwotę.

Wtedy w całej naturze pusto i posępnie. Mroźne wichry zdzierają nocą resztki osłabłych listków, a zima hojnie dłonią swą rzuca po całej ziemi kształtne płaty białego śniegu. Na jedno spojrzenie tej lodowej pani zamiera pulsujące jeszcze dokoła życie, wszystko drży pod jej tchnieniem. Jedna tylko nieustraszona spogląda na nią jodła uśmiechnięta, pogodna w strojnej zielonej

szacie, stoi wyniosła i dumna wpośród odartej z krasy leśnej dziatwy. Wszechpotężna zima nie ma nad nią swej mocy, gdyż Bóg litościwy, który najdrobniejszemu stworzeniu udziela chwilę szczęścia, o smutnej i poważnej jodle także nie zapomniał. Raz do roku za cierpliwość i za spokój wynagradza ją najświetniejszą nagrodą, pełną czarów, bardziej uroczą nawet niż życie i rojenia wiosenne, cudniejszą niż promienne blaski letniego słonka.

W noc wigilijną, w noc tę pełną uroczych tajemnic — na ziemię zstępują niebiańscy gońce w postaci srebrnopiórych aniołów; jeden z nich płynie do cichej jodły i zdobi ją w wieńce gwiaździstych szarotek.

O północy słychać wówczas w lesie pieśń dziwnie uroczą, potężną, a pełną tajemnic: to gałązki niemej jodły tak śpiewają i dźwięczą. Tony pieśni tej płyną w najdalszą głąb leśną, przenikają głuchą ciszę tak, iż ptaki zbudzone wabiącym drżeniem, w odurzeniu sennym, w zachwycie podnoszą skrzydła i dążą do czarownej pieśni. Chrząszcze odrętwiałe, uśpione robaczki, muszki, a nawet motyle barwne, ukryte gdzieś w głębi pod mchu ciepłą pokrywą, wszystko to budzi się zwolna, sen ciężki, zimowy, z lekkich otrząsa skrzydeł i bieży tam, gdzie słychać ton ów przedziwny. Nawet i te z biednych ptasząt, które w ciasne wtrącono więzienia, mieszkańcy klatek złocistych, dusznych i ciasnych—i one odczuwają dźwięki radosne jodły, w niemej skardze, w zbolałej tęsknocie podnoszą skrzydełka i ranią je o nielitościwe zimne kraty swego więzienia. Błędne ogniki, zwabione tajemną uroczystością w naturze, wypływają też z ciemnych swych pieczar i wokoło jodły bohaterki zawodzą taniec szalony; od świateł ich tysiąca jodła płonie cała w blaskach różanych, opromieniona, barwna, śpiewa, dźwięczy radosną pieśń szczęścia, pieśń Chrystusowi. Śnieg drga w połyskach, jak łzy w niemej radości, błędne ognie suną się długim wężem i wciąż nowe zawodzą tany. Ruchliwe leśne ptactwo śpiewające, jak i poważne kruki i gderliwe wrony i kawki, zwykle zwinne i żwawe, wzrok teraz mają przyćmiony, słuchają—i niemym rozmyślaniem święcą ucztę zaczarowaną i marzą o słońcu, o wonnych kwiatach i o srebrnej rosie.

Wtym drgnęła jodła i z gałązek jej tęczowych opadły gwiaździste białe kwiaty szarotek. Kwiaty te rozsypały się, kształty się ich zmieniły i z białych gwiazd

kwiecistych na mchowym kobiercu ukazały się rozliczne nasiona, niby przygotowana umyślnie uczta dla skrzydlatej rzeszy. Do zielonej jodły cisnąć się zaczęły zgłodniałe ptaszęta i zbierać ziarna w pośpiechu. Krzykiem, gwarem, świergotem dziękowały jodle za sutą ucztę, a wszystko, zda się, wokoło cieszyło się radosnemu świętu jodły zielonej. Te tylko z drzew okolicznych, które odarte były z liści i niby szkielety świeciły nagością swoją, wstrząsał dreszcz tajemny, a z gałęzi ich suchych opadać zaczęły krople duże, świecące:—były to łzy żalu, a może łzy zazdrości. Sosna wysoka i świerk poważny w noc wigilijną dzielą także radość iglastej swej siostrzycy i z nią razem zawodzą pieśń radosną, pieśń kolędową małemu Jezusowi.

Ignacja Piątkowska.

---

45. Sobótka.

Najnowsze badania wyjaśniły nam początek nazwy „Sobótki”. Biskup Poznański Laskarz w wieku XIV statutem swoim zakazuje tańców nocnych w wigilję uroczystości, przypadających w lecie, a zatym przed świętem Jana Chrzciciela, oraz Piotra i Pawła. Z zabaw tego rodzaju najwspanialszą być musiała „Sobótka” w okresie wyłącznie świątecznym, t. j. na Zielone Świątki. Kaznodzieja Krakowski Jan ze Słupca powiada, że tańczą podczas Świątek w lecie niewiasty, śpiewając pieśń pogańską. Stwierdza ten obyczaj, jako jeszcze pogański, statut synodu krakowskiego z r. 1408. Na Sobótkę, którą zawsze obchodzono wieczorem w sobotę przed jednym ze świąt letnich, zbierali się jeszcze w wieku XVI wszyscy, zarówno kmiecie z wioski, jak drużyna i szlachta ze dworu, do ognia rozniec概onego na pagórku za wioską. Ta łączność obyczajowa i charakter obrzędu gromadzkiego przebija się jeszcze w pieśni Jana Kochanowskiego o sobótkach w Czarnym lesie:

Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniowi.

W pieśni sobótkowej mazowieckiej słyszymy: „Tam dziewczęta się schodziły"; w pieśni znowu ludu podkarpackiego:

Kto na Sobótce nie będzie,
Główka go boleć wciąż będzie.

Ponieważ Sobótka jest niewątpliwie starodawną uroczystością czci słońca, które jako źródło życiodajnego ciepła i światła od wszystkich dawnych ludów cześć odbierało, palenie więc stosów i igrzyska gromadne przy nich obchodzili Polacy w noc najkrótszą z całego roku, t. j. w przesilenie dnia z nocą. Oczywiście, po zaprowadzeniu kalendarza chrześcijańskiego, zwyczaj starożytny musiał przystosować się na początku lata do świąt i Świętych wiary chrześcijańskiej. W jednych więc miastach obchodzono go na Zielone Świątki, gdzieindziej w przeddzień św. Jana Chrzciciela.

I tak przez wiele wieków to widzimy. W r. 1468 np. król Kazimierz Jagiellończyk, na żądanie opata benedyktyńskiego klasztoru świętokrzyskiego, zakazuje pogańskich uroczystości (Sobótek), na Łysej górze w Zielone Świątki odprawianych. Tymczasem o kilka mil, w Czarnymlesie, Sobótkę obchodzono około św. Jana, jak o tym wyraźnie zaświadcza Kochanowski, który utworowi swemu nadał tytuł „Pieśń świętojańska o Sobótce" i zwyczaj ten uważa za odwieczny. „Sobótkę, jako czas niesie, zapalono w Czarnymlesie". A dalej mówi znowu, nie widząc nic gorszącego w zwyczaju, który bynajmniej wiary chrześcijańskiej nie obrażał:

Tak to matki nam podały,
Same znowu z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana
Zawżdy Sobótka palana.

Nazwa Sobótki nie była powszeczną w Polsce. Lud np. mazowiecki i podlaski, nad Narwią i Bugiem zamieszkały, obrzęd ten znał tylko pod mianem, „Kupalnocki". U Mazurów nadnarwiańskich w wigilję św. Jana, po zachodzie słońca, gospodynie i dziewczęta, zebrane na łące nad strumieniem, rozpaliwszy „kupalnockę" patrzyły, czy się wszystkie zebrały, gdyby której nie było, to uważano ją za czarownicę. Następnie biesiadowały, tańczyły przed ogniem i z każdego gatunku przyniesionych ziół rzucały po gałązce w ogień, wierząc, że

dym z tych ziół zabezpieczy je od złego; resztę zabierały do domów, aby pozatykać w strzechy chat, obór i stodół. Około północy, mocniejszy rozniecIwszy ogień, pozostałe napoje weń wlewały, a jedna z dziewcząt, wieniec uwity z bylicy i innych ziół, rzucała na wodę strumienia, przyczym wszystkie zawodziły prześliczną starodawną pieśń:

Oj czego płaczesz, moja dziewczyno?
Ach, cóż ci za niedola? i t. d.

Sobótka na Rusi zowie się Kupałą, a liczne ślady tego obrzędu z Wołynia, Ukrainy, Litwy i Białejrusi opisali nasi zbieracze rzeczy ludowych: Marcinkowski, Stecki, Eust. Tyszkiewicz i wielu innych, jak z ludu polskiego uczynili to: Kolberg, Gregorowicz, Gloger i t. d. Seweryn Goszczyński osnuł cały poemat na tle Sobótki karpackiej, a Wincenty Pol w „Pieśni o domu naszym" opiewa „Wielkie wianków święto". Piotr Chmielowski podał w Tyg. Ilustr. (r. 1875, t. XV) obszerną rozprawę p. n. „Sobótka — zestawienie dwuch wieków i dwuch indywidualności". Każdy naród, który chce życie własne rozwijać, ma obowiązek w swoich zabawach, rozrywkach i widowiskach podnosić i odtwarzać obrazy obyczajowe ze swej przeszłości i zachowywać piękne zwyczaje ojczyste, do których należy u nas i Sobótka.

z Encyklopedji Staropolskiej.

---

46. Roraty.

Od początkowych słów: Rorate coeli—nieba, spuśćcie rosę, zowie się msza, która w Polsce od niepamiętnych czasów przez cały adwent śpiewa się na cześć N. M. Panny. Msza ta ma miejsce przed świtem, symbolizując, iż ziemia cała pozostawała w ciemnościach błędu, gdy Jezus, światło świata, miał przyjść. W tej też myśli, do sześciu świec woskowych dodaje się siódma w pośrodku, nad inne wyższa, symbolizująca Najświętszą Pannę, która jako jutrzenka poprzedziła światło sprawiedliwości, Chrystusa.

Lud w Polsce zawsze się na roraty licznie groma-

dził, tym miłość swą dla N. M. Panny okazując. Królowie polscy okazywali szczególną pamięć dla tego nabożeństwa, łożąc koszta na śpiew i duchownych. W Krakowie założono na to kolegjum Rorantystów. W djecezjach: płockiej, warszawskiej, włocławskiej, kieleckiej, sandomierskiej, lubelskiej, sejneńskiej, żmudzkiej i żytomierskiej, śpiewają się roraty codziennie podczas adwentu, nawet w wigilję Bożego Narodzenia. W djecezjach mohilowskiej i wileńskiej ostatni ten dzień wyjmuje się. W krakowskiej, poznańskiej i gnieźnieńskiej nie śpiewa się ich tylko w pierwszą niedzielę adwentu i w wigilję Bożego Narodzenia. W książce pod tytułem: „Ozdoba kościoła katolickiego", napisanej w roku 1739 w rozdziale „O siedmiu roratnicach" (świecach) znajdujemy wiadomość, że „osobliwie i prawie tylko w Polsce używają tej ceremonji, którą zaczął w Poznaniu Przemysław Pobożny a przyjął (w Krakowie) Bolesław Wstydliwy, którzy, uważając, że na Sąd Boski trzeba się stawić z wiarą, świecącą dobremi uczynkami, wraz z siedmiu stanami, gotowość swoją na Sąd Pański oświadczyli tym sposobem." Przystępował do ołtarza najprzód król i na najwyższym lichtarzu siedmioramiennego świecznika stawiał zapaloną świecę mówiąc: „Gotowy jestem na Sąd Boski." Drugą imieniem duchowieństwa na lichtarz poboczny wstawiał biskup, mówiąc: Paratus sum ad Adwentum Domini. Trzecią stawiał senator, czwartą ziemianin, piątą rycerz, szóstą mieszczanin, siódmą oracz.

Wyznanie gotowości do sądu ostatecznego czynione jest z powodu, że z narodzinami Chrystusa łączy się w adwencie zapowiedź Jego drugiego przyjścia w dzień Sądu. Uroczystemu i tak upodobanemu w Polsce od doby Piastów nabożeństwu Ludwik Kondratowicz (Syrokomla) poświęcił wiersz p. n. „Staropolskie roraty:"

Od Bolesława, Łokietka, Leszka,
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed mszą roraty,
Siedmio-ramienny lichtarz bogaty.
A stany państwa szły do ołtarza,
I każdy jedną świecę rozżarza:
Król—który berłem potężnym włada,
Prymas—najpierwsza senatu rada,
Senator świecki—opiekun prawa,
Szlachcic,—co królów Polsce nadawa,
Żołnierz—co broni swoich współbraci,
Kupiec—co handlem ziomków bogaci,

Chłopek—co z pola, ze krwi i roli
Dla reszty braci chleb ich mozoli,
Każdy na świeczkę grosz swój przyłoży,
I każdy gotów iść na Sąd Boży.
. . . .
Tak siedem stanów z ziemicy całej,
Siedmiu płomieńmi jasno gorzały,
Siedem modlitew treści odmiennej
Wyrażał lichtarz siedmioramienny.

z Encyklopedji Staropolskiej.

---

47. Szopka.

„... Była więc osóbka Pana Jezusa, a na boku Marja i Józef, stojący przy kolebce, w postaci nachylonej, afekt kochania i podziwienia wyrażającej. W górze szopki, pod dachem i nad dachem, aniołowie, unoszący się na skrzydłach, jakoby śpiewający „Gloria in excelsis Deo.“ W niejakiej odległości jednego od drugiego, pasterze padający na kolana przed narodzoną Dzieciną, ofiarujący mu dary swoje, ten baranka, ów kózkę; dalej za szopą po obu stronach pastuszkowie, wieśniacy, jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy śpieszący, dźwigając na ramionach barany, kozły, między któremi osóbki rozmaity stan ludzkości i ich zabawy wyrażają: panów w karetach jadących, szlachtę i mieszczan pieszo idących, chłopów na targ wiozących drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, przedających chleby, niewiasty dojące krowy, Żydów różne towary do sprzedania na ręku trzymających, i tym podobne akcje ludzkie.“

Taką to szopkę widział i opisał nam ks. Jędrzej Kitowicz, z czasów Augusta III Sasa. Dzisiaj cywilizacja zepsuła nam już szopkę. Z kościołów przeniosła się ona do żaków, którzy przystroiwszy się cudacko i zbudowawszy sobie piękne teatrum, przyozdobione jaskrawym papierem kolorowym, pokazywali ludziom różne dziwowiska. A czasem lalki wypchane zastępowali zgoła ludzie żywi, owi żacy, co tym sposobem zarabiali sobie na chleb, którego niezawsze mieli pod dostatkiem.

Wówczas występował jeden z pomiędzy nich, najpokaźniejszy, i zaczynał od oracji, zastosowanej do dnia

świątecznego, w której jednak czasem pogański Olimp mieszał się z Nazaretem, Betleemem, bo na wstępie trzeba było wypalić pochwałę gospodarza, wielkich jego koligacji i splendoru domu całego; a jakże tu się obejść bez Muz i Apolla, a nawet piorunogrzmotnego Jowisza? Potym, delikatnym przejściem, występowała akcja szopkowa i przy odgłosie hucznych kolęd zaczynało się widowisko. Żacy sami grali w nim role, a szło to jakoś składnie i dobrze, nie brak im bowiem było wprawy; wszak tyle razy jedno i to samo zmuszeni byli powtarzać.

Więc po skończonym przedstawieniu znalazł się i miodek, i orzechy, i jabłka i mięsiwa co niebądź, a i do kalety napływało trochę groszy, i żacy wychodzili w dalszą podróż, wspomożeni, posileni i weseli.

W dziedzictwie po żakach wzięli szopkę chłopcy uliczni, którzy nawet po części i nazwanie żaków po tamtych zabrali w spuściźnie. Rzadko jednak występowali oni sami z perorą i rolą, a pokazywali tylko jasełka z lalkami. Wszakże i tu była czasem na placu oracja, ale innego już zupełnie kształtu i treści, niebardzo ozdobna, ani nawet sensowna; chętnie jednak przyjmowano w dom tych gości, którzy zwłaszcza u dziatwy mieli łaski.

Bo co też to oni nie umieli kolęd i śpiewek różnych, których teraz ani części nikt nie pamięta! Zebrane były wprawdzie owe kolędy w starym wydaniu kantyczek, ale większa część śpiewek szopkowych zaginęła już z kretesem. Przekręcali je chłopcy jak umieli, zmieniając często i stosując do okoliczności, zawsze jednak szło to składnie, mieli bowiem swoich poetów, którzy im czasem całe sceny komponowali i układali.

Czasem nawet obyło się bez szopki, a wprost tylko była papierowa gwiazda obracająca się, ze światłem w środku; ale śpiewki starczyły za lalki i wszelkie inne szopkowe ozdoby, i było co słuchać, choćby przez godzinę całą. Duch ludowy wiał tam z każdej strofki, z każdego wyrazu.

Dzisiaj zmieniły się rzeczy: tych kompozytorów szopkowych nie stało już, nie wiedzieć gdzie się podzieli, dość, że przepadli jak kamień w wodę. Jeszcze tam po wsiach zachowują się w części dawne tradycje, ale w miastach szopka zupełnie inny przybrała pozór. Szczególniej w Warszawie ani już poznasz dawne widowiska. Obnosiciele szopki porobili sobie jakieś teatrzyki z kur-

tynami, ze zmianą dekoracji i maszynerją. Czasem nawet muzykę wodzą z sobą, bez której obywało się dawniej. Po prześpiewaniu jednej albo dwu kolęd, które jeszcze dawnym idą trybem, podnosi się kurtyna i ukazują się oczom widzów sceny, parodjowane wprost z Teatru Rozmaitości, albo wzięte z pierwszej lepszej książki, która wpadła w ręce właścicielom szopki. Jakiś zbójca z panną, która go się prosi o życie, jakieś wesele krakowskie i biedny rybak z dobrze znanemi śpiewkami, które niegdyś po całej Warszawie obiegały, i druciarz, który śpiewa piosnkę wyjętą z Noworocznika pani K**, i Bóg wie co jeszcze. A za każdą nową sceną kurtyna zapada i dzwonek donosi o zmianie dekoracji. Tylko niema dawnych śpiewek i owych wszystkich narodów, począwszy od pasterzy ze swoją trzodą, aż do kusego Węgra z olejkami i sławną pomadą, którzy przychodzili się pokłonić Panu Jezusowi. Król Herod pozostał także, ale przywdział na siebie strój z króla czerwiennego kopjowany. Jego marszałek dworu występuje ze złotym puklerzem i dzidą; śmierć wprawdzie przychodzi po staremu ścinać głowę, ale za to djabeł nie wyłazi, jak dawniej, z pod ziemi, ale spuszcza się z sufitu, by porwać swoją ofiarę i unosi Heroda w powietrze, przyczym kurtyna zapada.

Jeden tylko obraz pozostał z dawnej przeszłości, chociaż i ten uległ już zmianie niejakiej. Dawniej wychodził dziad z torbą, prosty dziad, podobny do tych, którzy niegdyś siadali przy kościołach. Dziad ten miewał na pogotowiu zapas różnych piosnek, które także już po części zaginęły: jeżeli datek rzucony w torbę wydawał mu się zbyt szczupłym, potrząsał rękami i brodą, a poczynał nową piosnkę, aż dopóki nie przydano mu kilka groszy. Dziad dawny pozostał wprawdzie u niektórych stronników starego systematu, których bardzo niewielu jawi się po mieście, i zaledwie po ubocznych odważają się pokazywać ulicach, tak silny wywarło na nich nacisk owo współzawodnictwo dekoracyjne i muzyczne; ale w szopkach ucywilizowanych, dziada zastąpił ksiądz kwestarz, i chociaż on zawsze śpiewa piosnkę dziadowską, strzeże się jednak dawnych głupstw, które nie przystoją artystom, co brali piosnki z teatru, przybór dekoracyjny od malarza pokojowego, a figurki i kostjumy do nich z handlów norymberskich.

Nie wiem, czy tam paupry krakowskie, których podobno plemię zastąpione już prawie zostało zwyczajne-

mi wielkomiejskiemi ulicznikami, nie wiem, czy te historyczne paupry zachowały dawne zwyczaje szopkowe i tradycje starych piosnek, ale u nas już ta tradycja zagasła prawie do szczętu. Znaleźli się poeci, którzy chcieli dla szopki i szopkarzy osobne libretto napisać, a potym rozpowszechnić je pomiędzy niemi. Teofil Lenartowicz napisał nawet poemacik pod tytułem „Szopka,“ chociaż mniej on udatny od innych utworów tego ludowego poety. Świeżo Marja Konopnicka napisała bardzo udatną „Szopkę,“ do której muzykę skomponował Piotr Maszyński. Ale trudne to, bardzo trudne zadanie. Lud najlepszym jest sędzią w rzeczach, które go bliżej obchodzą, a niełatwy on w wyborze i rzadko co przyjmie i uzna za swoje. Zdaje się, że najlepiejby było zebrać szczątki z dawnych, prawdziwych piosnek szopkowych, które jeszcze do nas przetrwały, i ułożyć je w jedną całość. Ale któż tego dokona? Któż oczyści to wszystko z tych napływowych elukubracji, które, jak warstwa popiołów, ciągle jedna nad drugą pokrywały rok rocznie biedne to jasełkowe Herkulanum? W tych dawnych kolędach i jasełkach, jak we wszystkich tego rodzaju utworach ludowych, widne były dzieje biednego ludowego życia. Jak to te Jontki, Bartki, Maćki i Kuby filozofują tam z sobą i witają Dzieciątko nowonarodzone, aż miło czasem posłuchać. Szczere serca, szczere dusze.

Ale znają oni swoje wady, jak naprzykład ów Kuba, który przyszedszy do stajenki:

Dobył tak pięknego głosu baraniego,
Aż się Józef stary przestraszył od niego...
... Więc rzecze mu Józef: Nie śpiewaj tak pięknie,
Bo się Dzieciątko twego śpiewu zlęknie...

Ale nic to, Kuba śpiewać umie zato różne prześliczne piosneczki, choć czasem za huczne; kiedy się nam tak dobra nowina stała i wszyscy idą Pana powitać, poczciwy Kuba chociaż śpiewem uraczy Dzieciątko Boże. A że mu się śpiew nie udał, no... to trudno, czym chata bogata tym rada. Inni przynieśli barany i zboże, i zgoła nawet chleb już i kołacz gotowy, i różny dobytek, a zawsze z muzyką. Jak tam im ona idzie, to idzie. Przekora Tomek złoił skrzypki Bartkowi, jakże miały grać? Ale dobra chęć była zawsze.

Pomówmy też co i o samym przedstawieniu. Jakżeż tam wybitnie występują i jaskrawo malują się różne stany społeczeństwa, różne przywary i cnoty!...

Tak np. chłopaki wstają i swarzą się; pewnikiem kije i pięście będą niedługo w robocie; zwykle polska natura, trudno zgodzić się na jedno, choćby w najuroczystszej chwili. Ale jak się pobili, tak się i godzą zaraz, bo to dobre i uczciwe serca; więc się całują, i płaczą, i przepraszają wzajem.

Będzie potym wielka hulanka.

Zabił Maciek wieprzka, a my o tym wiemy;
Nie pójdziemy nigdzie, aż kiełbaskę zjemy,
Kiełbaska na rożnie, śpiewajmy pobożnie:
Hej kolęda, kolęda!

Będą więc pożywali dar Boży, ale i pieśni pobożne będą śpiewali przytym; bo to nie sztuka zjeść, trzebaż za to dobro i Panu Bogu podziękować. Ale cóż tam ludzie, nie dziwić się ludziom, co mają rozum, ale tutaj i nieme bydlęta przeczuwają jakieś wielkie szczęście dla siebie. Ot naprzykład uczy nas o tym króciuchna piosnka o kozie:

Tańcujże, kozo, tańcuj, niebogo,
A da ci nasz pan półtora złotego,
A da ci nasz pan czerwony złoty,
I będziesz miała, kozo, na buty.

I słusznie, wszak to zima, śnieg wszędzie zaległ pola, więc nawet i biednej kozie nogi muszą marznąć.

Nie skończylibyśmy, gdybyśmy chcieli tu z kolei przechodzić wszystkie fazy jasełkowe. Więc lepiej odrazu przystąpmy do króla Heroda, bo to uwieńczenie dramatu, to jego sens moralny. Król Herod to nasza „danse macabre,'' znany taniec śmierci średniowiecznej, zawsze jeden i tenże sam wynik, historja dobrze znana. Nie lada to był mocarz, „miał on cały świat z gwiazdami pod swojemi nogami;“ więc się nie lękał niczego, krom owego Dziecięcia, co to miało się na lichym sianie w żłobie narodzić. Miał on jednak sposób i na to:—„Wołać tu mi marszałka!“ Przychodzi marszałek.—„Niech mi będzie wszystko wysiekane, wyrąbane, żadnego pardonu nie dawać.“ I w mgnieniu oka spełniony rozkaz.

Ale Herodowi coś źle na sercu, nieborak poczuwa biedę swoją. Więc mu się na łzy zbiera, a tymczasem słyszy śpiew:

Dziś dzień, Herodzie, dziś dzień bogaczu.
Dziś dzień wesela, ale nie płaczu.

Jak słońce świeci w srebrzystym kole,
Tak ty zlicz swoje troski i bole.

Tak, zaprawdę, istny to dzień wesela; ale nie tobie radować się, Herodzie! Ot patrzaj, przychodzi do ciebie śmierć, owa imość jasnokoścista. Napróżno będziesz jej ofiarował i skarby twoje, i władzę, nawet złotą koronę i djamentowe berło, ona tylko głowy twojej pożąda. I padł Herod, ów mocarz sławny, co to rozkazywał wszystkim ludziom świata, a djabeł przychodzi po jego duszę, jako po swoją własność, oszczędzając marszałka, bo ten nic nie winien, wszak on tylko rozkazy wypełniał. A kiedy djabeł ów „zrodzony z ojca kruka, z matki wrony“ zabrał już tę czarną herodową duszę i ulokował ją na dobre w piekle, wraca znów na scenę, i śmieje się, i tańczy, i hula po swojemu.

A czy wieta, ludzie, czego ja się śmieję?
Bo mi się na świecie teraz dobrze dzieje.

Zapewne, coć za krzywda djabłu? Alboż to mało teraz ludzi, którzy mu się zaprzedali i służbę mu pokorną czynią? Przyjdzie jednak i na niego kres, i zgadnijcie, kto go zwalczy i odeśle napowrót do piekła? Oto poprostu baba.

Skończyło się wszystko, i tylko wychodzi dziad chudzina.

Stary dziadek brodą chwieje,
Bo mu zimno przy kościele,
Żeby państwo dobrzy byli,
W kościele piec postawili.

Piec w kościele postawić trudno, ale któżby chciał być tak nieczuły i żałować kilku groszy na zakąskę i rozgrzanie się biednemu dziadzinie, który się za nas wszystkich modli, a przebył ciężkie próby życia i tylko teraz o chwale Bożej myśli?...

z Encyklopedji Staropolskiej.

---

48. Święcone.

Uroczyście naród polski obchodził Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki, ale najuroczyściej Wielkanoc. W Wielką Sobotę kapłan poświęcał wyczekiwa-

ną po długim i surowym poście obfitą mięsną zastawę świąteczną. Gdy przybył do dworu wiejskiego, cała wieś znosiła święcone w kobiałkach podesłanych białemi ręcznikami i ustawiała w półkole na ziemi, w pośrodku zaś ceber z wodą. Kapłan poświęcał wodę i jadło, które odtąd przybierało nazwę „święconego.“ Wodę rozbierano do wszystkich domów we flaszki, a resztę wylewano do studni. Potym kapłan święcił we dworze święcone gospodarza.

W dawnych czasach, po rezurekcji, o północy, dzielono się jajkiem, dziś rozpoczynają od tego jadło zimne w dniu świątecznym. W dniu tym przy stole spotkawszy się, najzawziętsi nieprzyjaciele podawali sobie dłonie na znak pojednania i przebaczali sobie nawzajem. Łukasz Gołębiowski pisze w 3-cim lat dziesiątku XIX wieku: „Uginają się i teraz stoły pod ciężarem szynek, mięsiw, jaj, kiełbas, placków, mazurków. Rzadko już gdzie dają się widzieć starożytne kołacze, obertuchy, jajeczniki. Jakaż radość, kiedy się udały ciasta, w przeciwnym razie smutek. Są ciasta parzone, baby petynetowe, dla równości dziurek tak nazwane. Po miastach bogatsi zastawiają ciasta cukiernicze, ozdobione lukrowaniem, baby migdałowe, z razowego chleba, z ciasta białego, różowego lub ciemnego, torty królewskie i t. p. Najokazalsze w Warszawie bywa święcone u pp. Zamoyskich, u namiestnika, prezydenta miasta, marszałka dworu; wszędzie staropolskiej gościnności są miłą pamiątką i oznaką.“

Gdy za wojen napoleońskich wojownicy polscy w Hiszpanji na Wielkanoc święcone zastawili, aby przypomnić sobie ukochaną rodzinę i ziemię ojczystą, księża hiszpańcy mieli trudność w znalezieniu odpowiedniej modlitwy do poświęcenia, a lud zaproszony do dzielenia się jajkiem, podziwiał pobożność i gościnność Polaków.

Na Rusi Czerwonej—powiada Wójcicki—gospodynie wysadzają się, aby baby wyrastały jak najwyżej i odznaczały się lekkością. Ani Wójcicki ani Gołębiowski nie wspominają, że ciasta wielkanocne od wieków nie mogły się obejść bez szafranu, który nietylko nadawał im żółtą barwę, ale—jak utrzymywano — i rozweselał; a były to święta zawsze wesołe, bo zbierała się na nie do ognisk domowych bliższa i dalsza rodzina, a zwłaszcza ci, którzy własnych domów i ognisk nie mieli, gościnnie i serdecznie byli przez bogatszych krewnych przyjmowani. Wśród pięknych minjatur, ozdabiających Pontyfikał Erazma Ciołka z pierwszych lat XVI w.,

znajdujemy ceremonję święcenia jadła, złożonego z pieczonych prosiąt i strucli. Kropidło, talerz z wodą — wszystko jakby dzisiaj, choć obraz zaczyna piąty wiek swej starości.

z Encyklopedji Staropolskiej.

---

49. Rękawka.

Rękawka, zwyczaj krakowski. Corocznie w dniu trzecim świąt wielkanocnych, po południu, śpieszą gromadnie mieszkańcy Krakowa na Wisłę, na wzgórze, zwane Krzemionkami, przy potężnej mogile Krakusa, i tłumowi biednych chłopców, czepiających się pochyłości, rzucają z wyżyny bułki, chleb, pierniki, jabłka, orzechy i jaja wielkanocne. Dawniej zwyczaj ten wyglądał inaczej, gdyż ubodzy schodzili się pod górę lub mogiłę Krakusa, a mieszczanie rozdawali im obfite resztki święconego. Chleb był zawsze w takim poszanowaniu u Polaków, że nawet jego okruchy, upuszczone na ziemię, przy podniesieniu, na znak przeproszenia, całowano. Zwyczaj zatym ciskania chleba między chłopców powstał dla krotochwili w czasach, gdy już zanikała religijna cześć daru bożego. Rękawka jest pamiątką starożytnej polsko-słowiańskiej stypy pogrzebowej, czyli ugoszczenia ludu, zebranego na obrzęd pogrzebowy Krakusa i dla usypania mu owej potężnej mogiły. Sypano ją rękami, a Rękawka oznacza górę z ziemi, rękami usypaną. Powiadają starzy latopisowie, że kto był za życia kochany i zostawił tyle dostatków, że rodzina jego mogła podejmować liczną rzeszę na pogrzebie, temu usypano o tyle większą mogiłę. Na wiosnę, w chwilach obudzenia się przyrody ze snu zimowego, obchodziły dawne ludy „Zaduszki“, wynosząc na mogiły pokarmy dla biednych, przez pamięć i cześć dla zmarłych, przyczym zapewne podejmowani musieli naprawiać kopiec ziemny, gdyż woda z topniejących śniegów świeże nasypy ziemne mocno uszkadza, zanim latami nie utrwalą się. Po przyjęciu chrześcijaństwa wiosenne stypy mogilne przeniesiono powszechnie na dzień zaduszny w jesieni, a tylko w jednym Krakowie, przez cześć i pamięć dla jego

założyciela, piękny zwyczaj praojców oparł się powodzi kilkunastu wieków i dochował w postaci rozdawania święconego ubogim, przy grobie miłego wodza. I bogdajby nie poszedł w zapomnienie u tych, którzy w słowach podnoszą wysoko sztandar tradycji, a w czynie i życiu domowym zapierają się bogatej mowy i obyczaju praojców. Tradycja usypania mogiły Krakusowi zachowuje się od wieków ta sama, tylko, jak powiadają, odbywały się przytym w Krakowie zapasy ludu i igrzyska młodzi szkolnej.

Więc my też pamiętając na jego zabawki,
Nowej mu nie żałujmy usypać Rękawki.

Zygmunt Gloger.

---

50. Konik Zwierzyniecki w Krakowie.

Po procesji w oktawę Bożego Ciała odbywa się w Krakowie uroczystość ludowa, zwana Konikiem Zwierzynieckim. Po skończonej procesji tłumy podążają na plantacje i ulicę Zwierzyniecką, skąd pokazuje się w czerwonym stroju, z turbanem na głowie, w żółtych butach, niby siedzący na drewnianym koniku, jaskrawo przystrojonym, uwijający się z buławą w ręku włóczek czyli flis ze Zwierzyńca. Obok niego kilku jakoby Tatarów z proporczykami, a przed nim jeden z wielką chorągwią, stanowią orszak przyboczny, wraz z piskliwą muzyką.

W tłumie podążającym z miasta idą włóczkowie czyli bractwo flisów zwierzynieckich, niosąc proporzec z białym orłem i włócznie, i tak spotykają owych Tatarów. Wódz tatarski, charcując, za każdym susem w tę i ową stronę, bije ludzi buławą z sierści i zmusza do ucieczki; spotkawszy włóczków, gdy ci zatoczą nad nim trzykrotnie proporzec z białym orłem, uważa się za zwyciężonego i bije czołem przed pałacem biskupów, a tłumy wiodą go w rynek na charce. Wrzawa i popłoch na wszystkie strony znamionują obroty tatarzyna, który łączy się napowrót z włóczkami i na ich czele z powagą wodza powraca na Zwierzyniec, gdzie cały obrzęd kończy się wesołą ucztą włóczków. Zwyczaj powyższy, jak niesie podanie ludowe, istnieje na pamiątkę zwycięstwa,

odniesionego nad Tatarami przez mieszczan, w którym rybacy czyli flisacy z przedmieścia Zwierzyńca zaszczytny mieli udział. Dzieje znają istotnie fakt podobnego zwycięstwa przy bramach miasta r. 1288, za co Leszek Czarny, idąc za „jednomyślną radą panów,“ uwolnił Kraków od opłaty ceł jakichkolwiek. Porażka pohańców nastąpiła według podania pod bramą Wiślną w oktawę Bożego Ciała. Stąd miejsce i dzień zwyczaju Krakowskiego.

Tatarem zaś jest zawsze starszy włóczek ze Zwierzyńca. W r. 1825 był nim Kuliniewicz. Znakomity Woronicz, będąc biskupem Krakowskim (od r. 1815 do 1827), polecił malarzowi Stachowiczowi, który ozdabiał freskami pałac biskupi, przedstawić uroczystość Konika Zwierzynieckiego. „Pszczółka Krakowska“ w r. 1820 powtórzyła ten wizerunek, zniszczony później w wielkim pożarze Krakowa.

Z. Gloger.

51. Dożynki.

Dożynki, zwane w niektórych okolicach Polski wyżynkami, obrzynkami, zarzynkami lub wieńcem, to uroczystość rolniczą w dniu ukończenia żniwa oziminy. Lud polski, posiadając wśród narodów słowiańskich najstarsze tradycje rolnictwa, przechowuje odwieczne i rdzenne swojskie zwyczaje i obrzędy rolnicze. Nasza uroczystość dożynkowa posiada cechy pełne znaczenia. Wspaniały wieniec z dojrzałych kłosów zboża, kształtem dawnych stożkowych koron uwity, jest symbolem plonów i koroną całorocznej pracy rolnika.

Żniwiarze składają go gospodarzowi, aby ozdobił jego świetlicę i dał ziarna do pierwszej garści nowego posiewu. Do wieńca tego wplatają, oprócz kwiatów polnych, czerwone jabłka, jako plon lasów. W niektórych okolicach dodają kłosy owsa i jęczmienia, grona kaliny a nawet niekiedy na stropie wieńca kukiełkę pszenną lub pierniki; jednym słowem obfitość wszystkiego, co daje łan, las i pasieka, pragną wnieść żniwiarze pod strzechę gospodarza. Wieniec taki miał przy dożynkach tak ważne znaczenie symboliczne, że w Wielkopolsce, gdzie rolnictwo jest w Słowiańszczyźnie może najdaw-

niejszym, cała uroczystość zowie się Wieńcem. Przepiórka, gnieżdżąca się w zbożu i śpiewem swoim ożywiająca ciszę łanów, była ptakiem symbolicznym w pojęciach ludu rolniczego. W jej dźwięcznym głosie lud słyszy na wiosnę wołanie „pójdźcie pleć“ w lecie „pójdźcie żąć,“ a w jesieni, po żniwach, „niema nic, niema nic.“ To też na Podlasiu ostatnią garść niezżętych kłosów żyta pozostawiają w polu „dla przepiórki.“ Taką kępkę zboża w końcu pola związują słomą u góry, a u dołu oczyszczają z chwastów, „żeby w roku przyszłym zboże było czyste.“ Wśród kępki kładą płaski kamyk, a na nim kęs chleba i szczyptę soli, niby ofiarę dla przepiórki, niby symbol potrzeb rolnika i widomy znak, że chleb „łoński“ wystarczył do nowego. Wszystko to zowie się „strojeniem przepiórki,“ a kępka zboża „przepiórką.“ Przed wieczorem w dniu dożynek (zwykle w sobotę) przystępują do wicia wieńca, śpiewając:

Hej wyleć, wyleć raba (pstra) przepiórko,
Bo już nie wyjdziem w to czyste pólko,
Plon niesiem plon!
Hej wyleć, wyleć raby (pstry) sokole,
Bo już nie przyjdziem w to czyste pole,
Plon niesiem plon!

Wieniec uwity wkładają na głowę dziewki, która przez całe żniwa żniwiarzom przodowała, czyli stała, t. j. żęła na pierwszym zagonie i najlepiej, a stąd zowie się przodownicą, postatnicą lub sternicą. Z nią to o zachodzie słońca cała gromada, śpiewając chórem pieśń dożynkową, rusza wolnym krokiem do domu gospodarza. W długiej tej pieśni słyszymy:

Plon niesiemy, plon,
W jegomości dom,
Bodaj zdrowo plonowała,
Po sto korcy kopa dała
Plon niesiemy, plon!

Otwieraj panie szeroko wrota,
Niesiem ci wieniec z szczerego złota,
Zaścielaj panie stoły i ławy,
Idzie do ciebie gość niebywały,
Plon niesiem plon! i t. d.

We wrotach zaczajeni parobcy oblewają wieniec i przodownicę wodą, „żeby w roku następnym nie było suszy.“ Gospodarz, oczekujący z rodziną przed progiem domu, przyjmuje wieniec i zawiesza go w sieni na koł-

ku. Następują podarki, przemowy, poczęstunki, muzyka i tańce przed domem gospodarza. W uczcie i zabawie bierze udział cała gromada ze starcami i dziećmi. Pierwszy kieliszek przepija dziedzic do najstarszego kmiecia i idzie w taniec polski z przodownicą, a jejmość z onym kmieciem. Zjeżdżało się i sąsiedztwo, zapraszane na dożynki, a kapela wiejska przy otwartych oknach grała zarówno do tańca szlachcie i gromadzie kmiotków; w niepogodę tańczyli wieśniacy w śpichrzu. Najczęściej wspólna ta biesiada rolnicza pod nazwą „okrężnego,“ wyprawiana była w jesieni, gdy już pracowity rolnik zgromadził wszystkie zbiory do domu i okrążył wszystkie swe pola, od czego też i nazwa okrężnego powstała. Jan Kochanowski w 6-ej pieśni sobótkowej wspomina o zwyczaju składania „kłosiastego wieńca“ gospodarzowi. Wespazjan Kochowski w „Psalmodji polskiej“ śpiewa:

Niwo ma, niwo! skibo ziemie plennej
Ty co raz wieniec żytni, także pszenny
Spokojnie na mej gdy położysz głowie,
Za fraszkę wasze korony, królowie.

Ignacy Krasicki w w. XVIII, opisując dożynki polskie, powiada, iż młodzież tańce przeplatała pieśniami, a gdy zastawiono na podwórzu stoły, p. Podstoli „na wzór przodków,“ starym zwyczajem, wraz z rodziną zasiadł do nich wspólnie z całą gromadą kmieci swoich.

Z. Gloger.

---

52. Urzędy w Polsce.

W ciągu wieków powstawały w Polsce różne urzędy, zmieniając niejednokrotnie swój zakres działania. Największa zmiana dokonała się za Olbrachta i Aleksandra głównie przez konstytucję sejmową z r. 1504. Organizację urzędów, wówczas przeprowadzoną, zastosowano następnie przy Unji lubelskiej z r. 1569, do ziem litewskich i ruskich, a utrzymano ją aż do Stanisława Augusta. za którego uległa stanowczym reformom w duchu nowożytnym, chociaż nazwy urzędów pozostawiono.

Główne rodzaje urzędów w czasie od 1504—1764 r. były następujące:

1. Urzędnicy wielcy i nadworni tworzyli rząd i sprawowali władzę bezpośrednio przy królu i w jego imieniu tak, jak dziś ministrowie. Pierwsi zajmowali się

sprawami państwa, drudzy specjalnie sprawami dworu. Takiemi byli:

1) Marszałek wielki (oznaka: laska) sprawował rządy całego dworu i miał pod swemi rozkazami także zaciężne hufce zbrojne, tworzące gwardję królewską. Obowiązkiem marszałka było czuwać nad bezpieczeństwem osoby królewskiej i dlatego miał najwyższą władzę policyjną i sądowniczą w miejscu pobytu króla i w trzechmilowym okręgu. Poprzedzał on króla, z podniesioną laską, przyjmował gości, posłów zagranicznych i t. p. i miał o nich staranie. Marszałek nadworny zastępował wielkiego i zwykłe mu towarzyszył.

2) Kanclerz wielki (oznaka: pieczęć) i podkanclerzy prowadzili zarząd spraw wewnętrznych i zagranicznych, przemawiali w imieniu króla tak na sejmie, jak i do posłów zagranicznych i przykładali pieczęć do aktów podpisywanych przez króla. Podlegała im kancelarja królewska, która sporządzała przywileje, edykty, mandaty, noty dyplomatyczne i t. p. i w której pracowała liczna drużyna sekretarzy. Jeden z tych sekretarzy zwał się «większym:» i zastępował w pewnych sprawach kanclerza i podkanclerza. Kanclerz sprawował nadto sądy królewskie z pomocą referendarzy. Dokumenty większej wagi, wychodzące z kancelarji królewskiej, zapisywano w osobnych księgach, w tak zw. metrykach, koronnnej i litewskiej. Po sejmie drukowane konstytucje rozsyłano do akt grodzkich po województwach. Między kanclerzem a podkanclerzym była tylko taka różnica, jaką tworzy starszeństwo między dwoma urzędnikami jednego stopnia; zwykle jeden bywał duchowny, drugi świecki; jednemu z nich poruczał król zwykłe sprawy wewnętrzne, drugiemu zagraniczne.

3) Podskarbi wielki był stróżem skarbu królewskiego i Rzeczypospolitej, miał staranie o monecie, zawiadywał dochodami i wydatkami Rzeczypospolitej i zdawał ze swych czynności sprawę przed sejmem. Podskarbi nadworny rozporządzał wydatkami osobistemi króla i jego dworu.

4) Hetman wieiki (oznaka: buława) sprawował władzę nad wojskiem i dowodził nim na wojnie. Hetman polny zastępował go w dowództwie, zwłaszcza jeżeli wojsko na dwóch polach oddzielnie walczyć miało. W braku hetmanów ustanawiał król dowódzcę sił zbrojnych, który się zwał regimentarzem. Hetmanom wielkim stanowisko ministrów przyznano dopiero w XVIII w.

Ponieważ Unia lubelska zastrzegła odrębny rząd Litwie, istnieli więc jak w Koronie tak samo na Litwie: osobny marszałek wielki i nadworny, kanclerz i podkanclerzy, podskarbi wielki i nadworny, hetman wielki i polny. Polscy zwali się «koronnemi,» litewscy «litewskiemi.» Oprócz nich istniały na dworze królewskim liczne dostojeństwa tytularne bez żadnej władzy, jak chorąży, miecznik, koniuszy, podczaszy, podstoli, cześnik, łowczy i t. p.

II. Wojewodowie i kasztelani (w ogólnej liczbie 129), składający wraz z biskupami właściwy senat, byli raczej dygnitarzami niż urzędnikami; pierwsi byli początkowo dowódcami w boju i rządcami pewnych obwodów kraju. drudzy strażnikami grodów (castellum) i sędziami w ich obrębie. Później jednak pozostało wojewodom tylko dowództwo nad pospolitym ruszeniem swego województwa, sądownictwo nad żydami, oznaczanie cen targowych i dozór nad miarami i wagami; kasztelanowie zaś więksi zastępowali w dowództwie wojewodów, mniejsi natomiast powiatowi (zwani drążkowemi) nie mieli żadnego zakresu działania. Jedni i drudzy pozostali zawsze pierwszemi dygnitarzami w województwie i mieli wszędzie pierwszeństwo, na sejmie zasiadali w senacie obok biskupów. Pierwszym senatorem świeckim w Polsce był wyjątkowo nie wojewoda, lecz «pan (tj. kasztelan) krakowski.» Kasztelanów bowiem zwano zwykle «panami» z dodatkiem przymiotnika, utworzonego od miejsca siedziby urzędu.

III. Urzędy ziemskie powstały z urzędów nadwornych i w takim po sobie następowały (w Koronie) po rządku: 1) Podkomorzy. 2) Chorąży. 3) Sędzia ziemski. 4) Stolnik. 5) Podczaszy. 6) Podsędek. 7) Podstoli. 8) Cześnik. 9) Łowczy. 10) Wojski większy. 11) Pisarz ziemski. 12) Miecznik. 13) Wojski mniejszy. 14) Skarbnik.

Urzędy te rozdawał król, z wyjątkiem podkomorstwa, sęstwa, podsęstwa i pisarstwa (na Litwie także marszałkowstwa i chorąstwa), na które szlachta przedstawiała 4 kandydatów, a król zatwierdzał jednego. Mała tylko część tych urzędników miała pewne obowiązki, prawem określone, mianowicie podkomorzy, który załatwiał spory graniczne. Chorążowie urzędowali tylko w czasie pospolitego ruszenia, koronacji lub pogrzebu królów, niosąc wtedy chorągiew swego województwa. Sędzia, podsędek i pisarz ziemski, składali sąd ziemski czyli ziemstwo, do którego należały sprawy szlacheckie cywilne, to jest spory o własność pomiędzy szlachtą. Czas tych sądów czyli kadencję sądową zwano roczkami, odbywa-

ły się zaś te roki w każdej ziemi co cztery miesiące czyli trzy razy do roku. Wojscy więksi i mniejsi byli czynni tylko w czasach pospolitego ruszenia. Kiedy wszystka szlachta wyruszyła w pole, zostawali oni w swoich województwach dla przestrzegania bezpieczeństwa i porządku.

Większa cześć urzędników ziemskich, nosząca te same tytuły, co i urzędnicy nadworni, jak: stolnicy, cześnicy, miecznicy itp., byli tylko tytularnemi urzędnikami bez osobnych obowiązków i prerogatyw, okrom pierwszeństwa na sejmikach i zjazdach.

IV. Urzędy grodzkie. Największą władzę w powiecie miał starosta. Ze starostwem łączyło się użytkowanie dożywotnie dóbr królewskich, stanowiących uposażenie starostwa, a pojęcia «starosta» i «dożywotni posiadacz królewszczyzny» tak ściśle się z sobą wiązały, że nazywano starostami dzierżawców dóbr koronnych, nie mających żadnej władzy. Starostów urzędników nazywano grodowemi, zwykłych zaś dzierżawców niegrodowemi. Do starostw grodowych należało sądownictwo kryminalne t. j. za rozboje, podpalanie, najazdy, kradzieże itp., wogóle utrzymanie porządku w powiecie i wykonywanie wszystkich wyroków sądowych. Każdy starosta grodowy miał sobie oddany gród warowny i utrzymywał na nim straż zbrojną t. zw. pachołków starościńskich.

Dodać wypada, że starostowie kilku powiatów lub nawet całego województwa podlegali staroście, który się nazywa jenerał-starostą, czyli jenerałem np. jenerał wielkopolski, jenerał ziem podolskich.

Żaden urząd w Polsce nie był dziedziczny i każdy urzędnik odpowiadał za czynności swoje przed królem lub sejmem. Dochody urzędników płynęły bądź z dóbr przywiązanych do urzędu, bądź z opłat za czynności urzędowe, bądź z pensji, którą im ze skarbu publicznego wyznaczano.

Władza urzędników polskich była nierównie rozleglejsza niż tegoczesnych; urzędnika takiego nie można było przenieść z miejsca na miejsce, był on dożywotni i organizował sobie swój urząd sam, dobierając sobie podwładnych, przez co stawał się samowładnym panem w swym urzędzie; tak np. starosta grodowy, nie mogąc lub nie chcąc sam osobiście spełniać obowiązków, połączonych z jego urzędem, dobierał sobie zastępców, któremi byli podstarości i sędzia grodzki (zwykle w jednej osobie) i pisarz grodzki; wojewoda ustanawiał podwojewodziego i t. d.

53. Barwy.

Kolorem umiłowanym przez Słowian wogóle, a zwłaszcza przez Polaków, był szkarłat czyli czerwień. Z tego to powodu orzeł biały był od wieków przedstawiany na polu czerwonym, a stąd i kolory czerwony z białym uważane za narodowe. Chorągiew hetmanów litewskich była barwy błękitnej (Gwagnin, Baliński). W herbach szlachty polskiej najpospolitszy kolor tarcz herbowych był czerwony, czyli krwisty, po nim idzie kolor błękitny, rzadko się przytrafiają złoty i biały, a co się tyczy szarego i zielonego, te były tylko w herbach z obczyzny przyniesionych. Kolor malinowy, czyli karmazyn albo amarant, uważany był za szlachetniejszy odcień czerwieni i dlatego stał się uprzywilejowanym kolorem dawnej szlachty polskiej, która z upodobaniem nosiła karmazynowe czyli malinowej barwy żupany. O kim chciano powiedzieć, że szlachcic z dziada i pradziada, mówiono, że karmazyn.

Długosz powiada, iż dla ukarania starego w Wielkopolsce rodu Nałęczów za zamach na króla Przemysława, odjęto im dwa zaszczyty: prawo stawania do boju w pierwszym szeregu rycerstwa i prawo chodzenia w czerwieni. Dopiero za Kazimierza Wielkiego, po wielu mężnych czynach tego rodu, zwrócono mu oba zaszczyty. W ciekawym tym procesie odmowy i przywrócenia czerwieni szlacheckiej Nałęczom, uwydatniły się ówczesne pojęcia narodu, podług których urodzenie nie wystarczało, tylko osobista zasługa odbierała lub nadawała cześć szlachecką. Uprzywilejowaną barwą stanu mieszczańskiego była żółta, a że gdy spłowieje, ma kolor łyka drzewnego, stąd mieszczan nazywano w Polsce łykami, tak jak drobną szlachtę, którą, że nie stać było na drogi karmazyn, zwano „szaraczkami.“

W r. 1674 w bogatym sklepie sukienniczym Wilczka we Lwowie znajdowały się między innemi: kiry, fijolety, karmazyny, szkarłaty, purpury, koraliny i t. d. Ulubionym kolorem Litwy był błękitny, stąd może konfederaci barscy używali dwóch kolorów: karmazynu i błękitnego, a konfederacja jeneralna w r. 1812 miała uznać karmazyn i granat za kolory krajowe. Pogoń jednak W. ks. Litewskiego, tak samo jak orzeł biały, bywa w polu czerwonym.

Już za doby piastowskiej, w czasie wojny, chorą-

giew biała oznaczała pokój, a czerwona zamiar walki. Książęta: Mieczysław, Bolesław i Henryk, oblężeni w zamku poznańskim przez Władysława r. 1145, po długim oporze, postanowiwszy wyjść przebojem, zatknęli na zamku chorągiew czerwoną. Czeladź i słudzy na wojnie i od parady nosili barwę swego pana, stąd nazywano barwą i mundury wojskowe. Na sejmie r. 1776 uchwalono dla posłów mundury wojewódzkie, czyli barwę ich kontuszów i żupanów, którą pozostawiono do wyboru i uznania województwom. Na sejm w r. 1778 posłowie przybyli już w barwach przez województwa postanowionych, które były następujące: W. Poznańskie: kontusz jasno szafirowy z wyłogami szkarłatnemi, żupan biały; W. Kaliskie takiż mundur; W. Gnieźnieńskie, Sieradzkie i Łęczyckie: kontusz karmazynowy, wyłogi granatowe, żupan biały; W. Brzesko-kujawskie, poza sejmem: kontusz granatowy, wyłogi i żupan karmazynowe; mundur zaś posłów sejmowych: kontusz karmazynowy a wyłogi i żupan granatowe; Ziemia Dobrzyńska: kontusz karmazynowy, wyłogi błękitne, żupan biały; W. Płockie: kontusz jasno-szafirowy, wyłogi szkarłatne, żupan barwy słomiastej; W. Mazowieckie: kontusz ciemnoszafirowy, wyłogi i żupan słomiaste, guzy z literami X. M. na pamiątkę dawnej udzielności księstwa Mazowieckiego. W. Rawskie: kontusz szkarłatny, wyłogi czarne, żupan biały, guzy z lit. R.; W. Krakowskie: kontusz karmazynowy, żupan biały — na sejm kontusz granatowy bez wyłogów, kołnierz i żupan karmazynowy; W. Sandomierskie: kontusz jasno-błękitny, wyłogi szkarłatne, żupan biały; W. Kijowskie: poza sejmem: kontusz karmazynowy, żupan i wyłogi granatowe — na sejm: kontusz turkusowy z wył. czarnemi, żupan biały; Ziemia Chełmska: kontusz zielony, wyłogi czarne, żupan słomiany; W. Wołyńskie: kontusz zielony z kołnierzem i przyrękawkami szkarłatnemi, żupan biały; W. Podolskie: kontusz majowy czyli papuzi, wyłogi czarne, żupan biały; W. Lubelskie: kontusz szkarłatny, wyłogi zielone, żupan biały; W. Podlaskie: kontusz szafirowy, wyłogi karmazynowe, żupan biały; W. Bracławskie: kontusz jasno szafirowy, wyłogi szkarłatne, żupan biały; W. Czernichowskie: kontusz karmazynowy, wyłogi czarne, żupan biały; W. Wileńskie: kontusz granatowy, wyłogi i żupan karmazynowe; Powiat Oszmiański: kontusz, wyłogi i żupan zielone; Powiat Wiłkomierski: kontusz i żupan szafirowy—później oba te powiaty przyjęły mundur woje-

wódzki; W. Trockie: kontusz granatowy, żupan i wyłogi słomiane, na sejm: kontusz szkarłatny, wyłogi zielone, żupan biały; Powiat Upicki: kontusz karmazynowy, wyłogi granatowe, żupan słomiany; Księstwo Żmudzkie: kontusz szkarłatny, wyłogi niebieskie, żupan biały; W. Smoleńskie: kontusz karmazynowy, wyłogi i żupan granatowe; Powiat Starodubowski: kontusz szafirowy, żupan i wyłogi słomiane; W. Połockie: mundur ten sam co woj. Smoleńskiego; W. Nowogrodzkie: kontusz szkarłatny, żupan i wyłogi czarne; Powiat Słonimski: kontusz szafirowy, żupan i wyłogi słomiane; — na sejm kontusz karmazynowy, żupan i wyłogi szafirowe; Pow. Wołkowyski: kontusz granatowy, żupan i wyłogi karmazynowe,—na sejm zaś: kontusz karmazynowy, a wyłogi i żupan granatowe; Pow. Orszański z wojew. Witebskiego: kontusz zielony, wyłogi i żupan białe; W. Brzesko-litewskie: kontusz szafirowy, wyłogi karmazynowe, żupan i pas biały; W. Mścisławskie: kontusz granatowy, wyłogi niebieskie, żupan słomiany; W. Mińskie: kontusz karmazynowy, żupan i wyłogi granatowe; Pow. Rzeczycki tego woj. do takiegoż kontusza przyjął żupan i wyłogi białe; Księstwo Inflanckie: kontusz niebieski, wyłogi czarne aksamitne, żupan biały. Do powyższych mundurów szlachta, jako do stanu rycerskiego należąca, przydała sobie po jednej lub po dwie szlify złote lub srebrne. Uchwała jednak sejmowa z r. 1780 znalazła to niewłaściwym, do oznak stopni wojskowych należącym i używanie szlif przy mundurach wojewódzkich zniosła. Kościuszko nosił kokardę białą.

Z. Gloger.

---

54. Klejnoty koronne.

Pod tą nazwą rozumiemy oznaki królewskie, do koronacji królów używane, a mianowicie: koronę, berło, miecz i jabłko królewskie, a także i inne kosztowności, będące własnością Rzeczypospolitej, przechowywane w skarbcu koronnym na zamku krakowskim, w epoce od Władysława Łokietka, aż do r. 1795. Niema wątpliwości, że już Bolesław Chrobry miał własną koronę i skarbiec, skoro wiemy z dziejów o podróży cesarza Ottona III do Gniezna, o bogactwach, jakiemi Bolesław

zasypywał dwór dostojnego tego gościa, i o koronie, którą cesarz podarował władcy polskiemu wraz z innemi pamiątkami. Pomiędzy darami Ottona była włócznia św. Maurycego, dana Bolesławowi na berło i złote krzesło tronowe, wyjęte z grobu Karola Wielkiego w Akwizgranie. Że niezawodnie skarbiec katedry gnieźnieńskiej posiadał ten ostatni tak niepospolity zabytek, dowiódł tego w naszych czasach uczony koloński Bock, przywodząc wypisy z dawnych aktów akwizgrańskich, w których wielokrotnie wspomniano o przewiezieniu tronu Karola Wielkiego do Polski. Pamiątka ta, interesująca całą Europę, musiała jednak wcześnie zaginąć, bo późniejszych o niej wzmianek nie mamy. Jest więc domysł, że Brzetysław, król czeski, złupiwszy Gniezno i jego skarbce w r. 1039, zabrał i krzesło akwizgrańskie. Ryksa czyli Regina, wdowa po Mieczysławie II uwiózszy z Polski insygnia koronne do Niemiec, zostawiła je tam w przechowaniu u cesarza Konrada II, dopóki Kazimierz Odnowiciel na tron nie wrócił. Wedle podania, dochowanego w ossyjackim klasztorze, jakiś Polak wyniósł przed r. 1748, pierścień z grobu Bolesława Śmiałego. Bolesław Krzywousty i żona jego Salomea, mając córkę w wirtemberskim klasztorze w Zweifalten, posyłali tam bogate dary. Współczesne akta tego klasztoru wymieniają między datkami: „płaszcz królewski złotem dziany, z czerwonym u dołu brzegiem, wedle obyczaju polskiego gwiazdami złocistemi zasiany.“ Złoty krzyż bizantyjskiego wyrobu z piastowskiego skarbca, włócznię św. Maurycego i część gwoździa od krzyża Chrystusa Pana, przechowuje dotąd kapituła krakowska. Do grobu nie wkładano królom insygniów prawdziwych, własność skarbca koronnego stanowiących, ale tylko ich podobizny. Gdy w r. 1869 przystąpiono w katedrze krakowskiej do naprawy grobowca króla Kazimierza Wielkiego, znaleziono w nim szczątki królewskie z koroną na głowie, berłem, jabłkiem królewskim, pierścieniem, ostrogami i 10-ciu guzami.

Korona, berło, jabłko, ostrogi i guzy były bronzowe pozłacane, pierścień tylko szczerozłoty. Korona wysmukła, dziwnie pięknych i szlachetnych kształtów, świadczyła o wysokim wykształceniu artystycznym ówczesnych złotników; niemniej berło liściaste lekkim odznaczało się rysunkiem. Koronę Bolesława Chrobrego, która, przywieziona z Gniezna do Krakowa, służyła do ukoronowania Łokietka, a potym jego syna Kazimiera Wiel-

kiego, siostrzeniec tegoż Ludwik, król polski i węgierski, gdy nie miał syna, jeno córki, w obawie aby nie służyła do koronacji komu innemu, a tylko jego potomstwu, wywiózł ją do Węgier wraz z berłem. Koronę powyższą i berło cesarz Zygmunt zwrócił potym Władysławowi Jagielle, który klejnoty te z wielką uroczystością do Krakowa i skarbca koronnego na Wawelu wprowadził. Stąd to Jagiełło, gdy korona Chrobrego pozostawała na Węgrzech, musiał sobie nową do koronacji sprawić. Przy zwłokach królewskich w czasie pogrzebu kładziono zwykle koronę pogrzebową, funeralis zwaną.

Gdy król Zygmunt August umarł w Knyszynie, a sprowadzenie klejnotów koronnych ze skarbca krakowskiego na Podlasie było niemożliwym, użyto czasowo korony Jana Zapoli, eks-króla węgierskiego, który był szwagrem Zygmunta I, a insygnia jego, tytułem spadku przyznane Zygmuntowi Augustowi, znajdowały się w prywatnym skarbcu królewskim. Skarbiec koronny, mieszczący się w trzech sklepach dolnych, w dziedzińcu pod kolumnadą południową zamku krakowskiego, zawierał w wieku XVI tak wielkie bogactwa, że nuncjusz papieski Ruggieri nadziwić się nie mógł tym klejnotom w djamentach i złocie, a inny cudzoziemiec pisze w pamiętnikach swoich, że nad jagielloński skarbiec bogatszego w Europie nie było, a, zdaniem jego, po samym Zygmuncie Auguście, więcej klejnotów zostało, niż ich wtedy kilka zebranych razem skarbców współczesnych mu królów mieć mogło.

Lustracje klejnotów koronnych dochowały się do r. 1590.

Za Zygmunta III r. 1599 sejm wyznaczył komisarzy: Tylickiego, biskupa krakowskiego, Oleśnickiego, wojewodę krakowskiego, Lubomirskiego, kasztelana wojnickiego i Bykowskiego, kasztelana łęczyckiego, aby skarbiec koronny zlustrowali. Ze spisu, który został przez tych komisarzy sporządzony, widzimy, że skarbiec obejmował wielką ilość drogich kamieni, a mianowicie: rubiny, djamentowe tablice z wielkiemi perłami, szmaragdowe tablice, szafiry, mnóstwo klejnotów pod nazwą zawieszeń, noszeń i tablic. Szkatuł większych z klejnotami, zawierających każda po kilka polic, było w skarbcu 7. Były więc kosztowne zapony, rozmaite naszyjniki, manele, pendenty do pasów, łańcuchy, wachlarze, czary puszki i różne przedmioty, sztuki ze złota i drogich kamieni,

nakoniec właściwe godła władzy królewskiej jak berła, jabłka i t. d.

Gdy się przegląda spisy tych kosztowności, nabiera się wiary w świadectwo nuncjusza Ruggierego, że skarbiec koronny Jagiellonów należał do najbogatszych. A jednak klejnoty koronne bywały nieraz zastawiane. U elektora brandeburskiego zastawiono raz klejnotów za sumę trzysta tysięcy talarów. Pozornie wygląda to dla nas bardzo upakarzająco, ale wistocie zastaw taki nie był niczym innym, jak pożyczką, zaciągniętą na wojnę w obronie kraju. Wojna zawsze była rzeczą kosztowną, a przy utrudnionych dawniej komunikacjach ciągnęła się zwykle znacznie dłużej, niż dzisiejsze.

I dzisiaj najpotężniejsze mocarstwa zaciągają pożyczki na koszta zawojowania krajów cudzych. Królowie polscy zastawiali klejnoty tylko dla obrony granic własnych, zasłaniając cywilizację Zachodu przed barbarzyństwem Azji. Wojny kozackie, szwedzkie, z Turcją i Tatarami, zubożyły straszliwie skarbiec koronny. Wyczerpana Rzeczpospolita nie zawsze miała pieniądze do wykupowania zastawów, a klejnoty przez czas dłuższy niewykupione, gdy stopa procentowa była znacznie wyższą od dzisiejszej, ginęły. Tak np. w r. 1733 wielu już klejnotów nie było, a między innemi zniknął djament, 95 karatów ważący, na pół miljona złotych ówczesnych oceniany.

Bywały nieraz chwile zaburzeń wojennych, które nakazywały ukrycie godeł królewskich. Tak np. gdy nastąpiła koronacja Augusta III Sasa, korona Chrobrego była w Częstochowie zachowana, a prawdopodobnie i miecz tego króla szczerbcem zwany (od wyszczerbienia przy wjeździe w „złotą bramę“ Kijowa). Wtedy tenże August III, gdy niepodobna było z powodu przepisanych prawami formalności dobyć rychło Bolesławowej korony z Częstochowy, kazał sobie zrobić we Wrocławiu nową koronę srebrną pozłacaną i w tej się koronował, którą po koronacji podarował do częstochowskiego skarbca jako votum. Miecz zaś, będący naśladowaniem szczerbca, pozostał w skarbcu katedralnym krakowskim.

W r. 1792 z polecenia rządu Rzplitej lustrowali (dnia 18 kwietnia) skarbiec koronny na zamku krakowskim po raz ostatni: uczony badacz, starosta nowogrodzki, Tadeusz Czacki i Jan Nepomucen Horain, wojewodzic brzesko-litewski, w asystencji wielu znakomitych osób

ze stanu duchownego, rycerstwa i mieszczaństwa, oraz regimentu gienerała Wodzickiego. Czacki dokonał szczegółowego opisu, z którego widzimy, że w skarbcu znajdowały się do koronacji królów służące: pięć koron złotych, ozdobionych drogiemi kamieniami i perłami; dwa berła złote i dwa srebrne; dwa jabłka złote i trzy srebrne; cztery łańcuchy złote; miecz szczerbiec, ze szczerbą na nim i napisami na krzyżu i rękojeści; dwa miecze: jeden z herbem Korony, orłem, drugi z herbem Litwy, pogonią; miecz „Zygmuntowskim“ zwany, kształtu półkoncerza, z napisem Sigismundus Rex Justus.

Oprócz powyższych klejnotów koronnych, które do obrzędu koronacji i odbierania hołdów służyły, Czacki znalazł w skarbcu zamkowym: cztery chorągwie z herbami W. Ks. Litewskiego i województw. Były jeszcze rozmaite kosztowności, np. należące niegdyś do cara Dymitra; szable, pancerze, buzdygany, kulbaki, czapraki, rzędy, ostrogi i t. p. zabytki. Wszystko wystawione było na widok publiczny przez dni cztery, a następnie w d. 21 kwietnia napowrót do skarbca wniesione i zapieczętowane.

W czasie powstania Kościuszkowskiego dnia 15 czerwca 1794 r. weszli do Krakowa Prusacy i zamek z tym skarbcem obsadzili, a założywszy na Wawelu składy potrzeb wojennych, nikomu wstępu nie dozwalali. Gdy po dopełnionym w r. 1795 rozbiorze kraju opuścili Wawel i Kraków, sklepy skarbca koronnego zostawili puste. Jest więc domysł, że klejnoty koronne przewiezione zostały do Berlina. „Pamiętniki historyczne“ wydania Huberta podały inwentarz skarbca koronnego z r. 1669, a Rykaczewski wydał „Inwentarz metryki koronnej“ znajdującej się na zamku krakowskim w r. 1681 obejmujący także spis klejnotów koronnych. W skarbcu katedry krakowskiej widzieć można miecz w srebrnej pochwie, przesłany Zygmuntowi Augustowi przez papieża Pawła III, krzyżyk Anny Jagiellonki, kapę koronacyjną Michała Wiśniowieckiego, róże złotą, którą Marja Józefa, żona Augusta III od papieża Klemensa XII otrzymała i płaszcz królewski Stanisława Augusta. W zbiorach książąt Czartoryskich jest piękny filigranowy łańcuch po królowej Jadwidze i wiele innych pamiątek, które były prywatną własnością panujących polskich.

Z. Gloger.

55. Mazury.

Za dawnych czasów spierano się nieraz, która prowincja stanowi najlepszą część Rzeczypospolitej Polskiej; każdy za najlepszą uznawał tę, w której się urodził lub w której zamieszkał. Były to spory niewinne i nigdy nie rozstrzygnięte, boć oczywista rzecz, że wszystkie prowincje były zarówno dobre.

Ze wszystkich plemion, składających Polskę, najruchliwszemi byli Mazury, którzy zamieszkiwali szeroki pas ziemi, od ich imienia nazwany Mazowszem.

Cenieni byli zawsze w Polsce jako ludzie pracowici, zapobiegliwi, a w służbie wojskowej żołnierze nieporównani. Mówiono też o Mazurach, że są ślepi, a ten przydomek powstał im stąd, że w bitwie zacięcie walczyli, choćby przeciw nie wiem jak licznemu nieprzyjacielowi. Nazywano ich jeszcze Mazurami prawowiernemi, gdyż byli do wiary katolickiej tak dawniej jak i teraz żarliwie przywiązani.

Na Mazowszu nie było nigdy wielkich majątków magnackich; kto miał dwie wioski albo jedną, ten już był bogatym. Najczęściej wioski były porozdzielane na cząstki i cząsteczki. Tu sobie mieszkała drobna szlachta, tu znowu kmiecie, albo też razem w jednej wiosce i jedni i drudzy żyli obok siebie, jak Bóg dał. A że gruntu nie mieli wiele, więc rozchodzili się Mazury po świecie za szczęściem i osiadali po różnych stronach Polski, gdzie często nadawano im obszerne, jeszcze niezaludnione ziemie za zasługi na wojnie. Stądto spotykamy Mazurów i na Podlasiu i na Litwie i na Ukrainie i w Kurlandji i w wielu innych stronach, gdzie zamieszkiwali jużto pojedyńczo, jużto całemi osadami, jak np. na Litwie.

Jest to lud wesoły, hoży, odważny i bitny. Dawniej na odpusty i jarmarki każdy strzelbę ze sobą nosił, skąd wiele zdarzało się kalectw i zabójstw. Teraz strzelby już się nie nosi, ale często przy zwadzie koły z płota w wielkim są użyciu. Zresztą jest to lud zdatny do wszelakiej roboty i ochoczy do niej. Umie się też i wesoło zabawić i lubi śpiewać, tak przy pracy, jak i przy odpoczynku. Ma też aż dwa swoje własne tańce narodowe: Mazura i obertasa. Mazur jest huczny i wesoły. Każdy z nas zna te świetne melodje, co to, gdy je usły-

szysz, to aż krew jakoś raźniej płynie ci w żyłach. Muzyk potrafi jednakże nadać mazurowi i odrobinę smutku, niby przypomnienie minionego szczęścia.

Jako taniec jest mazur marszem nieporównanego wdzięku, niby pochodem wspaniałym, trochę wojennym albo tryumfalnym. Patrzmy: oto ruszyły już pary mazura. Jak zgodnie mknie długi ich szereg, para tuż za parą! Wszyscy tak robią, jak przodujący prowadzi. Stanęli i przytupnęli, jakby im coś na przeszkodzie stanęło; więc razem się biorą do dzieła i już znowu naprzód biegną.

Z czasem z mazura wyrobił się inny taniec, który nosi nazwę tańca polskiego czyli poloneza. Ten, z melodji podobny do mazura, okazuje wielkie do niego podobieństwo w wykonaniu, jakkolwiek wolniej postępuje. To już nie pochód młodości, to marsz ludzi dojrzałych, pełen powagi i taktu.

Obertas wreszcie, przeciwny niemieckiemu walcowi, tańczy się u nas w lewo, a z wielką zręcznością i życiem.

Ale Mazury dali całej Polsce nie tylko tańce tak piękne; obdarzyli ją jeszcze wybornym gatunkiem placków, które się od ich imienia mazurkami zowią.

Ubiór włościan mazurskich składa się z siwo-białej kapoty sukiennej, która u bogatszych jest koloru granatowego, a w każdym razie ma pętle, czyli szamerowania na piersiach. Sukmana jest przepasana czerwonym włóczkowym pasem, co przy kolorze granatowym wcale pięknie odbija. Przytym noszą buty długie, a czapka wielka i wysoka, z siwego baranka, z dnem aksamitnym i z kokardami ze wstążek z boku, kończy ubranie.

Kobiety na Mazowszu ubierają się pięknie, a nawet porządniej, niż w innych stronach kraju. Noszą granatowy kaftanik z guziczkami, spódnicę różnowzorzystą i fartuch. Na głowie mają niby zawój, z chustki zrobiony, pod który mężatki kładą jeszcze czepek. Do ubioru należy jeszcze noszenie na szyi wielkich paciorków z bursztynu.

Pięknie i o ziemi i o ludzie mazurskim śpiewa Wincenty Pol w „Pieśniach Janusza:“

Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i niemała!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze.

Bo gdzież takie cudne stroje
I śpiewanki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze,
Jak ojczyste Mazurowi?
Niechaj cała Polska powie!

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kąkolu,

Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze!
Przyśpiewują jej flisaki,
A grosz człek ma jaki taki.

Poza Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga,
Góral zbytnio podkasały,
A Odraki lud zniemczały,
A więc nasza—nasza góra,
Niemasz w świecie nad Mazura!

Zygmunt Gloger.

---

56. Kruszwica.

Liche dzisiaj miasteczko w Wielkim Księstwie Poznańskim, Kruszwica, liczy zaledwie 70 chat, krytych dachówką lub słomą, a 700 głów ubogiej ludności, która się jedynie rolnictwem zajmuje. W odległej starożytności była ona stolicą książąt, panujących nad znaczną częścią Polski. Wznosił się tu zamek Popielów, o których upadku przechowało się podanie w późne wieki.

Dwa zaledwie szczątki dawnej świetności Kruszwicy dotrwały do naszych czasów: wieża zamkowa i kościół, niegdyś katedralny.

Pierwotny zamek kruszwicki, przeważnie z drzewa zbudowany, zgorzał prawie do szczętu podczas wojen domowych w w. XIII; podźwignął go z upadku dopiero Kazimierz Wielki, który na miejscu dawniejszego kościołka drewnianego, wystawił nowy z kamienia i cegły.

Ale niedługo już trwała świetność starodawnego grodu; już w wieku XV podupadła Kruszwica tak bardzo, iż nie różniła się prawie od zwykłej wioski. Wprawdzie ratowali ją następni królowie, nadając miastu różne

przywileje, jednakże zamek niszczał coraz bardziej, aż wreszcie do ostatniej ruiny doprowadzili go Szwedzi, którzy, wychodząc z Polski, ograbili go i zburzyli. Odtąd zapomniano o dawnym grodzie Popielów.

Zdaleka widać zamkową basztę nad jeziorem Gopłem, w położeniu pięknym i obronnym. Na pagórku, który niegdyś był wyspą, a dziś leży nad samym brzegiem modrego jeziora, na okrągłej kamiennej podstawie wznosi się ośmiokątna, z cegły murowana wieża. Zbudowano ją bezwątpienia w czasie, gdy Kruszwica była miastem handlowym i bogatym, a służyć wtedy musiała do straży i do przyświecania statkom, żeglującym po jeziorze. Do wieży przypierają resztki ścian ceglanych, które pozostały z dawnego zamku. Narówni z ich wysokością znajduje się w baszcie otwór, przez który się do wnętrza wieży wchodziło. Na dalszej przestrzeni pagórka pozostały tylko ślady fundamentów i rozrzucone gruzy rozległego zamczyska.

Drugim pozostałym w Kruszwicy pomnikiem lepszej przeszłości, jest katedra. Stoi ona na pustym, bezdrzewnym wzniesieniu, na południowym brzegu Gopła, naprzeciw miejsca, na którym według podania stała chata Piasta. Kościół zbudowany jest z sześciennych kostek kamiennych, wieża zaś z cegły. Podupadłą z czasem świątynię odbudowano i odnowiono w bieżącym stuleciu. Nie szczędzono kosztów, atoli całość nie sprawia głębokiego wrażenia; za wiele tu światła za wiele złoceń. Niema też żadnych prawie pamiątek, któreby nam dawne czasy piastowskie przypominały. Rzewny smutek ogarnia serce Polaka, gdy widzi zatarte prawie ślady przeszłości, kiedy się zaduma nad przebrzmiałą dawnych wieków sławą.

Kruszwica kwitła dopóty, dopóki wody Gopła były handlowym gościńcem, łączącym Wartę z Wisłą i Baltykiem. Wszystkie statki, z Warty, Prosny i innych rzek okolicznych, płynące do Gdańska, tędy przeprawiać się musiały. Woda broniła, woda żywiła. Wtedy wielką i potężną była Kruszwica, a płonąca na wieży latarnia przyświecała statkom zdaleka. Z czasem wody zmalały, zmieniły się brzegi jeziora i zerwała się owa sieć ścieżek wodnych. Wskutek tego handel Kruszwicy już przed wojnami szwedzkiemi upadł, a dziś stołeczny niegdyś gród Popielów, wygląda jak zapomniana mogiła.

57. Gopło.

Pomiędzy Brześciem Kujawskim, Kołem i Gnieznem leży kraj równy i miejscami bardzo podmokły — tutaj rozlewa się wiele jezior po głębszych kotlinach i wądołach kraju, a największe z nich jest Piastowe Gopło, które zarazem środek trzyma między dorzeczem Odry a dorzeczem Wisły.

Zwierciadło jego od południa ku północy, na przestrzeni trzech mil przeszło długości, a więcej niż pół mili szerokości roztoczone, zamykają dokoła spadziste brzegi i kończą się miejscami piaszczystym odmiałem, urwistą wklęsłością lub zielono obrosłemi przyspami. Gdzieindziej znowu traci spadzistość brzegów a podmokłe łęgi lub gniłe smugi łączą powierzchnię wód samych z okolicznym krajem.

Pośrodku Gopła wznosi się mała wyspa, a na niej z odwiecznych podań ludu i dziejów znana «Mysza Wieża».

W południowym końcu pięknego jeziora ma rzeka Noteć swe źródło, i po Gople rozlana, wyrzyna się znowu na północnym jego zakończeniu, dokąd też i wody dzisiejszego Gopła stok mają.

W starożytnej Polsce, kiedy liczne żagle to zwierciadło ożywiały, zwano go «Morzem Polskim» (mare Polonicum) — ale wówczas był inny wygląd owej okolicy, i inaczej a szerzej i dalej sięgały w kraj zatopy tego jeziora.

Gopło było naówczas matką wód Wielkopolskich, pierwiastkowym pieleszem żeglugi, prac, przemysłu i pomyślności kraju, — dziś opadłe w swej kotlinie, zmalałe, zda się mówić, że nas nawet wody nasze odbiegły... Na pociechę wszakże powiada przysłowie ludu kujawskiego: «gdzie woda była, woda będzie». A że w Gople była woda, temu poświadcza stary Długosz. W opisie ziemi ojczystej naznacza on długość Gopła na mil pięć; granicę południową około wsi Noteci, gdzie źródła rzeki Noteci, północną zaś około zamku Szarleje, wedle którego Noteć przeszedszy jezioro, znowu się wyrzyna.

Ku południowi, między Gopłem a Wartą, dwa tylko umieszcza jeziora z Gopłem połączone, w pierwszym rzędzie Lubstowskie, w drugim Ślesinskie. Ślesińskiemu naznacza długość 6 mil i wyprowadza z niego do wsi Ga-

py rzekę Goplenicę, która ku południowi zmierzając, wpada pod Morzysławiem do Warty. Dziś tak dalece zmienił się stan rzeczy, iż podług tego opisu zaledwo można poznać okolice Gopła.

Na północy kończyło się dawniej Gopło pod zamkiem Szarleje, dziś kończy się pod Kobylnikami za Kruszwicą, a jezioro Szarleje, o którym Długosz wzmianki nie czyni, rozlewa się na pół mili ku północy dalej aż do Łojowa i jest od dzisiejszego Gopła oderwane Bahorskiemi błotami na przestrzeni 1,000 sążni.

W południowej stronie Gopła oznacza Długosz tylko dwa jeziora, w pierwszym rzędzie Lubstowskie, w drugim Ślesińskie, i wywodzi z niego Goplenicę.

Dziś leży w pierwszym rzędzie naprzód jezioro Lubstowskie, a obok niego ku wschodowi na koryto Bzury i Wisły jeziora Lechińskie, Brodowskie i Izbickie, które się z nim łączą nieznanemi strugami; w drugim zaś rzędzie, gdzie Długosz naznacza miejsce tylko Ślesińskiemu, leży naprzód ku południowi od Gopła dolina rozłożona na przestrzeni 1,108 sążni długości, następnie rozlewa się jezioro Melno, potym ciągnie się dalej ku południowi dolina na 1,400 sążni długa, poniżej następuje dopiero dawniejsze jezioro Ślesińskie; po nim znowu dolina na przestrzeni 300 sążni, a wkońcu jezioro Gosławickie, łoże zaś Goplenicy znikło zupełnie.

Nadto łączą się jeszcze z jeziorem Ślesińskim i Gosławickim strugi kilku na zachód od nich leżących jezior, z których Kleczewskie i Biniszewskie są najznaczniejsze.

Wszystkie te jeziora z pobocznemi błotami mają dziś główny swój stok na kotlinę Gopła i łoże Noteci, a są z sobą połączone strugami, szyjami, lub podmokłemi smugami, poświadczając temu, że się niegdyś szeroko rozlanym zwierciadłem wody z sobą łączyły i szły pod jeden strych z powierzchnią wód Gopła.

Jedne strugi płyną dotąd jeszcze, drugie na większej tylko wodzie, innych zalały koryta, i sparte rozkisają w szerokich bagniskach; jeszcze inne nakoniec ważą się w obojętnych spadkach na dwie strony: raz na Gopło i Wartę, to znowu na Gopło, Bzurę i Wisłę. Cała zaś miejscowość błot większych, smug i oszyjków wodnych poświadcza, że okolica ta, wodą zalana, mogła niegdyś ułatwiać żeglugę z Gopła na wszystkie strony, kiedy wody samego Gopła wznosiły się jeszcze do tej wysokości, jaką

miały w XV wieku, kiedy Długosz opisywał to jezioro, to jest, co najmniej o 15 stóp wyżej niż dzisiaj.

Z tego wszystkiego okazuje się, jak dalece wody Gopła opadły od owego czasu, kiedy łoże Goplenicy zupełnie znikło, a woda tylko po głębszych kotlinach pozostała i oddzielne potworzyła jeziora. Okazuje się także, że dzisiejsze Gosławickie jezioro jest częścią dawniejszego Ślesińskiego jeziora; jezioro zaś Melno i Szarlejskie częścią dawniejszego Gopła. Dzisiejsze Gopło mogłoby być połączone z Wartą, z Wisłą i z Bzurą tylko przekopami i stosownemi upustami dla przywrócenia żeglugi powtórnej na jego kotlinę. Przyczyny tak znacznego upadku wód Gopła potrzeba szukać w samym że łożu Noteci.

O tym, co nam podania miejscowe lub wzmianki historyczne o żegludze z Gopła na Wartę i ku Wiśle powiadają, potrzeba to rozumieć, co o całej polskiej żegludze, to jest: że dwa lub trzy razy do roku była pora, w której na wielkiej wodzie chodziły spławy lub statki od Warty na Gopło ku Wiśle i Bzurze.

Wyobraźmy sobie okolicę Nadgoplańską, jaką w owym wieku była, zapadłą, odwiecznemi puszczami porosłą,—prądy rzek nieustalone, koryta zamulone, w czasie wylewów zawalone leśnemi łomami, które się w czasie powodzi piętrzyły, tworząc razem z obrosłemi ostrowami na rzekach zawady, — a pojmiemy, jak się w spadkach swoich wsparte wody jezior wznosiły i jak się mogły łączyć z sobą szerokiemi szyjami w czasie puszczania lodów, lub pod dżdżystą porę po puszczach, bagnach i jeziorach—i pojmujemy, że szeroko podówczas rozlana powódź mogła podnieść wody Gopła do tej wysokości, iż się na wszystkie strony z niego ulewały wody, a po nich i statki krążyły.

z Wincentego Pola.

---

58. Do Gopła.

Ziemicą Piasta szeroko rozlane,
Witaj nam, witaj Gopło Kujawiane!
Jak tło przeszłości, fale twoje ciemne,
Jak powieść ludu, głębie twe tajemne!...

Powiedz mi, powiedz, czy morzu naszemu
Świat cześć oddaje jeszcze po staremu?
Czy się korabie po twych falach pławią?
Czy słuchasz modłów pobożnych żeglarzy?
Czy wiosna pieśnią wita cię żórawią?
Czy orzeł jeszcze nad tobą się waży?

— Dawno, już dawno po mojej tu wodzie
Nie chodzą więcej te ładowne łodzie...
Nie słyszę modłów — nie widzę żórawi...
Ani się orzeł po powietrzu pławi...
Ale się niebo przeziera w mej fali,
A czasem gwiazda nad nią się użali.

Wincenty Pol.

---

59. O Gnieźnie.

Miasto Gniezno leży w Wielkim Księstwie Poznańskim i zbudowane jest na siedmiu pagórkach nad jeziorem. Założył je podobno książę Lech w szóstym wieku po narodzeniu Chrystusa. Gniezno było dawnemi czasy miastem wielkim, w którym mieszkali książęta polscy. Ale bardzo wiele razy nieprzyjaciele miasto to zrabowali i zniszczyli, wiele razy także ogniem spłonęło, tak, że się z czasem bardzo zmniejszyło, i że mało się przechowało w nim pamiątek do naszych czasów.

Dawniej było w Gnieźnie wiele klasztorów i kościołów, dziś tylko jest jeszcze dziesięć kościołów. Najpiękniejszym jest kościół katedralny czyli tum, przy którym mieszka biskup. Kościół i klasztor franciszkański wystawił Bolesław Pobożny, książe kaliski. Klasztor dla Franciszkanek założyła żona jego, święta Jolanta, córka Beli IV, króla węgierskiego, która po śmierci męża przyjęła suknię zakonną i tu w Gnieźnie mieszkała w klasztorze, tu także umarła, a zwłoki jej spoczywają na jednym z bocznych ołtarzy. Przy kościele był także klasztor dla zakonników Bożogrobców, którzy dawniej grobu Chrystusa pilnowali i także ubogich przy klasztorze utrzymywali.

Dziś zamieniono klasztor ten na szkołę katolicką, tak zwaną szkołę Świętojańską. Kościół katedralny jest najstarszy w Polsce, niedługo, a stać już będzie przeszło tysiąc lat. Wystawił go Mieczysław I na pagórku

Lecha z drzewa, bo wszystkie wówczas kościoły z drzewa budowano. Ale że się wkrótce spalił, więc go nanowo i piękniej odbudował i wielu kosztownościami ozdobił Bolesław Chrobry, po powrocie z wyprawy kijowskiej.

Teraźniejszy kościół stoi przeszło sto lat, a przez tyle różnych przypadków stracił wiele drogich pamiątek. Dach kościoła jest miedziany, spadzisty i wznosi się na białych murach; drugi dach, trochę niższy, jest spłaszczony i pokrywa 14 kaplic. Ze strony zachodniej są dwie wieże, na jednej wiszą wielkie dzwony. Dzwon największy, ważący 43 centnary, zwany dzwonem św. Wojciecha, wisi w osobnej dzwonnicy obok katedry. Kościół mało przechował wewnątrz dawniejszych ozdób. Ołtarz wielki, murowany, do którego wstępuje się po ośmiu marmurowych stopniach, ozdobiony jest sześciu filarami, pomiędzy któremi są posągi świętych wyzłacane. Na środku kościoła znajduje się grób świętego Wojciecha. Cztery marmurowe filary unoszą baldachim nad ołtarzem, na którym spoczywają w srebrnej trumnie zwłoki tegoż świętego. Na wierzchu trumny jest figura św. Wojciecha, w ubiorze arcypasterza, z podniesioną głową i ręką, jakby chciał głosić naukę Chrystusa Pana, za którą go zabito. Głowa świętego jest w osobnym relikwiarzu i wystawiana bywa dwa razy do roku. Codziennie przy tym grobie odbywa się msza św., a w dni świąteczne śpiewają księża pieśń «Boga Rodzica», ułożoną przez tegoż biskupa na uczczenie Matki Boskiej. Jest to najdawniejsza pieśń polska, jest więc najstarszą pamiątką, dlatego ją Polacy bardzo szanują.

Wkońcu to jeszcze zapamiętać należy, że w katedrze gnieźnieńskiej Mieczysław I kazał się ochrzcić i wziął ślub z Dąbrówką, której zwłoki tamże spoczywają.

E. Estkowski.

---

60. Katedra poznańska.

Kiedy przodkowie nasi porzucili bałwochwalstwo, zaczęli budować na gruzach zburzonych świątyń pogańskich kościoły na cześć i chwałę prawdziwego Boga. Jednym z pierwszych kościołów była katedra, czyli tum w Poznaniu.

Śliczny to dziś kościół, wielki, o dwóch wysokich i kilku mniejszych wieżach, cały miedzią pokryty. Pa-

trząc na taki kościół, serce się raduje, dusza unosi się ku niebu, przejęta czcią ku Stwórcy Przedwiecznemu.

Ale tak, jak ją dziś wszyscy widzą, wygląda katedra dopiero od stu lat przeszło. Różne ona od początku swego przechodziła koleje i zmiany. W roku 1622 zniszczył gwałtowny pożar kościół z wieżami i kaplicami. Zajął się jej odbudowaniem biskup Andrzej Szołdrski, ale dokończył budowy dopiero jego następca. Druga ta katedra straciła wieże i dach przez burzę, która nawiedziła miasto 1725 r., poczym została naprawiona, lecz spłonęła w r. 1772, i dopiero w 14 lat nanowo wybudowaną została.

Najstarsza ta świątynia założona była w r. 965 pod wezwaniem św. Piotra i Pawła. Główną nawę tumu otaczają kaplice. Po prawej stronie nawy są kaplice św. Jana Kantego z posągiem arcybiskupa Dunina, św. Trójcy z pomnikiem biskupa Adama Konarskiego, potym jest kaplica N. Marji Panny, w której pochowany biskup Szołdrski w srebrnej trumnie; obok jest kaplica św. Stanisława Kostki, lecz przedzielona od poprzedniej kapitularzem, t. j. salą, w której kanonicy wybierają arcybiskupa.

Wprost za wielkim ołtarzem jest kaplica królewska, także «złotą» zwana. Po prawej stronie tejże, znajduje się grobowiec, mieszczący w sobie prochy Mieczysława I-go i Bolesława. Na przeciwnej stronie stoją dwa wielkie posągi tychże królów, dłuta sławnego Raucha. Mieczysław wskazuje ręką na krzyż, bo on zaprowadził chrześcijaństwo w Polsce, a Bolesław chwyta ręką za miecz, zwany szczerbcem.

Nad grobowcem jest obraz olejny, przedstawiający Bolesława Chrobrego i cesarza niemieckiego Ottona III, jak klęczy w Gnieźnie, przy grobie św. Wojciecha. Inny obraz przedstawia Mieczysława I, kruszącego bożki pogańskie. W ołtarzu jest prześliczny obraz Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny, rzadkie to i niesłychanie kosztowne obrazy. Są one malowane na drobniutkich, szlifowanych kamyczkach, bardzo szczelnie ze sobą pospajanych i nazywają się mozajką. Posadzka kaplicy wyłożona jest płytami z różnobarwnego marmuru. Sklepienie kaplicy jest całe wyzłacane, a na tle jego wymalowani są Święci i Święte nasze. Zobaczycie tam św. Wojciecha, św. Stanisława, św. Kazimierza, św. Jacka, św. Jana Kantego, św. Stanisława Kostkę i in.

Po lewej stronie królewskiej kaplicy są dwie za-

krystje, a za niemi kaplica św. Krzyża, zwana dawniej kaplicą Górków; obok są kaplice św. Franciszka i św. Cecylji z pomnikiem arcybiskupa Wolskiego. Ostatnia kaplica jest św. Jana Nepomucena.

Ołtarz wielki jest w guście nowym. Wierzch jego przyozdabia Wniebowzięcie Najśw. Panny, niżej Pan Jezus podaje klucze św. Piotrowi. Tabernakulum jest miedziane, posrebrzane i pozłacane.

Główną nawę katedry zdobią dwa marmurowe posągi, śś. Piotra i Pawła, które wykonał słynny rzeźbiarz Oskar Sosnowski w Rzymie, a ofiarował je katedrze arcybiskup Przyłuski.

E. Estkowski.

61. Kościół Panny Marji w Krakowie.

Któż nie słyszał o wspaniałym kościele Panny Marji w Krakowie i o wysokiej wieży marjackiej? Ambroży Grabowski, znamienity badacz starożytności krakowskich, z takim uwielbieniem wyraża się o tym kościele:

«Dawnych pamiątek skarbnica to bogata! Świątnica chwały Bożej, do której wszedszy, duch pobożnego człowieka skwapliwie wzlatuje ze czcią i modlitwą ku niebu, a tylko serce chyba z granitu nie wynosi z niej wrażeń, tchnących wiarą i ukorzeniem się przed wszechmocą Pana światów.»

«Jak Stwórca natury położył serce w pośrodku ciała ludzkiego, aby z niego żywot przechodził na wszystko ciało, tak wspaniały ten kościół znajduje się w rynku krakowskim, aby z niego pożytek duchowny rozlewał się na całe miasto.»

Kościół Panny Marji, stojący we wschodniej połaci rynku krakowskiego, najpiękniejszy u nas, jak zapewniają znawcy, pomnik architektury gotyckiej, jest pobożnym dziełem biskupa krakowskiego Iwona Odrowąża. Fundował on tę świątynię w roku 1226, więc blizko 700 lat temu, a przecież budowa trwa nienaruszenie, dzielnie opierając się zębowi czasu. Kościół ten, pokryty miedzią, zdobią dwie wysokie wieże, jedna wyższa, druga niższa. Na niższej znajduje się po dziś dzień 5 dzwonów, z których największy wniósł samotrzeć na wieżę Stanisław Ciołek, wojewodzic mazowiecki, o którym po-

wiadają, iż był tak silny, że gdy drzewo ścisnął, to woda z niego ciekła. Na wyższej znajduje się dzwon zegarowy.

Z wieży marjackiej wspaniały jest widok na Kraków i piękne jego okolice, ciągnące się aż do Karpat.

Wysokie i śmiało rzucone sklepienie w wielkiej łodzi kościoła wspiera się na 10 filarach ciosanych. Wnętrze obudza przyjemne zadziwienie, taka w całym kościele i we wszystkich jego częściach wspaniałość, powaga i harmonja. Ołtarze są murowane, a po części i z hebanu. Z trzydziestu i dwóch największy i najwspanialszy jest wielki ołtarz, owo słynne arcydzieło Wita Stwosza: dzieło, którego posiadaniem chlubi się Kraków.

Cały ołtarz wykonany jest z drzewa robotą snycerską, tudzież malowany i wyzłacany. Ambroży Grabowski tak mówi o tym ołtarzu:

«To najznamienitsze dzieło rzeźbiarskie w kraju naszym, potrzebowało niemałego czasu i znacznych materjalnych środków, zanim stolica kraju i ta świątynia nim ozdobiona być mogła. Lat 12 pracy strawił nad nim artysta, a fundusze niezbędne zaledwo przez połączone siły pobożnych mieszczan zebrać się dały.»

Kaplic w kościele Panny Marji jest 11, z których najpiękniejsza jest kaplica św. Jana Chrzciciela, fundowana przez bogatą familję mieszczan krakowskich, Bonarów.

Pomników większych i mniejszych, oraz napisów starożytnych i nowszych, tak wewnątrz jak zewnętrz jest w kościele Panny Marji przeszło 200. Samych grobów czyli sklepów pod kościołem do chowania ciał, które były i są własnością różnych rodzin, znajduje się 60. Kościół ten bogaty jest i w liczne, a niektóre piękne obrazy. Wzdłuż całego gmachu, pod oknami, około galerji, wiszą wielkie obrazy, wyobrażające dzieje Jezusa Chrystusa i Panny Marji.

Do najpiękniejszych ozdób starożytnych kościoła Panny Maryi, należą okna nad wielkim ołtarzem. Są to prześliczne malowania na szkle w starożytnym guście, których żywości farb, mianowicie gdy je poranne oświeca słońce, i gdy świetniejąc kolorami tęczy, łagodne przesiewają światło, nic wyrównać nie zdoła.

E. Estkowski.

62. Wisła.

Na całym obszarze wodnym tej północno-wschodniej części Europy, która tutaj jest opisana, trzyma Wisła przedniejsze miejsce. Ze wszystkich rzek, wpadających do Baltyku, jest ona największą, a jej szeroko i gałęzisto rozłożone dorzecze zajmuje prawie samą miazgę i sam środek tego obszaru. Daleko na wszystkie strony sięgają źródła i wierzchołki tych rzek, strug i potoków, których wody Wisła w półtorasta prawie milowym biegu z sobą uprowadza i do Baltyku odlewa.

W starożytnym świecie była ona znana pod nazwiskiem Wandali, także Wistuli, w Słowiańszczyźnie nazywają ją Białą Wodą; podobnież Niemcy nazywają ją po swojemu Weichsel.

Idąc od Żywca w górę, nad brzegami Soły, skręca się droga od brzegów Soły do Radziechowa w prawo ku zachodowi i prowadzi na wysokie działy, bo na działy samego Beskidu. Tutaj grzbietem Beskidu ciągnie się miedza graniczna Starej Polski i odkrywa się oczom widok rozległej Szląskiej krainy; z miejsca tego, na strzał gwintówki, w połowie najbliższej góry, która już ku Szląskowi spada, wytryska ośm silnych źródeł na północno zachodniej wklęsłości.

Góra ta zwana jest Baranią, świerkami obrosła kotlina nad źródłami Czarnym Wirchem; źródła te są to źródła Wisły, na 2,000 stóp prawie nad poziom morza wzniesione. Na przestrzeni 15 — 30 sążni od siebie, wachlarzem rozłożone, łączą się one trochę niżej w jeden potok i przybierają nazwisko Czarnej Wisełki, która w kierunku od wschodu ku północnemu zachodowi w nagłych spadkach po kamieniach lecąc, od miejsca, gdzie się już wszystkie źródła w jeden potok zlały, przebywa przestrzeń 1,500 sążni.

W miejscu Uść—Czarnej zwanem, wpada od prawego brzegu do Wisełki, Wolna, o pół mili z pod góry Rubawka, ze wschodu ku zachodowi płynąca. Niżej nieco zabiera Wisełka z sobą od tejże strony Białkę, z pod Skałki. Długosz podaje źródła tej Białki za właściwe źródło Wisły, do której się także odnosi nazwa słowiańska Białej Wody i niemiecka Weichsel. Na przestrzeni od ujścia Białki aż do wsi Wisły wpadają do Wisełki od prawego brzegu: naprzód potok Malinka, z pod góry Kopiec o milę;—następnie Gościejeca, z pod Smerekowca

o pół mili,—a w końcu Partażnik, krótki i nagły potok. Od lewego zaś brzegu zabiera z sobą Wisełka: Jawornik o pół mili z pod Beskidu płynący; dalej Dziechoń, o trzy świerci mili z pod Stożka; a wkońcu Kopydłę, która o milę od ujścia swego pod Kiczorą ma źródło.

We wsi Ustroniu poniżej wsi Wisły zabiera Wisełka wody Dobki i Bukowej i wielu innych pomniejszych rzeczek, a poniżej wsi Ustronia przybiera już sama nazwę Wisły i tu się zamyka właściwy obszar jej źródłowiska. Stąd po półtorej mili biegu, płynąc w kierunku ku północy, przybywa pod miasteczko Skoczew, gdzie się jej koryto już nieco ustalać poczyna. Dwie mile poniżej Skoczewa, od miasteczka Strumień, łamie się Wisła coraz więcej ku wschodowi i płynie równiną ku Polsce.

Pomijając Oświęcim, Zator, opodal płynie na Kraków aż do Niepołomnic ku wschodowi. Stąd poczyna się brać coraz więcej ku północnemu wschodowi, na Opatowiec i Sandomierz, aż do ujścia Sanu.

Od ujścia Sanu wykręca się ku pełnej północy i płynie w tym kierunku na Józefów i Kazimierz do Puław, potym obraca się coraz więcej ku północnemu zachodowi na Stężycę, Ryczywół i Warszawę; od Modlina łamie się zrazu ku pełnemu zachodowi, a potym ma się coraz więcej ku północnemu zachodowi na Płock, Dobrzyń, Toruń, aż do ujścia rzeki Brdy. Tutaj łamie się Wisła nagle ku północy i zachowuje już głównie ten kierunek aż do ujścia, pomijając Chełmno, Grudziądz, Gniew, Tczew i Gdańsk.

Poniżej miasta Gniewa rozdziela się Wisła na dwa ramiona, z których prawe odtąd Nogatem zwane, płynie na Malborg i do zatoki Fryskiej dwudziestoma odnogami wpada; lewe zaś pod «Głową», czyli po staremu językiem flisackim mówiąc, pod «Królewską przyłbicą» raz jeszcze rozdzielone, sięga jedną odnogą, zwaną Leniwką (od wolnego spadku), na zachodzie pod Myndą, morza, drugą styka się na wschodzie z zatoką Fryską i bywa tutaj zwana Szkarpawą, a niekiedy także Starą lub Elbląską Wisłą.

Szkarpawa (Skarbówka), dzieli się na ujściu na czternaście ramion i jest znacznie większą odnogą Wisły, ale nurt Leniwki jest głębszy, bo kopany.

Na rozwarciu tych ramion legły trzy wyspy: między Nogatem a Szkarpową położona wyspa jest nazwana Żuławami Większemi, czyli Malborskiemi; — między lewym brzegiem Wisły poniżej Gniewa, Leniwką i Motławą, położoną wyspę, nazywają Żuławami Mniejszemi

czyli Gdańskiemi — tę zaś, która na widłach Szkarpawy i Leniwki klinem siadła, a od północy morzem jest oblana, nazywają Mierzeją. Mierzeja jest piasczystym odpłóczyskiem fal morskich, szerokość jej wzrasta od 400 — 4,000 sążni. Żuławskie zaś ziemie powstały ze sztucznego ujęcia brzegów Wisły tamami, bo dawniej rozlewała się Wisła, na ujściu od Gniewa począwszy ku morzu, szeroką powodzią aż po Kwidzynę; dolina Wisły jest odchodziskiem morskim i Żuławy są tylko sztuką wodom wydarte.

Nogat, mając bieg o trzecią część krótszy od Leniwki, tym samym ma więcej spadku, i przestrzeń od Głowy do ujścia Leniwki o pół mili poniżej Gdańska (pod Myndą), zajmuje półszóstej mili. Stąd zabiera Nogat największą część wody, a Leniwkę zalegały coraz większe piaski, wiosną zaś robiła kra na zakrętach zatory i zagrażała Żuławom zniszczeniem. Od połowy Stycznia 1840 roku sparły się lody, ze średniej Wisły naniesione w łoże Leniwki, w miejscu, gdzie Mierzeja jest najwęższą. Równocześnie utworzył się zator z kry na początku Szkarpawy i Nogaty.

Wisła, nie mając w ten sposób kędy ulać wód swoich, wezbrała w brzegach i zagrażała zniszczeniem całej okolicy, wziąwszy całą potęgą swych wód wagę na Leniwkę. Aż 1 Lutego 1840 r. w nocy wyrznęła się nowym korytem wprost ku morzu około wioski Najfar, przerwawszy zaspy ruchomego piasku Mierzei na 120 stóp wysokie. Długość nowego biegu zajmuje 400 sążni, głębokość od morza 17—20 stóp, szerokość 300 sążni na początku, a 1000 przy ujściu. Największe okręty i całe floty mogą chodzić takim wartem, i spadek wód jest teraz raźniejszy, — Żuławom nie zagrażają więcej powodzie i spory kry, ale dawne łoże Leniwki, przerwaniem grobel, coraz większe zamulają piaski. Skutkiem tego Gdańsk pozostał na suszy i jest tylko dziś kanałem połączony z morzem. To nowe koryto Wisły nie ma dotąd nazwiska, a że się nim Wisła tak poczciwie i raźno ku morzu przebrała, nazwijmy ją tutaj «Śmiałą Wisłą». Całe dorzecze Wisły jest całkiem ku wschodowi wydane, a to tak dalece, iż pociągnąwszy linję z południa ku północy od źródeł do ujścia, leży cały jej obszar właściwie na wschodzie; w zagięciu zaś tego kolana, które Wisła ku wschodowi robi, legła Warta i Noteć swemi gałęziami.

W. Pol.

63. Do Wisły.

Śpiewał Klonowicz niegdyś twoje wdzięki,
Kiedy na twoich falach się kołysał,
I mówił, kreśląc o «Flisie» piosenki:
«By to być mogło, radbym złotem pisał
«Twoje pożytki, porty a i wstręty».
A ile razy patrzę na twe wody,
I na te stare po twych brzegach grody,
A po przylądkach widzę krzyż zatknięty,
Stoją przed duszą starzy gospodarze,
Wielcy dziedzice twojego porzecza...
I z Klonowiczem o tym «Flisie» marzę,
I o oraczach od krzyża i miecza.
Miło spoglądać Wisło na twe nurty,
Na te ładowne złotym darem burty...
Lecz jam cię poznał, gdzieś u źródła trysła,
Gdzie cię «Wisełką» góral zwie z miłości —
Toś też mi miłą niby dziecię Wisła,
Bom ja ukochał, co kochają prości,
I tak rozumiem, gdy na ciebie patrzę,
Że to i dobrze i znamy się dawno...
I lica twoje — dużo dla mnie gładsze,
Bo znam cię dzieckiem i niewiastą sławną.

Gdym u kolebki tego dziecka marzył,
Orzeł tatrzański nad głową się ważył,
I rzekł mu góral: «W naszej tutaj stronie
Zwą ją «Wisełką», bo wesoła, młoda,
I jest «Wisełką», nim minie Ustronie —
Tak ją nazwano tu w górach i rano,
A co tam dalej jej na wiano dano,
To pono lepiej wy, panoczku wiecie,
Co tam szeroko chodzicie po świecie».

Wincenty Pol.

---

64. Niemen.

Niemen po łacinie Curuntius, po niemiecku Memel zwany, dopiero w dziesiątym wieku wspominany, — ma źródła swoje na południowej pochyłości Pojezierza Litewskiego, u mnogich jezior, w okolicy bagnistej i wiel-

kiemi borami porosłej. O milę od swych źródeł ginie właściwy Niemen w dwóch małych rzeczkach, z których jedna Łoszą, a druga Usą jest zwana, i bywa od tamecznego ludu na tej przestrzeni aż do Piasecznej, zwany Kopanicą; stąd płynie już dalej pod nazwiskiem Niemna, wężykowato i w wielkich kolanach, zrazu ze wschodu na zachód, mimo Mohylna, Swierzna, Billicy, Mostów do Grodna, tutaj wykręca się nagle ku pełnej północy i przybywa w tym kierunku pod Kowno. Stąd łamie się znowu pod 55^0 północnej szerokości ku wielkiemu zachodowi, a następnie przybiera zupełnie zachodni kierunek i przestaje już na nim aż do ujścia swego, mijając Wielonę, Ragnetę i Tylżę. Dwie mile poniżej Tylży dzieli się koryto Niemna na dwie odnogi: z których prawa odtąd Rosą, także Rusą czyli Rudą jest zwana, lewa zaś Lilją — przez Litwę, a Gilgą — przez Niemców. Obydwie wylewają się do zatoki Kurońskiej; Rosa zaś dzieli się jeszcze na samym już ujściu na trzy nowe ramiona. Na rozwarciu tych obydwóch odnóg i onych ramionach pomniejszych legły żuławskie Zaniemeńskie ziemie, które przestrzeń 50 kw. mil zajmują, a z naniesionego leśnego żułu wód Niemeńskich powstały.

Górny bieg Niemna sięga Grodna, średni — Kowna, dolny nakoniec dosięga zatoki Kurońskiej. W prostym kierunku biorąc, są źródła Niemna od ujścia jego na 75 mil odległe, cała zaś długość biegu zajmuje przestrzeń 100 mil, więc na zakręty policzyć należy mil 35.

«Rzeka ta», mówi Długosz o Niemnie, «wykręca się tak krzywo i wężykowato, iż nieraz biorą flisowie ogień z ogniska wczorajszego, zakrętami koryta do niego zbliżeni».

Nieznaczne tylko wyżyny oddzielają go od dorzecza Prypeci na górnym biegu, a w okolicy Grodna, na początku średniego biegu swojego, styka się prawie Niemen z dorzeczem Wisły przez zapadłe bobrzysko, z którego rzeka Bobra ku Wiśle uchodzi.

Pod względem rozgałęzienia wodnego nie jest Niemen tyle ważną rzeką co Wisła. Dorzecze jego ciągnie się wązkim pasem, i w porównaniu długości swej nie ma odpowiednich ramion.

To sprawia także, iż rzeki wpadające do Niemna, okrom jednej Wilji, niewielki wpływ wywierają na właściwy mu kierunek. Potrzeba je tylko uważać jako wody posiłkowe, które jedynie potęgę głównego wartu wzno-

szą. Najznaczniejszym dopływem Niemna jest Wilja, a ta przebiega zaledwie przestrzeń mil 30.

Na górnym biegu płynie Niemen wzdłuż południowych stoków połogiego działu Pojezierza Litewskiego w płytkich brzegach korytem piaszczystym i zostawia na zakrętach szerokie odmiały.

Od Grodna do Kowna przerywa Niemen wpoprzek na przestrzeni 27 mil grzbiet Pojezierza Litewskiego. Wzdłuż tego wyłomu wjada się jego koryto w twardą caliznę skał kredowych, a z niej sterczą jeszcze nadto olbrzymie rumowiska i odtoki Skandynawskiego granitu. Przestrzeń ta jest pełna malowniczych piękności. Na chwilę uderzają tu oko górskie jakoby widoki, lecz na małą skalę, — strome i ostro szarpane zabrzeża na 50 — 100 stóp wysokości ciągną się opodal potężnego strumienia, który tutaj wartko uchodzi wzdłuż szerokich łęgów. Poboczne doliny, których brzegi w stromych ścianach spadają ku dolinie Niemnowej, odlewają tutaj podobnie górskim potokom, z szumem w nagłych spadkach swe wody, lubo u spokojnych jezior początek swój biorą. Ponurość puszczy znika, a rozkoszne chrośniaki i świeże zawoje lip, brzóz i dębów, wieszają się po wierzchowinie i po nagłych zboczach. Piękność tych widoków zamyka dolina Kowieńska. Poniżej zmienia się nagle kraj, brzeg opada, a nadbrzeżne wody cichną – bagniste zapadłe puszcze ciągną się dużemi płatami wzdłuż rzeki — spadek wód wolnieje i zrzadka dają się tylko tu i owdzie jeszcze spostrzegać odtoki granitu w łożu rzeki; ale gliniaste lub piaszczyste brzegi spadają jeszcze dosyć stromo ku wodom, dopókąd Niemen nie pominie Ragnoty, gdzie już ostatnie pozostają wzgórki. Stąd poczyna się właściwie obszar jego ujścia — kraj równy zupełnie i prawie bezleśny.

Najurodzajniejsze może ze wszystkich ziem żuławskich są Żuławy Zaniemeńskie, położone na ujściu obydwu Niemnowych odnóg, Rosy i Lilji; jest to kraj zupełnie równy, przekopami osuszony i gęsto przerznięty, a groblami utwierdzony i od wylewów bezpieczny.

Na całej przestrzeni biegu swojego uprowadza Niemen ciężkie namuliste wody mnogich puszcz, leśnych brodów i mnogich jezior — na średnim tylko biegu mają dopływy jego pozór górskich albo raczej podgórskich strug z powodu znaczniejszego spadku. Toż daje się powiedzieć nawet o największej, Wilji, której koryto całe wysoko leży w poprzecznej dolinie, t. j. na samym

grzbiecie Pojezierza Litewskiego, czyli tak zwanej Wysokiej Litwy. Wody Wilji uderzają tak potężnie na koryto Niemna, że się ono poniżej jej ujścia ku zachodowi skręca.

Jest to jedna z własności wód jeziornych, zwykły stan rzeki, którą one posiłkują, w jednostajnej utrzymywać wysokości; stąd też Niemen u źródła jest już prawie spławny; od Mohylna chodzą już wiciny i bajdaki po nim, a od Kowna nawet powiększe berlinki.

Pod Grodnem, gdzie Niemen jest jeszcze o 68 mil oddalony od ujścia swojego, leży powierzchnia wód jego na 345 stóp nad zwierciadłem morza, a powódź wód zwyczajnych rozlewa się na 40 do 116 sążni szeroko; spadek wód jest nagły, a żegludze stoją często na przeszkodzie rafy i z wód sterczące kamienie, mianowicie zaś wadzi to statkom pod wodę holowanym, lubo wielką część tych raf jeszcze dawnemi uprzątnięto czasy.

Od Kowna wolnieje spadek wód — łoże Niemna jest odtąd bez zawady i leży tu 71 stóp tylko jeszcze nad zwierciadłem morza, a powódź wód w zwykłym stanie rzeki rozlewa się na 133 sążnie szeroko i uchodzi poważnie ku morzu po równej prawie podłodze.

Kiedy lody po brodach, puszczach i jeziorach puszczają na dorzeczu Niemnowym, a kra idzie i spory robi, wylewa Niemen szeroko, a mianowicie na dolnym biegu i w okolicy Żuław Zaniemeńskich, czyli na tak zwanych nizinach Tylżyckich. Tu wznosi się nieraz powódź na 21 stóp nad zwykły stan wody, przerywa groble i zalewa całe okolice.

W czasie wezbrania wód niesie Niemen zawały i wielkie kłody, które się tam dopiero zbierają, gdzie rzeka na dolnym biegu wolnieje w spadkach. Tu okrywa się cała powierzchnia wody niekiedy temi płynącemi zawałami drzew na przestrzeni od Tylży aż do ujścia i cała okolica Żuław Niemnowych, która — jak mówiłem—jest bezleśna, opala się tym łapanym drzewem.

Cała dolina Niemna legła w owym najgłębszym wyżłobieniu historycznego obszaru Polski, stąd pochodzi bogactwo wód jego, które należą głównie do rodzaju wód leśnych i jeziornych. Rzeki, które z sobą uprowadzają, nie płyną na wielkiej przestrzeni, ale zbierają się po leśnych brodach i puszczach, lub biorą początek u mnogich jezior na grzbiecie Pojezierza Litewskiego. Leśne i jeziorne wody zlały się tu wspólnie tak na górnym, jak na średnim biegu Niemna; stąd pochodzi i bo-

gactwo wód jego i donośność tych wód, zwłaszcza że Litwa jest już z nazwy swojej «Lituwa zema» to jest: ziemia dżdżysta. Klimatyczne tedy stosunki wyrażają tu się najwierniej w stanie wód bieżących.

Niemen nie wpada wprost do morza, — to wyznacza mu podrzędne stanowisko w rzędzie rzek Bałtyckich. W systemacie wszakże kanalizacji odgrywa on pod względem stosunków wodnych i połączeń pomiędzy Wisłą a Dnieprem wielką rolę, jak to ujrzymy przy linjach kanalizacyjnych, które do Niemna przypierają i środkową Polskę i Litwę z kotliną Pińską na wodnej drodze łączą.

Muszę tu zrobić uwagę, że pierwsze wiosenne wody na Niemnie, które kry i lody znoszą, nazywają się litewskiemi — drugie zaś ruskiemi wodami, które wtenczas przybywają na dorzeczu Niemnowym, kiedy na wierzchowinie północnej śniegi i lody poczynają tajać wskutek ocieplenia się powietrza. W powszechności zaś można tu powiedzieć, iż z powodu dżdżystego nieba i stosunkowo większego przybliżenia do morza, jest na dorzeczu Niemna każda mniejsza rzeka nawet spławna, ba nawet każda struga i przekopa zdoła już unieść spław, który częstokroć już od źródłowych jezior się rozpoczyna.

W. Pol.

---

65. Do Niemna.

Powiedz mi, Niemnie! puszcz obywatelu,
Które ci strony twych porzeczy miłe?
Któreś ukochał z tych zabrzeży wielu?
Czy leśne łąki i puszcze zawiłe?
Czy piękne skały, kędy płyniesz kręto,
Gdzie twe zabrzeża strojne jak na święto,
Wdzięcznie się sklepią gajmi lipowemi,
I miło szumią wodami leśnemi!

Czyliś ukochał może te powiaty,
Gdzie, jak kniaź Litwy władny i bogaty,
I nie ujęty w obcej woli karby,
Na morze niesiesz starej Litwy skarby?
Pytasz, czy sądzisz, że ja nie mam serca,
Kiedy się z sercem po mych brzegach rodzą?
Miłać woń wprawdzie leśnego kobierca,
Lubię szum puszczy, gdy nią wiatry wodzą.

Lubię zakręty skalistych ustroni,
I woń miodową, którą lipa roni;
Ale najcudniej świat mi się układa,
Gdzie droga Wilja w me ramiona pada,
I najwdzięczniejsza Kowieńska dolina
W całym dziedzictwie kniazia Giedymina...
Bo jak kobierzec ślubny się rozściela,
I wiecznie świadkiem naszego wesela...

Wincenty Pol.

---

66. Z Tatr.

Po raz pierwszy w całej okazałości pokazują się Tatry z wysokości Gorca, tak zwanego pasma gór, na którym kościół świętego Krzyża stoi, ponad drogą wiodącą od Rabki do Nowego Targu. Widok ten jest tak uderzający, iż niepodobieństwem jest tu się nie zatrzymać i nie oddać mu się z całym zajęciem duszy. Najbliższe pasma Tatr są tu w prostym kierunku na sześć, siedm, do dziewięciu mil oddalone, a pomimo to wydają się tak blizkie, iż zda się, że wyciągnąwszy rękę, sięgnąć ku nim można!

U stóp Gorca leży dolina Nowotarska, równa i zielona, przerznięta wodami obu Dunajców i Białki, a z tej równiny podnoszą się odrazu skaliste turnie Tatr ostremi linjami, kolorytem swoim i oświeceniem każdej chwili dnia i nocy zupełnie odmienne od reszty krajobrazu.

Tatry nie mają ani lodowców ani linji wiecznego śniegu, lubo już na tej wysokości bywa gdzieindziej linja śniegów wieczystych; one wszakże, na wszystkie strony dostępne polskim i węgierskim wiatrom i burzom, które się około nich głównie gromadzą, albo od nich ku równinom Polski i Panonji ciągną, nie wstrzymując się na podgórzach, nie mają linji wieczystego śniegu, bo zmienność temperatury nie pozwala jej się ani utworzyć ani stale utrzymać. Stąd zachodzi główna różnica pomiędzy widokiem i oświeceniem Alp a Tatr.

Kończyny Alp, lodowcami i śniegami wiecznie okryte, bledną, oświecają się coraz więcej ku górze i przechodzą prawie w jasny seledyn, w którym gra słońce; stąd wydają się widoki alpejskie najuroczyściej w pełnym oświeceniu słońca lub księżyca... W kolorycie Tatr brak tych dodatnich kolorów; szaro odrzynają się turnie na niebie, ciemna lub ruda zieloność i granat przeważa

w całym krajobrazie. Najpowabniej wyglądają tedy Tatry z oddalenia widziane, oświecone wschodem lub zachodem słońca, kiedy się turnie ostremi linjami oświecą, a olbrzymie cienie turni na całe mile przewleką!

Widok olbrzymich mas, tak dziwnie oświeconych i ukolorowanych, wprawia umysł w jakieś urocze osłupienie, w jakieś zapomnienie i zadumanie nieznane. Bo wszystkie kolory tęczy grają tu w miarę oświecenia, — cała dusza żyje w oku. A zaczarowanie to powiększa jeszcze gra ruchomej mgły, widokom tatrzańskim właściwej, która z każdą chwilą krajobraz odmienia — i wieczysty szum wód górskich, który duszę, zachwyconą widokiem, w tym zaczarowaniu utrzymuje!... I zdaje się patrzącemu na ten świat, że się jakiś wielki dramat w naturze odbywa!... Wszystko jest tu wieczyście spokojne i wieczyście żywe! A kiedy urodzajne równiny nasze są niejako prozą natury — góry nasze są jej poezją! Ta poezja natury wyraża się głównie kontrastem ruchomych mgieł i szumu wód — względem niezmiernego spokoju olbrzymich mas! Tak pełną piersią, tak czystym powietrzem nie oddycha się nigdzie!...

W pobliżu Morskiego Oka droga jest znacznie utrudniona, bo zawalona blokami granitów; ale jakże wynagradza trudy przebyte widok tego Morskiego Oka, gdy się już na grobli stanie! Prześliczne jezioro rozlewa tu się w olbrzymiej kotlinie, którą dokoła obstąpiły nagie turnie, wznoszące się pionowo prawie z nad brzegów jeziora! Wody jego są czyste i przezroczyste, mieniące się podług oświecenia i pogody dnia. Koloryt tych wód jest tak żywy w pełnym oświeceniu słońca, iż tu dopiero podobieństwo do granatu pawiego oka w wachlarzu pawia jest uderzające! Zwykle przybierają wody kolor nieba; niesłychana wszakże głębia nadaje tu wodom zupełnie odrębny i właściwy koloryt żywego seledynu po brzegach, a mocnego mieniącego się granatu po toniach. Wody są tak przezroczyste, iż każdy kamień na dnie leżący jest widny i ze znacznej nawet odległości widać pstrąga płynącego w wodzie, a nadto jeszcze cień jego przesuwający się na dnie jeziora.

Na pierwszy rzut oka nie wydaje się Morskie Oko tak obszernym, jak jest wistocie; wszakże gdy się brzegi ożywią, gdy się podróżni i górale rozsypią po brzegach i turniach, a na oko niby niewiele oddaliwszy się, wyglądają jak małe, szare, ruchome punkciki—wówczas dopiero rośnie widok ten w olbrzymie rozmiary!... I śmiało można

powiedzieć, że jezioro staje się tym większym, im dłużej przy nim się bawi. Na grobli znajduje się szałas, ku wygodzie podróżnych zbudowany, na brzegu pod szałasem upięta jest duża tratew, na której kilkunastu ludzi przewieźć się może ku przeciwległym brzegom. Otóż wówczas dopiero, gdy ta tratew w połowie jeziora już płynie — wydaje się jak ciemna linijka, posuwająca się po kryształowej powierzchni... I wówczas dopiero ocenić można — czy to patrząc za płynącemi od brzegu, czy płynąc samemu na tratwie — co to za wielkie jezioro! jak olbrzymie masy gór dokoła je obstąpiły!

Gdy się zbliżamy do przeciwnych brzegów, słyszymy cichy szum wody, który z każdym uderzeniem wiosła rośnie. Pionowa prawie ściana wznosi się z brzegów jeziora do połowy turni, a wielkie smugi, niby śniegu, przeciągnęły się po niej pasmami. Smugi te wydają się nieruchome; wszakże w miarę dopiero przybliżania się i rosnącego szumu, poznaje każdy, że to są żywe wody, które z tej wysokości urywają się, spadając w pionowych prawie spadkach z jeziora, które się wyżej jeszcze rozlało, w nowej kotlinie wśród samych już turni... Wodospad ten nazywają Roztoką, a jezioro, z którego wypływa, Czarnym stawem. Skała, po której ten wodospad spada, wydaje się z oddalenia pionową i jest rzeczywiście taką; po łomach jednak olbrzymich bloków prowadzi obok niego ścieżka na wierzch tego skalistego upłazu, gdzie się w wielkiej kotlinie Czarny staw rozlewa... Nie darmo tak go nazwano — jest to kraina śmierci!

Dzikość natury występuje tu i we wszystkich linjach i w całym kolorycie!... A kiedy kotlinę okryją mgły, pomiędzy szczytami turni zawisłe, szarym niby sklepieniem — wówczas kotlina jeziora wygląda jak czarny, przepaścisty krater, który pod nogami zieje... Tu już niema ani rośliny, ani żadnego głosu natury! Wodospad tylko zdaje się żywą rozpaczą wód, lecących w przepaść!... Jeżeli gdzie, to tu człowiek pragnie strzałami obudzić echo niemych skał, ażeby choć za jego przyczyną ozwał się grzmot echa po górach!...

...Wyraźna jakaś tęsknota ogarnia serce, gdy przyjdzie rzucać Tatry, a one w miarę oddalenia zdają się rosnąć coraz bardziej.

Dolina Nowotarska zamyka się na wschodzie dwiema nagiemi skałami. Jak orle gniazda siadły tu dwa zamki na początku skalistego wyłomu Dunajca, naprzeciwko siebie: po naszej stronie wznosi się śmiało Czor-

sztyn, sławny pamięcią starego swego dziedzica, Zawiszy Czarnego; po węgierskiej — zamek Niedzica, założony tu niegdyś, na tym pograniczu, przez polskich rycerzy z domu Gryfitów. Czarny i Biały Dunajec w połączeniu z Białką płynie tu szerokim, okazałym łożem... Szum jego wód odpowiada rozmiarom Nowotarskiej doliny, a kolor jego wód jest tu prześliczny.

Od Czorsztyna poczyna się wyłom Dunajca przez Pieniny. Tak nazywają się skały, które on przerywa, a które pionowo do wód jego spadają... Od Czorsztyna wsiada się na łódkę, bo tylko z łódek dają się obejrzeć wszystkie piękności tego skalistego wyłomu, którym Dunajec płynie na przestrzeni kilku mil od Czorsztyna do Krościenka. Potrzeba sobie tedy wyobrazić jednolitą, skalistą masę, przeprutą łożyskiem najszumniejszej rzeki, w biegu bardzo krętej, tak, że każda chwila na każdym zawrocie Dunajca coraz nowe ściany, przepaści i żłoby odkrywa i coraz inne odsłania widoki!.. Dodać tu trzeba, że łoże rzeki jest na całej tej przestrzeni najeżone skałami, progami i wirami, pomiędzy któremi z niesłychaną szybkością łódka się przemyka lub z których razem z pieniącemi się wodami spada. Na spadku tych progów biją fale nieraz prawie na sążeń od łódki!... I nie wiedzieć, co jest bardziej zajmujące: czy wrażenie tych coraz nowych widoków, które się na każdym zawrocie rzeki odsłaniają, czy myśl o sobie i niebezpieczeństwie, czy o tych czarach, które pochwycają duszę?...

Nieraz zapędzi się łódka z taką gwałtownością ku skale, zamykającej cały widnokrąg, iż zdaje się, że niechybna zguba tu grozi! Ale góral sterujący na przedzie, odtrąci się wiosłem od skały, popchnie na prąd łódkę na nagłym zakręcie rzeki — i odrazu odkrywa się nowy widok całego wyłomu, przy którym o niebezpieczeństwie zapomnieć potrzeba. Z nagłych progów spadszy, wypływa łódka na kryształowe tonie, które spokojnie jak jezioro stoją... Sternik odkłada wiosło, łódka płynie tak spokojnie, iż ledwo poruszać się zdaje, a sternik zaczyna rozpowiadać legiendy o św. Kindze, która tu w tych Pieninach z ludem pospołu żyła w zamku pienińskim, zwanym Koroną św. Kunegundy.

Nic nie równa się z tą przejażdżką na łodzi przez Pieniny! Są to niby resztki szalonego karnawału natury górskiej! I każdemu, co Tatry zwiedza, radzimy zakończyć tę wyprawę przejażdżką na szumnym Dunajcu!...

Wincenty Pol.

67. Pieczary Bialskie.

Z listów Janka przepisała Z. Urbanowska.

I.

Marzenie moje spełniło się: ze stryjostwem i całą ich rodziną pojechałem na lato do Zakopanego; ujrzałem góry i byłem w wielu pięknych miejscach. Ale jedna rzecz spać mi nie dawała, i nie tylko mnie, ale także moim stryjecznym braciom: były nią pieczary bialskie. Kto tylko stamtąd powrócił, opowiadał takie cuda, że aż się gorąco robiło, słuchając. Jakeśmy zaczęli stryja i stryjenkę prosić i zaklinać, tak nareszcie obiecali, że nas tam zawiozą — i pewnego ranka siedliśmy na wózek góralski, wielką płócienną budą nakryty.

Jechaliśmy przez Poronin, Bukowinę, Jurgów, nad brzegiem rzeki Białki, mając ciągle widok na Tatry, których zarysy, w miarę jak posuwaliśmy się ku węgierskiej granicy, stawały się coraz ostrzejsze, coraz dziksze. A najwspanialej przedstawiał się Murań i Hawrań. Góral nasz odwrócił się do nas i, wskazując na te dwa olbrzymy, zapytał:

— Widzą oni hań te wirchy?

— Widzimy, widzimy! — odpowiedzieliśmy.

— No, to ja im powiem, że tam je ta grota!

— Tam są owe sławne pieczary! — zawołałem, i serce mi mocno bić zaczęło. Od tej chwili nie spuszczałem prawie oczu z tych dwóch gór, świecących zdaleka białością, pokrywającego je śniegu, a gdy przypadkiem wóz zwrócił się w inną stronę, lub spuścił się w dolinę, ogarniał mnie niepokój, i choć konie szły dość raźno, zdawało mi się, że się wloką jak żółwie.

Nie będę opisywał ani szumiących potoków, ani kwiecistych łąk, ani jarów głębokich i stoków górskich, lasami świerkowemi pokrytych, jakieśmy przebywali, bo wszystkie te piękności powtarzają się w Tatrach na każdym kroku. Powiem tylko, że odpocząwszy nieco w Podspadach, ruszyliśmy znowu przez Żdżary ku Węgrom, na Śpiż i zjechaliśmy w dolinę Kotliny, gdzie w pięknym, malowniczym otoczeniu, rozsiadła się osada kąpielowa Biała, po węgiersku Bela, osada nie mająca, prócz nazwiska, nic wspólnego z miastem Bela niedaleko stąd leżącym.

II.

Słońce już zaszło, gdy zajeżdżaliśmy przed wspaniały piętrowy hotel, stojący w parku, w otoczeniu ślicznych domków szwajcarskich. Przed hotelem bił wysoko w górę wodotrysk, z którego woda spadała do wielkiego basenu, roztaczając dokoła miły chłód. Wiele osób siedziało tu na ławkach słuchając muzyki, a więcej jeszcze spacerowało po wygodnych ścieżkach żwirowych. Ja zaraz zapytałem, w której stronie znajdują się owe pieczary; pokazano mi stok góry, wznoszącej się prawie stromo naprzeciw hotelu i noszącej oryginalną nazwę: «Kobyli Wierch», i objaśniono mnie, że wznosi się ona 3,470 stóp nad poziom morza.

Zaniesiono nasze rzeczy do numeru na górę, gdzie stryj kazał przynieść herbatę. Po jej wypiciu poszliśmy spać, bo czuliśmy znużenie całodzienną prawie podróżą na wózku trzęsącym, a że już zmrok zapadł, więc nie było co myśleć o obejrzeniu miejscowości, ani o przechadzce po pięknym parku.

Moi bracia stryjeczni zasnęli wkrótce, ale ja długo leżałem z otwartemi oczyma, myśląc o tych pieczarach. Przez mały, okrągły otwór w okiennicy, wpadał promień światła latarni, stojącej przed hotelem i odbijał się na drzwiach—a mnie się wydało, że jest podobny do okrągłej bryły złota, i gdy usnąłem, śniło mi się, żem znalazł w pieczarach skarb, którego, jak pisze w swoim «Przewodniku» Walery Eljasz, napróżno tu szukali w r. 1881 mieszczanie bialscy: Hus, Britz, Kalkstein, Werbowski a zamiast złota, odkryli w rozpadlinach cuda podziemne o których zaraz wieść gruchnęła po świecie. Widziałem trzy wielkie skrzynie: jedna pełna była złota, druga srebra, a trzecia pełna drogich kamieni i nie pilnował ich żaden smok.

Zacząłem rozmyślać, co też ja zrobię z takim wielkim bogactwem, i umyśliłem, że skrzynię z drogiemi kamieniami oddam stryjostwu, żeby im choć tym sposobem okazać wdzięczność za opiekę nademną, a wiem że im się przyda, bo stryj często wzdycha i narzeka na ciężkie czasy. Tę drugą, pełną złota, poślę kochanej pani, żeby rozdała sama biednym, nad których niedolą cierpi i dla których uczy nas miłosierdzia. Dziewczynki dają co mogą, posyłają roboty własnoręczne, bieliznę, pieniądze, ja zaś jako chłopiec igłą władać nie umiem, a pieniędzy własnych nie mam, nic więc od siebie ofia-

rować dotąd nie mogłem; ale teraz sobie za to wszystko wynagrodzę! Tę zaś trzecią ze srebrem, podzielę się z biedniejszemi kolegami szkolnemi i będą mieli za co kształcić się dalej. Ale jak takie wielkie i ciężkie skrzynie wynieść samemu z pieczar? Czy ja temu poradzę? Gdym się tym zaczął bardzo kłopotać, obudziłem się, skarb zniknął, a zamiast niego zobaczyłem stryjenkę, która kazała mi ubierać się prędko, bo już była dziewiąta godzina. Bracia moi także już wstawali i ubierali się na wyścigi: wszystkim było pilno do pieczar.

Zeszliśmy do restauracji na kawę i tam dowiedzieliśmy się, że dopiero o jedenastej pójdzie do grot owych wyprawa, i że będzie około dwudziestu osób, wszystko Węgrzy i Niemcy. Zanim to nastąpi, poszliśmy przejść się po drodze bitej, prowadzącej do miasta Kesmarku i po pięknym parku, przez który płynie rwący potok, zwany Białym.

Odpoczywaliśmy właśnie na ławce, gdy dał się słyszeć głos dzwonka, wzywający do wyprawy. Zaczęliśmy biedz w stronę domu Zarządu osady tak prędko, że stryjostwo zaledwie zdążyć mogli za nami, bo baliśmy się, żeby wyprawa nie ruszyła bez nas. Ale po przybyciu na miejsce, przekonaliśmy się, że obawa była zbyteczną. Zostawało jeszcze kwadrans czasu. Stryj zapłacił za każdego z nas po jednym złotym austryjackim i dwadzieścia pięć centów, bo to była niedziela, a w niedziele i święta opłaty za wejście są zniżone, i już za te pieniądze zapalają w pieczarach około tysiąca świateł.

Zanim puściliśmy się w drogę, przewodnik zapytał, czy kto z nas nie jest słaby na nogi, bo trzeba będzie przebyć trzy tysiące schodów w rozmaitych kierunkach, nie licząc spadzistych krużganków, i że półtrzeciej godziny będziemy chodzili po pieczarach bez odpoczynku prawie, a do pieczar musimy iść pół godziny, około 700 stóp w górę. Naturalnie, odpowiedzieliśmy, że wszyscy jesteśmy zdrowi — a choćby nawet który z nas czuł się słabym, to by się w tej chwili nie przyznał. Nawet stryjenka, zawsze delikatna i męcząca się bardzo łatwo, nie wyrzekła ani słowa.

Przewodnik dał znak i z dwoma ludźmi, niosącemi jakieś przedmioty, ruszył naprzód, a my wszyscy za niemi. Powoli, żeby siły do pieczar zachować, wstępowaliśmy na Kobyli Wierch, wygodną żwirową drogą, po nad którą jodły, świerki, klony, szeroko rozciągały konary, a miejscami błyszczała czerwonemi koralami jarzębina.

A jakie tam paprocie wspaniałe u pni drzew wyrastały! co kwiatów było przepysznych! Jaskry, niezapominajki, kaczyńce, dzwoneczki, tojady, smółki, storczyki, białe skalnice czepiające się skał i z ich szczelin wyrastające, i nad wszystko piękniejsze szafirowe goryczki, wreszcie nawłoć czyli różczka złota, którą podobno ci, co tu złota szukali, brali z sobą jako talizman, aby łatwiej złoto odnaleźć.

Prawdziwy to był dla mnie raj ta obfitość pięknych kwiatów, a że miałem z sobą puszkę z zielonej blachy, towarzyszącą mi nieodstępnie na wszelkich wycieczkach, że na ławeczkach stojących po drodze starsi dość długo spoczywali, więc miałem czas nazbierać tych wszystkich kwiatów i zanim doszliśmy do celu podróży, puszka moja była prawie pełna. Tadzio i Adaś, nie tak zapaleni do botaniki jak ja, poprzestawali na patrzeniu i żartowali z mojej gorliwości.

III.

Droga skręciła na lewo i zaraz ujrzeliśmy z jednej strony mały drewniany domek, stojący na urwisku nad przepaścią, a z drugiej wielki otwór w skale, podmurowany wokoło i mający kształt bramy zamkowej. Było to wejście do pieczar. Wszyscy trzej wymieniliśmy spojrzenia i wyczytali w nich wzajemnie gorączkową ciekawość, obok uczuwanej skrycie, niewytłómaczonej jakiejś obawy; ale główny przewodnik minął ten otwór i skierował się do domku. Tam odbyła się wielka przemiana strojów, zakrawająca na maskaradę. Panie zdejmowały spódnice i okrycia i kładły je podszewką na wierzch — to samo czynili panowie, kładąc oprócz tego na obuwie sięgające do kolan płócienne kamasze, których stosy leżały tam przygotowane. Tak poprzebierani siedzieliśmy na ławce odpoczywając, aż przewodnik wezwał nas, mówiąc:

— Proszę państwa do pieczar!

Zerwaliśmy się wszyscy i szliśmy za nim, a dwaj ludzie z zapalonemi pochodniami poprzedzali ten orszak. Jeszcze kilkanaście kroków dzieliło nas od jaskini, a już poczuliśmy wiejące z niej lodowate zimno, a gdy przestąpiliśmy jej progi, zacząłem prawie drżeć od chłodu. Jak to dobrze, że stryjenka nie pozwoliła nam zdjąć paltotów i pozostawić w domku, bobyśmy się z pewnością

pozaziębiali! Po jasnym blasku słońca, ciemności jaskini wydały mi się przerażające. Pochodnie, niesione przez przewodników, oświecały drogę tylko dla idących przodem, pozostawiając resztę towarzystwa w zupełnej ciemności. Że zaś stąpaliśmy po gruncie nierównym, zasłanym większemi i mniejszemi odłamami skał, więc co chwila potykałem się o nie i chwytałem ścian, po których sączyła się wilgoć. Chwyciłem Adasia za rękaw i zapytałem.

— Nie boisz się?

— Nieee — odpowiedział niepewnym głosem — ale słuchaj Janek, co to będzie jeżeli się sklepienie na nas zawali?

— Ha, to zginiemy! – odpowiedziałem z rezygnacją, a Tadzio zawsze udający zucha, odezwał się:

— Zginiemy, to zginiemy; raz przecie trzeba umrzeć! I na dowód odwagi wysunęliśmy się naprzód i szli odtąd tuż za przewodnikiem; blizkość światła dawała nam bohaterskie męstwo i pogardę śmierci.

Minąwszy długi korytarz i grotę, zwaną Dziką jamą, zeszliśmy po schodach obślizgłych od wilgoci i opatrzonych drewnianą poręczą, do głębi, gdzie stalaktyty zaczęły się już pokazywać na ścianach, podobne do kędzierzawej wełny.

— To jest „Sala śpiewaków“ — rzekł przewodnik, zapalając drut magnezjowy.

Wśród olśniewającej białości tego światła, ujrzeliśmy ogromną salę, na sklepieniu której stalaktyty przypominały kształtami obłoki. Przy jednej z bocznych ścian tworzyły ambonę, przy drugiej baldachim, a w głębi wspaniały wodospad. Jeden z naszych towarzyszy zaśpiewał strofkę jakiejś pieśni węgierskiej, a głos jego rozbrzmiewał w podziemiu potężnie. Staliśmy zasłuchani, nasycając zarazem oczy widokiem wspaniałym, nigdy bowiem w życiu żaden z nas nie widział stalaktytów ani stalagmitów. Wiedzieliśmy wprawdzie, że pierwsze są to bryły kryształów, zwieszające się z wysokich sklepień w fantastycznych kształtach, niby sople lodu: że drugie, są to takie same sople, z dołu wznoszące się do góry — ale na własne oczy nie widzieliśmy tego nigdy.

— Chłopcy — odezwał się nagle stryj — potraficież mi powiedzieć, skąd się wzięły te niezmierne bryły kryształów?

Tadzio i Adaś milczeli, namyślając się, a ja odpowiedziałem:

— Woda przesiąkając przez skały, zabierała z sobą i rozpuszczała cząsteczki wapienne, których niedojrzane okiem ilości, wraz z kroplą wody przeciskały się przez sklepienie jaskini, osiadając na nim i twardniejąc po ulotnieniu się wody. Następnie krople spływały po tym osadzie, rosnącym coraz bardziej, i tak powstały bryły skrystalizowanego wapienia.

— Dobrze, chłopcze — odpowiedział stryj — widzę, żeś zasłużył na swój stopień celujący z nauk przyrodniczych. A teraz ja wam powiem, że te krople wody tak powolnie ściekają, a osad twardy oddziela się w tak niedojrzanych cząsteczkach, że przez bardzo wiele lat nie można dostrzec najmniejszej zmiany w postaci tych stalaktytów. Pomyślcie tylko, ile to tysięcy lat składać się musiało na to, co tu widzimy, na ten kamienny wodospad, tę ambonę i ten baldachim!

IV.

Na lewo od „Sali śpiewaków“ ciemniała „Djabla dziura“, wodą u spodu zalana, i jak nas objaśnił przewodnik, głęboka na kilkadziesiąt łokci. Kamień przez niego rzucony obijał się przez kilka chwil o skały, zanim wreszcie posłyszeliśmy plusk wody, którą on uderzył.

Dalej przed nami wznosiła się wysoka, blado-żółtawa stalaktytowa ściana, zwana „Parnasem.“ Po przymocowanych do niej schodach przeszliśmy do innej groty z olbrzymim na środku stalagmitem, nazwanym przez Węgrów „Hełmem Arpada,“ z powodu podobieństwa do hełmu tego słynnego władcy hunnów, który Węgry zdobył i przez lat dwadzieścia stał na czele narodu. W mały otwór, znajdujący się w tym hełmie, wszyscy kładli swoje bilety wizytowe: my zaś chłopcy nie mieliśmy biletów, ale włożyliśmy wydarte z notesików karteczki, z wypisanemi na nich naszemi nazwiskami.

Staliśmy w milczącym podziwie, przypatrując się temu olbrzymiemu hełmowi, przypominającemu nam bajki o wielkoludach, gdy nagle okrzyk zachwytu wydarł się z naszych piersi. „Hełm Arpada“ i cała grota, oblane zostały czerwonym światłem ognia bengalskiego. Był to prawdziwie czarodziejski widok! Zachwyconemi oczyma wodziliśmy po sklepieniu, najeżonym stalaktytami blado różowemi przy świetle pochodni, a teraz oblanemi purpurą; po głębiach pieczar, tonących w tajemniczym

mroku i po tym hełmie, który zdawał lekko drżeć przy migocącym się świetle—jakby wielkolud kryjący się pod ziemią poruszał głową chcąc wyjść ze swego ukrycia — gdy nagle zjawisko znikło, i zostaliśmy tylko przy pochodniach, które teraz wydawały nam się jak nędzne płomyki. Tu dodać muszę, że oprócz pochodni, oświecających nam drogę z przodu, wszędzie spotykaliśmy setki świateł, rozświecających zagłębienia pieczar, ale światełka te błyszczały jak blade, zaledwie dojrzane gwiazdeczki. Jacyś ludzie idący na kilkanaście kroków przed nami, zapalali je za naszem zbliżaniem się, a za nami znów szli tacy, co je gasili, widać dla tego, żeby się świece nie wypalały niepotrzebnie.

Stąd zwróciliśmy się na lewo do miejsca, na którego określenie wyrazy: grota, pieczara, nie starczą — trzeba je chyba nazwać otchłanią! Tak ogromne są jej rozmiary, że całej nawet okiem objąć od razu niepodobna. Przewodnik nazwał ją „Katedrą Kalksteina,“ jednego z odkrywców tych pieczar. Żeby ją lepiej obejrzeć można, urządzono schody mające około siedmdziesięciu łokci wysokości. Gdy weszliśmy na nie, a przewodnik zapalił drut magnezjowy, ujrzeliśmy ściany, o jakich nawet w bajkach nie słyszano, ściany ze skamieniałych wodospadów!

— Ach! — szepnął mi Tadzio do ucha — ktoby to pomyślał, że małe, niepozorne kropelki wody wapiennej, potrafią takie cuda potworzyć!

Z „Katedry Kalksteina,“ przez wązką szczelinę przesunęliśmy się do niewielkiej komnaty, zwanej „Gabinetem posągów.“ Jestto prawdziwe muzeum stalaktytów i stalagmitów poustawianych na ścianach i na ziemi. Na samym wstępie występuje jakby na powitanie stalagmitowy posąg z wyciągniętą ręką i zaprasza do wejścia, a barwa jego bladoróżowa i przezroczystość czynią go podobnym do jakiegoś nieziemskiego zjawiska.

Wróciliśmy na dół na «Parnas,» długim korytarzem, noszącym nazwę «Drogi wędrówki», należącym, jak stryj się wyraził, do najciekawszych zjawisk natury. Co krok, to spotykały nas na tej «Drodze wędrówki» nowe niespodzianki: tu kaplica, w której nie brak nawet chrzcielnicy napełnionej wodą, tam cmentarz pełen mogił i nagrobków! Teraz znowu okrzyk zachwytu wyrwał się z piersi naszych: zapalono ogień bengalski i niebieskawe światło oświeciło cały cmentarz. Sprawiło ono na mnie dziwne wrażenie. Zdawało mi się, że tu naprawdę śpią

snem wiecznym umarli, że duchy lada chwila chodzić zaczną i chciałem mówić pacierz. Spojrzałem na moich towarzyszów: wszyscy przy świetle niebieskim byli bladzi i wyglądali jak duchy. Ale zjawisko znikło znowu i pochodnie przewodników powiodły nas do «Sali Paradnej», słusznie noszącej to nazwisko, tak bogato przybrane ma ściany i sklepienie w fantastyczne wzory. Na środku sali, niby dwa świeczniki, stoją dwa olbrzymie stalagmity: Palma i Góra Synai. Pierwsza ma wysokości łokci 4 i 16 cali, na 6 łokci 20 cali szerokości i wygląda jak wytryskująca z ziemi i nagle skamieniała fontanna— a druga łokci 7 wysoka, ma 11 łokci i 11 cali obwodu i przypomina górę ze śpiczastym wierzchołkiem. Przy świetle magnezjowym sala ta wygląda wspaniale i bogato.

Ale nie było czasu długo jej się przypatrywać. Zaczęliśmy znowu wstępować po schodach w górę i weszliśmy przez „Mały dwór“ do pustej sali, gdzie na wielkiej przestrzeni widać mnóstwo najpiękniejszych stalagmitów, powywracanych zapewne w skutek trzęsienia ziemi. Istne zwaliska! Dwa kolosalne stalagmity zwracają tu uwagę, a tak są grube, że zaledwie rozciągniętemi ramionami objąć je można.

Jeden z nich dochodzi wraz z podstawą przeszło 7 łokci wysokości, a oderwana od niego część, leżąca blizko 4 łokcie. Drugi jest na 4 łokcie wysoki, a odłam jego ma 5 łokci blizko. Co jednę stopę występują wypukłe pierścienie, które znowu są połączone delikatnemi żeberkami, zupełnie regularnie z góry na dół idącemi; wygląda to jak wyrobione delikatnym dłutem rzeźbiarza. Kamień jest różowawy, twardy, bardzo przezroczysty. Towarzyszący nam panowie utrzymywali, że sam tylko widok tej przepysznej kolumny zwanej „kolumną Vendôme“—choć więcej przypomina kształtem wieżę pizańską, niż pomnik postawiony w Paryżu na cześć Napoleona—sowicie trudy zwiedzenia pieczar wynagradza. Szkoda, że wyższe części leżą na ziemi odłamane! Stryj powiada, że należą one do najstarożytniejszych nacieków.

Ktoś podobno zbadał, że na wytworzenie się warstewki naciekowej na grubość papieru, potrzeba około dwustu lat. Ileż tedy tysięcy lat może liczyć podobny stalagmit, jak owa kolumna Vendôme!

„Szkatułką kosztowności“ kończy się owa „Droga wędrówki“ stalaktyty mają tam tak olśniewającą białość, jak w żadnej z grot dotąd widzianych, a ze ścian zwie-

szają się cienkie płyty, wydające za uderzeniem odgłos podobny do dźwięku dzwonów. Z jednej strony wisi olbrzymie serce, mogące chyba pomieścić się w piersi wielkoluda, noszącego hełm Arpada, a naprzeciw stoi nowy dziw, nowy cud natury, stalagmit wężykowato skręcony.

V.

Nogi już bolały mnie od chodzenia, a tu przewodnik powiedział nam, że znowu musimy iść po schodach kilkadziesiąt łokci wysoko. Szliśmy więc na „Wielką Górę kalwaryjską,“ między framugami występującemi rzędem, jedna za drugą, pod bogatemi baldachimami, zwieszającemi się ze ścian, i znaleźliśmy się w długim korytarzu, pomiędzy wodospadami skamieniałemi. Ciekły po nich powoli krople wody wapiennej, a stryj pokazując nam je, rzekł:

— Chłopcy, przypatrzcie się własnemi oczyma jak się tworzą stalaktyty i jak małe, pojedyńcze kropelki, składają się na wielkie utwory. Janku, co to mówił pewien słynny przyrodnik, ilekroć odkrył nowy cud stworzenia?

— Mówił, kochany stryju: „Dostrzegłem widomy ślad ręki Bożej“—odpowiedziałem.

Przez ten korytarz i „Małą Kalwarję,“ doszliśmy do prześlicznej „Groty wodnej Britza,“ także, odkrywcy pieczar, w której posadzkę zastępowała woda. Z wody tej wystawały tu i owdzie żłobkowate i delikatnie rzeźbione stalagmity, a od parującej ciągle z niej wilgoci, bogate ściany groty i sklepienie błyszczało kroplami rosy, jakby djamentami zasiane.

Dalej oglądaliśmy jeszcze drugą otchłań, prawie tak wielką jak „Katedra Kalksteina“, noszącą nazwę „Sali Werbowskiego.“ I ten był odkrywcą pieczar. Ściany tam były także z wodospadów zastygłych, do złudzenia naśladujących pomarszczoną powierzchnię wody i białą pianę, miejscami odbijającą od niebieskawych bałwanów. Sądziliśmy, że to już wszystko, co było w tej sali do widzenia; tymczasem przewodnik powiódł nas do nieco podniesionego jej kąta i pokazał otwartą, dość szeroką szczelinę, a w niej znowu schody bardzo wysokie. Przewodnicy szli naprzód przyświecając nam, i na najwyższym stopniu usunęli się na bok; ujrzeliśmy niewielki otwór z którego biło światło, a przed otworem rozciągnięty na ziemi miękki dywan. Każdy z nas kładł się

na tym dywanie jak długi i zaglądał w otwór, a doprawdy było na co patrzyć! Niech kochana pani wyobrazi sobie niewielką grotę bogato oświetloną światłem magnezjowym, napełnioną przezroczystą jak kryształ wodą. Z cichej i gładkiej powierzchni tej wody występują stalagmity sięgające prawie do sklepienia, z którego znów stalaktyty spuszczają się ku wodzie. Ściany rzeźbione w fantastyczne łuki i kolumny, a nad tym wszystkiem ze sklepienia spuszczają się draperje ozdobione koronkami pajęczej delikatności, chwastami, i wspaniałe świeczniki. Wszystko to jaśnieje białością marmuru i składa się na całość tak piękną, tak czarowną, że Węgrzy nazwali to „Siedliskiem rusałek“, owych bajecznych bogiń wodnych i leśnych.

Byłbym tam leżał całe godziny i patrzył, ale musiałem ustąpić miejsca innym, bo dywan był niewielki. Pokazano nam już wszystko, co jest najpiękniejszego, ale to co w tej górze mieści się najciekawszego, zachowano na ostatek.

Największą otchłanią w pieczarach bialskich jest Tum czyli katedra; spuściliśmy się do niej przez otwór w sklepieniu. Jest tam wspaniała kaplica, ambona, chór, a wkońcu jak widmo ukazuje się pustelnik ze spuszczoną głową, w białej fałdzistej szacie, jakby chciał pytać:

— Kto tu śmie przerywać moją ciszę, której tysiące lat używałem?

Przewodnik uderzył kilkakrotnie we dwie spuszczające się ze sklepienia olbrzymie płyty stalaktytowe nierównej wielkości, i rozległ się dźwięk dzwonu, do złudzenia naśladujący dzwony w kościołach. Myślałby kto, że dzwoni na nabożeństwo.

Po wyjściu z Tumu szliśmy czas jakiś łożyskiem potoku, który płynął tu kiedyś pewnie przez długie wieki i wyżłobiwszy sobie gdzieindziej ujście, znikł bez śladu; potym przez wspaniały portyk, wsparty tu i owdzie na arkadach i kolumnach, powstałych z połączenia się stalaktytów ze stalagmitami; przez „Biały dwór“, piękną grotę, której szczegółowo opisywać nie będę, bo do wszystkich innych była podobna—i weszliśmy znowu w wązki korytarz, gdzie od razu poczuliśmy łagodniejszą temperaturę i zmiarkowali, że jesteśmy już blizcy wyjścia na powierzchnię ziemi. Jakoż wkrótce spostrzegliśmy w dali niebieskawe światło, piękniejsze od wszystkich ogni bengalskich i jaśniejsze od światła magnezjowego: było to światło dzienne!

Czarodziejskie widowiska mieliśmy w pieczarach, ale nie potrafię opisać potężnego wrażenia, jakiego doznałem wyszedszy na otwarte miejsce. Po kilkogodzinnym przebywaniu pod ziemią, nauczyłem się więcej cenić to, na co dotąd nie zwracałem uwagi. Cieszyłem się, że znowu widzę słońce, drzewa, kwiaty—kwiaty zwłaszcza które nad wszystko kocham!

Moja puszka blaszana, pozostawiona w domku, leżała na swoim miejscu nietknięta. Otworzyłem ją i przekonałem się, że wszystkie kwiaty były świeże, żaden nie zwiądł. Powróciwszy do hotelu, skropiłem je wodą, aby je potym delikatnie zasuszyć, układam bowiem sobie zielniczek.

---

68. W lesie.

Bór iglasty! Oto stoi w wyprostowanych kolumnach sosen, jodeł, świerków, modrzewi, jak gdyby celem tej społeczności żywej było uczczenie ciszą grobów. Pachnie żywicą i zaledwie znosi w dziedzictwie swoim istoty liściaste: borówkę, paproć, wrzos sztywny, albo te szarozielone roślinki, omszone włoskami, a mające listki jakby przybite do ziemi. Cichy w swych padołach, uroczyście szumiący w swych szczytach, stoi las jak cmentarz, pokryty igliwiem obumarłym, gałązkami uschłemi, szyszkami, a podnóże jego gnie się pod stopami, niby trzęsawisko. Chodzi się tutaj pocichu... Tam sterczy kopiec mrowiska zrudziałego, owdzie osiadła kolonja grzybów sinych, ciemnych, popielatych, które wyglądają jak gwoździe, przytwierdzające do ziemi kobierzec wypłowiały mchów aksamitnych. Jałowiec—kadzidło dla umarłych—ten istny plebejusz drzew iglastych, poniewiera się krzaczkami u stóp możnowładztwa wysokopiennego, ubranego dostojnie w kożuchy mchów szarych.

Ogromnie poważna cisza tu panuje... Rzecz dziwna, jak śmie ją zakłócać dzięcioł tak głośnym kuciem w drzewo, albo sójka krzykiem nagłym, chrapliwym,— kukułka swym zabawnym kukaniem, wiewiórka szybkim pierzchaniem kędyś ku szczytom! Czasem kruk zakracze głosem urywanym—zupełnie jakby się konar drzewa załamywał, w górze kraska błękitna się odezwie—jak gdyby uschła gałąź zaskrzypiała.

Życie tego boru ma swoje własne głosy. Sowy

i puhacze chronią się tutaj na noclegi dzienne, tu i lelek, podobny do kawałka kory jodłowej, przez cały dzień drzemie na sęku. A i te ptaszki maleńkie, co jak kulki przelatują, uwijają się po gąszczach koron świerkowych i zaledwie odważają się cichutko popiskiwać „pi... pi... pi...“ Zające i lisy jak cienie bez najmniejszego szelestu ukazują się i znikają—pomykając borem. Borsuk niedźwiedziowaty, niby to ciężki, otyły samotnik, a tak stąpa jakby w obuwiu aksamitnym i nigdy po nocy nie zamąci ciszy uroczystej—chyba, że walka...

Ślimaki powyłaziły ze skorup, powystawiały rogi z oczyma i świat oglądają, używając po swojemu życia, miłości. Jeżeli się tu motyl jaki zjawi, to zwykle żałobnik, albo ćmy różne, prowadzące żywot nocny i mniszy. Chrząszcze, chrząszczyki jakieś szare, brunatne, czarne—jedne powydłużane, inne krępe, w pokrywach twardych, z ryjkami długiemi, kryją się po szparach, szczelinach, pracują gorliwie i tak cicho, że ucho ludzkie szmeru nie złowi. Któż słyszy, jak kornik drukarz buduje swe pałace pełne labiryntów?

Myśl człowieka nastraja się w tym boru poważnie, trwoga jakaś przenika do serca, budzi się mimowolnie prastara wiara w duchy złe i dobre, a gdy ci z pod nóg nagle wyskoczy mysi królik z zadartym ogonkiem, gotóweś pomyślić, że gienjusz boru wziął na się taką postać. Ale oswój się z tym życiem tajemniczym, nawyknij do boru jak do domu, a już nigdzie na świecie nie będzie ci lepiej.

Z krainy posępnego milczenia, w jakie przyoblekają przyrodę igły i szyszki, przejdźmy do drugiej komnaty boru, która połyskuje świetnością, drga weselem życia. Jakże tu pięknie, ile szczęścia przez całe lato! Co to za dęby, jakie buki, wiązy, jesiony, klony, lipy, brzozy! Tam mogłeś się był modlić, a tu, w tej dąbrowie rozkosznej zdejmie cię chyba chęć do pląsów. Sosna, świerk, czy modrzew, jeżeli się tu gdzie i znajdą, wyglądają jak osoby stanu duchownego, które przybyły w gościnę na wielką salę godową i nie zamącą powszechnej wesołości. Murawa haftowana w kwiaty różnowzore, różnobarwne, podesłała się pod ten świat piękny, pełen życia soczystego, w którym czuć wyraźnie, jak tętnią potoki pełne krwi zielonej.

O, tu już nie lepka limfa żywiczna, płynąca w suchych drzewach szpilkowych! Jest tu rozkosz słoneczna, krasa motyli wszechbarwnych, muszek i chrząszczów ze

złota, koralu, szmaragdu, turkusu, opalu. W djamenty, osobliwe klejnoty, w jedwabie przemiękkie wystroiła się przyroda na swoje wesele ze słońcem—ona, zawsze prześliczna, młodziuchna! Tam było parno, duszno, żywicznie wonno, jak w kościele na nabożeństwie uroczystym; tu przez całe skwarne lato panuje świeżość orzeźwiająca z tych pereł i brylantów rosy, cudnych łez, które boleść, czy radość wyciska z ziemi o zmroku i o świtaniu. Firletki, bodziszki, konwalje, storczyki, goździki, sasanki, koniczyny, poziomki, cieciorki, groszki i róże dzikie, i głogi i kaliny—malowanki prześliczne! Korony olbrzymów boru liściastego roją się barwami licznych gatunków ptactwa i szumią na wsze strony rozgwarem śpiewów, pogwizdywań, okrzyków.

Gody nad gody! Co za uczucia wyraża słowik? Nikt tego nie wie napewno; ale się przecież bez powodu nie śpiewa po nocach z takim zapałem. I robaczek świętojański musi świecić z nieprzepartej jakiejś potrzeby świecenia w ciemnościach: może się to iskrzy i spala jakaś cząstka tego, co drga i w sercu człowieka... Wilga, strojna w szaty iście z litego pasa słuckiego, wygląda jak gdyby chciała być gospodynią tego domu: wszędzie jej pełno, wszędzie ją słychać. Dopiero co przegwizdała kosa, pełnego żywych uczuć rodzinnych, a teraz zda się przekomarzać ze sroką, uparcie skrzeczącą. Kukułka wpadła z rozmachem w gąszcz liści, swoim wykukiwaniem narobiła wrzawy, a wiesza się po gałązkach, a zagląda wszędy. Dudek, coś w rodzaju błazna cyrkowego, stroi dziwne miny; chodzi obrzędowo po murawie, a gdy złowi chrząszcza, podrzuca go w górę, chwyta i połyka. Para turkawek uczuciowych widocznie nic nie spostrzega, nie słyszy i w zielonej altanie korony lipowej, rozłożystej, zawzięcie grucha a grucha.

Jasne, ciepłe słońce oblało blaskiem dach zielony boru; liście i lśnią się i mienią w rozmaite odcienie zieleni, a wietrzyk je wzrusza i cała ta masa zielona drga, zdaje się kąpać światłem. W owych zdrojach jasności słonecznej, na wiotkich gałązkach najwyższych szczygiełki się kołyszą i gwarzą śpiewnie między sobą. Czyżyki, tu i owdzie przyczepione, wyglądają niby jakieś owoce bogate olch, dębów, brzeziny; a ileż szczebiotu na świat wychodzi z tych drobnych orzeszków, ziarnek i bazi! Gil się napuszył po wielkopańsku, w kołpaczku czarnym aksamitnym, w kaftanie modrym, w żupanie purpurowym. Śpiewa, a nie słychać go na ziemi: sobie

śpiewa, nie innym. Dzierzba-srokosz siedzi na szczycie gruszy leśnej, kiwa ogonkiem, milczy i patrzy; ale coraz to sfrunie, złowi w lot jakiego rozpędzonego motyla, chrząszcza i na ciernisty kolec go wbija,—okrutna. Ha, bo i najpiękniejsi nie żyją bożą manną!

Niby na wystawę jaką, zleciały się z krain południowych roje uskrzydlone i fertają się powszędy rudziki, krętogłowy, popki, pliszki, piegże: oczka czarne, dzióbki szydełkowate, odzież popielata w jasne i ciemne odcienie, a wszystko to umie zaśpiewać. Przyleciały tu z wielkim pośpiechem na miłość, na wesele, a tylko świat rozweseliły i niejedno grób znalazło.

Tak bywa zawsze, jeśli się nie spędza życia pod pierzyną. Krogulec leci! Ptasznik chytry, myśliwy zwinny i wprawny: wpadł w tłum rozśpiewany do zapomnienia, narobił popłochu i naraz wszyscy ucichli, pokryli się w trwodze śmiertelnej... Coś pisnęło żałośnie, jękliwie i piórka piękne, barwne posypały się z drzewa na murawę, jak motyle. Nastała krótka chwilka oniemienia i znowu się śpiewa dalej, bo koniecznie trzeba śpiewać, ażeby wyśpiewać to, co należy. Jakby straszliwe memento mori, jastrząb olbrzymi wisi ponad sklepieniami boru, ów srogi rabuś ze skrzydłami na dwa łokcie — istna chorągiew śmierci — zakreśla koła w pogodnych błękitach, przystaje i ze skórczonemi szponami bystrym okiem przenika do wnętrza boru...

Adolf Dygasiński.

---

69. Dąb.

Już w pojęciach wszystkich ludów starożytnych dąb uważany był za króla roślin na ziemi, za drzewo niejako święte. Rzym dawny największe zasługi obywatelskie wieńczył nie laurem, lecz liściem dębowym W Romowe żmudzkim, wśród gajów świętych, dąb był głównym drzewem, poświęconym Perkunowi i czczonym przez lud i kapłanów. Słowianie czcili starożytne dęby od wieków. W jednej starej koladzie podkarpackiej mowa jest o stworzeniu świata, kiedy nie było nieba, ni ziemi, tylko morze sine, a pośród morza stały dwa dęby. Helmold wspomina o „dębach świętych,“ szeroko ogrodzonych, z dwiema bramami w płocie; tam odby-

wały się różne obrzędy i uroczystości, a wejście wolne było tylko kapłanom i książętom, obcym zaś zabronione pod karą śmierci. W Szczecinie — powiada Hesbord (w „Żywocie św. Ottona“)—stał dąb rozłożysty przy gontynie i był wedle mniemania ludu przybytkiem bóstwa. Po zburzeniu świątyni lud błagał, aby drzewo czczone zostawiono na pamiątkę. Konstanty Porfiregeneta podaje, że Rusini idąc na Carogród, pod wielkim dębem przynieśli na ofiarę: ptaki, chleb i mięso. Sarnicki pisze, że Polacy „in dei Piorun laudem“ podsycali dzień i noc ogień drzewem dębowym.

W starych dokumentach, opisujących granice, spotykamy nieraz wzmianki o „dębach piorunowych,“ jako znakach granicznych. Zdaje nam się jednak, że pod tą nazwą rozumiano raczej dęby uszkodzone przez piorun, aniżeli od Pioruna, i skutkiem wierzeń bałwochwalczych tak nazwane.

Niektóre plemiona słowiańskie i litewskie nie budowały bogom swoim świątyń, ale posągi bożyszcz osłaniały tylko przy drzewach świętych strzechą na słupach od słoty i nieczystości ptactwa. Podobny dąb napotkał św. Otto u Pomorzan w wieku XII. Hartknoch wymienia trzy święte dęby u Prusaków: jeden w Romowie, a raczej w Rykojoth pod Romowem, który miał także szopę i przez cały rok jakoby liścia nie tracił. Wierzono, że liście tego dębu, noszone na szyi, zabezpieczały od złych przygód. Miano go ściąć w czasach krzyżackich za Jana biskupa warmińskiego. Gdy drugi dąb święty kazał ścinać biskup warmiński Anzelm, a siekiera przy pierwszym uderzeniu odbiwszy się, zraniła rąbiącego, poczym żaden z obecnych nie chciał jej wziąć do ręki, sam dopiero biskup wyciął otwór i ogień podłożyć kazał. Trzeci dąb blisko Welawy miał być tak wielki, że koń w jego wypróchniałości mógł się obrócić. Próbował tego Albert, książę pruski i syn jego Fryderyk w r. 1595, jak to piśmiennie i pod pieczęcią magistrat welawski zaświadczył. Potężnym musiał być także dąb na pogranіczu pogan pruskich, na którego konarach bracia Dobrzyńscy w w. XIII założyli sobie warownię dla kilkunastu rycerzy.

Odgłosem prastarych wierzeń narodu polskiego są liczne jeszcze dotąd podania i mniemania ludowe, dotyczące dębu. W Kieleckim np., na drodze z Bejsc do Zagórzyc, stoi w lesie potężny dąb, zwany przez lud „doktorem,“ ponieważ leczyć ma choroby gardła, dziąseł

i zębów. Pacjent udaje się przed wschodem słońca do lasu i obchodzi dąb trzykrotnie mówiąc:

Powiedzże mi, powiedz, mój kochany dębie,
Jakim sposobem leczyć zęby w gębie.

Albo wrzody, dziąsła i t. d.

B. Gustawicz spisał liczne zastosowania gałęzi dębowych, żołędzi i liści do wróżb i lekarstw ludu galicyjskiego, Oskar Kolberg w Poznańskim, a Z. Rokossowska na Wołyniu. W tym ostatnim zbiorku czytamy, że aby się pozbyć „kurzej ślepoty,“ trzeba odmawiając pacierz i pewne zaklęcie, pomalutku obejść trzy razy wkoło „głuchy dąb,“ t. j. taki, który się później rozwija. W baśniach ludu kieleckiego, za pomocą liści dębowych wskrzeszony zostaje wisielec i zamordowana królewna. Zrąbanie starego dębu w Stobiecku pod Radomskiem spowodowało w mniemaniu wieśniaków tyfus na okolicę, jako karę za świętokradztwo (Kolberg „Kaliskie“ I, 19). Na Mazowszu i Podlasiu nadnarwiańskim lud utrzymuje, że aby się chleb domowy dobrze „darzył“ czyli udawał, w dzieży powinno być choć kilka klepek dębowych. Prawdopodobnie dawniej cała dzieża bywała dębowa, ale gdy o klepki dębowe coraz trudniej, to starają się, aby choć część takowych była z dębu.

W wałach grodzisk z doby piastowskiej znaleźliśmy wszędzie pnie ostrokołów dębowych. To też jedynie drzewo dębowe miało wówczas pewną wartość, i dlatego w statucie wiślickim są już przepisane kary za ścinanie dębów w cudzym lesie. Dostarczało ono także żołędzi na karmę dla trzody chlewnej, co było cenną bardzo rzeczą w czasach, kiedy nie znano jeszcze kartofli i ulepszonych narzędzi do oddzielania pośladów ze zboża. Klepka dębowa jest już także od kilku wieków przedmiotem handlu wywozowego z Polski do krajów, które potrzebowały dużo beczek na wino, a nie miały dosyć dębiny.

Wyraz „Dąb“—jak twierdzi Karłowicz—brzmiał pierwotnie w językach słowiańskich dąbr (skąd dąbrowa) i oznaczał drzewo wogóle. W obrębie Królestwa kongresowego znajduje się obecnie 433 wsi i miasteczek, biorących swoją nazwę w rozmaitych formach od dębu, przeważnie zaś w następnych: Dąb, Dąbek, Dąbie, Dąbki, Dąbrowa, Dąbrowica, Dąbrowice, Dąbrówka, Dąbrowo, Dębe, Dębina, Dębnik, Dębowa, Dęby i t. p. Wogóle na ziemiach dawnej Polski istnieje około półtora tysiąca

nazw wsi i miast, mających językowy początek od dębu. Poza temi, istnieje co najmniej kilka tysięcy podobnych nomenklatur miejscowości niezaludnionych, t. j. uroczysk, pól, lasów i t. d.

Jest też i przysłów kilkanaście z dębem związanych, np.: 1) Bać się trzeba trzcinie, gdy wiatr dąb wywinie. 2) Co dąb to nie brzoza, co krowa to nie koza. 3) Dąb się powalił, a trzcina została. 4) Dębowa wić uczy robić, a brzozowa rozum dawa. 5) Kiedy się dąb obali, każdy go rąbie i pali. 6) Nie raz siekierą musisz ciąć, gdy dąb chcesz zwalić. 7) Zagrać komu w dębową wić. 8) Póki dębczak młody, da się nagiąć do ziemi. 9) Nie rodził się, kto się z Dąbrowskiej nie rodził. To ostatnie przysłowie było znane głównie na Kujawach, gdzie Godziembowie Dąbscy z Lubrańca byli w wieku XVII i XVIII rodziną najzacniejszą i tak z Kujawami zrosłą, że każdy dom zamożny szlachecki musiał być z nią spokrewniony.

Co się tyczy dębów w nowszych czasach słynnych swoim ogromem i starością, to pierwszeństwo ma przed innemi żmudzki „Baublis.“ Nazwę taką nosił olbrzymi dąb w majętności Bordziach w pow. Rosińskim na Żmudzi. Przypuszczano, że miał przeszło tysiąc lat wieku i że już za czasów pogańskich uważany za święte drzewo, odbierał cześć Żmudzinów. To pewna, że Żmudzini i Łotysze, stare a wypróchniałe dęby uważali do naszych czasów jako mieszkania duchów, którym jeszcze niedawno znoszono ofiary. Baublis był majestatycznym podobnego drzewa okazem. W r. 1811 miał już gałęzie po większej części suche, a listki na innych gałęziach małe i jakby zwiędnięte. Gdy przez pastuszka podpalony został, właściciel, w obawie, żeby bez śladu nie zniknął, ściął go w r. 1812.

Dziesięciu ludzi cały dzień pracowało nad jego powaleniem. Pień miał obwodu łokci litewskich 19 i cali 6, średnicy przy ziemi łokci 7, wyżej $5^1/_2$. Sprowadzoną kłodę na 6 łokci wysoką, wypróchniałą w środku, ustawił Djonizy Paszkiewicz w ogrodzie pod cieniem rozłożystego dębu i zrobił z niej altanę, mającą obwodu łokci 13 i cali 5, poświęciwszy ją na zachowanie zebranych pamiątek. Rozwiesił w niej zbroje, wykopaliska z mogił żmudzkich i portrety znakomitych rodaków, ustawił też śmigownicę z czasów szwedzkich. Dziesięć osób mogło we wnętrzu tego pnia usiąść wygodnie, a gdy r. 1812 wkroczyła armja Napoleona I, wojskowi rozmai-

tych narodowości oglądali z podziwem pień olbrzyma, zapewniając, że nie widzieli nigdy dębu takiej wielkości. Starożytności przechowywane w tym jedynym tego rodzaju muzeum w Europie, opisał „Dziennik Wileński“ z r. 1823, t. III, zaś opis Baublisa podał „Dziennik Warszawski“ t. IV r. 1826.

Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ uwiecznił go także wzmianką:

„Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy,
Bym was oglądał znowu, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię:
Czy żyje wielki Bablis, w którego ogromie
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?“

We wsi Wróbliwicach w pow. Drohobyckim w Galicji znajduje się dąb z wypróchniałym wnętrzem u dołu, w którym mieści się kapliczka. Dąb ten, zwany z dawna przez lud miejscowy „dębem murowanym,“ ma u podstawy 36 stóp obwodu, a z tego powodu jest bardzo ciekawy, że pomimo ogromnej wypróchniałości, odznacza się pełnią życia i okrywa cały co wiosna bujną zielenią.

W mniemaniu dawnych ludzi każdy dąb ze znaczniejszą wypróchniałością przy ziemi był mieszkaniem złych czy dobrych duchów, którym lud okoliczny składał ofiary dla uproszenia ich o pomoc lub nieszkodzenie. Ktoby sądził, że tak bywało tylko przed wiekami, tego może piszący to zapewnić, że jeszcze w r. 1882 w tak zw. Inflantach polskich, w lasach, do Marienhauzu należących, widział podobny dąb, do którego skrycie przynosili Łotysze na ofiarę duchowi: zwitki lnu, plastry miodu i sery lub jaja. Znikanie tych przedmiotów wśród nocy służyło zabobonnym za dowód, że ofiara przyjętą została przez ducha.

Ludzie pobożni w Polsce, aby wykorzenić podobne zabobony, umieszczali na takich drzewach poświęcone obrazy, zwłaszcza Matki Boskiej, a obraz taki nabierał uroku świętości, jeżeli powstała legienda, że Najświętsza Panna objawiła się komu na drzewie (w kształtach promieni słonecznych, migocących przez liście).

Rzecz o dębach ze starości wypróchniałych, zakończymy tu wzmianką o bardzo także starych, a jednak zupełnie zdrowych, które w wędrówkach naszych po

kraju zdarzyło nam się nieraz spotykać. Najgrubszy dąb napotkaliśmy w lasku na Bielanach pod Warszawą, ma on około 20-tu stóp obwodu, pamięta zatym niewątpliwie czasy Zygmuntowskie. Około r. 1885, napotkaliśmy w puszczy Białowieskiej dąb, którego pień nie miał także więcej nad 20 stóp obwodu, ale przedstawiał drzewo nawskroś zdrowe, co umożebniło nam dokładne obrachowanie słojów. Że zaś ich liczba dosięgała 500, więc dąb słusznie mógł się nazwać Jagiełłowym.

według Glogera (Enc. Staropolska).

---

70. Sól.

I.

Pewien wizytator, zwiedzając powierzone swej opiece szkoły, wypytywał w jednej z nich uczniów, czym się ludzie żywią. Chłopcy odpowiadali raźnie i przytomnie, dopóki szło o to, jakich roślin i zwierząt człowiek używa za pokarm; gdy jednak wizytator spytał, czy nie wiedzą nic o minerałach jadalnych, uczniowie oniemieli w pierwszej chwili: tak im się to wydało dziwnym, aby człowiek mógł się żywić kamieniami. Jeden z nich atoli, sprytniejszy, niż towarzysze, opamiętał się zaraz i zawołał: „Owszem, wiemy i nawet sami jadamy codzień taki minerał. Któż bodaj dzień jeden obchodził się bez soli?“

Istotnie, nie dość, że sól jest jadalna, stanowi ona jeszcze niezbędną składową część naszych pokarmów. Wprawdzie nie spożywamy jej samej (chociaż i to nie jest rzeczą niemożliwą), musi ona jednak koniecznie zawierać się w naszych potrawach, gdyż organizm nasz potrzebuje jej nieodzownie do należytego trawienia. Człowiek, który się żywi pokarmami, zupełnie pozbawionemi soli, traci siły, cerę i ostatecznie umiera, nie mogąc wcale trawić, jeżeli znów nie zacznie dodawać tego minerału do swej żywności.

Zwierzęta również potrzebują soli. Któż nie wie o tym, jak chętnie liżą sól konie, woły, krowy lub owce? To też staranny gospodarz pamięta zawsze o tym, aby im ją dawać niekiedy. Dzikim zwierzętom nikt wprawdzie nie daje soli, ale zato znajdują ją zawsze w mniejszej lub większej ilości w roślinach albo mięsie innych

zwierząt. któremi się żywią. Słowem, każda istota żyjąca potrzebuje koniecznie tego pokarmu mineralnego.

Człowiek nie żywi się pokarmami surowemi; gotując mięso lub jarzyny, wyciąga z nich część soli, która się rozpuszcza w wodzie, i dlatego musi solić swoje potrawy, aby zawierały należytą ilość tego niezbędnego dodatku. Solimy więc potrawy nie tylko dla smaku, ale i dla zdrowia. Sól jest nieodzowną rzeczą w każdej kuchni. Otrzymała też nazwę soli kuchennej, dla odróżnienia od innych soli, jak np. stosowanej w medycynie soli glauberskiej, gorzkiej, i t. p.

Używamy jej atoli nie tylko bezpośrednio przy gotowaniu potraw; stanowi ona także wyborny środek do przyrządzania rozmaitych konserw. Zabezpiecza mianowicie od gnicia mięso i ryby, które muszą być dobrze nasolone, jeżeli je chcemy przechować bez zepsucia przez czas dłuższy. Wyraża to dawne przysłowie: „Kto do mięsa soli żałuje, temu się mięso zepsuje.“ Używamy jej także do kwaszenia kapusty i ogórków.

Oprócz tych zastosowań kuchennych, służy sól także do wielu użytków technicznych. Używa się jej mianowicie w przemyśle do wyrobu sody, soli glauberskiej, mydła, szkła, na polewę do naczyń glinianych, w białoskórnictwie, to jest przy wyprawianiu cienkich i delikatnych skór (np. na rękawiczki, oprawy) i t. d.

Słowem, jest to minerał pierwszorzędnej użyteczności, bez którego bardzo trudno byłoby się obejść. Zostaje też u ludzi w należytej cenie; przodkowie nasi przyjmowali gości chlebem i solą; chlebem i solą wita się państwa młodych, chleb i sól ofiaruje się monarchom, a przysłowie powiada: „kto ma sól z chlebem, ten nie umrze głodem,“ wskazując tym na wielkie znaczenie soli w odżywianiu człowieka i umieszczając ją tuż obok najważniejszego naszego pokarmu—chleba.

Bez soli bardzo trudno byłoby się nam obejść, prawie tak trudno, jak bez wody. Na szczęście oba te ciała mineralne są bardzo rozpowszechnione i znaleźć je można prawie w każdym miejscu. Po wodzie sól jest najpospolitszym minerałem, znajduje się właściwie wszędzie, chociaż nie wszędzie w tak dużych ilościach, aby się nam rzucała w oczy i abyśmy ją mogli stamtąd otrzymywać.

Wchodzi ona mianowicie w skład każdej ziemi, ale zazwyczaj w tak nieznacznych ilościach i tak drobno rozsiana w całej jej masie, że zauważyć jej tam niema

sposobu. W niektórych tylko miejscowościach grunt zawiera ją obficiej, a niekiedy bywa nią tak dobrze przesycony, że tylko pewne rośliny mogą róść na nim, wszystkie zaś inne giną, ponieważ wraz z wodą wciągają korzeniami zbyt duże ilości soli. Takie rośliny, rosnące na gruntach słonych, noszą nazwę roślin solankowych.

Grunty słone znajdują się na wybrzeżach mórz i jezior słonych i na niektórych stepach, położonych w głębi lądu, w miejscowościach gorących i ubogich w deszcze. Stepy takie posiada Azja środkowa, Australja, niektóre części Afryki północnej, oraz Ameryki południowej; w Europie stepy takie znajdują się nad morzem Kaspijskim i w części nad Czarnym. Ziemia w niektórych z tych miejscowości bywa tak dalece przesycona solą, że w czasie większej posuchy sól ta „wykwita" z niej, to jest, pokrywa ją cienką warstewką białego proszku, niby szronem. Deszcze lub wprost powiększenie się wilgoci w powietrzu rozpuszczają tę sól i sprawiają jej znikanie.

Największą ilość soli znajdujemy w głębi ziemi. Tworzy ona tam ogromne pokłady, mające nieraz po kilkaset metrów grubości i ciągnące się na przestrzeni kilkuset kilometrów, jak np. ogromne pokłady soli wzdłuż północnych stoków Karpat, do których należą słynne kopalnie w Wieliczce i Bochni. Sól taka nosi nazwę kamiennej, ponieważ występuje w postaci wielkich brył, jak kamienie. Znajduje się zwykle w pewnej głębokości i przykryta jest mniej lub więcej grubą warstwą gliny, nie dopuszczającej do niej wody deszczowej, która rozpuszcza i wypłukuje sól z warstw wyższych.

Niekiedy jednak znajdujemy wielkie bryły soli kamiennej i na powierzchni ziemi. Słynna jest skała solna pod m. Kardovą w Katalonji (w Hiszpanji), mająca 180 metrów wysokości i blizko 4 kilometry w obwodzie. Wygląda ona jak ogromny i wspaniały lodowiec, od którego jednak różni się wybitnie temperaturą, a jeszcze bardziej smakiem. Takie góry słone należą wogóle do zjawisk rzadkich, a spotyka się je wyłącznie w krajach suchych; nasza mokra jesień i dżdżyste lato prędkoby rozpuściły nawet takiego olbrzyma, jak Katalońska skała. Któż nie widział, jak sól rozpływa się na powietrzu, jak mętnieją wyroby z soli w czasie słotnym, nawet nie wystawione na bezpośrednie działanie deszczu?

Woda jest głównym wrogiem soli w stanie stałym; rozpuszcza ją i zabiera ze sobą. Ponieważ w każdym

gruncie znajduje się zawsze pewna ilość soli, więc i każda woda „słodka“ ze źródeł, rzek, stawów lub jezior ma zawsze w sobie pewną domieszkę tego minerału.

Dlaczegóż jednak nie posiada smaku słonego, jak woda morska? Rzecz nie trudna do zrozumienia. Wrzućmy szczyptę cukru do dużej szklanki wody, a napewno nie będziemy wiele czuli słodyczy. To samo dzieje się z wodą źródlaną; woda nabiera smaku słonego dopiero wtedy, gdy na 1000 części zawiera jedną część soli; przy mniejszej zawartości język nasz nie potrafi odczuć jej smaku. Żadna zaś woda źródlana nie zawiera w 1000 kg., jednego klg. soli, lecz zaledwie drobną jego cząstkę; grunt bowiem, z którego źródło wypływa, jest zwykle bardzo w sól ubogi. I tej okoliczności wody „słodkie“ zawdzięczają swój smak przyjemny.

Inaczej rzecz się ma ze źródłami solankowemi (np. w Ciechocinku, Rabce, Iwoniczu i t. p.), które mają smak wybitnie słony. Źródła takie wypływają zawsze z podziemnych pokładów soli i dlatego zawierają jej zawsze bardzo dużą ilość, niekiedy nawet do 100 części na 1000, to jest znacznie więcej, niż trzeba, aby woda mogła przybrać nieprzyjemny smak słony. Przewyższają one nawet pod tym względem wodę morską, w której zawartość soli nie przekracza zwykle 35 części na 1000, a bardzo często jest znacznie niższą, niż ta ilość, zawsze jednak taką, iż woda posiada smak wyraźnie słony.

Stała to cecha wody morskiej. Czym jednak wytłómaczyć, że ta woda jest zawsze słona, podczas gdy wody lądowe (rzeki, jeziora) są przeważnie słodkie? Pewien dowcipniś objaśniał to zjawisko obecnością wielkiej liczby śledzi w morzu, które to ryby jak wiadomo, mają zawsze smak słony.

Istotną przyczyną jest to, że wszystkie rzeki, wpadające do morza, zawierają zawsze drobne ilości soli. Ilości te są wprawdzie bardzo a bardzo nieznaczne, ale że każda rzeka znosiła sól do morza bez ustanku i bez przerwy w ciągu całych długich wieków, stopniowo więc nagromadziły się w nim duże jej ilości.

Jednocześnie atoli powinna była powiększać się i ilość wody w morzu, a co za tym idzie, słoność jej musiałaby pozostawać bez zmiany.

Przypomnijmy sobie jednak, że woda w morzach paruje bez ustanku, wznosi się w górę, opada z deszczem na lądy, daje początek źródłom, oraz rzekom i znów wraca do morza. Nie może być zatym mowy o dono-

szeniu nowej wody przez rzeki, właściwie bowiem ta sama mniej więcej jej ilość przemienia się w parę i znów wraca do nich i tak dalej w kółko, przynosząc z sobą coraz nowe ilości soli.

Tak mniej więcej można sobie przedstawić, jak stosunkowo ubogie w sól rzeki, mogły zasilić nią całe oceany. Jeżeli zamiast obszernego i rozległego morza, wpadają do jeziora, zwłaszcza położonego w klimacie gorącym i suchym, gdzie woda silnie paruje, a deszczów mało pada, to słoność wody w takim jeziorze dochodzi powoli do ogromnych rozmiarów, tak dalece, że nakoniec nie może się rozpuścić w tej wodzie i zaczyna osiadać na dnie i koło brzegów; ryby i inne zwierzęta giną nieraz zupełnie, nie mogąc wytrzymać w tak gęstym roztworze. Temu właśnie zawdzięcza swą nazwę morze Martwe. Podobne zjawisko można widzieć w jeziorze Eltońskim koło morza Kaspijskiego, oraz w różnych innych słonych jeziorach i limanach na wybrzeżach morza Czarnego.

W otwartych morzach parowanie wody i zgęstnienie roztworu nigdy nie może posunąć się tak daleko, gdyż dzięki połączeniu, które istnieje między wszystkiemi, następuje zawsze wyrównanie strat, jakie ponoszą morza strefy gorącej przez dopływ wody ze stref zimniejszych.

Jak widzimy, sól kuchenna jest właściwie wszędzie; ludzie jednak mogą z niej korzystać jedynie o tyle, o ile znajduje się w większej obfitości; otrzymanie jej bowiem z wody słodkiej lub ze zwykłej ziemi połączoneby było z tylu kosztami i kłopotami, żo wydobywanie jej stamtąd nie opłacałoby się w żadnym razie, a częstokroć byłoby nawet wprost rzeczą niemożliwą. To też ludzie zajmują się wykopywaniem jej z ziemi wyłącznie w takich miejscowościach, w których tworzy mniej lub więcej znaczne pokłady, jak np. w Wieliczce, a z wody otrzymują ją tam tylko, gdzie posiada smak wyraźnie słony, wskazujący na większą zawartość soli, a więc z mórz, jezior i źródeł słonych.

II.

Jak powstały olbrzymie pokłady soli, zaopatrująee tylu ludzi w ten tak pożyteczny minerał? Uczeni długo zastanawiali się nad tą sprawą, aż ostatecznie wyjaśnili ją w sposób zadowalający.

Wiadomo, że jeżeli do kwarty wody (1000 gramów) wrzucimy 350 gramów soli, to cała ta sól rozpuści się w niej zupełnie. Jeżeli jednak dodamy jeszcze trochę, to ta ilość, jaka będzie ponad 350 gramów, nie rozpuści się już wcale i zostanie na dnie; woda bowiem może rozpuszczać w sobie sól, tylko w takim stosunku, aby jej znajdowało się nie więcej nad 350 części na 1000 części wody. Taki roztwór, zawierający możliwie największą ilość soli, nazywa się n a s y c o n y m; chociażbyśmy do niego dodali jak najwięcej soli, nie rozpuści się już ani jeden kawałeczek.

Jeżeli taki nasycony roztwór soli wylejemy na talerz lub miskę i postawimy na słońcu, aby woda mogła łatwo parować, to wkrótce ilość jej w nim się zmniejszy, a soli zostanie stosunkowo za dużo. Woda jednak nie może nigdy zawierać jej więcej po nad ilość nasycającą; cały więc ten nadmiar soli wydzieli się z roztworu, opadnie na dno i utworzy na nim cieniutką warstewkę. Im następnie woda będzie więcej parowała, tym więcej soli będzie się osadzało i tym grubsza jej warstwa pozostanie na talerzu.

Takie zjawiska osadzania się soli na dnie zachodzą i w naturze wszędzie tam, gdzie woda jest nią nasycona. Zauważyć tego naturalnie nie można w morzach, ponieważ tam strata wody przez parowanie bywa sowicie wynagradzaną przez obfity jej dopływ ze wszystkich rzek, wlewających się do morza. To też nie bywa ono nigdy nasycone solą i nie zawiera jej nigdy więcej nad 35 części na 1000.

Co innego jeziora, ubogie w dopływy, i tak zwane laguny, to jest, zatoki zamknięte i odcięte od morza, zwłaszcza gdy leżą w klimacie cieplejszym. Tutaj z powodu gorąca w lecie, woda paruje bardzo silnie, a że dopływów jest bardzo mało, zachodzi więc to samo, co na talerzu, wystawionym na działanie słońca: roztwór staje się coraz gęściejszy, następnie zaczyna wydzielać z siebie sól, która osiada wzdłuż brzegów i na dnie, tworząc na nim mniej lub więcej grubą warstwę.

Jezior takich na ziemi znajduje się bardzo dużo. Słynne jest oddawna z takiego wysychania morze Martwe, w którym woda doszła już do takiego nasycenia solą, że żadne stworzenie żyć w nim nie może. Bardzo dużo (do 2000) takich jezior posiadają stepy Astrachańskie, okalające od północy morze Kaspijskie. Stanowią one dno wielkiego morza, które powoli wyschło, pozo-

stawiając jako ślad po sobie te liczne jeziorka, wysychające stopniowo tak samo, jak i ono.

Największym wśród nich jest jezioro Eltońskie, mające 250 kilometrów kwadratowych powierzchni. Na nim sprawdzono w sposób nadzwyczaj przekonywujący tworzenie się osadów solnych. W jeziorze tym co rok na początku lata osadza się na dnie cienka warstewka gipsu, który jest trudniej rozpuszczalny, niż sól, i dlatego wydziela się pierwej, potym w miarę większego parowania tworzy się na nim grubszy pokład soli, osadzający się już od jesieni. Następnie, gdy się powietrze oziębi, parowanie się zmniejsza i osadzanie soli ustaje. A gdy przyjdzie wiosna i skąpe dopływy jeziora zostaną nieco obficiej zaopatrzone w wodę, wlewają się one do niego, a wraz z nią przynoszą zawsze pewną ilość mułu gliniastego i piasku, któremi przykrywają pokłady solne, powstałe zeszłego lata.

Powtarza się to wciąż w kółko: co lato tworzą się nowe pokłady soli, oraz towarzyszących jej minerałów rozpuszczalnych, co wiosna woda przykrywa je warstwą gliny i piasku. Jeżeli wiosna trafi się sucha, pokład gliny może się nie utworzyć i nowa letnia warstwa soli osiądzie wprost na dawnej. Gdy znowu lato bywa mokre, sól nie osiądzie wcale, albo osiądzie w nieznacznej ilości i wówczas wytworzy się grubsza warstwa gliny. W każdym razie wody w jeziorze wciąż ubywa, aż wreszcie wyschnie ono zupełnie i przeistoczy się w mniej lub więcej gruby pokład soli kamiennej.

W taki sposób powstały wszystkie pokłady tego minerału, które się znajdują na ziemi i tak samo tworzą się wciąż nowe z istniejących obecnie jezior słonych. Znajdują się też one w rozmaitych stopniach wysychania.

Jezioro Eltońskie jest jeszcze bardzo oddalone od zupełnego wyschnięcia; dawniej jednak było ono znacznie większe, jak tego dowodzą duże pokłady soli kamiennej, poprzedzielane warstwami gliny, znajdujące się w pobliżu jego brzegów. Morze Martwe posunęło się już dalej i jest znacznie więcej wyschnięte.

Co do Wieliczki, to uczeni przypuszczają, że pokłady jej powstały nie z jeziora, lecz z laguny, zatoki, odciętej od morza, które pokrywało całą nizinę u stóp Karpat; znajdowane bowiem w jej soli szczątki muszelek należą do gatunków morskich. Morze to w pewnych odstępach czasu wlewało wodę słoną do laguny, a ciągłe

parowanie zgęszczało roztwór i umożliwiało tworzenie się osadów soli na dnie. Że to zaś istotnie nastąpiło, przypisać należy okoliczności, iż w owych dawnych czasach klimat zarówno u nas, jak i w całej Europie środkowej, był znacznie cieplejszy, taki mniej więcej, jak dziś na południowych wybrzeżach morza Kaspijskiego. Morze posiada też takie prawie zupełnie odcięte zatoki (np. Adży-Darja), na których dnie osadzają się co lato warstwy soli kamiennej, przygotowując nowe jej pokłady dla przyszłych czasów i przyszłych pokoleń.

---

71. W jaki sposób przyroda tworzy perły?

Łagodny i matowy blask perły, wyróżniający ją od niespokojnego, rażącego połysku większej części kamieni, postawił ją oddawna w rzędzie najcenniejszych klejnotów. Na cenę perły wpływa blask jej, przezroczystość i barwa, a nadto kształt i wielkość; wówczas, gdy gran drobnych i niekształtnych pereł płaci się 4 franki, gran dużych, prawidłowo owalnych, ceni się 400 fr. Niemałą rolę gra i moda; dawniej przepłacano perły białe i siwe, dziś największą wartość mają czarne.

Naturalnym wytwórcą pereł jest pewnego rodzaju ślimak, żyjący na wybrzeżach Afryki, Azji i niektórych wysp Australji. Zwierzę to nie tworzy perły nigdy z własnego popędu, lecz pod wpływem zewnętrznego impulsu. Pierwszą zachętę do tworzenia dają ciała zupełnie obce zwierzęciu: grudki wapna, szczątki koralów i gąbek, lub resztki organiczne, które wpadły do wnętrza muszli. Tworzą one centrum przyszłej perły, na które ślimak odkłada warstewkę swych materji organicznych, potym idzie warstwa drobnych pryzm wapiennych. Na tak złożone jądro ślimak odkłada znowu cienkie warstewki masy perłowej, położone jak słoje cebuli, i w ten sposób po pewnym czasie daje początek perle. Substancja perły podobną jest do substancji muszli i jak ta składa się głównie z węglanu wapna, połączonego z pewną ilością materji organicznych.

Blask i gra kolorów, właściwe perle i perłowej masie, są dziełem mikroskopowo drobnych cząstek wapiennych, ułożonych listkowato na sobie. Luźna nieco spójność tych cząstek wytwarza właśnie owe refleksy i za-

łamy światła, wywołujące w zmianach swych efekty właściwe perłowej masie.

Jeżeli przyszła perła znajduje się nie na muszli, lecz w miękiszu ślimaka, nabiera często formy prawidłowo okrągłej i przy znacznej wielkości bardzo wysoko się ceni. Jeżeli zaś przylega do skorupy, to ślimak przytwierdza ją zaraz do tego miejsca, ociągając jednocześnie skorupę i perłę coraz nowemi warstwami masy perłowej. Perły takie mają zawsze przysadkę lub nóżkę, którą łamać potrzeba, by perłę z muszli wydobyć. Zmniejsza to znacznie wartość perły, która w tym razie nadaje się tylko do oprawy, mającej na celu ukrycie owej nóżki. Wogóle mniej cenne odmiany poddają się rozmaitym operacjom mechanicznym i chemicznym dla nadania perłom pozoru cenniejszych. Niekształtne zaokrąglają sztucznie, białe zabarwiają chemicznie na czarno.

Największą ilość pereł i masy perłowej dostarczają wyspy australskie, najbardziej zaś poszukiwaną perłową masą jest pochodząca z Macassar na wyspie Celebes, zupełnie biała i bardzo twarda, używa się tylko do inkrustowania mebli zbytkownych. Cały prawie handel tym produktem koncentruje się w Londynie, gdzie co sześć tygodni odbywa się wielka licytacja perłowej masy. Stąd wysyłają ją do Ameryki, Australji i Francji, a głównie do Paryża, który corocznie kupuje za trzy miljony franków surowej masy perłowej i obrabia ją na materjał inkrustacyjny do sprzętów, guzików i t. p., zajmując przemysłem tym przeszło 4,000 ludzi.

Dla mieszkańców Australji handel perłami jest źródłem wielkich dochodów. Chciwość europejczyków nauczyła ich rozumu: kiedy jeszcze dwadzieścia lat temu, kilkanaście metrów sukna, faskę mąki lub kilka litrów rumu można było wymienić na piękne perły i kilka tuzinów centnarów perłowej masy, dziś ceny tych produktów podniosły się niezmiernie.

Trudność nabywania pereł pobudziła do łowienia na wielką skalę muszel perłowych, przyczym postępowano tak nieoględnie, że niektóre miejscowości ogołocono z nich prawie zupełnie.

W ostatnim czasie obawa zupełnego wytępienia cennej muszli poddała we Francji myśl sztucznej ich hodowli, jak ostryg. Próby robione dotąd wypadły bardzo pomyślnie i można mieć nadzieję, że sztuczna hodowla ocali muszlę perłową.

z „Biesiady Literackiej.“

72. Muzykalność zwierząt.

Mitologiczny Orfeusz oczarowywał muzyką najjadowitsze gadziny; argonauci potęgą śpiewu uśpili smoka, pilnującego złotego runa. Plinjusz i Seneka opowiadają, że w uroku muzyki leży siła, jaką czarodzieje mają nad wężami; Indjanie amerykańscy, umiejący dobrze gwizdać, zbliżają się bez obawy do iguana (legwana) i chwytają olbrzymią jaszczurkę, której mięso jest dla nich przysmakiem.

Jaszczurka z taką uwagą słucha melodji, że zapomina o własnym bezpieczeństwie; dowód, że melomanja może być niekiedy śmiertelną: Pan Zabet na Martynice wyszedł na polowanie na jaszczurki, z negrem, trzymającym długą żerdź z wolnym węzłem na końcu. Wkrótce zobaczyli jaszczurkę na gałęzi, wygrzewającą się na słońcu. Murzyn zaczął gwizdać, i gad zaraz wyciągnął głowę w stronę, z której dochodziło go gwizdanie; murzyn zbliżył się do jaszczurki powoli, zaczął ją łaskotać po bokach i gardle końcem żerdzi. Jaszczurka zaczęła się tak szybko obracać, że można już było wziąć ją na węzeł.

Współczesny uczony, Quatrefages, opowiada, że przez długi czas miał w domu jaszczurkę oswojoną. „U wszystkich jaszczurkowatych, mówi, słuch jest nadzwyczaj rozwinięty; z odległości kilku metrów słyszą szelest liścia poruszanego wiatrem lub brzęk muchy. Delikatne ich ucho, jakkolwiek nie posiada przyrządu wzmacniającego dźwięki, zdaje się posiadać zdolność ich rozróżniania. Ilekroć wziąłem z sobą jaszczurkę do pokoju, w którym grano na jakim instrumencie, wysuwała żywo główkę z poza mego rękawa. Położona na ziemi, dążyła w kierunku muzyki. Flet, flażolet sprawiały jej największą przyjemność. Cymbały, brzękadła chińskie wstrząsały ją; na wielki bęben była obojętną.“ Widać z tego, że opisywany przez podróżnych dyletantyzm gadów nie jest tak dalece przesadzony.

Faktem jest, że kiedy jaszczurki uciekają, dosyć zagwizdać, by zatrzymały się i mimo niepogody słuchały z widocznym upodobaniem. Niemniej czułemi na urok muzyki są węże; gdy okularnik słyszy flet, prostuje się, wybija takt, a głowa jego okrągła i długa, rozszerza się i płaszczy jak wachlarz. Uszy wężów pomieszczo-

ne są pod skórą; z tej budowy anatomicznej możnaby wnosić, że słuch mają dosyć tępy; pomimo to gad ten zdradza w wielu razach poczucie muzyczne.

Widziałem, opowiada Jan Franklin, jak dzieci dręczyły węża zupełnie nieszkodliwego. Ulitowałem się nad gadziną, wybawiłem ją z rąk dręczycieli i zabrałem z sobą do domu. Tu pomieściłem węża w koszyku, zawieszonym przy suficie. Pewnego wieczoru wziąłem skrzypce i przechadzając się po pokoju, grałem dla swojej przyjemności; jakżem się zdziwił, kiedy zobaczyłem węża, uczepionego ogonem do koszyka, wyciągającego głowę w kierunku moich kroków. Wydobyłem go, okręciłem koło szyi i zacząłem grać nanowo. Wąż zachował się nieruchomo, jak gdyby pogrążony był w zachwycie.

Okularnik, jeden z najstraszniejszych wężów, żyjących w Indjach, daje się oswajać tak zwanym snokembom i przyuczyć do pewnego rodzaju tańca przy odgłosie fletu. Jeżeli słyszy nosowy dźwięk piszczałki lub flażoletu, wychodzi z ukrycia, biegnie do muzyka i przyjmuje pokarm z jego ręki. Lekarz Schaw widział węże, zachowujące takt z derwiszami w ich korowodach: węże wbiegały na głowę i ręce derwiszów, obracały się wraz z niemi i zatrzymywały się.

To samo zamiłowanie muzyki zauważono na jadowitym wężu, zwanym korba. Kuglarze w Indjach oswajają go, przyuczają do wybijania taktu i akompanjowania ruchami głowy grze na flażolecie. Wąż oczarowany wykonywa ruchy zgodne ze smutnym lub wesołym nastrojem muzyki.

W czasie pobytu mego w Indjach, opowiada Franklin, w ogrodzie moim miałem kobrę z kapturkiem. Oswajacz wężów, w turbanie z piór na głowie, siedział koło otworu pod płotem i grał na instrumencie zrobionym z tykwy. W ręku miał kawałek stłuczonego zwierciadła. Niebawem kobra wysunęła łeb, i zdawała się wsłuchiwać w dziki głos wychodzący z tykwy, a jednocześnie oczy jej spoczęły na migocącym zwierciadle; stojący przy nim towarzysz pochwycił węża z tyłu za szyję i, nie wyrwawszy mu nawet zębów jadowitych, rzucił pod pokrywkę koszyka. Nazajutrz oswajacz powrócił, postawił koszyk na ziemi, położył się obok i zaczął grać na tykwie, pokrywka podniosła się i wąż na pół zwinięty, pokazał się; w ciągu gry poruszał głową jak dyletanci na operze włoskiej. Od czasu do czasu rozwijał kapturek i syczał, ilekroć indjanin zbliżał rękę. Sto-

jący za muzykiem towarzysz szybkim ruchem pochwycił kobrę za ogon; w tym położeniu wąż nie mógł mu nic zrobić; ale kiedy mu rzucono kurę, pożarł ją w oka mgnieniu.

I w Kairze widzieć można sztuki z wężami. Kuglarze egipscy przyuczają węże do pewnego rodzaju tańca przy flecie i piszczałce. Powiadają, że za pomocą pewnych dotykań mogą wprawić niebezpieczną gadzinę w letarg, w którym sztywnieje zupełnie.

Nawet najstraszniejszy ze wszystkich wężów, grzechotnik, daje się opanować muzyką. W r. 1796, mówi Chateaubriand, podróżowaliśmy po Wyższej Kanadzie w towarzystwie kilku krajowców. Kiedyśmy pewnego dnia spoczywali na równinie, nad brzegiem rzeki, do namiotu naszego dostał się grzechotnik. Jeden z kanadyjczyków grał na flecie; chcąc nas rozerwać, zbliżył się do węża z tą bronią nowego rodzaju. Za zbliżeniem się nieprzyjaciela, wąż zwinął się spiralnie, spłaszczył głowę, nadął policzki, ściągnął wargi, odsłonił zęby jadowite i zakrwawioną paszczę; podwójny jego język wił się, jak dwa płomienie, oczy płonęły jak węgle, a całe ciało wzdęte opadało gniewnie, to podnosiło się jak miech kowalski. Ogon gadziny, z którego rozchodził się szelest złowrogi, oscylował z taką prędkością, że podobny był do lekkiej pary.

Wówczas kanadyjczyk zaczął grać na flecie; wąż robi ruch zdziwienia i cofa głowę ku tyłowi; powoli magiczny czar muzyki ogarnia go, oczy tracą swą srogość, wibracje ogona wolnieją, szelest, jaki wydawał, cichnie i ustaje zupełnie. Ciało podniesione spiralnie obniża się i opada całkowicie na ziemię współśrodkowemi pierścieniami. Tęczowe barwy skóry występują wyraźniej i gad nieruchomy zdaje się przysłuchiwać z rozkoszą.

W tej chwili muzyk robi kilka kroków, wydobywając z fletu dźwięki słodkie i monotonne; grzechotnik opuszcza szyję i czołga się za śladem człowieka, przystając, gdy ten przystaje, idąc dalej, gdy on się ruszy. W ten sposób kanadyjczyk wyprowadził go daleko po za obóz, pośród tłumu widzów, zdumionych tym cudownym wpływem melodji na jadowitą gadzinę.

z „Biesiady Literackiej.“

---

73. Z góry św. Bernarda.

Wszak to przyjemnie spotkać starych znajomych z dzieciństwa, przypominać sobie z niemi prześliczne bajki, w jakie wierzyliśmy, i straszną rzeczywistość, która była dla nas tylko udramatyzowaną powieścią!

Jednym z takich wspomnień miłych sercu naszemu jest dla nas wszystkich klasztor na górze św. Bernarda i jego poczciwe psiska, które nam tyle łez rozczulenia z oczu wycisnęły.

Od chwili zażyłości z owemi przyjaciółmi człowieka, jednemu z nas upłynęło już lat dwadzieścia, drugiemu czterdzieści, innemu sześćdziesiąt... a w każdym silniej serce uderza na samo przypomnienie: psy z góry św. Bernarda!

Wspomnienia młodości to moneta, której nawet ręka czasu zetrzeć nie może.

Góra św. Bernarda, jak niegdyś, tak i dziś, to straszna pustynia! Zaledwie przez sześćdziesiąt a najwięcej ośmdziesiąt dni w roku droga do klasztoru jest wolna od śniegów, a nieraz nawet w czerwcu grozi podróżnemu utratą życia. Tylko do miesiąca września turyści ze wszystkich krajów nawiedzają te miejsca; po wrześniu sami kontrabandziści i ich nieodłączne cienie, celnicy, awanturują się na los szczęścia w tych ruchomych jak puch, a groźnych jak maczuga, śnieżnych chaosach.

Niestety, mylę się, oprócz kontrabandzistów i celników awanturuje się często w śnieżnych chaosach jakiś biedak, który puszcza się naoślep, nie mając nic do stracenia, poprzez zawały i przepaście, krzepiąc się nadzieją spoczynku i posiłku w gościnnym klasztorze, na szczycie góry.

Najniebezpieczniejsze drogi są od strony szwajcarskiej. Podczas lata olbrzymie trąby śnieżne, równie groźne jak lodozwały wiosenne, zasypują po staremu ludzi i zwierzęta. Tylko olbrzymiej siły człowiek potrafi się wyrwać z objęć takiej nawały, takiego huraganu — siłacz musi ciągłym ruchem walczyć z nieprzyjacielem, musi go ciągle ze swych ramion otrząsać, jedna chwila spoczynku, a walka przegrana!

Spokój człowieka tu znaczy tyle, co śmierć; w spokoju ciało sztywnieje i jeśli pomoc nie przybędzie dość wcześnie, wszystko się kończy bardzo prędko: śnieg, który płynie mimo zaklęć nieszczęśliwego, w oka mgnie-

niu sypie gruby całun na zesztywniałe ciało rozbitka, i na wiosnę nowy krzyż wznosi się przy drodze.

Kto raz widział podobną zawieruchę, ten łatwo zrozumie nazwy, przejmujące dreszczem grozy: Dolina zmarłych, Góra umarłych, Kaplica umarłych. Niema roku żeby na tę dolinę, na tę górę, do tej kaplicy nie przybyło przynajmniej sześciu zmarzłych.

Zakonnicy nie skarżą się na pracę, pod tym względem nawet najpochlebniejsza dla nich opinja nie dorównywa rzeczywistości. Należą oni do reguły św. Augustyna.

Każdy z tych samotników doszedszy do sędziwego wieku, do bezsilnej starości, jest z klasztoru usuwany, jako niezdolny do ciężkiej posługi, i przechodzi na spoczynek do domu schronienia w Martigny. Wszyscy czynni zakonnicy są ludźmi o tęgich muskułach, silnej piersi, czerstwej twarzy, wesołego humoru, podobni raczej do dzielnych strzelców, niż do ludzi oddanych modlitwie i wstzemięźliwości.

W klasztorze, gdzie podróżnika czeka serdeczna gościnność, oprócz wygodnych sypialni, znajduje się bibljoteka i kaplica — dwie rzeczy prawie niezbędne dla każdej chrześcijańskiej a oświeconej rodziny. Oprócz tego jest gabinet historji naturalnej, małe muzeum starożytności, i salon z fortepjanem i organami. Wieczorem w salonie rozlegają się wesołe i poważne tony, i to na wysokości 2.500 metrów ponad orkiestrą paryskiej opery.

Jeżeli wnętrze klasztoru usposabia do spokoju a nawet dobrego humoru, to przeciwnie, okolica, sąsiedztwo klasztorne gniecie duszę niewysłowioną tęsknotą. Dokoła tak ponuro! tak grobowo! ani śladu życia! ani ptaka, ani ryby, ani muchy nawet!

Od piątej godziny popołudniowej nastaje pora przykra, ostra; powietrze zawsze napełnione kryształkami ostrokątnemi, wpływa do izb przez otwarte okno — bo to lato! A rankami, nawet podczas największych skwarów, małe czarne jezioro dotykające tej samotni, pokrywa się rodzajem gazy przezroczystej ze śniegu i lodu. Nawet ryby, doskonale się hodujące w jeziorze na górze Cenis, tu żyć nie mogą.

Także dostawa wszelkich produktów jest nadzwyczaj utrudniona, trzeba je wnosić z pod podnóża góry na plecach lub mułach; jest to jedna z najuciążliwszych czynności służby klasztornej.

Próbowano wprawdzie skopać motyką kawałki ziemi, jako tako osłonięte ścianami skały, lecz ani ren zrodzony w Laponii, ani żółty grenlandzki niedźwiedź, stworzenie najmniej wymagające, nie zgodziłyby się na przebywanie w tych pustkowiach i ciasnotach, nie potrafiłyby wyżyć tutejszą sztucznie wywołaną roślinnością.

Tu zieloności, godnej tej nazwy, ani śladu; kwiaty widzieć można tylko na obrazkach, porozwieszanych w celach gościnnych, jako okazy natury bajecznej. Udało mi się jednak znaleźć tu dubeltowy fijołek, w stanie dzikim, pierwotnym, jak wyszedł z ziemi w dniu stworzenia.

Wyobraźcie sobie teraz, jakiego uczucia doznają światowcy, przepędziwszy kilka wieczorów, kilka nocy pośród tej natury dzikiej, nie dającej się obłaskawić. Zdaje się, że jedną nogą człowiek stoi śród żywych, a drugą wtyka pomiędzy umarłych.

Gdy rankiem wyjdziesz z klasztoru, spodziewając się, że letnie słońce ogrzeje cię i rozweseli, cisza grobowa odrazu mrozi serce, a wzrok stężały zatrzymuje się na krzyżu, wzniesionym ponad domem pogrzebowym czyli Morgą. Ten dom pogrzebowy to nie stacja kilkudniowa w drodze do grobu, jest to raczej mieszkanie zajęte przez długoterminowych lokatorów. Poprzez gęste kraty widać ciała zesztywniałe, które jak mumje odgrzebywane w Pompei, zachowały postać, jaką miały w chwili skonania. Są to ciała nieznajomych, znalezione w zaspach śniegowych; powietrze zimne na tych szczytach nie dopuszcza tak łatwo, jak gdzieindziej rozkładu, dlategoteż zmarli mogą długo pozostawać w kaplicach, dopóki ich ktoś z podróżnych nie rozpozna. Takie ciągłe sąsiedztwo nieboszczyków nie usposabia do humoru.

Pies z góry św. Bernarda ma swoją historję, swoją legiendę, jak jaki człowiek bohater, jak jaki ród magnacki, dobrze zasłużony krajowi i ludzkości. Psy tej rasy posiadają rzeczywiście zadziwiające przymioty: w domu to istne cerbery, poza domem łagodność ich prawie dziecięca.

Gdy jest u wrót klasztornych na straży, tak ujada, tak wyszczerza kły, jakby cię chciał rozszarpać w kawały, ale od chwili, gdy zakonnik kratę otworzy i wpuści cię na dziedziniec, pies już jest twoim przyjacielem, łasi się i za połę ciągnie do ciepłego budynku.

Organa słuchu i powonienia u tego psa są rozwi-

nięte do najwyższego stopnia; odnajdzie ścieżkę ukrytą pod grubą warstwą śniegu, odwęszy zdaleka podróżnika zbłąkanego, przeczuje stoczenie się lodozwału.

Bohaterem, którym szczyci się rasa tych psów, jest pies Barry; jego szanowne szczątki wypchane, przechowuje muzeum w Bernie.

Barry ma swoją historję, ma swoją legiendę, poematy, ody i portrety. W ciągu dwunastoletniej służby klasztornej wyrwał śmierci przeszło dwudziestu zbłąkanych podróżników.

Najszczytniejszym jego czynem było uratowanie dziecka, którego matkę porwała śnieżna lawina. Czyn ten uwieńczony jest rysunkiem i drukiem; portrety psa z dziecięciem na grzbiecie, zdobią mieszkania berneńczyków, a drukowany poemat jest najprzyjemniejszym czytaniem na wieczornicach. Poemat ten opiewa, że Barry znalazszy dziecko napół martwe w grocie ze śniegu i lodu, ciepłem swego ciała i delikatnym lizaniem po rękach i twarzy, przywołał je do życia. To uczyniwszy, położył je na ziemi, starając się włożyć sobie dziecko na grzbiet; dziecko zrozumiało namowę, a więcej jeszcze kierowane instyktem ocalenia, uczepiło się szyi psa, a następnie położyło się na jego grzbiecie. W ten sposób Barry przyniósł drogi ciężar do klasztoru.

Prawo, obowiązujące każdego obywatela szwajcarskiego, zostało przełamane dla psa-bohatera: pozwolono mu nosić order, w kształcie medalu zawieszonego na szyi.

Bohater-pies, po latach pełnych poświęcenia i sławy, powinien był znaleźć na starość opiekę i wygodny przytułek, tymczasem skończył boleśnie.

Gdy armja francuska za czasów pierwszego cesarstwa przechodziła górę, aby połączyć się z armją włoską, niejeden żołnierz zabłąkał się i przepadł. Jednego z takich rozbitków napotkał Barry i przywołał do życia.

Żołnierz, otworzywszy oczy, przeląkł się—nad nim stało poczciwe psisko z rozdziawioną paszczęką. Człowiek nie wiedząc, że pies był jego dobrodziejem i biorąc go za jakiegoś potwora dzikiego, jednym cięciem pałasza powalił szlachetne zwierzę.

Na tę wiadomość żalem ścisnęły się serca mieszkańców klasztoru — stracili w Barrym przyjaciela i bohatera.

Znając na pamięć tę całą historję, z dziwną lubością wpatrywałem się w poczciwego Barry w muzeum

berneńskim; poczułem coś w sercu, czego nie wstydzę się nazwać—wdzięcznością.

W kilka dni potym stałem przed portretem księcia Alby—w sercu poczułem także coś... ale to już nie było wdzięcznością!

z „Biesiady Literackiej.”

---

74. Jaskółka.

Wyglądam oknem na dwór, na modrą rzekę, na zielone łąki, het, na falujące łany zbożowe; a dalej mrugają na mnie okienka chatek wieśniaczych, opromienione migotliwym światłem zachodzącego słońca, przeświecające przez gęstą zasłonę rozłożystych jabłoni. Wozy drabiniaste, naładowane snopami, przystrojone wieńcami kwiatów różnobarwnych, długim szeregiem ciągną ku wsi; żeńcy z wesołym gwarem idą za niemi. Bocian unosi się nad gniazdem i udziela swym dzieciom nauki latania.

Jaskółki szybują po powietrzu, prują przestwór błękitny, zakreślając szerokie kręgi, zawsze z rozpostartemi skrzydłami; spadają w dół ponad rzekę i szybko mkną nad jej ruchomą falą. Wlot chwytają muchy, w przelocie wabią się głośnym szczebiotem; szumiący potok ich nie dogoni; drapieżnemu jastrzębiowi zwinnie się wymykają i krzykiem ostrzegają przed nim inne ptactwo.

Wolna jaskółka ufa człowiekowi. Pod strzechą mego domku zbudowała sobie gniazdko; pisklęta wysuwają z niego główki, otwierają dzióbki i wzywają matki. Otóż i ona: przylatuje, zakreślając szeroki łuk, patrzy zdaleka na gniazdko, jeszcze raz zakreśla koło, a potym jak błyskawica wpada pod strzechę; trzymając w dziobku muchę i trzepocząc skrzydłami, unosi się nad gniazdkiem. Pisklęta świergoczą i łapią dziobkami rzucony im owad. Szybko jak strzała odlatuje jaskółka za rzeczkę, za łany falujące. Ale wkrótce znowu wraca, a za nią, jakby drażniąc ją, pędzi inna jaskółka; szybują naokoło strzechy: jedna goni, druga zdaje się uciekać. Wtym uciekająca przez otwarte okno wpada do mej izby.

Prędko zamykam okno. Mam cię, jaskółeczko! Jak mój ptaszek oblatuje izbę, mknąc szybko naokoło ścian, szybując coraz to w szerszych kołach naokoło podłogi! Jak wygina ciało, jak pochyla główkę, rozszerza ogon jak wachlarz i tuli go do siebie, jak kurczy i ściąga pod siebie nóżki! Przestwór wydaje jej się niedość szerokim, i przelękniona bije skrzydłami. Potym siada zmęczona nad firanką i spokojnie układa na krzyż długie swe skrzydła. Na dworze szczebioce druga jaskółka i zwraca główkę na każdego przelatującego ptaszka, jakby niespokojnie szukała towarzyszki; a jej uwięziona towarzyszka odpowiada cicho i żałośnie, jakby w zwątpieniu. Widzi przez okno błękitne niebo, zielony krajobraz: zrywa się do lotu i ach! uderza główką o zwodniczą szybę, trzepoce skrzydłami i jakby odurzona pada na ziemię. Teraz mam ją naprawdę! Schwyciłem ją. Cicho! Czego drżysz? Przecież ci nic złego nie zrobię: jestem twym przyjacielem. Tyleś razy krążyła naokoło mej głowy; wpadałaś nieraz do mej izby i znów wesoło wypadałaś i z nad strzechy żegnałaś mię wesołym szczebiotem.

Już się nie boisz? Spoglądą na mnie śmiało ciemnemi oczkami, otwiera nawet szeroki swój dzióbek i pokazuje mi język! Czy chcesz się bronić, biedaczko? Oho! już drapie nóżkami i ostremi pazurkami.

No, nic ci nie zrobię! Jesteś taka śliczna w swym ciemno-granatowym ubranku i w białym fartuszku, prawdziwy ptaszek domowy, prawdziwa gosposia, skromna i schludna; bronzowa przepaska na czole i chusteczka na piersi, sznur białych pereł na wachlarzu twych piór— wszak to twój strój jedyny! O, będę cię żywił i hodował w pięknej klateczce!

— Nie!—zawołał ojciec, — puść ją lepiej! Przywiązana jest do domu naszego i pełna ufności do nas, ale też przywykła do swobody i do szerokich przestworów, prawdziwy zaś jej dom stanowią jej pisklęta i towarzyszki. Nie nadużywaj zaufania, z którym wbiegła do twego pokoju!

Odmykam okno i powoli otwieram rękę. Jaskółka nie rusza się, tylko oczęta jej biegają naokoło. Wtym zapiszczały jej pisklęta: usłyszała ich głos, wzlatuje w górę, wylatuje oknem, zakreśla w powietrzu koło, chwyta wlot muszkę i śpieszy do gniazdka, do piskląt.

Jesień mija. Jaskółki gromadzą się nad jeziorami i nad stawami, zabierając się do odlotu do ciepłych kra-

jów. I moja jaskółeczka z dziećmi swemi opuszcza gniazdko i nasz domek.

Zima nadchodzi, a z nią mrozy i zaspy śnieżne. Niejeden wróbelek zbliża się do domu naszego i zbiera okruszyny chleba, które dla niego sypiemy pod oknem. Ale jaskółka żyje daleko od nas, żyje swobodnie wśród drzew cytrynowych i pomarańczowych, zatacza swe kręgi około koron palmowych. Lecz kiedy nadejdzie wiosna i ciepły wietrzyk powieje, i ona znów do nas wróci; ani woń i wspaniały blask kwiatów południowych, ani rozkoszny klimat południowy nie zdołają jej zatrzymać; walcząc z wichrami i burzą, przeleci ponad morzami, ponad górami i odszuka nasz domek, odnajdzie swe gniazdko, swych dawnych znajomych. Znowu jej szczebiot będzie mię budził wczesnym rankiem; znów będzie wraz z towarzyszkami krążyła ponad naszą strzechą, a towarzyszki pomagać jej będą przy naprawie gniazdka.

podług Meyera.

75. Co mi opowiadał stary dąb gaduła?

Stary dąb gaduła, choć nie ten sam, który kozakowi Goszczyńskiego szeptał do ucha różne wieści, i mnie także dużo opowiadał. Odpoczywałem w jego cieniu; oczy mi się kleiły. Wtenczas z szelestu liści wyraźnie posłyszałem te słowa:

„Żyję setki lat. Ile burz nade mną przeszło, ile huraganów! Ile razy piorun we mnie uderzył—a ja stoję! Inne drzewa obok mnie burza połamała albo siekiera ścięła, a ja—zostałem sam, bez rówieśników.

Ilu żyjącym istotom dawałem przytułek! Setki rozmaitych owadów na mnie mieszkały; widziałem ich tysiące pokoleń. Objadały moje liście, nurtowały me wnętrze. Ile ptactwa na mnie się gnieździło! Kruki, sowy, jastrzębie, wrony. Na wiosnę kukułka na mnie kukała. Ile wiewiórek po mych gałęziach biegało! U moich stóp, ile trzody chrupało ze smakiem moje owoce! Niewdzięczne, nawet nie spojrzały ku mnie w górę; a jeszcze podrywały moje korzenie.

I ludzi wielu widziałem, może i twoich przodków. Bywałem celem spacerów, świadkiem zabaw i pogawędek. Widziałem wielkie polowania. Raz byłem świad-

kiem strasznego i nikczemnego mordestwa; na ten widok cały się wzdrygnąłem. Na pamiątkę tego okropnego wypadku pobożna ręka zawiesiła na moim pniu ten obraz Matki Boskiej. Innym razem piorun zabił kilka osób z gromadki ludzi, którzy się pode mną schronili; a jeszcze innym razem jakiś nieszczęśliwy, zrozpaczony, na mnie się obwiesił, ale na szczęście spostrzeżono go i uratowano.

Widziałem wielkie wypadki dziejowe: przechodzące hordy Tatarów, napady dziczy, tłumy biedaków, pędzone w niewolę. Kiedyindziej zrywano ze mnie liście i z nich uwito wieniec dla bohatera—zwycięzcy.

Widziałem pokolenia dzielniejsze, niż ty, młodziku! mężów krzepkich i nieugiętych, jak ja! bohaterów, dokonywających wielkich czynów!

I oni znikli, jak ty znikniesz i jak ja zniknę. Lecz przynajmniej pójdę na pożytek ludzki: drzewo moje albo przyda się na wielkie statki, płynące po morzu, albo na drobne klepki, i będzie z niego albo wielka budowla, albo beczka na wino; zrobią też z niego meble: stół jadalny, kredens, a może kołyskę albo—trumnę. Korę moją zużyje garbarz lub jaka fabryka przetworów. Liście i gałązki oddam przyrodzie, od której je wziąłem, a dębianki moje posłużą na wyrób atramentu, którym ludzie utrwalają swe myśli na papierze.

Lecz być może, że i ciebie jeszcze przetrwam i dzieci twoje, i dopiero następne pokolenia będą miały ze mnie pożytek.“

Przebudziłem się ze snu. Z uszanowaniem spojrzałem na stary dąb, świadka czasów minionych, dawcę wieńców dla zwycięzcy, symbol siły. Oby chciwa siekiera jak najdłużej cię oszczędzała, poczciwy, stary dębie!

Antoni Krasnowolski.

---

76. Gniazdo słowicze.

Tarnina już zakwitła, gdy się rozpoczęły słowicze prace i pieśni. Do Dalewic przybyła para słowików i zajęła się najpierw wyszukaniem dobrego miejsca na gniazdko. Niegdyś tam, jeszcze w błotnym marcu, przypadkiem zapuścił się był koń Makosza pomiędzy wikli-

ny; ślady kopyt jego, zrobione w grzązkim podówczas gruncie, dotychczas jeszcze były widzialne, choć je drobna trawka tu i owdzie pozarastała. Jedno takie odbicie końskiego kopyta było głębsze od innych, a znajdowało się tuż pod krzakiem. Matka słowicza złożyła tutaj pierwsza uschły listek; przyleciał małżonek i dołożył suche ździebełko trawy; były to więc fundamenty gniazdka. Przyniesiono jeszcze więcej materjałów, podesłano dno i zaczęto budować boki; oboje, to dziobkiem, to nóżkami, splatali i przeplatali źdźbła, łączyli je ze sobą, naginali, wyrównywali, aż wreszcie stanęły ścianki słowiczego gniazda. Ale było ono niekształtne i wewnątrz bardzo nierówne, więc ptaszek wstąpił w nie, stanął na podstawie i począł się wkoło obracać; obrócił się kilka razy całym ciałem w jedną stronę; obroty takie nadały kształt gniazdku i pokazało się przytym, że niektóre pręciki oraz ździebełka nie są na swoim miejscu; słowik przeto powyciągał je, poprzycinał dziobkiem, dopasował. Po nim, z kolei weszła w gniazdko małżonka i mogła się już w nim obracać zupełnie swobodnie.

Ptaszkowie wydali głos radosny, porwali się na skrzydełka i polecieli między olchy a wikliny; szukali oni skrzętnie po ziemi oraz po drzewach, zbierali kawałeczki mchów, znosili je i wyściełali niemi dno, jako też boki gniazdka. I znowu kolejno, jedno po drugim, wchodziło w gniazdko, przysiadywało tutaj, obracało się dokoła, a gniazdko stawało się gładkie i wklęsłość jego nabierała okrągłości dokładnej. Do mchów dołączono kawałki końskiego włosienia, sierści bydlęcej, a także włosów ludzkich, oraz nieco szczeciny; to wszystko bystre i baczne oczka słowiczej pary umiały znaleźć, już to w sadzie, już w ogrodzie lub nad rzeką. Samczyk był tak śmiały, że rankiem puszczał się na podwórko Makoszowej chaty i zwykle powracał stamtąd zaopatrzony obficie w materjał, potrzebny do budowy.

Gniazdko było już mocne, trwałe, sprężyste, należycie zestawione i pozszywane, ale nie było jeszcze w nim miękko. W takim mieszkaniu, nader ważne i potrzebne są poduszki oraz materace. Okwitały właśnie na podrzeczu wierzby, a przy drodze—topole; wiatr roznosił puch ich kotkowych kwiatów; znajdowały też słowiki drobne puszki pierza, uronionego przez rozmaite ptactwo, a za rzeką, na łące, trafiały się i cząsteczki zajęczego futra. Wszystko to, jedno za drugim, przeniesione zostało do gniazdka, a nadto, matka dodała nieco

puchu z własnej piersi. Nareszcie skończyła się budowa tej chaty w swoim rodzaju; gniazdo posiadało nietylko odpowiednią moc, ale było także bardzo wygodne, było nawet piękne. Wkrótce gniazdko poczęło napełniać się jajkami; dopóki w nim było jedno jajko, dwa, trzy, matka oddalała się w gąszcze, chwytała muszki, uganiała się za komarami, pilnie za to nocą przesiadując na gniazdku.

Kiedy już było jajek cztery i pięć, nie opuszczała gniazdka całemi dniami i nocą, chyba na maleńką chwilę, aby w strumieniu ugasić pragnienie. Słowik znosił jej pożywienie. Zresztą, coś ją do gniazdka wiązało, było jej tam dobrze i przyjemnie. Na poblizkiej gałązce, małżonek rozmawiał z nią tak serdecznie. Rozumiała ona dobrze tę piękną, wyśpiewywaną rozmowę, wsłuchiwała się w nią siedząc cierpliwie.

Po kilkunastu dniach, jedno jajeczko poruszyło się pod nią; usłyszała jednocześnie cieniuchny głosik, podniosła się więc i zobaczyła swego pierworodnego. Powstała wtedy z gniazda, wskoczyła na jego ściankę, wyzbierała starannie skorupki jajka, powyrzucała je, przyjrzała się maleńkiemu dziecku, dotknęła go lekko dziobkiem i krzyknęła, jako uszczęśliwiona matka. Wnet też z olszynowej gałązki sfrunął słowik; i on także popatrzył na jedynaka, i on wydał z piersi głos radości.

Potym prędko już posypały się słowicze dzieci i zaczęły wołać: „jeść, jeść!“ Nowe trudy rozpoczęły się dla rodziców. Ileż tu bywało radosnego pisku, kiedy dziatwa spostrzegła przylatującą matkę z komarem albo chrząszczem w dziobie! Na wyścigi podnosiły się nagie główki, rozwijały nagie skrzydełka, otwierały żółte dziobki, wytrzeszczały czarne oczka. Wykarmić pięcioro dzieci, to bardzo trudno! Trzeba było sprawiedliwie obdzielać porcjami, aby które z głodu nie umarło; matka umiała wybornie rozróżniać każdą główkę. Przytym wtargnęły nieraz do gniazda mrówki i zaczęły malcom dokuczać w sposób bardzo dotkliwy; więc nowa praca, nowe kłopoty; mrówki należało pilnie wyzbierać, powyrzucać, lub pozabijać i pozjadać. Oprócz tego, troskę niemałą w tej rodzinie stanowiły dla matki chłodne a mgliste wieczory oraz poranki; mogło się łatwo które dziecko w czasie pierwszej młodości zaziębić i zamrzeć. Jednakże na wszystko jakoś była szybka i dobra rada.

Adolf Dygasiński.

77. Gniazdo bocianie.

Najpierw do Dalewic przyleciały na wiosnę skowronki, później pokazały się bociany, a dzieci w chacie Makosza wołały: „Boćki lecą!“ Po bocianach przybyły jaskółki; ostatniemi zaś przybyszami, już w kwietniu, były słowiki. Słowików corocznie znajdowała się tu jedna para, podobnie jak i bocianów, gnieżdżących się na stodole Makosza. Stadło bocianie zajęło się najpierw reparacją starego gniazda. Naprzemian więc, to jedno, to drugie znosiło gałęzie, słomę, kawałki darni, szmaty; oboje wyrywali dziobami przegniły chróst, łatali dziury, zatykali szpary, zagradzali, przegradzali; robiły to, co robi wieśniak, gdy naprawia chałupę. Zdarzyło się jednego roku, że do Dalewic nadleciały inne jakieś bociany, a w parę dni dopiero przybyli starzy właściciele gniazda. Powiadają, że kto pierwszy, ten lepszy, i tym razem lepszemi ani pierwszemi nie były te bociany, które najpierw objęły w posiadanie gniazdo; przyszło bowiem do zaciętej walki na stodole; posypało się pierze, popłynęła może i krew, i pokazało się, że ten zawsze mocniejszy, kto swojego na własnych śmieciach broni. Przybyszom spadły nosy na kwintę, musieli ustąpić; wynieśli się do Zamościa pod Skalbimierz, gdzie jest istna bociania kolonja. Być może, iż ta kolonja założona została przez zdetronizowanych przywłaszczycieli cudzych gniazd. Tu i owdzie człowiek wywłaszcza człowieka drugiego; rzecz dziwna, że bocian wywłaszczyć się nie pozwala nigdy.

Po wykończonej reparacji gniazda, żona bocianowa zniosła pięć jaj. Na jajach kolejno przesiadywali — to mąż, to żona, co chyba świadczy nietylko o wybornej małżeńskiej harmonji, ale i o wysoko rozwiniętym poczuciu rodzicielskiego obowiązku. Zagadką była dla mieszkańców Dalewic okoliczność, iż corocznie małżeństwo bocianie, naradziwszy się ze sobą, wyrzucało z gniazda jedno jaje, a niekiedy strącone z gniazda zostało nawet pisklę. Może to był jakiś ptasi przesąd, a może też chodziło o usunięcie z rodziny jakiego niedołęgi potomka, któryby w późniejszym życiu nie zdołał przenieść trudów ciężkiego bocianiego życia, i obronić, w razie potrzeby, rodzinnego gniazda. Jeżeli parę bocianów nazywamy małżeństwem, to gniazdo ich możemy nazwać

chatą. Otóż bociania chata umieszczona była na samym rogu strzechy Makoszowej stodoły. Czworo bocianków, z szaremi dzióbkami i takiemiż nogami, zachowywało się nadzwyczajnie przyzwoicie w gnieździe. Od najpierwszych pieluch, aż do młodzieńczego wieku, nie słyszano w gnieździe niesfornych krzyków; zdaje się, że ważna cnota karności zdobi młodzież w rodzie bocianim. Piszczały one tylko niekiedy, mianowicie zaś gdy przybywało do gniazda które z rodziców. Pracowitość tej ptasiej rodziny, jej rozum w przeprowadzeniu podziału pracy, przywiązanie do gniazda, karność młodzieży, troskliwość, a nawet czułość rodzicielska starszych względem młodszych, przytym różne inne cnoty, sprawiły, że ludność dalewicka, porównawszy sobie wspomniane zalety z ludzkiemi, musiała ptakom przyznać pierwszeństwo. Bociany więc wyrobiły sobie tutaj między ludźmi nietylko uznanie, ale rodzaj czci, na którą nie zasłużyły ani wrzaskliwe sroki, ani natrętne wróble, ani żarłoczne wrony i inne ptactwo.—„Zabić boćka, to ciężki grzech“—mawiali starzy gospodarze do swoich dzieci, a dzieci wierzyły ojcom i to samo powtarzały później własnym dzieciom. Ileż to cnót trzeba posiadać, ażeby sobie zasłużyć na ludzkie uznanie, nie będąc jednak wołem, gęsią, kurą, kaczką lub cielęciem! Zaprawdę, mieszkańcy Dalewic zupełnie bezinteresownie szanowali bocianów, które na pewnych punktach stały nawet wyżej od niektórych naszych współziomków. Mamy w tej chwili na myśli mianowicie edukację dzieci, o którą bociany dbały znacznie więcej, aniżeli przeciętny chłop dalewicki. A przecież walka o byt, zachody o dobro materjalne, ciążyły na owych ptakach niemniej potężnie, jak i na ludziach.

Gdy przeminęły czasy wychowania, polegającego wyłącznie na odżywianiu, kiedy młode bociany podrosły i okryły się dobrym pierzem, rodzice zaczęli je nauczać; polecono malcom stanąć prosto na gnieździe, zabraniając garbienia się i niedołężnego zginania nóg. Bocianki szybko pojęły, o co chodzi. Po tych ćwiczeniach gimnastycznych z nogami, nastąpiły ćwiczenia skrzydeł. Wielki szum słychać było na stodole Makosza, kiedy młodzież, stojąc w gnieździe, na komendę ojca lub matki, wprawiała się w używanie skrzydeł. Potym nastąpiły lekcje wznoszenia się na skrzydłach, najpierw o parę cali prostopadle nad gniazdem, z zastrzeżeniem silnym,

że nie wolno spaść na strzechę, a tym bardziej na ziemię. Szło to powoli, ale wychowawcy byli pobłażliwi oraz cierpliwi. Niebawem nastąpiły marsze dłuższe po samym szczycie stodoły; ten i ów chwiał się, tracił równowagę, odzyskiwał ją znowu, aż młódź w rezultacie nauczyła się chodzić. Dopieroż to radość była, kiedy jednego dnia matka zaczęła na skrzydłach opisywać koło ponad gniazdem. Porwał się wtedy z szumem do góry synek pierworodny i dalejże za matką „a w kółko, a w kółko.“ Inne dzieci, widząc, że „nie święci garnki lepią,“ poszły też w taniec. Niedosyć jest wznieść się w górę, ale trzeba umieć także opuszczać się na dół i osiadać tam, gdzie potrzeba. Więc pod tym względem bywały przypadki rozliczne; niejeden młodzieniec spadł na strzechę pochyłą i ślizką, a matka z góry wołała nań z uśmiechem: „Ratuj się sam, jak umiesz.“ Przylatywał na takie popisy ojciec z łąki; rozlegało się wówczas głośne klekotanie, opowiadano mu, co to było.

Ale wychowanie nie skończyło się na tym. Dalsze jego części odbywały się na łąkach, które dzieci znały tylko z opowiadania. Tutaj musiały one nauczyć się poznawania różnych sygnałów niebezpieczeństwa; tutaj dowiedziały się, że nie należy uciekać przed krową, koniem, świnią, ale należy strzedz się rozpustnego psa. Okrom tego, przyszło pozyskać wprawę w łowy różnego rodzaju, czemu towarzyszy, już w gnieździe rozpoczęta pewna znajomość zoologji; co innego jest żaba, co innego pisklę skowronka, jaszczurka, wąż, salamandra, młody zajączek i t. d. Ważnym nadto i użytecznym przez całe życie jest sposób tępienia pasożytów; a bardzo trudno nauczyć się stać na jednej nodze. Ażeby zaś młodzież nauczyła się kochać i szanować rodzinne gniazdo, musiała do niego regularnie na noc powracać, jakkolwiek samodzielną już była.

Jeżeli zważymy, że wszelkie wychowanie odbywa się kosztem czasu oraz znacznych wysiłków ze strony wychowawców, to musimy mieć respekt dla fundatorów bocianiego gniazda i przyznać im pewnego rodzaju pedagogiczne wykształcenie.

Adolf Dygasiński.

78. Zniszczone gniazdo.

Były to właśnie początki czerwca. Po pięknym dniu pogodnym nastąpił wieczór. Nad strugą śpiewał słowik, wśród łąk odezwały się żaby, wszedł księżyc, kiedy Walentowa, ukończywszy wszystkie swoje zajęcia, uczuła nareszcie prawdziwą potrzebę spoczynku. Basia już wtedy spała, a Marysia kiwała się nad kołyską Jędrusia. Matka wzięła do siebie uśmiechającego się przez sen pieszczocha i legła z nim pod pierzyną.

W noce letnie, z powodu gorąca, drzwi od izby bywały zawsze otwarte, a tylko dworowe drzwi od sieni Makoszowie zasuwali na długą, drewnianą zaporę.

Chociaż już zmierzch zapadł dosyć dawno, jednakże Kizia widocznie zadowolony był pod względem żołądka, bo jeszcze nie wyruszył na łowy i jednostajnym mruczeniem dawał znać o swojej bytności w piecu chlebowym. Na kominie ognisko przygasło, tylko od czasu do czasu mignęło jeszcze jakąś iskierką, gasnącą w popiele. Kizia nawet i w lecie lubował się w dobroczynnym cieple, dla niego ciepła i wtedy nie było za dużo. Wylazł z pieca chlebowego, przeciągnął się jak długi i miał może zamiar skoczyć na dół i udać się na wycieczkę, lecz go ciepło ogniska widać zwabiło, bo znowu przycupnął na mile grzejącym popiele i podłożywszy ogon pod siebie, rozpoczął swoje mruczenie. Śpiące dzieciaki sapały, a spracowana Makoszowa spała twardo, jak drzewo i chrapała mocno. Kizia widać jakoś zanadto rozgrzebał popiół; ogon jego i ciało zetknęły się z drobniutkiemi węgielkami, które jeszcze pod popiołem nie wygasły. Węgielki owe przylgnęły do futra, a futro się przypaliło, czego kot ten nieraz już w życiu swym doświadczył. Ale, przypaliwszy futro, węgielki zaczęły parzyć i piec skórę. Wtedy Kizia, oparzony, porwał się, miauknął swoim cichym jak zwykle głosem, zeskoczył z komina na ziemię, wstrząsnął ciałem; ale węgielki się trzymały, jedne tlały w futrze po bokach ciała, drugie czepiły się ogona. Kot, jak szalony, wypadł do sieni, a z sieni po drabinie popędził na górę. Węgielki ciągle go piekły i trzymały się ciała. Kizia rzucił się z bólu pomiędzy skrętki nieprzędzonych jeszcze konopi, wytarzał się tutaj i w ten sposób przerwał swą straszną torturę. Swobodniejszy, wydostał się przez dymnik na strzechę, spojrzał ku dołowi, czy go przypadkiem nie dojrzy Obal,

potym usiadł na samym wierzchu kalenicy około komina i zaczął lizać swe rany.

Małe węgielki, które się dostały pomiędzy cienkie i suche włókna konopi, sprawiły tlenie, znajdując znaczną ilość materjału dostatecznie palnego. Od jednego zwitka konopi tlenie przeniosło się do drugiego, następnie do trzeciego; cała góra zapełniła się dymem; tlała też i słoma pod spodem będąca i przędza i płótno, które pracowita gospodyni we dnie bieliła. Powstał płomień, zrazu mniejszy, potym rósł, ogarniając suche kawałki drzewa, i nareszcie wydobywając się na strzechę. W kilku miejscach wybuchnął ogień gwałtowny, wydobył się na zewnątrz i przeniknął jednocześnie wewnątrz. A najpierw ogarnął ściany sieni. Wnet izba napełniła się dymem gorącym. Cały dom stanął w płomieniach.

Pierwsza obudziła się Marysia, ujrzała jasność, poczuła gorąco, chciała krzyknąć, ale żar i dym wpadły jej w gardło. Porwała się dzieweczka na swym posłaniu i runęła na ziemię z tapczana, który, że był najbliżej sieni, zalanej pożogą, płonął w ogniu. Basia spaliła się, nie dawszy znaku życia. Jędruś, głęboko zakopany pod pierzyną, rzucił się, uderzając o ciało matki i zapłakał gwałtownie. Wtenczas obudziła się i nieszczęśliwa Makoszowa.

Słyszała tylko dokoła straszny syk, trzask oraz łomot zawalającego się w płomieniach domu; ze wszystkich stron palił ją żar ogromny, bo łóżko, pierzyna, całe posłanie, nawet koszula na niej — wszystko płonęło. Porwała konwulsyjnie dziecko, przycisnęła je na piersiach i tak z płomieni skoczyła w płomienie. Duszący dym wniknął jej w gardło oraz płuca, w oczach się zamroczyło i padła na środku izby, tuląc ciągle do piersi martwego już Jędrusia...

Zniszczenie poszło dalej.

Powstał, jak zwykle w takich razach, niezmiernie silny wicher, posypały się rzęsiste iskry na oborę, która też w mgnieniu oka oblała się straszną czerwonością; palił się nawet nawóz na podwórku. Przez krótką chwilę, ryczało i szalało bydło, rozlegał się kwik i pisk trzody chlewnej. Później przycichły już spokojnie te głosy istot żywych... Kiedy ludzie rzucili się na ratunek, wtenczas gorzała już sutą łuną stodoła, do której przystęp był teraz głównie od pola; ale w tę stronę właśnie buchał płomień. Krótkiego czasu potrzeba, aby zniszczał dobytek chłopski.

Kiedy płonęła stodoła, wtedy wśród kłębów dymu, iskier i płomieni, na swych szerokich skrzydłach przelatywała matka rodziny bocianów, jak duch cierpienia i rozpaczy. Ciężko szumiały jej skrzydła, gdy po kilkakroć zniżała lot swój, aż do głów ludzi obecnych przy pożarze. Kto wie, czy nie błagała o ratunek dla dzieci, których jęki może i dosłyszała? Sama też wydawała jakiś głos cichy, który brzmiał, jak dźwięk smętnej skargi nieszczęśliwego. Ratunku być nie mogło. A ona, czy nie mogła przeżyć śmierci swych dziatek, czy może jeszcze ostatni raz chciała ujrzeć te najdroższe skarby, tego nikt nie wie; ale tak sobie chyba należy tłómaczyć krok rozpaczliwy biednej matki, która się rzuciła pełnym lotem w płomienie, górujące ponad stodołą. Wicher wionął, ogień buchnął jeszcze wścieklej, a ptak zmieszał popioły swoje z popiołami dzieci. Może taka mogiła i lepsza, niż długotrwałe cierpienia ciężkie...

Była właśnie północ i tam, gdzie przedchwilą znajdowały się gniazda, napełnione życiem, wróżącym tyle nadziei zastała mogiły. Wtaśnie ojciec bocian przyleciał z odległej łąki, przynosząc ze sobą w dziobie żywność dla rodziny. Spóźnił się! Nie zastał nikogo! Tylko ogień świecił jeszcze złowrogo. Usiadł więc na sąsiedniej stodole i rozglądał się, czy to wszystko, co widział, nie było złudzeniem; czy trafem jakim nie zbłądził?... Niestety! Przekonał się zapewne wkrótce o rzeczywistości, bo wzleciał w górę i krążył długo, długo ponad spaloną stodołą i spopielałemi ciałami dzieci oraz żony. Krążył i przysiadał znowu na sąsiedniej stodole, porywał się, latał dokoła, zniżał się w locie prawie do samej ziemi; poczym znowu w górę podlatał. I tak dręczył się ptak nieszczęśliwy do białego rana. Dzień zastał smutnego ojca, bujającego nad zgliszczami pełnemi zgrozy, dzień złożył mu nieomylne dowody, iż się spełniło srogie nieszczęście. Na jednej ze spalonych do połowy belek przystanął, podumał gorzko przez chwilę. Co czuł, któż to wie? Czuł może dotkliwiej, niż niejeden człowiek. Kiedy nadchodzili ludzie, porwał się nagle na skrzydła i poleciał kędyś w świat; ale w locie zwracał jeszcze niekiedy głowę ku swojej drogiej ojczyźnie. Utracił wszystko, to prawda, pozostało mu jednak życie.

Cóż z nim zrobił?

Zaraz w następnym roku, bocian pojawił się znowu w Dalewicach. Na miejscu spalonej stodoły, stała

już nowa, a na nowej założono mu stare koło od wozu. I znowu zaczęło się budowanie gniazda. Takich nikt nie wydziedziczy.

Adolf Dygasiński.

79. Walka w pustyni.

Była druga godzina po południu; Loannec szedł na czele naszej małej karawany.

— Patrzajcie, śnieg!—zawołał w chwili, gdy wydobywając się z doliny kondorów, wchodziliśmy na płaszczyznę.

Śnieg w marcu, na południowej półkuli! Można było przypuścić, że przzodownika naszego chyba słońce poraziło, co zresztą nie byłoby nic dziwnego, gdyż gorąco było straszliwe w tej dolinie, jeśli tak nazwać można szeroką rozpadlinę, otoczoną z obu stron ogromnemi skałami. Urwiska zaścielały ziemię, jakby chciały opóźnić nasz pochód i dłużej nas zatrzymać w tym miejscu przeklętym, w którym całą roślinność reprezentowały mchy olbrzymie, zlewające się z szarą masą skał, jakby do nich były przyklejone.

— Oszalałeś czy co?—krzyknął na niego Karol.

A no, zobaczycie sami. Jeśli to nie jest śnieg, to coś niesłychanie doń podobnego. To dziwna, że jakoś nie bardzo zimno. Dodajmy że termometr wskazywał 45° ponad zerem! Zaledwie dogoniliśmy naszego towarzysza, wszyscy naraz wydaliśmy okrzyk zadziwienia. I było dziwić się czemu: przed nami, po same brzegi widnokręgu, rozciągał się niby olbrzymi obrus rażącej białości, z którego pod palącemi promieniami słońca mirjady iskier strzelały. Zaprawdę, można było przysiąc, że to śnieg.

Milcząc, bo zadziwienie usta nam zamknęło, z pytającym wzrokiem zwróciliśmy się ku Barlejowi.

— Aha, już wiem!—zawołał Loannec—to bawełna!

— A gdzież drzewa bawełniane?

— Prawda, nie widać ich nigdzie.

Vaqueano uśmiechał się; zadziwienie nasze sprawiało mu przyjemność.

— Wjeżdżamy na wielkie saliny—rzekł nareszcie, gdy osądził, że dostatecznie wypróbował naszej cierpliwości.

Więc to saliny! Don Cabral mówił nam o nich, gdyśmy układali plan naszej podróży na stacji De las Jarillas; ale nigdy wyobraźnia nasza nie marzyła o widoku tak wspaniałym w swojej jednostajności.

Jak daleko wzrok sięgał, jeden ocean soli śnieżnej białości. Ani jednego cienia na tej panoramie, która nam przypominała ogromne stepy sybirskie, kiedy zima rozciągnie olbrzymi całun nad tym królestwem śmierci i milczenia; ani jedna plama nie urozmaicała jednostajności tego białego kobierca.

— No, dalej w drogę!—rzekł Barlejo—szkaradna to przeprawa przy tym piekielnym słońcu, na którym by wołu upiec można; ale musimy przebyć pustynię zanim noc zapadnie, gdyż pod utratą koni nie możemy obozować wśród salin.

— A wielkie są te saliny?

— Dwanaście mil.

Dwadzieścia kilometrów! Toć to bagatela dla naszych dzielnych rumaków, które od rana szły stępa, gdyż prędzej nie podobna było jechać przez dolinę kondorów.

Dawszy koniom ostrogi, ruszyliśmy galopem.

Trzej gauchowie puścili nas przodem. Nasz zapęd trwał niedługo. Zaledwie konie dotknęły się soli, stanęły jakby przygwożdżone do ziemi; warstwa solna poczęła im skrzypieć pod nogami niby śnieg. Znów musieliśmy jechać stępem.

Dwadzieścia kilometrów drogi w takich warunkach! A my spodziewaliśmy się przebyć ją galopem.

Upał był okropny. Odblaski soli, tyle razy czyszczonej i blechowanej przez deszcze i wiatry, oślepiały nas. Na domiar nieszczęścia, wiatr północny, duszny, denerwujący, pomnażał nasze męczarnie. Piekliśmy się w tym piecu, którego zabijającej temperatury żaden chłód nie łagodził. Ostatnie promienie zachodzącego słońca różowym światłem oblewały ten obraz taki smutny i taki nagi.

Naraz, jakaś masa ognistej czerwieni, rzucająca błyskawiczne połyski, ukazała się po lewej stronie, podczas gdy wprost przed nami długa linja zieleni oderznęła się wyraziście na białym tle soli. W tejże chwili konie nasze zarżały, poczuły wodę; przyśpieszyły kroku pod wpływem tej podniety, którą zrozumieć mogą tylko ci, co żyli wśród pustyni.

— Woda! Będziemy mieli wodę!

Głosem i ręką popędzaliśmy nasze rumaki; dojeżdżaliśmy już do jeziorka, gdy wtym stanęliśmy jak wryci. Widok jaki się przedstawił naszym oczom, wart był, żeby się dla niego zatrzymać.

Dwa do trzech tysięcy ptaków czaplowatych, z szyją i nogami niezmiernie długiemi, okrytych na całym ciele pierzem biało-różowym, ze skrzydłami koloru ognia, uszykowanych, jak stara piechota, wymaszerowało z laguny i postępowało spokojnie, majestatycznie.

— Los flamengos! rzekł Barlejo, podczas gdyśmy zsiadali z koni.

Ukryci za firanką sitowia, mogliśmy bezpiecznie podziwiać tę armję ptaków wodnych, maszerujących w szyku bojowym, z widetami po skrzydłach, obowiązanemi czuwać nad bezpieczeństwem ogółu.

Z tych skrzydeł płomiennych, okrywających ptaki, niby płaszczem purpurowym, iskrząc się igrały promienie słoneczne, strzelały błyski świetlane. Blaski te mieniły się w takt ich kołyszącego się chodu, podobnego do chodu marynarza. Różowawe pierze na szyi i piersi wdzięcznie odrzynało się na tym tle ognistym. Rzekłbyś, że to stado ptaków, pływające w morzu ognia.

Szyk ich był godzien podziwienia, ich postawa bez zarzutu.

Z głową wzniesioną w górę, z oczyma utkwionemi o piędziesiąt kroków przed sobą, w szeregach wyciągniętych w doskonałą linję, utrzymując czucie skrzydłami, maszerowały niby starzy grenadjerzy gwardji.

Cóż za cudowny widok dla oficera instruktora! Co za piękny przykład dla jego rekrutów, którzy po półrocznym mustrowaniu, nareszcie zaczynają regularnie maszerować prawą nogą.

Loannec był zachwycony.

— To strusie, prawda?—zapytał się.

— Nie, to flamingi.

— Jakto flamingi! Przecież to nie ludzie!

Z trudnością zdołaliśmy wytłumaczyć naiwnemu majtkowi, że flamingi a flamandy, to zupełnie co innego.

Tymczasem ptaki maszerowały dalej przez saliny, spokojnie, poważnie, w porządku, któregoby im pułk pruski mógł pozazdrościć. Zmierzały one ku owej masie płomienistej, którą ujrzeliśmy po naszej lewej stronie.

Nagle, owa masa nieruchoma dotąd, ożywiła się i kilka tysięcy flamingów podniosło się na swoich długich szczudłach.

Wtedy ujrzeliśmy niezliczoną ilość punktów czarnych na białym tle soli.

Te wysepki były to ich gniazda i flamingi siedziały na jajach.

Za zbliżeniem się maszerującej armji podniosły się i uszykowały obok niej. Wtedy ptaki, które świeżo przybyły, weszły w ten rodzaj wioski, utworzonej z małych kopców ziemi, w kształcie ściętych ostrokręgów, mających w środku wklęskłości, w których leżą jaja, i pousiadały poważnie na kopcach, obejmując je nogami.

Warta została zluzowana.

Uszykowała się nowa armja i ruszyła w kierunku przeciwnym, tą samą drogą, którą przyszła pierwsza. Te flamingi zdążały z kolei ku jezioru wody słodkiej, szły na żer, składający się z małych stworzeń wodnych, na które one są bardzo łakome.

Ale cóż to się stało naszym koniom?

Uszami strzygą, wietrzą nozdrzami, drżą... widocznie musi w tym być coś niezwykłego.

Czyżby się bały flamingów, które przeciągają przed nami w ścieśnionych szeregach?

— Do broni! – zakomenderował Vaqueano.

Gauchowie wzięli od nas cugle naszych koni, a my odwiedliśmy kurki u karabinów.

Jesteśmy gotowi. Instynktownie wycofaliśmy się z sitowia. Nagle zdało się nam, że słyszymy trąbki. To pikiety flamingów biją na alarm. Armja się zatrzymuje, skrzydła się poruszają, ptaki zbierają się do odlotu.

Zapóźno!

Niby wyrzucone z balonu jakieś ciało, upstrzone plamami, wyskoczyło z sitowia i wpadło w szeregi flamingów, które zaskoczone, opuszczają skrzydła w chwili, gdy miały się wznieść w powietrze.

— Jaguar!—krzyknęliśmy wszyscy razem.

Rzeczywiście był to ogromny jaguar, który rzucił się na ptaki sparaliżowane, przygwożdżone do ziemi nagłością tego napadu.

Tysiące wrzasków rozległo się w powietrzu. Zrazu był to okrzyk trwogi, ale teraz to hasło do oporu, to okrzyk: do broni! Zagrzmiały niby setki trąb. Cóż za hałas, jaki zgiełk! To flamingi otaczają napastnika, którego paszcza i pazury rozdzierają je, szarpią, gruchocą. Ale co to znaczy! nie ujdzie on ze swoją zdobyczą! Alboż ich to nie trzy tysiące! Dziesięć ich padnie, a pięćdziesiąt staje w ich miejsce.

To istna rzeź!

Mimo skoków, jaguar nie jest w stanie wydobyć się z tego pola bitwy, w którego samym środku się znalazł, dzięki umiejętnej taktyce jego przeciwników, którzy go ściskają zewsząd, mordując go i szarpiąc mu boki czarnemi, ostremi, twardemi jak stal dziobami.

Przyszedszy po zdobycz, która mu się zdawała łatwą, teraz sam musi się bronić. Dokoła niego nieszczęśliwe jego ofiary wzlatują na chwilę w powietrze, niby olbrzymie pociski wyrzucone z kuszy, i spadają martwe na kupę trupów.

Ach! dzielne ptaki! jakież to waleczne! Każde uderzenie dzioba przebija skórę zwierza i dobywa z niego krew; ale one głównie uczepiły się jego łba, mimo tej straszliwej paszczęki, która otwiera się i zamyka z przerażającym trzaskiem miażdżonych kości.

Niebawem skoki jaguara słabną; kręci się w miejscu, rzuca się to na prawo, to na lewo, chciałby, zdaje się, zaprzestać walki i ratować się ucieczką. Ale daremnie spodziewa się wymknąć tym tysiącznym sztyletom, które godzą weń ze wszech stron, a których on już odbijać nie jest w stanie. Flamingi wydziobały mu oczy.

Jest ślepy.

Wraz z krwią płynącą z tysiącznych ran, traci resztę sił; chwieje się, podnosi się, pada znowu. wlecze się jeszcze kilka kroków. Już po nim... trup jego z przeciągu minuty zostaje rozszarpany na strzępy.

Zwycięskie flamingi rozwijają skrzydła i unoszą się w obłoki.

Jakiś czas ścigam wzrokiem te wspaniałe ptaki, świecące blaskiem płomiennych swoich skrzydeł i tworzące w powietrzu ogromną linję ognistą, iskrzącą się od promieni słońca, które oświeca jeszcze górne strefy.

Lecą ku zachodowi, zlewają się w jeden obłok purpurowy—wreszcie nikną.

Na ich miejscu chmura czarnych urubusów, niewidzialnych dotąd, słania się ponad nami, zataczając wielkie koła współśrodkowe.

Po bitwie rabunek: ptactwo drapieżne przyszło pożreć jaguara i jego ofiary.

z „Biesiady Literackiej”.

80. Kot-Kizia.

Kizia przywiązał się do swojego pieca chlebowego i dalej w nim jeszcze pędził życie. Na drugi dzień po powrocie Makosza do Dalewic, o zmierzchu wybrał się kot na łowy, przebiegł sad, wyskoczył do ogrodu, rozejrzał się po widnokręgu, słuchał głosów, dolatujących z łąki, z pola, od olszyn i wikliny. Dostał się nad rzeczkę, i brzegiem jej ostrożnie przybył pod olszynę. Na tej właśnie olszynie, w cieniu, szczęśliwą i nader uroczą piosenkę odśpiewywał słowik. Kot się przyczaił, jakby słuchał piosenki słowiczej. Bystrym okiem może i dostrzegł w ciemności słowika na gałązce olszyny, a w każdym razie z dołu widać rozważał sobie dobrze miejscowość, gdzie się ptak znajdował, bo objąwszy pień drzewa łapkami, delikatnie pomknął w górę. Wnet znalazł się naprost gałązki, będącej właśnie siedzibą zaśpiewanego słowika. Ptak opuścił zlekka ku dołowi skrzydełka i ogonek, podniósł do góry małą główkę, wydął swój gardziołek i śpiewał pięknie, zachwycająco. Kot znowu się przyczaił w miejscu, w którym z pnia gałąź owa wyrastała, wzrok swój utopił w śpiewaka, jakby oczekując chwili sposobnej do napadu. Odległość między słowikiem a Kizią mogła wynosić jakie dwa łokcie; więc dobrze wymierzony skok uczyniłby kota posiadaczem zdobyczy, na którą czatował.

Właśnie słowik wykonywał trudną część swojej piosenki, podniósł niezwykle wysoko głos, a potem obniżał go stopniowo, aż do pianissimo, aby nareszcie przejść do drugiej części pieśni. Kizia rzucił się wtenczas na niego całą muskularną siłą swego ciała, celując okiem, pazurami i żądzą w punkt upatrzony.

Z obu stron roznamiętnienie było duże. Słowik rozmiłowany w piosence swej, nie spostrzegł ani świecących z chciwości oczu kota, ani jego ruchów. Z drugiej strony kot był niezmiernie głodny, a apetyt jego wzrósł podczas zasadzki; chciał teraz zapolować na pewne.

Atoli gałąź nie była dostatecznie grubą, aby na niej mógł wykonać ruch gimnastyczny nawet tak śmiały i zręczny akrobata jak Kizia. Ciało kota podczas skoku zboczyło z kierunku podstawy, którą stanowiła gałąź, tak, że kiedy miał już ptaka przycisnąć szponami, lub uchwycić zębami, spadł całym tyłem ciała poniżej gałęzi, a dwiema tylko przedniemi łapami został na drzewie. Słowik znalazł się atoli i tak w niebezpieczeń-

stwie, bo zajmował wówczas właśnie pozycję pomiędzy prawą a lewą łapą kota. Szczęście, że ten ostatni musiał się przedewszystkim sam ratować, a głowę miał zbyt nizko pod gałęzią, aby mógł uchwycić ptaka zębami. Słowik sfrunął lekko, przenosząc się na dalsze drzewa, gdzieby już mógł śpiewać bez przeszkody. Kot wygramolił się teraz na gałąź, ale tu oblizał się tylko, jak zwykł był robić w chwilach zawodu; poczym powrócił na dół tą samą drogą, którą przybył.

Teraz rozpoczął jak najskrupulatniejsze poszukiwania, wchodził w krzaki, badał je, przetrząsał, nasłuchiwał, rozglądał się, rzucając głową to na prawo, to na lewo. Szedł tak cicho, jakby ziemi nie tykał, między krzewami i ziołami przesuwał się ze zręcznością nadzwyczajną. Naraz lekki szmer dał mu się słyszeć... Był to szelest delikatny skrzydeł ptaszka, który się porwał z ziemi. Kot poskoczył przed siebie, przystanął, postawił uszy, wytężył je jak mógł najbardziej. Ptaszek znowu dołem przeleciał koło kota, słaniając się po ziemi z rozpostartemi skrzydełkami. Kizia rzucił okiem w kierunku ptaka, zdało mu się jednak, że na prawo tuż, tuż, słyszy jakieś niewyraźne piszczenie. Poskoczył szybko za owym głosem, rozpatrzył miejscowość i znalazł gniazdo słowicze, a w nim pięcioro ptaszyn. Ptaszęta otwarły żółte dzióbki, a czarnemi oczkami spoglądały na kota; pięć prawie nagich główek zwróciło się w jednym kierunku. Drapieżca przystąpił do gniazda, znalazł nareszcie czego szukał. Łapą uzbrojoną w wysunięte pazury wyciągnął z gniazda jedną ptaszynę, która przeraźliwie pisnęła. Słychać było chrupanie delikatnych kosteczek w kocich zębach. Z kolei padły ofiarą wszystkie pozostałe w gnieździe pisklęta. Przyleciał i ojciec, słysząc macierzyńskie głosy trwogi; wspólnie z matką rzucali się oboje na kota; uderzali go skrzydełkami, błagali niejako, piszcząc; wszystko się na nic nie zdało... Kizia, zjadłszy pisklęta, poszedł nad strugę i pił wodę, gasząc pragnienie. Pozostało tylko próżne gniazdko i dwoje nieszczęśliwych rodziców.

Chociaż to były pierwsze dni czerwca, słowik wcześnie przestał w tym roku śpiewać w Dalewicach nad strugą.

Ale ziemia wiąże do siebie żywe stworzenia i w roku następnym słowik znowu rozpoczął pieśń swoją w olszynach

Adolf Dygasiński.

---

81. Drzewo korkowe.

Próżno się łudzić, ta choroba jakoś się przedłuża; nieszczęście padło na mnie widocznie; zginę z pewnością w tej Hiszpanji; nie ujrzę więcej rodziny i rodzinnego kraju,—powiedziałem sam do siebie, siedząc skurczony na ziemi u stóp pomarańczy i trzęsąc się z chorobliwego zimna, pomimo że ogniste promienie słońca oblewały mię całego swym żarem. Rzęsiste łzy potoczyły mi się po twarzy i spadły aż na drżące ręce.

— A ty czego płaczesz? — zapytał Antonio, stając przede mną w dumnej postawie, jedną ręką podparty w bok, drugą zarzucając na ramię w malowniczy sposób połę ojcowskiego płaszcza, tak podartego, że ledwo łachmany i strzępy trzymały się razem.

— Płaczę, bo czuję, że pewno nie ujrzę już tych, których kocham.

— Niejeden choruje i wyzdrowieje.

— Tak, jeżeli ma lekarstwa i jeżeli ma przytym cośkolwiek jeść i dach nad głową; ale ja resztę pieniędzy oddałem twojej matce, a wy sami tacy biedni jesteście, że nawet dziwić się nie będę, gdy mi odmówicie kąta i pożywienia.

Antonio podrapał się w głowę, okrytą gęstą, czarną jak smoła, nieczesaną chyba nigdy czupryną.

— Wiesz co—rzekł po namyśle — a gdybyś ty się zabrał do pracy?... dostałbyś za pracę pieniądze...

— Chętniebym pracował, ale przecież widzisz, jestem chory, nie mam siły, a przytym tu u was niema roboty.

— Jakto niema?... dopiero co przed chwilą prosił mię dyrektor korkowej fabryki do skrobania kory, bo mu strasznie brak robotnika... Ale ja nie chcę, co mi za niewola pracować, kiedy matka jeszcze ma resztę twoich pieniędzy...

To mówiąc, brudny próżniak, jakich dużo jest wśród nieoświeconego i przez to pogrążonego w nędzy ludu hiszpańskiego, rozciągnął się koło mnie na ziemi, rozkoszując się w słońcu.

— Do skrobania kory?... Cóż to jest za robota?... Możebym ja, mimo osłabienia, mógł to robić? — zapytałem, ożywiony nadzieją, bo dotąd pewny byłem, że nędza ludności miejscowej pochodzi z braku zarobku.

Zwlokłem się jak mogłem i wspierając się na poczciwym w gruncie, mimo wielu wad, chłopcu, dowlokłem

się z trudnością do domostwa w którym niepodobna było z pozoru domyślić się fabryki.

Robotnika był taki brak, że przyjęto mię chętnie, mimo choroby, która też od tej pory przechodzić zaczęła, może pod wpływem moralnego uspokojenia.

Z początku siedziałem tylko, i stosownie do udzielonych mi wskazówek: skrobałem kawały kory, wpierw odpowiednio wymoczonej. Celem takiego skrobania jest zdjęcie grubszej powłoki z właściwego korka. Nie ciężka to robota i drżące moje ręce mogły jej podołać, zwłaszcza, gdy konieczność i nadzieja przyszły im w pomoc.

Gdy kora była już zeskrobana, wzięto ją, zagotowano w dużych kotłach, a potym prasowano w prasach. Dawnemi czasy wędzono ją jeszcze w dymie. Przysposobiony tak towar posortowano na kilka gatunków, zapakowano w beczki i wysyłano w drogę.

Gdy wyzdrowiałem, chodziłem z innemi robotnikami do lasu obdzierać korę.

Trzeba wiedzieć, że drzewo korkowe czyli korkodąb (Quercus ruber) rośnie prawie jedynie tylko w Algierze, Portugalji i Hiszpanji, w Europie środkowej już się nie daje przyswoić. Z drzew tych, dopiero gdy mają około 30 lat istnienia, zdejmuje się pierwszy raz korę, ale używa jej się tylko na wyroby galanteryjne, bo na korki jest jeszcze niezdatna. Dopiero po zdjęciu tej pierwszej kory, wytwarza się prawdziwa biała kora korkowa z tak zwanego cambium, znajdującego się pod tamtą korą pierwszą, którą z wielką ostrożnością zdejmować trzeba, aby tego cambium nie psuć. Ta biała druga kora musi jeszcze wytwarzać się i dojrzewać na drzewie w Hiszpanji i Algierze przez przeciąg lat czternastu, a od ośmiu do dziesięciu w Portugalji i wtedy się ją dopiero obdziera.

Na taką to robotę posyłano nas kilka razy w miesiącach letnich od maja do września. Robota nasza polegała najpierw na robieniu na pniach drzewnych podłużnych nacięć na metr blizko szerokich, potym odrywaliśmy zwolna te pasy kory, pomagając sobie rękojeścią toporów. Pokazywano mi drzewa, które od 150 lat bywają tak obdzierane; ale jest to ich wiek już najdłuższy. Po zdjęciu kory układaliśmy ją w wielkie stosy, wiązali i wieźli na mułach do fabryki.

Najlepszy korkodąb rośnie w Katalonji, jest bardzo drogi i używa się tylko do wina szampańskiego; z Algieru przychodzą korki do wina i do wód mineralnych.

Uzbierawszy sobie trochę grosza w fabryce, uprosiłem, aby mię posłano do Niemiec z jednym z wozów, pełnych towaru zapakowanego w beczki i rozsyłanego na wszystkie strony świata. W Niemczech dużo jest fabryk korkowych.

Do jednej z nich dostałem się jako robotnik, gdzie pragnąłem uzbierać sobie trochę grosza na drogę, stąd bowiem było mi już znacznie bliżej do domu. W fabryce każdy robotnik ma za jedyne narzędzia dwa ostre, szerokie noże: jednym kraje deskę korkową w pasy i w kostki, drugim zaokrągla te kostki i kształt im właściwy nadaje. Cała sztuka zależy na tym, aby z danej ilości kory wykrajać jak najwięcej korków i jak najmniej zostawić odpadków. Niektórzy moi towarzysze wykrawali dziennie do 1,500 korków, ja zaledwie mogłem 1,000 wydołać. Wielu bierze robotę do domu, gdzie żony obrabiają mniejsze korki, a dzieci wyrabiają maleńkie zgrabne koreczki do lekarstw, co trudno byłoby zrobić dorosłemu człowiekowi o grubych palcach. Próbowano używać maszyn do roboty korków, ale okazało się to niemożliwym, gdyż każdy kawałeczek trzeba koniecznie oglądać i obrabiać odpowiednio do jego jakości; jednakże, przy wyrobie na bardzo wielką skalę prostych korków butelkowych, używa się maszyn, ale tylko do krajania; obrobić każdy kawałek musi już koniecznie ręka ludzka. Następnie przesiewaliśmy korki przez odpowiednie sita, aby dobrać jednakowej wielkości, potym przebierało się je powtórnie, dzieląc na gatunki. Tylko korków do szampańskiego wina nie robiliśmy wcale, bo te wyrabiają się w Hiszpanji i we Francji, a właściwy swój kształt nabywają przez przypasowanie do butelki. Drzewo korkowe potrzebne do najlepszego wina szampańskiego jest bardzo rzadkie i drogie, i we Francji bywa składane z kilku wyborowych kawałków, sztucznie spajanych, dopiero wtedy korki z nich się wykrawają.

Wiadomo, że z drzewa korkowego wyrabiają również pasy ratunkowe, pływaki do sieci, podeszwy i t. p. Architekt August Rosa, żyjący w Rzymie w zeszłym wieku, wynalazł także sposób używania korkowego materjału w zastosowaniu do swej sztuki. Jest to tak zwana felloplastyka i zasadza się na odtwarzaniu z drzewa korkowego, oczywiście w pomniejszeniu, różnych pomników budownictwa starożytnego, greckiego i rzymskiego.

W Monachjum istnieje wielki zbiór takich właśnie modeli felloplastycznych.

Przemysł korkowy rozpowszechnia się i wzrasta, jest też źródłem wielkiego bogactwa i prawdziwym ubłogosławieniem dla licznych robotników, znajdujących chleb przy coraz liczniejszych fabrykach. I ja korkom jedynie zawdzięczam, że dotąd żyję i że żyję tam, gdziem się urodził.

Aureljusz.

---

82. Pajęczyna i jej zastosowanie.

Pająk się Matce Boskiej sprzeciwia,
Bo chociaż Ona przędzie tak cienko,
On cieniej snuje swoje krosienko
I srebrne barwy jaśniej oszkliwa.

Owad ten nie darmo posiada uznanie za umiejętność przędzenia i pracowitość, bo doprawdy, nie łatwo wystawić sobie zręczniejszą i wytrwalszą prządkę, któraby z tak kruchego materjału, jak pajęczyna, umiała wyrabiać równie misterne i dokładne sieci. Można nie lubić pająka za jego niemiłą postać, nietowarzyskie obyczaje i zdradliwy sposób polowań, ale trudno nie zachwycać się jego pracowitością i nie podziwiać jego delikatnych wyrobów.

Lud nasz w jednym ze swych podań scharakteryzował i sztukę pająka i jego nietowarzyskie, zawistne usposobienie. Według tego podania, pająk, uniesiony pychą, śmiał niegdyś sprzeciwiać się Matce Boskiej, rozgłaszając, że przędzie od niej cieniej i piękniej, chociaż właściwie niema na świecie doskonalszej prządki nad Panienkę Świętą. To też Bóg skarał go za zuchwałość, skazując na samotne w ustroniach życie i odejmując trwałość jego przędzy:

Za brzydką zawiść i za czelną pychę
Odtąd prowadzić musi życie liche,
Kryć się po kątach, mieszkać po ruinach,
I prząść swą siatkę z marnego przędziwa,
Którą podmuchem lada wiatr rozrywa.

Starożytni Grecy posiadali również swój myt o pająku. Według niego żyła niegdyś pewna dziewczyna, nazwiskiem Arachne, która przędła nadzwyczaj pięknie, jak żadna inna w całej Grecji. Wbiło to ją w taką dumę, iż ośmieliła się stanąć do współzawodnictwa z boginią Palladą, również bardzo zręczną prządką. Gdy Arachne wykonała pracę lepiej, rozgniewana bogini zamieniła ją w pająka, ażeby odtąd mogła bez przerwy oddawać się snuciu przędzy.

Nie sądźmy jednak, że pająki przędą tak samo, jak kobiety prządki. Nie mają one żadnych gotowych nici, nie mogą więc ich wprost snuć i układać w sieci. Ale zato posiadają zdolność wydzielania z siebie lepkiej cieczy, która na powietrzu tężeje w cienką nić, mniej więcej taką, jaką można otrzymać z roztopionego cukru, albo bardzo gęstego syropu, jeżeli go będziemy powoli nalewali. Sposób tworzenia się nici w obu wypadkach będzie jednakowy, ale cukrowa nić po zastygnięciu staje się sztywną i z tego powodu łamie się bardzo łatwo, pajęczyna zaś posiada giętkość dość znaczną.

Ciecz służąca do wyrobu pajęczyny, wytwarza się w pająku w tak zwanych gruczołach przędnych, znajdujących się w jego ciele. Na zewnątrz wydostaje się ona przez brodawki przędne, umieszczone na odwłoku i podziurawione mnóstwem drobniutkich otworków, niby sito. Brodawek przędnych pająki posiadają cztery, lub sześć, ilość zaś otworków na nich bywa rozmaita. U naszego krzyżaka, sporego pająka z rysunkiem w kształcie krzyża na grzbiecie, dosięga ona 1,000, u mniejszych gatunków bywa ich po kilkaset, sto albo jeszcze mniej. W każdym razie łatwo sobie wyobrazić, jak otworki te muszą być małe!

Przez każdy taki otworek sączy się lepka ciecz, która w powietrzu tężeje w nitkę. Pająk więc snuje z siebie tyle nici, ile ma otworków na brodawkach przędnych. Są one jednak tak cienkie, że nawet najmniejszy pająk nie mógłby się utrzymać na pojedyńczej nitce. Umie on sobie jednak poradzić na to: ujmuje pazurkami łapek wszystkie snujące się nitki i skręca je odrazu w jedną nić mocniejszą. Przytym pająk jest w stanie nadawać nitce rozmaitą grubość: jeżeli mu trzeba cieńszej, wydziela ciecz nie ze wszystkich otworków i skręca pajęczynę z niewielkiej ilości nitek, jeżeli zaś chce otrzymać grubszą, snuje ją ze wszystkich otworków.

Pajęczynie pająk nadaje bardzo obszerne zastosowanie. Najgłówniejszym z niej użytkiem bywa wyrabianie sieci, w które łapie on różne owady i następnie je wysysa. Sieci te miewają nieraz bardzo kunsztowne kształty i im to przedewszystkim pająki zawdzięczają swoją sławę zręcznych prządek.

Jedne gatunki snują sieci bardzo proste, w kształcie mniej lub więcej grubej nieforemnej płachty, przeciągniętej w kącie mieszkania, parkanu, pod gałęzią drzewa i t. d. Takie sieci są najpospolitsze, pająki zasnuwają niemi każdy zakątek, do którego człowiek rzadziej ze szczotką zagląda. Za to prawdziwie artystycznemi są siatki w kształcie kół lub wieloboków, z mnóstwem promieni, rozchodzących się ze środka i połączonych poprzeczkami. Siatki takie zwieszone są zazwyczaj pionowo między dwoma drzewami lub słupami. Niekiedy pracowity pająk zasnuje siatkę w ciągu jednej nocy na ramie otwartego okna lub drzwi niedomkniętych.

Z naszych pająków, zakładających takie sieci, najbardziej znany jest krzyżak. Jeszcze więcej atoli takich gatunków znajduje się między zwrotnikami. Niektóre z tamtejszych pająków snują sieci tak mocne, że drobne ptaszki przebijają się przez nie z pewnym wysiłkiem.

Nie wszystkie atoli pająki używają pajęczyny na wyrób sieci dla łowów. Bardzo wiele gatunków tych stworzeń obchodzi się bez nich zupełnie i poluje wprost z zasadzki, rzucając się na upatrzoną ofiarę szybkim i niespodziewanym ruchem, albo też podkradając się do niej znienacka. Takie pająki zużytkowują swą pajęczynę na wyściełanie mieszkań, które sobie kopią w ziemi, oraz na dorabianie drzwiczek do nich w sposób bardzo sprytny, bo z ziemi pomieszanej z pajęczyną. W taki właśnie sposób postępuje największy z pająków, groźny ptasznik, zamieszkujący Amerykę.

Drobne gatunki posługują się swoją pajęczyną do odbywania wędrówek napowietrznych. Snują one długie nitki, które następnie wiatr porywa i unosi wraz z uczepionym do nich właścicielem. Któż nie zna „babiego lata“ i nie widział takiej fruwającej pajęczyny? Służy ona za balon lub skrzydła dla tych drobnych stworzeń, które uczepione do niej, przenoszą się z jednego miejsca na drugie, wyszukując odpowiednich kryjówek na zimę. Takie napowietrzne podróże pająków odbywają

się i w innych porach roku, ale zawsze najobficiej w jesieni, wówczas bowiem największa ilość tych stworzeń dochodzi do zupełnego rozwoju, tak, iż mogą bezpiecznie puścić się w drogę; z drugiej zaś strony zbliżająca się zima wtedy właśnie każe im myśleć o odpowiednim zabezpieczeniu się. We wszystkich takich wypadkach pajęczyna służy jako przyrząd do zmieniania miejsca pobytu.

Oprócz tego, wszystkie bez wyjątku pająki używają swej przędzy do sporządzania gniazd, w których składają jajka. Postępują one przytym w rozmaity sposób. Jedne oplątują pajęczyną liście, zeschłe zioła lub małe gałązki, tworząc rodzaj obszernej kolebki dla swych jajek; inne sporządzają z pajęczyny osobne woreczki, składają tam jajka i następnie chowają je w dobrych kryjówkach, w których mogą one leżyć bezpiecznie aż do wyklucia się młodych. Niektóre, jak np. tarantula, posuwają swą pieczołowitość tak dalece, że woreczek taki przyklejają sobie do odwłoka i noszą go z sobą, mężnie stając w jego obronie, ilekroć jaki napastnik zechce go im odebrać, aby urządzić sobie ucztę z ich jajek.

Jak widzimy, pajęczyna ma liczne zastosowania, służy ona bowiem pająkom do sporządzania kolebek dla dzieci, do wyściełania własnych mieszkań, do snucia sieci myśliwskich i wreszcie do odbywania podróży napowietrznych. Pod tym względem pająki nie mają stworzeń równych sobie.

Z innych zwierząt obdarzone są zdolnością przędzenia jedynie gąsienice niektórych motyli. Ale u nich przędza ma bardzo ograniczone zastosowania i używają jej wyłącznie do sporządzania oprzędów, w których przekształcają się w poczwarki.

II.

Ludzie oddawna zwrócili uwagę na przędzę, zarówno pająków, jak i liszek, a zwróciwszy uwagę, pomyśleli o zastosowaniu tych naturalnych nici do własnych potrzeb. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, pajęczyna rzuciła się im nawet pierwej w oczy, ale za to okazała się znacznie cieńszą i słabszą od przędzy gąsienic jedwabniczych. Z tego powodu, chociaż ludzie od wieków nauczyli się wyrabiać jedwab z oprzędów jedwabników i robić z niego różne tkaniny, pajęczyna do dziś dnia jeszcze niema dla nas żadnego praktycznego znaczenia.

Próby jednak zużytkowania jej robione były niejednokrotnie. Nie musiały one atoli dawać praktycznych wyników, bo dopiero w wieku XVIII znajdujemy pewniejsze wzmianki o rezultatach, osiągniętych. Pewien Francuz, nazwiskiem Le Bon, zajmował się bardzo starannie wyrabianiem nici z krajowej pajęczyny i doszedł do takiej wprawy, że w r. 1709 złożył Paryskiej Akademji Nauk parę pończoch i parę rękawiczek z pajęczyny. Powiadają nawet, że zrobił całe ubranie, które ofiarował królowi Ludwikowi XIV. Opowiadanie to jednak zdaje się być niezupełnie pewnym, bo ani po ubraniu tym nie zostało żadnych śladów, ani nie mamy pod tym względem zupełnie wiarogodnych wiadomości, że istniało ono kiedykolwiek. Za to o pończochach i rękawiczkach znajdujemy zupełnie pewną wzmiankę w rocznikach Akademji Paryskiej. Nie wiemy wprawdzie, czy się one nadawały do noszenia, zwłaszcza dłuższego, w każdym jednak razie zrobienie ich było nie lada sztuką i dowodziło wielkiej pracowitości i zręczności wykonawcy.

Wynalazek Le Bona znalazł licznych naśladowców, którzy mieli nadzieję, że im się uda zastąpić jedwab, otrzymywany z motyli zagranicznych, przez krajową pajęczynę. Starali się oni przedewszystkim obmyślić sposoby zbierania pajęczyny możliwie dogodne i możliwie tanie. Wśród nich zasługuje na uwagę pomysł kupca angielskiego Rolta. Sporządził on maleńki kołowrotek i nawijał nań pajęczynę, pobudzając tym pająka do ciągłego snucia nitki, aż póki nie wyczerpie się zupełnie cały zapas cieczy, zawartej w gruczołach przędnych. Po takiej forsownej pracy pająk przez kilka dni zupełnie nie był w stanie snuć nowe nici.

Roltowi udało się w ten sposób otrzymać nitkę, mającą 6,000 metrów długości, a otrzymaną z 22 pająków, należących do gatunku, zwanego krzyżakiem. Wynalazek jego nie miał jednak praktycznych wyników, bo nici z pajęczyny krajowej były zawsze znacznie droższe od jedwabiu, z powodu swej nadzwyczajnej cienkości. Dla otrzymania funta jedwabiu nie trzeba więcej nad 3,000 gąsienic, podczas gdy na funt tak samo grubych nici pajęczych potrzeba było przeszło 28,000 pająków. Przytym nici pajęcze nie były wcale piękniejsze, ani trwalsze od jedwabiu.

Wobec ciągłego nieudawania się prób z pająkami krajowemi, zwrócono się do poszukiwań w strefie zwrot-

nikowej. Znajduje się tam dużo gatunków, znacznie większych, niż europejskie, snują one odpowiednio grubszą pajęczynę. Można więc było mieć nadzieję, iż z niej nici dadzą się wyrabiać taniej i łatwiej niż z krajowej.

Wśród nich zwracały na siebie uwagę szczególnie tak zwane pająki złote. Pokrewne są one naszym krzyżakom, ale przewyższają je znacznie wzrostem, a różnią się głównie podłużnym kształtem odwłoka. Zresztą snują tak samo sieci koliste z wielką ilością promieni, złączonych poprzeczkami. Pajęczyna ich jest znacznie grubsza i odznacza się piękną, złotawą barwą, od której i same pająki otrzymały nazwę.

Pająk ten zamieszkuje Madagaskar i inne wyspy na wschodzie Afryki. Odznacza się on iście olbrzymim wzrostem, bo dochodzi 5 centymetrów (2 cale długości), a gdy, siedząc na swej sieci, rozstawi nogi, obejmuje niemi przestrzeń, mającą do 15 centymetrów średnicy, to jest tyle, ile może zająć dłoń kilkoletniego dziecka z rozstawionemi palcami. Pająk ten karmi się wyłącznie większemi owadami, jak: duże motyle, chrząszcze lub szarańcza, na drobniejsze gatunki nie zwraca nawet uwagi. Łatwo pojąć, iż olbrzym taki musi snuć grubszą pajęczynę, inaczej bowiem nie mógłby oplątać w swej sieci większych owadów.

Nazwę złotego usprawiedliwia on nietylko barwą pajęczyny, ale i własną; na srebrnym bowiem tle grzbietu posiada złociste kreski i prążki, nogi zaś mają jaskrawy złoto-ognisty kolor.

Krajowcy oddawna używali jego pajęczyny do sporządzania nitek, któremi zszywali ubrania, miały one być bardzo mocne i trwałe. Wyrabiano z nich nawet niewielkie tkaniny, jak np. ognisto-żółte rękawiczki, z których krajowcy robili nieraz podarunki Europejczykom.

Zachęcony takiemi wiadomościami, ojciec Cambone, misjonarz francuski w Antananarivo, stolicy Madagaskaru, postanowił zbadać dokładnie, czy pajęczyna złotych pająków nie będzie mogła współzawodniczyć z jedwabiem. Skorzystał on z pomysłu Rolta i nawijając snute nici na kręcący się kołowrotek, doszedł do bardzo dobrych wyników. Przy umiejętnym postępowaniu wyciągał z pojedyńczego pająka w ciągu 4-ch tygodni nić, mającą 4,000 metrów długości.

Francuzi mieli zamiar początkowo zająć się hodowlą złotych pająków we Francji południowej, chcieli je mieć na miejscu tak samo, jak i jedwabników. Pają-

ki te jednak nie mogły znieść warunków obcego klimatu, i dziś próby nad wprowadzeniem w życie tego nowego przemysłu prowadzone są wyłącznie na Madagaskarze, w ojczyźnie złotych pająków. Trudno obecnie orzec, czy będzie on miał przed sobą przyszłość.

Francuzi przepowiadają jeszcze jedno zastosowanie nici pajęczych. W Ljonie przekonano się, iż przy tej samej mocy, nici te są 5 razy cieńsze od jedwabiu, nadają się zatym wyśmienicie do wyrobu lekkich i cienkich a jednocześnie mocnych sznurków.

Pajęczyna i moc dziwnie to wygląda! Przyjrzyjmy się jednak bacznie, jak w sieci pająka szamoce się napróżno duża stosunkowo mucha, a łatwo uwierzymy, że nici tego samotnego tkacza nie są tak kruche, jak się wydają z pozoru. Trzeba je tylko umieć skręcić razem w sposób właściwy i w odpowiedniej ilości.

Przyszłość pokaże, czy ubrania z pajęczyny dadzą się wykonywać i nosić, a sznury, czy będą lekkie i mocne. W każdym jednak razie można mieć nadzieję, że pajęczyna znajdzie jakieś zastosowanie w ten lub inny sposób. W zasadzie nie jest ona niczym innym od jedwabiu, a rozum ludzki dawał sobie radę z zużytkowaniem znacznie trudniejszych rzeczy. Przysłowie nasze mówi, że „z pajęczyny nic nie uprzędziesz;'' ludzie jednak potrafili wyciągnąć korzyść z tylu innych produktów natury, że trudno uwierzyć, aby pajęczyna miała stanowić wyjątek i aby przy pracy i wytrwałości nie dała się zużytkować. Praca, rozum i wytrwałość, to takie siły, dzięki którym nawet z kruchej i wiotkiej pajęczyny można będzie skręcić sznur mocny i trwały.

B. Dyakowski.

---

81. Co się znajduje w glinie.

Patrząc na rozrobioną przez zduna glinę, albo na cegły, nie domyślilibyście się nigdy, że w tej żółtawej, lepiącej się masie, znajduje się srebrzysty, biały metal. O tajemnicy tej dowiedziano się po raz pierwszy około 70 lat temu, dzięki chemikowi Wachterowi.

Uczony ten, ku wielkiemu zdziwieniu współczesnych, oznajmił światu, że niepozorna glina zawiera pierwia-

stek—metal, który jednak bardzo trudno z niej wydobyć. Dopiero w 1854 r. inny chemik, Francuz, Deville, otrzymał ów zagadkowy metal w bryłkach i zbadał jego własności. Jak dalece jednak nieznano wtedy sposobów wydobywania nowego kruszcu, świadczy fakt, że $2^1/_2$ funta (kilogram) tegoż kosztował aż 1200 rs.

Nowo odkryty metal otrzymał nazwę aluminjum, po polsku zaś glin, gdyż zawiera się w glinie. Jest on srebrno-biały, nie zmienia się t. j. nie śniedzieje i nie rdzewieje na powietrzu, daje się wyciągnąć na drut i walcować na blachy, ma dostateczną wytrzymałość. Najdziwniejszą atoli jego własnością jest wyjątkowa, w porównaniu z żelazem i miedzią lekkość; kula glinowa waży trzy razy mniej, aniżeli żelazna tych samych rozmiarów.

Cesarz Francuzów—Napoleon III tak się zainteresował tym odkryciem, że polecił założyć na swój koszt w Javell, fabrykę wyrobu owego metalu.

Przez długi czas walczono z trudnościami, jakie nastręcza wyosobnienie aluminjum z gliny; metal ten był więc aż do dzisiaj za drogi i dlatego nie znajdował zastosowania. Aliści zjawiła się wszechpotężna elektryczność, i jak przystało na czarodziejkę, jednym skinieniem rozwiązała trapiącą chemików zagadkę.

Wiadomo może naszym czytelnikom, że prąd elektryczny, przepływając pomiędzy końcami pałeczek węglowych, daje niesłychanie silny i świecący płomyk, zwany łukiem Volty. W płomieniu tym topią się jak wosk prawie wszystkie najoporniejsze ciała. Oprócz niezmiernie wielkiego ciepła, prąd elektryczny jest jeszcze źródłem siły, rozszczepiającej związki chemiczne na ich części składowe. Na tej jego własności opiera się t. zw. galwanoplastyka—sztuka osadzania cienkich warstewek metalów na innych metalach, lub nawet niemetalicznych przedmiotach (galwaniczne złocenie, srebrzenie).

Dzięki tym dwum własnościom, prąd elektryczny stanowi najpewniejszy i najłatwiejszy środek do wyciągania aluminjum z zawierających go minerałów.

Glinka, o ile możności najczystsza, albo inna odpowiednia substancja, kładzie się do pieca elektrycznego, w którym prąd, otrzymany przy pomocy machin dynamo-elektrycznych, przebiega pomiędzy grubemi sztabami węgla. Napotykając na swej drodze glinkę, która głównie składa się z glinu i tlenu, prąd rozżarza ją do jasnej białości. Przy tak wielkim cieple, tlen opuszcza

aluminjum i łączy się chemicznie z węglowemi sztabami na gazy, które ulatują w powietrze, a uwolniony metal zbiera się na dnie pieca, skąd wycieka do form.

W szczegóły budowy rozmaitych pieców i w rozpatrywanie materjału, służącego dziś do wydobywania glinu, nie możemy się tu wdawać, powiemy tylko, że dzięki zastosowaniu prądu elektrycznego, cena tak kosztownego do niedawna aluminjum spadła aż do 2 rb. za kilogram.

Powiedzieliśmy, że metal ten jest niepospolicie lekki; ponieważ zaś staniał, więc przedmiot zeń wyrobiony kosztuje obecnie tyle, co tej samej objętości przedmiot miedziany. Ukazały się więc aluminjowe garnki, spodki, talerze, kubki, ramki, puszki, beczki, ba nawet łódki! Nie koniec jednak na tym; niezadługo ujrzymy aluminjowe krzesła, stoły, postumenty i posągi, kto wie nawet, czy nie zaczniemy mieszkać w domach, krytych glinem zamiast cynku.

Metal ten upowszechniłby się jeszcze bardziej, gdyby posiadał większą twardość i wytrzymałość. Ale i na to znalazła się rada. Chemicy, badając t. zw. aljaże glinu, t. j. jego stopienia się z innemi metalami, odkryli, że różnią się one niezmiernie od czystego glinu. Weźmy parę przykładów, które nas dużo nauczą.

Bronz aluminjowy zawiera jedną dwudziestą, do jednej dziesiątej na wagę glinu, resztę miedzi: dzięki tak nieznacznej domieszce, miedź zamienia się na bardzo twardy, złotego koloru bronz, który nadaje się do wielu wyrobów.

Łącząc 169 wagowych (np. funtów) glinu z 5 częściami srebra, otrzymujemy biały aljaż tak sprężysty, że można z niego sporządzać sprężyny, i jest to rzecz tym dziwniejsza, że czysty glin posiada bardzo małą giętkość.

Dodatek stali do aluminjum powiększa nadzwyczajnie jego wytrzymałość.

Metal wydobyty z gliny ma więc olbrzymią przyszłość przed sobą.

Z „Przyjaciela Dzieci.“

82. Życie roślin.

Oj, widać i słychać, w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie,
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek
Już wschodzą zielono i ładnie.
Po Kwietnej, po Świetnej, z Przewodnią Niedzielą,
Rozrosną się w słońcu kwiateczki,
I w pączki się zwiną, rozwiną, wystrzelą,
W zielone niebieskie listeczki.

Kiedy wiosna zawita, natura zaraz świeżym życiem jaśnieć zaczyna, pola umajają się zielenią, ogrody barwnemi stroją się kwiatami, a drzewa liściem szumią, jakby z sobą rozmawiały. Świat roślinny, oswobodzony z ciężkiej przemocy mroźnej zimy, zaczyna wykonywać wszystkie czynności, do których powołany i jakich zbiór jego życie stanowi.

Po zimie wiosna, po śmierci odrodzenie... zawsze i wszędzie.

Więc żyje świat roślinny! Jakaż to śliczna sposobność zapoznać się z jego życiem, dopóki ono w pełni, a grzechem z niej nie skorzystać. Postarajmy się więc zbadać to życie póki czas, póki znowu godzina snu zimowego dla roślin nie zawita.

Wiadomo każdemu, że rośliny odżywiają się, t. j. utrzymują byt własny, wzrastając, kwitnąc, wydając owoce i t. d. Dopóki te czynności odbywają się w roślinie, dopóty ona żyje. Życie więc—to ciągłe działanie, ciągła praca; spoczynek zaś czyli wstrzymanie tych działalności stanowi śmierć.

Oto w kilku słowach przebieg życia rośliny.

Zarodek rośliny, w nasieniu złożony, dostaje się w łono ziemi karmicielki, tam rozrywa osłonki, pokrywające go i wypuszcza kiełek, ten zaś wystrzela nad powierzchnię ziemi. Drobniutka z początku roślinka rośnie bezustannie, przybiera obce materje z ziemi i powietrza i, przerabiając je w sposób właściwy na swoją korzyść, wydziela natomiast z siebie materje niepotrzebne, wciąż rośnie, liść się po liściu rozwija, powiększa, i po pewnym oznaczonym czasie wydaje kwiaty. Przez dziwne przeobrażenia tych kwiatów powstają owoce, które już zawierają w sobie nasiona; owoce dojrzewają, nasiona wydostają się i wydają z siebie nowe rośliny. Tymczasem roślina dosięgszy najwyższego stopnia roz-

woju, zaczyna się chylić ku upadkowi, więdnieje, usycha, aż nakoniec zupełnie ginie.

Czynności te kolejno idąc po sobie, tak, jakeśmy je wyżej wymienili, nazywają się kiełkowaniem, żywieniem, rośnięciem, rozmnażaniem i usychaniem, albo jaśniej mówiąc: śmiercią.

Wiadomo nam już, że istoty życiem obdarzone, czy to roślinne, czy zwierzęce, do wykonywania czynności żywotnych posiadają osobne przyrządy, czyli organy; otóż, aby poznać czynności tych organów, trzeba przedewszystkim opisać je, zbadać ich budowę, zapoznać się z ich postacią, bo aby zrozumieć działanie jakiejkolwiek machiny, trzeba przedewszystkim wiedzieć, z jakich się ona części składa i jaka jest budowa jej kółek i sprężyn.

Organizm porównaliśmy poniekąd słusznie do machiny, jak w machinie bowiem każda cząstka porusza się osobno, każda sprężyna kurczy się, lub przedłuża niezależnie, każde kółko oddzielnie się obraca, tak ostateczna praca machiny jest wypływem działań tych wszystkich cząstkowych narzędzi. Niech też w machinie jedna przerwie się sprężyna, jedno się kółko zahaczy, a cała praca pójdzie opacznie. Tak samo dzieje się w istocie organicznej, w roślinie lub zwierzęciu. Niech jeden z organów podpadnie zepsuciu, chorobie, a wnet cała działalność żywotna tej istoty się skrzywi, zboczy, a nawet całkowicie ustanie. Organizm więc, to machina, ale machina najdoskonalsza, najwybredniejsza, gdzie wszystko najlepiej obliczone, w której nic nadto, ani nic zamało. Machiny rękami ludzkiemi zbudowane zbliżać się mogą dokładnością do tego najlepszego wzoru, ale nigdy mu nie dorównają.

Zanim jednak przystąpimy do opisu, musimy wspomnić o narzędziu, bez którego obecnie ani kroku w nauce o istotach organicznych zrobić nie można. Narzędziem tym jest mikroskop.

Człowiek, poznawszy słabość swego wzroku, że niedobrze widzi, lub wcale nie widzi przedmiotów zbyt odległych, lub zbyt drobnych, starać się zaraz zaczął o rozszerzenie jego ciasnych granic. Uzbrojony lunetą (dalekowidzem) dostrzegł na niebie wiele gwiazd dotąd nieznanych, dla gołego oka niedostrzegalnych; uzbrojony mikroskopem (drobnowidzem) odkrył całe gromady istot drobniutkich, tak zwierząt jak i roślin, o których przedtym żadnej nie miał świadomości;—zbadał wreszcie

ściśle najdelikatniejszą budowę tworów organicznych, poznał ich najdrobniejsze cząstki składowe, a znając tę budowę, mógł sobie dopiero wyjaśnić ich objawy żywotne. Musimy więc koniecznie zapoznać się z tym narzędziem.

Wszyscy znamy tak zwane szkło palące, którym, nastawiwszy je na promienie słońca, można wypalać dziury w papierze, lub jakiejkolwiek materji. Szkło takie, z obu stron wypukłe, zwane w nauce soczewką podwójnie wypukłą, ma tę wielką własność, że przedmioty przez nie oglądane wydają się powiększonemi. Soczewka taka, stosownie umieszczona, stanowi już mikroskop pojedyńczy. Na pionowym pręcie, który się przyśrubowywa do poziomej podstawy, widzimy, idąc od góry do dołu, najpierw soczewkę otoczoną pierścieniem, który się wraz z nią za pomocą śruby daje przesuwać niżej lub wyżej; część druga, zwana stołem mikroskopowym, służy do umieszczania na nim przedmiotu badanego; a ostatnia, najniżej się znajdująca, jest zwierciadłem, służącym do oświetlenia przedmiotów badanych; można je dowolnie obracać i pozostawiać w tym położeniu, w którym światło odbite od zwierciadła jest najbliższym. Oświetlenie to dlatego jest koniecznym, że im powiększenie jest silniejsze, tym światło staje się słabszym. Poczym z przedmiotu badanego ścina się ostrą brzytwą, o ile można, skrawek najcieńszy; skrawek ten, przezroczysty z powodu swej nadzwyczajnej cienkości, kładzie się między dwa szkiełka i umieszcza na stole mikroskopowym nad otworem, przez który światło od zwierciadła odbite przechodzi, a soczewkę umieszcza się w odległości dla oka najwygodniejszej. Powiększenie mikroskopu zależy od wypukłości soczewki; można ją doprowadzić do tego, iż powiększa od 20 do 30 razy. Do silniejszych powiększeń mikroskop ten służyć nie może; używamy w tym celu mikroskopu złożonego.

Mikroskop złożony, zamiast jednej soczewki, ma ich dwie, umieszczone każda na jednym z końców rury mosiężnej; soczewka zwrócona ku oku — zowie się szkłem ocznym, a zwrócona ku przedmiotowi badanemu, szkłem przedmiotowym. To ostatnie składa się zwykle z kilku soczewek, działających jak jedna, przez co powiększenie staje się bez porównania silniejszym. Mikroskop złożony powiększać może 200, 300, a nawet 500 i więcej razy.

II.

Poznawszy mikroskop, możemy za pomocą niego badać ustrój rośliny.

Zetnijmy ostrą brzytwą bardzo cienki i drobny skrawek jakiejkolwiek rośliny, użyjmy np. zwyczajnego głąbika, umieśćmy go pod mikroskopem, jak należy, i spojrzyjmy nań z góry.

Drobniuchny skrawek, kilkaset razy powiększony, przedstawi nam wtedy mnóstwo drobnych wielokącików, stanowiących rodzaj gęstej siatki o oczkach wielokątnych. Przyjrzawszy się temu dokładnie i zastanowiwszy się, łatwo poznamy, że te wielokąty są to przecięcia wielościanków foremnych, czyli pęcherzyków, ze wszech stron zamkniętych.

Pęcherzyk taki nosi nazwę k o m ó r k i. Jakąkolwiek weźmiemy roślinę, lądową lub wodną, drzewo lub zioło, z jakiejkolwiek jej części zetniemy skrawek i poddamy go badaniu, zawsze taki sam lub podobny widok otrzymamy. Tak jest, wszystkie te różnorodne twory świata roślinnego, od wysokich jodeł, od rozłożystych dębów, z których człowiek mieszkania swoje wznosi, aż do najdrobniejszych, najwątlejszych, najniklejszych roślinek, — wszystkie powstają z jednego pierwiastka — z komórki.

Poznamy w przyszłości, że nie tylko rośliny, ale i zwierzęta i ludzie, — wszystko co żyje, również z komórek jest złożone. Komórka więc ma znaczenie nadzwyczaj wielkie dla organizmu.

Zachodzi teraz pytanie, jakie przeznaczenie ma komórka? Aby na to dać odpowiedź, trzeba przedewszystkim wiedzieć, że komórka żyje, posiada życie swoje własne, osobne, a życie to jest podobne do życia całej rośliny. Roślina rodzi się, wzrasta, wydaje nowe owoce; toż samo zupełnie odbywa i komórka.

Ale skutkiem czego ciała rosną? Jak się to dzieje, że wy sami wzrastacie? skąd pochodzi, że dziś daleko wyżsi jesteście, niż byliście przed rokiem; pies, którego małe dziecię niedawno na ręku unieść mogło, dziś je ogromem swoim przeraża, cielę drobne staje się wołem, niska krzewina po pewnym czasie na rozłożyste drzewo wyrasta.

Nic samo z siebie nie przybywa; jeżeli coś się powiększa, musiało coś być dodane. Przecież nic nie przyłożyliście z zewnątrz, ani sobie, ani pieskowi, ani cielęciu, ani drzewu temu; wszystko to się jednak powiększy-

ło; musiało więc być coś z wewnątrz dodane. Tak jest, to pokarmy, które bierzecie, które każda istota żywa pobiera, powodują wzrost, powiększenie się ciała.

Cząstki to właśnie pokarmu przekształcają się, przerabiają, bez wiedzy waszej wsuwają się w szczelinki waszego ciała, tworzą tam kości, mięśnie i t. d.

Wzrost więc istot żywych tylko skutkiem przyjmowania pokarmów nastąpić może.

Mówimy tylko o komórce. Drobniuchny ten pęcherzyk także się powiększa. Powie kto może, że on się powiększa tylko skutkiem swojej sprężystości, tak jak się wydłuża rozciągany kawałek gumy elastycznej,— dobrze, ale w takim razie ścianki komórki musiałyby cienieć, kiedy w rzeczywistości dzieje się przeciwnie,— w miarę powiększania się komórki, grubieją też jej ścianki, komórka więc rośnie rzeczywiście; do tego potrzeba, aby komórka brała pożywienie.

Lecz jakimżesz sposobem dostanie się ciało pożywne wewnątrz komórki, kiedy ona nie posiada żadnego otworu? Wytłómaczyła nam to nauka.

Jeżeli w naczynie zawierające w sobie wodę i mające w rozpuszczeniu jakiekolwiek ciało stałe, np. sól kuchenną, włożymy pęcherz, najściślej zamknięty, napełniony wodą czystą, to po pewnym czasie okaże się, że woda w pęcherzu zawarta nabierze smaku słonego, a woda w naczyniu znajdująca się, będzie posiadała słaby smak soli. Czegóż to dowodzi? Oto, że pewna część płynu z zewnątrz do pęcherza napłynąć musiała, a natomiast część wody czystej z niego się wydostała. Ta własność pęcherzy zwana przesiąkaniem jest bardzo ważną, bo wyjaśnia nam wiele zjawisk życia.

Podobną własność posiada i błona komórkowa; płyny niezbędne do utrzymania życia rośliny, przechodzą z komórki do komórki tak samo, jak woda słona dostawała się wewnątrz pęcherza. Ciecze te wewnątrz komórki nie zostają w spoczynku, ale odbywają ciągłe ruchy, zwłaszcza w komórkach młodych; ruch ten odbywa się zwykle w stałych kierunkach, jak np. z góry na dół i z dołu do góry, albo też od jądra komórki ku jej obwodowi, wracając stamtąd napowrót. W czasie tego przebiegu komórka wyciąga z płynu wszystkie te części, które dla niej są potrzebne, a pozostała część płynu przechodzi dalej. Każda komórka zatrzymuje to tylko, co jej jest potrzebnym.

Tu znowu nasuwa nam się pytanie, dlaczego to?

dlaczego komórki w liściu zatrzymują pierwiastki nadające im barwę zieloną, a w koronie kwiatowej pierwiastki barwiące je różowo? dlaczego w owocu pomarańczy w komórkach wewnętrznych zbierają się pierwiastki słodkie i orzeźwiające, a w skórze olejki lotne i palące?

Tutaj zaczyna się tajemnica życia, której umysł człowieka przebić jeszcze nie zdołał; po niedosięgłych błędnikach gubią badacze myśl swoją, zdobywają ciągle tylko przypuszczenia.

Należy nam teraz rzucić okiem na powstawanie komórek.

Badania najściślejsze okazały, że komórka jedynie z komórki powstać może; tam, gdzie komórka nie istniała, nowa nie powstanie. To rozradzanie jest bardzo proste: skoro komórka dojdzie do najwyższego stopnia rozrostu, rozpada się po pewnym czasie na dwie oddzielne części i z jednej komórki dwie się zrodziły; i to się dzieje ciągle w podobny sposób: z jednych komórek przez rozrost i rozdzielanie powstają inne.

Jak wszystko co się zrodziło, jak wszystko co żyje, i komórka umiera, i ona iść musi drogą wszelkiego żywota. Przestaje zwolna przybierać żywność swoją; zatrzymują się soki, przebiegające jej wnętrze, komórka usycha i umiera; umierają komórki jedne obok drugich, i skutkiem tego umiera część rośliny, opadają liście, więdną kwiaty, lub też ginie cała roślina.

Proste, ale ciekawe są dzieje życia tego najmniejszego tworu, tej pojedyńczej komórki; a należy to dobrze zapamiętać, bo i cała roślina nie ma rozleglejszego żywota, jak ta jej najmniejsza a całkowita cząsteczka. Roślina przy początku bytności swojej, jest tylko komórką w nasieniu złożoną; rośnie, bo z tej komórki nowe powstają; umiera, bo wszystkie komórki umierają.

III.

Znając życie komórki, łatwo będzie zrozumieć życie całej rośliny.

Doskonała roślina jest zbiorem komórek, a wiemy, że wykonywa ona też same czynności, co każda pojedyńcza komórka. Posłuchajcie tylko:

Wyobraźmy sobie człowieka przebywającego samotnie, np. na odludnej wyspie i porównajmy stan jego ze stanem człowieka, żyjącego w społeczeństwie. Obadwaj muszą się starać o zaspokojenie rozlicznych swych potrzeb. Pierwszy, nie mając nikogo ku swej pomocy,

musi zarówno o wszystkich swych myśleć potrzebach, wszystkiemu własną pracą podołać; głodny, sam chleb sobie piecze; nagi, sam odzież swoją szyje; bosy, sam obuwie sporządza; chory, sam musi wyszukiwać ziół, lub innych środków, któreby mu ulgę w cierpieniach jego przyniosły. Człowiek ten, tak różnorodne mając prace do załatwienia, nie może na żadną potrzebnego i stosownego czasu poświęcać, nie może się w żadnej dostatecznie wyćwiczyć; wszystkie jego roboty są, muszą być nieudolnemi: chleb jego niesmaczny, odzież niezgrabna, lekarstwa bezskuteczne.

Inaczej się urządza społeczeństwo całe; każdy jego członek zajmuje się jedną, wyłączną pracą; jeden jest rolnikiem, drugi młynarzem, trzeci piekarzem; dalej sukiennikiem, krawcem,—garbarzem, szewcem, inny znowu lekarzem.

Zajmując się wyłącznie jedną pracą, poświęcając jej wszystkie chwile życia swojego, nabieramy w niej znakomitej biegłości, wielkiej wprawy; stąd wszystkie wyroby posiadają wielką dokładność, trwałość, piękność i inne przymioty; za pomocą wymiany z łatwością zaopatruje się każdy w potrzebne mu wyroby, przez innego pracownika zdziałane. Każdy człowiek wykonywa to tylko, co zna najlepiej, w czym się najbardziej wyćwiczył, czemu się wyłącznie poświęcił. Ten sposób zaopatrywania potrzeb społeczeństwa nazywa się podziałem pracy.

Czym jest pojedyńczo żyjący człowiek wobec społeczeństwa, tym pojedyńcza komórka wobec całego ich zbioru, wobec rośliny. Komórki w roślinie stanowią jakby dobrze urządzone społeczeństwo; całą, pracę jaką roślina ma wykonywać, rozdzieliła ona pomiędzy swe części, któreśmy już dawniej organami nazwali; każdy organ robi to, co mu jest wyznaczone, a każdego czynność przechodzi na korzyść całej rośliny. I tu dają się zastosować piękne wyrazy Brodzińskiego:

„Czyń każdy w swym kółku co każe Duch Boży,
A całość sama się złoży."

Bardziej uderzającym jeszcze jest ten podział pracy w życiu zwierząt, gdzie daleko znaczniejsza liczba organów, rozleglejsza działalność, większa żywotność. Niedawno dopiero poznano ogromne znaczenie podziału pracy w życiu społecznym, a w naturze wszystkie

ciała żywe istniały już od wieków na tej zasadzie, jakby wzór ludziom na oczy stawiany. Tak wszędzie mądre czynności przyrody winny być wzorem do naśladowania dla naszych prac człowieczych; należy tylko umieć czytać w otwartych dla wszystkich kartach.

Organy, które służą całej roślinie do utrzymania jej życia, są: korzeń, łodyga i liście. Kwiaty mają inne przeznaczenie.

Korzeń zapuszczony w ziemię i w miarę rozrostu coraz bardziej w głąb zachodzący, stanowi podporę całej rośliny; jest rozmaitej budowy i wielkości, stosownie do stopnia rozwinięcia całej rośliny.

Łodyga wznosi się pionowo nad ziemią i dźwiga na sobie gałęzie i liście; najrozmaitszej bywa ona budowy, nadając swoją postacią ogólną cechę całej roślinie. Bywa zielną we wszystkich drobniejszych roślinach, które też ziołami zowią, jest krzewiastą w krzewach, nakoniec drzewiastą. Drzewa dorastają rozmaitej wielkości, stanowiąc niekiedy istne olbrzymy świata roślinnego. Posiadają zaś dwojaką postać: w jednych łodyga, doszedszy do pewnej wysokości, zaczyna wydawać boczne odnogi, niby ramiona, gałęziami zwane, które niczym się od samej łodygi nie różnią; łodyga taka gałęzista właściwa wszystkim drzewom naszych lasów i wogóle pospolita w strefie umiarkowanej, bardzo dobrze jest nam znaną, nosi nazwę pnia. W strefie gorącej drzewa najczęściej nie posiadają takich pni rozgałęzionych, łodyga ich prosto wystrzela ku górze, wązka a wysoka, jedynie u wierzchołka uwieńczona koroną liści, nosi nazwisko trzonu; palma najlepszy daje wzór podobnego trzonu.

Przeciąwszy poprzecznie łodygę, rozróżnić w niej możemy trzy części; w przecięciu takim, dokonanym na małym krzewie, łatwo ujrzymy część środkową, stanowiącą tak zwany rdzeń, który w młodych gałązkach jest zielony, w starych ginie prawie zupełnie; naokoło niego są promienisto rozłożone włókna cewki, które są także komórkami wydłużonemi i rozrosłemi, pomiędzy niemi przebiegają wązkie kanaliki: łączą one środek łodygi z jej obwodem, prowadzą od rdzenia do kory, otaczającej łodygę w około.

Liście można uważać za boczne spłaszczenia łodygi; każdy liść składa się z ogonka i blaszki; od ogonka wychodzi linja wyrazista, nerwem jego zwana, przebiegająca całą blaszkę ku jej wierzchołkowi; nerwy tworzą istną siatkę, zawierającą w swych oczkach miąższ liścia,

złożony z młodych komórek. Liście są tak rozmaitej postaci, że pomimo ogromnej liczby różnych gatunków roślin, niema dwuch nawet, któreby miały liście do siebie podobne; każdy uważny z łatwością pozna, do jakiej rośliny jaki liść należy. Mogą one być okrągłe, podłużne, sercowate i t. d.; brzegi ich już całe, już najrozmaiciej wykrawane, wycinane; niekiedy liść jest złożony z kilku lub kilkunastu listeczków, jak to widzimy np. w naszej akacji.

IV.

Poznawszy choć pobieżnie organy rośliny, rozpatrzymy, jakie jest ich znaczenie, jak się każdy przyczynia do utrzymania całego jestestwa.

Roślina nie ma ust, ani żołądka, nie może używać żadnych ciał stałych na pokarm, nie może go sobie dowolnie wybierać, znajduje go tylko rozpuszczonym w tej matce karmicielce wszech istot, w ziemi, która jej za podstawę służy. Którędy roślina przyjmuje ten pokarm? Bierze go za pomocą swoich korzeni, które piją z łona ziemi wodę, napełnioną sokami, mającemi żywić całą istotę. Korzenie rozrastają się w głąb ziemi, w miarę jak łodyga wznosi się w powietrze; gdy ta corocznie liśćmi się pokrywa, w końcu korzenia ukazują się i rozwijają drobne włókienka; te to części końcowe, zawsze młode, czerpią pokarm pożywny.

Sok ten pożywny, wyciągnięty przez młode odrośle korzeni, roznosić zaczyna świeże życie po całej roślinie, stanowi on istotną krew drzewa. Znalazszy się w komórkach ostatecznych korzeni, nie zatrzymuje się tutaj, ale dalej udaje się w drogę ku wierzchołkowi, gdzie go liście oczekują. Jakim sposobem sok ten ku górze się podnosi, długo nie umiano sobie wytłumaczyć, podawano najosobliwsze przypuszczenia, wymyślano najdziwaczniejsze teorje. Dopiero ścisłe badania naukowe rzecz tę dokładnie wyjaśniły. Jeżeli pamiętacie, co wyżej było powiedziane, znacie przyczynę: sok ten podnosi się z komórki do komórki na zasadzie przesiąkania, o czym była mowa. Sok ten z powodu swego wznoszenia ciągłego w górę, nazywa się sokiem wstępującym. Doszedszy do liści, wchodzi w zetknięcie z powietrzem.

Tak jak oddychają ludzie i zwierzęta, tak też oddychają i rośliny. To oddychanie, t. j. wciąganie po-

wietrza, odbywa się w roślinach przez liście; liście pokryte są osobnym, cieniuchnym nabłonkiem, który, jak wszystkie części rośliny składa się z komórek; komórki te są płaskie i między niemi tu i owdzie rozrzucone są drobniutkie otworki, niby szparki lub szczelinki, poniekąd postać ust przypominające. Przez nie to powietrze dostaje się do wewnętrznych części liścia.

Lecz między oddychaniem ludzi i zwierząt, a oddychaniem roślin znaczna zachodzi różnica; jedno i drugie jest sobie wprost przeciwne. Najważniejszą częścią powietrza jest gaz, zwany tlenem (dawniej kwasorodem), który utrzymuje życie wszystkich istot zwierzęcych. Skoro wciągamy w płuca powietrze, styka się ono tam z krwią ciemną, zepsutą: tlen w nim zawarty łączy się z węglem, który się znajduje we krwi zepsutej, tworzy z nim nowy gaz, zwany kwasem węglanym, który przy wydychaniu wychodzi z płuc. Kwas węglany jest szkodliwy, w większej ilości nawet zabijający.

Z oddychania tak ogromnej liczby zwierząt, jaka się na kuli ziemskiej znajduje, powietrze wkrótce uległoby zepsuciu, stałoby się niezdolnym do utrzymania życia. Mądra Opatrzność zaradziła temu. Roślina oddycha wprost przeciwnie: wciąga ona kwas węglany wyrzucany z płuc naszych i płuc zwierząt; zrywa związek, jaki zawarty został wewnątrz nas między tlenem i węglem, zatrzymuje węgiel, który jest jej potrzebny do zbudowania nowych tkanek i który nam kiedyś pod postacią drzewa odda, a uwalnia tlen.

Dlatego miłą jest przechadzka w cieniu drzew i tak zbawiennym dla zdrowia jest powietrze wiejskie, odświeżane przez bujną roślinność.

Tlen z liści wychodzący, wzniósszy się w powietrze, znów przechodzi do płuc istoty zwierzęcej i dalej tąż samą kolej odbywa. Tą drogą kolejną, tam i napowrót, ustala się równowaga powietrza; takim sposobem też same ciała ciągle służą do utrzymania życia całej natury.

Oto jeden z tysiącznych przykładów mądrej ekonomji przyrody, jej wzorowej rządności, gdzie nic nie ginie, nic się nie traci, wszystko w jakiejkolwiek postaci daje pożytek.

Jednakowoż zwrócić trzeba uwagę na dwie okoliczności, w których oddychanie roślin nie odbywa się w sposób prawidłowy; ma ono miejsce jedynie w częściach zielonych rośliny i tylko przy świetle; części barwne rośliny, np. kwiaty i liście, w ciemności wyzie-

wają, na wzór zwierząt, gaz węglany; dlatego napawając się długo wonią kwiatów, nabawiamy się częstokroć silnego bólu głowy; dlatego niebezpiecznym jest koło łóżka swego umieszczać na noc nawet zielone gałęzie: ich oddech może być śmiertelnym. Pozostając w ciemności, rośliny wyziewają gaz węglany, przyczym utracają swój węgiel, który im służy do pożywienia wszystkich tkanek i do utworzenia barwy zielonej; dlatego rośliny pozbawione światła, stają się wiotkiemi i żółknieją. Dosyć jest część trawnika pokryć czymkolwiek nieprzezroczystym, ażeby promienie słońca dostępu nie miały, a cała pokryta trawa zżółknie. Roślina, aby żyć, potrzebuje światła; rośliny żyjące w niewoli, w doniczkach, zwracają swe kwiaty ku oknu, ku tej stronie, skąd światło przypływa. Jak roślinie światła słonecznego, tak człowiekowi do życia potrzeba światła duchowego, bez niego człowiek znika i upada, tak jak ginie roślina w ciemności; jak owe kwiatki w doniczkach, tak i my ku światłu zwracać się powinniśmy.

Ale wróćmy do soku, któryśmy pozostawili w zetknięciu z powietrzem. Nasyciwszy się węglem, który odbiera, raczej z którego oczyszcza się powietrze, zaczyna on schodzić ku dołowi rośliny; przybiera wtedy nazwę soku zstępującego. Sok ten od poprzedniego znakomicie się odróżnia, zupełnie jest odmienny: poprzednio miał pozór wody czystej; w drodze powrotnej, obciążony węglem, jest sokiem gęstym, często rozmaicie zabarwionym, a najpospoliciej barwy mlecznej, i stąd nazywa się sokiem mlecznym. Nabiera on przytym zupełnie odmiennych własności. Najlepszy przykład podobnej różności w sokach przedstawia nam gatunek Ostromleczu (Euphorbium canariensis) rosnący na wyspach Kanaryjskich; sok jego zstępujący, mleczny, jest gwałtowną trucizną; sok wstępujący stanowi płyn przezroczysty, orzeźwiający, którym w czasie posuchy mieszkańcy tameczni wybornie pragnienie swoje ugasić mogą.

Sok wstępujący i zstępujący oddzielne dla siebie mają drogi; pierwszy wznosi się przez drzewo samo, drugi schodzi przez pokłady kory. Aby się o tym przekonać, dosyć przewiązać młodą gałązkę nitką; zobaczymy, że gałązka wkrótce nad nią nabrzmieje. Widoczne więc, że soki z góry idące schodzą w korze samej, gdyż drzewo samo nie doznało ściśnienia. Zdarzyło się wam już niezawodnie widzieć w lasach, drzewa, które wewnątrz całkowicie są wypróchniałe i wydrążone, a jednak dźwi-

gające na szczycie bujne liście i strojne kwiaty; łatwo stąd zrozumieć, że soki pożywne nie przechodzą przez cały obszar łodygi, a tylko przez jej części obwodowe; dosyć wokoło tylko nakrajać łodygę, aby roślina uschła, aby żyć przestała. Wewnętrzne części drzewa w działaniach żywotnych nie przyjmują udziału. Tylko zewnętrzna część drzewa żyje, tylko w obwodzie znajdujące się komórki posiadają silną żywotność, wielką zdolność do dzielenia się i powiększania.

Ale to ma tylko miejsce w porze ciepłej, w czasie lata; ciepło, również jak światło, niezbędnym jest dla życia roślin. Za nadejściem jesieni wysychają płyny, żywiące komórki, grubieją ściany, napełniają się one istotami stałemi, twardemi i tworzą razem silną masę zbitą. Masa taka pospolicie zowie się słojem drzewnym; corocznie powtarza się to samo, corocznie tworzą się na obwodzie pnia komórki żywotne, które następnie twardnieją i tworzą słój drzewny. Każdy słój wyraża pracę jednego roku, ich liczba wskazuje wprost wiek rośliny. Jeżeli przerzniemy pień drzewa, to na przecięciu jego widzimy koła, czyli pierścienie spółśrodkowe, ciągle większe, w miarę zbliżania się ku obwodowi, jakby rury nierównej średnicy, umieszczone ściśle jedna w drugiej. Ile ich naliczymy, tyle lat ma drzewo.

Główną rolę przy tym przybywaniu słojów drzewnych odgrywa sok zstępujący, który sprowadza węgiel, stanowiący podstawę tkanek roślinnych.

Z tego soku wyciągają wszystkie komórki to, co im jest potrzebnym, co im jest właściwym, przyswajają to sobie, jak o tym już była mowa, tworzą z niego wszystkie części rośliny. Nieużyteczne części soku odchodzą i dostają się powrotnie do ziemi.

Streściwszy cośmy o życiu rośliny mówili, widzimy, że potrzebuje ona ziemi wilgotnej, urodzajnej t. j. zawierającej części dla niej pożywne, węgla, który otrzymuje z powietrza, nakoniec światła i ciepła.

St. Kramsztyk.

---

83. Szarotka.

Czytelnicy nasi słyszeli zapewne nieraz o pięknych kwiatach górskich, a ci co byli w Tatrach, znają dobrze jeden z najciekawszych, zwany szarotką.

Rośnie on na wysokości dwóch tysięcy metrów, w miejscach często niedostępnych dla zwykłych podróżników, w szczelinach skał, na szczytach i urwiskach. Uczepiony korzonkami do garstki naniesionej wiatrem ziemi, nie boi się ani skwarnych słońca promieni, ani wiatrów szalejących po szczytach, ani sąsiedztwa śniegów. Wątła jego łodyżka opiera się wszystkiemu wytrwale, a on sam w otoczeniu ciemnozielonych mchów i porostów, na szarym tle skał, wygląda niby gwiazdeczka wychodząca z ziemi, i przyciąga oczy szlachetną, nie rażącą jednak białością. Nie ma ani świetnej barwy, ani okazałego kształtu, a jednak posiada jakiś wdzięk nieokreślony, sprawiający, że wszyscy ubiegają się o niego.

Nazwa jego naukowa jest Gnaphalium leontopodium, co znaczy: lwia łapka, chociaż niesłusznie doprawdy, upatrzono w nim podobieństwo do takiego drapieżnego zwierzęcia! Szarotka ma w sobie raczej coś gołębiego. Płatki jej ułożone w kształcie gwiazdki o nieregularnych promieniach, pokryte są białym puszystym włosem, przypominającym sukno lub watę.

Mieszkańcy wiosek górskich w Alpach i Pirenejach, używają szarotek do ozdoby stroju ślubnego, zamiast kwiatu pomarańczowego. Górale przybierający chętnie szarotkami kapelusze, wspólnie z pódróżnikami i botanikami, tak wyniszczyli te piękne kwiaty w Alpach, że niektóre odmiany trudno już jest odnaleźć. Dla ocalenia pozostałych, zawiązało się w Gienewie Towarzystwo opieki nad roślinami alpejskiemi i przedsięwzięło energiczne środki ochronne.

W naszych Tatrach niszczenie szarotek odbywa się na wielką skalę: mali pasterze, chodzący za bydłem po stokach górskich, polują po skałach na te kwiaty, tak pożądane przez gości przebywających w Zakopanem, i znoszą co dnia pęki olbrzymie. Zamiast zrywać ostrożnie same tylko kwiaty, wyrywają roślinki z korzeniami, bo to idzie daleko prędzej, a gdzie się ręka takiego barbarzyńcy przesunie, tam białe gwiazdeczki nie pojawią się już na rok przyszły.

Jeżeli takie postępowanie potrwa dłużej, to rzadsze odmiany szarotek wyginą w Tatrach tak, jak wyginęły w Alpach i Pirenejach—chyba że Towarzystwo tatrzańskie za przykładem gienewskiego, obmyśli jakieś środki ochronne, jak je obmyśliło dla ochrony zwierząt górskich, świstaków i kozic, zawzięcie poprzednio tępionych przez myśliwych. Nie małych pastuszków jednak

potępiać tu należy, za grzech ogołacania gór z ich pięknej ozdoby, bo oni nie zdają sobie sprawy z tego, co czynią, a powoduje niemi tylko chęć dogodzenia gościom i nadzieja zarobku; ale winni są bardzo ci, którzy ich do tego zachęcają i kupują kwiaty wyrywane z korzeniami.

Szarotka niełatwo więdnie, daje się doskonale zasuszyć, i przez długie lata zachowuje pozór świeżego kwiatu, dla tego też panie wywożą z gór spore ich zapasy i używają do ozdoby sukien balowych. W Niemczech wzięto się na dowcipny sposób wyrabiania szarotek z bawełny; istnieją tam wyłączne do tego fabryki, bo szarotki mają wielki odbyt u amatorów. Prawdziwi miłośnicy tych pięknych kwiatów wołają, że to profanacja, ale jeżeli sztuczny wyrób może ocalić tysiące żywych szarotek w górach, powinni się z niego tylko cieszyć.

Niemcy nazwali ten kwiat Edelweis, co znaczy: szlachetna białość — górale zaś tatrzańscy zwą je powszechnie: kociemi łapkami, choć nazwa ta innej należy się roślinie.

Chodząc po łąkach, zauważyliście może nieraz drobny, trwały, dziko rosnący kwiateczek. Kielich kwiatogłówki tej roślinki, jest jakby papierowy, a drobne kwiateczki delikatnym białym puszkiem otulone. Jestto także szarotka (Gnaphalium), zwana kocią łapką, spokrewniona z szarotką tatrzańską, bo należąca do tej samej rodziny złożonych. Różnica między niemi jest tylko taka, jaka bywa często między krewnemi ubogiemi, a bogatemi. Szarotka łąkowa jest skromnie ubrana, kryje się w trawie, przestaje z wróblami, skowronkami i pospolitym, równie jak ona skromne szaty noszącym ptactwem naszych pól,—a szarotka górska nosi przepyszną białą szatę, zamieszkuje wspanialsze od wyniosłych zamków skały, i widuje przelatujące nad sobą orły. Ale na szarotki łąkowe nikt się nie łakomi, a szarotka górska, pomimo miejsc niedostępnych, w jakich żyje, narażona jest na napaść polujących na nią zawzięcie pastuszków.

Wszelkie próby hodowania szarotki górskiej w niżej położonych miejscowościach, długo się nie udawały. Nawet wyjęte ostrożnie ze skały z ziemią i hodowane w doniczce, w dolinie Zakopanego, po jakimś czasie zmieniły trochę powierzchowność. Roślinka wyglądała zdrowo, świeżo, ale białość jej przybierała szarawo-zielonawą barwę, a puszek, pokrywający płatki, poczynał niknąć, jak gdyby nie potrzebując już ochrony od zimna,

roślinka sama usiłowała pozbyć się swego futerka. Stwierdza to dawno już znane spostrzeżenie, że tak rośliny, jak zwierzęta, usiłują przystosować się do warunków, w jakich żyć im przychodzi—i odpowiednio do nich, jednych narządów pozbywają się, inne nabywają. Ileż to roślin ogrodowych lub doniczkowych, znanych nam jako niewielkie krzewy, są wspaniałemi drzewami w swej ojczyźnie!

Ludzie umieją jednak czasem sztucznie stworzyć roślinie warunki potrzebne do jej istnienia i rozwoju, podobne do tych, jakie miała w ojczyźnie. Towarzystwo opieki nad roślinami alpejskiemi urządziło w Gienewie ogród, w którym hoduje wszystkie odmiany szarotek na sprzedaż.

Inny ogród, w celach wyłącznie naukowych, założono w roku zeszłym w Bourg Saint Pierre, w dolinie Entremont, kantonie Wallis—o kilka godzin drogi od klasztoru ś-go Bernarda, będącego przytułkiem dla zbłąkanych wśród śniegu podróżnych. Ogród ten, położony na starym placu zamkowym du Quart, na wysokości 1,800 metrów, przeznaczony jest do hodowli europejskich roślin alpejskich i ma się przyczynić do ułatwienia studjów naukowych i spostrzeżeń nad roślinnością stref śniegowych, nad wpływem owadów, zmianami gatunków i t. p. Otwarto go uroczyście w Lipcu i nazwano Alpejskim ogrodem botanicznym.

Zofja Urbanowska.

---

84. Widome a niewidzialne.

Widzieć wszystko, samemu będąc niewidzialnym, musieli ludzie niegdyś uważać za coś bardzo pożądanego, skoro wytworzyli sobie piękną bajkę „o czapce niewidce,“ o której każdy z nas chyba słyszał w dzieciństwie. Kto tę czapkę posiadał, mógł wszystko widzieć, ale sam stawał się niewidzialnym.

To co fantazja ludzka wytworzyła w bajce, istnieje w naturze naprawdę; motyle naprzykład i ich gąsienice posiadają własności, pozwalające im stawać się niewidzialnemi, gdy chcą uniknąć pogoni polujących na nie skrzydlatych nieprzyjaciół. Może kto pomyśli, że każdy motyl posiada czapkę niewidkę? O nie! jestto coś

jeszcze bardziej zdumiewającego, jeszcze cudowniejszego! Nic ich nie zasłania, a jednak bywają niewidzialne: instynkt wiedzie je do poszukiwania przedmiotów zbliżonych barwą do barwy ich skóry lub skrzydeł— i to podobieństwo je ocala.

Wiele jest gąsienic, czyli liszek barwy ciemno-brunatnej, tak zbliżonej do barwy kory drzewnej, że trudno je od niej odróżnić: to też wiecznie po niej pełzają. Między gąsienicami motyli nocnych, czyli ćmami, jest jedna, zwana miernikiem, z powodu swego szczególnego zachowania się; odbywa bowiem ciągle takie ruchy, jakby kto cyrklem mierzył powierzchnię. Przyczyną tego jest brak zupełny nóg środkowych: chcąc więc chodzić, musi tylne nogi przysuwać aż do przednich, przyczym całe ciało wygina łukowato. Ona, oraz kuzynka jej blizka, gąsienica ćmy bzowej, mają zwyczaj chwytania się gałęzi drzewa tylnemi nóżkami i utrzymują całe ciało w podniesionej, sztywnej postawie, co czyni je podobnemi do suchej gałązki. Wybieg ten naturalnie tylko ptaszki owadożerne w błąd wprowadza, ale nie omyli przyrodnika, badającego z zamiłowaniem zwyczaje owadów. Dość jest uderzyć czymś mocno w gałąź albo pień drzewa, a przestraszone liszki spuszczają się natychmiast w dół na swych niteczkach jedwabistych, bo im się zdaje, że niebezpieczeństwo od samego drzewa pochodzi i że go unikną, opuszczając je.

Liszki zielone trudno jest odróżnić od liści na których siadają, zwłaszcza w lasach gęstych, gdzie odbicie światła zielonego pada na wszystkie przedmioty. Przyzwyczailiśmy się uważać kolor zielony za właściwy jedynie roślinom i zapominamy o tym, że niektóre zwierzątka także zielone noszą szaty. Gąsienica motyla białego, kapustnika, leży nieruchoma i wyciągnięta w kierunku nerwów liścia kapusty, i tak się z nim upodobnia, że nawet domyślić się tam jej obecności nie można.

Wiele liszek, a między niemi motylowe, mają na tyle głowy wyrostek, ściągający się i rozciągający w potrzebie. Jak tylko owad jest czymś przerażony, wyrostek wydziela natychmiast ciecz mocno woniejącą, odstraszającą nieprzyjaciela.

Poczwarki, równie jak gąsienice, umieją się troszczyć o swoje osobiste bezpieczeństwo. Gąsienica pawika nocnego wielkiego snuje sobie w miesiącu sierpniu oprzęd, czyli kokon brunatny, bardzo twardy, w szparach drzew, na ruinach lub na krawędziach murów,

gdzie barwa ich doskonale ją osłania. Domek ten, czyli namiot, w podziw wprawić może najwięcej pomysłowych budowniczych rodu ludzkiego—nie przepychem budowy, ale roztropnym urządzeniem. Jest on podobny do więcierza, używanego do łowienia ryb: owad może wyjść stamtąd, ale nieprzyjaciel przedostać się tam nie może.

Liszka siwica, przędząca swój kokon w szczelinach drzew, potrzebuje do budowy drobniutkich cząsteczek drzewa, ale ono jest za twarde, a ona za słaba żeby je kruszyć. Znajduje jednak na to sposób: skrapia je płynem gryzącym, i pod działaniem tego płynu drzewo mięknie, a ona może już z łatwością użyć cząsteczek jego do budowy domku, w którym zamknie się szczelnie, dla spokojnego dokonania swej przemiany, zacierając wszelki ślad istnienia domku przed okiem ludzi i ptaków. Rozdrobnione cząsteczki kory, służą wybornie do zalepiania szczeliny i nadania jej barwy pnia, w którym się mieści.

Najwięcej owadów ma podobieństwo do liści lub pni drzewnych: samica cytrynka, koloru blado-zielonego, podobna do liścia szakłaku, trzyma się spodniej strony tego liścia, jako bledszej i więcej do niej podobieństwem zbliżonej, niż strona wierzchnia. Motyle zimujące podobne są prawie wszystkie do suchych liści: prządka dębowa nosi nawet charakterystyczną nazwę „martwego liścia,“ ciało jej i skrzydła rudawe i ząbkowane, mają rzeczywiście uderzające podobieństwo do zeschłych liści. Inny znów motyl, z powodu szarobłękitnego koloru skrzydeł, spoczywa często na murach, zabarwionych niebiesko, a w braku ich usiłuje ukryć się na szarych spojeniach cementowych. Cegieł czerwonych starannie unika. Jeżeli kto z czytelników naszych miał kiedy w ręku tego motyla i przypatrzył mu się zblizka, musiał zauważyć, że jedna para skrzydeł jest zawsze świetniej zabarwiona niż druga, której skromne i zwykle ciemne barwy, naśladują często różne martwe przedmioty, dające im schronienie i przytułek. Przyroda, obdarzywszy motyla strojem bogatym, dała mu także sposób ukrycia go w potrzebie: zabierając się do spoczynku, motyl przykrywa swoje świetne szaty, mogące zdradzić jego obecność, parą ciemnych, niepozornych skrzydeł, niby książę przebierający się za wieśniaka i wtedy jest bezpieczny.

Ale nietylko motyle umieją stać się niewidzialnemi. W krajach podzwrotnikowych są tysiące gatunków owa-

dów, mających też same własności. Przyczepione do kory drzew uschniętych, tak się zlewają z jej barwą i chropowatością, że z blizkiej nawet odległości dojrzyć je trudno.

Nasze krajowe chrząszcze, należące do grupy wołków i przebywające na różnych roślinach, biorą się znów na inny, niemniej dowcipny sposób. Gdy człowiek wstrząśnie gałęzią, na której obrały sobie siedzibę, spadają na ziemię, chowają nogi i różki, i leżąc nieruchomo, wyglądają niby bryłki brunatne i szare, których odróżnić niepodobna od bryłek ziemi i drobnych, podobnie zabarwionych kamyczków.

Z. Urbanowska.

---

85. Piękno w przyrodzie.

Kto ulegając chęci poznania prawdy, zacznie badać otaczające go rzeczy i zjawiska, ten przekona się niebawem, że istnieją na świecie rozkosze, tysiąckrotnie większe i czystsze od tych, za jakiemi uganiają się zwykle jego bliźni; przenikanie tajemnic przyrody, praw, podług których Opatrzność rządzi światem, sięganie myślą ponad horyzonty zakreślone zmysłom niedoskonałym, to szczęście istotne.

Wszystko w przyrodzie jest nietylko zadziwiające, rozumne, ale i piękne, tak piękne, że wyobraźnia nasza daremnie siliłaby się odgadnąć to piękno.

Weź najprostszy przedmiot: kroplę wody z przydrożnej kałuży, kawałek listka z drzewa, owada z ziemi, odrobinę śniegu—i przypatrz się temu przez szkło powiększające, a ogarnie cię zdumienie i zachwyt.

Pięknemi są motyle, przelatujące po łące zasianej ręką przyrody barwnym kwieciem, pięknym jest las szumiący poważnie i pięknym jezioro spowite w litą skałę; pięknemi śnieżne, dzikie zbocza górskie, pięknym morze, rzucające wiecznie rozgwarzoną falę o poryte wybrzeża, pięknym bezmiar niebios, na którym błyszczą miljony dalekich i tajemniczych światów. Wszędzie wrażliwe na piękno zmysły napawają się symfonjami dźwięków, barw i woni.

Nie każdy jednak posiada zdolność odczuwania piękna w przyrodzie, nie każdy zwraca uwagę na pięk-

ne przedmioty, choćby te nawet znajdowały się tuż obok niego; oto np. siedzisz na brzegu oceanu i wpatrujesz się w błękit wód, rozlewających się hen!—daleko, dokąd oko twoje sięga, a nie skierujesz wzroku w kryształy, przelewające się u twych stóp. Jeżelibyś to uczynił, dostrzegbyś wiele stworzeń, które zrazu wziąłbyś za kwiaty. Ale baczniejsza obserwacja wyprowadziłaby cię szybko z błędu, gdybyś nawet weń popadł. Mniemany kwiat porusza się, jakby posiadał zaczątki czującej duszy i nerwów. W porównaniu z nim, prawdziwa róża lub niezapominajka jest ordynarnym, grubym i sztywnym dziełem przyrody. W zoologji ten żywy kwiat nosi nazwę meduzy, a to z powodu wielkiej ilości ruchomych odrostków, czyli macków.

Meduzy mają rozmaite zabarwienie, żółte, różowe, błękitne; górna część ciała meduzy z gatunku Desmonema Annasethe jest podobna do kielicha powoju i ozdobiona 16-ma żeberkami promienistemi. Pod spodem tego jakby parasola wiszą cztery wyrostki gębowe niebieskiego koloru, pofałdowane silnie i pokędzierzawione. Inne znowu są koloru pomarańczowo-żółtego, inne srebrnego, a niektóre są tak delikatne i przezroczyste, że wydają się jakby wiszący klosz z mgły niebieskawej.

Meduzy pływają wolno w morzu, poruszając swemi licznemi mackami nitkowatemi, pokręconemi, i żywą grą kolorów zdobią jego wody, występując niekiedy w licznych gromadach, okrywających kilkomilowe przestrzenie.

Budowa i sposoby rozmnażania się meduzy z rzędu krążkopławów jest zbyt skomplikowane, ażebyśmy mogli wdawać się tutaj w bliższe szczegóły; chodzi nam zresztą o piękno w przyrodzie, którego dalszym przykładem są korale, tworzące niby gaje fantastycznych krzewów; dalej gwiazdy morskie, świecące w ciemności, robaki strojne we wszystkie barwy tęczy, róże morskie, anemony i goździki morskie dobitnie świadczące, że człowiek wspaniałą ich budowę i żywe barwy mógł tylko porównać z podobnemi pięknemi okazami w królestwie roślinnym.

Pięknym jest okaz pewnego gąbczaka wapieniowatego, ze szkieletem, utworzonym z iglic wapiennych, zazwyczaj trójramiennych. Promienisto rozchodzące się, w liczbie dwudziestu, rurki ich są tak rozłożone, że w każdej ćwierci koła znajdują się dwie rurki z dziurkami, a trzy z owemi iglicami trójramiennemi.

Wiadomo, że gąbki są zwierzętami wielokomórko-

wemi, o budowie gąbczastej; wewnątrz ich ciała dostrzegamy liczne przewody, a na powierzchni skóry otworki. Szkielet gąbek bywa rogowaty, wapienny albo krzemionkowy, kształty rozmaite. Zwierzęta te żyją na dnie oceanów, nieruchomo przyczepione do skały.

Podaliśmy zaledwie parę form pięknych ze skarbca przyrody, a jest ich tysiące tysięcy!

---

86. Pamiętajmy o ptakach.

Nie wesoły bywa los naszych ptaków w zimie, zwłaszcza, gdy upadną duże śniegi i ścisną dobre mrozy. Nie dość na tym, że każdy z nich ma do walczenia z zimnem, ale jednocześnie musi jeszcze ciężko pracować, aby zdobyć jakie takie pożywienie: nasiona zasypane głęboko pod śniegiem, owady i ich pędraki ukryte w szczelinach kory, którą w dodatku przykrywa jeszcze warstwa lodu.

Ginie też wówczas ptaków co niemiara! A który tylko może, ratując się od zguby, przenosi się z lasów i pól do wsi, ogrodów i folwarków: tam zawsze jest cieplej i łatwiej o pożywienie.

Dzięki temu w zimie można zazwyczaj przyjrzyć się większej ilości ptaków, niż w lecie, tymbardziej, że nagie gałęzie drzew nie są w stanie ukryć ich przed naszemi oczami. Po krzakach i drzewach uwijają się zgrabne sikory, tu i owdzie błyśnie czerwony łebek pracowitego dzięcioła, albo ukaże się pękaty i barwny gil. A kiedyniekiedy zjawiają się wśród nich i rzadsze ptaki, jak modro-popielaty kowalik, czupurny strzyżyk, drobny mysi-królik i inni goście, którzy w lecie za nic by się nie odważyli podsunąć tak blizko do naszych mieszkań. Czyżyki i szczygły, wielcy amatorzy nasion, odwiedzają licznie ogrody warzywne, bo mają nadzieję, że tam jeszcze znajdą trochę nasion. Koło stodół i śpichrzów kręcą się całe stadka trznadli o żółtych brzuszkach, dzierlatek czubatych, dzwońców zielonych, a wróbli szarych... nawet zliczyć nie podobna!

Nędza i głód dodają ptakom rozpaczliwej odwagi, czynią je znacznie śmielszemi względem ludzi, bardziej ufającemi niż w lecie. Czy jednak ludzie zawsze się im odpłacają za tę ufność dobrym postępowaniem? Nieste-

ty, nie zawsze! Zdarza się nieraz, że młodzi chłopcy wyzyskują tę mniejszą ostrożność i ten głód, zastawiają sidła i łapią w nie ptaki, które zgłodniałe i zbiedzone, z zaufaniem podeszły do mieszkań ludzkich, ani się domyślając, że tam zamiast opieki znajdą zgubę.

Na szczęście, coraz mniej mamy ludzi, postępujących w ten sposób; łapanie ptaków i trzymanie ich w klatkach staje się zjawiskiem coraz rzadszym. Oto przedewszystkim, co to za przyjemność pozbawić biedne stworzenie wolności, skazać je na więzienie i jeszcze wymagać, aby nam śpiewało w tych warunkach? Już sama myśl o cierpieniach biednego ptaka wystarcza, aby najpiękniejszy nawet śpiew jego stracił wszelki urok. Trzeba mieć bardzo nieczułe serce i zupełny brak litości, aby odważyć się zakładać sidła, łapać w nie biedne ptaki i męczyć w ten sposób stworzenia, które nam w niczym nie zawiniły.

Po zatym jednak każdy, kto krzywdzi ptaki, wyrządza tym ogromną szkodę i sobie i innym ludziom. Ptaki należą do stworzeń nadzwyczaj pożytecznych i nie tylko dla ludzi, ale i dla całej przyrody w ogóle. Ogromna ich ilość, a przedewszystkim wszystkie drobne ptaki leśne i polne żywi się przeważnie owadami. Gdyby nie one, owady rozmnożyłyby się tak licznie, iż nie mielibyśmy ani zboża w polu, ani warzyw i owoców w ogrodach. A co gorsza, owady mogłyby nawet zniszczyć zupełnie całą roślinność w danej miejscowości, jak to robią gąsienice w lasach, ogałacając je niekiedy doszczętnie z liści.

Ptaki ziarnojady przynoszą również ludziom wielką korzyść. Jedzą one wprawdzie ziarna roślin uprawnych, zrządzają niekiedy szkody w zbożu i w warzywach, główny jednak ich pokarm stanowią nasiona różnych chwastów. Gdyby nie ptaki, chwasty krzewiłyby się znacznie silniej i głuszyłyby rośliny uprawne. Zatym i ptaki-ziarnojady należą do stworzeń pożytecznych, których tępić nie wolno!

Ale nie dość na tym, że ptaków nie będziemy tępili, należy jeszcze otaczać je opieką w miarę możności. Drobne te stworzenia narażone są na bardzo wiele niebezpieczeństw, szczególnie w zimie: z jednej strony zimno i brak pokarmu, z drugiej niemożność dobrego ukrycia się przed różnemi drapieżcami—sprawiają, iż wiele z nich ginie w tym czasie. Kto więc jest drażliwy na

niedolę ptasią, kto wie, jak ptaki są pożyteczne, ten lituje się nad niemi i pomyśli o ulżeniu im w zimie.

Nie wątpimy nawet, że wiele dzieci, współczujących niedoli tych stworzeń, zarówno na wsi jak i w mieście, opiekuje się niemi w zimie, zbierając okruchy, pozostałe od obiadu i sypiąc je ptakom. Nie jeden wróbel zawdzięcza im pewnie przezimowanie i nie jedna roślina bujniej okryła się liśćmi na wiosnę, dzięki tylko ptactwu, które pokrzepione w dniach głodu, tym gorliwiej oczyszczało je potym ze szkodników.

Ale okruchy z chleba i bułki nie są odpowiednim pokarmem dla wszystkich ptaków; przytym często zjadają je nie te, dla których się to przeznacza. Chcąc karmić ptaki w zimie z prawdziwym pożytkiem, należy to robić umiejętnie, należy wiedzieć, co dla każdego z nich sypać, gdzie i w jaki sposób, aby pożywienie nie marnowało się i aby ptaki istotnie korzystały z niego. Należy przytym dbać także o zabezpieczenie ich przed zwierzętami drapieżnemi. W tym celu właśnie chcemy podać naszym czytelnikom kilka wskazówek, tyczących się karmienia ptaków w zimie.

Okruchy z chleba i bułki odpowiednie są głównie dla gatunków mniej delikatnych, jak wróble lub gołębie; drobne ptaki leśne potrzebują innego pokarmu. Znaczna ich część żywi się w zimie przeważnie nasionami. W nasiona więc przedewszystkim należy je zaopatrywać. Ale zapas tych nasion powinniśmy zrobić już w jesieni, bo później znacznie trudniej będzie nam je zdobyć, w jesieni zaś da się to uskutecznić niezmiernie łatwo. W domu zbierajmy skrzętnie wyrzucane często bez użytku nasiona ogórków, dyń, arbuzów, słoneczników i innych roślin gospodarskich, jak również pestki z jabłek i gruszek. Z przechadzek po polu i łąkach przynośmy nasiona różnych traw, ostów, rzepnicy i wszelkich chwastów, unikając naturalnie roślin trujących. W lesie i ogrodzie zbierajmy żołędzie, orzeszki lipowe, grabowe i bukowe, skrzydlate nasiona klonów, brzóz i jesionów, szyszki olszy, sosen i świerków—tyle tego leży zawsze na ziemi i tyle wisi na drzewach, że zbieranie nie wymaga wielkich wysiłków.

Nazbierawszy nasion, przesuszmy je na powietrzu, pozsypujmy do woreczków i przechowajmy w suchym miejscu, żeby się nie psuły. Będzie to pokarm najwłaściwszy dla wszystkich ptaków ziarnojadów, oraz dla przeważnej części owadożerców, które z konieczności

nauczyły się w zimie poprzestawać na roślinach. Żeby jednak tym ostatnim też dostarczyć odpowiedniej żywności, należy im dawać jeszcze drobno pokrajaną słoninę, łój oraz maleńkie kawałeczki gotowanego mięsa. Takiego pokarmu nie mamy potrzeby przygotowywać w jesieni, można będzie znaleźć go zawsze wśród odpadów kuchennych.

Umiejętny wybór miejsca na sypanie pokarmu jest również rzeczą bardzo ważną. Żerowisk dla ptaków nie należy urządzać w miejscach bardzo hałaśliwych, gdzie kręcą się ciągle psy i koty, gdzie ludzie ciągle chodzą, a zwłaszcza gdzie bawi się dużo dzieci. Takie miejsca będą odwiedzały wróble i inne śmielsze ptaki, ale znaczna ilość, zwłaszcza przybyłych z lasu, z trudnością odważy się na korzystanie z pokarmu w tych warunkach. Należy więc koniecznie urządzić jedno żerowisko w gąszczu, między drzewami, dla ptaków bojaźliwych; drugie można założyć blizko mieszkania dla śmielszych.

Dobrze jest, jeżeli koło żerowisk znajduje się woda bieżąca np. strumyk wartki, nie zamarzający; ale że to bardzo rzadko się trafia, potrzeba więc na żerowisku stawiać niewielkie naczynie z wodą, najlepiej ciepłą, bo taka mniej prędko zamarznie.

Dalej, żerowisko powinno być zawsze tak urządzone, aby odwiedzając je ptaki były należycie zabezpieczone przed napaścią drapieżnych ptaków w czasie jedzenia. W tym celu najlepiej urządzić je w drzewach, posiadających dużo gałęzi, albo w gęstych krzakach. W razie, jeżeli wybrane miejsce nie posiada należytej zasłony, robimy ją z chróstu, już-to układając go luźno wprost na ziemi, już-to wtykając między gałęzie drzewa. Układamy go zaś zawsze tak, żeby do środka mogły się dostać jedynie mniejsze gatunki, dla których żerowisko jest przeznaczone. Zasłona taka służy także za zabezpieczenie przed zjadaniem pokarmu przez różne większe ptaki, jak np. wrony, dla których dostateczne są różne grubsze odpadki kuchenne i padliny, nieodpowiednie dla ptasząt drobnych.

Do urządzenia żerowisk należy przystąpić, skoro tylko chwycą pierwsze mrozy, zwłaszcza jeżeli to nastąpi zaraz po deszczach i wywoła gołoledź. Ciężkie to bardzo dni dla ptasząt! W czasie odwilży niema potrzeby zasypywać im żywności, bo wówczas mogą sobie i same dać radę. Ale następnie, gdy upadną już większe śniegi, trzeba stale zaopatrywać urządzone żerowiska aż do wiosny.

Jeżeli urządzamy żerowisko na ziemi, to należy pierwej oczyścić ją ze śniegu, bo inaczej zasypany pokarm zapadnie w nią i będzie stracony dla ptaków. Tak samo i przy każdym nowym zasypywaniu trzeba ziemię również starannie odmiatać.

Żerowiska na ziemi dobre są dla ptaków, przebywających w krzakach, jak strzyżyki, lub przyzwyczajonych do zbierania pokarmu na ziemi, jak trznadle, wróble, dzierlatki; inne jednak ptaki, trzymające się przedewszystkim drzew, będą chętnie odwiedzały żerowiska umieszczone na tych ostatnich. Najprostszym takim żerowiskiem jest niewielka deseczka, o bokach obitych listewkami, żeby ziarna z niej nie spadały. Deseczkę taką umieszcza się na gałęziach drzew, na wysokości człowieka i z wierzchu robi się nad nią rodzaj dachu z gałązek albo nawet wprost z innej deseczki. Można ją także umieścić blizko domu i później przyglądać się przez okno, jak zgłodniałe ptactwo wesoło spożywa przygotowaną ucztę.

Zamiast sypać pokarm na deseczkę, można także nanizać na sznurki większe nasiona, jak np. dyni, klonu, różne orzeszki, kawałki mięsa lub słoniny, oraz inne tym podobne przysmaki i następnie sznureczki te zawiesić na gałęziach drzew.

Kto chce mieć przyjemność łatwego oglądania, jak ptaszki będą jadły, może sobie z nieco większą pracą urządzić żerowisko tuż przy oknie. W tym celu należy wybrać niedużą gałąź sosnową lub świerkową, taką mniej więcej, jak się używa na małe choinki, i przymocować ją z zewnętrznej strony okna, przywiązując do umyślnie wbitych haków. Następnie zawiesza się na niej na sznureczkach odpowiedni pokarm i czeka się na odwiedziny skrzydlatych gości. Z początku przylecą jedynie śmielsze ptaki, ale potym zjawią się i bojaźliwsze, gdy się przekonają, że drzewko przy oknie nie jest żadną pułapką. Ptaki udzielają sobie wzajemnie spostrzeżeń: przestrzegają się przed niebezpieczeństwem lub ściągają towarzyszów do miejsc, gdzie się można spokojnie pożywić.

W niektórych prowincjach Skandynawji panuje bardzo piękny starodawny zwyczaj karmienia ptactwa w czasie świąt Bożego Narodzenia. Wystawia się wówczas na płotach, dachach i drzewach wiązki owsa, z których ptaki mogą sobie wybierać ziarna. W mieście czy na wsi, każdy mieszkaniec, zarówno ubogi, jak i bogaty,

uważa sobie za obowiązek kupienie i wystawienie chociażby maleńkiej wiązki.

„Jakże biednym byłby ten—powiadają skandynawczycy—ktoby nie mógł poświęcić choć grosza, aby zapewnić ptactwu ucztę świąteczną.“

Piękny to, zaiste, zwyczaj, ale jeszcze piękniej będzie urządzać karmienie ptaków przez całą zimę. Zacząwszy coś, trzeba to potym zawsze porządnie doprowadzić do końca. A więc, skoro urządziliśmy już żerowisko, pamiętajmy o nim całą zimę, zaglądajmy codziennie do niego, obmiatajmy śnieg i zasypujmy nowy pokarm, bo ptactwo, przyzwyczaiwszy się do nowej opieki, tym silniej później odczuwa jej brak.

Przy końcu zimy, skoro śniegi zaczynają tajać, można zaprzestać opatrywania żerowisk, ponieważ na ziemi odsłoniętej ptaki same już sobie potrafią wyszukać żywności. Ale gdy tylko wróci mróz i śnieg, jak się to nieraz zdarza w marcu, powinniśmy znów zająć się zasypywaniem pokarmu.

Jakże miło będzie nam następnie myśleć, żeśmy ocalili życie dziesiątkom drobnych stworzeń, których wesoły świergot rozlega się koło nas na wiosnę! A nie mniej przyjemnym będzie stosunek, jaki się wytwarza między ptakami, a ich opiekunami. Ptaki nabierają zaufania do ludzi, czując dobrze, że ci nie mają żadnych złych zamiarów względem nich; podchodzą blisko do mieszkań i żerują spokojnie w naszych oczach, jak gdyby mówiły: „Ufamy wam, bośmy się przekonali żeście dobrzy i litościwi.“

Nabrawszy zaś zaufania, tym liczniej będą odwiedzać nasz ogród i tym staranniej oczyszczać go z owadów przez wiosnę i lato. Wywdzięczą się więc sowicie za trudy i opiekę w zimie, rozweselając nas miłym swym świergotem, oraz broniąc naszych pól i ogrodów od szkodników.

B. Dyakowski.

---

87. W jaki sposób czas niszczy głazy, kruszy skały?

Jeżeli jaki gmach, zbudowany z kamienia albo cegły, ma kilka wieków istnienia, to zwykle zewnętrzne jego ściany nie przedstawiają już tej gładkości, jaką im

nadała ręka murarza. W kamieniach lub cegłach wyżłobiły się jamki i brózdy, a rzeźby nad oknami i drzwiami są do tego stopnia zniszczone, że częstokroć trudno rozpoznać, co one miały przedstawiać. Te cechy zniszczenia są tak dalece pospolite na starych murach, że oglądając jakiś budynek starożytny, zawsze ich szukamy, a nie znajdując, zaczynamy powątpiewać o jego starości.

Podobnież, oglądając pomniki grobowe na cmentarzu przy jakimś odwiecznym kościele, spostrzegamy, że są one tymbardziej zniszczone, im są dawniejsze. Napisy na tablicach marmurowych, wystawionych na otwarte powietrze, po upływie dwóch albo trzech pokoleń ludzkich, bywają zwykle tak bardzo zrujnowane, że nie można już ich odczytać i dowiedzieć się, czyje miały one głosić nazwiska, czy cnoty.

Rozkruszanie się z biegiem czasu twardych kamieni jest rzeczą powszechnie wiadomą, ale jaka jest tego przyczyna i jakie ten fakt sprowadza skutki w przyrodzie?

Gdy idzie o gmachy i inne budowy, wzniesione przez ludzi, to łatwo jest odszukać powody ich zniszczenia i obliczyć szybkość, z jaką się to zniszczenie odbywa, bo wiemy, że w chwili zbudowania, kamienie i cegły miały powierzchnie równo wygładzone. Ale zniszczenie tego rodzaju nie ogranicza się do dzieł ludzkich. One okazują nam tylko na małą skalę to, co na wielką odbywa się na całej powierzchni ziemi.

Powinniśmy skorzystać z każdej sposobności sprawdzenia własną obserwacją tej prawdy, że powierzchnia ziemi rozkrusza się i rozsypuje. W tym celu oglądajmy starannie stare gmachy i starodawne, rzeźbione pomniki, stojące na otwartym powietrzu. Przypatrujmy się sterczącym skałom, wąwozom, rozpadlinom i korytom strumieni, jeśli spotkamy je w naszym sąsiedztwie. Przy podnóżu każdej odosobnionej skały znajdziemy na ziemi dużo wielkich głazów i całe rumowisko mniejszych odłamków, które się oderwały od niej i spadły. W krajach, mających surową zimę, mrozy sprawiają wielkie spustoszenia w skałach i często można tam widzieć świeże ślady w tych miejscach, gdzie nowe kawały odłamały się od nich, powiększając liczbę głazów, dawniej oderwanych. Nawet najtwardsze kamienie, pomimo swojej pozornej trwałości, kruszą się i rozsypują, gdziekolwiek są wystawione na otwarte powietrze.

Zobaczmy, w jaki sposób odbywają się takie przemiany.

Najpierw musimy powrócić do działania kwasów organicznych. Oto woda deszczowa, zawierająca w sobie kwas węglany i inne kwasy, zaczerpnięte z powietrza i z roli, może nadgryzać pewne części skał, po których przepływa, lub na których stoi. Rozpuszcza ona zwolna i stopniowo część skały i unosi ją z sobą. Jeżeli taką skałą jest wapień, to może się on całkowicie w takiej wodzie rozpuszczać. Przy innych skałach woda deszczowa rozpuszcza tę ich część, która stanowiła rodzaj cementu, to jest spajała ze sobą i łączyła w jedną całość cząstki ich masy. Kiedy ta część się rozpuści, to skała utraca spójność i rozsypuje się na piasek lub na proszek innej natury, który następnie deszcz łatwo spłókuje i unosi. Tak więc działanie kwasów, pochłoniętych przez wodę deszczową, stanowi jednę z przyczyn rozkruszania się skał.

Drugą przyczyną ich zniszczenia jest tlen, stanowiący część składową powietrza, znajdującego się w wodzie deszczowej. Wiemy, że kawałek żelaza w wilgotnym miejscu po niejakim czasie rdzewieje. Szyny kolejowe pokrywają się z biegiem czasu brudno-żółtą albo brunatną, proszkowaną powłoką, która, jak mówią, przejada je aż do wnętrza, dopóki ich zupełnie nie zniszczy. Ten żółty proszek, czyli rdza jest ciałem złożonym z żelaza i tlenu. Tworzy się ona na powierzchni szyn, tam, gdzie żelazo styka się z powietrzem; potym deszcz spłókuje i unosi utworzoną powłokę i odsłania czyste żelazo, które znowu w zetknięciu z powietrzem łączy się z tlenem czyli rdzewieje; tym sposobem działanie to posuwa się coraz dalej, dopóki wszystko żelazo nie zmieni się na rdzę.

Otóż to samo, co się dzieje w powietrzu z szyną żelazną, z gwoździem, albo z wyrzuconym gdzieś na dwór starym nożem, dzieje się także, lubo nie tak prędko, z wieloma rodzajami skał. I one także utleniają się na swojej powierzchni, to jest łączą się z tlenem powietrza i skutkiem tego okrywają się proszkowaną powłoką, która pod wpływem wiatrów, deszczów i mrozu odłącza się od masy skalnej i zostaje uniesioną dalej, przez co obnaża się nowa warstwa skalna, aby z kolei utlenić się i rozpaść na proszek.

Trzecim czynnikiem, sprawiającym kruszenie się skał, leżących w wielu miejscach na powierzchni ziemi,

jest zimno. Mieszkańcy umiarkowanego i zimnego klimatu, gdzie temperatura spada pod punkt marznięcia wody, znają dobrze skutki zimna. Przy silnym mrozie, beczki napełnione wodą, bywają przez nią rozsadzane, a dzbany pełne wody pękają od wierzchu do dna. Powodem tego zjawiska jest to, że woda zamarzając, rozszerza się, to jest powiększa swoją objętość. Lód zajmuje więcej miejsca niż woda, z której się utworzył; kiedy więc woda marznie w naczyniu zamkniętym, musi wywierać mocne ciśnienie na jego ściany. Jeśli więc ściany nie są dość mocne, aby mogły wytrzymać to ciśnienie, ustępują pod nim i roztwierają się, czyli pękają.

Grunt jest zwykle tak dziurkowany, że woda deszczowa łatwo w niego wsiąka; ale i skały są także mniej albo więcej przepuszczalne dla deszczu. Nawet najgęstsze i najtwardsze z nich zawsze przyjmują w siebie trochę wody. Dlatego w ziemi znajduje się zawsze pewna ilość wody i to nie tylko w roli, w pulchnym gruncie, ale i w skałach. Za nadejściem zimy ta woda zamarza. Otóż przy marznięciu każda cząsteczka wody wywiera takie samo działanie na skałę, w której jest zamknięta, jak woda marznąca w beczce albo w dzbanie na ściany tych naczyń. Mniejsza o to, czy ta woda zgromadzona jest w jakim wydrążeniu, lub rozpadlinie, czy tylko rozproszona pomiędzy cząsteczkami skały, albo roli. Zamarzając, musi się ona zawsze rozszerzać, i skutkiem tego rozpychać i rozsadzać otaczające ją ściany.

Powstają stąd w gruncie podczas mrozów bardzo ciekawe zjawiska. Po mroźnej nocy często można widzieć, że drobne kamyki, tkwiące na drogach i ścieżkach, bywają nieco wysunięte do góry ze swoich jamek.

Kiedy ziemia rozmarza, powierzchnia jej bywa pokryta warstewką delikatnego mułu. Podczas mrozu, woda marznąca w ziemi, rozpycha i rozłącza ziarna piasku i gliny; skoro więc potym utworzone cząstki lodu roztopią się, ziarna te nie przylegają już tak szczelnie do siebie i grunt wygląda tak, jakby wierzchnia jego warstewka była sproszkowana w moździeżu. Z tego powodu marznięcie wody wyrządza wielką przysługę rolnikom, bo proszkuje i spulchnia rolę, roztwiera ją dla korzeni roślinnych i wychodzących z nich włókienek.

Tak samo dzieje się i w skałach przemoczonych działaniem deszczu; gdy przyjdzie mróz, ziarna ich ulegają rozpychaniu przez ciśnienie wody, marznącej w ma-

leńkich szparkach i szczelinach. Ponieważ jednak cząstki skały nie są tak rozłączone i tak słabo ze sobą spojone, jak cząstki roli, przeto lepiej wytrzymują działanie mrozu. Dla tego najbardziej ulegają wpływowi zimna skały dziurkowane, zawierające w sobie najwięcej wody; niektóre z nich, jak naprzykład pewne rodzaje piaskowców, rozpadają się bardzo szybko pod wpływem marznącej w nich wody. Na powierzchni takich skał tworzą się kolejno jedna po drugiej sproszkowane powłoki, to jest ziarna ich rozłączają się i deszcz je z łatwością spłókuje i unosi.

Ale woda zamarza nietylko pomiędzy cząsteczkami skały, ale także w tych szczelinach i rozpadlinach, o których mówiliśmy wyżej. Jak bardzo takie szczeliny dopomagają działaniu mrozu, można to widzieć na urwiskach skalnych, albo w łomach kamieni. Szczeliny takie ukazują się tam jako linje prawie pionowe, wskazujące kierunek rozłamu skały i dzielą je na prosto stojące słupy albo filary. Pomagają one robotnikom do rozłamywania skał na wielkie bryły, które są następnie wydobywane na powierzchnię ziemi; a natura korzysta z tych szczelin do swoich celów, mianowicie do rozbijania i rozkruszania mas skalnych. Szczeliny te służą do przebiegu wody, spływającej z powierzchni ziemi; podczas mrozów, woda w nich zamarza i rozpycha oba ich boki. Po upływie wielu zim, szczelina, z początku wązka, skutkiem tego rozpychania, rozszerza się nieco; wtedy więcej już wody w nią wchodzi i marznąc, wywiera ona większe ciśnienie na boki, dopóki nareszcie masa skalna, przecięta taką szczeliną, nie zostanie całkowicie rozłupaną. Jeśli szczelina biegła wzdłuż jednej ze ścian zewnętrznych skalnego urwiska, wtedy po rozłupaniu, jedna z rozdzielonych części może spaść na dół, na dno przepaści.

W krajach wystawionych na silne mrozy zimowe, spustoszenie, sprawione w stromych urwiskach skalnych przez wodę marznącą w ich szczelinach, dosięga często ogromnych rozmiarów.

Oprócz kwasu węglanego, tlenu i zamarzania wody, inne jeszcze wpływy pracują nad rozkruszeniem powierzchni lądu. Tak naprzykład, kiedy przez ciąg gorącego dnia, skały się mocno rozgrzeją od słońca, a potym w nocy szybko się oziębią przez promieniowanie, to jest wysyłanie z siebie ciepła na wszystkie strony, to skutkiem rozszerzenia się a potym skurczenia ich ma-

sy, przy wielkiej zmianie temperatury, spójność między ich cząstkami rozluźnia się i skała się rozkrusza, albo nawet odpadają od jej powierzchni skorupy kamienne, kolejno jedna po drugiej. W krajach gorących i zarazem bardzo suchych, gdzie promieniowanie jest bardzo silne, ta przyczyna zniszczenia działa potężniej. Dalej, wiatr, zmiatając ze skał rozkruszone ich cząstki, obnaża coraz świeższą powierzchnię, uderza w nią twardemi cząstkami piasku i tym sposobem rysuje i kruszy wierzchnie warstwy skał, nawet bardzo twardych. Piaski, zalegające w wielu miejscach wielkie pustynie stałego lądu, powstały prawdopodobnie ze stopniowego rozkruszania się i rozsypywania skał w suchym klimacie, skutkiem krańcowych zmian temperatury w ciągu doby, a następnie roznoszenia i nagromadzania tych rozkruszonych cząsteczek przez wiatry.

Tak więc przekonaliśmy się, że, skutkiem działania rozmaitych przyczyn, skały ulegają ciągle rozpadaniu się, rozkruszaniu i przenoszeniu. Zarówno najtwardszy jak i największy kamień ustępuje w końcu pod działaniem tych czynników i rozsypuje się w proch.

Nie wszystkie jednak kamienie rozkruszają się z jednakową szybkością. Badając pilniej mury starożytnej budowli, możemy na niej zobaczyć prawie wszystkie stopnie rozpadu. Niektóre kamienie są zaledwie nadgryzione zębem czasu, kiedy inne są zupełnie prawie zniszczone. Jeżeli tak jest w budowli, to możemy być pewni, że to samo dzieje się w przyrodzie, że i w niej jedne urwiska i strome wierzchołki skał, albo pewne ich części rozpadają się prędzej niż inne i nie w jednakowy sposób ulegają zniszczeniu.

Na pierwszy rzut oka to powszechne spustoszenie powierzchni lądu może wydawać się nam dziwnym; może nam nawet nasunąć się pytanie, czemu się tak dzieje na świecie, który napozór wydaje się tak dobrze urządzonym i tak pięknym. Możemy nawet pomyślić, że jest to trudne do wytłumaczenia nieszczęście. Tak wszakże nie jest. I owszem, kruszenie i rozsypywanie się powierzchni lądu nie tylko nie jest szkodliwym, ale jest w gruncie rzeczy koniecznym, aby ziemia mogła stać się mieszkaniem roślin i zwierząt. Zjawiskom tym zawdzięczamy wyżłabianie wąwozów i dolin, malownicze zarysy urwisk i gór. Cała nasza rola składa się z rozkruszonych na proch kamieni, a od powstawania i odna-

wiania się tej roli zależy nasze pożywienie codzienne, a zatym utrzymanie naszego życia.

Wł. Skłodowski.

---

88. Wielkie wynalazki XIX wieku.

Gaz i oświetlenie.

Przechadzając się po ulicach wielkiego miasta, oświetlonych tysiącami jarzących latarń, zamieniających noc w dzień biały, uważamy to za rzecz powszednią; a jednak gazowy płomień, lampa elektryczna, światło żarowo-gazowe, są to dopiero zdobycze XIX-go stulecia, które zapisało się w dziejach ludzkości wieloma wynalazkami i odkryciami naukowemi niezmiernej doniosłości.

Zastanawianie się nad płodami gienjuszu ludzkiego wzbogaca umysł—wpaja w nas przedświadczenie, że człowiek dąży do poznania prawdy i piękna, że kroczy na drodze postępu, a więc dodaje nam ufności we własne siły.

Przez długie, długie wieki ludzkość zadawalniała się światłem łuczywa, kaganka i kopcącej lampy, która składała się z naczynia napełnionego oliwą; w oliwie zanurzał się przechodzący przez dziobek naczynia knot, który zapalony, wydawał swędzący, czerwony płomień.

Kto miał pieniądze, ten zastępował lampę olejną—świecą. Łojówkę, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wynaleźli Giermanie, Skandynawowie lub inny lud północny. Cena tych świec, robionych ze zwyczajnego, żółtego łoju dochodziła w wiekach średnich do 3 złp. za funt.

Świeca woskowa w VIII wieku przywędrowała do Europy ze Wschodu, a mianowicie z Arabji, lecz z powodu wysokiej ceny, mogli jej używać tylko najbogatsi. Jeszcze w XVII i XVIII wieku funt świec jarzących woskowych kosztował 10 złp.

Do zasilania lamp używano olejów roślinnych, jako to: makowego, orzechowego, lnianego i rzepakowego, albo oliwy; nafta bowiem pojawiła się w handlu dopiero w bieżącym stuleciu, wraz z gazem, elektrycznością i acetylenem. Ludzie nie bardzo odczuwali brak ulepszonych środków oświetlenia; nie zdawali sobie nawet sprawy z dobroczynnego działania światła słonecznego,

dość przypomnieć, że robili okna z kolorowych, grubych i małych szybek, ubożsi zaklejali je nawet papierem pergaminowym. Dawne mieszkania, w porównaniu z dzisiejszemi, były piwnicami, w których panował ciągły półmrok.

Lampa olejna przestała kopcić dopiero na początku XIX wieku, gdy wprowadzono cylinder szklany.

Olej z trudnością dostawał się do płomienia: musiano wynajdywać rozmaite sposoby mechaniczne, ułatwiające mu to zadanie, wskutek tego lampy olejne były skomplikowane i drogie. Obecnej prostoty w budowie dosięgły one z chwilą wprowadzenia do oświetlenia około roku 1860 nafty, która pali się bez żadnych urządzeń pomocniczych.

Ulepszeniu uległy także świece: łojówkę, którą trzeba było ciągle „objaśniać" przez ucinanie szczypczykami knota tlejącego, wyrugowała, dzięki postępom w chemji, świeca stearynowa. Przekonano się bowiem, że tłuszcz barani, pod wysokim ciśnieniem rozpada się na tłuszcz płynny t. zw. oleinę i stały—stearynę, która z kolei daje się rozdzielić na glicerynę i kwas stearynowy, służący właśnie za materjał do wyrobu świec stearynowych. Nowe świece z początku wymagały objaśniania, tak jak łojówki; później nauczono się, że knot doszczętnie się spala, jeżeli go nasycić kwasem bornym.

Świece stearynowe, odlewane w formach, przetrwały do dziś dnia, lecz coraz bardziej, wobec współzawodnictwa nafty i gazu, stają się przedmiotem zbytku.

Świece i olej nie mogą wytrzymać porównania, co do taniości i siły oświetlenia, z naftą, która z kolei ma silnego współzawodnika w gazie.

Właściwym wynalazcą gazu oświetlającego jest Francuz Lebon, który żył w drugiej połowie XVIII w. Musiał on walczyć, podobnie, jak prawie wszyscy ludzie gienjalni, z licznemi przeszkodami, które go złamały i nie pozwoliły zaznać rozkoszy zwycięstwa.

Filip Lebon, z zawodu inżynier, pracował najpierw nad ulepszeniem machiny parowej, lecz później zwrócił się do oświetlenia.

Wrzucił on raz do flaszki chemicznej, nagrzewanej nad ogniem, garstkę trocin drzewnych i zauważył, że wydobywa się z niej obfity biały dym, który zapalił się pięknym jasnym płomieniem. Wielu ludzi przed Lebonem patrzyło na płonące drzewo, ale on dopiero zrozumiał, na czym polega to pospolite zjawisko i potrafił

wyciągnąć ze swych spostrzeżeń korzyści wielce praktyczne.

Gaz otrzymany w ten prosty sposób, był pomieszany z dymem czarniawym. Lebon przepuścił go więc przez flaszkę z wodą, która pochłonęła domieszki smołowe i kwaśne, czysty zaś gaz wychodził z rurki.

Tak wyglądał pierwotny przyrząd do otrzymywania gazu oświetlającego.

Lebon z gorączkową energją rzucił się do budowy pieca, w którymby można było prażyć bez dostępu powietrza, czyli dystylować drzewo na sucho. Niebawem udało mu się to w zupełności, i sąsiedzi podziwiali piękne światło, tak łatwo otrzymane.

Na nieszczęście, Lebon, jako inżynier dróg i mostów, nie mógł poświęcać całego swego czasu na ulepszenie dokonanego wynalazku. Wojna, którą Rzeczpospolita francuska musiała prowadzić z sąsiadami, popsuła szyki Lebonowi, walczącemu nietylko z obojętnością ogółu, pochłoniętego wypadkami politycznemi, ale i z brakiem środków materjalnych, niezbędnych na próby.

W 1801 roku wziął on na swój wynalazek patent, w którym, z zadziwiającą bystrością umysłu przewiduje wszystkie prawie zastosowania gazu. W tym celu zaproponował rządowi budowę wielkiego aparatu, celem oświetlania gazem pomników publicznych, lecz otrzymał odmowę. Niezrażony nią, wynajmuje dom, zakłada w nim gazownię, oświetla wszystkie pokoje, kurytarze, sienie, urządza wspaniałą iluminację w ogrodzie, nadając płomykom kształty kwiatów, i ściąga tłumy, które podziwiają nowy wynalazek. Obok tego ogłasza prospekt i przepowiada, że niebawem jego gaz, rozprowadzony rurami, będzie oświetlał całe miasto.

Pomyślny skutek uwieńczył energiczne usiłowania Lebona; komisja oddaje sprawiedliwość wynalazcy, który zakłada niebawem dużą gazownię. Fortuna uśmiechnęła mu się na chwilę, lecz wnet na nowo się odeń odwróciła. Intrygi współzawodników, zazdroszczących mu skromnego powodzenia, zgotowały zgubę gienjalnemu wynalazcy gazu oświetlającego. W sam dzień koronacji Napoleona I, dnia 2 grudnia 1804 roku znaleziono nieszczęśliwego Lebona na polach Elizejskich broczącego we krwi. Nieznani złoczyńcy pozbawili go życia 30-ma pchnięciami puginału, wprowadzając go w poczet męczenników nauki.

Twórca umarł, ale jego dzieło żyje, gaz rozpowszechnił się i oświeca świat ucywilizowany.

Inżynier angielski, Wiljam Murdoch, zachęcony powodzeniem Lebona, zajął się wytworzeniem gazu z węgla kamiennego i zbudował pierwszą fabrykę gazową na wielką skalę. Samuel Clegg uzupełnił prace Murdocha, znalazszy sposób oczyszczania gazu, otrzymanego z węgla, przepuszczając lotne produkty przez wodę i wapno. Gaz pomimo to zawierał jeszcze domieszki, nadające mu przykry zapach.

Śmiały spekulant, nazwiskiem Windsor, utworzył towarzystwo oświetlania nowowynalezionym sposobem, i gaz zjawił się wkrótce na ulicach. Postęp odniósł zwycięstwo!

Z Przyjaciela Dzieci.

---

89. Po wakacjach.

Skończyły się wielce miłe, a może najmilsze dni w życiu, dni wakacji, przepędzonych śród rodziny; skończyło się swobodne bujanie po polach i lasach. Trzeba wracać do pracy w murach szkolnych, albo skrócić chwile swobody i niemało czasu poświęcić książkom, zamkniętym od paru miesięcy w szufladach.

Szczerze i chyba słusznie nazwałem wakacje może najmilszemi dniami w życiu, i każdy to przyzna, nawet ten, komu losy pozwoliły doświadczyć wielu przyjemności.

A jednak podczas wakacji widziałem, że nie wszystka młodzież narówni tego doznawała; nie mówię tu już o tych biedakach, którym zdrowie nie pozwoliło używać przyjemności; ale i w oku niejednego młodzieńca, cieszącego się dobrym zdrowiem, nie błyszczała ta radość, jaką u innych spotykałem. Jakiż był tego powód? Ha! czasami przyczyną był jakiś smutek w rodzinie; ale najczęściej zła cenzura zmącała spokój, psuła tę rozkosz, jakiej inni doznawali. Dwie więc okoliczności stały głównie na przeszkodzie używania wywczasu wakacyjnego: brak zdrowia i zła cenzura. O tych to nieprzyjaciołach młodzieży pragnąłem słów parę powiedzieć.

Zacznę od niepowodzeń w nauce. Prawda, że czasem staje tu na przeszkodzie brak zdolności, do tego stopnia, że mimo usiłowań, młodzieniec nie może podą-

żyć za innemi. Zdarza się to jednak bardzo rzadko, bo takiego rodzice w szkołach nie umieszczają, domową zaś naukę tak się prowadzi, że biedak nie odczuje nawet swego upośledzenia. Zła zatym cenzura najczęściej temu się dostaje, kto na nią zasłużył przez niedbalstwo. I jakże taki jest nieszczęśliwym! cierpi on ciągle, nietylko podczas wakacji, ale i w ciągu dziesięciu miesięcy pracy szkolnej. Wakacje ma prawie zatrute, rodzice z niego niezadowoleni, młodsze rodzeństwo nie może na niego spoglądać z szacunkiem; a gości, sąsiadów, nawet służby wstydzić się musi. W szkole znowu taki uczeń i przez nauczycieli nie może być lubianym, a koledzy lekceważą go, nie szczędząc mu różnych przezwisk nieprzyjemnych. To też nawet wyobrazić sobie nie mogę, jak może uczeń narażać się na tyle przykrości, i wydziwić się nie mogę, że woli to wszystko znosić, niż poświęcić chwilę czasu na dokładne spełnienie obowiązku. Ale są tacy, niestety, w których ambicji trudno się dopatrzyć, i o takich, nie wiem, czy warto mówić? Mówić też nie będę, bo pewno słuchaćby mię nie chcieli.

Zwrócę się atoli do tych, co wstydu nie są pozbawieni, a jednak często znajdują się w tym położeniu, że są zawstydzani. I jakim-że sposobem to się dzieje? Oto—przez ich lekkomyślność. Nie wiedzą o tym, że kto stale, systematycznie pracować nie umie, czy nie chce, ten, choćby potym pragnął i wysilał się, nie zdoła zrobić na czas wszystkiego. To też nieraz widzę, jak uczeń, nawet zdolny i ambitny, na pierwszych lekcjach zaniedbuje się: ani lekcji nie przygotowuje, ćwiczenia nie odrobi, bo myśli, że kiedyindziej, ot,—jutro, pojutrze, w nadchodzące święto wszystko odrobi. Tymczasem przez parę dni robota się powiększa; on siada, pracuje, wysila się; praca go nuży zbytecznie, zraża. Nie zdoła jej wykończyć dokładnie i zły stopień schwyci. Ten zły stopień odrazu i opinję mu psuje i od książki odstręcza. Stan ten przeciąga się, uczeń coraz bardziej upada—i ot—ani się spostrzeże, iż niełatwo mu się da wydobyć z tego smutnego położenia. Tym to sposobem wielu uczniów przepada.

Dlatego też pragnąłbym zwrócić uwagę naszej kochanej młodzieży na wytrwałość i systematyczność w pracy, niechaj nie zaniedbuje się ani na chwilę! Co dziś ma być zrobione, niech będzie zrobione, a ochroni od wielu, wielu przykrości na przyszłość.

Zdarzyło mi się znowu widzieć młodzieńców, któ-

rzy mieli opinję i bardzo pilnych i zdolnych, którzy nad książkami ślęczeli, a przecież cenzurki ich słabe postępy w nauce wykazywały. Byli to tacy, którzy nie robili tego, co należało, we właściwym czasie. Znałem jednego naprzykład, który zasiadł do przygotowania lekcji, ale zobaczył książkę z powiastkami, albo opisującą podróże—zabrał się do czytania i tak w tym się pogrążył, że brakło czasu na lekcje; i zresztą nie smakowało zadanie szkolne po książce, którą czytał z zajęciem. I często taki miłośnik czytania gorzkie łzy potym wylewa, gdy słyszy, jak mu wyrzucają, że jest niepilnym, złym uczniem.

I o tym czytaniu parę słów też wypowiedzieć pragnę. Nic tak chlubnie o młodzieńcu nie świadczy, jak to, gdy lubi czytać książki. Ale takie czytanie powinno być pozostawione koniecznie chwilom wolnym od pracy obowiązkowej. I my starsi przecież czytamy; ale cóżby powiedziano o nauczycielu, gdyby się zaczytał w najpiękniejszej i najpożyteczniejszej książce, a nie przyszedł na lekcję? Albo cóżby powiedziano o lekarzu, gdyby zamiast iść do chorych, książkę czytał? Jak starsi muszą nieraz oderwać się od książki, która im największą rozkosz sprawia, i przedewszystkim swoje obowiązki spełniać, tak młodzież musi iść tą koleją i najpierw zrobić to, czego szkoła od niej wymaga, a potym dopiero, w czasie wolnym, zajmować się czytaniem.

Gdyby młodzież zechciała te kilka uwag wziąć do serca, gdyby umiała ocenić tę systematyczność w pracy, oszczędziłaby sobie wielu rozczarowań i chwil ciężkich.

A brak systematyczności wpływa także bardzo ujemnie i na zdrowie. Praca szkolna wymaga siedzenia kilku godzin w klasie. Mimo kilkominutowych pauz, mimo wentylacji, niepodobna mieć tyle ruchu i tak świeżego powietrza, ile potrzeba dla zdrowia. Dlatego też codziennie i przechadzki na świeżym powietrzu używać należy. Fałszywie ten sądzi, kto myśli, że nie szkodzi zdrowiu, jeśli dziś na przechadzkę nie idzie, bo wczoraj był dłużej, niż zwykle na świeżym powietrzu. Tymczasem jedno nie wynagrodzi za drugie. I tu trzeba największej systematyczności: dlatego nie należy wymawiać się nigdy od zalecanej przechadzki, co tak często się zdarza u młodzieży, zwłaszcza starszej, ale codziennie tak pracę swoją rozłożyć, aby i na opracowanie lekcji i na czytanie czas był oznaczony, a na wypoczynek i użycie ruchu na świeżym powietrzu, aby go żadnego dnia nie brakło.

Kto więc systematycznie pracować umie i kto dba o zdrowie, ten nie naraża się na tysiące przykrości podczas miesięcy szkolnych, a następnie zdrowo i wesoło wakacji używa.

Oby kochana młodzież nasza zechciała posłuchać starego jej przyjaciela i nie sądziła, że on marudzi tylko, ale uwierzyła, że to, co radzi, jest zbawienne i prowadzące ją do szczęścia.

X.

90. O czytaniu.

Nic piękniej nie świadczy o młodzieńcu, jak to, że lubi czytać. Dobre czytanie robi człowieka mędrszym, lepszym i przyjemniejszym. Nadto, kto lubi czytać, a ma dobre pisma i książki, ten nietylko nie doświadczy nudów, ale przeciwnie, dozna wielu przyjemności.

Każda dobra książka najczęściej wzbogaca nasze wiadomości. Prawda, że głównym źródłem, z którego czerpiemy naukę, są lekcje, wykładane nam przez nauczycieli w szkole lub w domu; ale nauczyciele i podręczniki szkolne podają nam treść każdej nauki, szczegóły zaś, obszerne wiadomości z różnych nauk mamy w książkach do czytania po za lekcjami lub też w czasopismach. Przecież w żadnym podręczniku nie może być tyle tak ciekawych rzeczy, czy to z gieografji, czy z historji, czy z zoologji lub botaniki, jak to nieraz znajdujemy w opisach podróży, albo w artykułach czasopism. Naturalnie, to, co nauczyciele wykładają, jest bardzo ważne; częstokroć nie rozumiałoby się nawet dokładnie ani artykułów, ani książek, gdyby się takich wykładów nie słuchało; ale czytanie po za lekcjami daje nam dopełnienie tego, cośmy na lekcjach słyszeli. Często zaznajamiamy się tak prawie z jakimś narodem, którego historję czytamy, jakbyśmy za dawnych czasów z nim żyli, a opisy różnych miejscowości, do tego z rysunkami, tak prawie rzecz nam wyjaśniają, jakgdybyśmy sami te podróże odbywali. Tak więc czytanie rozszerza naszą wiedzę.

Weźmy znowu dobre, pięknie napisane powieści; spotykamy tam najczęściej opowiadania o ludziach szlachetnych, opiekujących się słabemi, broniących nieszczęśliwych. Takie przykłady muszą się podobać czytelnikowi, zachęcają go do naśladowania, sprawiają więc to,

że czytający staje się szlachetnym. Jeżeli spotyka się w powieściach ludzi złych, dokuczających innym, budzi się w nas do nich odraza i wstydzimy się, jeśli sobie przypomnimy, żeśmy kiedykolwiek tak brzydko, jak oni postąpili. Piękne wiersze, najczęściej, równie jak powieści, treścią swoją nas uszlachetniają; a przez to, że są pisane językiem ozdobnym, kształcą naszą mowę i budzą przywiązanie do rzeczy pięknych. A człowiek lubujący się w tym, co piękne, staje się ludziom milszym, bo i rozmowa z nim przyjemna i zachować się umie wdzięcznie.

Kilka słów zaledwie powiedziałem o korzyści z czytania; możnaby daleko więcej o tym powiedzieć. Ale gdyby się tylko to osiągnęło, to już byłoby wiele i usprawiedliwiłoby, dlaczego powiedziałem, że chlubnie świadczy o młodzieńcu, jeśli lubi czytać, bo taki kształci swój rozum, staje się szlachetniejszym i dla ludzi milszym.

Ale chcąc takie korzyści osiągnąć, trzeba czytać książki dobre. A czy są złe, zapytacie? Książki częściej bywają niestosowne, niż złe, bo nieudolnie pisane. W takich książkach i język bywa zaniedbany, często niezrozumiały, i treść ich fałszywa. Niestosownemi zaś nazywam te, które dla młodzieży są zatrudne: one mogą być i bardzo ładne, ale dla starszych, więcej umiejących. Gdy więc przyjdzie pora właściwa, będzie się je czytało z pożytkiem, ale trzeba to odłożyć na później, gdy się więcej ludzi pozna i wyższej wiedzy nabędzie. Zrobić dobry, stosowny wybór jest niełatwo: dlatego młodzież powinna go powierzyć osobom starszym, doświadczonym i wykształconym. W przeciwnym razie, zamiast korzyści, krzywdę sobie tylko wyrządzi.

Drugim warunkiem pożyteczności z czytania jest czytanie rozważne. A często spotyka się młodych czytelników, co czytają tylko dlatego, aby ciekawość swoją zaspokoić jakąś interesującą historyjką, a nie zdają sobie sprawy, czy to, co się dzieje, jest rozumne, szlachetne lub przeciwnie. Piękne myśli, wypowiadane przez autora, często pomijają, nudzą się niemi. Przeczytawszy choćby najpiękniejszą książkę, rzucają ją, nigdy do niej już nie wracają, a chwytają inną, ażeby się znowu na chwilę nią zabawić.

Takie nierozważne czytanie pożytku nie przyniesie. Znałem i takich młodzieńców, którzy inaczej sobie poczynali: czytając książkę, zaznaczali sobie, a potym do dzienniczka wpisywali piękniejsze myśli i urywki. Po

przeczytaniu książki rozprawiali o niej między sobą, a gdy to było dla nich możliwe, opowiadali swoje spostrzeżenia nad nią komuś starszemu, który nieraz ich mylne sądy prostował. Jeśli książka była ładna, zaglądali do niej nieraz i piękniejsze miejsca odczytywali. To też postęp w ich rozumie, charakterze był niezwykły. I do takiego to czytania właśnie pragnąłbym naszą kochaną młodzież zachęcić. Streszczam to, com powiedział: wtedy tylko wielkie korzyści przynosi czytanie, jeśli staranny robimy wybór książek i czytamy rozważnie.

X.

---

91. Praca.

„Szczęśliwy, nie potrzebuje pracować!“ Słowa te słyszymy nieraz wymawiane zazdrosnemi usty! Czyż są w samej rzeczy ludzie, którychby podobne szczęście mogło być udziałem? I czyż to szczęście byłoby istotnie godnym zazdrosci?

Każda najdrobniejsza istota, zwierzątko czy roślina, każdy owad, niewidzialny nawet dla nieuzbrojonego w mikroskop oka, ma jakieś zadanie do spełnienia w przyrodzie. A człowiek, ów król stworzenia, obdarzony potęgą myśli, mogący się posługiwać nietylko zmysłami, ale wykształconą dłonią i narzędziami, on jeden nie miałżeby żadnego zadania do spełnienia?

To być nie może! Lecz niemasz zadania bez pracy, niemasz pracy bez trudu.

Poznajmy więc istotę pracy, jej rodzaje i wartość.

Pracą zowiemy *każdy trud pożyteczny*. Można się bardzo utrudzić, a nie pracować wcale. Dziewczę po balu dzień cały utrudzenie czuje, a przecież pracą dokonaną pochwalić się nie może. Tak samo utrudzi nieraz przechadzka, towarzystwo i troska nawet.

Pracy wiele jest rodzajów: bywa ona zarobkową lub bezinteresowną, ręczną lub umysłową, pracą dla siebie, rodziny, społeczeństwa, ludzkości.

Każdy człowiek dla zaspokojenia swych potrzeb zużyć musi corocznie pewną sumę pieniędzy. Jeżeli mu rodzice zostawili majątek, poświęca w tym celu odsetki, jakie mu ten majątek przynosi; w przeciwnym razie sam musi zdobyć corocznie niezbędną sumę,—a zdobędzie ją tylko... pracą.

Jaka zachodzi różnica w położeniu tych ludzi? Oto jeden odziedziczy mienie po przodkach swoich. Ale jakże oni mienie to posiedli? Sięgnijmy pamięcią w przeszłość, a bez wątpienia dowiemy się o jednym z jego przodków, który mienie to otrzymał za trudy, poniesione w obronie kraju, albo zdobył je trudem innego rodzaju, jako: rolnik, kupiec, urzędnik, profesor, lub tym podobnie. Praca jego przynosiła mu corocznie dochód taki, że po zaspokojeniu wszelkich swych potrzeb mógł zaoszczędzić pewną kwotą, pewien kapitał. Co rok się to powtarzało, a po pewnym przeciągu czasu kapitał ten urósł do znacznej sumy, którą ten przodek dzieciom swym przekazał. A więc mienie jest niczym innym, tylko pracą nagrodzoną.

Drugiemu wprawdzie przodkowie nie pozostawili majątku, ale człowiek ów przyszedł na świat nie bez pewnego zasobu czyli kapitału: zdrowia, sił, zdolności umysłowych i t. d.

Tak, wszystko to jest kapitałem. Właściciel domu wynajmuje mieszkania i obraca na swe utrzymanie ten dochód. Właściciel wielkich do malarstwa zdolności tworzy obrazy i sprzedaje je; dla niego kapitałem jest dar malarstwa, wykształcony długą pracą, a odsetkiem — wartość obrazów.

Jak handel jest wymianą kapitałów pod postacią towarów, tak praca jest wymianą usług. Nauczyciel np. uczy dzieci piekarza, rzeźnika, krawca, szewca i t. d.; ci płacą mu za naukę zwykle pieniędzmi, ale mogliby też płacić mięsem, bułkami, obuwiem, sukniami. W ten sposób następuje wzajemna wymiana usług, a nauczyciel zaspokaja potrzeby życia.

Pracę, której celem jest zaspokojenie potrzeb, nazywamy pracą zarobkową. Człowiek, który od rodziców otrzymał majątek, pozornie nie pracuje, ale to tylko pozornie. Jeżeli bowiem nie będzie rozumnie i pilnie zarządzał wsią lub kamienicą, wkrótce straci część albo i całe mienie.

Praca ręczną jest lub umysłową, stosownie do tego, czy do jej wykonania potrzeba więcej zdolności lub wiedzy. Praca ręczna mniej jest korzystną, niż praca umysłowa, bo jej każdy niemal z powodzeniem oddać się może i mniej wymaga nakładu, przysposobień i wysileń przygotowawczych. Przeciwnie, pracy umysłowej mogą się oddawać tylko szczególniej uposażeni i to po długich latach mozolnej nauki i trudu. Im więcej wyjątko-

wych zdolności wymaga jakaś praca, tym jest korzystniejszą. Za łokieć sheblowanej deski mało co dają, bo heblować każdy silny człowiek potrafi; nierównie więcej dadzą za łokieć misternej koronki, bo niezwykłej wprawy i biegłości i czasu niemało wymagało jej wykonanie. Za kartkę powieści lub poezji, za arkuszowej wielkości obraz, płacą nieraz sumy znaczne, ale bo nie każdy może być Mickiewiczem, Matejką, Sienkiewiczem lub Siemiradzkim.

Pierwszym i najpowszechniejszym bodźcem do pracy jest konieczność zaspokojenia swych potrzeb. Dla siebie przeto przedewszystkim pracuje się zarobkowo. Ale człowiek osamotniony jest niejako niezupełnym człowiekiem. Człowiek zupełny—to rodzina, to człowiek wśród tych, którym winien życie, z któremi je dzieli, i tych, którym je dał. Mało też jest ludzi tak nieszczęśliwych, by pracowali dla zaspokojenia tylko potrzeb własnych, większość pracuje dla siebie i dla rodziny.

A spełniając tego rodzaju zadanie, każdy człowiek niesie tym samym w ofierze swój trud społeczeństwu i krajowi.

Co mają robić ci, którzy zarobkowo pracować nie potrzebują, a straż posiadanego mienia część tylko sił ich i czasu wymaga? Ci bogaci—to owi szafarze, o których mówi ewangielja: „że łatwiej wielbłądowi przejść przez uszko igły, aniżeli bogaczowi wnijść do Królestwa niebieskiego.“ Im odjęta troska o byt własny, aby pamiętali o tych, którzy o sobie pamiętać nie mogą i nie umieją: o sierotach i starcach, kalekach i nieszczęśliwych, o potrzebach kraju i narodu, o dźwiganiu rolnictwa i przemysłu, nauk i sztuk, o szerzeniu oświaty i moralności.

Anastazja Dzieduszycka.

---

92. O miłości ojczyzny.

Człowiek należy przedewszystkim do Boga, który go dla chwały swojej stworzył, chce, by on Go znał, kochał i wiernie mu służył, i to jest dla każdego pierwszym obowiązkiem. Ale ten bezpośredni obowiązek służenia Bogu składa się właśnie z mnóstwa obowiązków pośrednich. I tak, człowiek należy do rodziny, której

powinien odpłacać się za to, co od niej i przez nią otrzymał; należy do społeczeństwa, którego jest członkiem i dla którego być powinien, i to z woli Bożej członkiem pożytecznym; należy do ziemi, która go zrodziła i względem niej ma obowiązki obywatelskie; należy wreszcie do ojczyzny, której stanowi cząstkę żywotną, której chwała i pomyślność od niego w części zależą, ojczyzny, którą powinien znać i kochać, aby móc jej wiernie służyć, królestwo Boże w niej szerząc.

Ojczyznę zatym trzeba znać; znać jej dzieje, jej język, jej właściwe cechy, jej warunki bytu ekonomiczne, społeczne i polityczne, gdyż z obeznania się z jej sprawami ubiegłemi i bieżącemi, z jej zasobami materjalnemi i moralnemi wynika możność służenia jej rozumnie i skutecznie.

Pierwszym tedy obowiązkiem jest zrozumieć i ocenić dary boże, udzielone naszej ojczyźnie, i zdać sobie sprawę, których z nich użyliśmy na korzyść, a których na szkodę, któreśmy zmarnowali, a które, mogąc stanowić dla nas siłę żywotną, do dziś dnia leżą odłogiem.

Wszechstronnym zbadaniem kraju i spraw jego nauczymy się kraj nasz kochać, a ta miłość stanie się bodźcem do służenia mu wiernie wszelkiemi siłami.

Miłość ojczyzny, w istotnym znaczeniu, nie polega bynajmniej na jakimś przyrodzonym upodobaniu do narodowych przywyknień, potraw, obyczajów złych, czy dobrych, jedynie dlatego, że się do nich przywykło. Takie usposobienie, chociażby było bardzo wybitne, nie stanowi wcale zadośćuczynienia obowiązkowi miłości ojczyzny. Ani też przeciwnie, brak upodobania do tego, co ojczyste, nie zwalnia bynajmniej od obowiązków, przez miłość ojczyzny nałożonych.

Śródziemne morze i alpejskie szczyty mogą się lepiej podobać od pińskiego błota, a kopuła kościoła św. Piotra kształtniejszą się wydać od dzwonnicy własnego parafjalnego kościoła, ale to w niczym nie zmienia obowiązku miłości. Ułomności rodziców nie zmniejszają obowiązków synowskich, tak jak ułomności dziecka nie zmniejszają obowiązków rodzicielskich. Każdy jest zarazem synem i rodzicem ojczyzny i ma względem niej podwójne stąd wynikające obowiązki.

Wykonanie obowiązków polega na czynach, a nie na uczuciach. Wrodzone uczucia ułatwiają lub utrudniają wykonanie obowiązków, ale nie mogą ani ich zmienić,

ani od nich uwolnić, ani same przez się być poczytane za spełnienie onych.

Miłość ojczyzny nie polega na jakimś majaczeniu o sprawach narodowych i na poetyzowaniu ich, nie polega na manifestacjach, patrjotycznych biesiadach, toastach, szumnych mowach i tkliwych wrażeniach.

Miłość ojczyzny nie ma nic wspólnego z narodową pychą i próżnością, jak to niektórzy mniemają, robiąc sobie jakby punkt honoru narodowego z odrzucania wszystkiego, co obce, choćby było pożądanym, dlatego, że obce, a broniąc do upadłego tego, co swoje, choćby było szkodliwym, dlatego, że swoje. Próżność narodowa, tak jak wszelka próżność i jak wszystko, co z zatrutego źródła pychy płynie, jest wadą zabójczą—zabójczą dla wszelkiego postępu i ulepszenia. „Podłość czy pycha“—mówi Krasicki—„to jednakie śmiecie.“ Miłość ojczyzny nie tylko że nie wyklucza, ale raczej obudza zgrozę i boleść wobec tego, co w kraju zdrożnym być może.

Miłość ojczyzny nie polega na nienawiści tych, którym się przypisują klęski narodowe. Nienawiść może czasami niszczyć to, czego nienawidzi, ale niczego nie może stworzyć, niczego nie może zbudować, żadnej korzyści nie przyniesie.

Miłość ojczyzny jest cnotą—a dla tego, że jest cnotą, to jest siłą, a że jest miłością, więc jak wszelka miłość, jest twórczą.

Miłość ma dwie główne cechy: chce posiadać przedmiot swego kochania i chce mu się poświęcić. Taka jest miłość Boga, taka miłość ojczyzny. Miłość zespala się z przedmiotem swojej miłości; cierpi jego cierpieniem i chce mu ulżyć; odczuwa jego potrzeby i chce je zaspokoić; przeczuwa, co mu grozi, i chce go bronić; widzi, coby mu było korzystnym, i nie spocznie, dopóki mu tego nie pozyska. Poświęcenie jest tak od miłości nierozdzielne, tak z niej wynika, że nie można mówić o miłości ojczyzny, żeby nie mówić o służbie dla ojczyzny i o tym wszystkim, co ona nastręcza, a mianowicie: szanowaniu i utrzymywaniu w kraju tego, co dobre, poprawianiu i odpokutowaniu tego, co złe, zdobywaniu dla kraju i przeprowadzeniu w nim tego, co pożądane.

Piękny i bardzo piękny jest nasz język! Obstawajmy przy nim, starajmy się go doskonale posiadać, szanujmy jego bogactwa, pilnujmy czystości języka jako

skarbu najdroższego, nie puszczajmy w zapomnienie starodawnych nazw i wyrażeń, nie zastępujmy ich słowami obcemi, nie kaleczmy języka niedbalstwem w sposobie pisania i wyrażania się, uczmy się wszelkiemi siłami poprawnie mówić i pisać.

Język jest skarbem najłatwiejszym do ustrzeżenia, oraz najbardziej zagrożonym zagładą. Nikt nam języka nie wydrze, póki sami o niego dbamy; pracujmy więc nad tym, by go od zagłady ustrzec. Z zasady więc, z miłości ojczyzny i z przywiązania do ojczystej mowy nie rozmawiajmy w obcych językach, kiedy możemy mówić własnym—chyba wyjątkowo i chwilowo dla nauki i wprawy. Słowa i wyrażenia rodzime czasami nie odrazu na pamięć przychodzą: trzeba ich szukać i nie spocząć, póki się nie znajdą. Tego właśnie miłość i służba kraju po nas wymagają.

Język ten trzeba znać na wskróś. Trzeba przeniknąć jego tajniki, jego właściwości, jego bogactwa: trzeba nim władać nie tylko swobodnie, ale nawet wykwintnie i umiejętnie.

Mówiąc o tym, co w kraju naszym należy uszanować, jakże wielki nacisk położyć trzeba na uszanowanie i przechowanie w ręku naszym ziemi, tej ziemi, którą włościanie tak słusznie nazywają ojcowizną. Z ojcowizn składa się ojczyzna. Szanujmy każdą cząstkę tej ziemi, po ojcach odziedziczoną; nie puszczajmy jej w obce i wrogie ręce; ratujmy to, co zagrożone!

---

93. Mowa polska.

Opatrzność, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praojców rozlicznemi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie; dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów.

Ale nie był to jeszcze kres darów. Możnaby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: „Oto na domiar wszystkiego dają wam śpiż dźwięczny, a niepożyty, taki, z jakiego ludy, żyjące przed wami, stawiały posągi swym bohaterom: daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczyńcie mowę waszą.

I została ta mowa, niepożyta jak śpiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze śpiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała jak grzmot w górach; czasem unosiła się po nad równinami; czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad polami — błogosławiąca i błogosławiona, czysta jak łza,—Boża jak modlitwa,—słodka jak miłość.

Aż przyszedł wreszcie do tej harfy największy z mistrzów, Mickiewicz, i położywszy na niej natchnione dłonie, wydostał z jej strun takie jeszcze dźwięki, jakich nie domyślano się przed nim. Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemska, że wówczas nawet, gdy przestawał grać:

...wszystkim się zdawało,
że wielki mistrz gra jeszcze, a to echo grało...

Echo serc polskich... I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu—wszystko, co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i jako najpiękniejsze w świecie.

Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił *).

. . . .

Lećcie u zorzy prosić purpury,
Pereł u rosy, szafiru u chmury,
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić—
Tę tęczę wziąć na wrzeciona
I wić, i wić, i wić.

Tak jest! On to uczynił. On zebrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających djamentów i osypał niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami

*) Mowa tu o Juljuszu Słowackim.

w niebywałym blasku, przepychu i majestacie — niby Harfa—Królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida. I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić? A jednak uczynił. Zdołał—bo poezja w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł, bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królewną zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nietylko żywa, ale i nieśmiertelna. *).

H. Sienkiewicz.

---

*) Mowę tę wygłosił Sienkiewicz w r. 1899 przy odsłonięciu pomnika Juljusza Słowackiego w Miłosławiu w Poznańskim.

B. POEZJE.

94. Psalm (VIII).

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce miecie strzały swoje,
Wszędy jest znane święte Imię Twoje.
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twej, wieczny Boże!

Niech źli, jako chcą, Ciebie mierzą sobie,
Z ust niemowlątek rośnie chwała Tobie,
Ku większej hańbie i ku potępieniu
Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota
Gwiazdy jaśniejsze wybranego złota;
Ty coraz nowym światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne.

A człowiek co jest, że Ty niestworzony
Raczysz go pomnić? Czym jest syn człowieczy
Godzien Twej pieczy?

Takeś go uczcił, takeś uwielmożył,
Żeś go z anioły ledwo nie położył:
Postawiłeś go panem nad zacnemi
Czyny swojemi.

Dałeś w moc jego wszystkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swawolne;
On na powietrzu ptactwem, nad wodami
Władnie rybami.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Jan Kochanowski.

---

95. Orate fratres.

Módlmy się, bracia! mówi u ołtarza
Kapłan, Najświętszą spełniając Ofiarę.
Módlmy się! cały lud za nim powtarza,
Co w prawym sercu szczerą chowa wiarę.

Módlmy się! wzywa z wież kościelnych dzwonek,
Czystemi dźwięki dążąc pod niebiosy;
Módlmy się! śpiewa w poranku skowronek,
Lekkie skrzydełka otrząsając z rosy.

I my, choć zdala od świętych podwoi,
Z powszedniej troski, od prostej roboty,
Z ziemskiego życia codziennej tęsknoty,
Módlmy się w duszy! Bóg smutek ukoi!

Za tych, co czarną, drogą ziemię naszą,
Potem oblani, uprawiają w ciszy,
I ciężką pracę rzewną piosnką kraszą,
Módlmy się, módlmy! Bóg głos nasz usłyszy.

Za tych, co jęczą w smutku i ucisku,
A przecież trwają w nadziei i wierze;
Za tych, co giną wpośród mieczów błysku,
Módlmy się! krew ich Pan przyjmie w ofierze.

Za tych, co ducha szlachetne poloty
W urocze słowa zdobią umiejętnie,
By nas przynęcić i podnieść do cnoty,
Módlmy się, módlmy! a słuchajmy chętnie.

Za tych, co w ciężkiej niedoli zamęcie
Na ślizką drogę pokusy wtrąceni,
Stracili święte braterstwa pojęcie,
Módlmy się! kąkol niechaj Bóg wypleni.

Bo silnej woli olbrzymia potęga
Kruszy opoki, kieruje falami,
Ale modlitwa pod niebiosa sięga;
Módlmy się zatym—a Bóg będzie z nami.

Paulina Krakowowa.

---

96. Na Jasnej Górze.

15 Sierpnia 1900 r.

Królowo Niebios, Matko Chrystusowa,
Coś podobała sobie w tej świątyni,
Przez którą świętą nam jest Częstochowa,
Gdzie Bóg przez Ciebie cuda swoje czyni,

Czemużeś, czemu pozwoliła na to,
By w Święto Twoje, kiedy rzesza mnoga
Biegła ku Tobie z serdeczną objatą, *)
Ten Twój przytułek dotknęła pożoga?

Wszakże Ty gasisz czyścowe płomienie,
I straszne one ogniowe katusze,
Jakiemi nieraz zbudzone sumienie
Pali skalaną w ciężkich grzechach duszę;

Wszakże przed Szwedów straszliwą nawałą,
Przed ogniem, którym zionęły ich działa,
Tę swoję twierdzę, a z nią Polskę całą,
Tyś, Pani można, niegdyś ratowała.

Czemuż więc teraz maluczkiej iskierce
Dałaś dokonać tak strasznego dzieła?
Czyliżeś od nas odwróciła serce?
Czyś dla nas uszy i oczy zamknęła?

Czyś nie słyszała tych jęków, tych płaczy,
Co biły w Niebo od Twego ołtarza?

---

*) Objata—ślub, przyrzeczenie; dar, ofiara.

Czyś nie widziała, jak lud Twój w rozpaczy
Rwie włosy z głowy i w prochu się tarza?

Czyliżbyś miała karać nas za grzechy,
Ty, coś jest grzesznych ucieczką jedyną,
Źródłem cudownym, z którego pociechy
I przebaczenia, i łaski nam płyną?

Nie! to nie była kara, lecz jedynie
Próba. Snadź chciałaś, Matko łaski Bożej,
Ujrzyć, czy w Domu Twego złej godzinie
Godny Ci owoc miłość nasza złoży?

Chciałaś mieć dowód, że wielbiący Ciebie
Lud, hołd Ci niesie nie samemi usty,
Nie wtedy tylko, gdy w ciężkiej potrzebie
Po cuda Twoje biegnie na odpusty...

I masz! nietylko te tłumy pielgrzymie,
Co były świadkiem strasznej chwili owej,
Lecz kraj ten cały, gdzie się święci imię
Pani, co Jasnej strzeże Częstochowy,

Zadrżał ze zgrozy, gdy na wszystkie strony
Echem gromowym rozległy się wieści
O klęsce, jaką Dom ten zagrożony,
Gdzie nasz najdroższy, święty skarb się mieści.

I w oka mgnieniu wszyscy w myśli śpieszą
Do gorejącej, jak pochodnia, wieży,
I każdy razem z Twych pątników rzeszą
Modli się, płacze, jęczy, w prochu leży,

W ogień się rzuca, radby krwią i łzami
Własnemi gasić rozszalałe płomię,
Bo serce trwogą zdjęte, tak go mami,
Jakby naprawdę był tam przy Twym domie.

I choć na ciele czuje żar ogniska,
Choć z góry lecą nań płonące belki,
I roztopiony śpiż na głowę pryska,
Broni Przytułku Bożej Rodzicielki...

Bogu bądź chwała! Dom Twój, ta skarbnica
Łask Twych i cudów, co pięć już stuleci
Odblaskiem Niebios ziemi tej przyświeca,
Uratowany przez miłość Twych dzieci.

Lecz murów jego ozdoba wspaniała,
Wieża, co widna z oddali staj wielu,
Zbożnych pątników oczy radowała,
Znacząc im drogę do świętego celu,

Szczyt niebotyczny straciła w pożodze,
I oto, stercząc, jak smutna ruina,
Oczy nam razi, serca rani srodze,
I obowiązek święty przypomina...

O! nie napróżno! Ledwo płomię zgasło,
Lud Twój, zapałem świętym ożywiony,
Jakby Duch Boży dał mu z Nieba hasło,
Śpieszy z ofiarą do Twojej skarbony.

A jak w dniu klęski na Twej Jasnej Górze,
Tak oto teraz po całej krainie,
W jednym, potężnym, dziwnie zgodnym chórze,
Hasło do ofiar na Twą chwałę płynie.

I wyjdziem z próby bez skazy i sromu,
Czynem zaświadczym o swej żywej wierze,
Nikt się z nas nie da prześcignąć nikomu,
Każdy powinność świętą spełni szczerze.

Miljony biednych złożą grosze wdowie,
Dary sowite przyniosą bogaci,
I nikt o ludzie Twym wiernym nie powie,
Że niewdzięcznością za Twe łaski płaci.

I tylko patrzeć, jak z gruzów swych wieża
Wystrzeli wyżej pod niebieskie stropy,
Na znak, gdzie nasza myśl i serce zmierza,
I na drogowskaz dla pielgrzymiej stopy.

Adam Pług.

97. Anioł Pański.

Och! jasno, zielono—a wieczór tak cichy,
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perlą się rosy świecące;

Tam miejskie pacholę pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chruściele na łące.
Tam trzody ku wodzie hasają doliną,
I szemrze mącona rzeczułka,
I wstają mgły białe nad senną wioszczyzną,
I ozwał się dzwonek z kościołka:
Anioł Pański...

O! dzwonek—skowronek lubuje w swym głosie,
To skacze po górach, to ślizga po rosie,
Powodzią się tonów rozlewa;
A oto woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,
Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny
To wszystko się modli i śpiewa,
I dusza w wszechświecie rada się rozwleka
I pełnią żywota pierś rośnie;
Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,
Więc dalej do chóru najgłośniej:
Anioł Pański...

W cmentarnej tej ziemi, jak wojsko na leżach,
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni niejedną wyprawą;
I ciche sny mają—bo czyści i święci
Ofiarną krew swoją chowają w pamięci,
A ziemia pobrzmiewa ich sławą.
Więc gdy się rozejdzie wieczorna ta nuta
W ich grobach, co świat ten mogilą,
To pierś się podniesie zbroicą zakuta,
A usta zamarłe odchylą:
Anioł Pański...

Nie każdy w swym grobie spoczywa snem ciszy
I rzewną tę piosnkę nie każdy usłyszy—
Są tacy co walcząc ze strachem,
W okropnych męczarniach rzucają się w trumnach,
Bo marzą, jak niegdyś stojąc przy kolumnach,
Z ojczystym zapadli się gmachem.
A głosy jęczące zgruchotanych dzieci
Aż dotąd piorunią im w uchu,
I żaden głos inny już ich nie doleci—
Więc za nich o zadzwoń, mój duchu,
Anioł Pański...

Gdy bole rodzinne aż do dna wypieśnię,
A ciało pielgrzymką stargane boleśnie
Do ciszy trumiennej się skłoni,

Jak dzisiaj, tak kiedyś w mej śmierci godzinie
Niech fleci pacholę, niech łąką mgła płynie
Kościołek na pacierz niech dzwoni.
Ostatni błysk oka za słońcem wyprawię,
Ostatnią łzę stoczę ku ziemi,
Konając raz jeszcze kraj pobłogosławię
I usty wyjąkam blademi:
Anioł Pański...
Na krwawym puklerzu niech złożą mnie w trumnie!
Wojenne me pieśni niech brzęczą w niej tłumnie,
Jak pszczoły w swym ulu spróchniałym;
Niech marzę, żem widział konając lud zbrojny,
Zwycięstwem promienny, powagą spokojny,
Znów w gmachu zebrany wspaniałym.
Gdy hasłem pobożnym dzwon ozwie się z wieży,
Z dumania się mego ocucę,
I serce tak żywo jak dzisiaj uderzy,
Jak dzisiaj pokornie zanucę:
Anioł Pański...

Kornel Ujejski.

---

98. Niewiasty u grobu Pańskiego.

Skonał na krzyżu w cierniowej koronie!
Skonał na krzyżu żółcią napojony!
One widziały i stopy, i dłonie
Gwoździmi przebite, i bok przebodzony.
One widziały, jak pochylił głowę,
Wołając: Boże! czemuś mnie opuścił?
Widziały szaty Jego purpurowe
Na los rzucone—i to, że nie spuścił
Bóg swych aniołów. A kiedy nareszcie
Ukrzyżowany oczy już zawierał,
One słyszały, że tylko niewieście
Jęki w powietrzu łkają. Gdy umierał
Tylko się ziemia trzęsła—w Bożym domu
Tylko osłona świętości padała:
Ołtarz się nagim został, ale gromu,
Cudu nie było!... Ta, która leżała
U krzyżowego podnóża, ta drżąca,
Co krople Jego krwi czuła na sobie
I włos stargawszy o zaćmieniu słońca,
Grób pokochała, gdy Go kładli w grobie...

Ta i dwie drugie mdlejące, zbolałe,
Co przez noc całą łkając u ogniska,
Rano ujrzały nędzne mary białe,
Że nic zarzewia w popiele nie błyska;
Te trzy dziś śpieszą się przecież. Tak wcześnie
Wstały po długiej nocy swej boleści...
Czy Pana swego zobaczyły we śnie...
Czy do żałobnej ich duszy niewieściej
Szept jakiś cichy przyszedł przez powietrze?
Przyszedł, przebudził—powstały i biegą.
Coś na nie woła w przedporannym wietrze,
Rozdarte serca coś im rwie do Niego.
Śpieszą, bo muszą tam być, bo nie mogą
Płakać już dłużej w zasłonach na twarzy.
Balsamów puszki wzięły... straszną drogą
Po strasznych śladach idą. Już się żarzy
Czerwona łuna brzasków, w sinej fali
Golgota stoi.
Lecz jedna drżąc, pyta:
— „A kto nam kamień grobowca odwali,
Kto nas do Niego puści? Dzień, co świta,
Jak nam ukaże Tego, który w grobie
Leży skrwawiony i zimny, i blady?
Czy nie rozedrzem szat naszych na sobie,
Ran Jego ciężkich zobaczywszy ślady?
Czyż nie uderzym jękiem o niebiosa,
Patrząc, że w prochu położyli Boga?“
Tak pyta jedna, lecz ta złotowłosa,
Która upadła w płaczu, ta nieboga
Już tego nie wie—nie wie co się stanie
Z nią i jej sercem—czy nie pęknie w łonie?
Ona zobaczy znowu Ciebie, Panie!
Ujrzy smętnego w cierniowej koronie!
I pod przebite przypadnie Ci nogi,
Starganą swoją obetrze je kosą.
Na co jej balsam aloesów drogi?...
Ona łez swoich namaści Cię rosą...
Lecz cicho biedna Maryjo płacząca:
Twój Pan Ci przyrzekł, że się cud uczyni...
Wśród drżących świtów wstającego słońca,
Klęknij na głazie, jak anioł w świątyni...
Klęknij żałosna i do Boga w niebie,
Mów drżącą skargę, że smutno na grobie;

Lecz nie rzuć grobu, aż cicho do ciebie
Twój Pan przystąpi i pokój da tobie.

Marja Ilnicka.

---

99. Opłatek wigilijny.

Łamię się z Wami dziś opłatkiem białym,
Wy wszyscy moi, dalecy, czy blizcy:
Wy, co za błędnej gwiazdy ideałem
Po świecieście się rozproszyli całym.
Wy, co pijecie z rzek lodowych zdroi,
Ducha nie dając pod troski nawałem,
Wy wierni, mocni, wytrwali—wy wszyscy,
Których rzęd jasny przed wzrokiem mi stoi;
Związani ze mną węzłem wiecznie trwałym,
Z wami się łamię dziś opłatkiem białym.

I z wami, którzy w życia ciężkim trudzie
Orzecie ziemi naszej zagon twardy,
Czystego serca i uczynków ludzie,
W których duch mieszka na podłość za hardy,
Wy, co grodzicie się murem pogardy
Od tego, co jest pełzania zakałem;
W żadnego błota niestarzani brudzie,
Którym Bóg za to da dziś sen o cudzie:
Ukaże niebo z jego blaskiem całym,
Z wami się łamię dziś opłatkiem białym,

Z wszystkiemi, których nieskalane dłonie,
Z wszystkiemi, których postacie niezgięte,
Przez to, co kocha w własnym swoim łonie,
I w każdej ludzkiej piersi jest mi święte,
Dla Chrystusowej gwiazdy, co dziś płonie,
Dla Boga, który w ludzkości się rodzi,
Gdy duchy ludzkie idą w niebowzięte,
Dla tego, co nam w nędz i trosk powodzi
Zostaje jasnym, czystym i wspaniałym,—
Łamię się z wami dziś opłatkiem białym.

Marja Ilnicka.

---

100. Błogosławieństwo polom.

Anioł wiosny skroń słodką wychylił nad śniegi,
„I wdzięcznie się rozśmiały nadwiślańskie brzegi;
„Pierwiosnek ubrał łąki—jabłoń kwiat rumiany:
„O śliczny, nad dziewicę, kraju mój kochany!"
Takąć piosnkę jaskółka, witając cię śpiewa,
Tak ci bocian klekoce—tak ci szumią drzewa;
Takąć pochwałę wietrzyk rozgłasza po lesie.
Cóż stęskniony za tobą syn twój ci przyniesie?...
Że nucąc znalazł czasem pociechę w tej nucie;
Że płacząc nie nad sobą, wzrósł w silne uczucie;
Że pragnie snem spokojnym zasnąć na twej grzędzie:
Pozwól, że polom twoim błogosławić będzie.
I w cytrynowych gajach, wśród nieznanych kwiatów
Śniąc o jodłowych puszczach i woni bławatów,
Zanuci polskim niwom pieśń w dalekiej ziemi,
Bo je kocha—bo dumny—bo się szczyci niemi.
Nie kwitnie na nich wawrzyn, ni oliwne drzewa,
Ni pod jesiennym słońcem winograd dojrzewa;
Skądże nad skarb Ofiru—nad cedry Libanu,
Jest z czego zwić koronę dla skromnego łanu?
Bo kiedy anioł śmierci z rozkoszy ogrodu,
Wypędził pierwszych ludzi na ten padoł głodu,
Rodzinne pola moje! was łaskawsze nieba
Uczciły przed wszystkiemi arcydarem—chleba.
Jak fale kołysane od morza do morza,
Łany złotej pszenicy—i żelazne wzgórza;
Ciemne jodłowe lasy—i zielone błonie,
Po których dzwonią trzody i hasają konie;
Roje ciągnące słodkie soki dzięcieliny:
Otóż święta puścizna - skarb naszej dziedziny;
Polsko! pierwiastki pól twych, jak Abla niewinne;
A więc wam błogosławię, pola me rodzinne!
Błogosławiona wiosna, co was stroi w kwiaty;
I lato, które kłosom daje plon bogaty;
Jesień, która purpurą odziewa ogrody
I zima, która wasze otula zarody!
Błogosławię po trzykroć tobie; światło dzienne;
Tobie, księżycu blady—i wam mgły jesienne;
Wam, słodkie dżdże: majowe z ranną rosą społy,
Wam, wszystkie farby życia i woni żywioły.
O! i ty też poczęta z śnieżnych Karpat łona,
Wisło! matko rzek naszych, bądź błogosławiona.

Ożywiaj zwiędłe trawki, a wdzięczni młodzieńce,
Co rok rzucać ci będą świętojańskie wieńce.
Gdybym mógł orlim skrzydłem wzbić się pod obłoki,
Gdybym mógł zbadać przyszłość otoczoną mrokiem,
Najprzód wam, nizkie sioła z słomianemi strzechy,
Głosiłbym jak skowronek rzewną pieśń pociechy.
Błogosławieni bowiem na wieki śpiewacy,
Których głos łzy osusza boleści i pracy;
Chwała słynnych niw naszych powiała na groby,
Więc i wam błogosławię, o piewcy żałoby!
Błogosławię... lecz skądże taka zmiana w nucie?...
Rwie słowa—mąci myśli rozgorzałe czucie;
Dźwięk ostatni, dźwięk tęskny zdobędę na strunach:
Błogosławię tym, którzy śpią na tych zagonach!
A ty drobna ptaszyno! co w górę się wznosisz,
I jakąś smętną piosnkę nad mogiły głosisz,
Zamilknij, zbierz twe siły i pod niebios progiem,
Błogosławieństwo moje dośpiewaj przed Bogiem!

Jan Nepomucen Jaśkowski.

101. O błogosławieństwo krajowi.

Boże! kiedy wiarę świętą
W kraju naszym czcić poczęto,
Dałeś nam prawo do Twej opieki:
My Ci się dali na wieki.

Niech Cię złość nasza nie trzyma;
Zwróć się w tę stronę oczyma,
Gdzie miłosierdzie czyni nadzieję,
A sprawiedliwość zwolnieje.

Błogosław miasta Twoje,
Wioski, i wieśniacze znoje,
I dzieje nasze dla Twojej chwały:
Daj nam zdrowie, pokój stały!

Koło niwy rolnik chodzi,
Ona bez Boga nie rodzi,
Onto sam tylko plenność jej daje:
Pobłogosław urodzaje!

Daj, co widzisz potrzebnego,
Dla dobra narodu Twego;
Niech prosto chodzim w Twoim zakonie:
Błogosław w życiu i zgonie!

Franciszek Karpiński.

---

102. W domu moim.

W domu moim, w dzień świętej Wigilji,
Nakrywano stół białym obrusem —
W kącie snop się rozwijał w kształcie lilji,
Na talerzu opłatek z Chrystusem
Czekał chwili zaczęcia wieczerzy,
Chwili, w której wśród niebios przestrzeni
Błyśnie gwiazda królów i pasterzy,
A kolędy pieśń ozwie się w sieni.—
Bom hołdował prastarym zwyczajom
I znak krzyża kładłem na swym czole;
Trawa niwom ujęta i gajom,
Wonnym sianem leżała na stole;
Z pod nakrycia dobyte źdźbło sienne
Wróżbą było dla gospodyń domu:
Czy rok przyszły urodzi lny plenne?
Czy nie zbraknie łask bożych nikomu?
Ze skupieniem czekano wieczerzy,
Oczy gwiazdy na niebie szukały...
Błysła!... błysła!... i pieśń: „W żłobie leży...“
Napełniała mych ojców dom cały.
I wchodziła czeladzi gromadka
I krwią blizcy u stołu stawali —
Do rąk brała chleb anielski matka,
My chleb ony z drżących rąk jej brali. —
Chwila ciszy—myślałbyś, że duchy
Z górnych krain stoją tu przywiane —
W palcach tylko drży opłatek kruchy
I drżą wargi modlitwą trącane...
Bo to jedna z chwil największych świata:
Boga—w ziemskiej złożenie kolebce...
Pieśń człowieczą sen cudów oplata,
Anioł biały o zbawieniu szepce.

Kto chleb ony na stole zobaczył —
Już w swej duszy i sercu zogromniał:
Jeśli miał co przebaczyć—przebaczył,
Jeśli o czym zapomnieć—zapomniał!
Płyną wkoło życzenia najszczersze,
Pocałunki łączą usta bratnie
Snów spełnieniem dzwonią słowa pierwsze,
Snów spełnieniem kończą się ostatnie.
Była w sercach owa pewność błoga,
Że się wcielą życzenia serdeczne,
Tylko w piersi mieć potrzeba Boga,
Tylko wierzyć w prawdy zasłoneczne!...
Dzisiaj—nie wiem, czy Wigilji chwila
Dawną siłą o duszę potrąca —
Czy się czoło tak przed Bogiem schyla?
Czy nie spada z oczu łza gryząca?
Może serca, przejęte zwątpieniem,
Truciznami dni przeżytych poim?
Ja — odżywam dawnych chwil wspomnieniem,
W wigilijnym dniu tym w domu moim!

Kazimierz Gliński.

103. Chata moja.

Pod błękitów osłoną,
Złotą słońca powieką,
Którą rzuca zdrój ciepła
Hen — daleko, daleko —
W cienie krzewów rzucona,
Kwieciem kalin różowa,
Stoi moja rodzona,
Moja chata ojcowa.
Ot, obórka tuż przy niej,
Na niej bocian klekoce,
A słowiki śpiewają
I dni całe i noce —
Z klasków, z gwizdów się składa
Ich piosenka świetlana,
Aż mi z serca wypada;
Oj, ta dana, oj dana!
Jaskółeczki u okien
Szare gniazdka swe wiją —

Płyną w kółko nad ziemią,
Z kwiatów krople ros piją;
Nocką tysiąc lśni gwiazdek,
Mgła nadpływa perłowa —
W wieńcu mgieł tych i gwiazdek
Marzy chata ojcowa.
Przemarzyła już tyle
I zim długich i wiosen,
Tyle igieł upadło
I żywicznych łez sosen —
Hej! rok jeden i drugi
Przetrwa jeszcze kochana —
I brzmieć będzie czas długi:
Oj, ta dana, oj dana!
Ku błękitom, ku słońcu
Trzy się wzniosły topole —
Huczą skrzydła wiatraka,
Na las patrzą, na pole —
Stoją pełne zbóż stogi,
W gumnach ziarno się chowa,
Świat mi nie jest tak drogi,
Jak ta chata ojcowa.
Staw się rozlał szeroko,
Toczy fale pomału —
W srebrnych toniach królewna
Śpi na łożu z kryształu;
W wieczór cichy, z za sioła,
Dzwoni piosnka nam znana —
Echo słucha i woła:
Oj, ta dana, oj dana!
W sadzie wiśnie i grusze
I czeremchy kwiat biały —
Z pierwszym brzaskiem już słońca
Grają pszczółek hejnały,
W szybkę okna z ogrodu,
Patrzy kwiatów królowa —
Pośród kwiecia, lip chłodu,
Śnij, o chato ojcowa!
Rydel kopie grunt twardy,
Blaski słońca się leją —
Nad grządkami schylone
Robotnice się śmieją —
Czasem z piersi im brzęknie
Piosnka nagle urwana,
Nuta zabrzmi i pęknie,
Oj, ta dana, oj dana!

Tuman biały się kłębi,
Zakończona dnia praca —
Biegną wołki z pastwiska
Lud do chat swych powraca.
Śpij zagrodo kochana
Oj, ta dana, oj dana!

Kazimierz Gliński.

---

104. Do mojej matki.

Oto twe dziecię po męczącym boju,
Na pierś twą kładzie zszamotane czoło,
I swe ramiona oplata w około,
Niby dwie miękkie gałązki powoju.

Matko! on ciebie uwielbia i kocha,
Samego Boga on weźmie za świadka,
Boś ty mu wszystkim, boś ty jego matka—
A reszta świata—to niby macocha.

O, bo dla niego, dla twojego syna
Nieraz ci troski głowę zakłopocą,
Nieraz zapłaczesz i bezsenną nocą
Westchniesz dla niego—o moja jedyna!

Bo jeśli kiedy w nim dusza zagrała
Dla cnoty, jeśli myśl powstała wielka,
To tobie winien, boś ty rodzicielka
Tę iskrę w jego sercu rozdmuchała.

A on ubogi — czymże na podziękę
Za tyle ofiar, czymże się odpłaci?
Dla ciebie matko, jak dla swoich braci
Nic nie ma — tylko miłość i piosenkę.

Lecz jeśli kiedy lud, wypłatnik boży,
Wieniec mu sławy zawiesi u głowy,
To on dla ciebie pierwszy liść laurowy
Zerwie ze skroni i u nóg twych złoży.

Kornel Ujejski.

105. Matka.

Na zachodzie gasną zorze,
Dzień w obłokach dogorywa,
Anioł Pański o wieczorze
Do modlitwy cichej wzywa.
    Płynie z wiatrem podzwonienie:
    Tajemnicze, ciche głosy,
    Stare drzewa, polne kłosy
    Ślą wieczorne pozdrowienie.
Ptak w zielone gniazdo leci,
Liść mu szumi, cieką wody,
Świętojański robak świeci
I rzeźwiące wieją chłody.
    Niestrudzony swemi laty,
    Nim wieczorna spadnie rosa,
    Idzie księżyc na niebiosa,
    Na zwyczajne nocne czaty.
Już rozjaśnił blade czoło;
Krocząc zwolna po obszarze,
Liczy gwiazdy, niby wkoło
Rozstawione nocne straże.
    Czas po dziennym spocząć znoju;
    Sen przybędzie nieproszony:
    Sen, jak woda w leśnym zdroju,
    Płynie twardy, niezmącony
    Ludziom pracy i pokoju!
Od złej woli, od przygody,
Od pożaru, nagłej szkody
Człek zabiega, ile może,
Resztę składa w ręce Boże.
    Zaporami drzwi i wrota,
    Jak należy opatrzone;
    Ukończona już robota,
    Więc i światła pogaszone.
O! już teraz gospodyni
Śmiało sobie wczas uczyni.
Tyle ruchu było w domu,
Teraz życia ani znaku;
    W głos odetchnąć niema komu,
    Cicho, senno, jak po maku.
    Tylko jeden kąt izdebki
    Nieprzerwany szelest rodzi,

Jak gdy biegun u kolebki,
Jednostajnym krokiem chodzi,
W odmierzonej pewnej drodze,
Tam i nazad po podłodze.
W późnej nocy, w sennej ciszy
Oko czuwa, ucho słyszy,
Oko matki, pierś matczyna,
Jak Stróż—Anioł strzeże syna!
W tychto nocach niewygody,
W tych godzinach bez spoczynku,
Daje matka w upominku
Swoje trudy bez nagrody,
Pierwszą miłość dziecku swemu.
Miłość—tarczą przeciw złemu;
Miłość—gwiazdą, co w pomroku
Drogę życia mu rozświeci;
Miłość—różdżką, co przy boku,
Gdy już wszystek liść obleci,
Na ostatniej już pościeli,
Jeszcze skon mu rozweseli!
Któż zwyczajną liczbą zmierzy,
Ile matka łez wyleje,
Ile razy snu odbieży,
Nim odkarmi swą nadzieję?
Życie matki ciągłym trudem,
A tak wątła pierś kobieca!
Jakaż władza, jakim cudem
Płomień życia w niej podnieca?
Czyś ty w serca tajemnicę.
Patrzył kiedy, jak w krynicę?
Czyś ty zbadał, jak się rodzą
Łzy boleści i w co godzą?
Czyś ty krążył w życia kole?
Czyś ty zbadał, kędy wchodzą
Skryte zioła, co nam słodzą
W jednej chwili długie bole?
Czyś ty widział te źrenice,
Te radości błyskawice,
Co nam troski i niedolę
Jakby cudem rozpogodzą!
Patrz! już nie śpi robak mały;
Bliźnie gwiazdy z pod powieki
Wdzięcznym czuciem rozjaśniały,
Jakby w zamian tej opieki,

Którą w matce przez noc miały;
Coraz milej, coraz szczerzej
Oczy w matkę się wpatrują,
A z usteczek otworzonych
Drobne słówka wylatują,
I rączęta jak bliźnięta,
Pośród pieszczot nieuczonych
Szyję matki obejmują!
O! już teraz nie chciej pytać,
Jakim cudem trwa to życie;
W licach matki możesz czytać
Twej zagadki rozpowicie;
W tej przed chwilą smutnej twarzy,
Na tej skroni troską bladej,
Żadna boleść się nie skarży,
Bezsenności starte ślady.

Zakrzewski.

---

106. Super flumina Babylonis.

Płyną rzeki Babilońskie, płyną, szumią w dal,
Wiatr powiewa brzeżną trzciną, nami chwieje żal,
Nad wodami my usiedli o chlebie żebraczym —
Ziemia święta! matka nasza! kiedyż cię obaczym?

Słońce płonie, cała rzeka migoce się w skrach,
Na te blaski smutnie patrzą oczy nasze w łzach,
Bo to słońce w naszej ziemi gdy wstanie po ranu,
Piękniej złoci dach Sjoński i szczyty Libanu.

Tu na wierzbach długowłosych, śród zielonych szarf,
Pokruszone wiszą struny od milczących harf;
Niechaj milczą stare harfy o strunach dziesięciu,
Niechaj nigdy w niewolnika nie zabrzmią objęciu!

Z głośnym śmiechem idą ludzie po wodę przez błoń —
„Hej harfiarze, syny wraże, z prochu wznieście skroń,
„Zawtórujcie nam pieśniami do naszej swawoli"
— Jakżeż szukać wam wesela u tych, co w niewoli?

Nam tułaczom już swych dłoni na harfy nie kłaść,
Gdyby struny jak pioruny mogły na was spaść,
To słuchalibyście drżący z ustami blademi,
Jaką pieśnią grzmią harfiarze na przeklętej ziemi!

Jeruzalem! Jeruzalem! biedna ziemio ty!
Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
Jeśli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem
To mnie przeklnij i zapomnij, matko Jeruzalem!

Niech me oczy robak stoczy, niech w nie pluje czerń,
Niech ma ręka w ogniu pęka, niech krzy się jak cierń,
Niech mój język jak gadzina przyschnie do gardziela,
Jeśli zaprę twych boleści dla chwili wesela.

Kornel Ujejski.

---

107. Lirnik wioskowy.

I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
    Snadź ciebie wyrobiono!
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
    Zaraz mi kipi łono.
Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,
    I smutno i wesoło:
Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
    Przechodzę całe sioło!
Z tobą się nie napieszczę: i dzień i noc i jeszcze...
    Jeszcze grałbym bez końca;
Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy
    Uderza krew gorąca.
Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
    Przecie tonów nie zniżę;
Nie żałuję mej głowy, wszak ja lirnik wioskowy,
    Skonam, grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna,
    Niebezpieczneś narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,
    Wiecznie pamiętać będzie.
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
    I tęsknota ogarnie.
Tyś pokaraniem bożym, z tobą jak z ostrym nożem,
    Nie żartować bezkarnie.

Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,
Co tam w duszy lirnika?
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
Że mnie tak chętka bodzie:
Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;
Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
Niech ją dźwiękiem otoczą,
Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
Czy się bawi ochoczo.
Patrzcie na dziewę moją! przy niej chłopcy się roją,
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wąsem się chwali, drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem połyska.
Mnie Bóg więcej przeznacza: znaj co hardość śpiewacza!
Ja przed nikim nie zniżę
Ani pieśni, ni głowy,—hardy lirnik wioskowy,
Skonam, grając na lirze.

III.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Wątłe z tobą nadzieje!
Snadź twe piosnki niepiękne: czy przed Bogiem uklęknę,
Czy dla ludzi zapieję,
Tylko rozgwar twój znudzi, Pana Boga i ludzi,
Serc braterskich nie zjedna;
Bo każdy z towarzyszy—słyszy, jakby nie słyszy,
O dolo moja biedna!
Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
Ku Bogu głos wytężę,
Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną,
Smutnym tonem mitrężę,
Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
Młodzież i starcy w domu,
Klnę, że w piersi mi wzrosło pieśnio—twórcze rzemiosło,
Lub zapłaczę kryjomu.
Dziewczę słucha lirnika, ale duszę zamyka;
Mnie się serce rozpada—
Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze,
I, z innym pląsa rada.
Starzec, westchnie i powie: „Za mych czasów grajkowie,
Toć to grali dla duszy!

„Dzisiaj idzie w zawody, jakiś młodzik bez brody;
Trąbić mu w róg pasterzy!“
I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani,—
Kłaniam, kłaniam uprzejmie!
Otóż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
Ale serce odejmie!
Liro, próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
Z ciebie ciernie i krzyże!
Lecz tyś promień mej głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Ludzie łzami mię poją!
Tyś dla mnie ulgą bożą, a gdy mię w grób położą,
Ty będziesz chlubą moją.
Ej rozgłośnie, rozgłośnie, twoje echo urośnie!
Zolbrzymieją me słowa:
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada,
Ciekawie zakołata:
„Przyśliśmy patrzyć dziwa; gdzie wasz lirnik spoczywa
„Lirnik głośny u świata.“
Wtedy z całego sioła ciekawość lud wywoła,
I będą czynić wnioski,
Szeptać, ściskając plecy: „Skąd ci ludzie dalecy
„Znają pieśni tej wioski?“
Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
Przed ludźmi cudzej ziemi,
Westchnieniem i gawędą sławić lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi.
I powiodą przybywszy do cmentarnej zaciszy,
Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
I rzekną wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy
„Skonał, grając na lirze.“

Ludwik Kondratowicz.

108. Dumka wygnańca.

Na dolinie na zielonej
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą.
Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole;
Po za wzgórzem srebrna struga
A za drogą szczere pole.

Nawet kwiatki takież prawie
Na pagórku, na przydrożu:
Dziki piołun w bujnej trawie
I bławatki rosną w zbożu:
Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się schylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,—
Tobym myślał, żem już w kraju.

Jakaś cicha, szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje;
Czemuż to nie moja matka,
Czemuż to nie siostry moje?...
Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy;
Czemuż się nie cieszę z wami,
Czemuż wyście nie Polacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone;
Chmurna losów moich gwiazdo,
Gdzież mnie wiedziesz, w którą stronę?
Płyńcie, płyńcie łzy tęsknoty,
Nieutulne łzy tułacze!
Może, jeśli dzień przepłaczę,
Noc przyniesie mi sen złoty.

Teofil Lenartowicz.

109. Nowe lato.

Nowe lato Chrystusowe
Zawitało w nasze progi.
Hej! otwórzmy drzwi do chaty,
Światło niesie gość nam drogi!

Światło niesie onej gwiazdy,
Betlejemskiej gwiazdy oto,
Co nad ludźmi dobrej woli,
Zajaśniała jutrznią złotą.

Światło niesie pod tę strzechę,
Gdzie bywało smutno, ciemno.
Niesie sercom tym pociechę,
Co płakały nadaremno!

O zawitaj, Roku nowy!
Ty z Bożego idziesz wieca,
Powiedzże nam, przemów słowy,
Jaka będzie dola kmieca?

Co tam o nas uradzają
W onej rajskiej Bożej Radzie?
O nas matkach, o dzieciskach,
O tej ziemi, o gromadzie?

Czy się też tam przechyliła
Ona szala naszej biedy?
Czy się znaczy dobra dola?
I skąd przyjdzie nam i kiedy?

Czy daleko od nas jeszcze
Miłościwe ono lato,
Gdy zaświeci jasno słonko
Nad tą ziemią, nad tą chatą?

Równo, równo trzyma w niebie
Złote szale ręka Boża!
Ni dla pana, ni dla chłopa,
Tylko wszystkim wschodzi zorza!

Ile światła w swojej duszy,
Tyle słonka świecić będzie,
Tyle ziarna kłosy dadzą,
Ile potu na twej grzędzie!

Dobra dola tym się znaczy,
Co miłują ziemię—matkę.

Co miłują ludzi—braci,
Słodką zgodę, czystą chatkę!

A nie będzie szła jej droga
Ani z wschodu ni z zachodu,
Jeno z wiary w lepsze jutro,
Jeno z pracy dla narodu!

Miłościwe lato boże
Idzie ku nam, idzie oto...
A kto serce w niebo wznosi
Ujrzy jego ścieżkę złotą!

M. Konopnicka.

---

110. Święta Jadwiga.

Księżna Polska i Śląska.

Głód był na Śląsku. Młodziuchna Pani,
Anioł dobroci i cnoty,
Oddała złoto, perły, klejnoty...
Jednak mrą z głodu poddani.
Tam w wojnie z wrogiem Henryk Brodaty,
Tu walczy księżna łagodna
Z potworem głodu. Skarbiec bogaty
Jest wyczerpany... już do dna!
I śpichrze puste! Pomoru znaki
Piętnują wybladłe twarze...
Jako z drzew liście spadają ptaki...
Wsie puste... ludne cmentarze!...

. . . .

Noc była głucha... spiż wciąż podzwania
Na smutne: Ave Maryja...
A na dźwięk jego księżna się słania,
Jako od burzy lilija.
Nie przerwie ciszy kur z głodu niemy,
Tylko dzwon coraz żałośniej,
Niby głos ludu,—wciąż rzewniej, głośniej
Woła: „Giniemy!... giniemy!..."
Nie zginiesz ludu!... jest broń potężna,
Co stanie w twojej obronie:
Modlitwa Świętej!... Oto twa księżna
Do nieba podniosła dłonie.

I jako Mojżesz rozmawia z Bogiem.
Któż tajnie tej nocy zbada?
. . . .
Ranek zabłysnął. Przed zamku progiem
Lud woła: „Biada nam!... biada!”
Pośrodku tłumu, jak Anioł Boży,
Jadwiga z jałmużną staje.
Czy przez jej ręce Pan chleby mnoży
I głodnej rzeszy rozdaje?
Mówią dworzanie, podziwem zdjęci:
„Wszak w zamku nie było chleba!”
. . . .
O tajemnico! znali cię święci...
Z niemi wróciłaś do nieba.
Lecz klucz tu został... Są może dłonie
Co skarb miłości otworzą,
Są może dusze, co z wiarą w łonie
Jak cudem chleby rozmnożą?
O tam od góry, biała lilija
Błogosławieństwa tchnie wonią...
I na dziękczynne Ave Maryja
Radośnie spiże już dzwonią!...

A. F.

111. Wiosna.

Ustrojona w wonne szaty,
Uśmiechnięta i urocza,
Z wód ma srebrny pas bogaty,
Kwiaty wplotła do warkocza,
I tak zeszła tu ku ziemi,
Wiosna z jasnych nieb przestworza;
I wokoło życie pleni
Zmartwychwstania jutrznia Boża.
I skowronek hymnem dzwoni,
I chór ptasząt hymnem wróży,
I hymn szepcze kwiat na błoni,
I grzmi hymnem wicher burzy,
I bór modli się zdaleka,
Srebrne wody drżą miłośnie,
Jeden tylko hymn człowieka,
Łzą nabrzmiały... nawet w wiośnie.

Kwiatek wonny gdy z kielicha
Leje w piersi raju czary,
On w bezwiednym żalu wzdycha,
Bo ma w piersi smutek stary.
Gdy płonące życiem słońce,
Na wieczorny podmuch blednie,
Modły jego tęskne, drżące,
I zasępia się bezwiednie...
Gdy promienna zorza świta,
Pan ku ziemi chyli czoło,
Ziemia we mgłach upowita,
Nagle budzi się wesoło,
I otrząsa się powoli
Z łez perłowych na świtanie,
I w promiennej aureoli
Nuci szczęściem na zaranie.
Człowiek tylko do pacierza
Miesza łzawe zwątpień słowa,
Blaskom świtu nie dowierza,
Bo on może grom dlań chowa.
I gdy zewsząd mknie do nieba
Niezmącony śpiew radości,
Jemu blasków w duszy trzeba,
Bo w niej jego „wszystko“ gości!...
Gdy powietrzna czeladź Boska
W Panu składa swe nadzieje,
On niepewny wciąż się troska,
Czy też zbierze co posieje?
I z obawą patrzy wkoło,
Gdy bogactwem lśni natura,
I w zadumie nosi czoło,
I pieśń jego wciąż ponura.
A dlaczego tak jest, Panie?
Ty wiesz tylko w swej mądrości,
Więc jej zadość niech się stanie,
Aż się wiosna w nas rozgości,
A nim zstąpi tu na ziemię
Twe królestwo, Mistrzu świata,
Niech w nas wiara nie zadrzemie,
Choć się z kwieciem cierń tu splata.

Kl. Podwysocki.

112. Spokojny wieczór.

Strojne w zachodzie słońca stoją góry;
Poważna cisza:—w dali szumią wody—
Polany mierzchną, milczy bór ponury,
I mgła wieczorna, ciągnie przez zagrody,
I noc nadciąga. Po dziennym igrzysku
Ulżył świat sobie, jak człowiek w westchnieniu.
Pod starym bukiem, przy małym ognisku
Siedzi staruszek na wielkim kamieniu.
„Skąd dziadek w górach? pewno, że z daleka?“
Pytał człek obcy.—„O, z całego świata!“
I zmierzył wzrokiem obcego człowieka:
— „Idę, mój panie, po proszonym chlebie.“
— „A gdzieżeś dziadku, strawił młode lata?“
— „Gdziem lata strawił? o mój panie miły!
„Jam ich nie strawił—one mnie strawiły!
„Jestem rodziców szlachetnego rodu,
„Ojciec za młodu był dziedzicem w Rajskiem,
„A jam sługiwał wojskowo za młodu.“
— Gdzieś rękę stracił?“—„W bitwie pod Możajskiem.“
— „I prosisz chleba?“—„A proszę, bom głodzien!
„Znać już lepszegom losu nie był godzien!
„Gdy mi tak padło Boże zmiłowanie!
„Gdziem lata strawił? Strawiłem mój panie,
„Młodość na wojnie, średni wiek w niewoli,
„Starość na żebrach! krótko się to prawi,
„Lecz żywot taki gorzej blizny boli!
„Świat mi dokuczył, a śmierć się gdzieś bawi.“
— „I nie wyrzekasz?“—„A czegoż wyrzekać?
„Tylem też tylko w życiu miał pociechy,
„Żem nie wyrzekał! lecz mi nudno czekać
„Dłużej już śmierci; wybrałem się w drogę,
„Bo myślę sobie, że spotkam niebogę!
„A życie moje, wszak stanie za grzechy?“
— „Stanie mój ojcze! jak Bóg żywy, stanie,
„Życzę ci śmierci.“—„Bóg wam zapłać, Panie!“
Rzekł starzec z cicha, spokojny w sumieniu!
Poprawił ognia, westchnął potym szczerze
I czekał śmierci, szeptając pacierze
Pod starym bukiem, na wielkim kamieniu.

Wincenty Pol.

113. Krakowiak.

Zapomniane skrzypki moje, zagrajcie od ucha!
Lasy, wzgórza i doliny, zapalcie w nich ducha!
Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmią na okół,
A ty, myśli moja, podlatuj, jak sokół!
Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną,
Rzućmy ziarno na tę glebę, a kłosy wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją,
Nie dbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją,
Zaszumi zawieją, lecz jak świeży ranek,
Rozpogodzi niebo maj—wiosny kochanek.
Dalej razem, jak te wołki, idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony, miło rzucić okiem.

Ty, fujarko, brzmij po drzewach, niech pękają liście,
Wtedy wtórem i las chórem zagra uroczyście;
Uroczyście zagra jakby przy niedzieli,
Jak piosnka ukochanej serca rozweseli.
A więc skrzypki i fujarki, na ojczystej grzędzie
Razem grajcie, zgodnie, żwawo, a muzyka będzie!

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni;
Polny mak się płoni, jużci wstyd go ima,
Że błyszczy purpurą, lecz zapachu nie ma.
O boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki chyli.

Dalej, skrzypki! grajcie hucznie, Wisła dźwięk poniesie,
Na jej brzegach rosną lasy, słowiki są w lesie:
Słowiki są w lesie, na dziobkach zanucą,
I całą naturę zbudzą, rozesmucą!
A gdy żniwo już skończymy, wtedy na dożynek
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

Edmund Wasilewski.

---

114. Ku chacie.

Co mi nada, co pomoże
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała
Tam przyrosła, tam została,
Gdzie mój stary próg!

Co mi nada piękno cudze,
Gdy w nim tęsknię, gdy w nim nudzę,
Kiedy serce moje płacze
I ku chacie swej kołacze,
Z tych dalekich dróg!

Obejdź lądy, opłyń wody,
Nie odtęsknisz swej zagrody,
Nie wydumasz zadumania,
Co ci stary dom przesłania,
Stary pszczelny ul...

Oczy tylko patrzą twoje
W cudze niebo, w cudze zdroje,
Ale dusza ci z wyrajów
Drży do łąk tych, do tych gajów,
Do zroszonych pól...

W marmurowych chodzisz grodach,
Utęskniony po tych wodach,
Po tych wodach, co tam cieką
Strugą modrą i daleką,
Het, przez łężny szlak...

Wskroś palm wiania słyszysz bicie
Skowronkowych piórek w życie,
I uciekasz w cztery ściany
Śpiewać, dumać naprzemiany,
Co tam, gdzie, i jak...

M. Konopnicka.

---

115. Rebeka.

Ogłuszał wieczór ciszą nakryty
Mury Aramu bielały,
Zachodnie góry na sine szczyty
Słońce z błękitu ściągały.

A przed Aramem na staj niewiele
Cysternę palmy obsiadły,
A pod palmami skubając ziele
Wielbłądy w rząd się pokładły.

Wracała z pastwisk gromada owiec,
Strzepując rosy na łące:

Stał przy cysternie jakiś wędrowiec
I wieszał oczy na słońce.

A jego słudzy od karawany
Gwarzyli wsparci na siodłach;
On tylko jeden stał zadumany
I tak rozmyślal w swych modłach:

„Obce tu niebo—obca tu rzesza,
Jakoś markotno i nudno;
I z powitaniem nikt nie pośpiesza,
Choć niby ludno—odludno.

Jam mu położył rękę pod biodro,
Przysiągłem przywieść synowę,
Lecz nie poradzę—gdy łaską szczodrą
Bóg nie uświęci mą głowę.

Jemu ta sprawa niech będzie dana,
Niech Jego w niej będą rządy:
Oto ta wejdzie w dom mego pana,
Co me napoi wielbłądy.“—

I ledwie takie słowa wypowie,
To mrokiem od strony miasta,
W bieluchnej szacie, z dzbankiem na głowie
Szła zwolna jakaś niewiasta.

I szła powiewna, jak gałąź wina,
Jak mgły nad łąką, co wiszą;
Nie tak się palma zgrabnie przegina,
Kiedy ją wiatry kołyszą.

A tak srebrzała na tle murawy,
Jak biała lilja w dolinie;
A taką lekkość miała z postawy,
Że się zdawało—że płynie.

Czarne jej włosy rozwiane iściem
Spadały na białe lica,
A tak pod ciemnym cyprysu liściem
Ognieżdża się gołębica.

A kiedy dzbanek i twarz w rumieńcu
Ku modrej wodzie schyliła,

To na dnie studni w wodnym ziół wieńcu
Para się gwiazdek odbiła.

A gdy podniosła się z koneweczką,
Podróżny, co stał przy zdroju,
Rzekł jej łagodnie:—Piękna dzieweczko,
Udziel mi trochę napoju!—

I wnet z ramienia naczynie zdjęła,
Na miękkiej złożyła dłoni,
I na paluszkach drobnych się wspięła,
I dzban ku niemu nakłoni.

Podróżny niby zanurzył głowę,
Leniwo pociągał wodę,
Pił przez połowę, a przez połowę
Poglądał na jej urodę.

A ona rzekła:—Wyście z daleka,
Wam kurzem szata okryta,
I wielbłąd smutny na wodę czeka,
Spogląda w próżne koryta.

A słudzy cisną głowy w zawoje
Znużeni męką podróżną—
To ja wielbłądy wasze napoję,
Pozwólcie być wam usłużną.—

I poszła wodę czerpać dla stada.
A obcy człowiek na boku
Pokornie ręce na piersi składa,
Z wilgotną modlitwą w oku.

I patrzył w niebo długo i długo,
I wyrzekł słowy cichemi:
„Wielki Bóg litość miał z swoim sługą"—
I skłonił czoło ku ziemi.

Kornel Ujejski.

116. Za służbą.

Przyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie,

Oczka żywe, choć pół-płaczu w mince.
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziecię moje?
— Sława Bogu!
— Na wiek wieków—co chcesz dziecię moje?
— Ta, za służbą... o, pies! ja się boję!...
— Pies ten złego nie robi nikomu —
Chodź tu bliżej, bliżej—a czyja ty?
— Ta niczyja—
— A gdzież matka?
— Zmarła maty.
Cóż ty robisz?
— Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą a czasem nie dadzą;
W zimie często do pierza posadzą,
Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami... ot! człowiek bieduje...
— Jaki człowiek?
— Ta ja, pani miła—
Źle na wierzchu ziemi być sierotą—
Ciężkie życie—lepiej gdzie mogiła,
Tam gdzie matka...
— O, moje ty złoto!
Takie małe! tak mówi rozumnie—
To ty dziecię, ty chcesz służyć u mnie?
Cóż ty umiesz?
— Ta, chatę zamiatać,
Wodę przynieść...
— Figle umiesz płatać?
Ono myśli długo—Także umiem,
A i gęsi ludzkie paść rozumiem...
— Czy ty głodna?
— O! o! bardzo głodna...

*

Oto dziecko ledwie nie z kołyski,
Smutne patrzy na twoje połyski,
Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce—i już traci wiarę;
Ledwie mówić umie, już się skarży,
I o grobie niby starzec marzy...
O ty ziemio! ty macocho gminu!...

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź mój synu!
I ty drobny w pieluszkach—tu chodźcie,
Usta wasze uśmiechem osłodźcie,
Powitajcie tę siostrzyczkę waszą—
Ta, co zmarła, równie była małą!
Niech was plamy w koszulce nie straszą—
Bo jak wasze białem jest jej ciało;
No, rączkami twarz jej pogłaskajcie.
Ale najprzód jeść, o! jeść jej dajcie!

Kornel Ujejski.

117. Łódź w Pieninach.

Znasz ty Boga na niebiesiech,
A krainę znasz po Bogu?
Lud po dołach i po lesiech,
I pług Piastów na rozłogu?
I czy znasz, ty bracie młody,
Te spienione górskie wody,
Z tym oddechem, z tym uśmiechem,
Jakim Bóg je tylko darzy
I o których serce marzy?
　Jeśliś miłość pił u zdroju
　Żywych uczuć,—a w przyjaźni
　Poznał człeka, a lud w znoju,
　A skarb duszy w wyobraźni;
　Jeśliś kochał, walczył, wierzył,
　Poznał prawdę, stwierdził w czynach,
　Przebrnął morze, świat przemierzył,—
　Poznaj jeszcze łódź w Pieninach.
Jak cudowna modra żmija,
Hen! Dunajec się przewija;
Jak odwieczne grają dumy,
Tak tam szumią jego szumy.
Jak dwa mury, w pion dwie skały:
W górze niebo, w dole woda,
Łódka szybka, jak myśl młoda,
A na łódce sternik śmiały.
　Stara orłów to dziedzina:
　Tutaj Czorsztyn, tam Niedzica,
　Nowotarska, hen! dolina,—
　Nad Tatrami łyskawica.

A tu stoi łódź u brzegu:
Góral wita cię z uśmiechem,
Nie myśl długo, skocz z pośpiechem
I płyń, bo już łódka w biegu.
Gdy cię chwycą modre tonie
I na przepaść łódka zbieży,
Silniej drgnie ci serce w łonie,
Mocniej dusza twa uderzy
W skarby ziemi, w skarby nieba,
W siebie, w Boga i w człowieka;
I uczujesz, że potrzeba
Wierzyć, kochać było z wieka
Ziemię, Boga i człowieka.
Modre tonie i kipiele
Gdy zagrają wkoło ciebie,
Tak ci porwą duszę śmiele,
Jakbyś skrzydła miał i w niebie,
Miał się oprzeć na tej łodzi,
Jakbyś w chmury z tej powodzi
Miał wylecieć z łódką społem,
Nie żeglarzem, lecz aniołem.
Skarby chowa ziemia lacka
I piękności, co Bóg stworzył;
Dziwnie cudne ziemskie cacka
Dał nam Pan Bóg, abyś ożył
Wielkim duchem w ojców ziemi
I szedł torem za lepszemi!

Wincenty Pol.

---

118. Dzwon Wawelski.

Słyszycie—w Zygmunta dzwonią!
Powietrze wstrzęsły rozdźwięki,
I ciężkie poważne jęki
Falami Wisły się gonią.
W miedziane dachy uderzą,
Walą się w ulice miasta,
Aż się po rynku rozszerzą,
A dźwięk się wzmaga, rozrasta—
Drżący wzlatuje nad wieżą,
I w czarnej chmury uścisku
Pochwalne hymny śle niebu,
Czy smutne psalmy pogrzebu,
Czy straszne krzyki ucisku?

Słuchałem długo wieczorem,
Duch mój tak wsłuchał się cały,
Że dźwięków tych rozhoworem
Dziwnie w nim pieśni zagrały:
To się w przeszłości zagłębił,
To w blasku słońca zapalał,
Szumami wichrów rozszalał,
I w chłodach grobów oziębił.

A dzwon mi mówił powieści:
Jak wiele razy w przeszłości
Brzmiał rozgłosami wielkości,
Tryumfu, wesela, chwały,
I takim jękiem boleści,
Że go dwa morza słyszały.

On mówił: „Mam pierś śpiżową,
Jak piersi mego narodu,
Serce żelazne, jam głową
Wszech dzwonów starego grodu,
Serce żelazne—gdy go burza czeka,
Serce żelazne—gdy się dąsa piekło,
A jednak serce wielkiego człowieka:
Bo choć tak wiele uczuć z niego ciekło,
Tak wiele uczuć tajemnie w pierś biło,
I wiekuista pleśń na niej osiadła,
Jednak uczucie łona nie stopiło
I rdza mi serca nie zjadła.“

„Ja czuję za wszystkie dzwony,
Pamiętam za wszystkie księgi,
Gdy brzmiące wyrzucę tony
I wspomnień roztoczę wstęgi:
Na dźwięk mój jak na zaklęcie,
Przeszłości spęka się trumna,
A ona—jasna i dumna
Duch ludzi w swoje objęcie,
W uścisk pochwyci uroczy
I sen w nich zbudzi proroczy.

Słuchałem dzwonu i na przemiany
To się płoniłem—to bladłem;
Potok przeszłości płynął wezbrany
Przed duszy mojej zwierciadłem.

Jak w zachwyceniu, jak w śnie proroka,
Jasne obrazy, miłe rozgłosy,
Tak się cisnęły do ucha—oka
Spadały w duszę kroplami rosy,
Że odświeżona z tęsknoty pleśni,
Z przeszłości, jakby z pajęczych tkanek,
Snuła nić dźwięków, wiązała w pieśni
Jak kwiaty w wonny, błyszczący wianek.

R. 1520.

Onego czasu król dzwon kazał ulać
I wybudował mu wieżę wysoką,
A król potężny miał sławę szeroką,
Chciał, by swobodnie i dzwon mógł pohulać.
Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił,
By echo dzwonu aż do morza grało,
Żeby potęgę narodu rozsławił,
I aż na północ zabrzmiał jego chwałą.

I dzwon ulany—na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawisł u szczytu;
I wylał z siebie w przepaści błękitu
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów.
Głos leciał w górę, w pełnych brzmiących kołach,
I wstęgę dźwięków jak piorun rozwinął,
Rozbudził echa po dumnych gór czołach,
I do stóp Boga zapłynął;
A od imienia króla mu nadano
Na chrzcie tym „Zygmunta“ miano.

R. 1532.

Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
A nad nim sztandar tryumfu wiał,
W gałązkach dębu siwa jego głowa,
A w oczach ogień zapału tlał:
A przed nim szło sześćdziesiąt dział
I u stóp króla usiadły,
I za działami zdobyte sztandary
Pod stopy króla się kładły,
I z gołą głową wołoskie bojary
Na twarz przed królem upadły.

I zstąpił z tronu ów król sędziwy,
Jana do serca przycisnął,
Sławą narodu dumny, szczęśliwy!
Łzą rozczulenia zabłysnął.

I kiedy starzec ściskał starca dłonie męskie,
Dzwon rozgrzmiał po powietrzu swe hymny zwycięskie,
A naród uchem w duszę wciągał tę pieśń wzniosłą,
I wzrok mu się rozogniał i serce mu rosło.

Edmund Wasilewski.

---

119. W Tatry.

Hej za mną w Tatry, w ziemię czarów,
Na strome szczyty gór!
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur.

Ponad przepaści nasza droga,
Odważnie bracie mój!
Od ludzi dalej—bliżej Boga,
Ha! już jesteśmy—stój!

Patrz jak w głębinach białą pianą
Potoków kipi war —
Potężną falą rozhukaną,
W granitach żłobi jar.

I siłą w hale się przerzyna,
W juhasa Boży świat —
Gdzie w szmaragd stroi się dolina,
I w różnobarwny kwiat.

Tu znów iglica za iglicą
W niebiosa piętrzy się.
Patrz! tam urwiskiem—błyskawicą
Kozica trwożnie mknie.

I z bystrej turni nad jeziora
Wieczysty zbiega chłód,
Gdzie się przegląda—mnich potwora,
W zwierciadle czarnych wód.

Tam białą wstęgą nurt szeroki,
Śle w przepaść głazów złom,
I błyskawica drze obłoki,
Po gromie wali grom.

Zda się, że wstrząsa gór posadę,
Grom zdwojon echem burz,
Zda się, że niesie nam zagładę,
Że koniec świata już.

Lecz burza coraz niżej schodzi,
Piorunów słabnie trzask,
Wybiegłe szczyty z chmur powodzi
Oblewa złoty blask.

Gerlach, Łomnica i Lodowy,
Nad białe morza chmur,
Podnoszą swoje dumne głowy,
Króle Tatrzańskich gór.

Uczucie wzniosłe, niepojęte
W piersi nie mieści się,
I jakieś tchnienie wonne, święte,
W niebiosa serce rwie.

Oddalonemu od trosk ziemi
Zda się, że niebios próg...
Że stanął między wybranemi,
Że tutaj mieszka—Bóg!

Wł. L. Anczyc.

120. Karol Gustaw w katedrze Wawelskiej.

Karol w gmachach Wawelskich o pomniki pyta.
Sędziwy Starowolski przy drzwiach króla wita,
Starowolski, mąż wiekiem poważnego czoła,
Świadom i dziejów Polski i dziejów kościoła.
„To jest Kaźmierz—rzekł kapłan—ostatni z krwi Piasta,
Pod nim wzrosły te grody, te twierdze, te miasta;
Miejsca pustyń osady i zamki zaległy,
Objął Polskę drewnianą, a zostawił z cegły;
Księgą praw gwałt ukrócił, który lud uciskał,
Rdzewiał pod nim miecz Chrobrych, a lemiesz połyskał.
Zwano go królem chłopów:—gdy zawarł powieki,
Imię Wielkiego wdzięczne przyznały mu wieki;
Lud pomnik trwalszym nad spiż wyrazem ozdobił,
Żal swój usty wytłoczył i łzami wyżłobił.

Lecz gdy ucisk powrócił między wiejskie chaty,
Lud od natłoku ledwie wstrzymały te kraty;
Cień jego wywołując przy żałosnych skargach,
Łzą marmur, w pył zmiękczony, unosił na wargach.—
  To jest król, najsławniejszy walecznemi czyny,
  Batory; poszedł za brzeg Połoty i Dźwiny
  I potężnym ramieniem przy dzielnych hetmanach
  Zmusił Moskwę pokoju błagać na kolanach.
  Niestety! gdy zamierzał dokonywać dzieła,
  Dni drogie dla narodu śmierć w Grodnie przecięła"—
Gdy się ku drugiej stronie świątyni przybliża,
Czyta napis u stopni wzniesionego krzyża:
„Przy tym krzyżu Jadwiga łzy sączyła hojne,
Ilekroć król i naród biegł odpierać wojnę;
Zdobiła tron cnotami, zgasła w wieku wiośnie."
I kapłan opowiada jej życie żałośnie,
Jakie dla obu ludów, dla Boga, dla wiary
Z miłującego serca zrobiła ofiary.—
  Gdy się dalej posuwa, na przeciwnej stronie
  Widzi posąg, leżący z berłem i w koronie!
  Na drobnym wzroście dziwi go ogrom pancerza.
  „To jest—rzekł kapłan—ojciec Wielkiego Kaźmierza,
  Łokietek, wielki męstwem, chociaż drobny ciałem.
  Złączył Polskę, rozdartą naddziadów podziałem,
  Przemógł współzawodników, a w polach Połowców
  Przytarł dumną potęgę grabieżnych Krzyżowców.
  Trzykroć tułacz, po trzykroć powracał do tronu,
  I na ostrzu oręża trzymał go do zgonu."
Na to się obrażona pycha w królu cuci;
Rzekł: „Łokietek wasz wrócił, Jan Kaźmierz nie wróci!"
  Odpowiada pokornym głosem stróż świątyni:
  „Królu, fortuna zmienna, a Bóg cuda czyni."
  Jak piorunem rażony kapłańskiemi słowy,
  Zaniemiał i już wątek przerywa rozmowy.
  Pierwszy raz czuje w piersiach zachwianego ducha:
  Już nie widzi pomnika, nie szuka, nie słucha;
  I gdy się krokiem zbliża do przysionków końca,
  Spotyka przez Millera wysłanego gońca:
  Częstochowa się broni; goniec nie ukrywa
  Klęsk zadanych, o działa i o pułki wzywa.
  „Waleczność nasza, królu—mówi—jest daremna:
  Ten mały klasztor wspiera potęga tajemna."

Kajetan Koźmian.

121. Szabla hetmańska.

Zarżały konie w staro-pańskim dworze
I rozkaz pana z ust do ust przebiega,
Pada się służba—a w sąsiednim borze
Czym-raz się bliżej trzask biczy rozlega.
Hajducy gości czekają w podwojach,
Perska makata posadzki zaściela,
Po marmurowych kominkach w pokojach
Płonie jedlina i czasami strzela.

Od czasu śmierci nieboszczki Jejmości
Nie było jeszcze w domu tyle gości,
Ni sreber tyle w hetmańskiej komnacie,
Ani kasztelan w tak bogatej szacie;
Lecz od tygodnia gońce obesłano,
I panów w goście zaprosić kazano.

Zjechali dworno—i panicz nadjechał,
A z domu wdowca—zda się—pierzchły troski;
Wyszedł na salę i rad się uśmiechał,
Ujrzawszy syna w sukmanie krakowskiej.

Przybliż się Wasze, pokaż mi się przecie;
No lubię—lubię Waści w takim stroju—
Zda się, żeś podrósł, zmężniał, moje dziecię:
Pobłogosławić nie żal ci do boju!
Sprosiłem na to somsiady dostojne,
By byli świadki, jak cię ślę na wojnę,
Jakie nauki, jaką daję zbroję;
A gdy łaskawi na ojca i syna,
Spełnimy razem puhar tego wina,
Com to przeznaczył na wesele twoje:
Bo kto tam zgadnie, jako Bóg uradzi
W tej naszej wojnie o swojej czeladzi?

Przybliż się Wasze!—Raz ostatni może
Daj posłuch jeszcze ojcowskiemu sercu—
Uklęknij Wasze tu, tu na kobiercu,
Błogosławieństwo na twą głowę złożę,
Może ostatnie, ostatnie mój, synu!
W niewoliś zrodzon, a nie do niewoli—
Nie z rodu sława, ale idzie z czynu!

Bo pomnij Wasze: ni z soli ni z roli,
    Lecz z tego urósł Polak, co go boli.

    Widzisz tę szablę? Dzielna, chociaż rdzawa!
Bo ze starą zbroją chodzi stara sława;
    Niedarmo ojców malowano w zbroi—
Słuchaj Waść, jaki napis na niej stoi:

Pocięłam szyszak na Komtura czole,
A brałam carów i wodzów w niewolę;
Zna mię Szwed i Bisurman, sławnam przy Byczynie:
Za morzem i pod Wiedniem krzywa szabla słynie.

Nie po kądzieli szukał chluby pono,
    Kto taką szablą przed laty hetmanił;
Nie na popisach rękojeść szczerbiono,
    Choć i tam pewno nikt jej nie poganił;
Sam Ojciec Święty poświęcił ją w Rzymie
    Za króla Jana—bo już sławy syta
Była naówczas—a ksiądz Jezuita
    Jej tu historją skomponował w rymie.
Jak się sprawiła i oni mężowie
    Co ją nosili, niechaj rzeką karty,
Toć nie z pod ławy kroniki wydartej,
    I nie w jałowej osnowane głowie.

    Lecz ród Waszeciów i o nowsze czasy
Starą tą głownią nie z hańbą zawadził;
    Bo dziad Waszecin poszedł z nią w zapasy,
Jak to się z Panem Pułaskim naradził,
    A pan Naczelnik ostrze jej pochwalił,
Gdyśmy z Krakowa na harce ruszyli—
    I nią stryj Waścin nie jednego zwalił
Kiedy się nasi pod Dąbrowskim bili.
    Toć i dziś warta nie trusa—a męża!
Z błogosławieństwem daję ją Waszeci,
    A Waść mi tego nie skalaj oręża,
Bo klątwa ojca piekłem cię oświeci!
    Rzekł—i na syna spojrzał pełen sromu.
— Ojcze, mój ojcze!—rzekł młodzian klęczący—
    To mnie tak groźno nie wyprawiaj z domu!—
A stary zwolniał, zawisł nad nim drżący,
    I lica jego czym-raz, czym-raz bladły,
Wyloty z ramion na piersi opadły,
    Chciał coś powiedzieć, a żal słowa zdławił,
Umilkł—i długo, długo błogosławił.

I cicho było w hetmańskiej świetlicy,
Jako w kościele podczas podniesienia,
A łzy błyszczały w niejednej źrenicy,
I można było policzyć westchnienia:
Stary kapelan modlił się na stronie,
A dworska czeladź, stojąca u progu,
Ciężko spłakana, załamawszy dłonie,
Błogosławieństwa polecała Bogu.

Wincenty Pol.

122. Puszcze litewskie.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice;
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkim męstwem,
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem:
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe napoły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą.
(Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą).
Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.
  Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem:
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)

Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku, (jak słychać), mają swoje dwory
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcz imperatory.
Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wasale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patrjarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A same we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój cmentarz, kędy blizcy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź, gdy zjadszy zęby, strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwo nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi—
Idą na cmentarz. Nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stądto w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać, że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką niepopsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki;
Jak ojce żyli w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie:
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie.
Nawet, gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,
Toby środkiem tych bestji przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia

Ojce ich pierwsze, co się w ogrójcu gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo trud i trwoga i śmierć bronią mu przystępu.
Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają, skowycząc, z obłąkanym wzrokiem;
I długo potym, ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego, strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki
W języku swoim strzelcy zowią „mateczniki.“

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

---

123. Bitwa.

Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
I księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymróżone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy wokoło, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z blizka
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy wpółobręcz stanęli wsławionym prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu, zbiegało się z skrzydłem.
„Ałła hu!” wrzasły hordy i tysiączne roty,
Na opasanych strute wypuścili groty.
„Hura!” krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała, w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym wszędy tłumem,
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem,
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncerze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije,
Zapał głowy ogarnął, stal błyska, krew broczy:
Śmierć trudzi się, zdmuchując wywrócone oczy!

Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
  Czas ginąć hufcom polskim, młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.
Dopiero mieszanina! każdy obskoczony,
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony.
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają;
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latające blaski...

. . . .

. . . .

  Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufce czwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwie ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, wydatnej postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie;
  Jak lwica, opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłym męstwem, gdy je wpośród ludzi zoczy;
Jak matka, o wygnanym straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje;
Z takim zmieszanym uczuciem i matki i lwicy,
Z kordem świszczącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom, gdyby jakie mary,
Obok swojego zięcia Miecznik stanął stary.
  Jego hufiec tuż za nim, jego przywitanie,
Tobie należy naprzód, napuszony Hanie!
  Lecą obces na siebie: Polacy, Tatarzy,
W bezczynnym zachwyceniu patrzą, co się zdarzy.
  Jakiś czas Miecznik zmudził: uderzy, odskoczy,
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
Aż wybrawszy swą porę, w odwet silnym razem,
W kark niewierny święconym utopił żelazem.
  Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
  Powstał krzyk przeraźliwy—pierzchają—koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.

Strach przejął barbarzyńców; grzmią trąby, rzeź grają,
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają.
Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rżenie,
A zapylona sława upięknia zniszczenie.

Antoni Malczewski (Marja).

---

124. Stepy w zimie.

Czyś widział stepy, gdy w dzień zimowy
Z północy chmura zaciągnie śnieżna,
I nigdzie schrony dla twojej głowy,
Bo wkrąg pustynia biała, bezbrzeżna,
A przy rosnącym co chwila wietrze,
Straszliwa zamieć, zaćmi powietrze?
  Biedny wędrowcze! w złą się godzinę
  Wybrałeś w podróż: patrz! jak szalony
  Wicher, jak wielki; całą równinę
  Naraz silnemi ująwszy szpony,
  Łono jej białe rozrywa, porze,
  Rwie aż pod niebo i w kłębach pędzi.
To nie kwiat wiśni, nie puch łabędzi,
By ci rozkoszne podesłać łoże;
To rój gwiazd śnieżnych; wirowym ruchem
W takie cię gęste siatki okręca,
Tak nieprzebytym ściga łańcuchem,
Że zmęczonego, wziąwszy jak jeńca,
Przy tobie, żywym, jak przy twej osi,
Biały, grobowy kurhan podnosi.
  Niebo i ziemia nikną ci; kołem —
  Ćma tylko luźnych atomów krąży,
  Owija chwilę i dalej dąży.
Chwyta cię obłęd; sądzisz, że społem
Lecisz z tym wirem, co cię oplata;
Sądzisz, żeś jądrem nowego świata,
Który bujając ponad otchłanią,
Nie zawisł w sferach, bo mu duch Boży
Jeszcze nie wskazał celu podróży.
  Nagle cię senność porywa, za nią
  Jakieś błękitne ciągną marzenia,
  Które zasuwa gęsta pomroka,
  Byś się przynajmniej w dniu przebudzenia
  Ocknął w dziedzinie rajskiej proroka!

Gustaw Zieliński.

---

125. Rzeki wpadające do Wisły.

Nazajutrz w świtu różowej godzinie,
Wisława w srebrny uderzyła dzwonek,
Ażeby zwołać pod szklany przysionek
Swoje lennicze bogi i boginie.
  Wielki szum powstał w górach i dolinie:
Dążą lennicze bogi i boginie.
  Najpierwszy z bożków radosnej młodzieży,
Pusty swawolnik w swej białej czamarce,
Z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa,
Prądnik jak rzeźki Krakowiaczek hasa.
  Młodziuchna Nida, podobna kwiaciarce,
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,
Jak do koszyka, zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.
  Biegną Dunajce, dwaj bracia górale,
Z okiem myśliwskim i zwinnością gończą;
Jeden z nich w Białe okręca się fale,
Drugi się Czarną owinął opończą.
  Za niemi lekko idzie modro-oka,
Brzeg płaszcza Wisły niosąca Wisłoka.
  A teraz patrzcie! idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą
Druzgoce lasy i przebija skały.
Po jego falach echa Karpat idą.
  Tanew, ukryta pod cień borów kruczy,
W głębi puszcz szumnych jak wyrocznia huczy.
Dalej w dolinie wijąca się kręto,
Od tataraku swoich jezior wonna,
W więzach z kamieni żali się Kamionna:
Zda się, że słyszysz królewnę zaklętą.
  Między zdumiałym, rozstąpionym tłumem
Tancerka ledwie tykająca ziemi,
Bystrzyca pląsa stopami bystremi.
  Za nią poważna szafirowo-lica,
Idzie, jak cicha kapłanka, Pilica.
  A teraz z drogi! oto z wielkim szumem
Nadchodzi Narew, cała upowita—
Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.
  Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę?
A wszakto brat jej, wesoły ów żeniec,

Bug kłosonośny; codziennie on w wieniec
Statków ładownych pszenicą się stroi;
Wiecznie na wodach wyprawia okrężne!
Tam Bzura dźwiga szaty obciążone
Kiściami pereł; nosi krucze włosy
Perłami spięte i z pereł koronę.
Tam wre i szumi wartko-lotna Drwęca,
Która w winnice i róże i kłosy
Kwitnące czoła swych brzegów okręca.
Brda, jak wąż srebrny, uśpiony na niwie,
Pod siecią gajów cicho się pierścieni.
Ossa pod słońcem zapala błyskliwie
Fale, podobne do białych płomieni.
Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie,
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną Motławę,
I radującą się wiecznie Radunię.
Co, jak odźwierne, w progu Wisły strzegą
Bram bursztynowych morza Baltyckiego.
I one dzisiaj tu idą i niosą
Klucze, błyszczącą wysadzane rosą.
Te wodne bóstwa, jasne i złowieszcze
Ku Wiśle dążą, z niemi inne jeszcze,
I jeszcze inne; lecz któż je wyliczy?
Księgęby spisał, kto wiernemi farby
Chciałby malować cały dwór lenniczy,
Niosący Wiśle swoje wierne skarby.

Jadwiga Łuszczewska (Deotyma).

---

126. Lasy litewskie.

Rówienniki litewskich wielkich kniaziów! drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy
I Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze,
Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze

Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
A Wilji widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym,
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym,

Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi!
  Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy,
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
Równie myśliwi wielcy, jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów.
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.
  Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy,
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
  Drzewa moje ojczyste! Jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię.
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie,
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! Ileż co rok was pożera
Rządowa lub kupiecka drapieżna siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, których cień wasz tak miły, jak ptakom.
Wszak lipa czarnolaska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się: tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgnieconej jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brzusznice, jakby w koralów paciorki.
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, nizkie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem.

Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.
Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu,
Wystercza z ziemi, nakształt ogromnego zrębu,
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy.
Tam gałęziste kłody, tu wpółzgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzyć straszno: tam siedzą gospodarze lasu:
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości;
Czasem wymkną się w górę, przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem.
Jak promień, kiedy wpadszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie
Stuka zlekka i dalej odlatuje, ginie;
Schował się, ale dziobem nie przestaje pukać,
Jak dziecko, gdy schowane, woła, by go szukać.
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
Gryzie go, zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak pióro nad szyszakiem u kirasjera;
Chociaż tak osłoniona, dokoła spoziera.
Dostrzegszy gościa, skacze gajów tanecznica
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica,
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,
Jak wracająca w drzewo rodzinne Dryjada.
Znowu cicho.
Wtym gałąź wstrząsła się trącona,
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona,
Kraśniejsze od jarzębin zajaśniały lica:
To jagód lub orzechów zbieraczka—dziewica.
W króbeczce z prostej kory, podaje zebrane
Brusznice świeże, jako jej usta rumiane.
Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina:
Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

Wtym usłyszeli odgłos rogów i psów granie,
Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,
I pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi,
Zniknęli nagle z oczu, jako leśne bogi.

Wyjątek z „Pana Tadeusza"
A. Mickiewicza.

127. Obłoki.

„I miał rozum!—zawołał Tadeusz z zapałem—
To państwa niebo włoskie, jak o nim słyszałem,
Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda:
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas dość głowę podnieść: ileż to widoków,
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków.
Bo każda chmura inna: naprzykład jesienna
Pełznie jak żółw leniwa, ulewą brzemienna,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze: to są deszczu strugi;
Chmura z gradem, jak balon, szybko zwiatrem leci,
Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,
Szum wielki słychać wkoło; nawet te codzienne,
Patrzcie państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A z tyłu wiatr, jak sokół, do kupy je pędzi:
Ściskają się, grubieją, rosną—nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie;
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie;
Wszystkie białe, jak srebro, zmieszały się... Nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie!”

Wyjątek z „Pana Tadeusza.”

---

128. Kościuszko w Krakowie.

Bohaterze wolności! Za morzami czczony—
Bezkoronny, a czołem wyższy nad korony—
Razem silny i czysty jak nasz Orzeł biały—
Ty, któryś nam przekazał w testamencie chwały
Cnotę, najdroższy klejnot dziejowej spuścizny—
Kościuszko! Ciebie śpiewam, kochanku Ojczyzny!

Któż ją lepiej miłował? I, prawem zamiany,
Któż w naszej Polsce kiedy był mocniej kochany?

Jedyny on jak słońce, i słońcem jaśnieje:
Czy z jutrzenką, różowe siejący nadzieje—
Czy zwycięsko rozsiadły w pełnej aureoli—
Czy ukryty za chmurą północnej niewoli—
Czy topniejący w blaskach cichego zachodu—
Czy żywy, czy umarły—bożyszcze narodu!

Więc kogóż pieśń ma wezwać, jeśli nie jedynej
Tej niebianki, co wszystkie natchnęła mu czyny?
Królowo jego serca! Strażniczko przysięgi!
O miłości ojczyzny! Bądź Muzą tej księgi.

Tyś mi już nad kolebką szeptała w pomroce
Słowa, od których dziecko bezsenne ma noce.
Dziś powtórz je, dziś w usta włóż je twojej słudze,
I jak ty mię budziłaś, tak i ja—niech budzę.

Właśnie też pora zbudzeń, wiosna przychodziła;
Po tęgich zimach, zawsze Polakowi miła.
A już gdzie najweselsza, to w ziemi Krakowskiej,
Na którą patrząc, człowiek zapomina troski.

Już od dwóch niedziel, czajka przyciąga za czajką,
Przybrane po błazeńsku pstrokatą kitajką,
Skrzeczą, skrzydłem grzechocą, i łamiąc lot szparki,
Przewracają koziołki, powietrzne kuglarki.

Aż zjawił się, najmilszy znak wiosennych przemian,
Kum bocian, prorok szczęścia, ulubieniec ziemian.
Usiadł na starym gnieździe emigrant znużony,
Tęsknym okiem ojczyste rozpatruje strony,
Klekotem opowiada swą wyprawę sławną
Za Nil. Czasem, jak piosnka zapomniana dawno,
Z pod skrzydeł mu się dźwięczny skowronek wywinie.
Słucha ich obu wieśniak orzący w dolinie.

Nagle, odjął od nieba zadumane oczy,
Obziera ziemię, słucha, co się po niej toczy?
Ktoś jedzie. Trzęsko dudniąc od strony Podgórza,
Kryta bryczka na trakcie z pyłu się wynurza.
W ciszy, co senne skrzydła nad polem roztacza,
Każdy ruch zastanawia i bawi oracza.
Wstrzymał woły przy drodze, patrzy się ciekawie.
Raźny wiarus tnie z bicza na przodowej ławie,
Czerwienią się nad końmi Krakowskie chomąta,
Pod budą siedzi szlachcic. Nieco wyjrzał z kąta,

Uśmiechnął się na widok orzącego kmiotka,
I uniosły go konie. A tak była słodka
Siła tego uśmiechu, że chłop, choć na drugą
Zawrócił skibę, jeszcze oglądał się długo.

Wózek leciał pod Kraków. Minął pół-spalony
Pierścień zwalisk przedmiejskich, pomnik tej obrony,
Pełnej walk homerycznych, Tassowych postaci,
Którą Barscy przetrwali tu Konfederaci.
Już po nadgniłych belkach przebył wązkie nurty
Rudawy, już podąża w stronę Szewskiej Furty,
Aż przystanął przed basztą ceglastą, omszałą,
Gdzie kilka zaschłych bluszczów czarną łzą wisiało.

Musiano czekać gościa, bo jakby przez czary,
Same się odwinęły skrzydła bramy starej,
Potym znów jak przez czary zamknęły się same.
Wózek, z turkotem ciasną przejechawszy bramę,
Wtoczył się na dziedziniec sporego dworzyszcza,
Niegdyś miejsce obronne, dziś gruzy i zgliszcza.
Przód był zdobny trawnikiem, dwa boki ogródkiem,
Ale w tej porze roku i ogród wiał smutkiem.
W głębi, jak nowy talar pośród boratynek,
Bielił się, świeży jeszcze, mieszkalny budynek.
Zwano go Pałacykiem.

Na trzask bicza cienki,
Pod ganku wejściowego nizkie kolumienki,
Wyszedł gospodarz domu, komendant Krakowa,
Józef Wodzicki. Postać piękna i wojskowa,
Twarz zacna, wzrok wesoły, słowo prosto z duszy,
Siwiuchne włosy gładko spływały na uszy.
Mundur był jeneralski, granatowy, z przodu,
Amarant u wyłogów: dwie barwy narodu.
Ciemne spodnie obciśle nogę rysowały,
Jednak stąpał ostrożnie, jak człowiek schorzały.
Roztworzył ręce, gościa pochwycił u progu,
I ściskał, a ściskając wołał: „Chwałaż Bogu!
„Jesteś! Jesteś nakoniec! Ty dobry gienjuszu
„Naszych losów! Kochany panie Tadeuszu!
„Myślałem, że już nigdy ten dzień nie nastanie!
„Wejdź-że! Dawaj rozkazy! Ach, czekamy na nie!“

Weszli. Drzwi wnet zawarto, i aż w noc głęboką,
Głucho było za drzwiami, jakby za opoką.
Prawda, że od ogrodu wsuwały się cienie,
Tajemnemi znakami mówiące uczenie,

Lecz głosu nie dobyły ni raz. Istne mary.
Mknęły, nikły, wracały, wszystko jak przez czary.

Dopiero późno w wieczór, z dwuch okien budynku
Padł blask. W jadalni ogień błysnął na kominku;
Po ścianach kilka twarzy za ramą się snuło:
Stare plemię Wodzickich, niejeden z infułą.
Na stole, od świeczników szedł zapach woskowy,
Dwuramienny ich płomyk oświecał trzy głowy.
Z jednej strony gospodarz, z drugiej, siedział człowiek
We fraku i halsztuchu, co z ręką u powiek,
Odsunąwszy talerze, patrzył się w papiery;
Muszą go wzruszać, znać to z nagłych odmian cery.
Trzeci, nowo-przybyły, zajął środek stoła.
Włos po republikańsku spadał mu w pół-czoła.
W podróżnej był kapocie z zieloną obwódką.
Mąż lat czterdziestu kilku. Miał twarz nieco krótką,
Nos nieco zadzierżysty, lecz uśmiech uroczy,
I cudownie ciągnące, lazurowe oczy.

«Panowie, rzekł gospodarz, kolacja skończona.
Jenerale, weź jeszcze tę pół-pierś kapłona.
Nie chcesz? To wypijemy kapkę, kieliszątko,
Mam Węgrzyn ze stuletnią bez mała pieczątką.
Patrzcie, jest rok: sześćsetny dziewiędziesiąt szósty.
Rok śmierci Sobieskiego. Wiek, dla chwały pusty.
A tyle marnych wojen! Ach i zbrodni tyle!
Chowałem ten kordjalik na szczęśliwszą chwilę.
No, i przyszła! Zobaczysz, gdy się nim trącimy,
Wrócą nam po stu latach Wiednie i Chocimy!»

«I owszem, lubię węgrzyn," podróżnik odpowie,
Byle małym kieliszkiem a za wielkie zdrowie.»

Trącili się. Wodzicki wołał znów: „Dwuch, mało!
No panie Aleksandrze, co cię opętało?
Dulczysz nad tym arkuszem, jakby nad zagadką."

Tamten rzekł: „Chciałbym jutro przeczytać go gładko,
Więc badam rzecz. Przepraszam, skończę już niedługo.
Powiedz mi Naczelniku: to pisał Ksiądz Hugo?
«No tak,» odparł pytany, «lecz z Potockim razem.
«I mnie się też radzili. Nad każdym wyrazem
«Były namysły; wkońcu, zawsze zgoda święta.
«Hugo ma bystrą głowę i rzadkie talenta.»

«Ach Naczelniku, rozum przyznaję mu, ale...»
Tu zamilkł, a Kommendant krzyknął: «Jenerale,
Z Linowskim próżno gadać. On precz się upiera,
Że w Kołłątaju siedzi żyłka Robespierra.»

«No, nie!» przeczył Linowski. «Ja żadnej przestrogi
Nie daję, ale chciałbym, aby wódz nasz drogi,
Choćby tu przyszło siedmiu mędrców i gienjuszy,
Nie radził się nikogo, tylko własnej duszy.
Bo i któryż wiek, duszę równą twojej wyda?
Ty masz miecz Temistokla z cnotą Arystyda.»

Uśmiechnął się Naczelnik i rzekł: «Szambelanie,
Ej, nie mów tu po dworsku, my republikanie.
A gdy z Plutarchowego chcesz wybierać wieńca,
To wiedz, że ja innego już mam ulubieńca.
Zgadnijcie kogo? Widzę żeście niecierpliwi.
Lubię Tymeleona. Ten wybór was dziwi?
Prawda, że nie bez chmury była jego cnota,
Ale mię podbił końcem swojego żywota.
Przez wszystkich uciśnionych na pomoc wzywany,
Z ojczystego Koryntu wypędził tyrany,
Wydarł i Syrakuzan łakomej Kartadze,
A gdy lud mu najwyższą ofiarował władzę,
Odmówił, i żył równy tym co go mieć chcieli
Za pana. Wzór żołnierzy i obywateli.
Jakaś godzina bije... O, już jedenasta!
Jakże miły jest dla mnie głos waszego miasta!
Owe dzwony, zegary, ach i te hejnały,
Co trąbiły na tyle dni szczęścia i chwały!
Przed laty kilkunastu mieszkałem w Krakowie,
Na Rynku, w starym domu, w tym co to się zowie
Liszkowski. (Od Florjańskiej on z rzędu jest trzeci).
Lube chwile! Gdy księżyc nad Krakowem świeci,
Toby się i do rana nigdy nie usnęło,
Jak ongi zasłuchany w słowiku Jagiełło.
Pamiętam, siedząc w oknie, wodząc wzrok po niebie,
I po szpicach Sukiennic, pytałem sam siebie,
Czy też ten Kraków czarny i opustoszały,
Zobaczy jeszcze kiedy dni szczęścia i chwały?
I oto jutro... los nasz...»

Tu zawiesił mowę.
Za to Wodzicki podjął: «Szczęście już gotowe.
A w każdym razie chwała nie będzie odjętą.
Już się «inicjowani» szykują na święto.

Młodzież ma przywdziać godła, a panny i panie,
Jak słyszę, porzuciły sztuczne fryzowanie.
Więcej: przez uwielbienie winne twej osobie,
Włosy „à la Kościuszko” przycinają sobie,
I chcą nosić na czole zielone przepaski,
Bo ten kolor podobno ma u ciebie łaski.”

«Prawda,» rzecze Kościuszko. „Ten kolor oznacza
Młodość. Jest w nim i jakaś prostota wieśniacza.
Nawet sama natura pierwszeństwo mu daje,
Kiedy w niego ubiera pola, łąki, gaje.
A gdy kolory uczuć przebiegam z kolei,
On i tam najpiękniejszy, ten symbol nadziei.
Ach, nadzieję nam trzeba krzewić jak najszerzej!
Choć nieraz, ten co krzewi, sam ledwie w nią wierzy...
Hasło padło przedwcześnie... to nasz błąd jedyny.
Warszawa nie chce czekać... i ma swe przyczyny!
Prozor wyznał, gdy w Dreźnie bawił potajemnie,
Że jeśli nie przystanę, to zaczną beze mnie.
Cóż miałem robić? Potym przyszedł list Krakowski...

Tu z niezmierną żywością przerwał mu Linowski:
«Dobrze się stało. Wodzu, któż cię tu obwini?
Bez ciebie, ster-by w rękę wzięli jakobini.
I czyżby nam potomne wieki darowały,
Że, mając jeszcze reszty wojsk i arsenały,
Daliśmy wszystko zabrać, nie ruszywszy palcem?
Uda się! Wszak fortuna klęka przed zuchwalcem!»

Kościuszko rzekł: „Daj Boże! Dziś nasz plan jest prosty.
Gdy Madaliński spalił już za sobą mosty,
Gdy tajemnica pękła, nie wstrzymać już ruchu!
Dziś trzeba go popychać! Może też z wybuchu
Wyjdzie i korzyść jaka, choćby ta jedyna,
Że cudownie wywabił nam stąd Łykoszyna.
To dziw! Na wieść, że nasi nadciągnąć tu mogą,
Ten lekkomyślny człowiek, z całą swą załogą,
Wychodzi sobie, nawet w bębny nie uderza,
I nam zostawia Kraków bez cienia żołnierza!”

Przychmurzony Wodzicki sarknął po namyśle:
«Tak, poszli sobie, może utopią się w Wiśle,
Jabym jednakże wolał mieć ich tu w areszcie.
Chciejże mi, Naczelniku, wyjaśnić nareszcie,
Czemu nie pozwoliłeś, aby wykonano
Pierwszą myśl, tak ogólnie w mieście pochwalaną?

Projekt nasz był niewinny, był nawet łaskawy.
Jak wiesz, onegdaj, podczas publicznej zabawy
Mieliśmy ich rozbroić. W kozie-by tu żyli.
A tak, może już naszych gdzieś biją w tej chwili!

Kościuszko wstał i mówił: „Ja nad wszystko cenię
Otwartość walki. Ślizka to rzecz: rozbrojenie!
Nużby przy nim wypadło jakie zajście krwawe,
To krew bezbronnych polską skaziłaby sprawę.
Nie powinno być skazy na czystym brylancie!
Już pół-godzina bije. Panie komendancie,
Przypominam jutrzejsze nabożeństwo nasze;
Brat Melchjor ma nam zrana poświęcić pałasze.
Wiesz, kościół Kapucynów, punkt szósta godzina,
Bóg nie opuszcza tego, co z Bogiem zaczyna.
Kochani przyjaciele i współbiesiadnicy,
Dobranoc wam! Ja ruszam do mojej strażnicy.
Ależ, Panie Józefie, ty mię sam nie prowadź.
Schodki strome, tyś chory, trzeba się szanować.”

Tamten z wahaniem bąkał: „Każesz, to zostanę.
Już to, co prawda, nogi mam skancerowane,
A wojna tuż! Wstyd kuleć, zwłaszcza piechurowi.
Jeżeli mię mój doktór na czas nie uzdrowi,
To go wyzwę.“ Tu śmiał się.

Zaraz na głos pański
Ruch nastał w sieniach. Nadszedł Adjutant Biegański.
Szczęśliwy, że choć z takich usług się uiszcza,
Wiódł gościa przez najsuchsze aleje dworzyszcza.
Przodem sługa z latarką rozświecał im dróżki,
Przyczem niósł i walizkę podróżną Kościuszki.

W baszcie, nad bramą, jako miejski zwyczaj każe,
Była izdebka. Niegdyś mieszkały tam straże.
Długo stała pustkami. Aż z czasów odmianą,
Jako pokój gościnny schludnie ją przybrano.
Tu, gdy go z Lipska tajne wzywały narady,
Kościuszko spędzał nieraz noc, wolen od zdrady.

Wszedł. Spojrzał oknem. W dole czerniała ulica.
Szukał wzrokiem, gdzie księżyc? Nie było księżyca,
Tylko u wierzchu niebios, na tle hebanowem,
Jedna rzęsista gwiazda stała nad Krakowem.
Resztę nieba zasnuły przewiewne obłoki.
Uderzył go dźwięk jakiś, cienki a wysoki,

Ni dzwon, ni zegar, Okno uchylił i słucha.
Dźwięk płynie, jakby odzew niebiańskiego ducha.

W jednym z domów sąsiednich rąbkowa firanka
Przepuszcza mdłe światełko. Jakaś krakowianka,
Przygrywając na harfie, gdzieś w głębiach komnaty
Śpiewa romans rycerski, znany mu przed laty.
Jakże mu ten głos czuły przypomina wiele!
Rozpoznał nawet ową śliczną „riturnellę,“
Co w kółko tym życzeniem kończy się jedynem:
«Jedź, rycerzu waleczny, i wracaj z wawrzynem!»

Ustał śpiew. Słuchający jeszcze się wychyla.
«Dzięki ci!—woła w duszy—ty, co jak Sybilla,
Dobrą wróżbą mię witasz u Krakowskiej bramy.
W głosie twoim poznałem głos Ojczyzny samej!»

Cisza.—Tylko, trącony zawieją marcową,
Bluszcz mu w lot zaszeleścił jak wieniec nad głową.

Zgasło światło za rąbkiem. Zgasło i w izdebce.
Kościuszko na posłaniu pół-marzący szepce:
«Laurów ja nie pożądam! Najszczęśliwszej doli
Doczekał, kto powraca z gałązką topoli.»

Deotyma.

129. Polonez Jankiela.

„Poloneza!“ krzyknęli wszyscy w jedno słowo.
Oficerowie wiodą muzykę wojskową,
Ale pan sędzia w ucho rzekł do jenerała,
„Każ pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała.
Wiesz, że dzisiaj synowca mego zaręczyny,
A dawnym obyczajem jest naszej rodziny,
Zaręczać się i żenić przy wiejskiej muzyce.
Patrz: stoi cymbalista, skrzypek i kozice,
Poczciwi muzykanci; już się skrzypek zżyma,
A kobeźnik kłania się i żebrze oczyma.
Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać;
Lud przy innej muzyce nie potrafi skakać.
Niechaj ci zaczną, niech się i lud podweseli,
Potym będziem wybornej twej słuchać kapeli.“
Dał znak.

Skrzypek u sukni zakasał rękawek,
Ścisnął gryf krzepko, oparł brodę o podstawek.
I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy.
Na to hasło stojący obok kobeźnicy,
Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion ruchem
Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem;
Myślałbyś, że ta para w powietrze uleci,
Podobna do pyzatych Boreasza dzieci.
Brakło cymbałów.
Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
(Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).
Wiedzą wszyscy, że nikt mu na tym instrumencie
Nie wyrówna z biegłości, w guście i w talencie.
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały:
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białej podaje mu dłoni
Drążki, któremi zwykle mistrz we struny dzwoni,
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,
I dygając: „Jankielu, mówi, jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny! zagrajże, Jankielu!
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mym weselu?“

Jankiel niezmiernie Zosię lubił; kiwnął brodą
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł; cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą: jak weteran w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany:
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo struny i próbując brzęczą.
Jankiel z przymrużonemi napoły oczyma
Milczy i nieruchomie drążki w palcach trzyma.
Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potym gęściej siekł struny, jak deszczem nawalnym.
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba,
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drążki oba.

Znowu gra. Już drżą drążki tak lekkiemi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,

Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumnym okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Zdumieli się słuchacze.
Razem ze strun wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki.
Brzmi polonez Trzeciego Maja!... Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją.
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali;
Gdy przy tańcu śpiewano: „Wiwat król kochany!
Wiwat sejm, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!“

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża.
A wtym puścił fałszywy akord, jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dreszczem
I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczym.
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodję zamąca,
Coraz głośniej targając akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany.
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: „Znam! znam głos ten! to jest Targowica!“
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...

Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca;
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów:
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów,
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści;
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów, zrazu brzęczenia

Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa. Już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legjony,
I już w takt postępują zgodzonemi dźwięki,
Tworząc nutę żałosną tej sławnej piosenki:
O żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosnka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy.
Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia, coś innego głosi.
I znowu spojrzał z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył;
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: „Jeszcze Polska nie zginęła!
Marsz Dąbrowski do Polski!...“ I wszyscy klasnęli,
I wszyscy „Marsz Dąbrowski“ chórem okrzyknęli!

Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce;
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca,
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił.

„Jenerale, rzekł, ciebie, długo Litwa nasza
Czekała, długo, jak my Żydzi Mesyjasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem...
Żyj i wojuj, o ty nasz!...“ Mówiąc, ciągle szlochał.

Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On, czapkę zdjąwszy, wodza rękę ucałował.

Adam Mickiewicz.

---

130. Koncert wieczorny.

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura,
Kiedy nad głowy ludzi przyleciawszy, chmura
Stanie i grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma,
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie.
Tej ciszy chwila była w Soplicowskim domie.
Myślałbyś, że przeczucie nadzwyczajnych zdarzeń
Ścięło usta i wzniosło duchy w kraje marzeń.

Po wieczerzy, i Sędzia i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec używać wieczoru;
Zasiadają na przyźbach wysłanych murawą;
Całe grono z posępną i cichą postawą
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać i coraz bardziej ku ziemi przybliżać;
Aż oboje, skrywszy się pod zasłoną ciemną,
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,
Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i słowach nawpół wymówionych,
Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
Szepnęły wiotkim skrzydłem nietoperze, lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
Bliżej zaś, nietoperzów siostrzyczki, ćmy, rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem.
Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice
I w jasne oczki, które biorą za dwie świece.
Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci się, grając, jako harmoniki sfera;
Ucho Zosi rozróżnia śród tysiąca gwarów
Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty.
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypek łąki,
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,

Już bekasy, do góry porwawszy się, wiją,
I bekając raz poraz, jak w bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcej wrzawy,
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy:
Jak zaklęte w górach kaukaskich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw, z dnem błotnistym i gardzielem mętnym,
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym.
W obu stawach piały żab niezliczone hordy
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nuci z cicha,
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha:
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie arfy Eola.

Adam Mickiewicz.

---

131. Poranek mglisty.

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się zmroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy.
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
Że słońce wstało, tędy ma wstąpić na ziemię,
Lecz idzie nie wesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło
Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło
I zdybało zające przy późnym śniadaniu.
One zwykły do gajów wracać o świtaniu:
Dziś okryte tumanem, to mokrzyce chrupią,
To jamki w roli kopiąc, parami się kupią
I na wolnym powietrzu myślą użyć wczasu;
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa,
Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś z brzegów kałuży,

Klekce bocian. Na kopach siedzą wrony zmokłe,
Roździawiwszy się, ciągną gawędy rozwlekłe,
Obrzydłe gospodarzom, jako wróżby słoty.

Gospodarze już dawno wyszli do roboty,
Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,
Tym smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka.
Chrząsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy otawę *) siekących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę: z końcem każdej zwrotki
Stają, ostrzą żeleźca i w takt kują w młotki.
Ludzi we mgle nie widać: tylko sierpy, kosy
I pieśni brzmią jak muzyk niewidzialnych głosy.

132. Polowanie na niedźwiedzia.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczn ku siedział,
Nigdyby się o tobie Wojski nie dowiedział.
Ale, czyli pasieki zwabiła cię wonność,
Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność—
Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przerzedził,
I tam zaraz leśniczy bytność twą wyśledził,
I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,
By poznać, gdzie popasasz i gdzie masz noclegi.
Teraz Wojski z obławą, już od matecznika
Postawiwszy szeregi, odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział, że niemało czasu
Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu,
Cicho. Próżno myśliwi natężają ucha,
Próżno, jak najciekawszej mowy, każdy słucha
Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka,
Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.
Psy nurtują po puszczy, jak pod morzem nurki,
A strzelcy, obróciwszy do lasu dwururki,
Patrzą Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta.
Jako w twarzy lekarza wzrok przyjaciół czyta

*) otawa—trawa drugi raz koszona na łące i siano z tej trawy; potraw.

Wyrok życia lub zgonu miłej im osoby,
Tak strzelcy, ufni w sztuki Wojskiego sposoby,
Topili w nim spojrzenia nadziei i trwogi,

„Jest! jest!” wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.
On słyszał!—oni jeszcze słuchali—nareszcie
Słyszą: jeden pies wrzasnął, potym dwa, dwadzieście,
Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają
Doławiają się, wrzeszczą, wpadły na trop, grają,
Ujadają. Już nie jest to powolne granie
Psów goniących zająca, lisa albo łanię;
Lecz wciąż wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;
To nie na ślad daleki ogary napadły,
Na oko gonią... Nagle ustał krzyk pogoni,
Doszli zwierza. Wrzask znowu, skowyt—zwierz się broni
I zapewne kaleczy; śród ogarów grania,
Słychać coraz to częściej jęk psiego konania.

Strzelcy stali i każdy ze strzelbą gotową
Wygiął się jak łuk naprzód, z wciśnioną w las głową.
Nie mogą dłużej czekać! Już ze stanowiska
Jeden za drugim zmyka i w puszczę się wciska,
Chcą pierwsi spotkać zwierza. Choć Wojski ostrzegał,
Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,
Krzycząc, że czy kto prostym chłopem, czy paniczem,
Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie w grzbiet smyczem:
Nie było rady! Wszyscy pomimo zakazu
W las pobiegli, trzy strzelby huknęły odrazu;
Potym wciąż kanonada, aż głośniej nad strzały
Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały.
Ryk okropny boleści, wściekłości, rozpaczy;
Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy
Grzmiały ze środka puszczy. Strzelcy,—ci w las śpieszą,
Tamci kurki odwodzą, a wszyscy się cieszą.
Jeden Wojski w żałości, krzyczy, że chybiono.
Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną,
Na przełaj zwierza, między ostępem i puszczą,
A niedźwiedź, odstraszony psów i ludzi tłuszczą,
Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone,
Ku polom, skąd już zeszły strzelce rozstawione,
Gdzie tylko pozostali z mnogich łowczych szyków,
Wojski, Tadeusz, Hrabia z kilką obławników.

Tu las był rzadszy. Słychać z głębi ryk, trzask łomu,
Aż z gęstwi, jak z chmur, wypadł niedźwiedź nakształt gromu;

Wkoło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
Tylne i spojrzał wkoło, rykiem strasząc wrogi,
I przedniemi łapami to drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
Rwał, waląc w psów i w ludzi, aż wyłamał drzewo;
Kręcąc nim jak maczugą, na prawo, na lewo,
Runął wprost na ostatnich strażników obławy:
Hrabię i Tadeusza. Oni bez obawy
Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;
Aż oba jednym razem pociągnęli kurki,
(Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwururki:
Chybili. Niedźwiedź skoczył; oni tuż utkwiony
Oszczep jego czterema chwycili ramiony,
Wydzierali go sobie. Spojrzą, aż tu z pyska
Wielkiego, czerwonego, dwa rzędy kłów błyska
I łapa z pazurami już się na łby spuszcza;
Pobledli,—w tył skoczyli, i gdzie rzednie puszcza,
Zmykali. Zwierz za niemi wspiął się, już pazury
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
Zdarłby mu czaszkę z mózgów, jak kapelusz z głowy:
Gdy Asesor z Rejentem wyskoczyli z boków,
A Gierwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,
Z nim Robak, choć bez strzelby: i trzej w jednej chwili,
Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.
Niedźwiedź wyskoczył w górę, jak kot przed chartami,
I głową na dół runął, i czterma łapami
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawę brzemię
Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

---

133. Młody myśliwy.

Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pacholę
Ze strzelbą na ramieniu, świszcząc, szedł na pole,
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nie utrudza,
Gdzie przestępując miedzę, nie poznasz, że cudza!
Bo na Litwie myśliwiec, jak okręt na morzu,
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu.

Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
Wiele jest znaków, widnych strzeleckiemu oku;
Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepcze mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;
Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,
Również głęboko w niebie schowany skowronek;
Owdzie orzeł szerokim skrzydłem przez obszary
Zaszumiał, strasząc wróble, jak kometa cary;
Zaś jastrząb, pod jasnemi wiszący błękity,
Trzepie skrzydłem, jak motyl na szpilce przybity,
Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zająca,
Runie nań z góry, jako gwiazda spadająca.

A. Mickiewicz.

---

134. Z Mohorta.

I.

... Noc już zapadła od godziny blizko,
Gdym w końcu stanął na luce strudzony,
Gdzie pan porucznik miał swe stanowisko;
Jemu listami byłem polecony.
Po drodze nocny rozjazd mnie powitał
I przeprowadził do samej granicy;
Żołnierz od czaty naprzód mnie wypytał,
Potem samego puścił do strażnicy.
Zwolna wstąpiłem do izby ponurej,
Którą z nad półki kaganek oświecał,
A od tej półki wisiały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał.
Dymek błękitny płonącego włókna
Wązkim się pasem po izbie rozścielił;
W wielkim kominie płomień czasem strzelił
I zbiegł wężykiem po szybach od okna.
A izba była pusta jak stodoła:
Prócz kołków w ścianie, prócz ławy i stoła
I prócz proporca—nic więcej nie było.
Przetarłem oczy, bom nie wierzył sobie,
I rozumiałem, że mi się przyśniło

Jakieś widziadło niby w nocnej dobie:
Jak gdyby z grobu powstał hetman który,
Taki mnie widok ugodził potężny,
Taki mąż siedział przede mną orężny,
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury;
Na koźle z drzewa uciosanym siedział
Niby na koniu, a choć sobie drzymał,
Czuwał jak żóraw i o sobie wiedział,
Bo śpiąc pistolet w prawej ręce trzymał.
Biały włos lekko osrebrzał mu głowę,
A rysy były tak pięknie surowe,
Że więcej prawie podobien zdaleka
Był do posągu niżli do człowieka.
Był to pan Mohort. A gdy przed nim stałem,
Gdy mu od ojca listy oddać miałem,
Patrząc na niego, dopiero pojąłem,
Dlaczego ojciec mówił: „Czołem! czołem!
I nie zapomnij waść w gębie języka,
Gdy przyjdzie witać pana porucznika!“
Bo był to jeszcze wojownik z pod znaku
I wielki strażnik hetmańskiego szlaku,
Czujny jak żóraw, całe życie zbrojny,
Jako lew dzielny, jak posąg spokojny.
Długo myślałem, co robić wypada:
Zbudzić? nie zbudzić?—Trudna była rada!
Stoję i czekam—kaganiec się mroczy,
Wtym brzęknął pałasz od przeciwnej strony,
A pan porucznik rozwarł zwolna oczy—
— Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
— Na wieki wieków!—z cicha odpowiada
I z kozła swego niby z konia zsiada,
A potym trochę kagańca poprawił,
A potym rzucił na mnie wzrok surowy,
I zmierzył ostro od stóp aż do głowy,
I pytał krótko—a gdym mu się sprawił,
Rzekł, wysłuchawszy z uwagą wszystkiego:
— Jak się dzień zrobi, to i list wyczytam,
A teraz syna pana Antoniego
Jako krew bratnią z poczciwością witam!
Dziś już zapóźno i jestem na służbie,
Lecz jutro waszci na kresach podrużbię;
Już tu niejeden pierwsze żołdy czynił,
Więc po staremu będę gospodynił...“
Poszedł ku półce, kędy stał kaganek,
Do owych sznurów za zegar służących,

Policzył węzły na knotkach płonących
I rzekł: „Nie zaraz będzie jeszcze ranek!
Wracaj do koni, boś zdrożony może,
A jak zatrąbią na poranne zorze,
Czekam tu waszci!“—Potym krzyknął: „Służba!“
Starszy towarzysz, człowiek już nie młody,
Wstąpił do izby.—„No, przybył nam drużba!
Dacie mu nocleg, a koniom wygody!“
Rzekł pan porucznik i zlecił nas Bogu
I przeprowadził oczyma do progu.

II.

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
Grobla szeroka i niby bezpieczna;
Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
A na niej stoi mogiła odwieczna.
Tam do pierwszego przyszło więc spotkania,
Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzema kolumnami...
Z rzadka już strzały padały od rania,
I pan Kościuszko przednią straż prowadził
I był się znacznie przodem już odsadził.
Głównym korpusem sam książę dowodził,
A w tylnej straży komendę gienerał
Wielhorski miał i z lekka odpierał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.
Marsz trwał dzień cały. Pod wieczór się miało,
I boryszkowską groblę wypadało
Przebyć przed nocą, most za sobą spalić
I przez marsz nocny znacznie się oddalić
Od nieprzyjaciół; jakoż po dwa razy
Przysyłał książe z takiemi rozkazy.
Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami i z tą groblą długą
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą;
A nim most stanie aż nazajutrz z rana
I nieprzyjaciel przez most się przeprawi.
Nim się po takiej przeprawie znów zładzi—
To i niemały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi.
Bitwy nie chciano jak pod Bugiem stoczyć.
Gdyśmy na groblę weszli boryszkowską,
Już się zdawało, że z pomocą Boską
Ujdziem szczęśliwie... Poczęło się mroczyć,
Śpieszno nam było—więc trochę w nieładzie

Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć.
Gienerał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie
I wołał: „Stępo!“ tak silnie i karno,
Że każdy słyszał chociaż było gwarno,
Wtym straszny łomot i tysiączne głosy
Wojennej trwogi wzbiły się w niebiosy.
— Co tam?!—Na przedzie most się nagle zwalił,
A nieprzyjaciel w tejże samej chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli,
Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił—
I na trzech linjach czysto jak po miotle.
A koło mostu zawrzało jak w kotle:
Z ludzi i koni niby kra się sparła.
Gdy się most zwalił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać—i groblę wydarła
I woda buchła nagle rzeką całą,
I wszystko w stronę od strzałów pierzchało,
I wpław do stawu i z grobli na błota;
A i ranionych było już bez liku.
Po trupie Mohort przedarł się na siłę,
I do rotmistrza, który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał, rzekł: „A to sromota!
Hej! Ostaszewski za mną na mogiłę!“
I jak duch bitwy stanął na mogile
I powiódł w koło oczyma przez chwilę
I krzyknął: „Baczność! równaj się szóstkami!“
W połowie grobli ta mogiła stała...
I gdy komenda z jej wierzchu zagrzmiała,
Każdy rozumiał, że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.
„Ja pójdę naprzód i pierwszy się rzucę;
Ty stój w odwodzie! Jeżeli nie wrócę,
Zaraz też w pędy idź z drugim oddziałem“—
Rzekł do rotmistrza i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknąwszy jeszcze dla zachęty:
„I jedna wiara—mówi Paweł święty!“
Z dział uderzono i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę—koń Mohorta wraca...
A Ostaszewski: „Teraz na nas praca,
Marsz!“—i już cały długi zastęp w locie.
Wpadamy, patrzym—a działa w odwrocie
I kanonjery leżą już pod koniem.
Więc za działami jeszcze chwilę gonim,

A potym stajem, kędy stały działa;
I noc zapadła—i skończona sprawa.
Równo z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.
Koło północy stanął już most nowy;
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugiemi... Wtym rozruch na przedzie
I głosy podają: „Książę! książę jedzie!“
Książe z raportu już o wszystkim wiedział,
Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże,
Gdzie działa stały... Rzekł: „Szkoda mej Litwy!
I jakże zginął? „—„ Jak giną rycerze!
Rzekł Ostaszewski.—Jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!““
A książe na to: „Ha! nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować“.
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami
I na mogile ogień nałożono.
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie
I kazał na nim złożyć towarzysza.
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie.
Aż gdy grób cały w końcu był zasuty,
Rzekł książe tylko do obecnych tyle:
„Żył z szablą w ręku—niech leży w mogile!“
A towarzysze przyklękli na grobie
I pieśń żałosną zanucili sobie,
Którą po uczcie zawsze Mohort śpiewał,
Dziękując z serca, gdy podjętym bywał;
Czas do domu czas!
Zabawili nas!
A potym na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła w końcu nawet straż ostatnia;
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycerz w mogile—w sercu żałość bratnia—
I ten samotny ogień na mogile.
I długo jeszcze w żałości tajemnej,
Kiedy już cały korpus się oddalił,
Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnej
Stos pogrzebowy śród nocy się palił.

W. Pol.

135. Jan III.

A to Jan Trzeci Sobieski!
Jako tratuje pogany,
Co widać z rady niebieskiej
Królem jest w Polsce obrany!
Syn kościoła najgorętszy,
Czciciel Trójcy Przenajświętszej
Uczeń naszej Almy—Mater,
Sława Polski!—Król bohater!
Piorun Boży! bicz pogaństwa!
Zbawca Wiednia—chrześcijaństwa!

Pacholęciu w starej szkole
Stary rektor przepowiedział,
Że Jaś ziści Bożą wolę
I na tronie będzie siedział.
Rycerzowi kmieć buławę
Z dawnych mogił gdzieś wypłużył
I Jan hetman tak jej użył,
Że na krzyża poszła sławę.

Bóg buławę zmienił w berło,
A Jan Trzeci w dziejach perłą!
I „Janina“ z jego państwa
Jest puklerzem chrześcijaństwa!
I jak wielka ona tarcza,
W której krzyża jest obrona,
Co na wszystek świat wystarcza,
Jest na gwiazdach zawieszona!
A Jan Trzeci spoczął sobie
Po rycerskim onym boju
W starych naszych królów grobie
Gdzie wodzowie śpią w pokoju...

Wincenty Pol.

---

136. List Imci pana Rudominy.

Mój Mości Panie!
Już miesiąc to trzeci,
Jak z pod Chocima wróciłem się doma,
A chociaż nie mam żony, ani dzieci,

Łzę z wąsa starłem, co męża nie sroma...
A teraz oto upraszam Waszeci,
(Iż sztuka twoja jest światu wiadoma),
Abyś mi cudnie wyrzezał w marmurze
Pamiętne rzeczy bitwy tej i duże.
Z brył co najbielszych dobieraj kamienia,
Który z dna szybu świeci się i błyska,
Iżby do niego późne pokolenia
Ogrzewać serca szły, jak do ogniska.
Bo czas jest różny i różnie odmienia
Losy, czyniąc z narodów igrzyska...
Więc niechby wnuki patrząc na te sprawy,
Dziedzice sławy—czuli się do sławy!

Jako Chocimski majdan udeptany,
Tak gładkim wydaj Waszmość dno tej płyty,
Zaś za ornament niech ma buzdygany,
Proporców drzewce i buńczuków kity.
Turban niech leży ze łbem odrąbany,
Niech sterczą z boków kopje i dziryty,
A koń zdobyczny, puściwszy w lot grzywy,
Niech za Dniestr, rwie się rżąc, jakby był żywy.
Tak już z pierwszego na kamień wejrzenia,
Ma się uczynić widnym ten duch męzki,
Który starł w polu onym do imienia,
Nieszczęsny termin, dzień Cecorskiej klęski;
I ten animusz, co świat rozpłomienia
Słońcem, pod którym laur kwitnie zwycięzki...
Iżby to była—jak księga otwarta
Potomnym—i jak bohaterska karta!

Marmur bierz Waszmość na pomiar rycerza,
Gdy błyśnie szablą święconą nad głowę
I jako piorun w pohańca uderza,
Wołając: „Rany Pana Chrystusowe!“
(Przydasz-li?—Skąpić nie będę halerza,
Bowiem chcę godnie uczcić rzeczy owe),
A mierz szerokość tak, by mieścił sobie
Mężów dziewięciu przy mojej osobie.

Taki jest bowiem poczet tych rycerzy,
Wpisanych w sławy regestr narodowy.
Zbrojno ich postaw! Niechaj od pancerzy
Blask bije nagły i błyskawicowy,
Niech na ryngrafach piór rozwiej się śnieży...
A wszystkich uczyń z uciętemi głowy;

Wszyscy je oni zostawili bowiem
W Chocimskim polu, wraz z życiem i zdrowiem.
Bo kiedym się tam z bisurmany złożył,
Śmierć była na mnie już i zła godzina...
Lecz Bóg mi rękę na sercu położył,
Iż—miawszy w piersi dwie strzał tatarzyna—
Z boiskam porwał się, i znowu ożył...
Więc z Damasceńską, co jak wąż się zgina,
Wpadłem na wroga, bym w krwi ją zbroczył...
Zapóźno! Turczyn głowy już utroczył.

Byli mu moi sodalisi wierni...
Razem my poszli, nie razem wrócili...
Ja żywo, a oni ubici w tej czerni,
Gdy za tatarstwem, jak wichr się rzucili...
Padli i leżą—husarze pancerni—
Pod swą chorągwią, od Dniestru w pół mili,
W płytkim, szablami wykopanym rowie,
Obroniciele i bohaterowie!

Piękna to śmierć jest, i zacniejsza zgoła
Nad ową, która wszystkim pospolita!
Na takich grobach słodko wonią zioła,
A gałąź suchą wsadź—i ta zakwita.
W miesięczne noce widać tam anioła,
Jak zmartwychwstania jasną księgę czyta,
I jak na miechu ogromnym oparty,
W srebrnej światłości odprawuje warty.

A o to Waszmość nie bądź frasobliwy,
Iż bez głów czynić będziesz owe męże...
W wielkim dniu sądnym, na rekurs straszliwy
Każdy swej głowy z nad Bosforu sięże.
Waszmość mi tylko wyrzezaj te dziwy,
Iżby duch ony, co niby oręże,
Pierś wydawała na czasy potomne...
Duch, co jest wszystkim, i serce niezłomne!

Bowiem się w czynach ostają żywota
Krzepiące siły, niewygasłe moce...
A kiedy burza korabiem pomiota,
Kiedy nawalność maszty mu zdruzgoce,
Wybłyska nagle, jako gwiazdka złota,
Nad czarne chmury, nad rozpaczy noce...
To i ta gwiazda żywota i wiary,
Niech się pamiątką ostawa—u Fary.

M. Konopnicka.

137. Przyjaciele.

Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie,
Ostatni znam jej przykład w Oszmiańskim powiecie.
Żył tam Mieszek kum Leszka, i kum Mieszka Leszek,
Z tych co to: gdzie ty, tam ja, co moje, to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje.
Słowem tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono nie wiele:
Rzekłbyś dwójduch w jednym ciele.
O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy,
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zazul i krakań gawronich,
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb: nuż po pniu skakać jak dzięciołek;
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!“
Kum już wylazł na wierzchołek.
Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz: a już niedźwiedź kroczy.
Trafia na czoło, maca: jak trup leży;
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc mruknąwszy ze wzgardą odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.
Dopieroż Mieszek odżył... „Było z tobą krucho!“
Woła kum—„Szczęście twoje, że cię nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coś miał powiedzieć na ucho?“
„Powiedział mi,“ rzekł Mieszek „przysłowie niedźwiedzie,
Ze prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.“

Adam Mickiewicz.

138. Mróz, słońce i wiatr.

Jak tam na dworze?—spytał Maciej wnuka,
Siedząc w kożuszku pod piecem na ławie.
— Ej, źle dziaduniu! zimno u kaduka,
Świata nie widać w śnieżystej kurzawie,

A wicher świszcze, niech go porwą kaci!
— A zasię błaźnie z bezrozumną mową!
Zmarzłeś na dworze, to się ogrzej w chacie,
A wiatru nie klnij!—rzekł starzec surowo,
Wiatr, to parobek pracowity Boży,
On chmury wodzi po szerokim niebie,
On deszcz ożywczy sprowadza w potrzebie.
Lub precz odpędza burzę, co się sroży.
On zbierze owoc z wysokiego drzewa,
On liść pożółkły otrząsa i zmiata,
A wiosną pąki zielone rozplata.
On czyści z plewy drogie zboże nasze,
On je przerabia na mąkę i kaszę.
On, o czym waści ani się przyśniło,
Po sinym morzu prowadzi okręty.
On... i któż zliczy, Panie Boże święty,
Korzyści z niego? Żeby go nie było,
Świat by pożarło morowe powietrze;
Wara więc, chłopcze, wymyślać o wietrze!
Bo wiatr jak zechce, to skostniejesz z chłodu,
Wyschniesz z upału, albo umrzesz z głodu.
On ci na polu het wykładnie zboże,
Albo napędzi nań grady, ulewy,
Albo wygrzebie i zwędzi zasiewy,
Że kiełek z ziarnka dobyć się nie może.
On ci i w sadzie z drzew obije kwiecie,
I samo drzewo z korzeniem obali;
On jedną iskrą całą wioskę spali,
Lub jak puch marny w mig ci ją rozmiecie.
On tobie z chaty stąpić nie da krokiem,
On zawsze drogę przed tobą zaskoczy,
Prochem lub śniegiem zasypie ci oczy;
A jak cię w polu napadnie szerokiem,
Jak z łaski jego świśnie zawierucha,
To zginiesz marnie, jak nikczemna mucha.
Stąd też i mądre przysłowie nas uczy,
Że głupi tylko przeciw wiatru dmucha;
Bo nic tak człeku, jak wiatr nie dokuczy!
Niechno waść tylko z uwagą posłucha,
Opowiem waści, co onego czasu
Spotkało człeka z naszego zaścianka.
Szedł sobie szlachcic pewnego poranka,
Nie wiem, na pole, czy może do lasu,
Szedł, aż mu drogę zaszły trzy sampany;
Jeden dziad stary, siwy, lecz rumiany,

I czerstwy; ale drżał nieborak cały,
Jakby nim trzęsła dokuczliwa febra.
Miał ci płaszcz śnieżny, lśniący się od srebra,
Na kark mu spływał włos jak mleko biały,
Śnieżysta broda szła szeroką wiechą
Poniżej pasa, pod nosem wisiały
Ogromne wąsy, jak sople pod strzechą;
Nad oczy zwisły mu potężne brwiska,
Wzrok osłupiały lodowato błyska,
Z ust mu i nozdrzy oddech śniegiem pruszy,
A nogą stąpi, czy ręką poruszy,
To wszystkie w starcu tym skrzypią kościska.
  Drugi młodziutki, hoży, a wysoki,
Płynął, nie stąpał leciuchnemi kroki,
Piękne miał liczko, jakby malowane,
Ale mu z niego biło blasku tyle,
Że gdy człek na nie popatrzył przez chwilę,
Wnet oczy łzami odwrócił zalane,
Jak gdyby w słońce spojrzał się ogniste.
A szaty na nim świeciły złociste,
Djamentami gęsto naszywane.
  A trzeci przy nich też wzniosłej postawy,
Wysmukły w pasie, giętki jakby z trzciny,
Składny i lekki, zuchowatej miny,
Miał ci na sobie płaszczyk nie ciekawy,
Wiatrem podszyty, jak mówi przysłowie,
Który mu jeno pod szyją się trzymał,
A poły wicher daleko rozdymał,
I gęste włosy rozwiewał na głowie.
Biegł, jakby gonił zająca po stepie,
Świstał i sapał zadyszany cały,
Na wierzch mu we łbie wystąpiły ślepie,
Twarz się rozdęła i usta nabrzmiały;
A przed nim, za nim, i z lewa i z prawa,
Gęstą się chmurą ciągnęła kurzawa.
  Spotkawszy taką trójkę osobliwą,
Człek spojrzał na nią, jakoby na dziwo,
Ustąpił z drogi, zdjął czapkę z ukłonem,
Rzekszy: „niech będzie Chrystus pochwalonym“
I dalej ruszył.
                  Aliści po chwili
Trzej wędrownicy k'niemu przystąpili,
I ów wysoki jasny młodzian rzecze:
— Komuś się kłaniał, dobry mój człowiecze?

— Wszystkim, odpowie, zdziwiony pytaniem.
— Wszystkim nie można, na to nie przystaniem.
Jednego wybierz!—fuknął dziad brodaty.
— Nie chcemy wszystkim!—krzyknął zuchowaty,
— Powiadaj komu?—Szukają napaści,
Pomyślał szlachcic, i znowu odpowie:
— Bogiem się świadczę, mościwi panowie,
Że wszystkim: Waści, i waści, i waści.
— No, to jeżeli—znów rzecze ów młody—
Wszystkich uczciłeś twym ukłonem wprzódy,
Teraz wybieraj jednego, mospanie,
Jednemu oddaj twe poszanowanie.—
Człek się zamyślił, zafrasował srodze,
Spotkawszy biedę na równiutkiej drodze;
Spojrzał raz jeszcze po swych napastnikach:
Ten stary, nędzny, ledwie, ledwie dycha,
Jednego szczutka dosyć na dziadusia;
Ten jasny, jakoś słodko się uśmiecha;
Dobry być musi, i cichy jak trusia;
Ale ten trzeci, to junak pyzaty,
To niewątpliwie jakiś zawadyja,
Tak się bundziuczy i sroży za katy!
Do trzech nie gadaj, komu miła szyja!
I choć to z miejska po węgiersku strojny,
Choć zda się gonić gdzieś wiatry po polach,
Musi być jednak jakiś pan dostojny,
Bo dmie się rychtyg, jak Kiszka w sobolach.
A więc jak rozum doradza prostaczy,
Ani na jasność, ni na wiek nie baczy,
Z sercem bojaźnią a nie czcią wiedzionem,
Zuchowatego obdarza pokłonem.
Stary się zatrząsł, aż z włosów i z brody
Sadź się sypnęła. Zaiskrzył oczyma
I zapłomieniał ogniście ów młodszy!...
I krzyknął stary:—Niechno przyjdzie zima!
I krzyknął młody:—Niechno przyjdzie lato!—
I oba razem:—Odpowiesz mi za to!—
A junak śmiał się, wziąwszy się pod boki,
I w koło młyńce wyrabiał i skoki,
I poświstywał i rzucał kurzawę.
I rzekł nareszcie:—No! wygrałeś sprawę!
To mróz, to słońce, mnie wiatrem świat zowie,
A wiesz mospanie, co mówi przysłowie?
Mądry, kto dobrze baczy, skąd wiatr wieje.
Śmiej się z ich groźby, kiedy ja przy tobie!

Co oni zrobią, ja zaraz przerobię,
Sparzy—orzeźwię, zmrozi—to ogrzeję.
I czmychnął dalej, a za nim też w ślady,
Mrucząc, ruszyli i jego kamrady.—
 Nadeszła zima; mróz zasiadł na czaty,
I ledwie szlachcic nos wyścibi z chaty,
Hajda na niego! i na kark mu wsiada,
I za nos szczypie, i za palec ściska.
Szlachcic się broni i starego dziada
Młóci oburącz, aż trzeszczą kościska,
Nogami depce, i w dłoniach go gniecie;
I tylko wiater błogosławi w duszy,
Że się przyczaił i ani się ruszy,
Jakby go nigdzie nie było na świecie.
A mróz bez wiatru, to nie wielka bieda,
I człek się jakoś starowinie nie da,
A jak go dobrze po karku wymłóci,
Nie zmarznie wcale. jeszcze się zapoci.
 Więc czyhał, kiedy stanie do roboty,
Myśląc, że wtedy już się nie obroni,
I łatwo będzie porwać go w obroty;
Ale ciepluchny wiaterek jak wionie,
Jak jasne słonko z za chmury wysunie,
Wnet zawziętego wykurzy dziadunię.
 Nareszcie wiosnę przyprowadził ciepłą,
Odchuchnął ziemię zastygłą i skrzepłą,
Roztopił śniegi, pogruchotał lody,
Przepędził zimę z szumiącemi wody,
A z zimą czmychnął, gdzieś aż za kraj świata
I dziad ów siwy, co choć srodze groził,
Przecież ni palca człeku nie odmroził,
Bez dopomogi swojego kamrata.
 Nastało lato, a słońce śród lata,
Dobrze pamiętne swej zniewagi starej,
Jęło przypiekać straszliwemi żary,
Ilekroć szlachcic łeb wychylił z chaty.
Ale nie drzemał nasz junak pyzaty:
Gdy ono piecze i skwarzy zawzięcie,
To on mu chmurę postawi na wstręcie,
Chłodkiem powionie, deszcz ściągnie zdaleka,
Rzeźwi i chłodzi, jak może człowieka.
A jak wprzód w mrozy, tak teraz w upały,
Z jego też łaski szlachcic wyszedł cały.
Nie opalony wcale, nie spieczony;
Dobrze więc trafił z swojemi pokłony.

Co więc wiatr może, widzisz to wyraźnie,
Nie przeto jednak masz rozumieć, błaźnie,
By szukać wiatru w polu z tego strachu,
Lub jak wiatrówka kręcić się na dachu,
Gdzie on powiśnie—zwyczaj to plugawy!
Ale tak kieruj twego życia sprawy,
By nie ty wiatru, lecz wiatr słuchał ciebie,
I ku pomocy stawał ci w potrzebie,
By cię nie miotał, jako podłe śmiecie,
Ale pomagał zdążać ku twej mecie.
To właśnie sztuka, a sztuka nie lada,
Bo wiatr przeciwny któż okiełznać może?
Lecz kląć i tego nigdy nie wypada,
Bo i on na coś potrzebny na świecie:
Tobie zaszkodzi, drugiemu pomoże,
Bo i nim rządzi mocne ramię Boże.

Adam Pług.

---

139. Trójka koni.

Z poetów Litwy tylko jeden bard Antoni
Miał trójkę koni.
Pamięć ich na ówczesnym została Parnasie
Tak żywa, że dziś mógłbym zrobić jej rysopis.
Nie dziw tedy, że, gdy się wczoraj rozgadało
O dawnych rzeczach i o owym czasie,
Zapytałem: „Co się też z temi końmi stało?"
Na to mi odpowiedział w te słowa bajkopis:
W przeznaczeniach tych koni była jakaś tajnia.
Postawiono je razem na obroku,
A po roku
Jeden drugiego nie mógł znieść ani widoku.
Chociaż żłób długi i przestronna stajnia,
Wszędzie im ciasno, wieczne parskania i bitki.
Musiałem w końcu sprzedać każdego zosobna.
Ale cóż stąd? Wyroku zmienić niepodobna:
Znowu je kacap jakiś sprzągł do swej kibitki!
Ledwie z miejsca, natychmiast wszystkie się ofukły:
„Ej wy, chochołskorodzie"!—rżał Lezgin wysmukły—
Nie biesuj! Wiedz że sobie nie dam plwać w wędzidło!"
A Mazur. „Wy ciarachy! Dyć i my nie bydło;
Nie targajta, bo żgniema, że będzieta chramać!"
Na to Kozak, pieniąc się: „Ciszej ty Lachska mać!

I ty mużyku! Niechno staniemy przy żłobie,
„Oj, dam ja wam!” A oni: „Oj, damyż my tobie!”
Nuż wierzgać jak w najlepsze. A kacap do bicza,
Jak utnie z całej ręki w bok Chochołowicza,
Potym z kolei raz wraz po Lezgu, po chłopie:
Nie było czasu brykać. Rwą w pełnym galopie
Trzy mile ukraińskie ku pocztowej szopie.
Szczęśliwe, że tam wreszcie zatrzymawszy sanki,
Kacap dał im odetchnąć i wsypał trzęsianki.
Jadły razem, o kłótniach nie było i wzmianki.
I tak sekret tych koni odkrył się przed światem:
Kłócą się nad obrokiem, godzą się pod batem.

A. Mickiewicz.

---

140. Żaby i ich króle.

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem
Szerzyła się od wieków, a stała nierządem.
Tam każda obywatelka,
Mała czy wielka,
Gdzie chciała mogła skakać,
Karmić się i ikrzyć.
Ten zbytek swobód w końcu zaczynał się przykrzyć.
Zauważyły, że sąsiednie państwa
Używają pod królmi rządnego poddaństwa,
Że lew panem czworonogów,
Orzeł nad ptaki,
U pszczół jest królowa ula.
A więc w krzyk do Jowisza:
„Królu, ojcze bogów,
Dajże i nam króla! króla!”
Powolny bóg wszechżabstwu na króla użycza
Małego jak Łokiet Kija Kijowicza.
Spadł Kij i pluskiem wszemu obwieścił się błotu.
Struchlały żaby na ten majestat łoskotu.
Milczą dzień i noc, ledwie śmiejąc dychać.
Nazajutrz jedna drugiej pytają: „Co słychać?
Czy nie ma co od króla?” Aż śmielsze i starsze
Ruszają przed oblicze stawić się monarsze.
Zrazu zdala, w bojaźni, by się nie narazić;
Potym przemógszy te strachy,
Brat za brat z królem biorą się pod pachy,

I zaczynają na kark mu włazić.
„Toż to taki ma być król?... Najjaśniejszy Bela!
Niewiele z niego będziem mieć wesela;
Król, co po karku bezkarnie go gładzim,
Niechaj nam abdykuje zaraz, niedołęga!
Potrzebna jest nam władza, ale władza tęga!“
    Bóg, gdy ta nowa skarga żab niebo przebija,
    Zdegradował króla Kija,
    A zamianował węża królem żabim,
Ten pełzacz, pływacz i biegacz,
Podsłuchywacz i dostrzegacz,
Wszędzie wziera pod wodę, pod kamienie, pod pnie,
Wszędzie szuka nadużyć i karze okropnie.
Arystokracja naprzód gryziona jest żabia,
Że się nadyma i zbyt się utłuszcza;
Gryziony potym chudy lud, że nie zarabia
I że się na dno biedy opuszcza;
Gryzione są krzykacze, że wrzeszczą namiętnie;
Gryzieni cisi, że śmią siedzieć obojętnie.
    Tak gryząc je swobodnie, wąż do dziś dnia hula
A rzeczpospolita żab bolesnemi skwierki
Do dziś dnia woła o innego króla,
Lecz bóg nie chce się więcej mieszać w jej rozterki.

A. Mickiewicz.

---

141. Godność w niewoli.

W pewnym dworze zwierzęta,
Konie i woły, osły i cielęta,
Ponieważ o nie nie dbano,
Rżnięto i bito i jeść nie dawano,
Postanowiły z godnością żyć,
To jest dać się rznąć i bić,
Ale nie lizać pastuchom łapy,
Ani całować harapy,
Nie ogłaszać rykiem, kwikiem,
Jak miło być niewolnikiem.
„Wszak—mówił konik—niewola mniej gniecie,
Gdy jej liberji nie nosim na grzbiecie.“—
Uczciwa rada przypadła do smaku,
I nie było między niemi
Słychać o żadnym dworaku;

Byli biednemi, ale nie podłemi.
Lecz pan dziedzic doszedł spisku:
I rozkazał na pastwisku
Złapać osła na postronek,
Ozłocił mu uszy obie,
Kokardą upstrzył ogonek,
I rzekł: „Lejb-osłem cię robię!“
Osieł krzyknął i wesoły
Wpadł pomiędzy konie, woły:
„Czy widzicie te oznaki?
Pan mię wyniósł nad charłaki!“
I błyskając uchem złotem,
Tak pozawracał im głowy,
Że o godności zwierzęcej potym
Nie było mowy.
W miarę jak zmieniał się duch,
Nie tylko uszy, lecz brzuch
Każdy sobie złocić dał.
A pan się śmiał
I rzekł do rządcy: „Waść zapisz
Dobre lekarstwo na upartą cnotę:
Że kiedy wróbla na plewy nie złapiesz,
Próżnego zawsze złapiesz na pozłotę.“

Lucjan Siemieński.

142. Papuga i wróbel.

Nie pamiętam, w której stronie,
Czyto w Litwie, czy w Koronie—
Dość, że w Polsce tego czasu
Narobiło to hałasu;
I daj Boże, by dzieci nasze lub choć wnuki
Skorzystały z tej nauki!—

Za pałacem, śród ogrodu,
Stała ogromna altana,
W siatkę z drutu oplatana.
W niej ptastwo różnego rodu,
Które wymieniać rzecz byłaby długa;—
Lecz rej wodziła papuga,
Bo w krasne pióra okryta
I z gadulstwa znamienita,

A stąd najbardziej zuchwała,
Że kilka słów francuskich na pamięć umiała
I ciągle powtarzała.
Dudki, pawie, gawrony
Uwielbiały z wielkim krzykiem,
Że ród papug tak uczony,
Iż obcym gada językiem;—
A ona,
Wielką dumą napuszona,
Z żadnym się już w rozmowę nie wdawała ptakiem.
Z jednym tylko szpakiem
Czasem przywitać się raczy;
Bo wiadomo, że bardzo sprytny naród szpaczy;
I ten, słuchając pilnie przez czas długi,
Nauczył się wymawiać kilka słów papugi.
Stąd łaska i uprzejmości
U owej hardej jejmości,
Co, siadszy na pierwszej grzędzie,
Chciała rozkazywać wszędzie.
Wszystkie ptaki,
Jaki taki,
Spuściwszy dzioby na dół, i pisnąć nie śmiały,
Chyba, by głosić papugi pochwały.
Aż wtym wróbel mały,
Choć niepozorny z postaci,
Ani z miny,
Ni z czupryny,
Ale szczerszy i śmielszy od swych ptaków braci,
Zadarszy dzióbka do góry,
Rzecze do niej: „Moja pani,
Skąd te fochy u wasani?!
Wyrzekłaś się danego głosu od natury
I z nas jeszcze chcesz szydzić
I przewodzić nudnym krzykiem,
Paplając cudzym językiem.
Ot, powinnabyś się wstydzić,
Bo to brzydkie są narowy
Zapominać własnej mowy!
Wiem ja dobrze, że słowiki
I skowronki i czyżyki
Bardzo piękne mają głosy;
Jednak im nie zazdroszczę, ni sarkam na losy,
Ale sobie świergocę, jak nasi ojcowie,
Szarzy wróblowie;

I nie trzeba mi było obcej mowy wiedzieć,
Aby ci prawdę powiedzieć.“

* * *

Znać obcych narodów mowy
To rzecz arcyużyteczna
I konieczna;
Ale Polak do Polaka
Używać w listach albo do rozmowy
Francuskiej mowy —
Wielki to grzech moda taka,
Świętokradzkiemu równy grzechowi,
Bo grzech przeciw narodowi.

Konstanty Gaszyński.

143. Ściana i gwóźdź.

— Czego ty godzisz w moje zdrowie?—
Tak raz przedziurawiana
Do gwoździa rzeknie ściana.
— Wina nie moja—gwóźdź odpowie—
Młotek mi twardy siadł na głowie.
Jam sługa—pytaj pana.—

— Czemu więc—tamta znów się żali—
Wbijaniem we mnie sęka,
Twa moc mię, młotku! nęka?
A on jej rzecze:—Pytaj dalej.
Mnie zmusza, twardsza od mej stali,
Znająca cele ręka.

— Ach ręko!—tamta znów zawoła—
Nie wbijaj w pierś mą ćwieka!—
A ta jej tak odrzeka:
— Twej krzywdy jam nie winna zgoła,
Bom nie jest w służbie u Anioła,
Lecz tylko u człowieka.

Felicjan Faleński.

144. Wilk i owce.

Wilk, chociażto ostrożny, przecie, że żarłoczny,
Postrzegł ścierwo, chciał dostać i wpadł w dół poboczny.
Siedzi w jamie, a wzdycha. Wtym owieczki słyszy:
Patrzą w dół; a wilk w jamie siedzi, ledwo dyszy.
Odezwał się nakoniec, rzekł do nich powolnie:
— Nie wpadłem, za pokutę siedzę dobrowolnie;
Trzeba czynić pokutę za boje, za groźby,
Za to, żem was pożerał... Owce zatym w prośby:
— Wynijdź z dołu!—Nie wyjdę!—My będziem podnosić...
Droży się wilk, nakoniec dał się im uprosić.
Jęły się więc roboty i tak pracowały,
Że go ze dna samego jamy wydostały.
Wyszedł, a zawdzięczając nierozumnej kupie,
Pojadł, pogryzł, podusił wszystkie owce głupie.

Ignacy Krasicki.

---

145. Sąd na owieczkę.

Porwali wilcy owieczkę wśród trzody,
Lecz nie tak robią, jak robili wprzódy;
Nie chcą się sami samowładnie rządzić,
W las ją zanieśli, ażeby osądzić.
Dziki, rysie, niedźwiedzie siadły między borem,
A lis był prokuratorem;
Wyliczał długo jej występki czarne,
Nareszcie prawo zacytował karne:
—Czeka świat niecierpliwie, co wasz wyrok powie?
Śmierć! jednomyślnie krzyknęli sędziowie.
Tu się owieczka wzięła bronić żwawo;
—A któż to pisał? wy sami to prawo?
Czy nasza trzoda wzywana tam była?
Ledwo to rzekła, już biedna nie żyła.
Trysnęła krew jej potokiem,
I choć niewinnie przelana,
Lecz za sądowym wyrokiem
Prawnie jest na śmierć skazana.

Antoni Gorecki.

BIBLIOTHECA UNIV. IAGELL.

SPIS RZECZY.

A. PROZA.

B. POEZJA.

[illegible], State St., [illegible],

141,-